

# Emancypantki, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

BOLESŁAW PRUS

# *Emancypantki*

# TOM I

## I. ENERGIA KOBIET I MĘSKIE NIEDOŁĘSTWO

Około roku 1870 najznakomitszą szkołą żeńską w Warszawie była pensja pani Latter.

Stamtąd wychodziły najlepsze matki, wzorowe obywatelki i szczęśliwe żony. Ile razy gazety donosiły o ślubie panny majątnej, dystygowanej i dobrze wychodzącej za mąż, można było założyć się, że między zaletami dziewicy znajdzie się wzmianka, iż taka to a taka, tak a tak ubrana, tak a tak piękna i promieniejąca szczęściem oblubienica ukończyła pensję — pani Latter.

Po każdej podobnej wzmiance na pensję pani Latter wstępowało kilka nowych uczennic jako przychodnie albo jako stałe mieszkanki zakładu.

Nie dziwi, że i pani Latter, której pensja tyle szczęścia przynosiła jej wychowanicom, sama była uważana za osobę szczęśliwą. Mówiono o niej, że choć zaczęła pracę skromnymi funduszami, musi jednak posiadać kilkadziesiąt tysięcy rubli gotówką; nie wiadano tylko, czy kapitał jest umieszczony na hipotekach czy w banku. Nikt o majątku nie wątpił, widząc balowe stroje jej córki, Heleny, prześlicznej dziewiętnastoletniej panienki, a nade wszystko słysząc o wydatkach syna, Kazimierza, który nie żałował pieniędzy.

Nie gorszono się jednak ani strojami panny, ani szykiem kawalera, jedno bowiem i drugie trzymało się pewnych granic. Panna Helena występowała na zebraniach świetnie, ale rzadko; zaś pan Kazimierz wybierał się kończyć edukację za granicą i bawił w Warszawie tylko chwilowo. Mógł więc sobie pozwolić.

Znajomi szeptali, że pani Latter nie bez racji życzliwie patrzy na wybryki młodego, który w towarzystwie dystygowanej młodzieży warszawskiej leczył się z demokratycznych mrzonek. Nawet podziwiano rozum i takt matki, która zamiast gromić chłopca za to, że nasiąknął zgubnymi teoriami, pozwoliła mu odrodzić się za pomocą wykwiutnego życia.

— Kiedy młody przywyknie do towarzystw, gdzie nosi się czystą bieliznę, to przestanie zapuszczać długie włosy i potarganą brodę — mówili znajomi.

Młody przywykł bardzo prędko do strzyżenia włosów i czystej bielizny, a nawet zrobił się skończonym elegantem, tak że w połowie października zaczęto mówić, iż wkrótce wyjeżdża za granicę w celu studiowania nauk społecznych. Rozumie się, że miał jechać nie młody Latter, ale młody Norski. Pani Latter bowiem z pierwszego męża nazywała się Norska, a Helena i Kazimierz byli jej dziećmi z tamtego związku.

Drugi mąż, pan Latter... Ale o niego mniejsza. Dość, że pani Latter od chwili założenia pensji nosiła wdowie szaty. Że zaś po kilka razy do roku jeździła na Powązki i ozdabiała kwiatami grób pierwszego małżonka, więc nikt nie pytał się, czy i drugi małżonek spoczywa na Powązkach czy gdzie indziej.

Trudno dziwić się, że pani Latter, której los po dwakroć zdruzgotał serce, była chłodna w stosunkach i miała surową powierzchowność.

Pomimo lat czterdziestu kilku była jeszcze piękną kobietą. Wzrostu więcej niż średniego, nieokazałej tuszy, ale i nieszczupła, miała czarne włosy nieco przyprószone siwizną, rysy wyraziste, pleć<sup>1</sup> śniadą i prześliczne oczy. Znawcy twierdzili, że takimi oczyma pani Latter mogłaby zawojować niejednego bogatego wdowca spośród tych, których córki mieszkają u niej lub chodziły na jej pensję. Nieszczęściem właścicielka „czarnych diamentów” miała spojrzenie raczej przenikliwe aniżeli tkliwe, co w połączeniu z wąskimi ustami i postawą imponującą budziło dla niej przede wszystkim — szacunek, zarówno w kobietach, jak i w mężczyznach.

Uczennice bały się jej, choć nigdy nie podnosiła głosu. Najmocniej rozbawiona klasa milkła od razu, jeżeli w sąsiedniej sali dzieci usłyszały w pewien charakterystyczny sposób otwierane drzwi i równy chód przełożonej.

Damy klasowe, a nawet profesorowie podziwiali magiczny wpływ pani Latter na pensjonarki. Matki, mające dorosłe panny na wydaniu, z niepokojem myślały o jej córce, Helenie, jak gdyby młoda piękność mogła pozabierać im wszystkie partie i złamać przyszłość wszystkim gotującym się do małżeństwa dziewicom. Niejeden zaś zamożny ojciec wątego i brzydkiego syna myślał:

<sup>1</sup>pleć (daw.) — cera; koloryt skóry twarzy. [przypis edytorski]

„Ten hultaj Norski zabrał zdrowie i piękność dziesięciu takim jak mój Kajtuś, choć i to chłopak niczego!”

Była więc pani Latter na wszelki sposób szczęśliwą: zazdrośczonej jej majątku, powagi, pensji, dzieci, nawet oczu. Mimo to na jej czole coraz głębiej rysowała się zagadkowa zmarszczka, na twarz coraz niżej zsuwał się cień, nie wiadomo skąd padający, a oczy coraz przenikliwiej wpatrywały się gdzieś poza ludzi, jakby usiłując dojrzeć wypadki niewidzialne dla innych.

W tej chwili pani Latter spaceruje po swoim gabinecie, którego okna wychodzą na Wisłę. Jest już schyłek października, o czym mówi rudożółtawe światło, którym słońce, kryjąc się za Warszawą, pomalowało domy Pragi, kominy odległych fabryk i szare, zamglone pola. Światło jest zwiędłe, jakby zaraziło się od zwiędłych liści albo nasiąkło rudą parą lokomotywy, która w tej chwili sunie daleko poza Pragę i znika jeszcze dalej, uwożąc jakichś ludzi, może jakieś nadzieje. Szkaradne światło, które przypomina schyłek października, szkaradna lokomotywa, która każe myśleć, że wszystko na tym świecie jest w nieustannym ruchu i znika dla nas, ażeby pokazać się innym, gdzie indziej.

Pani Latter cicho stąpa po dywanie gabinetu, który ma wygląd męskiej pracowni. Czasem spogląda w okna, gdzie zwiędłe światło przypomina jej koniec października, a niekiedy rzuca okiem na dębowe biurko, gdzie leży kilka wielkich księzek rachunkowych, nad którymi pochyla się biust<sup>2</sup> Sokratesa. Ale zmarszczone czoło mędrca nie wróży jej nic dobrego; więc ścisną założone na piersiach ręce i chodząc przyspiesza kroku, jak gdyby pragnęła już gdzieś dojść, byle prędzej. Oczy jej błyszczą mocniej niż zwykle, usta zacinają się wężziej, a na twarz coraz głębiej zapada ów cień, którego nie mogła odegnąć ani piękność jej dzieci, ani opinia, jaką ona sama cieszy się u ludzi.

W salonie poczekalnym regulator wydzwonił wpół do piątej, w jej gabinecie duży zegar angielski jeszcze uroczyście wybił wpół do piątej i w dalszych pokojach dźwięk ten cieniutko i spiesznie powtórzył jakiś mały zegarek. Pani Latter zbliżyła się do biurka i zadzwoniła.

Drgnęła ciemna kotara, cicho otworzyły się drzwi poczekalni i w progu stanął wysoki służący we fraku, z siwymi faworytami.

— O której godzinie oddał Stanisław list panu Zgierskiemu?

— Przed pierwszą, jaśnie pani.

— Jemu samemu?

— Do własnych rąk — odparł służący.

— Możesz odejść. A jeżeli kto z gości przyjdzie, wprowadź zaraz.

„Półtrzeciej<sup>3</sup> godziny każe mi czekać, oczywiście nie mogę na niego rachować...” — pomyślała pani.

„Naturalnie — ciągnęła w duchu — on doskonale rozumie położenie. Do Nowego Roku potrzebuję siedem tysięcy sześćset rubli, od przychodzących będę miała dwa tysiące pięćset, za stałe zwrócą mi najwyżej tysiąc pięćset, więc jest cztery tysiące. A gdzie reszta?... Po Nowym Roku?... Po Nowym Roku okaże się, że dochód jest o cztery tysiące rubli mniejszy aniżeli w latach poprzednich. Co się tu ludzi! Sześć stałych i dwadzieścia przychodzących ubyło i na rok następny nie przybędą, i już nigdy nie przybędą... Zostaje czystego dochodu najwyżej tysiąc rubli rocznie, co mogłoby wystarczyć dla jednej osoby, ale nie dla nas trojga... A co dalej?... Na pokrycie mniejszego długu zaciąga się większy dług, potem jeszcze większy, więc w rezultacie musi się to wszystko skończyć... Zgierski otwiera mi oczy bez ceremonii; on nie ludzi się...”

Życie pani Latter tak było wypełnione cyframi, cyfry tak dręczyły jej wyobraźnię, że na cokolwiek zwróciła oczy, wszędzie widziała cyfry. Rozpierały one księgi rachunkowe leżące na biurku, wyskakiwały z ogromnego złoconego kałamarza, pełzały po angielskich sztychach ozdabiających ściany gabinetu. A ile ich kryło się w ciężkich fałdach firanek, ile za szkłem rzeźbionej biblioteki, ile tłoczyło się w cieniu każdej portiery — nikt by nie zliczył.

Ażeby oderwać uwagę od szczupłych, dokuczliwych widziadeł, pani Latter podniosła głowę i stanąwszy na środku gabinetu zaczęła słuchać, co się dzieje na górze. Znajdował się

<sup>2</sup>biust (daw.) — popiersie; typ rzeźby. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>półtrzeciej (daw.) — dwie i pół. [przypis edytorski]

tam salonik, w którym pensjonarki przyjmowały odwiedzających gości; lecz w tej chwili nie było gości, gdyż przez salonik ciągle przechodziły uczennice. Oto dwie starsze idą z sypialni do klas krokiem równym, zapewne trzymając się pod rękę; oto przebiega jakaś pierwszo- albo drugoklasistka; oto jedna wkoło obchodzi salonik, może uczy się; którejś innej upadła książka.

Wtem słyhać ciężkie i szerokie kroki — to panna Howard, najznakomitsza nauczycielka pensji.

— Ach, ta Howard!... — szepnęła pani Latter. — Ta kobieta nieszczęście mi przyniosła...

Równocześnie z wejściem panny Howard spacerujące uczennice uciekają z górnej salki, do której wchodzi kilka osób. Jedna, dwie i ktoś trzeci starszy... Ciężkie kroki panny Howard stały się szybsze i drobniejsze, słyhać przesuwanie krzesel. Oczywiście ktoś przyszedł z wizytą.

„Może Malinowska, ta przyjaciółka Howardówny, zwiedza mi pensję?... — myśli pani Latter. — Do tych wariatek wszystko podobne!... Ma kilkanaście tysięcy rubli, więc zakłada pensję, ażeby mnie zrujnować... Naturalnie, że straci je we dwa lata, ponieważ zdaje się jej, że jest powołaną, ażeby zrobić przewrót w wychowaniu dziewcząt. Howardówna napisze jej program... Cha! cha!... To ucieszą się redakcje, które na jakiś czas przestanie katapultować artykułami. Kobiety samodzielne!... Ja nie jestem samodzielną, bo z niczego stworzyłam pensję; dopiero one będą uczyły mnie samodzielności za trzysta tysięcy rubli, które Malinowska chce zmarnować według przepisów Howardówny...”

Skazówka angielskiego zegara powoli zbliża się do piątej, przypominając pani Latter, że nadchodzi wieczorna seria jej przyjęć. Przypomina jej zarazem, że przez ten oto gabinet przesunęło się już wiele tysięcy osób, które czegoś żądały, prosiły, o coś zapytywały. Każda otrzymała odpowiedź, radę, wyjaśnienie i — co z tego?... Co zostało z tych tysięcy rad udzielonych innym?... Nic. Ciągłe pogłębiający się deficyt na dziś, a możliwe bankructwo na jutro.

— A... nie dam się!... — szepnęła pani Latter, chwytając się oburącz za głowę. — Nie dam się... nie dam moich dzieci, nic nie dam! To nieprawda, ażeby były położenia bez wyjścia... Jeżeli w Warszawie jest pensyj za wiele, upadną słabsze, nie moja.

Bystry jej słuch uchwycił szmer w poczekalni. Ktoś, zamiast dzwonić, poruszył parę razy kławką, a gdy lokaj otworzył drzwi, ktoś rozbierał się powoli i rozmawiał półgłosem.

Pani Latter skrzywiła usta odgadując z przygotowań, że taki gość przychodzi w swoim, nie w jej interesie.

We drzwiach ukazały się siwe faworyty służącego, który szepnął:

— Ten... pan profesor.

A w chwilę później wszedł do gabinetu człowiek w czarnym surducie, tęgi, średniego wzrostu. Miał twarz bladą, jakby nalaną, apatyczne spojrzenie z wyrazem dobroci, na łysinie kosmyk włosów, który jak ciemna kresa ciągnął mu się nad czołem od strony prawej ku lewej. Gość idąc z wolna wysoko podnosił kolana i trzymał duży palec lewej ręki za kławką surduta, co wszystko razem zdawało się świadczyć, że łagodny ten człowiek nie odznacza się energią.

Pani Latter stojąc z założonymi na piersiach rękami utopiła palający wzrok w jego szklanych oczach; ale gość był tak flegmatyczny, że nawet nie zmieszał się jej spojrzeniem.

— Właśnie... — zaczął.

W tej chwili regulator, zegar angielski i mały zegarek w dalszych pokojach na rozmaity sposób wybiły piątą.

Gość zawiesił mowę, jakby nie chcąc przeszkadzać zegarom, a gdy umilkły, znowu zaczął:

— Właśnie...

— Zdecydowałam się — przerywa mu pani Latter. — Nie sześć, ale dwanaście lekcyj tygodniowo będzie miał pan u mnie...

— Bardzo...

— Sześć jeografii<sup>4</sup> i sześć nauk przyrodniczych.

<sup>4</sup>jeografia (daw.) — geografia. [przypis edytorski]

— Bardzo... — powtórzył gość kiwnąwszy parę razy głową, lecz nie wyjmując wielkiego palca lewej ręki spoza kłapy surduta, co już zaczęło irytować panią Latter.

Znowu mu przerwała mówiąc:

— Przyniesie to panu profesorowi czterdzieści osiem rubli miesięcznie.

Gość zamknął usta, lecz zaczął szybko bębnić palcami lewej ręki po kłapie surduta. Potem, skierowawszy łagodne oczy na nerwową twarz pani Latter, rzekł:

— To chyba nie po dziesięć złotych godzina?

— Po rublu — odpowiedziała przełożona.

Do poczekalni ktoś energicznie zadzwonił i wszedł z szelestem.

— Zdaje mi się, że mój poprzednik brał po dwa ruble za godzinę?

— Dziś nie jesteśmy w stanie płacić za te przedmioty więcej niż rubla... Zresztą mamy trzech kandydatów — rzekła pani Latter, patrząc na drzwi.

— To dobrze — odparł gość zawsze z równym spokojem. — Może by jednak w zamian moja siostrzeniczka...

— Pomówimy o tym jutro, jeżeli pan łaskaw — przerwała z ukłonem.

Gość, nie zdradzając zdziwienia, chwilę postał, zebrał rozpierzchniętą myśl i kiwnąwszy głową opuścił gabinet. Idąc podnosił kolana równie wysoko jak pierwej i nie wyjmował palca spoza kłapy surduta.

„Skończony safandula!” — pomyślała pani Latter.

Lokaj otworzył drzwi, przez które z poczekalni wtoczyła się nieduża, ale tęga i rumiana dama, w jedwabnej sukni orzechowego koloru. Zdawało się, że rozpuszczona jej szata napęlnia szelestem cały pokój i że reszta dziennego światła ucieka przed blaskami jej dewizek, pierścieni, bransolet tudzież świecideł połyskujących na rozmaitych punktach głowy.

Pani Latter przywitawszy ją podprowadziła do skórzanej kanapy, na której dama usiadła w taki sposób, jakby zamiast usiąść skróciła swój nieduży wzrost, i jeszcze bardziej rozpuściła suknię. Gdy służący zapalił parę lamp gazowych, można było przypuścić, że dama w pulchnych rękach z trudem utrzymuje cały potop jedwabnej materii, która może zatopić gabinet.

— Odprowadziłam na górę moje panienki — zaczęła dama — i chcę prosić, ażeby pani pozwoliła im jeszcze jutro pożegnać się ze mną.

— Pani jutro wyjeżdża?

— Ach, pani, tak, wieczorem — westchnęła dama. — Dziesięć mil koleją, a potem trzy mile kareta. Jedyną dla mnie pociechą w podróży będzie to, że moje dzieci zostaną pod opieką pani. Cóż to za dystygowana osoba panna Howard i co za pensja!...

Pani Latter na znak podziękowania schyliła głowę.

— Takich schodów nie widziałam na żadnej pensji — mówiła dama, oddając ukłon z wdziękiem, który odpowiadał obfitości jej orzechowej sukni. — I lokal prześliczny, tylko... mam do pani prośbę — dodała z lubym uśmiechem. — Mój brat darował dziewczynom bardzo ładne firanki nad łóżka, to z jego własnej fabryki. Czy nie można by zawiesić ich nad łóżeczkami?... Ja sama się tym zajmę...

— Nie miałabym nic przeciw temu — odparła pani Latter — ale doktor nie pozwala. Mówi, że firanki w sypialniach tamują przepływ powietrza.

— U pani leczy doktor Zarański? — przerwała dama. — Renomowany doktor! Znam go, bo przyjeżdżał do nas przed dwoma laty cztery razy z Warszawy (dziesięć mil koleją, a potem trzy mile powozem), kiedy mój mąż chorował, wybaczy pani, na pęcherz. Znam go doskonale (każdy przyjazd kosztował nas sto dwadzieścia rubli!), więc może by dla moich dzieci zrobił wyjątek?...

— Bardzo wątpię — odpowiedziała pani Latter — ponieważ w roku zeszłym nie pozwolił zawiesić firanek nad łóżkiem siostrzenicy hrabiego Kisiela, z którą mieszkają córeczki pani...

— Aa!... jeżeli tak!... — westchnęła dama ocierając twarz koronkową chusteczką.

Nastąpiła przerwa, w ciągu której zdawało się, że każda z pań chce coś powiedzieć i szuka właściwej formy. Dama w orzechowej sukni wpatrywała się w panią Latter, w miarę czego pani Latter usiłowała przybrać wyraz grzecznej obojętności. Ruchliwe oczy damy mówiły: „No, powiedz ty pierwej, to ja będę śmielsza”, zaś posągowa twarz pani Latter odpowiadała: „Nie, ty mnie zaatakuj, a wtedy ja cię zwyciężę”.

W tej walce niecierpliwości z zimną krwią ustąpiła dama w jedwabiach.

— Chciałam jeszcze prosić pani — zaczęła — ażeby moje dziewczynki więcej pracowały nad talentami...

— Słucham panią.

— Jedna na przykład mogłaby uczyć się grać na cytrze... Ten instrument bardzo lubi mój mąż; nawet ma cytrę, bo kiedy praktykował w Wiedniu, należał do klubu cytrzystów. Druga mogłaby uczyć się malować, choćby pastelami... To tak ładnie widzieć panienki malujące pastelami!... Kiedym była w zeszłym roku w Karlsbadzie — wszystkie młode Angielki, ile razy nie miały partii do krokieta, rozkładały albumy i malowały. To bardzo uwydatnia wdzięki młodej osoby...

— Któraż z nich chce malować?

— Która? Żadna nie chce — odpowiedziała z westchnieniem dama. — Ale ja myślę, że powinna by uczyć się starsza, bo przecie pierwszej musi wyjść za mąż.

— Proszę pani, na co im te talenta?... — zapytała pani Latter miękkiem głosem. — One, biedaczki, już i tak więcej niż inne pracują nad lekcjami...

— A... nie spodziewałam się od pani takiego zdania! — odparła dama, poprawiając się na kanapie. — Jak to, więc talenta nie są potrzebne panience w naszych czasach, kiedy wszyscy mówią, że kobieta powinna być samodzielna, powinna kształcić się we wszystkich kierunkach?...

— Ależ one czasu nie mają...

— Czasu?... — powtórzyła dama z subtelną ironią. — Jeżeli mają czas na szycie bielizny dla podrzutków w ochronach...

— Tym sposobem uczą się szyć.

— Moje córki, dzięki Bogu, nie będą potrzebowały szyć — odparła dama z godnością. — Ale mniejsza. Jeżeli pani nie życzy sobie tego, muszą zaczekać.

Pani Latter zimno się zrobiło przy ostatnich słowach. Więc znowu mają ubić jej dwie pensjonarki płacące dziewięćset rubli!

— W takim razie — ciągnęła dama wysilając się na lodowatą słodycz — może pani zrobi przynajmniej tę łaskę, ażeby panienki tańczyły...

— One uczą się tańczyć u pierwszorzędnego artysty baletu.

— Tak, pani, ale tańczą tylko z sobą i nie spotykają młodzieży. Tymczasem dziś — mówiła dama z westchnieniem — kiedy świat żąda od kobiety, ażeby była samodzielną, kiedy młode Angielki ślizgają się i jeżdżą konno razem z chłopcami, nasze biedaczki są tak nieśmiałe w towarzystwie panów, że... ani *be*, ani *me*... Mój mąż jest zrozpaczony i mówi, że do reszty zgłupiały...

— Pani, ja nie mogę zapraszać chłopców na lekcje tańca — odpowiedziała pani Latter.

— Ha, w takim razie — rzekła zniżając głos dama — nie zdziwi się pani, jeżeli od wakacji...

— Niczemu się nie dziwię — odparła pani Latter, której gniew uderzył do głowy. — Co się zaś tyczy rachunku...

Dama złożyła pulchne rączki i rzekła tonem słodkim:

— Właśnie chciałam uiścić resztę za pierwsze półrocze... Więc jestem pani winna?

— Dwieście pięćdziesiąt rubli.

Głos damy stał się jeszcze słodszy, kiedy mówiła wydobywając z kieszeni portmonetkę.

— Czy nie można by okrągło... dwieście?... Przecież niektóre panienki płacą u pani po czterysta rubli rocznie, a na innych pensjach... Szczerze powiem, że ani myślałabym odbierać dzieci z takiej wzorowej pensji, gdzie jest prawdziwie macierzyński dozór, porządek, piękne maniery, gdyby pani zgodziła się na osiemset rubli rocznie... Bo nie uwierzy pani, co to za straszne czasy dla nas... Jęczmień zdrożał o połowę, a chmiel... pani! Niech pani teraz doda, że mamy trzy mile najgorszej drogi do kolei, że mój biedny mąż ciągle choruje na pęcherz, a ja na przyszły rok znowu muszę jechać do Karlsbadu... Przysięgam pani, że nie ma dziś nieszczęśliwszych ludzi jak fabrykanci; a wszystkim się zdaje, że nam brak tylko ptasiego mleka... — zakończyła dama ocierając, tym razem webową chustką, lzy płynące z oczu. Przeznaczenie koronkowej chustki było inne.

— Niechże będzie dwieście rubli na ten raz — odpowiedziała z wolna pani Latter.

— Droga, kochana pani! — zawołała dama, jakby chcąc rzucić się jej na szyję.



Pani Latter skłoniła się uprzejmie, wzięła dwie sturublówki i wyciąwszy kwit z księgi podała go okrągłej damie, na której twarzy radość i tkliwość gonili się jak dwa obłoki na wypogadzającym się niebie.

Wyprowadziwszy szeleszczącą i połyskującą damę do poczekalni i zatrzymawszy się, aż wyjdzie, pani Latter rzekła do służącego:

— Poproś pannę Howard.

Wróciła do swego gabinetu i zaczęła chodzić rozdrażniona. Widziała przed sobą szklane oczy profesora, który trzymał wielki palec lewej ręki za klapą surduta i bez protestu zgodził się na zmniejszenie mu dochodów o dwadzieścia cztery ruble miesięcznie, a obok — orzechową suknię i lśniące klejnoty damy, która jej urwała pięćdziesiąt rubli na półroczu.

„Ach, trudno!... — rzekła do siebie. — Kto potrzebuje, ten musi ustępować. Tak było, jest i będzie...”

Zapukano do drzwi.

— Proszę wejść.

Drzwi uchyliły się i nie weszła, ale wpadła osiemnastoletnia panienka, a potem nagle zatrzymała się wobec przełożonej. Była to osóbką średniego wzrostu, brunetka o rysach okrągłych. Na niewysokim czole czarne loczki włosów rozrzuciły się jej, jak gdyby szybko biegła pod wiatr, szare oczy, śniada twarz i rozchylone karminowe usta tryskały zdrowiem, energią i wesołością, którą tylko obecność pani Latter hamowała od szalonego wybuchu.

— A, Madzia... Jak się masz? — rzekła pani Latter.

— Przychodzę powiedzieć — mówiła szybko panienka, kłaniając się po pensjonarsku — że byłam u Zosi Piaseckiej. Ma biedaczka trochę gorączki, ale to nic groźnego, i tylko martwi się, że nie będzie jutro na lekcjach.

— Całowałaś ją?

— Nie pamiętam... Zresztą umyłam sobie twarz i ręce... To, proszę pani, nie może być nic złego — dodała z głębokim przekonaniem. — Ona takie kochane, takie dobre dziecko...

Pani Latter uśmiechnęła się.

— Cóż to było w trzeciej klasie? — zapytała.

— Ach, proszę pani — nic. Profesor najzaczepniejszy człowiek, ale niesłusznie się obraził. Myślał, że Zdanowska śmieje się z niego, a tymczasem było tak, że Sztenglówna pokazała jej na dachu kominiarza, no i ta w śmiech... Proszę pani — mówiła błagającym głosem, jakby chodziło o ułaskawienie od ciężkich robót — niech się pani nie gniewa na Zdanowską. Ja już ułagodziłam pana profesora — ciągnęła figlarnym tonem — wzięłam go za rękę, spojrzałam mu pięknie w oczy i on już źle nie myśli o Zdanowskiej. A tymczasem ta biedaczka tak płacze, tak rozpacza, że nawet mnie jest jej żal...

— Nawet tobie?... — odparła przełożona. — Czy panna Howard jest na górze?

— Jest. Właśnie jest teraz u niej z wizytą Hela i pan Kazimierz i rozmawiają o bardzo mądrych rzeczach...

— Zapewne o samodzielności kobiet?

— Nie, ale o tym, że kobiety powinny na siebie pracować, że nie powinny zanadto rozczulać się i że powinny być we wszystkim takie jak mężczyźni: takie mądre, takie odważne... Ale zdaje mi się, że właśnie idzie tu panna Howard.

— Przyjdź do mnie, Madziu, po szóstą, dam ci robotę — rzekła, śmiejąc się pani Latter.

Panienka znikła we drzwiach prowadzących do poczekalni, a tymczasem środkowe drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich słuszna dama w czarnej sukni. Miała długą twarz jednostajnie różowej barwy, włosy płowe jak woda wiślana podczas przyboru i figurę o tyle gładką, o ile wyprostowaną. Z wysoka kiwnęła głową pani Latter i rzekła kontraltem:

— Pani chciała się ze mną zobaczyć?... — powiedziała to tonem, poza którym czuć było frazes:

„Kto chce widzieć się ze mną, mógłby przyjść do mnie”.

Pani Latter posadziła nauczycielkę na kanapie, sama usiadła na fotelu i ściskając pannę Howard za długie ręce rzekła serdecznym tonem:



— Chciałam z panią porozmawiać, panno Klaro. Przede wszystkim jednak proszę, ażeby pani nie posądzała mnie o zamiar obrażania jej...

— Nie przypuszczam, ażeby ktokolwiek miał prawo obrażać mnie — odpowiedziała panna Howard, cofając z rąk przełożonej swoje ręce, które w tej chwili okryły się chłodną wilgocią.

— Ja bardzo szanuję, panno Klaro, zdolności pani... — mówiła pani Latter, patrząc w blade oczy nauczycielki, na której czole ukazała się zmarszczka. — Podziwiam wiedzę pani, pracę, sumienność.

Różowe oblicze panny Howard zaczęło się chmurzyć.

— Szanuję charakter pani, wiem o ofiarach, jakie pani ponosi na cele ogólne...

Twarz panny Howard pochmurniała coraz bardziej.

— Z przyjemnością czytuję doskonale artykuły pani...

W tej chwili na obliczu panny Klary błysnęło coś jak snop słonecznego światła, który rozdarł chmurę brzemienną piorunami.

— Nie na wszystko zgadzam się — ciągnęła pani Latter — ale dużo nad nimi myślę...

Fizjonomia panny Howard już wypogodziła się.

— Walka z przesądem jest trudna — odparła rozpromieniona nauczycielka — więc uważam za najwyższy triumf dla siebie, jeżeli czytelnicy choćby tylko zastanawiają się nad mymi artykułami.

— Zatem rozumiemy się, panno Klaro.

— Najzupełniej.

— A teraz pozwoli pani zrobić sobie jedną uwagę? — zapytała przełożona.

— Proszę...

— Otóż, panno Klaro, dla dobra tej sprawy, której poświęciła się pani, niech pani będzie ostrożniejsza w rozmowach z uczennicami, osobliwie mniej rozwiniętymi, i... z ich matkami...

— Sądzi pani, że zagraża mi jakie niebezpieczeństwo?... — zawołała panna Howard głębokim kontraltem. — Ja jestem zdecydowana na wszystko!...

— Na wszystko, rozumiem, ale chyba nie na to, ażeby przekręcano myśli pani. Przed chwilą była u mnie osoba, z którą pani na gorze rozmawiała o samodzielności kobiet...

— Czy Korkowiczowa, ta piwowarka?... Gęś prowincjonalna!... — wtrąciła panna Howard tonem pogardy.

— Widzi pani, pani jest w tym położeniu, że może ją lekceważyć, ale ja muszę się z nią rachować!... I czy wie pani, jak ona skorzystała z rozmowy o samodzielności kobiet?... Oto żąda, aby jej córki uczyły się malować pastelami i grać na cytrze, a przede wszystkim, ażeby jak najprędzej wyszły za mąż.

Panna Howard rzuciła się na kanapie.

— Ja jej do tego nie namawiałam! — zawołała. — Wszakże w artykule o wychowaniu naszych kobiet wyraźnie protestuję przeciw zmuszaniu dziewcząt do fortepianu, rysunków, nawet do tańca, jeżeli nie mają talentu albo chęci. A w artykule o powołaniu kobiety napiętnowałam te lalki, które marzą o zrobieniu kariery przez zamążpójście... Wreszcie z tą panią nie rozmawiałam, jakimi powinny być kobiety, ale o tym, jak one wychowują się w Anglii. Tam kobieta kształci się jak mężczyzna: uczy się łaciny, gimnastyki, konnej jazdy... Tam kobieta sama chodzi po ulicy, odbywa podróże... Tam kobieta jest istotą wolną i czczoną.

— Czy pani zna Anglię? — nagle zapytała pani Latter.

— Wiele o niej czytałam.

— A ja tam byłam — przerwała pani Latter — i zapewniam panią, że wychowanie Angielek inaczej wygląda w naszej wyobraźni, a inaczej w rzeczywistości. Czy pani na przykład uwierzyłaby, że tam niekiedy panienki dostają różgę?...

— Ale jeżdżą konno...

— Jeżdżą te, które mają konie albo na konie, tak jak i u nas.

— Więc dziewczęta można uczyć konnej jazdy i gimnastyki — rzekła stanowczo panna Howard.

— Można, ale na pensji nie można otwierać rajtszuli<sup>5</sup>.

<sup>5</sup>rajtszula (daw.) — szkoła jazdy konnej. [przypis edytorski]

— Ale można założyć salę gimnastyczną, można wykładać buchalterię, rzemiosła...  
— niecierpliwie odparła panna Howard.

— A jeżeli rodzice nie życzą sobie tego, tylko chcą, żeby panny uczyły się malarstwa albo tańczyły z chłopcami?

— Ciemnota rodziców nie może być programem wychowania ich dzieci. Od tego są zakłady naukowe, ażeby reformowały społeczeństwo.

— A jeżeli z powodu reformy ucierpiałyby dochody zakładów naukowych? — spytała pani Latter.

— W takim razie kierowniczkę zakładów, ożywioną poczuciem obowiązku społecznego, muszą zdecydować się na ofiary...

Pani Latter potarła czoło ręką.

— Czy sądzi pani, że każda przełożona pensji może ponosić ofiary, że ma środki?...

— Kto nie ma środków, powinien ustąpić tym, którzy je mają — odpowiedziała panna Howard.

— Ach, tak?... — rzekła przeciągle pani Latter, znowu pocierając czoło. — Boli mnie głowa, tyle dziś miałam zajęć... Więc panna Malinowska stanowczo otwiera pensję?...

— Ona wolalaby zostać współpracowniczką jakiejś znanej firmy i... ja ją namawiam, ażeby rozmówiła się z panią...

Silny rumieniec wystąpił na twarz pani Latter. Przemknęła jej myśl, że taka spółka byłaby ratunkiem pensji albo... może — jej ostateczną ruiną?... Współniczka musiałaby dowiedzieć się o finansowym położeniu, miałaby prawo zapytywać o każdego rubla, którego wydaje Kazio...

— Ja nie będę współpracowniczką panny Malinowskiej — rzekła pani Latter, spuszczać oczy.

— Szkoda! — odpowiedziała sucho nauczycielka.

— Ale pani, panno Klaro, będzie ostrożniejsza w rozmowie z uczennicami i... ich matkami?

Panna Howard podniosła się z kanapy.

— Tylko ja — rzekła — odpowiadam za własną nieostrożność, a przekonani moich zapierać się nie myślę...

— Nawet gdybym ja skutkiem tego straciła pensjonarki, które ich matka chce umieścić na pensji tańszej i bardziej postępowej?... — mówiła wolno i dobitnie pani Latter.

— Nawet gdybym ja sama miała stracić zajęcie u pani — odpowiedziała równie dobitnie panna Howard. — Należę do osób, które ani idei, ani obowiązków społecznych nie poświęcą widokom osobistym.

— Więc czego pani chce ostatecznie?

— Chcę zrobić kobietę samodzielną, chcę ją wychować do walki z życiem, chcę narzucić... uwolnić ją z zależności od mężczyzn, którymi pogardzam!... — mówiła nauczycielka, a jej blade oczy plonęły chłodnym blaskiem. — Jeżeli zaś pani sądzi, że jestem u niej zbyt cenną, mogę usunąć się od Nowego Roku. Pani szkodzi czy tylko gniewają moje poglądy, a mnie męczy borykanie się z rutyną, rachowanie się z każdym słowem, walka z samą sobą...

Ukloniła się ceremonialnie i wyszła, stawiając dłuższe kroki niż zwykle.

„Histeryczka!” — szepnęła do siebie pani Latter, znowu ściskając rękoma czoło.

„Chce tu zaprowadzać buchalterię, rzemiosła, wówczas kiedy rodzice pragną, ażeby córki malowały pastelami i jak najprędzej wychodziły za mąż!... I ja dla tego rodzaju prób miałabym poświęcić moje dzieci?...” — myślała pani Latter.

Z dalszych pokojów przez otwarte drzwi doleciała ją rozmowa:

— Otóż założę się z panią — mówił dźwięczny głos męski — że najpóźniej od dziś za miesiąc sama pani będzie żądała, ażebym ją całował w rękę... Jesteś świadkiem, Hela... Wszystko zależy od wprawy.

— Ale o co się zakładacie? — wtrącił głos żeński.

— Ja nie zakładam się — odparł drugi głos żeński. — Nie dlatego, ażebym bała się przegranej, ale nie chcę wygrać...

— Tak odpowiadają kobiety naszej epoki! — odezwał się pierwszy głos ze śmiechem.

— Ach, dzieciństwo!... — odpowiedział mężczyzna. — To wcale nie nowa epoka, ale stare jak świat ceregiele kobiece...

Do gabinetu weszła prześliczna para: córka i syn pani Latter. Oboje blondyni, oboje mieli czarne oczy i ciemne brwi, oboje byli podobni do siebie. Tylko w niej skupiły się wszystkie wdzięki kobiece, a w nim siła i zdrowie.

Pani Latter z zachwytem patrzyła na nich.

— Cóż to za zakłady? — spytała, całując córkę.

— A to z Madzią — odpowiedziała panna Helena. — Kazio chce ją całować po rękach, a ona nie pozwala...

— Zwykła uwertura. Dobry wieczór mateczce! — rzekł syn, witając się.

— Tyle razy prosiłam cię, Kaziu...

— Wiem, wiem, mateczko, ale to z rozpaczą...

— Na tydzień przed pierwszym?...

— Właśnie dlatego, że jeszcze tydzień! — westchnął syn.

— Na serio już nie masz pieniędzy? — zapytała pani Latter.

— To są zbyt poważne sprawy, ażebym mógł żartować...

— Ach, Kaziu, Kaziu!... Ileż chcesz? — rzekła pani Latter odsuwając szufladę, w której leżały pieniądze.

— Mateczka wie, że ja żadnemu pojedynczemu kolorowi nie daję pierwszeństwa, ale lubię białą z różowym i niebieskim. To przez miłość dla Rzeczypospolitej Francuskiej.

— Proszę cię, nie żartuj. Będziesz miał dosyć pięć rubli?...

— Pięć rubli, matuchno?... Na tydzień?... — mówił syn, całując jej rękę i gładząc nią sobie twarz z pieszczotą. — Przecież mateczka przeznaczyła mi sto rubli miesięcznie, a więc na tydzień...

— Oj, Kaziu, Kaziu!... — szepnęła matka, licząc pieniądze.

— Proszę cię, Kaziu, postaraj się, ażeby prędzej zaprowadzono emancypację kobiet. Może wówczas twoja biedna siostra dostanie choć czwartą część tego, co ty... — odezwała się panna Helena.

Pani Latter spojrzała na nią z wymówką.

— Chyba tak nie myślisz — rzekła. — Czy ja robię między wami jaką różnicę? Czy ciebie mniej kocham aniżeli jego?...

— Mój Boże, alboż ja mówię coś podobnego? — odpowiedziała panienka naciągając na ramiona białą chusteczkę. — Swoją drogą panna Howard ma słusność, że my, dziewczęta, jesteśmy pokrzywdzone wobec chłopców. Kazio na przykład, nie skończywszy jednego uniwersytetu, jedzie za granicę na drugi i posiedzi tam ze cztery lata; a ja, ażeby pojechać za granicę, musiałabym dostać suchot. To samo było w dzieciństwie, to samo będzie po wyjściu za mąż, aż do śmierci...

Pani Latter wpatrywała się w nią palającymi oczyma.

— Więc i ciebie nawraca panna Howard i takie wyklada ci poglądy?...

— Co mateczka jej słucha — odezwał się pan Kazimierz chodząc po gabinecie z rękoma w kieszeniach. — Przecież nie panna Howard namawia ją, ażeby jechała za granicę, tylko ona sama chce tego. Panna Howard, przeciwnie, tłumaczy jej, że kobiety powinny pracować na utrzymanie jak mężczyźni.

— A jeżeli mężczyźni nie robią nic i jeszcze nie wystarcza im sto rubli na miesiąc?...

— Helenko!... — upomniała ją matka.

— Niechże mateczka do tego, co ona mówi, nie przywiązuje wagi! — odezwał się syn z uśmiechem. — Przecież ona pół godziny temu rozprawiała, że jak dąb musi dłużej rosnać aniżeli róża, tak mężczyzna musi kształcić się dłużej aniżeli kobieta...

— Mówiłam, bo ciągle mi to powtarzasz; ale myślę co innego.

— Przepraszam cię, ja nie porównywał kobiet do róż, tylko do kartofli.

— O, widzi mama, jakiej nabrał ogłady w swoich towarzystwach!... Szósta, muszę iść do Ady... No, bądź zdrow, mój dębie — mówiła panna Helena, biorąc w obie ręce głowę brata i całując go w czoło. — Tak długo uczysz się i tyle jeszcze masz przed sobą nauki, że zapewne jesteś ode mnie o wiele mądrzejszy. Może dlatego nie zawsze cię rozumiem... Do widzenia, mateczko — dodała — za godzinę przyjdziemy tu z Adą. Może nas mateczka zaprosi na herbatę...

Wyszła, śmiejąc się.

Pan Kazimierz chodził po gabinecie z rękami w kieszeni i zwiesiwszy głowę na piersi mówił:

— Po każdym takim odezwaniu się Heli czuję wyrzuty sumienia. Może ja naprawdę już nie powinienem się kształcić, tylko pracować na siebie? Może ja jestem dla mamy ciężarem?...

— Cóż ci znowu przychodzi do głowy, Kaziu? Przecie ja żyję tylko twoimi nadziejami, twoją przyszłością...

— A ja daję mamie słowo honoru, wołałbym nie mieć suchego kawałka chleba aniżeli być dla ciebie ciężarem! Przecież rozumiem, że dosyć wydaję i wydawać będę; ależ robię to dla zawiązania stosunków. A ile razy ogarnia mnie wstyd, że znajduję się w towarzystwie tej młodzieży utracjuszowskiej, zniszczonej, niemającej poczucia żadnej wielkiej idei!... Ale muszę!... Szczęśliwym będę dopiero wówczas, kiedy jako przedstawiciel mas rzucę im w oczy...

Zapakano i po chwili weszła ładna szatynka z wielkimi ruchliwymi oczyma. Zapłonila się jak niebo o wschodzie słońca i rzekła cichym głosem:

— Proszę pani, moi krewni znowu mnie męczą, ażeby ich odwiedziła...

Rumieniec jej spotęgował się.

— Przecież dzisiaj twój dyżur, Joasiu — odpowiedziała pani Latter.

— Wiem, proszę pani, i dlatego jestem zakłopotana... Ale obiecała mi zastąpić panna Howard.

Pan Kazimierz patrzył w okno.

— Długoż ci twoi krewni będą tu jeszcze? — zapytała chmurnie pani Latter.

— Jeszcze kilka dni, ale ja to wszystko odrobuję... Całą zimę nie ruszę się.

— Bodajby. Ha, idź, jeżeli tak chcesz, moje dziecko.

Kiedy pan Kazimierz odwrócił się, szatynki już nie było.

— Nie podobają mi się te ciągle spacery — rzekła jakby do siebie pani Latter.

— No, krewni, może jeszcze z prowincji... — wtrącił syn.

— Howard to nieszczęście dla całej pensji — mówiła, wzdychając pani Latter. — Ona musi się mieszać do wszystkiego, ona wam nawet przewraca w głowach...

— Mnie!... — roześmiał się pan Kazimierz. — Stara i brzydka, a przy tym mądra. Ach, te baby piszące, te reformatorki...

— Przecież i ty chcesz być reformatorem...

Pan Kazimierz pochwycił matkę w objęcia i okrywając ją pocałunkami, mówił pieszczotliwie stłumionym głosem:

— A, mameczko, to się nie godzi... Jeżeli mameczka widzi we mnie takiego reformatora, który sąsiaduje z panną Howard, to już wolę wstąpić na kolej żelazną. Za dziesięć lat dojdę do kilku tysięcy rubli pensji, potem ożenię się, utyję... Bo może ja naprawdę jestem dla matuchny ciężarem?...

— Tylko tego nie mów, proszę cię.

— Dobrze, już nigdy nie powiem. Teraz na dobranoc pocałuję mamę w oczko, a teraz w drugie... Nie będę dziś na twojej herbatce, matuchno, muszę iść. Tak mi tu u was spokojnie, a tam...

— Gdzież idziesz?

— Wpadnę do teatru, a później wstąpię na kolację... Ach, jak mnie to czasami męczy!...

Znowu ucałował jej oczy, twarz i ręce, wychodząc posłał jej z progu pocałunek i zniknął w poczekalni.

„Biedne dziewczęta — myślała pani Latter. — Jak one muszą szaleć za nim”.

Ode drzwi spojrzenie jej machinalnie padło na szufladę biurka, skąd niedawno dała synowi dwadzieścia pięć rubli. Wstrząsnęła się.

„Co?... Będę żałować tego, co jemu daję?... — myślała. — Więc ma wstąpić do służby na kolej?... Nigdy, póki ja żyję!”.

## 2. DUSZE I PIENIĄDZE

Godzina wieczornych posłuchań skończyła się. Z wieloletniego przyzwyczajenia pani Latter usiadła przed swym męskim biurkiem, skąd patrzył na nią zamyślony Sokrates, ogromny kałamarz i jeszcze ogromniejsze księgi. Dawnymi czasy w takiej chwili zabierała się do robienia rachunków, do czytania listów i do odpisywania na listy. Ale mniej więcej

od roku jej dawne zwyczaje uległy zmianie. Już nie przegląda rachunków, bo i co w nich zobaczy?... zapowiedź deficytu. Nie odczytuje listów, bo dzisiaj wcale ich nie było; nie ma też chęci pisać listów, bo rezultat wie z góry: niektórzy przyszlą pieniądze, a inni będą prosili o prolongatę. Więc po co pisać?

Czuła, że od pewnego czasu ma mniej władzy nad biegiem wypadków; ale za to wypadki mają więcej władzy nad nią. Oto i w tej chwili zamiast rachować, projektować, obmyślać sposoby, ona siedzi z rękoma opuszczonymi na poręczu fotelu i patrzy na widziadła, jakie przed nią rozsnuwa wyobraźnia. I znowu widzi tłustą jejmość, która chce uczyć swoje córki malarstwa i gry na cytrze, ale za to urywa pięćdziesiąt rubli od umówionej zapłaty. A potem widzi płowowłosą pannę Howard, która chcąc kobiety zrobić samodzielnymi pracuje nad zrujnowaniem jej, kobiety od kilkunastu lat samodzielnej!

Nareszcie przychodzi jej na pamięć spokojna twarz nauczyciela jeografii, który bez protestu pozwolił sobie urwać dwadzieścia cztery ruble na miesiąc.

„Safandula! — mówi pani Latter z gniewem. — Ciepłe kluski, nie mężczyzna...”

I owe ciepłe kluski przypominają jej, że nadchodzi termin rachunku z piekarzem i rzeźnikiem i że za lokal trzeba zapłacić dwa tysiące pięćset rubli za półrocze.

„No, dziś mogę o tym nie myśleć — powiada sobie i otrząsa się. — Helenka jest u Ady, a Kazio zapewne ubiera się do teatru...”

Lecz i dzisiejsza rozmowa z dziećmi nie nasuwa jej przyjemnych wspomnień. Jak to może być, ażeby Kazio do tej pory nie wyjechał za granicę? Nie dlatego, że jest jej synem i że jest piękny, ale najsurowszy sędzia musiałby przyznać, że jest to wyjątkowy młodzieniec, o którym za kilka lat mówić będą w całej Europie.

Co za ambicja, jaka dojrzałość, jak on się wstydzi swoich dzisiejszych przyjaciół, którzy nie mają wielkiej idei, i jakie to on sam musi mieć idee!... Czy podobna, Boże miłosierny, ażeby taki chłopiec nie mógł jechać za granicę jedynie dlatego, że matka nie ma gotowych tysiąca rubli?... Jak to może być, ażeby społeczeństwo nie posiadało instytucji dla dostarczania funduszków genialnym młodzieńcom na wyższą edukację? Zaraz poszłaby tam i zastrzegłszy tajemnicę powiedziałyby członkom zarządu:

„Moi panowie, wychowałam kilka pokoleń waszych siostr, żon i córek, lecz sama nie mam pieniędzy na dokończenie edukacji mego syna. Proszę więc o pomoc, nie w imię moich zasług i pracy, ale że Kazio jest to chłopak dzielny, szlachetny, genialny. O, gdybyście wy tak znali go jak ja, uwierzylibyście, że nawet choćby mi był obcym, jeszcze troszczyłabym się jego przyszłością. Bo tylko spojrzycie na niego, zastanówcie się nad każdym jego słowem, spojrzeniem, ruchem... Ale po co to wszystko: tylko przyciśnijcie go do serca jak ja, a przekonacie się, co za nadzwyczajna dusza mieszka w tym ukochanym...”

Pani Latter machinalnie załamuje ręce. Bo przecież nie ma instytucji, która pomogłaby genialnym młodzieńcom, a choćby stworzono taką, czyliż członkowie zarządu uwierzyliby, że to, co ona mówi o synu, jest świętą prawdą, owocem chłodnej obserwacji, nie zaś macierzyńskim uniesieniem? Czyliż ona nie zna ludzi, czy nie słyszała półsłówek rzuconych na rachunek Kazia?... Co się zresztą dziwić obcym, jeżeli rodzona siostra, i jeszcze dziewczyna tak wyjątkowa jak Helenka, niekiedy żartuje z głębokich odezwań się Kazia? A nawet ma pretensje, że wychowanie brata dużo kosztuje!...

„Czy ty nie rozumiesz — mówi w duchu do córki — jaka różnica istnieje między kobietą i mężczyzną? Wszak jesteście oboje podobni do siebie jak bliźnięta, a mimo to — porównaj siebie z nim: jego głos, wzrost, spojrzenie, każdy ruch... Jeżeli ty jesteś kwiatem stworzenia, on jest jego panem i władcą... A dalej — pomyśl: czym są siły kobiety wobec męskich? Ja, której podziwiają rozum i energię, ledwie mogłam was wychować i utrzymać siebie. Tymczasem mężczyzna utrzymuje siebie i żonę, wychowuje kilkoro dzieci i jeszcze prowadzi fabryki, rządzi państwami, robi wynalazki...”

W tej chwili przed wyobraźnią pani Latter przesuwają się cień mężczyzny, na którego widok rysy jej wyrażają nienawiść... Zrywa się z fotelu, zaczyna chodzić po gabinecie i przymusza się do myślenia o czym innym.

Więc myśli, że od pewnego czasu, może od roku, dokoła niej zachodzą zmiany. Ubyła pewna liczba uczennic i pensjonarek, zmniejszyły się dochody, należało zastąpić kilku droższych nauczycieli tańszymi... Jednocześnie coraz częściej słyszy frazesy o samodzielności kobiet, jakby skierowane przeciw niej samej.

Początkowo wyraz „samodzielność” wymawiała tylko panna Howard, potem nauczycielki i damy klasowe, a dziś — powtarzają go starsze uczennice i nawet ich matki.

„Co ma znaczyć ta ich samodzielność — myśli pani Latter. — Konna jazda i malarstwo?... to przecież rzeczy stare jak świat. Walka z życiem?... ależ, mój Boże, od ilu lat ja walczę z życiem... Więc niezależność od mężczyzny?... Ach, gdyby one wiedziały, od jakiego ja się uwolniłam!... To, co one mówią, ja robię albo zrobiłam od dawna i pomimo to ja ich nie rozumiem, a one uważają mnie za przeszkodę. To samo, co ja, robi tysiące kobiet w każdym pokoleniu; przecież nawet były takie, które chodziły na wojnę! Więc dlaczego te rzeczy dziś ogłaszają się jako wynalazek, w dodatku zrobiony przez pannę Howard, która dużo mówi, ale nie zrobiła nic pozytywnego? Jest dobrą nauczycielką, i tyle...”

— Czy nie przeszkadzam?... — odezwał się za nią słodki głos.

Pani Latter drgnęła.

— Ach, Madzia!... — rzekła — dobrze, żeś przyszła.

Panienka zwana Madzią, a przez uczennice panną Magdaleną, weszła do gabinetu w wesołym nastroju ducha. Widać to było w jej figlarnych oczach, śmiejącej się twarzy, w całej zresztą postaci, która wyglądała tak, jak gdyby z panną Madzią dopiero co tańczyły jej uczennice i jeszcze wycalowały ją na zakończenie.

Lecz spojrzawszy na panią Latter Madzia odczuła, że wesołość w tym miejscu nie jest właściwą. Zdawało się jej, że przełożona ma zmartwienie albo że się bardzo gniewa. Za co i na kogo?... Może na nią za to, że przed chwilą tańczyła z czwartoklasistkami, ona, dama klasowa!

— Chcę, Madziu, dać ci robotę. Wyręczysz mnie?... — rzekła pani Latter siadając przed biurkiem.

— Czy pani może się o to pytać? — odpowiedziała Madzia.

I zarumieniła się, przyszło jej bowiem na myśl, że taka odpowiedź może wydać się pani Latter zuchwałą.

Usiadła na brzegu kanapy i pochyliwszy głowę przypatrywała się spod oka przełożonej chcąc odgadnąć, co jej dolega. Czy ona gniewa się, czy jest zmartwiona? Z pewnością gniewa się (naturalnie na nią) za tańce na górze. Przecież tyle razy mówiono jej, że dama klasowa powinna zachować powagę właściwą swemu stanowisku. A kto wie, czy pani Latter nie gniewa się i za to, że ona całowała Zosię Piasecką i mogła zarazić całą pensję jakąś niezdecydowaną chorobą. A może o to, że wstawiała się za Zdanowską?...

— Widzisz to, Madziu — odezwała się nagle pani Latter wręczając jej paczkę papieru listowego i notatkę. — Tyle listów musisz napisać, rozumie się, jeżeli zechcesz.

— Tylko tyle?... Ja dopiero wtedy byłabym prawdziwie szczęśliwą, gdyby mi pani kazała pisać wszystkie listy — zawołała Madzia takim tonem jak żołnierz, który chce poświęcić życie za swego wodza.

— Oj, ty nieuleczalna entuzjastko!... Ale może i ty się kiedyś wyleczysz. Nawet prędzej, aniżeli myślę!... — rzekła zniżonym głosem pani Latter, a potem dodała: — Wyręczam się tobą w nudnej robocie, bo sądzę, że ci się to przyda. Czy ciągle projektujesz sobie założyć pensję?

— Ach, pani, choćby dwu... choćby jednoklasową... To moje najwyższe marzenie! — zawołała Madzia składając ręce.

Pani Latter uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, że zmieni się i to twoje najwyższe marzenie — mówiła. — Już pamiętam ich kilka. W szóstej klasie marzyłeś o klasztorze, w piątej myślałeś o śmierci i o tym, ażeby cię pochowano koniecznie w bładoniebieskiej trumience, a w trzeciej klasie, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, chciałeś koniecznie zostać chłopcem.

— Ach, pani... pani!... — wzdychała Madzia zasłaniając rękoma twarz zarumienioną powyżej czoła. — Ach, jaka ja jestem... ach, ze mnie nic nigdy nie będzie...

— Owszem, będzie, tylko pierwszej wyrzekniesz się niejednego projektu, a przede wszystkim tej pensji.

— To, proszę pani, będzie tylko wstępna klasa...

— Coraz lepiej! — uśmiechnęła się pani Latter. — Nim jednak założysz ową wstępną klasę, napisz listy do rodziców, wujów i ciotek naszych panienek. Pisz według tego szematu: u góry — Szanowny Panie lub Szanowna Pani, a niżej: Załączając stosownie

do życzenia pani (czy pana) kwit za pierwsze półrocze, mam honor przypomnieć, że do uzupełnienia rachunku należy nam się rubli... I liczbę wypiszesz wedle tej kartki.

— To oni aż tyle są winni?... — zawołała z przestrachem Madzia przeglądając notatkę.

— Winni mi dwa razy więcej — odpowiedziała pani Latter. — Tylko niektórzy zwrócą dopiero po Nowym Roku, a znajdują się i tacy, którzy nie zwrócą nigdy.

Zerwała się z fotelu i założywszy ręce na piersiach zaczęła chodzić po gabinecie.

— Oto masz pensję, o której marzysz — mówiła siląc się na spokój w głosie. — Oto są świetne dochody, za które panna Howard chce tu wprowadzać buchalterię, naukę rzemiosł, gimnastykę... Wariatka!... — syknęła pani Latter.

— A ja myślałam, że ona taka rozumna... — wtrąciła tonem zdziwienia panienska. — Ach, jak ona pięknie mówi!... Jak ona tłumaczy, że dzisiejsza kobieta jest ciężarem dla społeczeństwa i niewolnicą rodziny, że kobiety powinny pracować na równi z mężczyznami, że powinny mieć te same prawa i że całe wychowanie powinno być zmienione...

Drżąc z gniewu pani Latter zatrzymała się przed Madzią i poczęła mówić stłumionym głosem:

— Dowiedźże się ty przynajmniej, co warte gadaniny tej... szalonej!... Widzisz, ile tysięcy rubli winni mi są i domyślasz się, ile tysięcy rubli ja potrzebuję mieć do Nowego Roku, ażeby nakarmić dzieci i zapłacić nauczycielom... Jeżeli więc dziś zachodzę w głowę... Ach! co ja plotę!... — szepnęła trąc czoło. — Więc sama obrachuj: skąd w tych warunkach wziąć pieniędzy na wykłady nowych przedmiotów, skąd dzieci znalazłyby czas na naukę?... Głowa mnie boli!...

Przeszła się kilka razy, a potem wzięwszy za ręce przestraszoną nauczycielkę rzekła spokojniej:

— Jestem trochę chora i zirytowana, a tobie ufam moje dziecko, więc rozgadałam się. Wiem jednak, że...

— Pani... czy pani mogłaby przypuścić, że ja powtórzę?... — spytała Madzia. A potem spoglądając na panią Latter oczyma pełnymi łez i całując jej ręce dodała:

— Proszę pani, to... to ja zrzekam się mojej pensji...

Przełożona przycisnęła usta do jej rozgorączkowanej głowy.

— Dzieciaku, dzieciaku!... Jakąż różnicę może mi zrobić twoja biedna pensyjka, twoje piętnaście rubli miesięcznie? Ani myśl o niczym podobnym...

W oczach Madzi błysnęła wielka myśl. Łzy jej obeschły.

— Więc dobrze, proszę pani, ja będę brała pensję, ale pani mi zrobi jedną wielką łaskę...

I nagle uklękła przed panią Latter, która śmiejąc się podniosła ją.

— Cóż to za łaska?

— Ja mam po babci — szepnęła Madzia spuszczać oczy — ja mam... trzy tysiące rubli. Więc pani będzie taka dobra... taka kochana...

— I wezmę od ciebie te pieniądze, czy tak?... Ach, ty niepoprawna! Przypomnij sobie, ile już przeznaczeń miały twoje pieniądze? Masz założyć pensję...

— Już nie założę...

— Wybornie; szybko się decydujesz. Miałś pożyczyć pannie Howard tysiąc rubli... Chciałaś wziąć na swój koszt aż do ukończenia edukacji...

— Pani śmieje się ze mnie! — załkała Madzia.

— Nie, ja tylko rachuję. Bo przecie masz jeszcze jechać za granicę i znowu na swój koszt wziąć Helenkę...

— Ach, pani, pani... — szlochała Madzia.

— Całe szczęście, że ani tych pieniędzy nie masz w ręku, ani nie masz prawa rozporządzać nimi. Gdybyś była tak majątna jak Ada... ha!... — rzekła jakby do siebie pani Latter.

Twarz Madzi znowu ożywiła się i oczy jej błysnęły radością.

— No, ale dość tego, moje dziecko. Idź na górę przez mój pokój sypialny, umyj buziaka i zabierz się do listów. Tylko nie popisz jakich awantur, roztrzeпаńcze — zakończyła pani Latter.

Zawstydzona panienska zabrała papier i wyszła do sypialni, po drodze wylewając resztę łez. Było jej strasznie smutno i z tego powodu, że tak nagle dowiedziała się o pieniężnych



kłopotach swojej przełożonej, i z tej racji, że samą siebie posądzała o spełnienie tysięcznych niedorzeczności.

„Co ja naplotłam, co ja nagadałam głupstw! Nie, na całym świecie nie ma głupszego ode mnie stworzenia” — myślała szlochając.

Pani Latter patrzyła za nią. W jej wyobraźni mimowolnie zarysowały się jedna obok drugiej dwie fizjognomie: ruchliwa twarz Madzi, na której co chwilę płonęło inne uczucie, i — posągowo piękne oblicze jej córki, Heleny. Tamta współczuła wszystkiemu i wszystkim, ta była wiecznie spokojna.

„Bardzo dobre dziecko, ale Helenka ma więcej godności. Ona tak nie zapala się” — myślała pani Latter z dumą.

A tymczasem Madzia, zanim usiadła do pisania listów, odmówiła pacierz, ażeby jej Bóg pozwolił choćby ofiarą własnego życia dopomóc pani Latter. Potem przypomniawszy sobie wiele innych osób również mających kłopoty: chorą Zosię, okradzionego stróża; pewną uczennicę z piątej klasy, która kochała się bez nadziei w panu Kazimierzu Norskim i — znowu uczuła potrzebę ofiarowania się i dla tych nieszczęśliwych.

A ponieważ przyszło jej na myśl, że Pan Bóg nic zrobić nie zechce za modlitwę tak marnej jak ona istoty, więc pełna zwątpienia i rozpaczycy usiadła do pisania listów nucąc półgłosem:

Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa...

Zdawało się jej, że właśnie ta melodia najlepiej odpowiada jej nicestwu i niemożności poświęcenia się za cały świat w ogóle, a w szczególności za panią Latter, chorą Zosię, okradzionego stróża i nieszczęsną piątoklasistkę, która kochała bez nadziei.

### 3. ŚWITANIE MYŚLI

Od kilku dni panna Magdalena jest jakaś nieswoja. Oczy jej straciły blask, a zyskały głębię; śniada twarz pobladła, czarne włosy są prawie gładkie, co ich właściciele nadaje wyraz żalobny.

Młoda osoba od kilku dni źle sypia i źle jada. Jeżeli śmieje się, to tylko przez pomyłkę; jeżeli śpiewa, to przez zapomnienie, a jeżeli robi parę tanecznych turów z którą ze swoich uczennic, to całkiem automatycznie. Dusza panny Magdaleny nie bierze udziału w żadnym z tych objawów wesołości; panna Magdalena wie o tym, że jej dusza nie bierze dziś najmniejszego udziału w wesołości, i nie gniewałaby się, gdyby cały świat wiedział o tym interesującym nastroju jej duszy pełnej troski i poważnych tajemnic.

Ten okropny stan tak ciąży pannie Magdalenie, że mimo woli szuka jakiegoś towarzystwa i rozmowy.

I dlatego, sama nie wiedząc kiedy, młoda nauczycielka znajduje się na progu sali piątej klasy i sama nie wiedząc po co, wywołuje z niej pewną ładniutką piątoklasistkę, która nieszczęśliwie kocha się w panu Kazimierzu, a w tej chwili pracuje nad ćwiczeniem niemieckim. Kilka pańienek w brązowych sukienkach przybiegają do Magdaleny, całują jej twarz, włosy i szyję, ubolewają nad jej smutkiem i nad tym, że rosół przy obiedzie był taki niedobry, ale nade wszystko nad tym, że z powodu deszczu nie mogły wyjść na spacer. Panna Magdalena przytakuje im, ale robi to złamanym głosem. Więc pańienki cofają się w głąb sali, potem wzięwszy się pod rękę idą w róg sali, coś szepczą i wskazują na nauczycielkę z oznakami tak niewątpliwego współczucia, że Magdalenie robi się lżej na sercu. W jednej chwili ma ochotę wobec całej klasy odkryć swoją wielką tajemnicę, lecz w następnej chwili przypomina sobie, że owa tajemnica nie jest jej tajemnicą i — robi się jeszcze smutniejszą, jeszcze bardziej zamkniętą w sobie.

Tymczasem zbliża się do niej owa piątoklasistka, na której współczucie Magdalena rachowała najwięcej, ale ma taką minę, jakby tajemnica nauczycielki nic a nic jej nie obchodziła, ponieważ ona sama nosi troskę, której wszystkie damy klasowe nie potrafiłyby zaradzić. Mimo to panna Magdalena prowadzi ją do gościnnego saloniku, sadza obok siebie na kanapie i mówi z westchnieniem:

— Jakaś ty szczęśliwa, moja Zosiu!

Piątoklasistka zapomina o wypracowaniu niemieckim i wybucha płaczem.

— Więc pani wie wszystko?... — mówi tuląc się do jej ramienia.

— Szczęśliwa jesteś — powtarza panna Magdalena — boś jeszcze za młoda na to, ażeby zrozumieć, jakie są dziwne stany duszy...

Siedemnastoletnia uczennica ze zdumieniem spogląda na osiemnastoletnią nauczycielkę i odpowiada marszcząc brwi:

— Pani tak mówi, jak on powiedział, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w korytarzyku, w tym... wie pani. Ja myślałam, że spałam się ze wstydu, a on mruknął: „Jaki to śliczny smarkacz!...”. Słyszała pani coś podobnego?... Myślałam, że go rozedrę, i w tej chwili uczułam, że go już nigdy kochać nie przestanę...

Ciche łkania przerwały jej mowę.

— Powiadam ci, Zosiu, że są niepokoje gorsze aniżeli miłość...

— Ach, Boże, wiem, wiem... Ale zawsze pochodzą z miłości...

— Jesteś głuptasek, moja Zosiu! — przerywa jej z godnością panna Magdalena. — Póki kobieta kocha, jest szczęśliwa, chociaż... nie powinnam z tobą mówić o takich rzeczach... Niestety zaczyna się dopiero wtedy, kiedy kobieta zaczyna myśleć o sprawach poważnych, jak mężczyzna... Kiedy na przykład myśli o pieniądzach, cudzych interesach, o uratowaniu kogoś z ciężkiej sytuacji...

— O, jeżeli o mnie chodzi — wybucha Zosia z palającymi oczyma — mnie nikt nie uratuje! Od chwili kiedy Jadzia Zajdler widziała, jak całował pannę Joannę, życie moje zostało złamane. Więc on nie dla mnie zaglądał do sal, nie mnie szukał, gdy patrzył na nasze okna z podwórka, i dlatego nie podniósł róży, którą mu wyrzuciłam... Ale ja nie będę im przeszkadzać; umrę, rozumie się, że nie dla tej kokietki, tylko dla niego... Niech zostanie szczęśliwy, z kim chce, chociaż... mam przecucie... że mnie kiedyś pożałuje...

Mówiąc to Zosia zalewa się łzami, a panna Magdalena patrzy na nią zdumiona.

— Moja Zosiu, co ty wyplatasz? Kto całował Joasię?...

— A któż by, jeżeli nie pan Kazimierz?... Zbałamuciła go ta drapieznica, bo jej za zdrość...

Panna Magdalena uroczyście podnosi się z kanapki i mówi:

— Panna Joanna jest damą klasową i osobą przyzwoitą, która nigdy nie pozwoliłaby się całować panu Kazimierzowi.

— Czy pani jest tego pewna?... — pyta Zosia składając ręce.

— Jestem najpewniejsza, a teraz żałuję, że wybrałam cię na powiernicę...

— O, panno Magdaleno!... — błaga ją Zosia płacząc i śmiejąc się.

— Jesteś dziecko — przerywa jej surowo panna Magdalena — więc nie rozumiesz, że w życiu kobiety mogą być rzeczy ważniejsze aniżeli jakieś tam uniesienia sercowe. Przekonasz się, kiedy zaczniesz myśleć o cudzych interesach i znajdziesz się w konieczności ratowania kogoś...

— Ja już jestem uratowana... już nie umrę, panno Magdaleno... Teraz wszystko rozumiem! Jadzia musi się sama w nim kochać, więc rzuca oszczerstwa, ażeby mnie zniechęcić... O, ja domyśliłam się tego!...

Całuje pannę Magdalенę bez miary i liczby, ociera oczy i ucieka z sali gościnnej.

„Jaka ona głupiutka!... — myśli panna Magdalena o swojej młodej przyjaciółce. — Gdyby jej pani Latter powiedziała to, co mnie, i gdyby jej przyszło obmyślać sposoby dopomożenia przełożonej, zaraz by miłość wywietrzała... Swoją drogą Ada musi przełożonej pożyczyć pieniędzy; ale co tymczasem stanie się z moją głową!...”

Pannie Magdalenie jest coraz smutniej i ciężej. Już nie o to jej chodzi, ażeby podzielić się z kimś wielką tajemnicą, ale żeby dowiedzieć się: czy w każdym człowieku budzenie się świadomej myśli łączy się z takim niepokojem? Przecie już we wstępnej klasie, a nawet jeszcze w domu, kazano jej myśleć; przecież już siedem lat myślała według szkolnego programu będąc na pensji, a potem rok bez programu będąc damą klasową, i — jeszcze nigdy myślenie nie wydało jej się czymś tak nowym i oryginalnym!

Czuła, że po owej rozmowie z panią Latter w duszy jej wytrysło źródło psychicznych procesów, których dotychczas nie odgadywała, choć od pierwszej klasy nazywano ją dzieckiem myślącym.

„Pewnie musiała się zbudzić we mnie samodzielność, o której mówi panna Howard — rzekła do siebie Magdalena. — Nie — myślała dalej — ja nie powinnam unikać tej kobiety, bo ona jedna może mi wytłumaczyć stan mojej duszy...”

Pod wpływem tej uwagi skierowała się do drzwi pokoju panny Howard; usłyszawszy zaś rozmowę — zapukała.

W pokoju były trzy osoby. Przede wszystkim panna Howard, która siedząc na fotelu z założonymi na piersiach rękoma rozprawiała. Naprzeciw niej na wyplatany krześle kręcił się niedbale ubrany, ale za to bardzo nieuczestny student uniwersytetu, z wytartą czapką w ręku. Zaś na taburecie, oparta o poręcz fotelu panny Howard, jakby kryła się za nauczycielką, prześlizgnięta szóstoklasistka Mania Lewińska, odznaczająca się twarzą dziecka, a oczyma dojrzałej kobiety.

Magdalena spostrzegła, że Mania Lewińska patrzy na studenta z wyrazem spokojnego zachwyty, że panna Klara pożera go wzrokiem i że on spogląda na pannę Howard, lecz myśli o ukrytej za jej fotelem Mani.

— Prosimy! — zawołała panna Howard wyciągając rękę. — Pan Władysław Kotowski, panna Magdalena Brzeska.

Zaprezentowani uklonili się sobie, przy czym rozczochrany student miał minę niezadowoloną z nowego gościa. Gdy jednak Magdalena usiadła w ten sposób, że nie zasłoniła Mani Lewińskiej i nie mogła śledzić jego spojrzeń, uspokoił się.

— Szkoda, że pani nie przyszła przed kwadrans — rzekła panna Howard. — Właśnie czytałam mój artykuł, który pan zabiera do „Przeglądu”. Rozwijam pomysł, ażeby nieprawym dzieciom państwo dawało nazwiska, edukację i uposażenie; a im lepsze będą nazwiska i wyższa edukacja, tym więcej będą szanowane nieprawe dzieci, i co z tego wynika, kwestia zostanie rozwiązana. Bo dopóki kobiety nawet w tak naturalnych rzeczach muszą się oglądać na mężczyzn...

Magdalena myślała, że zapadnie się pod ziemię, lecz Mania jakby nie słysząc patrzyła dobrymi oczyma na studenta, który kręcił się, rumienił i miętosił czapkę.

— Sądziś pan — zwróciła się panna Howard do studenta — że w moich słowach kryje się niedorzeczność?...

— Ja, proszę pani, nic nie sędzę — odparł nieledwie przestraszony student.

— Ale tak pan myślisz... O, bo ja jak w otwartej księdze czytam w duszy pańskiej nawet tajemnice, które pragnąłbyś ukryć przed samym sobą...

Usłyszawszy to Mania oblała się rumieńcem, a niemniej zawstydzony pan Władysław zrobił ruch, jakby miał zamiar schować głowę pod krzesło.

— Zapominasz jednak — ciągnęła panna Howard — że ja nie mówię w ogóle o mężczyznach, ale o tym jednym, którego kobiecie narzuca dzisiejsze społeczeństwo, a który nazywa się mężem...

W ten sposób panna Howard mówiła jeszcze kilka minut pięknym kontraltem, ale — o czym?... Magdalena nie umiała powtórzyć. Zdawało jej się tylko, że różowa i płowłosa apostołka samodzielności kobiet mówi (wobec studenta!) rzeczy tak nieprzyzwoite, że dla niesłyszenia ich potrzeba myśleć o czym innym. A ponieważ własne myśli plątały się jej, więc zaczęła odmawiać w duchu: *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maria*. I rzeczywiście obie te modlitwy o tyle pochłonęły jej uwagę, że patrzyła na pannę Howard, słyszała jej głos dźwięczny, lecz nic nie rozumiała.

Ale student musiał rozumieć, gdyż wyciągał albo zginał nogi, podnosił brwi, zaczynał bujną czuprynę to prawą, to lewą ręką i w ogóle zachowywał się jak delikwent na torturach. Magdalenie przyszło na myśl, że młody człowiek nie doznawałby tych udręczeń, gdyby tak samo jak ona odmawiał przynajmniej *Zdrowaś Maria*. Lecz ponieważ jest zapewne bezbożnikiem, jak wszyscy studenci, i nie wierzy w skuteczność modlitwy, więc biedak nie może nie słyszeć okropnego wykładu panny Klary.

Nareszcie panna Howard skończywszy mowę poszła do biurka i zaczęła rozwiązywać, odwijając, a potem znowu zawijając i zawiązywać jakąś rurkę papieru, na którym znajdował się jej interesujący artykuł o tych... tam dzieciach... Przez ten czas Mania zbliżyła się do studenta i zaczęła półgłosem rozmawiać:

— Do widzenia! — mówiła dziewczynka. — A we wtorek pan przyjdzie?

— Wątpi pani o tym?

— I odniesie pan Krasieńskiego?

— Z objaśnieniami.

— Zapracuje się pan... Do widzenia...

— Do widzenia...

Student ledwie dotknął jej ręki, ale jak oni patrzyli na siebie!... Z taką braterską czułością, a przy tym tak smutnie, jakby żegnali się na wieki, choć rozstawali się tylko do wtorku. Magdalena miała ochotę ucałować ich oboje, śmiać się z nimi, płakać, słowem — robić wszystko, czego by od niej zażądali, tacy wydawali się jej piękni i nieszczęśliwi z tego powodu, że zobaczą się dopiero we wtorek.

W tej chwili panna Howard oddała zwitek papieru studentowi, który pożegnał ją dość niedbale i szybko wybiegł, zapewne sądząc, że może jeszcze raz spojrzeć na Manię, która wyszła przed nim.

Panna Howard była promieniejąca. Znowu rzuciła się na fotel i patrząc w sufit, jakby tam snuły się jej marzenia, rzekła do Magdaleny:

— Przyszła pani na pogawędkę? Prawda, jaki to interesujący młody człowiek?... Lubię śledzić, kiedy w świeżej duszy kielkuje i rozwija się jakaś wzniosła idea albo uczucie...

— O, tak! — potwierdziła Magdalena myśląc o studencie i Mani.

— Więc pani także dostrzegła?

— Naturalnie, to przecież jest widoczne...

Panna Howard zrobiła minkę skromnie zakłopotaną.

— Nie pojmuję doprawdy — mówiła zniżonym głosem — co mu się we mnie mogło podobać...

Magdalena drgnęła ze zdziwienia.

— Zapewne wspólność dążeń... poglądów... — ciągnęła coraz bardziej rozmarzając się panna Howard. — Tak, jest jakieś powinowactwo dusz... Ale nie mówmy o tym, droga panno Magdaleno, mówmy raczej o pani... Co za entuzjasta!... Jak on słucha moich artykułów... Ja dopiero mając takiego słuchacza zrozumiałam, że można — pięknie słuchać... Ale dość już o tym, panno Magdaleno, mówmy o pani. Czy może i pani ma jaką troskę?... Oryginalny młody człowiek!... Więc cóż panią do mnie sprowadziło? Zapewne także budzi się duszyczka... Prawda, że zgadłam? O, bo my, kobiety, jesteśmy szczególnymi istotami: gardzimy zwierzęcym tłumem mężczyzn, lecz jeżeli znajdzie się człowiek wyjątkowy... Pani ma coś na sercu, panno Magdaleno, mówmy o tym, co pani mi chce powiedzieć...

Magdalena była tak zmieszana słysząc poetyckie szczebiotanie panny Howard, jak gdyby przerzucono ją do nieznannej okolicy. Więc to ona, ta sztywna, gniewna, a niekiedy złośliwa panna Howard, ta, której obawia się pani Latter, ta, która wypowiadała nieprzyzwoite rzeczy wobec młodego studenta?... Ona mówi o powinowactwie dusz i o sercowych troskach?...

Magdalena nie mogła pohamować się; wybuch przygotowujący się od kilku dni nastąpił. Upadła na kolana przed panną Howard, objęła ją za szyję i ucałowawszy kilka razy, rzekła drżącym głosem:

— Ach, pani, jaka pani dobra!... Ja myślałam, że pani jest tylko bardzo mądra, ale że nie ma serca. Ale co ja wyrabiam!... — dodała zrywając się z kłęczek i siadając na taburecie obok fotelu.

— Entuzjastka... entuzjastka! — mówiła panna Howard pobłażliwie. — I któż jest ten, któremu powierzyłaś swoje serce?

— Pani myśli, że ja jestem zakochana?... Nie!...

Po różowym obliczu panny Howard przesunął się cień niezadowolenia.

— Ja tylko chciałam — mówiła Madzia — porozmawiać z panią, bo pani jest taka rozumna, taka energiczna, a mnie bardzo potrzeba otuchy...

— Więc ma pani jakiś poważny zamiar? — zapytała panna Howard tonem mistrza, który zajmuje się udzielaniem wskazówek we wszystkich poważnych zamiarach.

— O, bardzo poważny! — mówiła gorączkowo Magdalena — tylko jest to tajemnica, którą muszę zabrać z sobą do grobu... Zresztą — dodała, głęboko odetchnąwszy — pani jest tak rozumna, a dziś przekonałam się, że i szlachetna, dobra, kochana...

— To jeszcze niepewne, figlarko! — wtrąciła z uśmiechem panna Howard.

— O, bardzo kochana; przynajmniej ja ubóstwiam panią... Więc przed panią powiem wielką tajemnicę... Ja — wyszeptła — Magdalena — muszę, chociażbym miała umrzeć, muszę wystarać się o pieniądze dla...

— Dla kogo? — zapytała zdumiona panna Howard.

— Dla pa-ni Lat-ter... — szepnęła jeszcze ciszej Magdalena.

Panna Howard wysoko podniosła ramiona.

— Ona panią o to prosiła?

— Niech Bóg broni!... Ona nawet nie domyśla się...

— Więc ona potrzebuje pieniędzy, ta wielka dama? — mówiła panna Howard.

Zapukano do drzwi.

— Wejść!

Wszedł służący i zawiadomił Magdalенę, że prosi ją panna Ada.

— Zaraz idę — odpowiedziała Magdalena. — Widocznie Bóg ją natchnął w tej chwili.

Ale droga, najdroższa panno Klaro, ani słówka o tym nikomu. Umarłabym, odebrałabym sobie życie, gdyby się kto dowiedział!...

I wybiegła z pokoju zostawiając pannę Howard pogrążoną w oceanie zdziwienia.

„Więc Latterowa nie ma pieniędzy, a ja chcę z nią traktować o reformie wychowania!...” — myślała panna Howard.

#### 4. BRZYDKA PANNA

Panna Magdalena wstępuje na chwilę do sypialni, w której mieszka. Po drodze ścisła pewną liczbę pensjonarek, wita parę dam klasowych, które na jej widok uśmiechają się, i — mówi „dobry wieczór” pokojówce ubranej w biały fartuch. A tymczasem rozmyśla:

„Panna Howard, oto kobieta, a ja dopiero dziś poznałam się na niej! Kto by przypuścił, że to takie dobre, czule stworzenie?... Ale pan Władysław jest niegodziwiec: bo że kocha pannę Howard, nic dziwnego (choć ja wolałabym Maniusię), ale dlaczego on bałamuci Manię? Ach, ci mężczyźni! Zdaje się, że panna Howard ma zupełną słuszność pogardzając nimi...”

W korytarzu wysokie drzwi na prawo i na lewo prowadzą do sypialni. Panna Magdalena wchodzi do jednej z nich. Jest to spory, niebieski salonik, w którym pod jedną i drugą ścianą stoją po trzy łóżeczka nogami zwrócone na środek sali. Łóżka żelazne, każde przykryte białą kapą, na każdym jedna poduszka, przy każdym mała szafeczka w głowach i drewniane krzeselko w nogach. Podłoga jest pociągnięta olejną farbą, a na ścianach nad każdym łóżeczkiem wisi albo Pan Jezus na krzyżu, albo Matka Boska, niekiedy oboje razem: wyżej Matka Boska, niżej Pan Jezus. Tylko nad łóżkiem Judyty Rozenkweyg, która jest Żydówką, znajduje się zwyczajny święty Józef z lilią w ręku.

Jeden róg sali, oddzielony od reszty szafirowym parawanikiem, stanowi własny gabinet panny Magdaleny. W tej części sypialni wszystko zdaje się być obrachowane na to, ażeby pensjonarki należycie oceniały przepaść, jaka oddziela je — od damy klasowej. Już sam parawan niewątpliwie obudza w nich podziw i szacunek, a uczucia te zapewne potęgują się na widok szafirowej kapy i dwu poduszek na łóżku tudzież wypłatanego krzesła i stoliczka, na którym znajduje się brązowy lichtarz ze szklaną profitką i kawałkiem świecy stearynowej.

Na nieszczęście Magdalena, którą starsze koleżanki uważały za osobę roztrzepaną, dobrowolnie podkopywała urok swego stanowiska pozwalając pensjonarkom korzystać z lichtarza z profitką, wbiegać za parawan, a nawet nie broniąc im w ciągu dnia kłaść się na jej łóżku. Ponieważ jednak wszyscy kochali Magdalенę, więc inne damy klasowe podobne dowody braku taktu liczyły na karb jej niedoświadczenia. Zaś pani Latter od czasu do czasu spoglądała na nią w sposób, który zapewne oznaczał, że ona wie i o lichtarzu z profitką, i o wysypianiu się pensjonarek za parawanem Magdaleny.

Przyczesawszy włosy nieco potargane w objęciach panny Howard i zabrawszy ze stolika jakąś książkę, Magdalena ostatecznie wybrała się do czekającej na nią Ady. Przez korytarze i schody szła z wolna, chwilami zatrzymywała się i kiwając głową albo przykładając palec do ust rozmyślała:

„Naprzód powiem jej, ile pani Latter wydaje na lokal i utrzymanie pensji, a ile na nauczycieli... Nie. Naprzód powiem, że są rodzice, którzy ociągają się z zapłatą do wakacyj, a po wakacjach także nie płacą!... Ach, nie!... Powiem jej po prostu: moja Ado, gdybym ja miała twój majątek, to zaraz pożyczyłabym pani Latter z pięćdziesiąt tysięcy rubli... Nie, nie, wszystko źle... O, jakaż ja jestem!... Tyle dni myślę i nie mogę wymyślić nic rozsądnego...”

Panna Ada Solska jest bardzo majątną sierotą. Wprawdzie kocha nad życie swego brata, Stefana, wprawdzie ma bliższą i dalszą rodzinę, która znowu ją kocha nad życie, wprawdzie od półtora roku skończyła pensję i mogłaby wejść w świat, który jak mówiono, czeka na nią z utęsknieniem, lecz — mimo to wszystko — panna Ada mieszka u pani Latter. Płaci tysiąc rubli rocznie za lokal, opiekę i życie i mieszka w domu pani Latter, bo naprawdę (jak sama utrzymuje) nie ma gdzie mieszkać. Rodzini, która ją kocha nad życie, ona nie lubi, a ubóstwiający przez nią Stefan, trzydziestoletni mężczyzna, ma taką manię, że wciąż odwiedza zagraniczne uniwersytety, choć zapewniał, że byle Ada skończyła pensję, już nie rozdzieli się oboje. I albo on z nią osiadł w jednym z rodzicielskich majątków, albo ona z nim będzie objeżdżała Europę wyszukując uniwersytety dotychczas nieodkryte przez nikogo.

Gdy zaś Ada odważała się kiedy wątpić o spełnieniu tych projektów, brat odpowiadał krótko:

— Moja Adziu, musimy, choćbyśmy nawet nie chcieli, pilnować się wzajemnie do końca życia. Ty jesteś tak bogata, że każdy zechce cię oszukać, a ja jestem tak brzydki, że mnie nikt nie odbierze tobie.

— Ależ, Stefanie — oburzała się siostra — skąd ci się przysniła twoja brzydota?... To ja jestem szkaradna, nie ty...

— Ale, Adziu, mówię ci, że bredzisz! — irytował się brat. — Ty jesteś bardzo miłą, kompletnie przyjemną panią, tylko trochę nieśmiałą, a ja!... Gdybym był mniej brzydki, strzeliłbym sobie w łeb ze wstrętu do samego siebie; lecz z tymi wdziękami, jakimi niebo mnie obdarzyło — muszę żyć. W ten sposób służę ludziom, bo którykolwiek spojrzy na mnie, mówi: jakim ja szczęśliwy, że nie jestem podobny do tego magota!

Ada na pierwszym piętrze zajmuje dwa pokoje. W jednym jest żelazne pensjonarskie łóżeczko okryte białą kapą, przy nim szafka, i tylko garnitur mebli obitych szarą jutą wskazuje, że tu nie mieszka pensjonarka. Drugi pokój z dwoma oknami jest bardzo oryginalny: wygląda bowiem na pracownię naukową. Jest w nim duży stół obity ceratą, kilka stojących półek napełnionych książkami i atlasami, czarna tablica na stalugach z kredą i gąbką, które widocznie są w ciągłym użyciu, a nareszcie wielka szafa pełna przyrządów fizycznych i chemicznych. Są tam dokładne wagi, kosztowny mikroskop, zwierciadło wklęsłe, kilkucalowa soczewka, machina elektryczna i cewka Rumkorfa. Nie brak też retort, słoików i flaszek z odczynnikami, jest globus astronomiczny, szkielet jakiegoś ptaka tudzież niezbędny krokodyl, na szczęście bardzo młody i już wypchany.

Wszystkie te przedmioty budzące podziw w uczennicach młodszych, a kłopot w starszych, którym nie zawsze udawało się określić różnicę między mikroskopem i elektroskopem, wszystkie te przedmioty były osobistą własnością panny Solskiej. Ona nie tylko je kupowała i utrzymywała w porządku, ale nawet umiała się z nimi obchodzić. Były to jej balowe suknie, jak mawiała uśmiechając się łagodnie i smutnie.

Gust do nauk przyrodniczych obudził w niej stary nauczyciel jej brata. Upodobanie to podtrzymywał brat, sam zapalony wielbiciel nauk dokładnych, a resztę — zrobiły zdolności panny Ady i jej niechęć do życia salonowego. Nic jej nie ciągnęło do liczniejszych towarzystw, od których odstraszała ją wiara we własną brzydotę. Więc kryła się w swojej pracowni, dużo czytała i ciągle brała lekcje od najlepszych profesorów.

Zamożni członkowie jej rodziny uważali Adę za egoistkę, a bogaci za osobę chorą. Nie tylko bowiem oni, ale nawet żaden z ich gości, znajomych i przyjaciół nie mógł zrozumieć tego, że dziesięcioletnia bogata panna przekłada naukę nad salony i nie myśli o zamążpójściu.

Dopiero wówczas zaczęto pojmować dziwactwa bogatej dziedziczki, gdy w salonach rozeszła się wieść, że w Warszawie, obok demokracji i pozytywizmu, wybuchła nowa epidemia zwana — emancypacją kobiet. Zaczęto rozróżniać dwa gatunki emancypantek, z których jeden palił cygara, ubierał się po męsku i wyjeżdżał za granicę uczyć się z mężczyznami medycyny; drugi zaś gatunek, mniej zuchwały czy też więcej moralny, ograniczał się na kupowaniu bardzo dużych książek i unikał salonów.

Adę zaliczano do drugiego gatunku, dzięki czemu w pewnych sferach powstało oburzenie na panią Latter. Ponieważ jednak panią z tej sfery uczyły się na pensjach chyba wyjątkowo, więc gniew dystyngowanych osób zredukował się do tego, że jedna z ciotek Ady, która ją czasem odwiedzała, zaczęła obojętniej witać się z panią Latter. Na co pa-

Kobieta, Obyczaje

ni Latter odpowiadała jeszcze większą obojętnością, słusznie czy niesłusznie dopatrując źródeł niechęci nie tyle w nauce Ady, ile w jej majątku. Zdawało jej się, że gdyby Ada była ubogą panienką, jej bliższe i dalsze ciotki nie trwożyłyby się ani tym, że siostrzenica kupuje duże książki, ani tym, że w Warszawie zaczęła grasować emancypacja.

Pode drzwiami mieszkania Ady Magdalena jeszcze raz zatrzymała się, jeszcze raz położyła palec na ustach jak uczennica, która przypomina sobie lekcje, nareszcie przeżegnała się i — szeroko otworzywszy drzwi weszła z wielkim rozmachem.

— Jak się masz, Adziu! — zawołała siląc się na wesołość. — Cóż się stało tak nagłego?... Właśnie wybierałam się do ciebie, kiedy przyszedł Stanisław... Jak się masz, złotko... możeś ty chora?...

I ucałowawszy Adę zaczęła z uwagą przypatrywać się jej żółtawej cerze, skośnym oczom, bardzo wysokiemu czołu, bardzo szerokim ustom i bardzo małemu noskowi. Rzuciła okiem na jej niezbyt gęste włosy ciemnoblonde, ogarnęła jej drobną figurkę odzianą w czarną suknię i usadowioną na skórzanym fotelu, lecz — nigdzie nie odkryła oznak choroby. Natomiast spostrzegła, że Ada pilnie przypatruje się jej, i to ją zmieszało.

— To nie mnie, to tobie coś jest, Madziu! — odezwała się powolnym i łagodnym głosem panna Solska.

Magdalenę od głowy do nóg oblało gorąco. Już chciała rzucić się w objęcia Adzie i szepnąć: „Pożycz, Kochanko, pieniędzy pani Latter!”, ale zdjął ją strach, że może wszystko zepsuć, i głos w niej zamarł. Upadła na krzesło obok Ady i niby ostro patrzyła jej w oczy siląc się na uśmiech. Wreszcie rzekła:

— Jestem trochę zmęczona... ale to przejdzie, Adziu... Już przeszło.

Na żółtej twarzyczce Ady odmalował się niepokój; powieki zaczęły jej drżeć, a szerokie usta składać się jakby do płaczu.

— Bo może, Madziu — odezwała się jeszcze ciszej panna Solska — bo może... obraziłaś się na mnie za to, że posłała do ciebie Stanisława?... Ja przecie wiem, że sama powinnam pójść do ciebie, ale zdawało mi się, że tu, na dole, będzie ciszej...

Magdalena w jednej chwili odzyskała energię. Pochyliła się na fotel, schwyciła swoją przyjaciółkę w objęcia śmiejąc się tak szczerze, jak tylko ona jedna umiała na całej pensji.

— Ach, niepocziwa Ado! — zawołała — jak możesz mnie posądzać o coś podobnego?... Czy kiedy widziałas, ażebym ja obraziła się na kogokolwiek, a tym bardziej na ciebie, taką dobrą, taką kochaną, takiego... anioleczkę!...

— Bo widzisz, ja się boję obrażać... Ja już i tak robię ludziom przykrość moją osobą...

Dalszy ciąg wyznań przerwała jej Magdalena pocałunkami i — wzajemne obawy pańien zostały usunięte.

— Bo widzisz, ja ci to chciałam powiedzieć — zaczęła Ada kładąc swoje drobne rączki wzdłuż poręczy fotelu. — Wiesz, że Romanowicz lekcji nam dawać nie może, skoro opuścił pensję...

— Naturalnie.

— Jego miejsce zajął pan Dębicki...

— Ten, co wykłada jeografię w niższych klasach? Jaki on zabawny...

— Żebyś wiedziała, to wielki uczonec: fizyk i matematyk, a nade wszystko matematyk. Stefek dawno go zna i nieraz mówił mi o nim.

— A jeżeli tak... — wtrąciła Magdalena. — Ale on dziwnie wygląda. Panna Howard, mówię ci, nie może patrzeć na niego, odwraca głowę...

— Panna Howard! — odezwała się niechętnie Ada. — Od iluż ona osób odwraca głowę, choć i sama nie jest piękna. Zresztą Dębicki nie jest brzydki: jaką on ma twarz łagodną, a czy ty zauważyłaś jego spojrzenie?

— Prawda, że oczy ma ładne: niebieskie, duże...

— Jeszcze Stefek mówił mi, że Dębicki ma nadzwyczajne spojrzenie. Stefek bardzo pięknie to określił. Powiedział tak: „Kiedy Dębicki patrzy na człowieka, to się czuje, że on wszystko widzi i wszystko przebacza...”

— Prawda! co za cudowne określenie — zawołała Madzia. — I czy podobna, ażeby taki człowiek wykładał jeografię w niższych klasach?...

Na twarz panny Ady padł cień smutku.

— Jemu też Stefek przepowiadał — rzekła — że nie zrobi kariery, bo jest za skromny. A ludzie bardzo skromni...



Machnęła ręką.

— Masz rację! On właśnie dlatego dziwacznie wygląda, że jest nieśmiały... W drugiej klasie był tak zmieszany, że dziewczęta zaczęły chichotać, wyobraź sobie!...

— On tu był u mnie przed godziną z panią Latter i także wyglądał na zakłopotanego. Ale kiedy wyszła pani Latter i zaczęliśmy rozmawiać o Stefku i kiedy potem zaczął mi stawiać pytania, powiadam ci — inny człowiek. Inne spojrzenie, inne ruchy, inny głos... Był, powiadam ci, imponujący — mówiła Ada.

— To może on będzie wstydił się wyklądać nam trzem? — nagle zapytała Magdalena.

— Ale gdzież tam. Nawet zdziwił się, gdy ci powiem, że on nie tylko zauważył i ciebie, i Helę, ale i każdą ocenil...

— Ocenil mnie?...

— Tak. O tobie powiedział, że musisz być bardzo pojętna, tylko łatwo zapominasz...

— Czy podobna?

— Jak Stefka kocham, a o Heli — że mało dba o matematykę.

— Ależ to jest prorok!... — zawołała Madzia.

— Naturalnie, że prorok, bo z Helą już mam zmartwienie. Nie była dziś u mnie cały dzień, choć kilka razy przechodziła pode drzwiami i śpiewała — mówiła z żalem Ada.

— Czegoż ona chce?

— Albo ja wiem. Może obraziła się na mnie, a najpewniej... już mnie nie lubi... — szepnęła Ada.

— Ale, dajże spokój...

Usta Ady zaczęły drżeć i na twarz wystąpiły rumieńce.

— Ja rozumiem, że mnie nie można lubić — mówiła — wiem, że nie zasługuję na żadne względy, ale to przykro... Ja dlatego tylko, ażeby z nią być dłużej, nie wyjeżdżam za granicę, chociaż ciotka nalega na mnie od wakacyj i nawet Stefek wspominał... Ja przecież nic od niej nie żądam, chcę tylko czasami spojrzeć na nią. Wystarczy mi jej głos, choćby nawet mówiła nie do mnie. To tak mało, mój Boże, tak mało, a ona mi i tego odmawia... A ja myślałam, że ludzie piękni powinni mieć lepsze serca aniżeli inni...

Magdalena słuchała z błyszczącymi oczyma; postanowienie jej dojrzało.

— Wiesz! — zawołała klasnąwszy w ręce — ja ci to wytłomaczę.

— Ona gniewa się, że nam Romanowicz nie daje lekcji?...

— Ale gdzież tam!... Ona — mówiła Magdalena półgłosem, schyliwszy się do ucha Ady — ona musi okropnie się martwić.

— Czym?... Przecież dzisiaj śpiewała na korytarzu...

— To właśnie!... Bo im kto więcej jest zrozpaczony, tym bardziej stara się ukryć. O, ja wiem, bo sama najgłośniejsze śpiewam wtedy, kiedy się czego boję...

— Cóż jej jest?

— Widzisz, jest tak — szeptała Magdalena położywszy jej rękę na ramieniu. — Teraz ogromna drożyzna, rodzice naszych panienek nie płacą za pensję, ociągają się, i pani Latter może zabraknąć pieniędzy na wydatki...

— A ty skąd wiesz? — zapytała Ada.

— Pisałam listy do rodziców od pani Latter. Ale skąd ty wiesz?

— Ja?... od pani Latter — odpowiedziała Ada skubiąc cienkimi palcami suknię.

— Ona ci powiedziała?... Więc cóż?...

— No, nic... Już jest dobrze.

Magdalena odsunęła się od niej, a potem nagle schwyła ją za rękę.

— Ada, ty pożyczylaś pani Latter...

— Ach, Boże, więc i cóż z tego?... Ale, Madziu, zaklinam cię, nie mów o tym nikomu... Nikomu... Bo gdyby się Hela dowiedziała... Zresztą ja ci powiem wszystko...

— Jeżeli sekret, nie chcę słyszeć!... — broniła się Magdalena.

— Przed tobą nie mam sekretu. Widzisz, ja już dawno myślałam prosić Helę, ażeby... pojechała ze mną za granicę. Wiem, że pani Latter pozwoliłaby nam wyjechać z ciotką Gabrielą, ale strasznie się boję, że gdyby Hela dowiedziała się o tych... pieniądzech, to obrazi się i nie pojedzie... Ona zerwie ze mną.

— Zmiłuj się, co mówisz?... Ona cię jeszcze bardziej powinna kochać i będzie kochać...

— Mnie nikt nie kocha — szepnęła Ada.

— Ach, ty zabawna!... Ja pierwsza kocham cię tak, że za tobą skoczyłabym w ogień... Czy ty nie rozumiesz, że jesteś dobra jak anioł, mądra, zdolna, a nade wszystko... taka dobra, taka dobra... Przecież kto by nie kochał takiej jak ty, nie miałby rozumu ani serca... Najmilsza, złota, jedyna.

Wykrzyknikom towarzyszył deszcz pocałunków.

— Zawstydzasz mnie — odpowiedziała Ada uśmiechając się ze łzami w oczach. — To ty jesteś najlepsza... Dlatego zaprosiłam cię tutaj i chcę cię prosić, ażebyś ostrożnie zaczęła namawiać Helę do wyjazdu za granicę.

— Ja myślę, że jej nawet namawiać nie potrzeba.

— Ale widzisz — ze mną...

— Właśnie z tobą. Gdzież ona znajdzie lepsze towarzystwo i przyjaciółkę?

— Ona mnie nie lubi.

— Mylisz się, ona cię bardzo kocha, tylko ona jest trochę dziwna.

— Może lubiłaby mnie, gdybym była ubogą, a tak... jest zanadto dumna... Więc widzisz, Madziu, jak musimy z nią być ostrożne. Nic, nic... ani słówka o tych nieszczerliwych pieniądzech.

— Bądź spokojna — odpowiedziała Magdalena. — Zaraz do niej pójde i tyle nagadam o panu Dębickim, że sama przyjdzie podziękować ci za niego.

Gdy Madzia opuściła pokój Ady, już zapadał mrok spotęgowany chmurami, z których lał się deszcz pomieszany z topniejącym śniegiem. Na korytarzu zapalono lampy. Przy ich świetle Madzia zobaczyła zbiegającą ze schodów koleżankę, pannę Joannę, ubraną jak na bal. Miała szeleszczącą kremową suknię z wybornie dopasowanym stanikiem, otwartym z przodu jak drzwi uchylone, spoza których ostrożnie wyglądał gors podobny do listków białej róży.

— A ty gdzie, Joasiu? — zapytała Magdalena.

— Teraz do panny Żanety, a później na koncert ze znajomymi.

— Ślicznie wyglądasz, cóż to za suknia!...

Joanna uśmiechnęła się.

— Ach, Madziu — rzekła tonem łagodniejszym — zastępuje mnie panna Żaneta, ale ty jej pomożesz, prawda?

— Naturalnie.

— I jeszcze, Madziu, pożycz mi, kochanko, bransoletki.

— Owszem, weź ze stolika.

— A wachlarza nie dasz mi?

— Ależ weź wszystko. Wachlarz jest także w stoliku.

— Więc wezmę i twoją koronkę na głowę.

— Dobrze, jest pod stolikiem, w pudełku od kapelusza.

— Dziękuję ci, moja droga.

— Baw się dobrze. A nie widziałaś Helenki?

— Na górze nie ma jej, zapewne jest u siebie. Do widzenia.

Zniknęła na zakręcie korytarza i tylko słychać było szelest jej sukni.

„Jaka ta Zosia niemądra! — pomyślała Magdalena. — Gdzieżby Joasia pozwoliła...”.

W gabinecie Helenki było pusto. Już Magdalena miała cofnąć się, gdy na progu trzeciego pokoju ukazało się jasne widziadło dające jej znaki ręką. Była to Helena.

Madzia cicho przeszła po dywanach aż do sypialni pani Latter na pół oświetlonej przez różnokolorową lampkę.

— Patrz, jaki on zabawny! — szepnęła Helena ciągnąc Madzię do niedomkniętych drzwi gabinetu pani Latter.

Na kanapce przeznaczonej dla gości siedział pan siwy i otyły, z sinymi rumieńcami na policzkach — i rozmawiał z panią Latter.

— Opiekun Mani Lewińskiej... — szepnęła Hela.

— Bardzo jestem zadowolony, mości dobrodziejko — mówił pan — bo dziewczyna co kwartał wydaje mi się lepszą. A rozsądne to, gospodarne, i kawy, mościa dobrodziejko, naleje, i herbatę umie zaparzyć... Kiedy po wakacjach odjechała do Warszawy, kąta znaleźć nie mogłem... Tfy! nawet kawaleczek kobiety ożywił dom; cóż by to zaś było, gdyby

tak, mościa dobrodziejko, osiadła w nim gospodyni całą gębą, kobieta rozumna, dojrzała, pokażna...

— Dom pański bardzo zyska, gdy Mania skończy pensję, a szczególnie gdy wyjdzie za mąż. Bo nawet w tym wypadku zapewne nie puści jej pan od siebie — odpowiedziała pani Latter.

— A, mościa dobrodziejko, czym ja już taki niedołęga, że sam nie mogę ożenić się?... O dzieciach, przyznam się, nie projektuję, za późno, mościa dobrodziejko; ale żony — nie myślę się wyrzekać.

Pani Latter odchrząknęła.

— Tak, proszę pani. Majątek mam nie najgorszy, bez długu, i gotówczyna się znajduje; dom murowany, obszerny, nad rzeką... Ryby, grzyby, polowanie, kąpiele... co, mościa dobrodziejko, chcesz. Tylko, pod słowem honoru, bez kobiety wytrzymać nie mogę, a osobliwie jak przyjdzie zima...

— Może pan chce zobaczyć Manię? — przerwała pani Latter.

— Wszystko jedno, Mania mi nie ucieknie, a ja skorzystam z czasu, ażeby po trochu wyrobić sobie, mościa dobrodziejko, interes. Ani twoje grymasy, ani mędrkowania, ani zagadywania nie pomogą, bo prędzej czy później ja sprawę wyłuszcę bez ogródek, nóżki na stół, mościa dobrodziejko, a pani — musisz zaakceptować...

Helenka zasłaniając usta uciekła do swego pokoju, a za nią Magdalena z wyrazem nieukontentowania na twarzy.

— Jak można, Helu, podsłuchiwać i jeszcze mnie ciągnąć? Jestem pewna, że mamie zrobiłoby to przykrość.

— Ach, jakie to paradne! — śmiała się panna Helena. — Wyobrażam sobie minę Kazia, gdybym mu powiedziała, że będziemy mieli trzeciego tatkę...

— Helu...

— Naturalnie, że nie powiem, bo jeszcze więcej wydawałby pieniędzy... Murowany obszerny dom nad rzeką... Może to pałac? W każdym razie zapraszam cię, Madziu, na ryby, grzyby, kąpiele i polowania...

Magdalena rozchmurzyła się, przyszło jej bowiem na myśl, że położenie pani Latter nie jest złe, jeżeli może wyjść za majątnego człowieka.

— Nie byłaś dzisiaj u Ady — rzekła zmieniając przedmiot rozmowy.

Panna Helena usiadła na kanapie i bawiąc się koronką niebieskiego szlafrocza przestała śmiać się, a zaczęła ziewać.

— Nudzi mnie Ada swoimi obawami i zazdrością — rzekła. — Oddaliła Romanowicza, że się we mnie kochał, a umawia się z obrzydliwym Dębickim, który wygląda jak żaba.

— Lepiej na tym wyjdiesz, jeżeli zamiast kokietować profesora, będziesz słuchała lekcyj.

— A, także mnie znasz!... Wasza fizyka ani algebra nic mnie nie obchodzą, ale kokietować kogoś muszę, choćby Dębickiego. Zobacysz, jak będzie na mnie słodko spoglądał, co chyba do rozpaczy doprowadzi Adę.

— Czy ty możesz tak mówić o Adzie? — odparła Magdalena. — Ona, biedactwo, tak ciebie kocha...

— Piękne biedactwo, milionowa panna!...

— Ale ona nie wyjeżdża za granicę dlatego, ażeby dłużej być z tobą.

— Niech mnie zabierze, to będzie ze mną jeszcze dłużej.

Madzia klasnęła w ręce z radości.

— Ona o tym tylko marzy! — zawołała. — Jeżeli zechcesz, pojedzie, choćby jutro, każdej chwili...

— A tymczasem czeka, ażebym ja ją prosiła. Tego nie zrobię. Moje towarzystwo jest przynajmniej tyle warte, ile dochody panny Solskiej.

— Helu — mówiła Madzia ściskając ją za rękę — widzisz, jak ty nie rozumiesz Ady. Ona sama poprosiłaby ciebie, ale nie śmie, boi się, ażebyś się nie obraziła...

— Cha! cha! cha!... a czymże się tu obrażać? Przecie pieniędzy na podróż mama nie odmówi, chodzi tylko o okazję i przyzwoitą opiekę. A że opiekę da mi panna Solska i jakaś tam jej ciotka, więc ja zależę od nich — i dlatego — one powinny wystąpić z propozycją. Ach, wyjadę za granicę!...

— Jeżeli tak, to sprawa skończona — rzekła Magdalena. — Ada poprosi cię... Tylko, Helu, wstąp do niej na chwilę, ona tak tęskni za tobą.

Panna Helena oparła głowę o poręcz kanapki i przymknęła oczy.

— Jaka szkoda — mówiła — że ona tęskni za mną, a nie jest chłopcem. Gdyby równie bogaty chłopiec tęsknił za mną, wiedziałabym, co mu powiedzieć... O Madziu! gdybym ja istotnie mogła wyjechać za granicę, choć na pół roku! Bo tu zmarnuję życie, tu nie ma dla mnie ani towarzystwa, ani partii. Boże, być piękną i... nazywać się córką przełożonej pensji, a co gorsza, całe dni spędzać na pensji, ciągle brać jakieś niedorzeczne lekcje... Aaa!...

— Więc pójdziesz do Ady...

— Pójde, pójde... Zresztą ja wiem, że ona jest dobra dziewczyna i przywiązana do mnie; ale czasami nudzą mnie jej wylężnione spojrzenia i wieczne martwienie się tym, że — ja nie kocham tylko jej jednej... Śmieszni ludzie! Każdy wielbiciel chce, ażebym myślała wyłącznie o nim, i każda przyjaciółka to samo. Tymczasem ja jestem jedna, a ich tyle!...

Madzia obojętnie pożegnała Helenę i z wolna poszła na górę. Było jej dziwnie. Znała Helenę, przysłuchiwała się jej poglądom od kilku lat, ale dopiero w tej chwili uderzyły ją one w sposób nieprzyjemny. Czuła rozdźwięk pomiędzy bezinteresownym przywiązaniem Ady a pretensjami Heli. I ogarnął ją wstyd na myśl, że podróż tej lekceważącej panny, spokój jej matki, a może byt pensji zależą dziś od nieładnej i pokornej Ady, która uważała, że ludzie przyjmując od niej usługi robią jej łaskę.

„Co się ze mną dzieje od kilku dni? — myślała Magdalena. — Czy świat się zmienił, czy może ja tak nagle zestarzałam się i zaczynam patrzeć jak ludzie starzy? A może to choroba umysłowa?... może malaria?...”

Na górze, w sali klasowej, otoczyły Magdalенę pensjonarki witając ją, wypytując o Adę albo donosząc, że panna Joanna poszła na koncert i że jest — prześlicznie ubrana. Potem niektóre rozsiadły się w ławkach, inne kolejno wychodziły na środek sali z książkami i kajetami prosząc o objaśnienia. Jedna nie mogła dać sobie rady z arytmetyką, druga z wypracowaniem francuskim, inna odrobiła wszystkie zadania, ale koniecznie chciała wydać jutrzejsze lekcje przed Madzią. Każda na środku sali pięknie dygała przed nauczycielką, kładła kajet na stole, potem zbliżywszy głowę do Madzi, rozmawiała z nią półgłosem, następnie mówiła: „aha! już wszystko rozumiem...”, następnie przekonywała się, że nic nie rozumie, ale w końcu wracała na miejsce zadowolona.

Siedząca w pierwszej ławce piękna brunetka z aksamitnymi oczyma, Malwinka, bawi koleżanki opowiadaniem, że ona już od godziny umie lekcje i że ona zawsze najprędzej uczy się lekcji, ponieważ jest najzdolniejsza. Poinformowawszy zaś wszystkie koleżanki o swoich zdolnościach zaczyna słuchać tego, co dzieje się przy katedrze; ile razy zaś zrozumie, o co chodzi, wybiega na środek, chwyta za rękę uczennicę rozmawiającą z Magdalенą i mówi:

— Moja Franiu, po co panią fatygujesz, kiedy wiesz, że ja ci to wszystko wytłumaczę?...

— Idź na miejsce, Malwinko — prosi ją nauczycielka.

Malwinka wraca na miejsce, lecz w kilka minut później zapomniawszy o przestrodze wybiega znowu mówiąc do innej koleżanki:

— Moja Stasiu, po co panią fatygujesz, kiedy wiesz, że ja ci to doskonale opowiem!

— Idź na miejsce, kochana Malwinko — prosi Magdalena.

— Bo, proszę pani, ja już od godziny umiem wszystko; ja zawsze ucę się najprędzej...

Ciągle wybieganie Malwinki stanowiło tak niezbędną część wieczornych zajęć, że gdyby jej nie było, Magdalenie i pensjonarkom brakłoby czegoś w klasie.

Nareszcie skończyły się korepetycje. Dziewczynki rozmawiały ze sobą w ławkach albo douczały się pamięciowych lekcji, a Malwinka znalazła parę koleżanek, które przed nią i przed którymi ona wydawała historię powszechną po kolei lub na wrywki. Magdalena wzięła się do roboty włóczkowego szalika na drutach, spoglądając od czasu do czasu po klasie.

Boże, Boże, jak jej doskonale jest na pensji, jacy tu wszyscy dobrzy i za co ją tak kochają? Bo przecież ona wie najlepiej, że nie zasługuje na ludzką miłość, jako istota zła,

brzydka i głupia. Po prostu ma trochę szczęścia, a jeżeli ma, więc któż zaręczy, że nie spełnią się jej najgorętsze marzenia i że od dziś za rok nie sprowadzi tu swojej dwunastoletniej siostrzyczki Zochny, która, biedactwo, musi się uczyć na prowincji, bo rodzicom coraz trudniej wydawać na edukację!...

Może istotnie Zochna od dziś za rok będzie siedziała za pulpitem naprzeciw niej, jak te oto. Naturalnie będzie miała brązowy mundurek i czarny fartuch i będzie taka ładna jak Mania, ta szatynka z rozpuszczonymi włosami, która podparłszy ręką brodę patrzy na krąg światła rzucający się od lampy na sufit. Tylko jej siostra będzie jeszcze tak pilna jak ta blondynka, Henrysia, która zatkała sobie uszy i powtarza lekcje, ażeby nie opuścić ani wyrazu, ani przecinka. Oprócz tego Zochnę tak będą kochały jej koleżanki, jak dziś kochają Stasię, którą obsiadły ze wszystkich stron. W żadnym zaś wypadku Zochna nie będzie taka chytra jak Frania, która ciągle wydobywa z kieszeni karmelki i zajadając je zasłania sobie ręką usta, ażeby tego inne nie spostrzegły.

Nagle bieg jej marzeń przerywa jedna z pensjonarek zapytując z ławki:

— Proszę pani, co to jest jajko Kolumba?

Dziewczynki zaczęły się śmiać, Frania o mało nie udławiła się karmelkiem, a Malwinka zawołała:

— Moja Kociu, po co ty panią fatygujesz, kiedy ja ci to wytłumaczę...

Ponieważ Magdalena zapomniała, co znaczy owe jajko, więc schyliwszy się nad robotą słucha objaśnień Malwinki i dowiaduje się, że Kolumb był to taki pan, który odkrył Amerykę, i że Malwinka ma w Ameryce bardzo bogatego stryjka, który niedawno wyjechał z Warszawy i już zrobił majątek.

Zadzwoniono na kolację i pensjonarki pod dowództwem dam klasowych przeszły do dwu sal, w których znajdowały się długie stoły obite ceratą, zastawione szeregami szklanek herbaty i bułeczek z szynką. Zaczęło się odsuwanie krzeseł, siadanie, żądanie cukru albo mleka, wymiana bułek między koleżankami. Damy klasowe uspakajają młodsze dziewczęta; służące w białych fartuchach krążą koło stołów z tacami bułek; w salach panuje gwar.

Nagle wszystko umilkło, krzeselka odsunęły się z łoskotem, uczennice i damy klasowe powstały i naprzód w jednej, potem w drugiej sali pochyliły się głowy jak pszenica na wietrze. Czarno ubrana, spokojna, z twarzą niby wyrzeźbioną w kamieniu, przesunęła się pani Latter, co kilka kroków lekko kłaniając się damom klasowym. Zdawała się nie patrzeć na nikogo; ale każda nauczycielka, pensjonarka czy służąca czuła na sobie jej wzrok ognisty. Już znikła, lecz w jadalniach jest tak cicho, że z korytarza doleciał jej głos, kiedy zapytała lokaja, dlaczego nie otwarto okien w piątej klasie.

„Boże! — myślała Magdalena — i to jej, takiej królowej, ja chciałam pożyczyć trzy tysiące rubli? Ja ośmieliłam się ją protegować u Ady, ja, nędzny pyłek?... Co będzie, jeżeli ona dowie się kiedy o mojej rozmowie z Adą? Naturalnie, że wypędzi mnie bez miłosierdzia... Nawet nie potrzebuje wypędzać, bo jeżeli spojrzy na mnie i zapyta: coś ty, niegodziwa, mówiła?... ja zaraz umrę...”

Po kolacji uczennice przeszły do sal rekreacyjnych i zaczęły bawić się: jedna partia w ślepią babkę, druga w kotka i myszkę. Któraś z pań usiadła do fortepianu i myśląc się co kilka taktów zagrała walca. Kilka dziewczynek przybiegło do Madzi prosząc, aby potańczyła z nimi za chłopca.

Ale Madzia wymówiła się od zabawy; poszła do jednej z pustych sal, którą przewietrzano, i stanąwszy w otwartym oknie, obryzgiwana kroplami padającego deszczu, myślała z rozpaczą:

„Ja już nigdy nie będę miała rozumu! Jak ja śmiałam powiedzieć Adzie, że pani Latter potrzebuje pieniędzy? Przecie jeżeli ona zażąda, cała Warszawa złoży jej choćby i sto tysięcy rubli... O, dlaczego pierwej nie umarłam!...”

Około jedenastej wieczór, kiedy wszystkie uczennice spały pod opieką świętych obrazków, a Magdalena za swoim parawanikiem czytała przy świecy, do sypialni weszła pani Latter. Rzuciła okiem na łóżeczka, jednej z dziewczynek poprawiła zsuniętą koldrę, wreszcie zajrzała za szafirowy parawan.

„Pewnie mnie wypędzi” — pomyślała Magdalena czując, że jej serce bić przestało.

— Joasi jeszcze nie ma? — zapytała pani Latter półgłosem.

— Nie wiem, proszę pani.

— Dobranoc, Madziu! — rzekła przełożona tonem łaskawym i opuściła sypialnię.

„Ach, jaka ona dobra, jaka ona szlachetna!” — unosiła się w duchu Madzia myśląc z trwogą, jakby jej było okropnie znaleźć się na dworze w jednej koszuli w taki deszcz. Co naturalnie musiałoby ją spotkać, gdyby pani Latter dowiedziała się o rozmowie z Adą.

„Jestem bezwstydna!” — szepnęła do siebie gasząc świecę.

Deszcz padał coraz większy, szeleścił na dachu, bębnił w okna, skwierczał w wylotach rynien, szumiał na asfalcie podwórza. Niekiedy rozlegał się turkot dorożki i chlapanie kopyt końskich w wodzie płynącej całą szerokością ulicy.

„Jak zimno musi być tym, którzy wracają do domu” — pomyślała Madzia.

Przebiegły ją dreszcze, więc mocniej owinęła się w kołdrę i zasnęła. Śniło jej się, że pani Latter wcale nie gniewa się na nią, że Zochna jest już na pensji pierwszą uczennicą i że co dzień nosi pąsową kokardę za wzorowe sprawowanie. Jest zaś tak wyjątkowo pilna i grzeczna, że dla odróżnienia jej od najpilniejszych i najgrzeczniejszych uczennic pani Latter każe jej nawet sypiać z pąsową kokardą.

Sen ów wydaje się Madzi tak niedorzecznym, że wybucha śmiechem i budzi się.

Budzi się i — siada na łóżku, ponieważ w korytarzu słychać pukanie do drzwi naprzeciwko. Jednocześnie w sali szepcze ktoś:

— Maniu, słyszysz?...

— Nie mów do mnie, bo ja okropnie boję się...

— Może to złodziej?...

— Co ty mówisz?... Trzeba zbudzić pannę Magdalenę...

— Ja nie śpię, dzieci — odzywa się panna Magdalena i drżącą ręką zapala światło.

A ponieważ pukanie słychać znowu, więc szybko wdziewa pantofelki, narzuca szlafroczek i idzie ze świecą do drzwi.

— Ach, niech pani nie chodzi na korytarz, tam muszą być zbójcy!... — mówi jedna z dziewczynek i chowa głowę pod poduszkę.

Inne nakrywają głowę kołdrami tak starannie, że niektórym widać gołe stopy, a nawet kolana. Jedna zaczyna drzeć — już drżą wszystkie, druga zaczyna szlochać — wszystkie szlochają.

Madzia zbiera całą energię i otwiera drzwi na korytarz; dziewczynki w płacz.

— Kto tu? — mówi Madzia podnosząc świecę w górę.

— Ja, czy nie widzisz?

Dziewczynki usłyszawszy rozmowę umilkły; lecz gdy Madzia mówi do nich:

— Uspokójcie się, dzieci, to Joasia... to panna Joanna... — zaczynają płakać i krzyczeć na cały głos.

Madzia osłupiałym wzrokiem patrzy na Joasię. Patrzy i nie wierzy własnym oczom widząc, że piękna kremowa suknia Joasi jest złana deszczem i zabłocona, że włosy Joasi są potargane, twarz płonie, a w oczach tlą się dziwne blaski.

— Czego mi się przypatrujesz? — z gniewem odzywa się panna Joanna. — Od godziny nie mogę dostać się tu... musiałam przejść przez pokój lokajów, a teraz pukam, bo ten smarkacz, Zosia, drzwi przede mną zamknęła!...

— Zosia?... — powtarza Magdalena nie wiedząc, czy ma stać na korytarzu, czy uspokajając swoje dziewczątka, które płaczą coraz głośniej.

Wtem od schodów pada blask, rośnie, pokazuje się płomień świecy i — jakaś osoba ciemno ubrana.

Madzia cofa się i zatraskując drzwi rzuca rozkrzyczanym dziewczętom dwa wyrazy:

— Pani Latter!...

W jednej chwili sypialnię zalega cisza... Obawa przełożonej tłumi strach przed zbójcami i zapobiega zbiorowym spazmom. W korytarzu słychać ostry głos:

— Co to znaczy, Joasiu?...

Przez chwilę ktoś szepcze, potem pani Latter odpowiada równie jak pierwszej ostro, lecz ciszej:

— Zrobiłaś awanturę...

Znowu szeptanie i znowu pani Latter odpowiada szeptem:

— Chodź do mnie.

W korytarzu słychać oddalające się kroki. Madzia wchodzi do łóżka, gasi świecę i sły-  
szy przez ścianę, że w sąsiedniej sypialni także rozmawiają.  
Zegar wybił drugą.

## 6. TAKA, KTÓREJ SIĘ NIE POWIODŁO

Madzia nie pamiętała wypadku, który by tak nią wstrząsnął jak owo spóźnienie Joasi.

Nie mogła zasnąć, choć w salach i na korytarzu było cicho. Zdawało jej się, że ktoś  
chodzi, to, że słychać woń spalenizny, to znowu, że w deszczu gęsto padającym dźwięczy  
jakaś melodia. Nade wszystko jednak spać przeszkadzał jej bieg własnych myśli.

Marzyła, że jutro na pensji zdarzy się coś okropnego. Najpewniej Joasia straci miejsce  
damy klasowej za to, że tak późno wróciła; a może i Zosię wydalą, że zamknęła drzwi na  
klucz.

„Biedna Joasia — wdychała Magdalena przewracając się na łóżku — jej już nic nie  
uratuje. Pamiętam, jeszcze w trzeciej klasie, pani Latter wymówiła miejsce pannie Zu-  
zannie za to, że bez opowiedzenia się wyszła przed południem. Albo — dwa lata temu  
— co się stało z panną Krystyną? Raz jeden nie nocowała w domu i — żegnam panią!...  
Nie wiem nawet, czy dostała miejsce na innej pensji?...

I co tej Zosi strzeliło do głowy?... Bała się? Ale na korytarz nikt nie mógłby wejść.  
A może ona przez zazdrość o pana Kazimierza?... Niegodziwa dziewczyna, naturalnie, że  
zrobiła to przez zazdrość...

A może pani Latter i mnie wydali za to, że wyszłam na korytarz?... Ha, powiem, że  
dziewczynki ogromnie bały się i chciałam je uspokoić”.

Tym razem myśl wydalenia z pensji przeraziła ją. Co ona powie rodzicom, jak pokaże  
się im straciwszy miejsce?... I co będzie robić w domu, wypędzona, okryta wstydem?...

Usiadła na łóżku i schwyliła się rękoma za głowę.

„Boże! Boże! — myślała — ja już tracę przytomność! Za cóż by mnie pani Latter  
wydalała i... co się ze mną dzieje, że mi takie dziwne rzeczy snują się po głowie?... Ja  
muszę być chora...”

Uspokoiwszy się, że jej nie mogą wydalić z pensji za to, że wyszła na korytarz, zaczęła  
z kolei trapić się obfitością własnych myśli.

Nie dawniej jak przed kilkoma tygodniami myślała tylko o swoich dziewczynkach  
i ich lekcjach, o tym, że porozmawia z Adą albo że wyjdzie na spacer z klasą. A dziś?  
Niepokoi się dochodami pani Latter, chce dla niej zaciągnąć pożyczkę, to znowu troszczy  
się losem Joasi.

„Oczywiście, mam początki pomieszania zmysłów!...” — szepnęła.

Wybiła trzecia, kwadrans na czwartą, wpół... Madzia postanawia spać. Lecz im moc-  
niej zamyka oczy, tym wyraźniej widzi przed sobą Joasię w zabłoconej sukni, a w głębi  
korytarza ciemną figurę pani Latter ze świecą w ręku. Potem kremowa suknia Joasi zro-  
biła się pomarańczową, a płomień świecy czerwonym; potem ciemna figura pani Latter  
zrobiła się zieloną, a płomień białym. Potem Joasia, pani Latter i jej świeca posunęły  
się w górę, jakby na sufit, zaczęły się rozpylić w nieokreślone plamy, znikły, znowu  
pokazały się, ale już w innych kolorach, i nareszcie...

Nareszcie w korytarzu rozległ się głos dzwonka przypominający, że pora wstawać.  
Pokojówki od dawna poodnosiły wyczyszczone buciki i suknie, kilka uczennic pobiegło  
do łazienki myć się, na korytarzu było słychać otwieranie i zamykanie drzwi, chodzenie  
i mówienie sobie „dzień dobry”.

Ubrawszy się Madzia wyszła na korytarz i zajrzała do sypialni naprzeciw. Panienek nie  
było, ale służąca, która otwierała okna, niepytana odezwała się:

— Panna Joanna spała dziś u pani przełożonej, a teraz poszła do lazaretu...

— Do lazaretu?... Cóż jej jest?...

Służąca uśmiechnęła się tak dziwnie, że Madzię oblał rumieniec. Wyszła z sali obrażo-  
na i postanowiła już nie dowiadywać się o Joasię. Uważała jednak, że dokoła niej wszyscy  
rozmawiają o Joasi. Stojąca obok piątej klasy panna Żaneta opowiadała uczennicom, że  
wczoraj Joasia musiała wrócić późno do domu, bo ta pani, z którą była na koncercie,  
zaszła i nie miał jej kto pilnować.



Lecz o kilka kroków dalej, pod pierwszą klasą, pani Méline opowiadała innej nauczycielce, że Joasia spóźniła się, ponieważ sama zasnęła po wczorajszym koncercie, który podobno był bardzo ładny. Zaś na schodach lokaj Stanisław, który niekiedy pełnił obowiązki szwajcara, gromił jedną z pokojówek:

— Co pannie do tego?... Co panna masz plotki roznosić!... Była w restauracji czy nie była, upiła się czy nie upiła, to nie nasza rzecz...

„Pewnie mówią o pomywacze” — pomyślała Madzia.

O dziewiątej zaczęły się lekcje i Madzia, a zapewne i wszystkie panienki zapomniały o Joasi. Ale o dwunastej, kiedy Magdalena zaniósła dziennik do pani Latter, stanąwszy w gabinecie przełożonej usłyszała w drugim pokoju głos pana Kazimierza, który mówił:

— Przeciwnie, pomyślą wszyscy, że traktujemy nauczycielki jak członków rodziny...

— Wolalabym jednak, ażebyś ty do tego nie należała — odpowiedziała mu pani Latter tonem surowym.

Madzia tak głośno położyła dziennik na biurku, że rozmawiający umilkli, a następnie weszli do gabinetu.

— No, niechże nas panna Magdalena osądzi — rzekł pan Kazimierz. Był zarumieniony, oczy mu błyszczały i nigdy jeszcze nie wydał się Madzi tak ładnym jak dziś. — Niech powie panna Magdalena... — dodał.

— Proszę cię, ani słowa!... — przerwała mu pani Latter. — Dobrze, moje dziecko, możesz wrócić na górę — rzekła do Magdaleny.

Madzia szybko opuściła gabinet, lecz spostrzegła, że pani Latter jest bardzo zmieniona. Oczy miała ogromne i ciemniejsze niż zwykle, twarz żółta; zdawało się, że od wczoraj schudła.

„Pani Latter jest bardzo piękna” — pomyślała Madzia idąc na schody. Ale przed wzrokiem jej duszy stał obraz nie pani Latter, tylko jej syna.

Zanim dziewczynki rozeszły się na obiad, już w całej szkole opowiadano o Joasi najdziwniejsze historie. Z jednej strony, słyszano od stróża, że pannę Joannę w nocy odprowadził do domu jakiś młody pan bardzo zasłonięty; z drugiej strony, ktoś z miasta utrzymywał, że pannę Joannę widziano po koncercie w restauracji, gdzie była w towarzystwie panów i pań w osobnym gabinecie i śpiewała przy fortepianie. Nareszcie lokaj, który jej drzwi otworzył, szepnął jednej z pokojówek, że od panny Joanny, kiedy weszła, czuć było wino.

Na pensji nikt nie wątpił, że Joasia straci miejsce, jeżeli go już nie straciła; znano bowiem surowość pani Latter. Toteż nauczycielki i pensjonarki, nie wyłączając Zosi, tej samej, która zamknęła drzwi sypialni, wszystkie żałowały Joanny.

Tylko panna Żaneta twierdziła, że to są plotki, i utrzymywała, że pani Latter nie oddali Joasi, ponieważ bardzo energicznie ujęła się za nią panna Howard.

Po obiedzie Magdalena z biciem serca poszła do lazaretu odwiedzić Joasię, której pomimo współczucia nikt nie odwiedzał. Znalazła ją w łóżku mizerną, a przy niej pannę Howard, która zobaczywszy Madzię zerwała się z krzesła.

— Tylko niech pani nie myśli — zawołała — że ja tu pielęgnuję chorą!... To zajęcie dla bab, ale nie dla kobiety czującej ludzką godność...

— Jaka pani dobra! — rzekła Joasia wyciągając do niej rękę.

— Ja nie jestem dobra!... — oburzyła się panna Howard podnosząc w górę płowe brwi i chude ramiona. — Ja tylko przyszłam złożyć hołd kobiecie zbuntowanej przeciw tyranii przesądów... Co to jest, ażeby kobieta nie miała prawa wracać o drugiej w nocy, jeżeli mężczyznom wolno wracać choćby o piątej nad ranem?... Gdybym była panią Latter, porzpedzałabym niegodziwych lokajów, którzy śmiało robią uwagi, i wydalilibym z pensji tego smarkacza, Zosię...

— Ja nie mam do nich żalu — przerwała Joasia.

— Ale ja mam! — zawołała panna Howard. — Jak również mam szacunek dla pani Latter, że nareszcie zerwała z przesądami...

— Cóż ona zrobiła?... — pyta Madzia.

— Nie wszystko, ale jak na nią, dość dużo, uznała bowiem, że panna Joanna jest istotą samodzielną i ma prawo przychodzić do domu wówczas, kiedy jej się podoba. Zresztą — dodała panna Howard — oświadczyłam jej dziś rano, że jeżeli Joasia straci miejsce, ja wyjdę z domu na całą noc...

— Ach, Boże, co pani mówi?... — przerwała jej Madzia ze śmiechem.

— Wypowiadam moje najświętsze przekonania. Tak jest, wyszłabym na całą noc i — niechby mnie jaki nikczemnik ośmielił się zaczepić!...

Twarz panny Howard stała się pąsową, a nawet włosy przybrały jeszcze bardziej niezdecydowany kolor, kiedy wypowiadała te poglądy.

Nareszcie chwilę odpocząwszy zwróciła się do Madzi i rzekła, mocno ściskając ją za rękę:

— No, zostawiam panią przy chorej i jestem zadowolona, że i pani ma odwagę wielkich przekonań. Za rok, dwa, najwyżej trzy, będzie nas miliony!...

„Nas?... — pomyślała Madzia rumieniąc się. — Cóż ona myśli, że i ja zostanę emancypantką?...”

Po wyjściu panny Howard, która dla zadokumentowania swoich najświętszych przekonań tak trzasnęła drzwiami, że cały pokój zadrżał, Madzia usiadła przy chorej. Dostrzegła w niej zmianę. Panna Joanna leżała z rękoma opuszczonymi, a na jej rzęsach było widać lzy.

— Co tobie, Joasiu? — szepnęła Magdalena.

— Ach, nic... nic!... Niczego nie żałuję... Choć gdybyś widziała moją podróż przez dziedziniec!... Nie miałam dziesiątki dla stróża i słyszałam, jak mruczał, że kto nie ma pieniędzy, nie powinien włóczyć się po nocach... Na dziedzińcu potknęłam się i cała suknia na nic... A jak spojrział na mnie ten fagas!... Ale wiesz co?... To robi mi przyjemność. Czasem zdaje mi się, że chciałabym ciągle upadać w błoto i być wytykana palcami, tak... Przypominają mi się dziecinne lata. Kiedy mnie ojciec bił, ja gryzłam sobie palce i robiło mi to taką samą przyjemność jak wczorajszy powrót...

— Ciebie bił ojciec?... Za co?...

— O, i jak!... Ale nic ze mnie nie wybił, nic, nic...

— Jesteś bardzo rozdrażniona, Joasiu... Gdzieś ty była wczoraj?

Panna Joanna usiadła na łóżku i grożąc zaciśniętymi pięściami zaczęła szeptać:

— Raz na zawsze proszę was, nie zadawajcie mi takich pytań. Gdzie byłam, z kim byłam? — to moja rzecz. Dość, że do nikogo nie mam pretensji, do nikogo, słyszysz?... Nie ten, to ów, wszystko jedno... Wszystkie drogi wiodą do Rzymu...

Upadła na łóżko i ukrywając twarz w poduszce szlochała. Madzia stojąc nad nią nie wiedziała, co począć. Duszę jej przebiegały najsprzeczniejsze uczucia: zdumienie, wstręt, a jednocześnie coś jakby zazdrość...

— Potrzeba ci czego? — zapytała niechętnie.

— Nic mi nie potrzeba, tylko idźcie sobie i nie nasyłajcie mi dozorczyń! — odpowiedziała Joasia nie podnosząc twarzy.

— Do widzenia.

Madzia wyszła powoli, myśląc:

„Po co ja mówię: do widzenia, kiedy nie chcę jej widzieć?... Zresztą, co mnie to obchodzi; ja przecie nie poszłabym z mężczyznami do restauracji, a za skarby całego świata nie chciałabym być w takim dziwnym stanie, więc jej nie zazdroszczę... A jednak dlaczego ona to zrobiła, czego żadna z nas nie robi?... Czy ona nie taka jak my wszystkie, czy lepsza od nas?...”

W korytarzu spotkała gospodynię pensji, pannę Martę, osobę kaszlącą i wysoką, w białym czepeczku, która była nadzwyczajnie silna i trzymała się pochyło.

— Ach, co się u nas dzieje, paniuńciu! — rzekła gospodyni składając żylaste ręce i schylając głowę niżej niż zwykle. — Jak jestem tu dziesięć lat, nie zdarzyło się nic podobnego... A biedna pani przełożona...

— Cóż pani przełożona?...

— Aaa!... Ona to dopiero chora; wygląda jak z krzyża zdjęta, jakby z trumny wstała... Bo to i niepięknie, i dla pensji niedobrze...

Obejrzała się, czy kogo nie ma w korytarzu, i dodała cicho, zbliżywszy usta do ucha Madzi:

— Oj, te dzieci, te dzieci!... Szczęśliwe my, paniuńciu, że nie mamy dzieci...

I prędko odeszła trzęsąc wielkimi rękoma.

„Dzieci?... Co ona mówi o dzieciach?... Przecież Joasia nie jest córką pani Latter. Panna Marta widocznie dostała bzika...”

Nagle przypomniał jej się pan Kazimierz zarumieniony, z rozrzuconymi włosami, kiedy w południe mówił do matki: „No, niechże nas panna Magdalena osądzi...”. „Jaki on był piękny w tej chwili i ciekawa rzecz, w jakiej sprawie odwoływał się do jej sądu? Czyby Joasia z nim?...”.

Magdalena zdrętwiała. Niepodobna, ażeby Joasia z panem Kazimierzem była dzisiejszej nocy w restauracji, nie! On nie zrobiłby tego... On — z Joasią!...

Nie mogła wierzyć, ale na samą myśl o tym poczuła, że nienawidzi Joasię...

## 7. KTÓREJ SIĘ POWODZI

W początkach grudnia, kiedy Joasia już wróciła do zdrowia i obowiązków damy klasowej, a na pensji ucichły plotki z powodu jej nocnego powrotu, w początkach grudnia zdarzył się wypadek, który Magdalenie nasunął myśl, że Helenka Norska nie ma dobrego serca.

Zdarzyło się to z panem Dębickim na lekcji matematyki w pokoju Ady, gdzie uczyło się ich trzy: Ada, Helenka i Madzia.

Przed wszystkim Madzia od pierwszej lekcji spostrzegła (co ją nawet oburzyło), że Helenka kokietuje pana Dębickiego. Nosi rękawy, z których doskonale widać jej prześliczne ręce, wysuwa nóżki, kiedy profesor wyklada coś przy tablicy, a czasami rzuca takie spojrzenia, że Madzi wstyd za nią. Tym bardziej wstyd, że pan Dębicki, który z początku mieszał się wobec Heleny, później nie tylko nic sobie nie robił z jej kokieterii, ale nawet uśmiechał się swoim dobrym i rozumnym półumieszkiem, w którym czuć było ironię.

„Dziwna ta Hela! — myślała Madzia. — Jak ona może robić podobne miny wobec człowieka przeszło pięćdziesięcioletniego, który nie jest piękny, nawet trochę łysy, a nade wszystko — nigdy się z nią nie ożeni? Najgorsze zaś, że pan Dębicki, który jest bardzo rozumny, widzi, co ona dokazuje, i drwi z niej”.

Helenkę, którą uwielbiali nawet sześćdziesięcioletni panowie zachowywanie się Dębickiego poczęło drażnić; kokietowała go więc w sposób coraz bardziej wyzywający, nie szczędząc jednak i szyderstwa, jeżeli zdarzyła się sposobność.

W początkach grudnia Dębicki tłumaczył trzem pannom dwumian Newtona w przypadku wykładników ułamkowych; a tłumaczył tak jasno, że Madzia nie tylko wszystko rozumiała, ale wprost upoiła się jego wykładem. W szczególny sposób działał na nią ten cichy, łagodny, wiecznie zafrasowany człowiek, który przy wykładzie zmieniał się w natchnionego. Rzadkie włosy jeżyły mu się, jasne oczy nabierały głębokich cieniów, nalana twarz — posagowych rysów, a głos — przejmującej dźwięczności. Ada z Madzią nieraz mówiły sobie, że lekcje Dębickiego są prawdziwymi koncertami, o ile profesor zapali się do przedmiotu; bo na pensji, osobiście jeografę, wykladał nudnie.

Otóż Dębicki wyłożywszy dwumian Newtona zapytał panien, czy która nie zechce powtórzyć? Magdalena mogła powtórzyć, ale przez grzeczność chciała ustąpić głosu Adzie; Ada zaś zwróciła się do Helenki.

— Kiedy ja nic nie wiem — odpowiedziała ze śmiechem Hela wzruszając ramionami.

— Nie rozumiała pani? — zapytał zdziwiony Dębicki.

Helena odrzuciła w tył głowę i patrząc przymrużonymi oczyma na Dębickiego rzekła:

— Tak zasłuchałam się w melodię pańskiego głosu, że nie rozumiałam nic. Panu to nie robi przyjemności?

— Nasi słuchacze — odparł Dębicki spokojnie — mogą nam robić tylko jeden rodzaj przyjemności, mianowicie — uważać. Mnie pani zawsze tego odmawia.

„Dobrze jej tak!” — pomyślała Madzia, lecz spojrzawszy na towarzyszkę zmieszła się. Ada wylęknionymi oczyma spoglądała to na Helenkę, to na Dębickiego, Helenka zaś była zarumieniona z gniewu, a jej piękna twarz miała jakiś koci wyraz, kiedy podnosząc się z krzeselka odpowiedziała z uśmiechem:

— Widać, że nie mam zdolności do wyższej matematyki, choć profesor popiera ją nawet wykładami moralności. Nie przeszkadzam państwu...

Kiwnęła głową Adzie, ukloniła się Dębickiemu i opuściła pokój.

Biedny profesor był bardzo zakłopotany. Upuścił krede, wsadził wielki palec lewej ręki za kłapę surduta i pozostałymi palcami zaczął bębnić. Twarz mu zmartwiała, spojrzenie zamąciło się i cichym głosem odezwał się do Ady:

— Może... może ja paniom przeszkadzam?...

Ada milczała, bo zbierało jej się na płacz, co spostrzegł Dębicki i rzekł biorąc za kapelusz:

— Na następną lekcję przyjdę, gdy panie dadzą mi znać...

Uklonił się niezgrabnie, patrząc w sufit, a gdy szedł do drzwi, Madzia zauważyła, że podnosi kolana bardzo wysoko.

— Boże, co tu się dzieje! — zawołała Ada z płaczem, tuląc się do Madzi. — I co ja teraz mam robić?

— A cóż tobie, Adziu? — odezwała się Magdalena — przecież on do ciebie nie ma pretensji.

— Tak, ale ja znowu muszę przerwać lekcje, bo Hela śmiertelnie obraziłaby się na mnie. A to taki doskonały profesor, taki nieszczęśliwy człowiek i przyjaciel Stefka... Musimy wyjechać z Warszawy, bo ja się tu rozchoruję.

W godzinę już na całej pensji mówiono, że Dębicki zrobił impertynencję Helenie, a panna Howard głośno na korytarzu wykladała kilku damom klasowym, że jest to gbur i obrzydliwa ropucha, w której pod pozorami niedołęstwa kryje się największy nieprzyjaciel kobiet.

— Trzy razy badałam go, ażeby poznać, co myśli o samodzielności kobiet, a on tylko uśmiechał się!... Za te uśmiešky zrzuciłabym go ze schodów — zapewniała panna Howard.

Zaś pani Latter spotkawszy wieczorem Madzię rzekła do niej tonem, w którym czuć było gniew:

— Cóż ten safandula już odgryzł się na naszych lekcjach, jeżeli zaczyna robić impertynencje? Nieostrożny, nieostrożny!...

Magdalena nie odpowiedziała, choć silny rumieniec zdradził, że nie podziela zdania przełożonej. W tych kilku słowach czuła zapowiedź dymisji dla Dębickiego i pierwszy raz w życiu przyszło jej na myśl, że pani Latter nie jest sprawiedliwą. Biedny profesor może stracić posadę dlatego, że Helence nie pozwolił żartować z siebie; ale Joasia, która zrobiła skandal, jest ciągle damą klasową i nawet zaczyna podnosić głowę.

„Po co ja o tym myślę?... co mnie do tego?... — wyrzucała sobie Madzia. — I co się ze mną dzieje, że zaczynam sądzić ludzi, a nawet potępiać ich. Joasia jest dumna, może z obawy, ażeby jej kto nie robił wymówek, chociaż... niepotrzebnie szykanuje Zosię. A swoją drogą Marta miała słuszość mówiąc, że pani Latter cierpi przez dzieci... Hela nie jest dobra, kiedy Dębickiego naraża na utratę lekcji, a matkę na niesprawiedliwość...”

Obok Helenki przyszedł jej na myśl pan Kazimierz, który coraz rzadziej bywał u pani Latter, ale za to coraz częściej jego imię łączono z imieniem Joasi. Lecz w takich chwilach Madzia zasłaniała uszy przed podszeptami własnych myśli i powtarzała sobie z uporem:

„To nie może być, ażeby on był w restauracji z Joasią... To wszystko plotki!... On, taki piękny, taki szlachetny...”

Pomimo obaw Magdaleny, że Dębicki może stracić posadę, sprawa jego nagle poprawiła się, i to w kilka dni po zajęciu z Helenką. Wpłynął na to przyjazd pana Stefana Solskiego, brata Ady, o czym Madzia dowiedziała się z ust samej Helenki.

— Wiesz — zawołała panna Helena ciągnąc ją do swego pokoju. — Wiesz, jest Stefan... Dziś z rana przyjechał z zagranicy, a za tydzień... za tydzień my z Adą i jej ciotką jedziemy!... Ja jadę za granicę, ja... i już Boże Narodzenie spędzimy w Rzymie!... Czy ty słyszysz, Madziu?...

Zaczęła całować Magdaleny i tańczyć po pokoju. Nigdy nie była tak ożywiona.

— Oryginalny człowiek ten Stefan — mówiła z pałającymi oczyma — brzydki, podobny do Ady, ale siedzi w nim diabeł. W głowie mi się kręci, kiedy pomyślę, że ten człowiek ma milion rubli. Ale, ale pogodziłam się dziś z Dębickim... Zrobiłam to dla Ady i dla Stefana... Co za energia w tym człowieku! Ledwie przywitał Adę, zaraz jej powiedział: „Od dziś za tydzień wyjeżdżacie panie”. To samo powiedział mojej mamie, którą zawojował w kwadrans... Powiadam ci, coś nadzwyczajnego...

Istotnie, na drugi dzień przyszli na pensję tragarze i zaczęli wynosić książki Ady i jej narzędzia fizyczne, przy pakowaniu których był Dębicki. Tego samego dnia zgłosił się do pani Latter jakiś jegomość przysłany przez pana Solskiego do załatwienia formalności paszportowych dla Helenki. Damy klasowe i pensjonarki mówiły tylko o Solskim i niejedna wyglądała ze szczytu schodów na dół sądząc, że zobaczy tego pana, który jest

bardzo brzydki, ale ma dużo pieniędzy i nie lubi, ażeby mu się sprzeciwiano. Madzia nawet usłyszała, jak dwie trzecioklasistki mówiły między sobą:

— Widzisz, widzisz... To pewnie on!...

— Eh, nie... To ten safandula Dębicki...

— Ludwisiu — odezwała się przechodząca około nich Magdalena — jak możesz wyrażać się tak o panu Dębickim?

— Przecież tak nazywa go pani Latter — śmiało odparła dziewczynka.

Madzia udała, że nie słyszy, i prędko zbiegła ze schodów.

Biegła do Ady i kiedy do niej weszła, zastała w pokoju niskiego pana, z szerokimi ramionami i dużą głową, który rozmawiał z Helą. Na widok Magdaleny Ada podniosła się z fotelu i rzekła:

— Stefku...

Pan z dużą głową zerwał się, bystro popatrzył Madzi w oczy i ściskając ją za rękę powiedział:

— Pani, jestem przyjacielem tych, którzy kochają moją siostrę.

Potem usiadł na krześle i zwrócił się do Heleny. Był podobny z fizjonomii do siostry, tylko miał nieduże wąsiki i różową bliznę na prawym policzku.

— Nie przekonał mnie pan — mówiła Helenka z uśmiechem, ale bojaźliwie patrząc na Solskiego, co trochę zdziwiło Madzię.

— Życie panią przekona — odpowiedział. — Piękność słusznie nazywają paszportem, który jej właścicielowi czy właścicielce wyrabia stosunki między ludźmi.

— Tak, od razu. Ale potem?...

— Następstwa zależą od dalszych czynów. W każdym razie świat hojniej wypłaca pięknym zasługi, wiele im wybacza i bardzo często kocha ich nawet wówczas, gdy tego nie są warci.

— Może być — odpowiedziała Helenka — ale ja dobrze nie rozumiem. O moim bracie na przykład mówią wszyscy, że jest przystojny; ja jednak nic mu nie wybaczam. A... zakochać się... w tak ładnym mężczyźnie jak on nie potrafiłabym. Mężczyzna powinien być energiczny, odważny... oto jego piękność.

Na te słowa Madzia zarumieniła się, Ada spuściła oczy, a Solski umilkł; lecz po wyrazie jego twarzy nie można było poznać, czy zgadza się z teoriami Helenki, które Madzi wydały się dosyć nowe, a nawet niespodziewane.

Jeszcze kilka minut rozmawiano o podróży, po czym Solski podniósł się do wyjścia.

— Więc nieodwołalnie wysyła nas pan we środek? — zapytała Helenka obrzucając go spojrzeniem.

— Czy możesz nawet pytać? — wtrąciła Ada. — Przecie widzisz, co zrobił z moją pracownią...

— We środek wieczornym pociągami, jeżeli panie raczą — odpowiedział Solski i zaczął żegnać panny.

Wkrótce po jego odejściu i Helenka opuściła salonik Ady, która zostawszy sam na sam z Madzią rzekła:

— Cóż ty na to, Madziu?

Przy tym patrzyła na nią w sposób tak smutny i dziwny, że Madzia zastanowiła się.

— O czym mówisz, kochanko, czy o wyjeździe?

— Ach, o wyjeździe i nie o wyjeździe... O różnych rzeczach — odpowiedziała Ada. Nagle uściśnęła ją i przytuliwszy głowę do jej ramienia szepnęła: — Ty nawet nie wiesz, Madziu, jaka ty jesteś dobra, szlachetna, prosta... I powiem ci, że chyba mniej znasz świat aniżeli ja, choć dopiero zaczynam go poznawać troszeczkę, troszeczkę...

— To tak jak ja — zawołała Madzia. — I to nawet niedawno, od kilku tygodni jakoś inaczej patrzę...

— To tak jak ja... Czy myślisz i o Joasi?...

— I o Joasi, i o różnych innych rzeczach. A ty?...

— O, i ja, ale o tym nie ma co mówić — rzekła Ada.

---

Na kilka dni przed wyjazdem za granicę mieszkanie Helenki zamieniło się na szwalnię. Pani Latter sprowadziła trzy specjalistki: krojczynię, maszynistkę i wykończarkę i kazała

im zrobić przegląd całej garderoby córki. Z kuchni do gabinetu wniesiono prosty stół, na którym pochylona krojczyni z metrem na szyi i nożyczkami w rękach cały dzień podcina i poprawia staniki i spódnice. Od siódmej rano do jedenastej wieczór kiwa się nad warcząca maszyną blada maszynistka, której siedząca pod oknem wykończarka od czasu do czasu przypomina:

— Czekam, panno Ludwiko...

Albo też:

— Ścieg niedobry, panno Ludwiko, trzeba poprawić łódkę.

Na łóżku i na biurku Heli leżały stosy bielizny, na atlasowych mebelkach spódnice i kaftaniki, dywan był zarzucony skrawkami rozmaitych materiałów. Nożyczki zgrzytały na stole, maszyna warczała i wtórowało jej pokaszływanie maszynistki. Madzię raził tu panujący hałas i nieporządek, ale Helenka gotowa była siedzieć od rana do nocy, przymierzać po kilka razy każdą suknię i wtrącać się do robotnic.

Ile razy weszła Madzia do gabinetu Helenki, była pewna, że zastanie ją przed lustrem w coraz innym staniku lub spódnicy, mówiąca:

— Czy dobrze leży? Zdaje mi się, że w pasie jest zanadto luźny i marszczy się na plecach... spódnicy niech pani nie skraca ani o cal, bo to daleko poważniej; w krótkiej sukni żadna kobieta nie potrafi być dumną.

W podobnych chwilach krojczyni i wykończarka krążyły około Helenki jak gołębie nad gniazdem: mierzyły, znaczyły, wbijały szpilki w suknie, wspinały się na palcach albo padały na kolana. Torturowana zaś Helenka miała rozmarzone oczy i wyraz twarzy osoby świętej albo zakochanej.

„Jacy niemądrzy są mężczyźni — pomyślała Madzia patrząc na piękną pannę. — Im się zdaje, że panny wyglądają interesująco tylko przy nich...”

Wyraz anielskiego rozmarzenia i zachwytu na twarzy Helenki spostrzegła Madzia nie tylko w czasie przymierzania sukien.

W poniedziałek przed południem Hela wywołała Madzię z klasy.

— Moja droga — rzekła — zastąpi cię tu panna Joanna, a ty jedź ze mną. Stefan przysłał dla Ady karetę, ale że ona zostaje, więc tylko my dwie pojedziemy za sprawunkami.

Madzi wstyd było wsiąść do karety i lękała się dotknąć jej atlasowego obicia swoją wełnianą salopką. Ale Helenka czuła się tu jak u siebie. Spuściła szybę i patrzyła na przechodniów z wyrazem dumy.

— Bawi mnie to — rzekła — kiedy sobie przypominam, że i ja chodziłam jak te panie albo jeździłam obszarpanymi dorożkami.

— A mnie się zdaje, że częściej będziemy jeździły dorożkami aniżeli kareta — wtrąciła Madzia.

— Zobaczmy! — szepnęła Helenka patrząc w jakiś punkt nieokreślony.

„Zabawna dziewczyna” — pomyślała Madzia przypomniawszy sobie, że pani Latter musiała pożyczyć pieniędzy od Ady na prowadzenie pensji.

W mieście Helenka miała kupić dwa łokcie jedwabnej materii, parę bucików i złoty krzyżyk dla panny Marty. Lecz na tych sprawunkach upłynęło im ze trzy godziny.

U jubilera Helenka nabyła krzyżyk za dwa ruble, ale przy okazji kazała pokazać sobie naszyjnik z pereł i dwa garnitury: jeden z szafirów, drugi z brylantów, zapytując o cenę i o to, czy jubiler nie opuściłby czego? U szewca przymierzyła kilkanaście sztuk bucików i pantofelków, zanim wybrała jedną parę. W magazynie zanim kupiła swoją materię, kazała podać tyle sztuk w rozmaitych kolorach, że dokoła niej utworzyła się tęcza z jedwabów białych, różowych, niebieskich, żółtych... Było to tak piękne, że nawet Madzia przez chwilę zapomniała, czym jest i gdzie jest, i zdawało jej się, że to wszystko należy do niej. Lecz wnet oprzytomniała spojrzawszy na Helenkę, której drżały usta ze wzruszenia.

— Chodźmy już, Helu — szepnęła Madzia widząc, że starszy subiekt przypatruje się Helence ze złośliwym uśmiechem.

Zapłacyły i wyszły. Kiedy znalazły się w karecie, Helenka wybuchnęła gniewem i żalem:

— I pomyśleć — mówiła — że ja na to wszystko nie mam pieniędzy!... Piękna sprawiedliwość na świecie. Ada rodzi się dzieckiem milionerów, a ja — córką przełożonej pensji. Ona za roczny dochód mogłaby kupić cały magazyn, a mnie ledwo stać na dwie sukienki.

— Wstydz się, Helu...  
— O tak, ludzie, którzy nie mają pieniędzy, zawsze powinni się wstydzić... Ach, gdyby nareszcie przyszedł ten przewrót społeczny, o którym ciągle słyszę od Kazia...  
— Czy myślisz, że wówczas chodziłabyś w jedwabiach?  
— Naturalnie. Bogactwa należałyby do mądrych i pięknych, nie do brzydalów i niedołęgów, którzy nawet ocenić ich nie umieją.  
— Pan Kazimierz z pewnością tak nie myśli — wtrąciła Madzia.  
— Rozumie się, że nie myśli, tylko używa za siebie i za mnie... Ale może przyjdzie i moja kolej.

Od tej rozmowy Madzia jeszcze więcej zniechęciła się do Helenki.

„Boże! — myślała — jeżeli miałabym być taką córką i kobietą jak ona, to niech umrę, bodajby dziś!... Hela, gdyby mogła, zrujnowałaby matkę”.

Wkrótce po ich powrocie do domu na pensji skończyły się lekcje. Madzia stanęła w oknie i patrzyła na podwórko, gdzie w tej chwili śnieg zaczął padać. Widziała rozbiegające się dziewczynki jak hałaśliwy rój pszczół, który odlatuje w pole; potem widziała nauczycieli idących po dwóch i pojedynczo, a nareszcie spostrzegła Dębickiego, koło którego kręcił się jakiś fircyk ubrany pomimo śniegu tylko w obcisłą kurteczkę i mały kapelusik. Dębicki szedł przez podwórze z wolna, niekiedy przystając, a fircyk zabiegał mu z prawej strony, z lewej strony, chwycił go za guziki futra i o czymś bardzo żywo rozprawiał.

Śnieg na chwilę ustał, jednocześnie fircyk zwrócił się twarzą do okna i Madzia poznała w nim — pana Solskiego. Mimo woli nasunęło się jej porównanie między ubogą Heleną, która tęskniła za jedwabiami i brylantami, a milionerem, który w wąskiej kurteczce wychodził na takie zimno.

Rozmawiający znikli w bramie, a Madzia pomyślała:

„O czym oni mówią, czy nie o Helence?... Jeżeli Dębicki powie panu Stefanowi o jej zachowaniu się na lekcjach, to będąc na jej miejscu wyrzekłabym się podróży za granicę...”.

## 8. PLANY RATUNKU

Rzeczywiście Dębicki i pan Stefan mieli w tym czasie ważną rozmowę o pani Latter.

Przed wszystkim poszli na obiad do wykwintnej restauracji na Krakowskim, gdzie zajęli najciaśniejszy gabinet, odznaczający się tym, że miał gotyckie krzesła obite zielonym utrechtem i dwa duże lustra, na powierzchni których właściciele pierścionków z brylantami wypisywali sentencje odznaczające się jędrnością i niewybrednym smakiem.

Elegancki kelner we fraku i białym krawacie, z włosami rozdzielonymi nad czołem, podał im karty i zaczął nasuwać projekta obiadu.

— Naprzód wódeczka i przekąska — mówił kelner.

— Za wódkę dziękuję — odparł Dębicki.

— A ja proszę — rzekł Solski.

— Mamy świeżutkie ostrygi.

— Bardzo dobrze — dopowiedział Solski.

— Więc po wódeczce mogą służyć ostrygami. Cały tuzin?...

— Po wódcę proszę o dwa solone rydze.

— Dwa rydzyki i tuzin ostryg?

— Dwa rydze bez ostryg — odparł Solski. — A może profesor chce ostryg?

— Paskudztwo — mruknął Dębicki.

— A na obiad? — pytał kelner.

— Dla mnie — barszcz. Potem może być kawałek sandacza... No, kawałek sarny i kompot... — mówił Solski.

— To samo, tylko zamiast sarny kotlet wołowy — dodał Dębicki.

— A wino?

— Pół butelki czerwonego — rzekł Solski — a profesor?

— Wody sodowej.

Kiedy kelner wyszedł z gabinetu, zastąpił mu drogę gospodarz pytając:

— Jaki numer?

Kelner machnął ręką.

— Będzie ze dwa ruble.

— A tak! — westchnął gospodarz. — Taki zawsze skąpi, choć pieniędzmi mógłby w piecu palić. Ale szanuj go, bo dobry dla służby, to pan Solski.

— Który to, panie, starszy czy młodszy? — spytał ciekawie lokaj.

— Młodszy, młodszy, ten, co go w zimie nie stać na futro.

Kelner obsługiwał znakomicie. Dawał potrawy na czas, wchodząc krzakał, wychodził na palcach i tytułował Solskiego jaśnie panem. Goście jedli rozmawiając.

— Więc profesor nie pije nic, nawet kawy — mówił Solski. — Czy to nie fałszywy alarm z tą chorobą serca?

— Nie. Z każdym rokiem posuwa się naprzód — odpowiedział Dębicki.

— Tym większy powód, ażeby profesor zajął się naszą biblioteką; bieżanina po piętrach nie może być dobrą — rzekł Solski.

— Od wakacyj, od wakacyj... Nie mogę rzucić pensji, na którą mnie łaskawie przyjęto, i do tego w niezwykłym czasie.

— Jak profesor chce. A co się tyczy pensji, mam prośbę do profesora.

— Słucham.

— O pani Latter mówią źle — ciągnął Solski. — Moje kuzynki zarzucają jej, że wprowadza na pensję kursa emancypacji, że jakaś panna Howard chce na gwałt robić dziewczęta istotami samodzielnymi...

— Narwana baba — uśmiechnął się Dębicki.

— O nią mniejsza, choć jej propaganda może kosztować panią Latter kilka uczennic. Gorszy jest skandal jej syna z jakąś guwernantką, o czym słyhać w Warszawie.

Dębicki kiwał głową.

— I to mnie nic nie obchodzi — prawił Solski — bo jużci, młode kobiety są od tego, ażeby je bałamucili piękni chłopcy. Ale niedobrze jest, że ludzie znający tutejsze stosunki określają położenie pani Latter w ten sposób: długi — zmniejszone dochody — wielkie wydatki na syna, co wszystko razem zapowiada bankructwo.

— Ja słyszałem, że ona ma majątek — wtrącił Dębicki.

— I ja tak myślałem. Tymczasem nasz plenipotent zna niejakiego Zgierskiego, któremu pani Latter płaci sześćset rubli procentu.

— I ja znam Zgierskiego. Wygląda na pokątnego finansistę.

— Otóż to — mówił Solski. — A ilu innych z tego gatunku kręci się około pani Latter?

Dębicki podniósł brwi i wzruszył ramionami.

— Rozumiem — rzekł Sobki. — I ja nie mieszałbym się do cudzych interesów, gdyby nie siostra, która zapowiedziała mi, że — nie pozwoli na bankructwo pani Latter. Pojmuje pan moje położenie. Nie mogę z tą sprawą iść do pani Latter, bo wyrzuci mnie za drzwi i będzie miała słuszność; boję się użyć naszego plenipotenta albo adwokata, bo sytuacja stałaby się jeszcze drażliwszą. Z drugiej strony, jakkolwiek chwalebne przywiązanie do kobiety, która ją wychowała, to znowu nie pozwolę, ażeby majątek Ady umożliwił panu Norskiemu bałamucenie guwernantek. Niech bałamuci, ale nie za pieniądze mojej siostry, która o ile ją znam, nie tylko nie zgodziłaby się na popieranie tego rodzaju przedsięwzięcia, ale nawet bardzo ubolewa nad ich rzekomymi ofiarami.

— Nie widzę tu roli dla siebie — rzekł Dębicki.

— A może pan mieć wielką — odparł Solski. — Bywając na pensji zrozumie pan, czy stan jest rzeczywiście groźny i co dałoby się uratować: pensję pani Latter czy tylko — panią Latter? Następnie spostrzeże pan chwilę, kiedy dla pani Latter pomoc okaże się niezbędną.

— Cóż dalej?

— Wówczas powie pan słówko naszemu plenipotentowi, a on resztę załatwi. Może być, że po konferencji z nim pani Latter sprzeda pensję albo zgodzi się na jakiego współnika, który by kontrolował dochody i wydatki... Nie wiem, co postanowi... W każdym razie nie będzie musiała zamykać pensji w ciągu roku i uspokoi się co do własnej osoby.

— Mnie się zdaje, że wszystko polega na nieporozumieniu, bo pani Latter ma pieniądze — zauważył Dębicki.



— Mój profesorze — odpowiedział Solski — przed panem nie myślę bawić się w sekreta. Pani Latter ma pieniądze, gdyż Ada pożyczyła jej sześć tysięcy rubli, za co plenipotent zrobił mi awanturę. Ale interesa pani Latter muszą być zawikłane, ponieważ dała na komorne tysiąc rubli zamiast dwóch tysięcy pięciuset. Nareszcie mam wskazówki, że jej kłopoty nie są i nie będą chwilowymi, bo pan Norski nie tylko dużo wydaje, ale jeszcze gra w karty...

Obiad skończył się, a Dębicki wciąż kiwał głową i rozmyślał.

— Profesor spełni moją prośbę? — zapytał Solski. — Nie chodzi tu przecież o interwencję ze strony pańskiej, lecz tylko o uchwycenie momentu, kiedy pani Latter znalazłaby się wobec bankructwa.

— Owszem, mogę to zrobić, o ile potrafię; ale boję się, ażebym nie zepsuł sprawy, ponieważ... nie jestem tam lubiany — odparł Dębicki krzywiąc się.

— Wszystko wiem, znam zatarg z panną Heleną, a nawet trochę rozumiem i samą pannę Helenę, czego ona zdaje się nie przypuszczać... Mimo to proszę pana, ażebyś podjął się zawiadomić naszego plenipotentę, że — wtedy a wtedy może odwiedzić panią Latter. Proszę zaś pana nie ja, ale moja siostra — zakończył uroczyście Solski, jak gdyby sądził, że prośba siostry powinna rozstrzygać wszelkie kwestie.

— Zdolna kobieta z panny Ady — rzekł Dębicki. — Co ona myśli robić?

— Ba! gdybym wiedział — odparł z uśmiechem Solski. — Może zechce zostać profesorką w jakim amerykańskim uniwersytecie... Bo pan wie, że teraz kobiety chcą być deputowanymi, sędziami, generałami<sup>6</sup>... No, ale niech robi, co jej się podoba; moja rzecz służyć jej opieką zawsze, a radą, kiedy mnie o nią zapyta.

— Panna Magdalena Brzeska także bardzo zdolna, bardzo zdolna!... — wtrącił Dębicki.

Solski wziął go za rękę i patrząc w oczy rzekł:

— O zdolnościach nie wiem, ale zdaje mi się, że dla mojej siostry byłaby ona właściwszą przyjaciółką aniżeli panna Norska... Boję się, ażeby Ada nie doznała przykrych rozczarowań, ale co pan chcesz?... Co my możemy zrobić z kobiecymi sympatiami?...

Opuścili restaurację i pan Stefan odprowadził Dębickiego w stronę jego domu. Na pożegnanie rzekł:

— Więc, kochany profesorze, sprowadź się pan do biblioteki jak najprędzej. Pokoje opalają się, służący czeka...

— Od wakacyj, od wakacyj... — odparł Dębicki.

— Taki jest pański termin, a mój — choćby w tej chwili.

— Więc we środę jedziesz pan z siostrą?

— Nie. Panie pojedą z naszą ciotką, a ja połączę się z nimi dopiero około Nowego Roku w Rzymie.

Uścisnęli się. Dębicki poszedł dalej, a Solski patrzył za nim i myślał:

„O, jak to widać, że ten człowiek nosi w sobie coś kosztownego i kruchego. Jak on ostrożnie stąpa czując, że byle się poślizgnął, upadnie aż na dno grobu... Ciężki los, kiedy życie schodzi tylko na chronieniu życia!...”

Nagle medytacje jego zmieniły kierunek.

„No, a ja — mówił do siebie — a ja?... Mnie na czym schodzi życie?... Ten, ciężko chory, pracuje na własne utrzymanie, opiekuje się małą siostrzenicą, uczy dziewczęta zoologii i jeografii, ba, pracuje nad jakimś nowym systemem filozoficznym. To wszystko robi inwalid, któremu lada chwilę może pęknąć serce, i bynajmniej nie z miłości. Ja zaś jestem zdrow jak koń, mam podobno rozum i energię, duży majątek, rwę się do działalności i — nie robię nic!... Mogę wszystko kupić: rozrywki, kochanki, wiedzę... Tylko nie kupię — celu dla działalności... Nie mieć do czego przyczepić się, oto choroba nie gorsza od wady serca. Albo też być wiecznym kandydatem na przewodnika tam, gdzie nikt nie potrzebuje przewodników, bo nigdzie się nie wybiera... Oto nowożytny tantalizm!... Będę ostatniego gatunku szubrawcem, jeżeli nie zmarnuję się razem z moimi aspiracjami do wielkich dążeń!...”

---

<sup>6</sup>generał (daw.) — generał. [przypis edytorski]

Wsadził ręce w kieszenie wążutkich spodni i szedł z wolna ulicą, rozmarzony, smagany śniegiem w twarz, potrącany przez przechodniów, którzy spoglądali na niego jak na biedaka albo wariata.

## 9. PRZED WYJAZDEM

We środę rano, w dzień wyjazdu Ady i Helenki za granicę, w czasie przerwy między lekcjami, po Madzię przybiegło dwoje posłańców: Stanisław od Heli i pokojówka od Ady.

Wyszedszy z klasy Madzia spotkała na korytarzu idące naprzeciw siebie rywalki: pensjonarkę Zosię i nauczycielkę pannę Joannę. Spotkanie ich trwało ledwie sekundę, lecz krótkość czasu nie przeszkodziła pannie Joannie szepnąć wyrazu: „podła!”, czego zresztą nie słyszała Zosia, a Zosi — pokazać język pannie Joannie, czego znowu nie spostrzegła panna Joanna.

Oburzyło to Madzię, więc zbliżywszy się do piątoklasistki, rzekła półgłosem:

— Wstydz się, Zosiu, pokazywać język, jakbyś dopiero była w pierwszej klasie.

— Bo ja nią pogardzam! — odpowiedziała głośno Zosia.

— Bardzo źle, bo ty zrobiłaś jej krzywdę zamknąwszy wtedy drzwi. Pamiętasz?

— Ja bym ją zabiła, kokietkę. O niego już nie dbam, jeżeli dał się uwieść tej zalotnicy, ale jej nie daruję, nie daruję, nie daruję!...

Widząc, że ani jej nie przekona, ani ulagodzi, Madzia kiwnęła głową Zosi i zbiegła na dół. Czuła, że ona sama nie lubi Joasi, ale także było jej przykro, że Zosia kocha się w panu Kazimierzu.

„Niezdolny dzieciuch — mówiła do siebie. — Nie wolałoby to pilnować książki, a nie myśleć o niedorzecznościach...”

I ciężko westchnęła.

Helenkę zastała w gabinecie rozgorączkowaną i płaczącą: na podłodze leżała podarta chusteczka.

„Czy tak martwi się, że wyjeżdża?” — przyszło na myśl Magdalenie.

— Muszę ci coś powiedzieć — zaczęła Helenka tonem, w którym czuć było gniew. — Przed Adą nie zwierzę się, wstyd mi za mamę; ale tobie powiem, bo gdybym milczała, piersi by mi pękły...

Zaczęła łkać.

— Ależ, Helu, ja kogo zawołam... — rzekła przestraszona Madzia.

— Nikogo!... — odparła Helenka chwytając ją za rękę. — To już przeszło...

Jeszcze parę razy zanosła się od płaczu, lecz wnet oczy jej obeschły i mówiła spokojnie:

— Wiesz, ile mama przeznacza mi na drogę?... Trzysta rubli... Słyszysz, trzysta rubli!... Puszczam mnie za granicę jak podrzutka, bo za te pieniądze nie kupię nawet dwu sukien, no — nie!...

— Helu — przerwała Madzia ze zgrozą — więc o to masz pretensję do matki?... A jeżeli ona nie ma pieniędzy?...

— Dla Kazia przeznaczyła tysiąc rubli — odparła Helenka z gniewem.

— I ty, wyjeżdżając Bóg wie na jak długo, myślisz o podobnych rzeczach?... Rachujesz, ile matka przeznacza pieniędzy bratu?...

— Mam do tego prawo. Jestem takim dzieckiem mojej matki jak i on, mam tego samego ojca, te same rysy, to samo poczucie godności jak on, a mimo to jestem wobec niego poniżana i krzywdzona. Dla mamy nie skończyły się widać te czasy, kiedy dziewcząt nie uważano za ludzi: sprzedawano się je bogatym mężom albo osadzało w klasztorach, byle synom nie uszczuplić majątku. Ale to się już zmieniło!... My jesteśmy inne i choć nie mamy sił do zwalczania niesprawiedliwości, czujemy ją doskonale... O, panna Howard to jedyna mądra kobieta w tym domu. Ja dopiero dziś rozumiem wartość każdego jej zdania.

Madzia zbladła i łagodnie, ale niezwykle u niej tonem, odpowiedziała:

— Jesteś rozdrażniona, Helu, i mówisz rzeczy, których za chwilę będziesz się wstydzić. Ja tego nikomu, ale to nikomu nie powtórzę, nawet sama zapomnę... Idę teraz do Ady, więc jeżeli zechcesz zobaczyć się ze mną, tam przyszliz.

Odwróciła się i wyszła.

— Boże miłosierny! — szepnęła — już rozumiem, co mówiła panna Marta o dzieciach... Biedna moja mamę, czy i ja jestem taka dla ciebie?... Wolałabym umrzeć, uciec w świat, pójść do służby...

Wpadła do pustego pokoju panny Żanety, napiła się wody, chwilę posiedziała i spojrzawszy w lustro udała się do Ady. Zastała ją spacerującą w pracowni i wzruszoną, ale uśmiechniętą.

— Jesteś! — zawołała panna Solska.

Posadziwszy Madzię na swoim fotelu zaczęła ją całować i przepraszać za to, że posyłała po nią; wreszcie rzekła rumieniąc się:

— Ach, Madziu, zanim wyjadę — wiesz, dzisiaj wyjeżdżamy — muszę przed tobą odwołać jedną rzecz...

Rumieniec jej i zakłopotanie zwiększyły się.

— Pamiętasz naszą rozmowę tego dnia, kiedy ci przedstawiła Stefka?... Mówiłam wtedy rozmaite niedorzeczności: że ja nie znam życia, że myślę o Joasi i o innych rzeczach... Pamiętasz?... Mówiąc to byłam bardzo niegodziwa...

— Niegodziwa? — powtórzyła Madzia.

— O, tak... Bo widzisz — mówiła ciszej — ja niesłusznie myślałam źle o Heli. Zdawało mi się (jeszcze nie pogardzasz mną?...), zdawało mi się, że Hela kokietuje Stefka i że on się w niej zakocha... No, a rozumiesz, że gdyby oni pokochali się, to mnie przestali by kochać oboje, a ja... umarłabym, gdyby mi przyszło stracić Stefka... Przecież ja mam tylko jego, nikogo więcej, Madziu... Ani rodziców, ani bliskich...

W oczach jej kręciły się łzy.

— Więc rozumiesz, dlaczego posadziłam Helę, ale dziś odwołuję wszystko... Hela jest dobra dziewczyna, choć trochę zimna, a Stefek... Ach, ty go nie znasz!... Jaki on mądry... Wyobraź sobie, że on nie tylko nie kocha Helenki, ale nawet jest do niej uprzedzony: posadza ją o egoizm i kokieterie...

Madzia pomyślała, że pan Stefan musi być istotnie mądrym człowiekiem.

— Widzisz, jaka byłam niesprawiedliwa dla Heli — ciągnęła Ada — ale nie miej o mnie złego wyobrażenia... Ja mam taką wadę, że jeżeli mnie co zaboli, to w pierwszych chwilach nie umiem panować nad sobą...

— Ależ, Ado, ty nic nie powiedziałaś na Helenkę — przerwała Madzia.

— Tak, ale myślałam... Zresztą nie mówmy o tym, bo mi wstyd... Może mi kiedy wybaczysz i uwierzysz, że ja tylko mimowolnie jestem zła i przewrotna...

— Ado, Ado, co ty mówisz?... Ty jesteś najszlachetniejsza...

Długi czas ciągnęły się pocałunki, zwierzenia, odwoływania i przekonywania. Nareszcie Ada uspokoiła się i błagalnie patrząc na Madzię rzekła:

— Zrób mi jeszcze jedną łaskę i nie odmów...

Z tymi słowy wcisnęła w rękę Madzi małe pudełeczko owinięte w bibułkę.

— Co to jest? — zapytała zmieszana Madzia.

— Nic... pamiątka... Przecież mi nie odmówisz?... Pamiętasz, jakieśmy w trzeciej klasie zamieniały przed wakacjami kajeta?... A pamiętasz, jak dałaś mi śliczny obrazek, ten pąsowy, przezroczysty, który sam związał się na ręku?... Ileś ty mi zrobiła przyjemności!... Widzisz, to jest zegarek, ale taki malutki, że mówić o nim nie warto. Zresztą ja mam w tym wyrachowanie. Na kopercie jest napisane moje imię i lata, które spędziłyśmy na pensji; więc ile razy spojrzysz, musisz pomyśleć o mnie... Ja, widzisz, zrobiłam to przez egoizm.

Rozpląkały się obie, a w tej chwili Madzię zawołano na górę. Idąc wyrzucała sobie interesowność i brak ambicji, a nawet mówiła, że będzie podłą, jeżeli przed wyjazdem Ady otworzy pudełko. Lecz już na drugiej kondygnacji schodów przyszło jej na myśl, że byłoby niewdzięcznością nie obejrzeć daru przyjaciółki. Więc otworzyła safianowe pudełeczko, w którym cicho kołatał złoty zegarek wysadzany brylancikami. Madzię ogarnął strach i wstyd, że mogła przyjąć tak kosztowny prezent; lecz gdy przypomniała sobie błagalny wzrok Ady i jej pieśczęty, uspokoiła się.

## IO. POŻEGNANIE

Ósma wieczór, na dworze noc, pogodna noc grudniowa. Pani Latter, skrzyżowawszy ręce na piersiach, chodzi po gabinecie spoglądając to na córkę, to na okno, za którym widać oświetlone brzegi Wisły. Panna Helena siedzi na skórzanej kanapce, patrzy na popiersie Sokratesa, jakby mówiła do siebie: „A to brzydali!” i czasami niecierpliwie uderza w dywan obcasem. Za oknem, na tle pogodnego nieba, widać ciemne domy Pragi, szaro-żółte kamienice warszawskiego Powiśla i czarną linię żelaznego mostu, wszystko zasypane światłem. Światelka w domach, światelka na drugim brzegu, światelka na moście, jakby kto rzucił na Powiśle rój świętojańskich robaczek, które w jednych miejscach skupiły się w bezładne gromady, w innych uszykowały w pocięte szeregi i na coś czekają.

„Na co one czekają?... — myśli pani Latter. — Rozumie się, że na wyjazd Helenki, aby ją pożegnać. Potem Helenka odjedzie, ale one zostaną i będą mi ją przypominały. Ile razy spojrzę na te światelka, które nigdy nie zmieniają miejsca, pomyślę, że i ona tu jest i że zobaczę ją, byłem odwróciła głowę... Boże, daj jej szczęście, za wszystko, co ja wycierpiałam... Boże, chroń ją, opiekuj się nią...”

Nagle pani Latter drgnęła. Na korytarzu rozległo się stąpanie kilku ludzi z ciężarem i głos Stanisława:

— Trochę wyżej... o tak... A teraz ty skręć, tylko ostrożnie z poręczą...

— Już niosą kufry — rzekła pani Latter.

— Widzi mama, dopiero niosą kufry — odezwała się w tej samej chwili panna Helena. — Spóźnimy się...

Pani Latter westchnęła.

— Mateczka jest jakby niezadowolona — mówiła panna Helena podnosząc się z kanapy i obejmując matkę. — Na próżno matuchna ukrywa się, bo ja widzę. Czy zrobiłam co złego?... Niech matuchna powie, bo inaczej zepsuje mi całą podróż... Moja złota... najdroższa...

— Ależ nic nie zrobiłaś — odparła pani Latter całując ją.

— Ja wprawdzie nie poczuwam się do niczego, ale może mateczka coś dostrzegła, co wydaje się jej niewłaściwym?... Niech mi matuchna powie wręcz...

— Czy nie rozumiesz, że sam twój wyjazd może mi... może mnie rozstrajać...

— Wyjazd?... — zapytała Helenka. — Alboż to na długo czy tak daleko?...

— Na długo! — powtórzyła pani Latter ze smutnym uśmiechem. — Pół roku, czy nie długo? A ile rzeczy może się stać przez ten czas...

— Boże! — roześmiała się panna Helena — mateczka zaczyna miewać przecucia?...

— Nie, kochanko, życie moje jest zanadto ujęte w karby, ażebym znalazła w nim miejsce na przecucia. Ale jest miejsce na tęsknotę...

— Za mną?... — zawołała Helenka. — Mama tak ciągle zajęta, że widywałyśmy się ledwie przez godzinę na dzień, a czasami i tego nie...

Pani Latter cofnęła się od niej, zamyśliła się i odpowiedziała, smutnie chwiejąc głową:

— Masz słuszność, widywałyśmy się ledwie przez godzinę na dzień, a czasem i tego nie!... Pracuję, wiesz przecie. Ale nawet nie widząc was jestem pewna, że jesteście blisko mnie i że was zobaczę, gdy znajdzie się wolna godzina... Ach, ile ja wycierpiałam, kiedy pierwszy raz przyszło mi żegnać Kazia, choć wiedziałam, że co kilka miesięcy mieć będę go w domu... Z tobą było mi jeszcze gorzej: ile razy wyszłaś na ulicę, myślałam z trwogą, czy ci się co nie stało, a każda minuta spóźnienia...

— Boże, jak matuchna musi być rozstrojoną! — zawołała ze śmiechem Helenka całując matkę. — Czy mogłabym przypuszczać coś podobnego...

— Bo nigdy nie mówiłam o tym, bo zamiast pieścić moje dzieci jak inne szczęśliwsze matki, mogłam tylko pracować dla nich. Ale sama zobaczysz mając własne, jaka to wielka ofiara trzymać się z dala od dziecka, choćby dla jego dobra...

Na korytarzu rozległy się kroki, a Helenka nagle zawołała:

— Ada już wychodzi!...

Pani Latter odsunęła się od córki.

— Jeszcze nie — rzekła sucho.

Potem usiadła na fotelu i spuściwszy oczy mówiła zwykłym tonem:

— Dam ci jeszcze dwadzieścia pięć rubli wyłącznie na marki, ale... pisuj do mnie co dzień.

— Co dzień, matuchno?... Przecież mogą być dnie, kiedy wcale nie wyjdę z domu... O czymże wtedy pisać?

— Mnie nie chodzi o opisy miejscowości, które mniej więcej znam, ale o ciebie... Zresztą pisuj, kiedy chcesz i jak chcesz.

— W każdym razie, dwadzieścia pięć rubli nie zmarnują się!... — rzekła z przymile- niem panna Helena. — Ach, te pieniądze... Dlaczego ja nie jestem wielką panią?...

— Masz kredyt u Ady, prosiłam ją... Ale, Helenko, bądź oszczędna... bądź oszczę- dna... Wiem, że potrafisz być rozsądną, więc w imię rozsądku jeszcze raz proszę cię: bądź oszczędna!...

— Matuchna przypuszcza, że ja będę garściami rozrzucać pieniądze?... — zapytała panna Helena robiąc grymasik.

— O tym nie myślę, bo na to nie masz. Ale obawiam się, ażeby ci nie zabrakło... Nasze położenie, widzisz... nasze położenie majątkowe nie pozwala na zbytki...

Panna Helena zbladła i pochyliła się na oparcie kanapy chwytając ręką za poręcz.

— Więc może ja... więc może lepiej nie jechać?... — spytała zdławionym głosem.

— Jechać możesz... Owszem, jedź i rozerwij się; ale pamiętaj, że podróż powinna być oszczędna. Mówię o naszym położeniu dlatego, ażeby cię uchronić od omyłek...

Panna Helena rzuciła się matce na szyję mówiąc ze śmiechem:

— A, rozumiem! Mateczka straszy mnie dlatego, ażebym była rozsądna i myślała o jutrze. Kto jednak zaręczy, że ja już dziś o tym nie myślę i że moja podróż nie opłaci mi się lepiej aniżeli wszystkie projekta Kazia?... Ja także mam rozum — dodała figlarnie — i kto wie, czy nie przywiozę mamie stamtąd bogatego zięcia... Przecież chyba warta jestem milionera...

Twarz pani Latter rozjaśniła się, oczy błysnęły; lecz wnet powrócił surowy spokój.

— Moje dziecko — rzekła — nie myślę ukrywać przed tobą, że jesteś piękna i masz prawo do najlepszych partyj, tak samo jak Kazio. Ale muszę cię ostrzec. Ja także byłam podobna do ludzi, miałam szczęście...

Podniosła się z fotelu i zaczęła chodzić po gabinecie.

— O, tak, miałam szczęście! — mówiła ironicznym tonem. — No, i wszystko mnie zawiodło, wyjąwszy pracy i zgrzyzot... Miłość stygnie, piękność mija, tylko praca i zgrzyzota zostają. Na nie możesz rachować, więcej na nic... W każdym razie — dodała zatrzymując się przed panną Heleną i patrząc jej w oczy — nic nie rób, nawet nic nie planuj, bez porozumienia się ze mną. Mam przeszłość tak bogatą w doświadczenie, że ono — przy- najmniej dzieciom moim powinno by oszczędzić zawodów. A ty masz tyle rozsądku, że powinnaś mi ufać.

Panna Helena objęła matkę za szyję i oparłszy głowę na jej ramieniu rzekła cicho:

— Więc między nami, mateczko, nie ma nieporozumień?... Mama nie gniewa się na mnie?...

— Skąd ci znowu przyszło do głowy... Będzie mi smutno, bardzo smutno... Ale jeżeli ty znajdziesz szczęście...

Do gabinetu zapukano. Wszedł służący i zawiadomił, że przyjechały karety.

— A czy kamerdyner pana Solskiego już jest? — zapytała pani Latter.

— Ten, co z panienkami ma jechać za granicę? Właśnie czeka.

— A Ludwika gotowa?

— Żegna się ze służbą, ale jej rzeczy już odeszły na kolej.

— Więc poproś pannę Adę, ażeby siadła z panną Magdaleną i z kamerdynerem, a my zaraz przyjedziemy z Ludwiką.

Służący wyszedł, pani Latter pociągnęła córkę do swojej sypialni, gdzie nad klęczni- kiem wisiał ukrzyżowany Pan Jezus z kości słoniowej.

— Dziecko moje — mówiła pani Latter zmienionym głosem — Ada jest szlachetną dziewczyną, jej miłość wiele znaczy dla ciebie, ale... nie zastąpi oka matki... Więc w chwili, kiedy wyrwywasz się spod mojej opieki, polecam cię Bogu... Pocałuj ten krzyż...

Helenka dotknęła krzyż ustami.

— Klękaj tu, dziecko...

Uklęka, trochę ociągając się i patrząc na matkę ze zdziwieniem.

— O co ja się mam modlić, mamó?... Czy to tak daleko, czy na tak długo wyjeżdżam?...

— Módl się o wszystko: ażeby Bóg cię nie opuścił, chronił cię od przygód i... ażeby dla mnie zesłał ukojenie... Módl się, Helu, za siebie i za mnie... Może Bóg chętniej wysłucha modlitwy dziecka.

Zdziwienie panny Heleny rosło. Klęczała na jednym kolanie i oparta o klęcznik, z niepokojem patrzyła na matkę.

— Czy zawsze jest się usposobionym do modlitwy?... — zapytała nieśmiało. — Po co to, matuchno?... Przecie Bóg i bez pacierza zrozumie nasze intencje, jeżeli... jeżeli je słyszy.

I z wolna podniosła się z klęcznika.

— Boże miłosierny... Boże sprawiedliwy!... — szeptała pani Latter chwytając się za głowę.

— Co mateczce jest?... Matuchno!...

— Nieszczęśliwa jestem — mówiła cicho — najniezszczęśliwsza z matek, bo nawet nie nauczyłam was modlić się... Tamten nie wierzy w nic, drwi... ty wątpisz, czy Bóg usłyszysz modlitwę, a ja... nawet nie umiem cię przekonać... Zaczyna się dla mnie dzień sądu z wami i ze wszystkim...

Pochwyliła córkę w objęcia i całowała ją płacząc.

— Ja chyba zostanę... — rzekła Helenka z rozpaczą w głosie.

Pani Latter odsunęła ją i otarła oczy.

— Ani mi się waży myśleć o tym!... Jedź, rozerwij się i wracaj doświadczeńsza... O, gdybyście wy znaleźli dla siebie odpowiednie stanowiska, byłabym szczęśliwa, choćby mi przyszło zostać gospodynią na jakiej pensji... Jedźmy... jestem rozdrażniona i mówię, sama nie wiem co.

— Ależ naturalnie, że matuchna jest rozdrażniona... Ja się tak zlekłam!... A mamie chyba przypominały się te dawne czasy, kiedy ludzie jadąc z Warszawy do Częstochowy albo nawet do Pruszkowa kupowali nabożeństwo za szczęśliwą podróż. Dziś nie ma ani takich niebezpieczeństw, ani naiwnej wiary... Matuchna sama czuje to doskonale...

Matka słuchała jej ze spuszczonej oczyma.

Wyszły do gabinetu i pani Latter dotknęła dzwonka. W chwilę ukazała się pokojówka Ludwika gotowa do drogi i zapłakana.

— Pomóż panience ubrać się — rzekła pani Latter. — Czego płaczesz?

— Bo strasznie jechać tak daleko, proszę pani — odpowiedziała szlochając. — Jeszcze panienci mówiły, że tam gdzieś ziemia się zakrzywia... Gdybym pierwej wiedziała, nie ważyłabym się na taki kraj świata... Tyle się tylko uspakajam, że już jest paszport i że zobaczę Ojca Świętego...

W kilka minut obie panie i Ludwika siadły do karety, pożegnane przez pensjonarki, które Helence ofiarowały bukiet z porady panny Żanety i kilkadziesiąt łez z własnego popędu, choć bez dostatecznej przyczyny.

W drodze pani Latter była milcząca, Helenka upojona. Przejeżdżając przez ulice oświetlone dwoma szeregami latarni i okien sklepowych, patrząc na ruch powozów, dorozek i omnibusów, na gęste łańcuchy przechodniów, których twarze ani ubiorów nie można było dojrzeć w pomroce, Helenka wyobrażała sobie, że już jest w Wiedniu albo w Paryżu, że już spełniło się jej marzenie tylu lat!...

W pobliżu dworca kolei i na dworcu tłok powozów był tak wielki, że kareta parę razy stawała. Nareszcie stanęła u podjazdu i panie wysiadły, a raczej utonęły w ciemnej fali tłumu, który kipiał u drzwi przysionka. Pani Latter była zakłopotana jak osoba, która rzadko widuje ciżbę; ale zachwyty Helenki wzrastał. Wszystko jej się podobało: zmarznięci dorozkarze, spoceni tragarze, obładowani futrami podróżni. Przypatrywała im się z ciekawością, odróżniając między nimi tych, co rwali się naprzód, i tych, którzy oglądali się za siebie, i nareszcie takich, którym było wszystko jedno, gdzie są: na dworcu czy w domu.

Jakże ją bawił zgiefk, tłok, potracanie — po tej ciszy i porządku, wśród którego dotychczas upływało jej życie.

„Oto jest świat!... Tęgo mi potrzeba!” — myślała.

Kamerdyner Solskiego zabiegł im drogę i wprowadził do sali pierwszej klasy. Trafiły na moment, kiedy Ada i pan Solski sadowili na kanapie swoją ciotkę od stóp do głów zawiniętą w aksamity i futra, spod których prawie nie było widać osoby, tylko słychać urywane francuskie zdania wyrażające obawę, czy noc nie będzie zanadto zimna, czy można spać w wagonie i wiele innych w tym rodzaju.

Pani Latter usiadła obok starej damy, a Helenka ledwie miała czas przywitać się z nią, gdyż została otoczona przez gromadkę osób, które chciały ją pożegnać. Pierwszy przysunął się profesor Romanowicz, piękny brunet. Podał Helence bukiet róż i melancholijnie patrząc w oczy rzekł półgłosem:

— I cóż, panno Heleno?...

— I już!... — odpowiedziała, śmiejąc się, zarumieniona Helenka.

— Jeżeli tak... — zaczął, ale musiał ustąpić panu Kazimierzowi Norskiemu, który wręczwszy bukiet Adzie podał siostrze pudełko cukierków mówiąc:

— Nie żegnam się z tobą, tylko do widzenia, najdalej za miesiąc.

— Do widzenia za miesiąc? — powtórzyła zdziwiona Helenka. — Przecie ty jedziesz do Berlina, nie do Rzymu...

— Berlin, Rzym, Paryż, to wszystko leży pod jednym dachem, kiedy się raz wyjedzie za granicę...

I cofnął się przed panną Solską, która po cichu spytała Helenkę, czy nie jest za lekko ubrana, i rumieniąc się szepnęła, że pan Kazimierz jej, Adzie, dał prześliczny bukiet.

Rozległ się pierwszy dzwonek, na peron zaczęli tłoczyć się pasażerowie drugiej klasy, a i w pierwszej otworzono drzwi. Helenka odciągnęła Madzię na bok.

— Wiesz — mówiła prędko — przed chwilą miałam scenę z mamą... istny wyjątek z dramatu!... Kazała mi klęknąć i modlić się, słyszałaś?

— Przecież modlimy się co dzień nawet przed pójściem do łóżka, a nie dopiero przed taką podróżą — odparła Madzia.

— Ach, ty i pensjonarki, wielka rzecz!... Ale nie o to chodzi... Mama wydała mi się bardzo rozstrojona, więc proszę cię, uważaj na nią i napisz mi, gdyby...

— Helu! — zawołała pani Latter.

Wszyscy zaczęli się żegnać. Pan Solski, ubrany tym razem w palto, podał bukiet Helenie, na którą gniewnie i melancholijnie spoglądał pan Romanowicz gładząc czarne wąsy. Ada rzuciła się na szyję Madzi, pan Kazimierz zajął się odtransportowaniem do wagonu aksamitnej ciotki. Ścisk, ruch, zgiełk powiększył się i Madzia ocierając łzy za Adą znalazła się na szarym końcu obok pana Romanowicza.

— Już rozumiem — rzekł piękny profesor — dlaczego panna Helena bagatelizuje dawnych adoratorów. Ma Solskiego...

— Co też pan mówi! — oburzyła się Madzia.

— Czyliż nie widzi pani jego bukietu i jej spojrzeń?... *Sapristi!* takiego bukietu jeszcze nie było na naszej kolei...

— Zazdrość mówi przez pana.

— Nie zazdrość — odparł z gniewem — ale znajomość kobiet w ogóle, a panny Heleny w szczególności. To mnie tylko pociesza, że jak ja dziś zbladłem przy panu Solskim, tak on zbladnie przy jakim zagranicznym magnacie albo...

Pociąg ruszył. Do Madzi zbliżyła się pani Latter i ciężko oparła się na jej rękę. Solski pożegnał obie panie z wielkim szacunkiem, a w chwilę po nim pan Kazimierz.

— Nie odwieziesz mnie, Kaziu? — zapytała matka.

— Jeżeli mateczka każe... Choć umówiłem się z hrabią...

— Umówiłeś się, to idź — szepnęła, mocniej opierając się na ramieniu Madzi.

Pan Romanowicz, który patrzył na nią z boku, ukłonił się grzecznie, ale z daleka, i odchodząc westchnął. W duszy Madzi powstała wątpliwość, za czym on wzdycha: za Helenką czy za dziesięciozłotowymi lekcjami u pani Latter? Ale natychmiast powiedziała sobie, że posądzając pana Romanowicza jest głupia i przewrotna — i to ją uspokoiło.

Kiedy wsiadły do karety i wracały do domu, pani Latter spuściwszy okno wychyliła się parę razy, jakby jej brakło powietrza, a potem zaczęła mówić prędko i z ożywieniem:

— To nic, niech się dziewczyna rozerwie. Ty przecie wiesz, Madziu, że ona nigdzie nie wyjeżdżała, a dziś i kobieta musi poznać świat. W podróżach żyje się prędzej, obserwuje

się ludzi i wartość życia. Jak to smakuje łóżko po nieprzespanej nocy w wagonie; a jak człowiek tęskni do domu po hotelach!... I prędzej chce wracać, aniżeli zdawało mu się przed wyjazdem...

Ostatnie zdania wypowiedziała ze śmiechem. Lecz ile razy w głąb karety padł blask mijanej latarni, Madzia spostrzegła na twarzy pani Latter przykry wyraz, który nie godził się ani z jej śmiechem, ani z wielomównością.

— Bardzo jestem kontenta — mówiła dalej pani Latter — że ty wracasz ze mną. Obecność dobrego człowieka przynosi ulgę, a ty jesteś dobre dziecko... Gdybym mogła mieć jeszcze jedną córkę, chciałabym ciebie...

Madzia milczała tuląc się w głąb karety i czując, że strasznie rumieni się. Ma też pani Latter za co chwalić ją, głupią i złą dziewczynę, która od koleżanek przyjmuje złote zegarki, a nie ma serca do Heleny!...

— Ty, Madziu, kochasz rodziców? — zapytała nagle pani Latter.

— Ach, pani!... — szepnęła Madzia nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— A przecie nie jesteś w domu już siedem lat...

— Ale jak bym chciała być!... — przerwała jej Madzia. — Teraz to nawet nie lubię jeździć na święta, bo kiedy przyjdzie wracać do Warszawy, zdaje mi się, że umrę z żalu... Choć mi tu bardzo dobrze.

— Płaczesz wyjeżdżając z domu?... — zapytała pani Latter niespokojnie.

Madzia zrozumiała, o co chodzi.

— To jest; ja płaczę — rzekła — bo jestem beksa... Ale gdybym miała rozum, to po cóż płakać?... Teraz zapewne nie płakałabym...

— I nie mniej kochasz rodziców, choć tak rzadko widzisz ich?

— Ach, pani, jeszcze więcej ich kocham... Naprawdę zrozumiałam, co to są rodzice, dopiero wówczas, kiedy mnie odwieźli na pensję i nie mogłam widywać ich co dzień...

— Matka pieściła cię?

— Czy ja wiem?... Alboż dziecko tylko za pieszczoty kocha? Moja mama nawet nie pieści nas tak jak pani Helenkę — mówiła Madzia wysilając się na dyplomację. — I przecież mama tak nie pracuje jak pani. A swoją drogą, kiedy sobie przypomnę, jak mama zajmowała się obiadem dla nas, jak z rana dawała nam bratki z mlekiem, jak cały dzień szła albo naprawiała nasze sukienki... Nie mogła nam dać nauczycieli i guwernantek, o, nie! ale my i za to ją kochamy, że sama nauczyła nas czytać. Wieczorami siadaliśmy przy niej: Zdzisław na krześle, ja na stołeczku, a Zosia na dywanie. To był taki prosty dywanik, mama uszyła go z kawałków... Więc wieczorami opowiadała nam mama różne rzeczy, nawet uczyła nas w ten sposób Pisma świętego i historii. Taka mała nauka, nie profesorska, a przecież my jej tego nigdy nie zapomnimy. Nareszcie sama oglądała nasze łóżeczka, czy dobrze posłane, klękała z nami do pacierza, a potem otulając nas i całując mówiła: „Spijcie z Bogiem, urwisy!...”. Bo ja, proszę pani, byłam taki urwis jak Zdzisław, nawet łąziłam po drzewach. Raz spadłam... Ale Zosia jest zupełnie inna, ach, jaka to kochana dziewczynka!...

Nagle Madzia umilkła spojrzawszy na panią Latter, która zasłoniła twarz rękoma, szepcząc:

— Boże! Boże!...

„Czy ja co złego mówiłam? — myślała przerażona Madzia. — O, ja jestem strasznie...”.

Kareta zatrzymała się przed domem. Kiedy wchodząc na oświetlone schody Madzia spojrzała na panią Latter, zdawało jej się, że twarz przełożonej jest wyrzeźbiona z drewna, taka była zimna i obojętna. Tylko oczy były większe niż zwykle.

„Musiałam powiedzieć straszne głupstwo... O, ja jestem nikczemna!” — mówiła do siebie Madzia.

## II. ZNOWU AWANTURA

Na drugi dzień pani Latter wezwała do siebie Madzię i rzekła:

— Przyprowadź tu Zosię Wentzel, panno Magdaleno, i sama przyjdź.



— Dobrze, proszę pani — odpowiedziała Madzia i serce zaczęło jej bić ze strachu. Oczywiście coś złego, kiedy pani Latter nazywa ją panną Magdaleną i ma w fizjonomii ostry wyraz, z jakim robi wymówki pensjonarkom.

„Naturalnie, że chodzi o Zosię” — pomyślała Madzia wiedząc, że przy upominaniu nauczycielki pani Latter ma inny wygląd. Niewiele przyjemniejszy, ale inny.

Kiedy Madzia zawiadomiła Zosię o rozkazie przełożonej, nie wspominając o swoich obawach, Zosia przyjęła to obojętnie.

— Domyślam się — rzekła wzruszając ramionami. — To on na mnie naskarżył.

— Kto?... pan Kazimierz?... — zawołała Madzia.

— Naturalnie. Odgadł, że nim pogardzam, i teraz mści się... Oni zawsze tacy; nieraz mówi mi to panna Howard...

Na schodach przeszła obok nich panna Joanna rzucając na Zosię jadowite spojrzenie.

— A co?... — zawołała Zosia klasnąwszy w ręce. — Czy nie mówiłam, że to robota tej piekielnicy?...

— Zosiu, w tej chwili mówiłaś, że to pan Kazimierz...

— Mówiłam o nim, ale myślałam o niej.

Kiedy zapukano do pokoju pani Latter, na dole rozległ się hałas: niższe klasy powracają z Foksalu z panną Howard. Madzia mimochodem spostrzegła, że dotychczas obojętna Zosia poczyna blednąć i żegna się ukradkiem.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze... — szepnęła Madzia czując, że sama jest w strachu.

Z dziesięć minut czekały w gabinecie przełożonej milcząc i nie patrząc jedna na drugą. Nareszcie weszła pani Latter. Starannie zamknęła drzwi za sobą, podała rękę Madzi, lecz ani spojrzała na piękne dygnięcie Zosi udając, że jej wcale nie spostrzegła. Potem usiadła przed biurkiem, Madzi wskazała kanapkę i zaczęła szukać czegoś w szufladkach. Owego czegoś nie było jednak ani w szufladzie prawej, ani w środkowej, ani w lewej dolnej; pani Latter bowiem pozasuwałszy je podniosła z biurka kilka arkusików listowego papieru, przepelnionego drobnym pismem, i zapytała:

— Co to jest?

Dotychczas błada Zosia zrobiła się pąsową i znowu zbladła.

— Co to znaczy? — powtórzyła pani Latter, zimno patrząc na Zosię.

— To... to jest... o *Nieboskiej komedii* Krasińskiego.

— Widzę. Domyślam się, że ową „jedyną” i „najdroższą” jest *Nieboska komedia*: ale któż jest ten „dozgonny”?... Spodziewam się, że nie Krasiński, więc kto?...

Zosia sposepniała, lecz milczała.

— Chcę wiedzieć, jaką drogą otrzymujesz te kursa literatury?

— Nie mogę powiedzieć — szepnęła Zosia.

— A kto jest autorem?...

— Nie mogę powiedzieć — powtórzyła Zosia nieco śmieiej. — Ale przysięgam pani — dodała podnosząc oczy i kładąc rękę na piersiach — przysięgam... że nie pan Kazimierz...

I zalała się łzami.

Pani Latter z zaciśniętymi pięściami zerwała się z fotelu, a Madzi pokój zaczął krząć w oczach. Lecz w tej chwili otworzyły się drzwi z loskotem i stanęła w nich panna Howard, groźna, rozplamiona, trzymając za rękę Łabęcką, która miała w fizjonomii wyraz smutku i zaciętości.

— Przepraszam, że w taki sposób wchodzę — rzekła panna Howard podniesionym głosem — dowiaduję się tu jednak pięknych rzeczy...

— Co pani każe? — zapytała pani Latter odzyskawszy zimną krew.

— Jedna z dam klasowych — mówiła panna Howard — niejaka panna Joanna, chwali się w tej chwili na górze, iż... jakby tu powiedzieć?... że — wyciągnęła — spod poduszki Zosi Wentzlównie pewne listy i że Zosia, którą tu widzę, ma być za to odpowiedzialną.

— Czy pani chce uwolnić ją od odpowiedzialności? — zapytała pani Latter.

— Uwolni ją sprawiedliwość pani — odpowiedziała zirytowana panna Klara. — Czy Zosia wyznała, czyje to są listy?...

— Nie! — wtrąciła energicznie Zosia.

— Jesteś szlachetną dziewczyną — mówiła z uniesieniem panna Howard nie uważając, że przełożona zaczyna tracić cierpliwość. — Te listy — ciągnęła — nie należą do Zosi, ale do Łabęckiej, która przychodzi tu ze mną przyznać się i uwolnić niewinną koleżankę...

Pani Latter zmieszała się. Iskry w jej oczach przygasły, głos stał się mniej twardym.

— Dlaczegoż Zosia sama nie powiedziała mi o tym? — rzekła.

— Bo czuła, że to należy do jej koleżanki, do Łabęckiej, która spełnia swój obowiązek, jak przystało na kobietę mającą poczucie ludzkiej godności! — deklamowała panna Howard. — Tam, gdzie nauczycielka sięga pod cudzą poduszkę...

— Panna Joanna jest protegowaną pani... ujmowała się pani za nią... — wtrąciła pani Latter.

— Ujmowałam się za istotą samodzielną; za kobietą, która walczy z przesądami... Ale taką, jaką dziś jest — pogardzam!... — zakończyła panna Howard.

Pomimo wybuchów Klary pani Latter uspokoiła się i rzekła do Łabęckiej wskazując na papiery:

— O ile widzę, jest to streszczenie *Komedii nieboskiej*. Ale kto ci je dał?

— Nie mogę powiedzieć... — szepnęła Łabęcka.

Panna Howard patrzyła na Łabęcką z triumfem.

Zdawało się, że ktoś puka do drzwi.

— Proszę! — odezwała się pani Latter.

Weszła Mania Lewińska. Miała twarz bladą, oczy prawie czarne, wylęknione i pełne łez. Zatrzymała się na środku gabinetu, dygnęła przed panią Latter i rzekła cichutko:

— To... moje listy... ja pożyczyłam je Łabęckiej.

Z długich rzęsów zaczęły jej spadać duże łzy. Madzia myślała, że na ten widok serce jej pęknie.

Od kilku sekund bardzo pilnie przypatrywała się Mani panna Howard. Nareszcie zbliżyła się do niej i położywszy na jej ramieniu dużą i kościstą rękę zapytała:

— Te listy pisane są do ciebie?... Kto je pisał?...

Nie doczekawszy zaś odpowiedzi zbliżyła się do biurka i spoza fotelu pani Latter spojrziała na rękopis.

— Ach, tak!... zgadłam — zawołała ze spazmatycznym śmiechem. — To pismo pana Kotowskiego... Nie przypuszczałam, że na to was zapoznają...

— Panno Klaro — wtrąciła pani Latter odsuwając papiery — podobno nie czyta się cudzych listów... To wreszcie nie jest list, ale jakieś wypracowanie...

— Ja też nie czytam — odpowiedziała panna Howard. — Robię więcej... Maniu — zwróciła się do Lewińskiej — zraniłaś mnie, ale ja ci... przebaczam!... Chodź ze mną, panno Magdaleno — dodała — czuję, że potrzebną mi będzie życzliwa ręka...

Na znak pani Latter Madzia podniosła się z kanapki i podawszy rękę pannie Klarze wyprowadziła ją z gabinetu, chwiejącą się jak kwiat podcięty.

— Idźcie na górę — rzekła pani Latter do pensjonarek dość łagodnie.

— Myślałam — szepnęła na korytarzu panna Klara — że jestem wyższa nad ludzi; ale dziś widzę, że tylko kobietą...

I pracowała powiekami usiłując wycisnąć z oczu parę łez, co Madzi wydało się bardzo zabawne.

Przy schodach zastąpił im drogę Stanisław mówiąc do panny Howard:

— Pan Kotowski już poszedł na górę.

Panna Klara wyprostowała się jak sprężyna. Zamiast opierać się na Madzi, szarpnęła ją za rękę i rzekła półgłosem:

— Chodź, pani, zobacz, jak zdepczę tego nędznika...

— Ależ, pani!... — zaprotestowała Madzia.

— O, nie, musisz pani być świadkiem, jak płaci zdrajcom kobieta samodzielna... Jeżeli po tym, co mu powiem, ten człowiek przeżyje do jutra, będę miała dowód, że jest łotrem, którego nie powinnam zaszczycać nawet moją pogardą.

Mimo oporu wciągnęła Madzię do pokoju, po którym szerokimi krokami spacerował bardziej niż kiedykolwiek rozczochrany student. Zobaczywszy pannę Klarę wyciągnął rękę z kieszeni i chciał przywitać się.

— Patrz pani — rzekła panna Howard głębokim tonem — ten człowiek wyciąga do mnie rękę!...

— A bo co?... — zapytał obrażony student, śmiało patrząc na pannę Klarę, która stała przed nim sztywna i blada.

— Korespondujesz pan z Manią poza moimi plecami i pytasz: co?... To ja powinnam zapytać: co robisz w mieszkaniu kobiety, którą oszukałeś?...

— Ja panią?... W imię Ojca i Syna...

— Nie usidlałeś pan mnie? Nie starałeś się...

— Jak Boga kocham, anim myślał!... — zawołał student bijąc się w piersi.

— Więc jakież cel miały pańskie wizyty?... — zapytała panna Klara już rozgniewana.

— Jaki cel, słyszy pani?... — zwrócił się do Madzi rozkładając ręce. — Taki sam cel jak dziś... jak zawsze... Przyniosłem pani korektę, ale...

— Korektę?... Mego artykułu o nieprawych dzieciach?... — zawołała panna Howard.

Madzia zdumiała się nad nagłą przemianą. Chwilę temu panna Klara była podobna do Judyty ścinającej Holofernesa, a teraz przypominała pensjonarkę.

— Ale jeżeli mają mnie spotykać takie awantury — mówił student — to dziękuję!... Do niczego nie chcę się mieszać...

Panna Howard znowu odzyskała uroczysty nastrój i głęboki ton głosu.

— Panie Władysławie — rzekła — raniłeś mnie pan śmiertelnie... Lecz gotowa jestem przebaczyć, jeżeli przysięgniesz, że... nigdy... nie ożenisz się z Manią...

— No, to ja pani przysięgam, że tylko z nią się ożenię — odparł student machając rękami i nogami w sposób nie licujący z powagą sytuacji.

— Więc pan zdradzasz postęp... sprzeniewierzasz się naszemu sztandarowi...

— Co mi tam postęp... sztandar!... — mruknął wichrząc już powichrzoną czuprynę.

— Oto ma pani dowód męskiej logiki! — rzekła wyniośle panna Howard zwracając się do Madzi.

— Męska logika... męska logika!... — powtarzał pan Kotowski. — W każdym razie nie układały jej kobiety...

— Widzę, panie Kotowski, że z panem nigdy nie można rozmawiać poważnie — przerwała mu panna Klara tonem tak swobodnym, jakby w tej chwili spotkało ją coś bardzo wesołego. — Ale mniejsza — dodała. Czy pomimo to, co pomiędzy nami zaszło, pomożesz mi pan do zrobienia korekty?

— Taka pani samodzielna, a nawet korekty zrobić nie umie... — odparł student, ciągle obrażony i posępny.

— Ja państwa pożegnam — szepnęła Madzia.

Pan Kotowski chmurnie podał jej rękę wyciągając drugą z wyszarzanego munduru plik papierów i oglądając się za krzesłem.

## 12. NUDNE ŚWIĘTA

Nie było jeszcze dla Madzi tak przykrych świąt Bożego Narodzenia jak w tym roku.

Smutno było i pusto. Pusto w gabinecie Heli i w mieszkaniu Ady, którego nikt nie zajmował, pusto w sypialniach, jadalniach i salach wykładowych, pusto w mieszkaniach nauczycielek. Panna Howard całe dnie spędzała u znajomych, panna Żaneta u starej kuzynki, Joasia wyjechała na kilka dni, pani Méline zwichnęła rękę i leżała w lazarecie, a pani Fantoche w sam dzień Nowego Roku podała się do dymisji i przeszła na inną pensję.

Niekiedy Madzia słysząc na salach i korytarzach rozgłośnie echa własnych kroków przerażała się. Zdawało jej się, że żadna pensjonarka już tu nie wróci, że stoły i ławki zawsze będą pokryte pyłem, a łóżka nagimi materacami, że zamiast gwaru dziewcząt będzie słyszała własne kroki, a zamiast nauczycieli i dam klasowych spotykać będzie tylko panią Latter, jak z zaciśniętymi ustami przemyka się po korytarzach albo zagląda do pustych sypialni.

Czy może i ona myśli, że już nikt nie wróci po świątach, i czy ten dziwny wyraz jej oczu nie wyraża obawy?

Z panią Latter nie było dobrze. Stanisław i panna Marta mówili, że nie sypia po nocach, a doktor zalecał kąpiele, dłuższy odpoczynek i kręcił głową. Nieraz Madzia znajdowała przelożoną siedzącą bez ruchu, z oczyma utkwionymi w ścianę, parę razy słyszała,

jak pani Latter wybiega na korytarz i pyta Stanisława, czy nie przyjechał pan Kazimierz ze wsi albo czy nie ma listu.

Madzi zdawało się, że pani Latter jest bardzo nieszczęśliwa i — jako właścicielka pensji, i — jako matka. Wobec tej zgryzoty nie wypowiadającej się żadną skargą Madzia łatwiej przenosiła swoją samotność i nieszczęśliwe wieści od własnej rodziny. Jej matka wręcz narzekała na ciężkie czasy, ojciec wciąż łudził się nadziejami, brat pisał o wielkości filozofii pesymistycznej i pożytkach zbiorowego samobójstwa, a Zochna zapytywała: kiedy może przenieść się do Warszawy?

Ale około dziesiątego stycznia nastąpiła zmiana. Przyjechało kilkanaście pensjonarek, rodzice ich zaczęli miewać z panią Latter konferencje, z których każda kończyła się wycięciem sznurowego kwitu; z poczty nadeszło kilkanaście piędziennych listów. Jeden bardzo zdziwił i ucieszył panią Latter, choć zawierał tylko sto pięćdziesiąt rubli; odesłała je z mnóstwem podziękowań dawna uczennica donosząc, że wyszła za mąż i spłaca dług zaciągnięty przez jej rodziców.

Ale radość trwała niedługo. Na drugi dzień bowiem, kiedy pensjonarki zajęte były w klasach wypracowaniami i powtarzaniem lekcji, do jednej sypialni weszła panna Marta ze służącymi i kazała wynieść dwa łóżka. Usłyszawszy chrzęst żelaza zaciekawiona Madzia wbiegła do sypialni i spotkała pannę Howard i Joasię stojące do siebie bokiem. Panna Marta zaś opowiadała półgłosem, że wyprowadzają się obie Korkowiczówny, których rodzice mają duży browar na prowincji.

— Pamięta pani tę tłustą Korkowiczową, co tu była w jesieni i chciała, ażeby jej córki uczyły się malować pastelami? — rzekła panna Howard do Madzi.

— Jest to pierwszy skutek tego, że niektóre uczennice korespondują ze studentami — wtrąciła panna Joanna.

Pannie Howard pożółkły włosy i poczerwieniła szyja.

— Jest to, widzi pani — rzekła do Magdaleny — skutek tego, że niektóre damy klasowe sięgają pod poduszki uczennic i wykradają cudze listy.

— Mówię ci, Madziu — odparła Joasia nie patrząc na pannę Howard — że stracimy jeszcze więcej pensjonarek i przychodnich, jeżeli zostanie tu Lewińska... No i te osoby, które z pensji roznoszą plotki po mieście...

Teraz panna Howard zwróciła się frontem do panny Joanny i patrząc na nią bladymi jak lód oczyma rzekła prawie basowym głosem:

— Masz pani słuszność... Osoby, które roznoszą plotki, powinny być wypędzone z pensji jak te, które nocami wałęsają się po restauracjach... Ja z tymi osobami kolegować nie myślę...

Madzia zasłoniła uszy i uciekła z sypialni, w której na szczęście nie było nikogo ze służby. Przypomniała sobie, że od paru dni coś nowego kluje się na pensji i że może być awantura. Mania Lewińska była już w Warszawie, lecz jeszcze mieszkała u znajomych z swym opiekunem, który dwa razy odwiedzał panią Latter. Widocznie pani Latter nie chciała przyjąć Mani, bo jednocześnie pan Władysław Kotowski onegdaj, wczoraj i dziś przybiegał do panny Howard, zapewne prosząc ją o poparcie.

Madzia miała proroczego ducha. W tej samej bowiem porze siedziała pani Latter w swoim gabinecie, otoczona księgami i notatkami, układając plan, do którego wchodziła Mania Lewińska i jej opiekun. Od kilku dni myśli przelożonej krążyły około jednej idei, która nie dawała jej zasnąć wieczorem, gorączkowała w nocy, budziła przed świtem i pochłaniała uwagę przez cały dzień.

Pani Latter przeglądając osobiste notatki mówiła do siebie po raz setny: „Popęniłam błąd pożyczając od Ady tylko sześć tysięcy rubli; powinnam była wziąć dziesięć tysięcy...

Niepotrzebnie ceremoniowałam się; Ada jest tak bogata, że jej to różnicy nie zrobi... A dziś co?... Liczyłam, że zostanie mi dwa tysiące czterysta rubli, tymczasem zostało ledwie tysiąc trzysta, które muszę dać Kaziowi... Za mieszkanie muszę zapłacić tysiąc pięćset — skąd?... Korkowiczówny ubyły (niewielka szkoda; urwano by mi na nich sto rubli za półrocze...), a ile jeszcze ubędzie przychodzących?... I to wszystko dzięki Mani!... Jej opiekun ma kosztowną wychowanicę!...

A teraz — co dalej?... Od Solskich nic już wziąć nie mogę... Hela jest u nich, ma widoki na Solskiego (czy się tylko nie łudzi?)... Ach, nieostrożna dziewczyna!... Tym

pożyczkami zaciąganyymi u Ady (po kilku tygodniach!) mnie szkodzi i może popsuć własne zamiary... Tak prosiłam ją: Helenko, bądź oszczędna!... Zatem na Adę rachować nie mogę, więc na kogo?... Rozumie się, że mam prawo, a nawet obowiązek zwrócić się do Mielnickiego. Powiem mu wręcz: panie, wychowanicy twojej nie wydałam z pensji, bo mi jej żal; zwróć pan jednak uwagę, że przez nią poniosłam ciężkie straty. Nie mówię w tej chwili jako pani Latter, ale — jako kierowniczka instytucji społecznej, którą winniśmy wszyscy podtrzymywać... Potrzebuję na rok pożyczki czterech tysięcy rubli, dam sześć lub siedem procent, ale pan mi tej sumy dostarczy... Przemawiam śmiało, gdyż nie jest to sprawa moja, ale publiczna...”

Nagle wstała od biurka i schwyciła się za głowę.

„Ja chyba rozum tracę!... Co ja myślę?... Przecież byłoby to gorsze od żebraniny, żebranina z pogroźkami... On, człowiek szlachetny, przywiązany do mnie, co pomyśli?...”

Przeszła się po gabinecie z zarumienioną twarzą i wzduszając ramionami szepnęła:

„Co mnie obchodzi, co on sobie pomyśli?... Słuszność jest za mną, a on jest tyle delikatny, że mi nie odmówi... Za wiele prawil o gotowości poświęcenia się dla mnie” — dodała z uśmiechem.

W tej chwili zapukano i nie czekając na wezwanie weszła panna Howard.

„Znowu coś dramatycznego!” — pomyślała pani Latter patrząc na nauczycielkę.

— Przychodzę w ważnej sprawie i... drażliwej — rzekła panna Howard.

— Widzę to i słucham.

— Pozwoli pani, że przede wszystkim zapytam: czy prawda, że pani nie chce przyjąć na pensję Mani Lewińskiej?

Pani Latter zmarszczyła brwi, ale na jej twarzy nie było gniewu.

— Błagam panią — mówiła panna Klara — nie gub tego dziecka... Korespondencja z panem Kotowskim, jak pani wie, była całkiem niewinna i ogranicza się do dwu listów, a raczej... artykułów... Jeden o *Komedii nieboskiej*, drugi o *Irydionie*... Może tam są uboczne wzmianki, ale pamięta pani, jakim one tonem były pisane?... Gdyby pani wydała Manię, biedny chłopak odebrałby sobie życie. Taki zdolny... uczciwy... Czekam u mnie na wyrok pani...

— Ach, pan Kotowski jest na górze?... O trzeciej miał u mnie zobaczyć się z opiekunem Mani — rzekła pani Latter.

— Właśnie na to czeka w moim pokoju i o trzeciej tu będzie.

— Zapewne... Zobaczymy — odpowiedziała pani Latter. — Jeszcze waham się, ale... jeżeli pani zna tego młodzieńca i ręczy, że się to nie powtórzy...

Panna Klara spostrzegła jakiś szczególny rys w wyrazie twarzy pani Latter; nie zważając jednak na to podała przełożonej rękę i rzekła tonem stanowczym:

— Pani, w zamian za zatrzymanie Lewińskiej znajdzie pani we mnie najwierniejszą przyjaciółkę...

— Będę miała zupełną nagrodę — odparła pani Latter.

— Dam pani zaraz tego dowód, a nawet dwa. Naprzód Malinowska od wakacyj chce otworzyć własną pensję, ja zaś będę się starała skłonić ją do innej kombinacji...

Pani Latter pobladła i machinalnie uściśniła rękę panny Howard.

— Po wtóre... po wtóre powiem to, czego w żadnym innym razie nie powiedziałabym... Idąc teraz do pani miałam zamiar postawić kwestię tak: niech pani wybiera pomiędzy mną a Joanną... Ale w tej chwili postawię ją inaczej...

Zbliżyła się do pani Latter i patrząc jej w oczy rzekła z wolna:

— Niech pani uwolni Joannę... Pobyt jej na tej pensji jest bardzo szkodliwy...

Pani Latter usiadła na kanapce.

— Czy... czy pani słyszała co? — rzekła półgłosem.

— Trudno nie słyszeć, jeżeli o czymś mówią w mieście i na pensji tak dobrze nauczycielki jak służba, a nawet uczennice...

Umilkła i patrzyła na przełożoną.

— Ach, głowa moja, głowa!... — szepnęła pani Latter ściskając rękoma skronie. — Czy pani, panno Klaro, miewa kiedy takie migreny, że zdaje się, iż samo myślenie sprawia ból fizyczny?...

Zamknęła oczy i siedziała myśląc, że chyba za długo ciągnie się wizyta panny Howard. Dlaczego kto nie dzwoni, nie przychodzi i nie mówi o innych interesach, choćby o swoich własnych?

— Pani nie jest zdrowa — odezwała się panna Klara.

— Już zapomniałam, jak wygląda zdrowie...

### 13. STARY I MŁODY TEGO SAMEGO GATUNKU

Do przedpokoju zadzwoniono i panna Klara opuściła gabinet. Pani Latter głęboko odetchnęła zobaczywszy, jak rozplyła się między portierami wysoka figura nauczycielki.

„Mielnicki!” — pomyślała słysząc ciężkie tupanie i zdejmowanie dużego futra w przedpokoju.

Jakoż wszedł jegomość otyły i rumiany, w jasnych spodniach i rozpiętym surducie, z grubą dewizką na kamizelce i grubą fałdą na karku.

— A cha, cha!... — zaczął jegomość obcierając siwe wąsy z mrozu. — Rączki całuję ubóstwianej pani... cha, cha!... O, cóż to znaczy?... Mizernie moja pani wygląda... Niezdrowiśmy, co?... Do licha, trzy dni patrzę na panią i co dzień widzę zmianę... Gdybym to ja mizerniał, byłoby, mościa dobrodziejko, zrozumiałe: zwyczajnie zakochany. Ale pani...

Pani Latter uśmiechnęła się i patrząc na niego z kokieterią, rzekła:

— Mizernieję, bo nie sypiam... Nie mogę spać...

— O, to niedobrze. Gdybym ja nie sypiał... A radziła się też pani kogo?

— Nie wierzę w lekarstwa.

— Jeszcze jedna cnota! — zawołał jegomość, gwałtownie całując ją po rękach. — A ja myślałem, że w takim skarbie, jakim bez zaprzeczenia jesteś pani dobrodziejka, że w takiej skarbnicy zalet nie dopatrzę już nic nowego, chyba — po ślubie.

— Znowu niedorzeczność! — przerwała pani Latter przesywając go spojrzeniami, pod którymi jegomość wił się jak w ogniu.

— Nie mogę być dorzecznym, kiedy mi serce, mościa dobrodziejko, wysycha... Ale mniejsza o mnie... Otóż, skoro pani nie zażywasz doktorów, ja pani zapiszę lekarstwo na bezsenność. Ale ręka i słowo, że pani spełnisz zalecenia.

— Zobaczę, jeżeli nie będą bardzo złe.

— Będą wyborne! Bo to moje lekarstwo, mościa dobrodziejko, składa się z dwóch doz, jak pigułki Morissona.

— A więc?...

— A więc radykalnym lekarstwem na bezsenność będzie dla pani — wyjście za męż... To radykalne... Bo pani, mościa dobrodziejko, przeszkadzają spać jej własne oczy, przy których, jakem uczciwy, mógłbym czytać gazety po ciemku. Tak świecą i palą...

— A to drugie lekarstwo?

— To drugie, tymczasowo, pozwoli pani, że przyszlę dziś... Mam kilka butelek wina tak doskonałego, że nie znajdziesz pani nawet u Fukiera... Jeden kieliszek do poduszki i bywaj zdrów!... Armatami nie zbudzą pani do rana...

Rada ta zrobiła na pani Latter mocne wrażenie.

— Tylko, proszę, niech pani prezenciku nie odrzuca, bo będę uważał za chęć zerwania stosunku...

— Ależ nie odrzucam, przyjmuję i dziś jeszcze spróbuję — odpowiedziała ze śmiechem pani Latter podając mu rękę, którą znowu ucałował.

„Gdybyś w tak natarczywy sposób zmusił mnie do przyjęcia pożyczki, o, to byłbyś wielbiciele!... droższy od Romea...” — pomyślała pani Latter dodając głośno:

— Zdaje się, że wszedł do przedpokoju ten młody człowiek...

Jegomość nagle zasępił się.

— A, więc przyszedł?... Phy, widzę, chwyt chłopak. Bo ja, kiedy tu szedłem, byłem tak wściekły, że mówię pani dobrodziejce, bałem się samego siebie... Dopiero jej słodki obraz...

— Zostawię panów — rzekła pani Latter wrywając rękę z uścisków jegomości. Potem zadzwoniła, a gdy ukazał się Stanisław, zapytała:

— Czy jest ten młody pan?

— Pan Kotowski, jest.

— Poproś.

Pani Latter znikła w dalszych pokojach, a po chwili do gabinetu wszedł student. Był blady, miał obficie wypomadowaną głowę, na której mimo to podnosiło się kilka wicherków gęstej czupryny... Miętosząc w rękę czapkę kłaniał się i chrząkał.

Otyły jegomość, którego rumieńce miały teraz barwę popielatą, podniósł się z kanapy, wsadził obie ręce w kieszenie spodni i przypatrywał się figurze studenta oglądając po kolei jego wytarty mundurek, mizerną twarz i wypomadowane włosy. Nareszcie odezwał się grzmiącym głosem:

— No, i co mi pan powiesz?

— Pan mnie wezwał...

— Ja go wezwałem, paradny sobie!... Pan wiesz, przed kim stoisz?... Jestem Mielnicki, Izidor Mielnicki, opiekun i wuj Mani... panny Marii Lewińskiej... Cóż pan na to?...

Student pochylił głowę i machnął ręką, ale milczał.

— Widzę, że pan wymowny jesteś tylko w listach do pensjonarek.

— Niekoniecznie... — odparł student, ale pomiarkowawszy się milczał dalej.

— Zgubiłeś acan dziewczynę...

Teraz młody człowiek nagle podniósł głowę i kłaniając się niezręcznie, rzekł:

— Proszę pana... o rękę panny Marii...

Znowu ukłonił się i przejechał palcami po upomadowanej czuprynie, na której utworzyło się kilka połyskujących smug i jeszcze jeden wicherok.

— Czyś pan oszalał?... — wykrzyknął jegomość. — A cóżes to za jeden?

Młody człowiek podniósł głowę.

— Jestem Kotowski, nie gorszy od Mielnickich... A w jesieni już będę lekarzem.

— Głupia profesja!

— Ha, proszę pana, bywają rozmaite... Nie każdy ma folwark.

— Ale bardzo wielu reflektuje na cudzy.

Teraz student zhardział.

— Proszę pana, nie ja reflektuję na folwarki, a tym mniej na pańskie. Wiem, że panna Maria jest uboga, i z nią się żenię, nie z folwarkiem.

— A jak ja nie pozwolę?

— Przecież ja się ożenię z panną Marią...

Stary szlachcic kręcił głową.

— Proszę pana — rzekł — jak pan możesz bałamucić dziewczynę, sam utrzymania nie mając?

— Ale będę miał. Pojadę na jakiś czas za granicę...

— Fiu!... a skąd pieniądze?

— Z tej samej kasy, która utrzymywała mnie w gimnazjum i w uniwersytecie... — odparł zirytowany student.

Stary jegomość zaczął chodzić po gabinecie śpiewając: ta, ta, ta!...

— Pojedzie za granicę... pieniędzy nie ma... ta, ta, ta!... — mruczał szlachcic. — No — rzekł nagle — a jak nie pozwolę wyjść Mani za pana?

— Mamy czas.

— Ale... jeżeli ja wypędzę ją z domu na cztery wiatry?...

— Musi dać sobie radę. Zresztą ja od wakacyj mogę zacząć praktykę.

— I truc chorych...

— Dlatego wybieram się za granicę, ażeby ich nie truc.

— I ażeby potem zabrać mi dziecko, które ja wychowałem, nie pan, panie... panie... — wybuchnął szlachcic.

— Kto wie, co jeszcze będzie. Może ja i panna Maria wywdzięczymy się za to, co pan dla niej zrobił.

Jegomość zamyślił się.

— Ile pan masz lat? — spytał po chwili.

— Dwadzieścia pięć.

— Dwa lata za granicą!... całe szczęście, że przez ten czas zapomnisz pan o dziewczynie, a ona o tobie.

— Nie.

— Co to jest nie?... A jak nie skończysz tam kursów?

— Skończę.  
— Wariat pan jesteś!... Możesz przecie umrzeć.  
— Nie umrę.  
— *Kyrie eleison!* — zawołał szlachcic podnosząc ręce do góry.  
— Gadasz tak, jakbyś z Panem Bogiem zrobił kontrakt. Każdy może umrzeć...  
— Ale ja nie umrę, dopóki nie ożenię się z panną Marią — odpowiedział student z pewnością, która zastanowiła Mielnickiego.

Stary chodził po gabinecie i parskał jak koń. Lecz nie mógł znaleźć argumentu przeciw człowiekowi, który z niezachwianą wiarą twierdził, że pojedzie kończyć edukację za granicę, nie umrze i ożeni się z panną Marią.

— Z czego się pan utrzymujesz?  
— Daję lekcje... Trochę piszę...  
— Piękne teraz rzeczy piszecie!... A ile masz z tych lekcyj?  
— Mam dwadzieścia pięć rubli miesięcznie.  
— I z tego żyjesz, płacisz komorne?... Cha, cha, cha!...  
— Nawet bywam w teatrze, jeżeli mi się podoba.

Stary szlachcic precz chodził, ruszał ramionami i złościł się. Wreszcie znowu zapytał:

— Gdzie pan jadasz?  
— Rozmaicie. U „Honoratki”, „Pod Papugą”, w taniej kuchni, jak można.  
— I wyjedziesz za granicę.  
— Wyjadę.

— Apopleksja mnie zabije przez tego półgłówka! — zawołał jegomość. I nagle zatrzymawszy się przed studentem rzekł:

— Ja z panem skończę w dwóch słowach... Przyjdź acan jutro na obiad do Europejskiego Hotelu o dwunastej...

— Nie będę mógł o dwunastej, mam klinikę.  
— Więc o której?  
— Po pierwszej.

— No, to... przyjdź trochę po pierwszej do Europejskiego Hotelu, rozumiesz acan?... Ja panu muszę wybić te brednie z głowy... Nie ma całych portek i wyjeżdża za granicę... cha, cha, cha!... Chce się żenić i nie umrze!... No, wiecie państwo, jak żyję, nic podobnego nie słyszałem. Bądź acan zdrow, a nie zapomnij zaraz po pierwszej, bo nikt dla twojej przyjemności głodem morzyć się nie będzie... Bądź zdrow.

Z tymi słowy nie patrząc na studenta podał mu dwa tłuste palce, a trzecim z lekka uściśnął go za rękę.

Gdy Kotowski opuścił gabinet, weszła uśmiechnięta pani Latter i obrzucając szlachcica powłóczyłym spojrzeniem rzekła:

— Dobre pan jednak musiał powiedzieć kazanie temu młodzikowi, bo aż do mego pokoju dolatywały pojedyncze wyrazy...

— Gdzie tam, mościa dobrodziejko! Owszem, teraz zrozumiałem, że taka bestia, taki dziki zwierz mógł dziewczynie zawrócić głowę. Imaginuj sobie, pani dobrodziejka, że on gada o przyszłości, jakby miał umowę z Panem Bogiem! Pojadę, mówi, za granicę, nie umrę, mówi — słyszała pani?... i jeszcze, mówi, ożenię się z panną Marią. Gadajże z takim!... Słuchając tego doznawałem, powiadam pani dobrodziejce, obawy, po prostu lękałem się... Bo jedno z dwojga: albo ten człowiek bluźni i na nas wszystkich sprowadzi pomstę bożą, albo... albo on ma taką wiarę, która góry przenosi. A jeżeli, proszę pani, on ma taką wiarę, i on ją ma, ja to czułem słuchając, więc... co my jemu możemy zrobić?... Wobec takich ręce opadają, bo człowiek widzi, że on zrobi, co zechce, i jeszcze innych pociągnie za sobą.

Pani Latter rumieniec wystąpił na twarz i błysnęły oczy.

— O, tak — odpowiedziała — kto ma wiarę, temu nic się nie oprze...

Szlachcic strzelił z palców i nagle chwytając obie ręce pani Latter zawołał:

— Złapałaś się, mościa dobrodziejko! Otóż i ja, choć niezgrabny i... trochę starszy od tego smarkacza, mam wiarę... Musisz wyjść za mnie, a nie wyjedziesz dobrowolnie, to cię porwę jak Rzymianie Sabinki... Nie uśmiechaj się, pani... Palmerstonowi, choć był o dwadzieścia lat starszy ode mnie, wytoczyła jedna, mości dobrodzieju, proces o...



tego... Więc jeszcze ze dwadzieścia lat mamy przed sobą i Bóg mi świadek, zrobilibyśmy głupstwo nie korzystając...

Pociągnął ją na kanapkę i pomimo lekkiego oporu objął wpół.

— Nie traćmy czasu, mościa dobrodziejko, bo to grzech. Ja marnuję się, wreszcie i gospodarstwo nie tak idzie, jak powinno; a pani tracisz zdrowie, wdzięki, nawet sen borykając się z tą pensją, która ci nic dobrego nie przyniesie. Wierzaj mi, nic dobrego... Wiem, co gadają na mieście...

Pani Latter zbladła i zachwiała się. Stary szlachcic oparł jej głowę na swoim ramieniu i mówił:

— Rzuć pensję od wakacyj!... Córkę wydamy za mąż; wynajdziemy jej takiego jak Kotowski, co to pcha się, bestia, naprzód, nie pytając... Syn weźmie się do roboty, to mu zaraz wywietrzeje z głowy elegancja... A więc raz, dwa, trzy... i — zgoda!...

— Nie mogę... — szepnęła pani Latter.

— Co to jest, nie mogę? — oburzył się szlachcic. — Kobieta tak zbudowana jak pani... Cóż to, masz obowiązki, męża?...

Pani Latter wstrząsnęła się i podniósłszy na niego oczy pełne łez szepnęła:

— A gdyby... a gdyby?...

— Gdybyś miała męża?... — odparł nieco zdziwiony. — No, to pał go szczęście!... Mąż, który przez całe wieki nie pokazuje się, nie jest mężem... Wreszcie cóż to, nie ma rozwodów?... A jak będzie trzeba, to potrafię strzelić w łeb... Tylko powiedz szczerze, co jest?

Pani Latter płacząc schwyciła go nagle za rękę i serdecznie ucałowała.

— Nie dziś — rzekła — nie dziś... Opowiem kiedy indziej... Dziś niech mnie pan już o nic nie pyta — mówiła drżąc i szlochając. — Nikt by nie przypuścił, nikt by nie uwierzył, jaka jestem nieszczęśliwa i opuszczona... Krąży około mnie, bo ja wiem, chyba ze sto osób; a nie mam żywej duszy, której mogłabym powiedzieć: patrz, ile ciężarów i cierpień dźwigać musi jedna kobieta...

Szlachcicowi poczerwieniały oczy.

— Widzi pan — mówiła patrząc na niego z obawą — ledwie pan do mnie serdecznie przemówił, a już płacę za to niepokojem... Nie mnie myśleć o małżeństwie!... Ach, ale gdyby pan wiedział, jak potrzebuję człowieka, przed którym mogłabym się poskarżyć choć... czasami... Widzi pan, ucieknij pan ode mnie i już na schodach powie sobie: po co ja się wdałem z tą nieszczęśliwą?...

Mielnickiemu łzy spływały na siwe wąsy. Odsunął się od pani Latter, wziął ją za rękę i rzekł:

— Przysięgam na Boga, że nic nie rozumiem; ale tak mówisz pani do mnie, że wolałbym, ażeby mi nóż w serce wbili i jeszcze świdrowali nim... Do licha, przecie zbrodni nie popełniłaś?... Mówże, pani!...

— Zbrodni?... — powtórzyła pani Latter. — Skąd podobne myśli? Jeżeli nieszczęście i praca jest zbrodnią, no to tak, ale nic innego.

— At! — machnął szlachcic ręką — naczytał się człowiek romansów i coś mu się snuje po głowie. Wybacz, mościa dobrodziejko... ale jeżeli sumienie masz czyste...

— Mam, niech mnie Bóg sędzi! — odparła kładąc rękę na sercu.

— Cha, cha, cha!... — zaśmiał się stary jegomość. — No, więc po co te łzy i trwożga?... Nie pytam się o nic, bo mi pani sama kiedyś opowiesz, co cię boli, ale... Wstydz się, kobieto małej wiary!... To pani myślisz, że tylko takie smyki, jak Kotowski, mają odwagę?... Tylko oni mogą powiedzieć: nie umrę, dopóki nie zrobię tego a tego?... A toż chyba Opatrzności Boskiej nie byłoby na świecie, gdyby kobieta nieszczęśliwa, i jeszcze taka jak pani, nie miała komu zaufać!... Pluć na zgryzoty, mościa dobrodziejko; dopóki ja żyję, włos nie spadnie ci z głowy... Wyjdiesz za mnie czy nie wyjdiesz, zależy od ciebie... Ale od czasu, kiedy zapłakała w mojej obecności, nie powiesz, że jesteś sama... Ja z tobą!... serce moje, ręka, majątek... wszystko należy do ciebie... Potrzeba ci czego, mów... Zrobię, jak zbawienia pragnę. No?...

Pani Latter siedziała ze spuszczonej oczyma. Wstyd ogarnął ją na myśl, że nie dawniej jak przed godziną miała zamiar pożyczyć od tego człowieka cztery tysiące rubli w zamian za utrzymanie na pensji jego wychowawicy. Skąd jej przyszedł taki szalony projekt!...

— Może pani potrzebujesz pieniędzy — badał jegomość — bo nieraz pieniądź jest źródłem najcięższych kłopotów?... Rozkaż tylko: ile chcesz... Dwieście, pięćset rubli, a w razie wielkiej potrzeby, to i tysiąc znajdę na usługi...

Silny rumieniec wystąpił na twarzy pani Latter. Dla tego człowieka tysiąc rubli stanowi poważną sumę, a ona chciała wydobyć cztery tysiące...

— Więc ile? — nalegał szlachcic — bo czuję, że na dnie zgryzot leżą pieniądze niewarte jednej łzy pani, a nie dopiero bezsennych nocy.

Pani Latter podniosła głowę.

— Pieniądze mam — rzekła — ale często brak mi rady, a choćby tylko widoku życzliwego człowieka. Są to rzeczy gorsze aniżeli niedostatek...

— Żartuj pani z tego i wiedz, że masz we mnie sługę, który w ogień i wodę pójdzie za tobą. Nie nalegam dziś, bo pani sobie nie życzysz, ale proszę o jedno: gdy będziesz w potrzebie, choćby nawet chodziło... no, już nie wiem o co, odwołasz się do mnie. Dom mój wystarczy dla nas dwojga, tylko porzuć tę pensję, która ci życie zatruwa. Im prędzej ciśniesz ją, choćby ci nie zostało na owinięcie palca, tym lepiej zrobisz.

Podniósł się z kanapy, chcąc już iść.

— A gdybym kiedy — rzekła smutno pani Latter — gdybym kiedy naprawdę zapukała do drzwi pańskich?... Bo przecież mogę wszystko stracić...

— Trać, aby prędzej, i przyjeżdżaj — odparł. — Kiedykolwiek zajedziesz: w dzień czy w nocy, zastaniesz gotowe mieszkanie... Nie chcesz być moją żoną, możesz jednak być panią mego domu i gospodarstwa, które potrzebuje kobiecej ręki. Na pensję pluń... dość tych borykań się, przy których tracisz sen, a zapewne i apetyt!

Ucałował jej rękę i biorąc za klamkę drzwi dodał:

— Pamiętaj pani: masz swój własny dom! Ciężką krzywdę zrobiłabyś staremu nie rachując na mnie jak na Zawiszę. Nie tylko tacy smarkacze, jak pan Kotowski, mają wiarę... To bestia chwat!... Zabierze mi Manię, jak amen w pacierzu... A wino zaraz przyszlę i proszę pić co dzień...

— Do widzenia — rzekła pani Latter ściskając go za rękę.

— Upadam do nóg i... proszę pamiętać... To, com powiedział, warte jest przysięgi i nie zmienię słowa, tak mi Boże dopomóż.

Mielnicki opuścił gabinet po czwartej. Słońce zaszło i tylko różowy blask odbity od śniegów praskich nieco oświetlał pokój, a w nim panią Latter. Stała na środku, ręką podparwszy brodę, i widać było zdziwienie w jej pięknych oczach, na których jeszcze łzy nie obeschły.

Czuła, że przed chwilą coś zaszło, ale jej myśl zmęczona nie umiała tego sformułować. Zdawało jej się, że ona dotychczas nie żyła dla siebie, tylko dla innych, zawsze dla innych, i oto dziś przyszedł stary człowiek, prawie komiczny ze swymi oświadczeniami, który wyraźnie powiedział, że — chce żyć dla niej.

Czy podobna, ażeby ktoś mógł się nią interesować?... Czy możliwe, ażeby znalazł się człowiek, który nie tylko nie wymagał usług od niej, ale jeszcze chciał sam jej służyć?... Przecież to ona służyła wszystkim: pierwszemu mężowi, drugiemu, uczniom, nauczycielom, służbie, a nade wszystko synowi i córce.

I oto dziś, kiedy już dawno skończyła lat czterdzieści i minęły jej wdzięki, kiedy ją wszyscy opuszczają albo wyzyskują i dręczą, zjawia się człowiek, który jej mówi... Co on jej mówił?...

Panią Latter zawiodła pamięć, może skutkiem wzruszenia. Nie przypomina sobie, co mówił stary szlachcic, ale było to coś takiego, jak gdyby człowiekowi, osaczonemu ze wszystkich stron przez niebezpieczeństwa, otworzono wyjście.

Pani Latter rozejrzała się po gabinecie. Jest tylko troje drzwi, a przecie gotowa była przysiąc, że przed chwilą były tu czwarte drzwi. Ależ naturalnie, że były, tylko zamknęły się teraz, po odejściu Mielnickiego.

Chwyliła się za głowę (od pewnego czasu był to u niej ruch nałogowy) i usiłowała coś sobie przypomnieć, ale na próżno.

„Aha! już wiem — pomyślała. — Miałam od Mielnickiego pożyczyć cztery tysiące rubli...”

— Wolalabym umrzeć!... — szepnęła po chwili.

Jedna cyfra pociągnęła za sobą cały szereg innych cyfr. Pani Latter usiadła przy biurku i po tysięczny raz pukając ołówkiem w papier, bo już nie można było pisać, rachowała:

„Do wakacyj potrzebuję na samą pensję dwadzieścia jeden tysięcy rubli... Dług w banku tysiąc rubli... A Hela?... A Zgierski?... Od uczennic nie zbiorę nawet dwadzieścia tysięcy rubli, więc gdzie reszta?...”

Zapalono światło. Od piątej zaczęli schodzić się interesanci: rodzice pensjonarek i przychodnich, jakieś dwie damy po składkę na odnowienie kościoła, nauczyciel, Angielka na miejsce pani Fantoche i znowu dwie damy z biletami na bal dobroczynny.

O siódmej wizyty skończyły się, a pani Latter była tak zmęczona, że z trudnością powstrzymywała się od łez.

Wszedł Stanisław i przyniósł drewnianą paczkę.

— Od pana Mielnickiego — rzekł.

— Aha!... dobrze...

Porwała paczkę i wyniosła do sypialni. Nożyczkami przecięła sznur i podważyła deskę, pod którą ukazały się butelki okryte pleśnią grubą jak kozuch. Z gorączkową niecierpliwością zawadziła nożyczkami o jeden korek. Wszedł i pani Latter uczuła przyjemny zapach.

„Musi być dobre wino” — szepnęła.

Wzięła szklankę z umywalni, nalała blisko trzecią część i chciwie wypila.

„Mam po tym spać?... — rzekła. — Ależ to zupełnie lekkie wino...”

Wnet jednak spostrzegła, że opuszcza ją zmęczenie; owszem, uczuła pełność myśli, które rozwijały się szybko i logicznie. Przypomniała sobie, że Mielnicki z naciskiem radził rzucić pensję i wyjechać na wieś, do niego.

„Za mąż wyjść nie mogę — myślała — chyba... Ale kto mi o tym doniesie, gdyby nawet tak się stało!... Za mąż wyjść nie mogę, ale służyć mogę; przecież to starzec i ja niemłoda... Ach, czuję w sobie sto lat i śmiech mnie bierze, kiedy pomyślę, że miałam dwu mężów...”

O, ta pensja... Czy może być na świecie większa niewola i przekleństwo jak pensja!... A Hela?... a Kazio?... No, Hela wyjdzie za mąż, Kazio ożeni się...

A ze mną co będzie?... Jeżeli on i ona dziś obchodzą się bez mego widoku, to czy wówczas będą za mną tęsknili?... Tak naiwną nie jestem! Dzieci rosną dla świata, nie dla rodziców; wszakże i ja obchodziłam się bez matki.

Tak, dzieci dopóty są dobre, dopóki małe; gdy podrosną i uwiją sobie własne gniazda, zajmują się swymi pisklętami, nie starymi... A w takim razie na pewno będę musiała szukać przytułku u Mielnickiego i zdaje się, że tylko on mnie nie zawiedzie. Bez rodziców można się obejść, ale bez rumianku, bez kawy z kożuszkami, świeżych bułek i masła — trudno” — zakończyła z uśmiechem.

W kilka godzin później panią Latter znowu ogarnęło znużenie i troska. Przed wakacjami, a nawet wcześniej, musi dokończyć ze cztery tysiące rubli. To darmo! ludzić się nie można, bo ciągle przypominają o tym rachunki dzienne, tygodniowe i miesięczne. Pannie Marcie trzeba co wieczór dawać pieniądze, piekarzom i rzeźnikom co poniedziałek, nauczycielom i służbie co pierwszego, gospodarzowi i wierzycielom co termin. Cóż by to więc była za okropna chwila nie mieć pod ręką paru tysięcy rubli!...

Około jedenastej pani Latter znowu napiła się wina i położyła się. Sen istotnie zaczął ją opanowywać, a jednocześnie znalazł się tak dawno poszukiwany środek ratunku.

„Wezmę pieniądze od Zgierskiego — myślała. — Będzie się krzywił, ale jeżeli obiecami piętnaście procent, ustąpi... Przecież kiedyś moje kłopoty muszą się skończyć... Pensję podźwignę, przybędzie mi uczennic, Hela wyjdzie za Solskiego... Wówczas ona zajmie się Kaziem, a ja cały dochód obrócę na spłacenie długów... Spłacę w ciągu paru lat, a wtedy... Ach, jaka będę szczęśliwa!...”

„Błogosławiony człowiek z Mielnickiego!” — myślała pani Latter czując, że zasypia... Pościel, która przez tyle bezsennych nocy była dla niej narzędziem męczarni, teraz wydawała się dziwnie miękka. Już nie tylko ugina się pod ciężarem jej ciała, ale zapada i leci w głębinę ruchem niewypowiedzianie przyjemnym.

„Gdzie ja tak lecę? — mówi uśmiechając się pani Latter. — Aha, lecę w prze... w przyszłość” — poprawia i czuje, że ten wyraz nie ma sensu. Potem widzi, że z wyrazu „przyszłość” robi się jakieś bajeczne zwierzę, które unosi ją do krainy, gdzie rodzą się

i dojrzewają rzeczy przyszłe. Pani Latter rozumie, że jest to senne marzenie, lecz nie mogąc mu się oprzeć godzi się na oglądanie przyszłości.

I otóż widzi się kobietą zupełnie swobodną. Jest na ulicy sama, bez grosza, w jednej sukni; lecz zarazem czuje bezdenną i bezbrzeżną rozkosz, bo już nie ma pensji!... Już nie troszczy się, że był zły obiad, że któraś uczennica zachorowała, że damy klasowe posprzezczały się, że jeden z nauczycieli miał niezadowoloną fizjognomię... Już nie lęka się, że ta a ta pensjonarka może nie zapłacić, nie błędnie na widok gospodarza domu, nie wstrząsa się usłyszawszy panną Martę mówiącą: „proszę pani, jutro czeka nas duży wydatek...”. Nic z tego wszystkiego; nic już jej nie gniewa, nie trwoży, nie paraliżuje władzy myślenia...

Teraz dopiero widzi: czym była pensja? Była to okropna machina, która co dzień i co godzinę przez kilkanaście lat wbijała jej w ciało szpilki, gwoździe, noże... I za co? Za to, że podjęła się uczyć cudze dzieci, ażeby wychować własne!

Wielki Boże, czy podobna, ażeby człowiek nazywający się matką i przełożoną pensji cierpiał katusze, jakich nie doświadcza żaden zbrodniarz?... A przecie tak było i działa się w sposób bardzo prosty: wszyscy ją obchodzili, więc cierpiała za wszystkich. Cierpiała za swoje dzieci, za cudze dzieci, za damy klasowe, za nauczycieli, za służbę — za wszystkich... Oni byli obowiązani tylko pracować przez pewną liczbę godzin na dzień, a ona musiała troszczyć się o ich żywność, mieszkanie, zdrowie, zapłatę, naukę i znośne stosunki między nimi. Oni wiedzieli, że w oznaczonym terminie każdy musi otrzymać, co mu się należy, ale ona — nie wiedziała: skąd na to weźmie? Uczennice potrzebowały jadać regularnie, ale ich opiekunowie nie troszczyli się o regularne płacenie należności. Służba ociągała się z robotą, ale spieszyła po odebraniu pensji. Nauczyciele i damy klasowe surowo krytykowali najmniejszy nieporządek w zakładzie, ale sami ani myśleli o pracy nad porządkiem.

I to wszystko było, naprawdę było?... Tego istotnie żądano od kobiety obciążonej dwojgiem dzieci?... Tak było i tego od niej żądano. I ja to wytrzymałam przez jeden tydzień?... Wytrzymawałam przez kilkanaście lat. I nikt się nade mną nie ulitował, nawet nikt nie wiedział, jak pracuję i cierpię?... Nikt nie domyślał się, nawet nie próbował odgadywać, co cierpisz; owszem — zazdrośczone ci szczęścia i sądzono niemiłosierniej aniżeli zbrodniarzy. Bo tamci popełnili występki, gdy ty nie masz żadnej winy, tamci bronią się i są bronieni, gdy tobie nawet poskarżyć się nie wolno.

No, ale dziś już jest swobodna. Ma prawo żebrać, upaść na ulicy, pójść do szpitala, nawet — umrzeć gdzieś pod bramą, lecz z tym słodkim uczuciem, że jest swobodna, że oderwały się nieprawdopodobne ciężary miażdżące ją przez kilkanaście lat!... Jestże to powtórne urodzenie czy zmartwychwstanie?

I kiedy tak nasycy się swobodą, kiedy tak tonie w niej razem z miękką pościelą, nagle — widzi, że ktoś zabiega jej drogę i w brutalny sposób chce zawrócić ją na pensję... Na pensję?... Tak. I to robią jej własne dzieci: Kazimierz i Helena! Milczą, lecz ich twarze są surowe, a spojrzenia pełne wymówek...

„Dzieci moje... dzieciny moje... wy chyba nie wiecie, ile ja wycierpiałam na pensji?...”

„Nam potrzeba pieniędzy... dużo pieniędzy...”

„Ale bo wy nie wiecie... ja wszystko przed wami ukrywałam... Wy przecie nie mielibyście serca skazywać matkę drugi raz na powolne konanie... Życie wam oddam, ale oszczędźcie mąk, na jakie nie skazałby mnie najokrutniejszy tyran...”

„Pieniądzy... nam potrzeba pieniędzy...”

Pani Latter budzi się i siada na łóżku szlochając.

— Dzieci — mówi — to niepodobna!...

Przypomina je sobie, kiedy były małymi, słyszy ich cienkie głosiki i widzi łzy, które wylewały nad martwym kanarkiem.

— Dzieci moje?... — powtarza już trzeźwa ocierając oczy.

Zapala świecę. Jest dopiero pierwsza po północy.

— Ach, to wino! — szepcze. — Jakież ono okropne sny sprowadza.

Gasi świecę i kładzie się znowu, a stroskana myśl jej waży się między dwoma pytaniami:

„Co jest lepsze: czy wcale nie spać, czy mieć takie straszne sny?...”

I w tej samej chwili doznaje nieprawdopodobnego uczucia, w jej sercu budzi się coś, jakby niechęć czy żal do dzieci... Czego nie zrobiło kilkanaście lat na jawie, zrobił sen...

— Czy to podobna? — szepcze.

A przecie tak jest: senne marzenie powiedziało, że mogłaby być nawet dzisiaj swobodną, gdyby nie dzieci i — na jej duszę upadł jakiś chłód i cień, w którym na dzieci spojrzęła z nowego punktu.

Nie były to już „dzieci”. Przeszły nimi być w rzeczywistości i od dawna, a w jej sercu przed chwilą, w czasie snu. Były to Jeszcze osoby ukochane, bardzo ukochane, ale już dorosłe, które nastawały na jej swobodę i spokój i przeciw którym... kto wie, czy nie należałoby się bronić?...

Na drugi dzień pani Latter zbudziła się około ósmej rano, rzeźwa i spokojna. Ale pamiętała swój sen i czuła w sercu jakby krople lodu. Zdawało jej się, że wylała nad sobą o jedną łzę za wiele, że ta łza upadła na dno jej duszy i zlodowaciała.

Toteż na jej twarzy nie było widać nerwowego niepokoju, który dręczył ją od kilku tygodni, ale — chłód i jakby zawziętość.

W ciągu następnych paru dni uczennice wróciły, z wyjątkiem czterech przychodnich, i rozpoczęły się lekcje. Na pensji było spokojnie, tylko pewnego razu panna Howard wciągnąwszy Madzię do swego pokoiku rzekła z zarumienioną twarzą:

— Panno Magdaleno... Przysięgnijmy sobie, że uratujemy panią Latter!...

Madzia spojrzęła na nią zdziwiona.

— Pani Latter — ciągnęła uroczyście panna Klara wznosząc palec do góry — pani Latter to szlachetna kobieta. Wprawdzie dawne przesady walczą w niej z nowymi ideami, ale postęp zwycięży...

Madzia była coraz mocniej zdziwiona.

— Nie rozumiesz mnie, pani?... Nie będę wykladała mego poglądu na ewolucję, jaka dokonywa się w mózgu pani Latter, bo zaraz muszę iść do klasy, ale zacytuję dwa fakta, które powinny rzucić przed panią światło...

Panna Howard przez chwilę zawiesiła głęboki kontralt, a widząc, że jej słowa wywołują dostateczny efekt, mówiła dalej:

— Wiesz pani, że Mania Lewińska została przyjęta na pensję...

— Jest tu przecie od onegdaj...

— Tak, ale — mnie zawdzięcza, że jej nie wydalono. Prosiłam za nią pani Latter, usłuchała i — należy jej się moja wdzięczność. A ja umiem być wdzięczna, panno Magdaleno...

Teraz Madzi przyszło na myśl, że podobny głos już gdzieś słyszała... Ach, tak!... podobnym głosem przemawia na scenie jeden z aktorów komicznych i może dlatego wydało się Madzi, że panna Klara jest w tej chwili bardzo tragiczna.

— A czy wiesz pani o tej... tej... Joannie?... — ciągnęła dalej panna Howard.

— Wiem, że wczoraj nie chciała ze mną mówić, a dziś nie przywitała się, co mnie zresztą mało obchodzi — odpowiedziała Madzia.

— Wczoraj pani Latter zawiadomiła tę... damę klasową, tę... naszą koleżankę... (ach, wstrząsa się cała moja istota!...), że od pierwszego lutego nie będzie mieć miejsca na pensji... Naturalnie, zapłaci jej za cały kwartał...

— Więc to nieprawda o panu Kazimierzu?... — zawołała Madzia rumieniąc się. — Na niego zawsze robią jakieś plotki...

Panna Howard spojrzęła majestatycznie i rzekła:

— Idźmy już, bo spieszę się na lekcję... Zdumiewa mnie naiwność pani, panno Magdaleno!...

Ani słówka więcej. I Madzia nie dowiedziała się, o ile niesłusznymi są plotki rozsiwane na pana Kazimierza.

## 15. PAN ZGIERSKI ROZMARZONY

Piątego dnia po odwiedzinach Mielnickiego, na kilka minut przed pierwszą, w jadalnym pokoju pani Latter i pod jej osobistym dozorem Stanisław i panna Marta przygotowywali stół do wykwintnego śniadania.

— Śledzie i kawior — mówiła pani Latter — niech panna Marta postawi z tej strony, przy wódce.

— Ostrygi na kredensie? — zapytała gospodyni.

— Ależ gdzież tam. Ostrygi otworzy Stanisław, gdy wejdzie pan Zgierski... Otóż, zapewne i on!... — dodała pani Latter usłyszawszy dzwonek. — Czy Michał jest w przedpokoju?

Wyszła do gabinetu, a Stanisław spojrzął na pannę Martę, która spuściła oczy.

— Takiemu to dobrze — mruknął lokaj.

— Tu się nikt nie pyta Stanisława, komu dobrze, a komu źle — odburknęła gospodyni. — Najgorsza rzecz, kiedy służba rozpuscita język, bo z tego rodzą się plotki jak pchły z trocin... Stanisław powinien mieć tyle rozumu, ażeby nie wsadzać nosa do cudzego prosa...

— Oj! oj! oj!... — zawołał stary lokaj chwytając się oburącz za głowę i wybiegł z pokoju.

Tymczasem do gabinetu pani Latter wszedł oczekiwany gość, pan Zgierski. Był to człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, niewysoki, nieco otyły, na którego głowie duża łysina coraz wyraźniej spychała resztkę szpakowatych włosów. Jego ubiór odznaczał się skromną elegancją, a ładna niegdyś twarz wyrazem dobroduszości, której jednak szkodziły niewielkie a ruchliwe czarne oczy.

— Wszak jestem co do minuty? — zawołał gość trzymając zegarek w ręku. Po czym serdecznie uściskał rękę pani Latter.

— Nie powinna bym się z panem witać — odparła obrzucając go ognistym spojrzeniem. — Trzy miesiące!... Czy pan słyszy: trzy miesiące...

— Czy tylko trzy?... Mnie wydawały się wiekiem!...

— Obludniku!...

— Więc bądźmy szczerzy — mówił gość z uśmiechem. — Kiedy pani nie widzę, mówię sobie: dobrze tak jest; ale kiedy panią zobaczę, myślę: a przecież tak jest lepiej. Oto powód, dla którego do tej pory nie byłem... Dodajmy, że wyjeżdżałem na święta, na wieś... Nie wybiera się pani na wieś?... — spytał z akcentem.

— Gdzie?... kiedy?...

— A, pani, to szkoda. Gdy jestem na wsi w lecie, mówię sobie: wieś nigdy nie może być piękniejsza; ale teraz przekonałem się, że wieś jest najpiękniejsza — w zimie. To są czary... Pani, to są istne czary!... Ziemia podobna jest do śpiącej królowej z bajki...

Kiedy to mówił Zgierski, na twarzy malowało się tak szczere przekonanie, że prawie można mu było wierzyć, gdyby nie biegające czarne oczki, które wiecznie czegoś szukały i wiecznie pragnęły się z czymś ukryć. Kiedy zaś pani Latter słuchała, można było przypuszczać, że rozplywa się w słuchaniu, gdyby od czasu do czasu w jej marzących oczach nie błysnęła iskierka oznaczająca podejrzliwość.

Dla optymisty Zgierski wyglądał na gościa, który przychodzi na śniadanie, a przynosi trochę zdawkowej poezji; pesymiście mógł przedstawić się jako czarny charakter, który rozstrzuca tajemnicze sieci intryg. Pierwszy posądziłby panią Latter o przyjaźń, która lęka się zostać miłością; drugi podejrzewałby ją o brak zaufania, a nawet obawę wobec Zgierskiego.

Lecz kto by mógł chwytać głosy odzywające się w duszach tych ludzi, zdziwiłby się usłyszawszy ich monologi.

„Jestem pewny, że pod pozorami sympatii, lęka się mnie i coś podejrzewa... No, ale to elegancka kobieta...” — mówił do siebie zadowolony Zgierski.

„On myśli, że ja wierzę w jego spryt i chytryść... No, ale potrzebuję pieniędzy...” — mówiła pani Latter.

— Jeżeli będzie pani miała sposobność wyjechać na wieś, a mam przecucie, że tak, niech pani wyjedzie choćby na cały rok, byle zobaczyć wieś w zimie — rzekł Zgierski akcentując pewne wyrazy tonem i spojrzeniami.

— Ja, na wieś?... pan żartuje... A pensja?

— Rozumiem — mówił Zgierski tkliwie patrząc jej w oczy — że ma pani wielki obowiązek społeczny. Jak zaś ja to rozumiem, nie potrzebuję tłumaczyć... No, ale mój Boże, każdy człowiek ma trochę praw do osobistego szczęścia, a pani ma więcej aniżeli ktokolwiek inny...

W oczach pani Latter w pierwszej chwili odmalowało się zdziwienie, nawet niepokój. Lecz wnet błysnęło słówko: „rozumiem!...” — a potem wydarł się z piersi krótki wykrzyknik:

— A!...

I pani Latter spojrziała na niego nie ukrywając zdumienia.

— Więc rozumiemy się?... — spytał Zgierski patrząc na nią głęboko. A w duchu dodał:

„Złapała się!...”

— Jesteś pan straszny człowiek — szepnęła pani Latter dodając w myśli:

„Już go mam!...”

I spuściła oczy, ażeby ukryć błyskawicę triumfu.

Zgierski patrzył wzrokiem, w którym malowała się chłodna czułość dla niej i niezachwiana wiara w dokładność własnych informacji. Nagle rzekł:

— Zatem mogę zapytać...

Pani Latter zatrzepotała rękoma.

— O nic nie wolno pytać!... Wolno podać mi rękę i zaprowadzić do jadalnego pokoju...

Zgierski stanął z lewej strony, wziął ją za rękę jak w polonezie i patrząc w oczy zaprowadził do jadalnego pokoju...

— Będę milczał — rzekł — w zamian jednak musi mi pani przyrzec...

— Sądzi pan, że kobieta może cokolwiek przyrzekać? — zapytała pani Latter spuszczać oczy.

„Jak ona się łapie!... jak ona się łapie!...” — myślał Zgierski, a głośno dodał:

— Jedno może pani przyrzec, że gdyby zdarzyło się coś przyjemnego dla pani, ja będę pierwszym, który jej powinszuję — *za każdym razem...*

Jednym z większych triumfów, jakie pani Latter odnosiła nad sobą w życiu, był ten, że nie drgnęła, nie zbladła i w ogóle żadnym znakiem nie zdradziła niepokoju, jaki opanował ją w tej chwili. Na szczęście Zgierski tak był pewny siebie, że nie zwracał na nią uwagi, ale myślał tylko o tym, ażeby pokazać, jak dalece jest wszytkowiedzącym.

— Za każdym razem — mówił z naciskiem — gdziekolwiek spotka panią przyjemność, tu czy we Włoszech, ja będę tym pierwszym, który pani powinszuje...

Byli w pokoju jadalnym. Pani Latter delikatnie usunęła się i rzekła wskazując na stół:

— Pańska ulubiona starka. Proszę pić za gospodarza i za gościa.

Teraz Zgierski spojrzawszy na butelkę zaczął się naprawdę dziwić.

— Ależ to moja starka, którą udało mi się nabyć od księcia...

— Właśnie od księcia Kazio dostał kilka butelek i mnie dał jedną. A ja nie mogłam z niej zrobić lepszego użytku, jak...

Słowom tym towarzyszyło melancholijne spojrzenie.

Zgierski wypił kieliszek milcząco i pragnąc zaznaczyć milczeniem, że chwila jest bardzo uroczystą. Pierwszy jednak kieliszek nasunął mu szereg nowych myśli.

„Jeżeli ona — mówił sobie — wychodzi za Mielnickiego, który jest majątnym człowiekiem, więc — nie ma do mnie żadnego interesu. A jeżeli nie ma interesu, więc... co?... Więc — chyba kocha się we mnie?...”

I w tej chwili w jego duszy, która była mieszaniną najniezgodniejszych pierwiastków, obudziła się potrzeba szczerości.

— Śledzie są wyborne!... — mówił. — Kawior... kawior jest wyższym nad sam podziw! Czy może być coś wyższego nad podziw? — zapytał badając spojrzeniem, czy pani Latter zrozumiała jego słówko. I poznał, że zrozumiała.

— Panie Stefanie — rzekła pani Latter — nie widziałam, ażeby pan pił za gościa...

— Więc ja ten kieliszek tej wybornej starki piłem w imieniu?...

— Chyba... w imieniu gospodarza — wtrąciła pani Latter patrząc na obrus.

— Pani!... — odparł spoglądając na nią z wyrazem przyjaźni, która mocno zahaczała o miłość i — nalewając drugi kieliszek. — Pani — mówił zniżonym głosem — teraz piję jako gość... Jako gość, który umie milczeć nawet wówczas, gdy jego serce chciałoby... Powiedziałbym: zapłakać, lecz powiem: zawołać... Pani, jeżeli jest to potrzebne do twego szczęścia i spokoju, pozwól mi, ażebym taki sam kielich wypił... za jakieś wspólne zdrowie... choćby nad brzegami Buga... Skończyłem.

Postawił wypity kieliszek i usiadł opierając głowę na rękę.

W tej chwili wszedł Stanisław z tacą pełną ostryg na lodzie.

— Co?... — zawołał Zgierski. — Ostrygi?

Zasłonił ręką oczy jak człowiek głęboko wzruszony i myślał: „Więc ona, wychodząc za mąż, daje mi do zrozumienia, że kocha się we mnie... Jest to bardzo przyjemne, ale i bardzo... Nie niebezpieczne, tylko... trudne... Wolalbym, ażeby miała o dwadzieścia lat mniej...”.

Rzucił się do ostryg i jadł szybko, w milczeniu, wciskając dramatycznymi ruchami dużo cytryny, jak człowiek, który cierpi, lecz chce pokazać, że mu wszystko jedno.

— Panie Stefanie — odezwała się pani Latter omdlewającym głosem — mamy wprawdzie chablis...

— Spostrzegłem to — odparł Zgierski, który po drugim kieliszku starki czuł potrzebę dowiedzenia, że odznacza się piekielną przenikliwością.

— Ale może by pan spróbował tego wina...

Nalala mu kieliszek. Skosztował i spojrzał na nią prawie surowo.

— Pani — rzekł — tak niezwykle omszoną butelkę musiałem spostrzec od razu... Pani pojmuje... Lecz w tej chwili przekonywam się, że takiego wina nie mogła wybrać kobieta...

— Jest to prezent pana... pana Mielnickiego, wuja i opiekuna jednej z moich uczennic — odpowiedziała pani Latter spuszczać oczy.

— Pani życzy sobie, ażeby pił to wino? — uroczyście zapytał Zgierski.

— Ależ proszę pana.

— Ażeby pił z kielicha pana Mielnickiego, który zresztą może być człowiekiem najgodniejszym szacunku...

Milczenie. Lecz w tej chwili Zgierski uczuł, że jego nogę dotyka inna noga.

„Mógłbym sądzić, że ma do mnie jakiś ważny interes — pomyślał wypijając dwa kieliszki wina jeden po drugim. — Ale jeżeli wychodzi za tak majątnego człowieka, jak Mielnicki...”.

Zgierski zamienił się w posąg; nie przysuwał ani też odsuwał swojej nogi, tylko wypił trzeci kieliszek wina, zjadł jakąś rybę, wypił czwarty kieliszek, zaczął jeść jakieś mięso i całkiem zapomniawszy o pani Latter cofnął się pamięcią w odległą przeszłość.

Marzył, że kiedy z górą przed trzydziestoma laty ktoś trącił go w nogę pod stołem, zdawało mu się, że uderzył piorun i — zupełnie stracił przytomność, a nawet bodaj czy nie upuścił widelca. Gdy ten sam wypadek powtórzył się przed dwudziestoma laty, Zgierski był wprawdzie mniej wstrząśnięty, ale czuł, że otwiera się nad nim niebo. Gdy spotkało go to przed dziesięcioma laty, nie widział już ani piorunów, ani nieba otwierającego się nad głową, ale jeszcze napełniły go najpiękniejsze ziemskie nadzieje.

Dzisiaj zaś pomyślał, że jednak — znajduje się w kłopotliwej i pozycji. Bo jak tu nie być w kłopotcie w jego wieku wobec namiętnej kobiety?...

Spuścił oczy, jadł za trzech, a pił za czterech, przy czym jego wielka łysina okryła się kroplistym potem.

„Ten Mielnicki ma chyba ze sześćdziesiąt lat — myślał — i porywa się... Nie ma to, jak mieszkać na wsi!...”.

Śniadanie skończyło się, Zgierski był rozmarzony, zakłopotany, nawet zawstydzony; pani Latter zupełnie spokojna.

— Upiłem się — rzekł przy czarnej kawie i doskonałym koniaku.

— Pan?... — uśmiechnęła się pani Latter. — Mam lepsze wyobrażenie o sile pańskiej głowy.

— No, tak... Nie wiem, ażeby kiedykolwiek stracił przytomność, ale trunki były rzeczywiście mocne... Mogły rozmarzyć...

— Na nieszczęście pan nawet w marzeniach nie zapominasz się — odparła z odcieniem goryczy pani Latter. — Okropni są ludzie zawsze logiczni...

Zgierski smutnie kiwnął głową jak człowiek, który choćby nie chciał, musi dźwigać brzemień żelaznej logiczności i — podał gospodyni rękę. Przeszli do gabinetu, gdzie pani Latter wskazała mu pudełko cygar, a sama zapaliła świecę.

— Pyszne cygara! — westchnął Zgierski. — Czy... czy wolno prosić jeszcze o filiżankę kawy?...



W tej chwili wszedł Stanisław niosąc na tacy srebrny maszynkę, butelkę koniaku i filiżanki.

— Pan myśli, że po trzechmiesięcznym niewidzeniu zapomniałam o jego upodobaniach? — rzekła z uśmiechem pani Latter nalewając kawę.

Potem podsunęła koniak.

Czarne oczki Zgierskiego już nie biegały niespokojnie: jedno bowiem usiłowało pójść na prawo, drugie na lewo, a ich właściciel zadawał sobie niemałą fatygę, ażeby utrzymać je w linii prostej. Pani Latter spostrzegła to, sama wypila jednym tchem kieliszek koniaku i nagle odezwała się:

— A propos... Chociaż to jeszcze nie luty, pozwoli pan, że uregulujemy nasz rachunek...

Zgierski cofnął się, jakby mu na głowę wylano strumień wody.

— Przepraszam panią, ale... jaki rachunek?...

— Trzysta rubli za następne półrocze.

Oślupiał i błysnęła mu myśl, że to on, on z całym swoim sprytem i piekielną zręcznością, pada ofiarą intrygi osnutej przez kobietę!... Potem przypomniał sobie dawny aforyzm, że najprzebieglejszego mężczyznę może wyprowadzić w pole najzwyczajniejsza kobieta, i nareszcie — zmieszał się.

— Zdaje mi się... — mówił — zdaje mi się...

Ale wyrazy więzły mu w gardle, a myśli w głowie.

Czuł, że wpada w pułapkę, którą zna doskonale, lecz która w tej chwili nie przedstawia mu się dosyć jasno.

„Anemia mózgowia!...” — rzekł do siebie i dla odegnania jej wypił nowy kieliszek koniaku.

## 16. PAN ZGIERSKI PRAKTYCZNY

Lekarstwo było skuteczne. Zgierski bowiem nie tylko odzyskał energię w myślach, ale poczuł chęć do stoczenia utarczki z panią Latter. Ona chciała go czymś zaskoczyć?... Doskonale! Teraz on pokaże, że zaskoczyć się nie da, gdyż zawsze i wszędzie panuje nad sytuacją.

— Ponieważ — zaczął z uśmiechem — pragnie pani mówić o interesach (ja sądziłem, że między nami nie ma nic pilnego!...), więc mówmy systematycznie. Nie dlatego, broń Boże, abym kładł jakiś nacisk, gdyż między nami... Ale oboje przywykliśmy do zwięzłości..

— Naturalnie — wtrąciła pani Latter — o pieniądzach musimy mówić jak finansisci.

— Pojmuję panią i pani mnie... Otóż mam u pani drobny depozyt, o którym między nami wspominać by nie warto, gdyby nie obustronne zamięrowanie porządku w rachunkach i zwięzłości w umowach... Depozyt ten, pięć tysięcy rubli, zostaje u pani z roku na rok... no, tak... Ale w połowie sierpnia roku zeszłego wspominałem, owszem, nawet wyraźnie sformułowałem zamiar podniesienia tej sumki w lutym roku bieżącego... Nie mogę zatem przyjmować procentu za następne półrocze.

— A jeżeli ja uprę się i nie oddam panu w lutym, co mi pan zrobi? — zapytała pani Latter śmiejąc się.

— Naturalnie że zostawię pani sumkę do połowy lipca — odparł z ukłonem Zgierski. — Za to w lipcu stanowczo mieć ją muszę, gdyż inaczej grozi mi nieprzyjemność, na którą pani, o ile ją znam, nigdy by nie zezwoliła.

— Ależ rozumie się...

— Jestem tego pewny i nawet przypominam sobie (co obudziło we mnie najwyższą cześć i podziw) słowa pani: „Choćbym miała sprzedać wszystkie meble własne i szkolne, zwrócę panu pięć tysięcy rubli na termin...”.

— Nawet według naszej umowy wszystkie one już należą do pana — dodała pani Latter.

Zgierski machnął ręką.

— Czysta formalność, oparta na wyraźnym żądaniu pani... której dopełniłbym tylko w wypadku, gdyby ta kombinacja była dla pani korzystną.

— Więc pięć tysięcy rubli zostawia mi pan do połowy lipca? — rzekła pani Latter.

— Tak jest. Dopiero w tym terminie zawiśnie mi nad głową miecz Damoklesa... Czy pani da wiarę, iż mogą mi zlicytować meble?...

Pani Latter nałała mu nowy kieliszek.

— Proszę pana — zaczęła po chwili — a gdybym w ciągu tego lub przyszłego miesiąca zapotrzebowała jeszcze... — czterech tysięcy rubli także do połowy lipca?...

— Gdzież znowu... Nieprawdopodobne... — odparł Zgierski wzruszając ramionami.

— Owszem, jest to możliwe, gdyż bardzo wiele uczennic zapłaci mi dopiero w końcu czerwca.

Zgierski zamyślił się.

— A to ma pani kłopot... — rzekł. — Żałuję, że umieściłem wszystkie moje fundusze w akcjach cukrowni... No, żałuję!... tak się mówi... Pani wie, że teraz cukrownie dają osiemnaście i dwadzieścia procent dywidendy?... Gdyby nie to, musiałbym się dobrze kurczyć... Więc naturalnie nie tego żałuję, że mam akcje, ale... że nie mogę służyć pani na tak krótki termin...

Pani Latter zarumieniła się.

— Szkoda — rzekła.

Zgierski dokończył kieliszka i uczuł niepokonaną chęć zaimponowania swymi informacjami.

— Jestem pewny — zaczął — że nie posądza mnie pani o brak chęci służenia jej. Bo pomijam głęboką życzliwość, o której nie mówi się przy rachunkach, a której posiadaniem dla pani słusznie się szczycę... Pomijam to, gdyż choćbym był najbardziej interesownym człowiekiem, to przecież wiem, że pani, mówiąc językiem finansowym, stanowi dobrą hipotekę... Proszę pani, mówmy szczerze... Już sam Mielnicki daje duże gwarancje, a taki Solski... mój Boże!...

Zgierski westchnął, pani Latter spuściła oczy.

— Nie rozumiem pana... i nie chcę rozumieć... — dodała zniżonym głosem. — Nawet proszę pana, ażeby tych kwestyj nie poruszał...

— Pojmuję i uwielbiam delikatność pani, ale... Cóżeśmy winni, że Mielnicki na prawo i na lewo skarży się, iż dostał odkosza, opowiadając przy tym o swej miłości dla pani. Czemu zresztą nikt się nie dziwi, a ja najmniej... — dodał z westchnieniem.

— Mielnicki jest oryginał — uśmiechnęła się pani Latter. — Ale pan Solski niczym, ale to niczym nie upoważniał... i przyznam się panu, że ta wieść obraża mnie...

— A jednak ta wieść przyszła z Rzymu, gdzie mieszka kilka polskich rodzin, które już dostrzegły, że pan Stefan zajął się panną Heleną.

— Nic, ale to nic o tym nie wiem — rzekła pani Latter. — Pokazuje się, że nasza pensja jest fortecą, do której wieści nie dochodzą.

— Hum! — mruknął Zgierski. — Musiały jednak dojść, i to z dobrego źródła, skoro zaniepokoiły pana Dębickiego...

— Dębickiego?... — powtórzyła zdumiona pani Latter.

— To jest tylko moje przypuszczenie — pośpieszył dodać pan Zgierski — lecz mówię o nim przez przyjaźń dla pani...

Pani Latter dziwiła się coraz więcej.

— Widzi pani, jak dobrze jest mieć przyjaciół, którzy umieją obserwować... Pan Dębicki, jak wiadomo, od dawna zna się z panem Solskim, a stosunki ich zacieśniają się jeszcze mocniej, ponieważ pan Dębicki obejmuje zarząd nad biblioteką Solskich...

— Nic o tym nie wiem... — wtrąciła pani Latter.

— Za to ja wiem i czuwać — odparł Zgierski z uśmiechem. — Wiem również, że pan Dębicki otrzymał kiedyś ostrą admonicję od panny Heleny.

— Ach, przy tej nieszczęsnej algebrze!...

— Otóż to. Mam więc prawo przypuszczać, że pan Dębicki nie żywi zbyt sympatycznych uczuć dla panny Heleny i może nierad by zostać jej oficjalistą... Widzi pani, z drobiazgów składają się duże wypadki...

— Jeszcze nic nie rozumiem.

— Zaraz pani zrozumie. Otóż w parę dni potem, kiedy mnie doszła wieść o zabiegach pana Solskiego około panny Heleny, jeden z moich przyjaciół wspomniał mi, że pan Dębicki wypytywał go...

— O co?

— Ani mniej, ani więcej tylko o wysokość kwoty, jaką złożyłem u pani, a nawet... o wysokość procentu... Przyzna pani, że ta troskliwość byłaby dziwną ze strony pana Dębickiego, gdybyśmy nie mieli prawa zaliczać go do partii nam nieprzychylniej.

— Jaki niegodziwiec! — wybuchnęła pani Latter. — Ale cóż to znowu za partia nieprzychylna?... Przestrasza mnie pan...

— Nie ma się czego lękać, gdyż są to rzeczy naturalne — mówił Zgierski. — Znamy przysłowie: zazdrość towarzyszki powodzeniu jak cień światłu... Więc jedni (przepraszam, ale mówimy otwarcie?...), jedni czy jedne zazdroszczą pani — Mielnickiego... Innym — pensja pani może być solą w oku... Ale panny Malinowskiej nie zaliczam do nich...

— Pan zna Malinowską?... — zapytała pani Latter opuszczając ręce na fotel.

— Tak. Jest to dobra kobieta i jej niech pani nie zalicza do nieprzychylnych. Ale o tym kiedy indziej... Dalej, są tacy i takie, które zazdroszczą pannie Helenie Solskiego, a nareszcie i tacy, którzy patrzą przez mikroskop na drobne usterki pana Kazimierza.

— Cóż mają do niego? — szepnęła pani Latter przymykając oczy, bo czuła, że wobec ogromu informacji Zgierskiego zaczyna się jej w głowie kręcić.

— Nic wielkiego!... — odparł Zgierski chwiejąc się, jakby pragnął w równowadze utrzymać głowę. — Zarzucają panu Kazimierzowi... to jest nie tyle zarzucają, ile dziwią się, a właściwie...

— Panie Zgierski... panie Stefanie, mów pan po prostu!... — zawołała pani Latter składając ręce.

— Mam mówić krótko i węzłowato?... To mi się podoba... To jest w stylu pani...

— A więc?

— A więc?... Aha!... no tak... — powtarzał Zgierski usiłując skupić uwagę. — Dziwią się tedy, że syn pani... to jest — szanowny i utalentowany pan Kazimierz, nie ma dotychczas określonego zajęcia.

— Kazio wkrótce wyjeżdża za granicę — odparła pani Latter.

— Rozumiem, do pana Solskiego.

— Do uniwersytetu.

— Ach, tak! — potwierdził Zgierski. — Dalej, zarzucają panu Kazimierzowi miłości... No, miłość, pojmuje pani... światło życia, kwiat duszy... Ja — dodał z głupowatym uśmiechem — najmniej powinien bym oburzać się na miłości młodych ludzi... Pojmuje mnie pani... Na nieszczęście pan Kazimierz zaangażował trochę pensję...

— Tej panny już nie ma u nas — wtrąciła surowo pani Latter.

— Zawsze uwielbiałem takt pani — rzekł Zgierski i pocałował ją w rękę. — Co zaś do innych zarzutów...

— Jeszcze?...

Zgierski machnął ręką.

— Wspominać nie warto! — mówił. — Gorszą się tym, że pan Kazimierz trochę gra...

— Jak to?...

— No tak... — dodał pokazując rękoma tasowanie kart. — Ale, proszę pani, on gra tak szczęśliwie, że można być o niego spokojnym. Przed świętami pożyczył ode mnie pięćdziesiąt rubli na tydzień (mając do spłacenia jakiś dług honorowy), a oddał w trzy dni i jeszcze zaprosił mnie na śniadanie...

Pani Latter opadły ręce.

— Mój syn — rzekła — mój syn gra w karty?... To kłamstwo!...

— Sam widziałem... Ale gra rozsądnie i w tak wybornych towarzystwach...

Rysy pani Latter zmieniły się w sposób nieprzyjemny: była prawie brzydka.

— Zrobiłem pani przykrość? — zapytał Zgierski bolejącym tonem.

— O nie. Tylko... ponieważ wiem, co to jest gra w karty...

— Zapewne świętej pamięci drugi mąż pani?... — wtrącił pobożnie Zgierski.

Pani Latter zerwała się z kanapki.

— Nie pozwolę memu synowi grać!... — zawołała podnosząc zaciśniętą pięść. — Kocham go, jak tylko matka może kochać jedynaka, ale... wyrzekłabym się go...

Rozbiegnięte oczy Zgierskiego skoncentrowały się. Ujął panią Latter za obie ręce, posadził i rzekł innym tonem:

— Doskonale!... wygrał!... Teraz możemy pogadać o interesach.

— O interesach?... — powtórzyła zdziwiona.

— Tak. Proszę o kilka minut cierpliwości... Akcje cukrowni, pojmuję pani, moje akcje można przecie zastawić, ponieważ (jak powiedziałem) pani stanowi doskonałą hipotekę... Pani i panna Helena... Taki Mielnicki jest człowiekiem majątnym, a taki Solski... O nim nie ma co mówić.

— Proszę nie wspominać tych nazwisk.

— Hum!... A jednak wołałbym o nich usłyszeć od samej pani... Pani potrzebuje czterech tysięcy rubli do połowy lipca, rozumiem to i mogę zastawić moje akcje... Ale — muszę mieć pewność, *poza obrębem pensji*...

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Latter.

— Mój Boże, dlatego że pensja z powodu różnych okoliczności, jakie się w niej wydarzyły, prawie nic nie jest warta. Wybaczysz pani szczerłość?... Czysty dochód z pensji już w zeszłym roku zmniejszył się, a dziś zapewne spadł do zera. Tymczasem pan Kazimierz ciągle potrzebuje pieniędzy, zwyczajnie jak młody człowiek... Przed chwilą jednak poznałem, że z synem da sobie pani radę, co jest rzeczą bardzo ważną... No, ale choćby pan Kazimierz wziął się do jakiego zajęcia czy też w inny sposób miał być zabezpieczony, to jeszcze nie wszystko... Zmniejszą się wydatki, lecz dochody nie wzrosną...

— Nic, ale to nic nie rozumiem — wtrąciła zirytowana pani Latter.

— Szkoda! szkoda!... — szepnął.

Oparł głowę na rękę i zasłonił oczy. Zdawało mu się, że pokój krąży... To jest nie krąży, ale waha się w lewo i w prawo. Ale właśnie to odkrycie spotęgowało w nim odwagę i szczerłość.

— Proszę pani — rzekł patrząc na nią — pojmuję delikatność pani... Rozumiem, że kobieta szlachetna nie może odpowiadać na pewne pytania, osobliwie, gdy są postawione w niewłaściwym czasie... Z drugiej zaś strony, pani potrzebuje czterech tysięcy rubli do lipca, które ja mogę mieć, ale... ja potrzebuję pewności!... Już i tak pan Dębicki dowiadyuje się: ile biorę od pani procentu od pięciu tysięcy, i gotów nazwać mnie lichwiarzem za to, że biorę dwanaście. Tymczasem mój kapitałik jest tak mały, a wydatki tak raz na zawsze określone, że przy mniejszym procencie nie mógłbym istnieć...

— Do czego to prowadzi, panie Zgierski?

— Proszę pani, do... pożyczania czterech tysięcy rubli, ale... z pewnymi gwarancjami. Rozumiem, że pani bardzo może potrzebować pieniędzy dzisiaj, a z całą łatwością zwrócić je w lipcu. Tylko...

— Niech pan mówi wyraźnie, panie Zgierski...

— A jeżeli wyda się to pani szorstkim?...

— W interesach nie chodzi o dobry ton.

— Podziwiam panią! — zawołał Zgierski całując jej rękę. — Więc mogę mówić zwięźle, tak jak gdybym stawiał ultimatum?...

— Ależ proszę.

— Wybornie. Zatem nie będę dotykał kwestii pana Kazimierza, chociaż... jakkolwiek jest to młodzieniec zdolny i sympatyczny, niemniej może bardzo wpłynąć na przyszłe stanowisko pani.

— Cóż to znaczy?...

— To znaczy, że o panu Kazimierzu, zdaje mi się, już coś słyszał pan Mielnicki i... podobno — zamyślił się... — Zapewne zachowanie się pana Kazimierza może oddziaływać i na projekta pana Solskiego... Pojmuję pani?

— Nie, panie.

— Więc będę jeszcze zwięźlejszym — odparł trochę obrażony Zgierski.

— Na to czekam od godziny.

— Cudownie! — uśmiechnął się. — A zatem... będę pani służył czterema tysiącami rubli do lipca, a choćby i do grudnia, jeżeli...

— Znowu waha się pan?

— Już nie. Jeżeli otrzymam od pani bilecik donoszący mi, że albo pani przyjęła pana Mielnickiego, albo pan Solski oświadczył się pannie Helenie.

Pani Latter zacisnęła rękę.

— Bardzo pan ufa mojej przyjaźni dla siebie — rzekła uśmiechając się.

— Bo też tylko przyjaciółom mogę służyć w podobnych okolicznościach.

— Wymaga pan, abym powierzała mu tajemnice rodzinne?...

— Ja powierzam pani połowę majątku...

Pani Latter wyciągnęła rękę, którą Zgierski znowu ucałował, i śmiejąc się mówiła:

— Dziwak z pana, ale wybaczam to... Więc jakąż jest konkluzja naszej rozmowy?

— Są dwie — odparł Zgierski. — Zostawiam pani pięć tysięcy rubli do połowy lipca i... mogę dostarczyć jeszcze cztery tysiące rubli, ale...

— Ale?...

— Ale tylko albo przyszej pani Mielnickiej, albo przyszej teściowej pana Solskiego.

— Jakąż rolę chce pan odegrać wobec mnie? — zawołała prawie z gniewem pani Latter. — Sądziłam, że będziemy mówili o bezpieczeństwie pańskich sum, o... procentach, ale nie o małżeństwach, do których pan ciągle powraca.

„Musi być bardzo pewna siebie...” — pomyślał Zgierski. I zrobiwszy minę życzliwą a strapioną odpowiedział:

— Pani!... bo nie śmiem powiedzieć: droga pani... Jaką ja rolę chcę wobec niej odegrać?... Pani, to będzie śmiała, co powiem, ale powiem. Chcę odegrać rolę przyjaciela, który wyprowadza na świat więźnia z jego celi, choć ten opiera się i gniewa...

Pani — dodał całując ją w rękę — nie myśl o mnie źle... W tych czasach przechodzi pani ważną epokę życia, waha się pani, a nie ma doradcy... Otóż — ja będę tym doradcą, nawet egzekutorem, bo jestem pewny, że za pół roku będzie mi pani wdzięczna. Chociaż wdzięczność!... — westchnął.

Nastąpiło milczenie, potem zaczęto mówić o rzeczach obojętnych, ale rozmowa rwała się. Pani Latter była rozdrażniona, Zgierski czuł, że za dużo powiedział i za długo siedzi.

Więc pożegnał gospodynię domu i wyszedł niekontent z siebie. Miał pasję imponować ludziom przebiegłością i rozległymi informacjami, a dziś pragnął wywołać zdumienie w pani Latter i skłonić ją do poufnych zwierzeń. Tymczasem nic!... Milczała jak kamień, a zamiast podziwiać go, wciąż powracała do pieniędzy i procentów, co gniewało Zgierskiego, który wolałby uchodzić za najchytrzejszego demona aniżeli za małego procentowicza.

„Ach, te kobiety... te kobiety!... przewrotne istoty...” — myślał czując, że zrobił krok fałszywy.

Lecz gdy znalazł się na ulicy i owionęło go po wybornych trunkach świeże powietrze, wstąpiła mu w serce otucha.

— Zaraz!... — mówił — o co ja mam do siebie pretensję?... Zastrzegłem zwrot pięciu tysięcy rubli w sposób stanowczy... Cztery tysiące rubli tylko obiecałem... Mam prawo liczyć kiedyś na stosunki z Mielnickim, z Solskim, z Malinowską, a przecie każdy nowy stosunek to jak bilet na loterię; szansa choćby małej wygranej jest... Mój Boże, ja się kontentuję małymi wygranymi, byle było ich dużo!... A tylko niepotrzebnie wspomniałem o Rzymie, o Dębickim i o kochanym Kaziu... No, ale mam stracić na nim dwieście rubli?... Przecież nie powiedziałem nic, tyłkom nadmieniał, że troszeczkę gra i że potrzeba go wysłać za granicę. On mi sam za to podziękuje... Po co ja mówiłem o Rzymie? Najlepsza metoda: dać poznać, że się wie o fakcie, a nie cytować źródła. O, tu zrobiłem błąd...

Jeżeli Zgierski był grzesznikiem, to w każdym razie krążył blisko drogi zbawienia, ponieważ ciągle rachował się ze sobą.

Tymczasem do gabinetu pani Latter, która spacerowała rozgorączkowana, wsunęła się gospodyni, panna Marta.

— Cóż, proszę pani — rzekła z uśmiechem — dobre było śniadanie?

— Tak... dobre... Oto łotr!

— Ten Zgierski? — pochwyciła zawsze ciekawa gospodyni.

— Ach, co tam Zgierski... Ten kochany Dębicki intrygant!...

Panna Marta klasnęła w ręce.

— A co, nie mówiłam?... — zawołała. — Nigdy nie mam zaufania do takich ścicha-pęków. Niby łagodniutki, spokojniutki, a to nurek!... On nawet, proszę pani, wygląda na intryganta i nie dałabym grosza, że gotów popełnić zbrodnię...

Potok wymowy panny Marty nieco otrzeźwił panią Latter, więc szybko przerwała jej:

— Tylko... proszę tego nie powtarzać nikomu...

— Ach, pani, ach, paniuńciu, za kogo mnie pani bierze?... Jezus Maria, wolałabym język stracić aniżeli powtórzyć to, co mi pani mówi pod sekretem. Cóż to ja?... Ale może

by, proszę paniusi, zrobić jakiś ład z tym niegodzijaszem, bo i zakąła pensji, i pani życie zatruwa... Gałgan!...

— Proszę cię, panno Marto, żadnych uwag. Idź do siebie i nic nie mów, a najlepiej mi usłużysz.

— Idę i nic nie mówię. Ale nie może mi pani zabronić modlitwy, ażeby taki skonał; bo modlitwa to rozmowa uciśnionej duszy z Bogiem...

Pani Latter znowu została sama — wzburzona.

„Co ja teraz pocznę?... — myślała, szybko chodząc. — Więc pensja nic niewarta i Zgierski już stręczy nabywczynię. Przysięgłabym, że ułożył się z nią o swoją sumę! Naturalnie między Solskim i Helenką coś musi być... Dałby Bóg, bo w niej ostatnia nadzieja... Ale jakż niegodziwy ten Dębicki! Teraz rozumiem, dlaczego nie targował się, kiedy mu przeznaczyłam rubla za lekcję... Nędzarz musiał przyjąć, ale mi tego nie zapomniał... Tak, cała nadzieja w Helenie”.

Nad wieczorem panna Howard wciągnęła Madzię do swego pokoju i zatrzasnąwszy drzwi zawołała z triumfem:

— A co, nie mówiłam, że Dębicki jest hultaj?...

— Co znowu?...

— Tak!... Uspokoić się nie mogę po tym, co mi opowiadała Marta. Ale, panno Magdaleno, przyrzeknijmy sobie, że go tu nie będzie...

— Co on zrobił? — zapytała zdziwiona Madzia.

— Wszystko, do czego taki człowiek jest zdolny... O, ja nigdy nie myłę się, panno Magdaleno... Romanowicz zupełnie co innego, to profesor nauk przyrodniczych: energiczny, postępowy, no i elegancki... Widziałam go niedawno u Malinowskiej i powiem pani, że przedstawił mi się zupełnie w nowym świetle. On rozumie, czego potrzeba kobietom. O, my musimy dużo zmienić na pensji, a nade wszystko — uratować panią Latter.

— Czy tylko nie myli się pani? — rzekła Madzia, błagalnie patrząc na pannę Howard.

— Co do tego, że interesa pani Latter idą źle? — odparła z uśmiechem panna Howard.

— Nie, ale co do Dębickiego?... — mówiła Madzia z żalem.

— Pani zawsze będzie nieuleczoną idealistką... Pani gotowa by wątpić o winie zbrodniarza schwytanego na gorącym uczynku...

— Ależ, co on zrobił, proszę pani?

Panna Howard zastanowiła się.

„Co on zrobił?... co zrobił?...” — powtarzała w duchu, nie mogąc pojąć, że ktoś nie potępia człowieka, do którego ona ma wstręt. Potem dodała głośno:

— Przyznam się pani, że bliższych szczegółów nie wiem. Ale panna Marta mówiła mi, że pani Latter jest tak oburzona na Dębickiego, tak... rozżalona, tak... pogardza nim, iż trudno przypuścić, ażeby i jej ten człowiek nie dokuczył.

— Proszę pani, komuż on dokucza?... — nalegała Madzia hamując łzy.

„Komu on dokucza?” — pomyślała panna Klara. A nie mogąc znaleźć odpowiedzi wpadła w gniew.

— Można by myśleć, że masz pani do niego słabość, panno Magdaleno!... — zawołała. — Jak to, więc nie budzi w pani odrazy ta nalana twarz, te baranie oczy, ten zagadkowy uśmiezek, z jakim przemawia choćby do mnie?... Wierz mi, pani, że jest to impertynent... i niedołęga!...

Odwróciła się od Madzi, zmieszana i rozdrażniona. Właściwie nic złego nie wiedziała o Dębickim i to gniewało ją najwięcej.

Madzia posmutniała i zabierała się do odejścia.

— Ale... ale... panno Magdaleno, pani nie zna Malinowskiej?... Musimy jednak u niej być i koniecznie skłonić, ażeby weszła do spółki z panią Latter. Muszę ocalić panią Latter, przysięgam sobie, szczególnież za to, że wydalila Joannę... Nieznośna dziewczyna!...

— Ja także chciałabym dopomóc pani Latter, jeżeli potrafię, ale cóż mogę zrobić u panny Malinowskiej?

— Ja zrobię. Już ją przygotowuję, ale ona jeszcze opiera się. Jeżeli więc pani pójdzie do niej ze mną, przekonamy ją, że cała pensja życzy sobie zatrzymać panią Latter, no i Malinowska ustąpi.

Madzia opuściła mieszkanie panny Howard, pełna przykrych myśli: zaczęła wątpić o jej wielkim rozumie i sprawiedliwości.

„Co jej się zdaje? — mówiła w duchu — co ja mogę znaczyć wobec panny Malinowskiej, ja, biedna dama klasowa? A choćbyśmy wszystkie tam poszły, czyliż potrafimy skłonić ją do zawarcia spółki z panią Latter?... Nie wiem zresztą, czy sama pani Latter życzyłaby sobie tego.

A znowu z Dębickim nieszczęście!... Co one chcą od niego?... Przecież gdyby to był zły człowiek, nie kochałby go tak pan Solski ani Ada...”.

Po kolacji wszystkie damy klasowe szeptały między sobą o Dębickim, postanawiając albo nie rozmawiać z nim, albo witać go zimno. Madzię tak rozdrażnił ich bezprzyczynowy gniew na niewinnego człowieka, że pod pozorem pisania listów usunęła się za swój parawanik, niechętnie odpowiadając uczennicom, które zasypywały ją pytaniami. Czuła coraz silniej, że na pensji dzieje się coś niedobrego, ale nie mogła sformułować, w czym leży zło i co grozi.

## 17. PIERWSZY UŚCISK

W następną sobotę przypadał koniec stycznia. Dzień ten głęboko zapisał się w pamięci Magdaleny.

Około jedenastej z rana, kiedy uczennice siedziały w klasach, z jednej sypialni usunięto rzeczy panny Joanny i wyniesiono tylnymi schodami na wóz, który czekał pod oficyną kryjąc się przed spojrzzeniami ciekawych. Panna Joanna, blada, ale z podniesioną głową, sama spakowała się i sama dyrygowała tragarzami.

Kiedy wszystko wyniesiono i panna Joanna włożyła kapelusz i okrycie, weszła do sypialni Madzia z listem od pani Latter. Joanna wyrwała z jej ręki list patrząc w oczy z zuchwałym uśmiechem.

— Nie żegnasz się z nikim, Joasiu? — zapytała Madzia.

— Z kim? — odparła szorstko. — Czy z panią Latter, która mi przysłała pieniądze przez... przez moje eks-koleżanki, czy z tą wariatką Howardówną?...

— I nikogo ci nie żal?

— Wszystkie jesteście głupie! — zawołała Joanna — a najgłupsza Howardówna... Apostołka samodzielności kobiet, cha! cha!... Ta kobieta ma chorągiewkę w głowie: niedawno mnie uwielbiała, potem zaczęła kopać dołki pode mną, a teraz udaje, że mnie nie zna...

— Bo po co wydobyłaś ten nieszczęśliwy list! — szepnęła Madzia.

— Tak mi się podobało!... Nie pozwolę, ażeby ktokolwiek mnie krzywdził!... A nie mszczę się nad Howardówną, bo wiem, że ta wariatka dokuczy wszystkim i sama się zgubi... Zgubi pensję i Latterową.

To powiedziawszy panna Joanna wyszła z gniewem na korytarz, ostentacyjnie usuwając się od Madzi.

— I ze mną nie żegnasz się? — spytała Madzia.

— Bo wszystkie jesteście głupie! — zawołała wybuchając płaczem.

Prędko przebiegła przez korytarz i znikła na bocznych schodach, skąd jeszcze parę razy doleciało jej spazmatyczne szlochanie.

O piątej po południu w kancelarii na drugim piętrze miała odbyć się sesja miesięczna. Ponieważ profesorowie czekali, a pani Latter jeszcze nie przyszła, więc panna Howard szepnęła Madzi, ażeby przypomniawszy o tym przelożonej.

Madzia zbiegłszy na pierwsze piętro weszła do gabinetu, lecz pani Latter nie było. Zajrzała do dalszych pokoi i spotkała — pana Kazimierza. Był wzburzony, ale piękny.

— Pani Latter nie ma?... — zapytała zmieszana Madzia.

— Poszła mama na sesję — odparł. A widząc, że zarumieniona Madzia chce odejść, chwycił ją za rękę i rzekł:

— Proszę o chwilkę rozmowy, panno Magdaleno. Przecież pani nie należy do sesji.

Madzia tak zlekła się, że nie mogła wydobyć głosu. Bała się pana Kazimierza, ale nie miała siły opierać się jego życzeniu.

— Chcę z panią pogadać o mojej matce, panno Magdaleno...

— Ach, tak!... — i Madzia odetchnęła.

— Niech pani siądzie, panno Magdaleno.

Usiadła, bojaźliwie patrząc mu w oczy.

— Mam do pani dwie prośby. Czy zechce pani je spełnić?... Niech się pani nie lęka: obie dotyczą mojej matki.

— Wszystko jestem gotowa zrobić dla pani Latter — szepnęła Madzia.

— Ale nic dla jej syna — wtrącił Kazimierz z gorzkim uśmiechem. — Mniejsza o mnie — dodał. — Czy pani nie spostrzegła, że moja matka od pewnego czasu jest bardzo... rozdrażniona?...

— Uważamy to wszyscy — odparła po chwili wahania.

— Oczywiście jedno z dwojga: albo matka ma kłopoty, o których nie wiem, albo... grozi jej ciężka choroba — dokończył ciszej, zasłaniając twarz ręką. — Cóż pani o tym sądzi?... — zapytał nagle.

— Ja sądzę, że... może kłopoty...

— Ale jakie?... Przecie ubytek kilku uczennic nic nie znaczy dla pensji... Więc co?... Helenka wyjechała za granicę i o nią chyba matka nie potrzebuje się troszczyć... Ona da sobie radę!... — zawołał z uśmiechem. — Cóż więc pozostaje?... Chyba ja?... No, ale ja także jestem gotów wyjechać i nie wiem, dlaczego mama ociąga się...

Madzia spuściła oczy.

— Doprawdy, że niepokoję się matką — ciągnął pan Kazimierz tonem raczej gniewnym aniżeli zmartwionym. — Jest zdenerwowana, nawet w stosunkach ze mną, a o kuracji nie pozwala sobie mówić... Przy tym zachodzi w niej jakaś zmiana. O ile sięgam pamięcią, zawsze zachęcała mnie do zrobienia wyższej kariery, no i ja robię ją, mam znajomości... Tymczasem dziś, kiedy powinien bym jechać, mama wypaliła mi takie kazanie o pracy i zarobkach, że przestraszyłem się... A co mnie najwięcej niepokoi, że wszystkie morały prawila mi tonem szyderczym... jakaś podniecona... śmiejąc się...

— Czy pani nie dostrzegła zmiany w zwyczajach mojej matki?... Czy... na przykład... nie uważa pani, ażeby matka... ażeby matka... zażywała eter?... Eterem posługują się niekiedy do uśmierzenia bólów newralgicznych... Zresztą — ja nic nie rozumiem...

Rozpaczliwym ruchem objął się rękoma za głowę, ale na jego twarzy widać było tylko rozdrażnienie.

— Proszę, niech pani nikomu nie wspomina, że mówiłem o eterze, bo mogę się mylić... Ale proszę... niech pani daje baczność na mamę, panno Magdaleno — dodał ujmując jej rękę i błagalnie patrząc w oczy. — Doprawdy, że uważam panią za osobę najbliższą nam, jakby drugą córkę mojej matki... I gdyby pani coś dostrzegła, niech zawiadomi mnie o tym, gdziekolwiek będę: tu czy za granicą... Zrobi to pani?... — pytał tonem smutnym i pieszczotliwym.

— Tak... — odpowiedziała cicho Madzia, którą przebiegały dreszcze na dźwięk głosu pana Kazimierza.

— A teraz druga prośba. Niech pani napisze list do Helenki w tym guście, że mama jest rozdrażniona, że na pensji wszystko idzie źle... I niech pani jeszcze doda tonem żartobliwym, że Warszawa dużo mówi o jej zabawach i kokieterii. Szczególna dziewczyna, powiadam pani... Chce podobać się Solskiemu, a bałamuci innych! Dobra to metoda, ale nie z każdym... Solski jest partią zbyt poważną, ażeby godziło się zrażać go lekkomyślnym postępowaniem.

Madzia z niepokojem spojrzała na pana Kazimierza. Przyszły jej na myśl obawy Ady.

— Więc robi pani, o co prosiłem?... — To dla mojej matki, panno Magdaleno... — mówił.

— Tak... Chociaż ja nie mogę pisać do Heli o panu Solskim...

Wyraz niecierpliwości przebiegł po pięknym obliczu pana Kazimierza, lecz w jednej chwili zniknął.

— Dobrze, więc mniejsza o Solskiego — rzekł. — Ale za to będzie pani pisywać do mnie za granicę o zdrowiu matki?...

— Napiszę, gdyby zaszło coś ważnego.

— Tylko w takim razie?... Ha, cóż robić, dziękuję i za to...

Znowu ujął rękę Madzi i złożył na niej długi pocałunek spoglądając w oczy.



Madzia zaczęła drżeć, lecz nie była w stanie cofnąć ręki. Pan Kazimierz pocałował ją drugi i trzeci raz, coraz przeciąglej i coraz namiętniej. Lecz gdy wziął za drugą rękę, wyrwała mu obie.

— To niepotrzebne — rzekła wzburzona. — Kiedy chodzi o zdrowie pani Latter, mogę pisać nawet do pana...

— Nawet... do mnie!... — powtórzył pan Kazimierz zrywając się z krzesła. — Ach, jakaż pani nielitościwa!... Jednak musi pani przyznać — dodał z uśmiechem — że wygrałem zakład: pocałowałem panią w rączkę, choć dopiero w kilka miesięcy później, aniżeli zapowiedziałem...

Teraz Madzia przypominała sobie spór, jaki przeprowadzili w październiku wobec Helenki.

— Ach! — zawołała zmienionym głosem — więc dlatego rozmawiał pan ze mną o swojej matce?... Jest to dowcipne, ale... nie wiem, czy szlachetne...

Nie mogła się pohamować i lzy stoczyły się po jej twarzy.

Chciała wyjść, ale pan Kazimierz zastąpił jej drogę mówiąc z uśmiechem:

— Panno Magdaleno, na miłość boską, niech się pani na mnie nie obraża!... Czyli nie czuje pani w moim postępowaniu tego szubienicznego humoru, który napada ludzi zrozpaczonych?... Nie umiem pani opowiedzieć, co się ze mną dzieje... Lękam się jakiejś katastrofy z matką czy Helą... nie wiem... i jestem tak nieszczęśliwy, że już drwię z samego siebie... Pani mi przebacza, prawda?... Bo ja panią uważam za drugą siostrę, lepszą i rozumniejszą od tamtej... A pani chyba wie, że bracia niekiedy lubią dokuczać siostronom... No, nie gniewa się pani?... Ma pani trochę litości nade mną?... Zapomni pani o moim szaleństwie?... Wszakże tak?...

— Tak... — szepnęła Madzia.

Schwycił ją znowu za rękę, ale Madzia wyrwała mu się i uciekła.

Pan Kazimierz został sam na środku pokoju i położywszy palec na ustach myślał:

„Ma dziewczyna temperament... Jakie dziwne te kobiety... każda bestyjka inna!... Szkoda, że wyjeżdżam... No, ale przecież nie na wieki...”

Madzia pobiegła do sypialni, ukryła się za parawanem i cały wieczór przeleżała z głową wciśniętą w poduszki. Gdy przyszły pensjonarki zapytując, co jej jest, miała twarz rozpaloną, błyszczące oczy i narzekała na silny ból głowy. Nie rozumiała, co się z nią dzieje; była obrażona, zawstydzona, lecz szczęśliwa.

Nazajutrz w niedzielę o pierwszej panna Howard zaproponowała Madzi spacer na wystawę. Lecz gdy wyszły na ulicę, rzekła:

— Pani myśli, że naprawdę idziemy na wystawę?

— Więc gdzie?... — zapytała z przestrachem Madzia lękając się usłyszeć nazwisko pana Kazimierza.

— Idziemy do Malinowskiej — odparła panna Howard. — Trzeba to raz skończyć... Wczoraj na sesji ostatecznie przekonałam się, że pani Latter nie ma już ani pomysłów, ani energii... Robi wrażenie osoby rozbitej... Muszę ją ratować...

Panna Malinowska mieszkała z matką w okolicach ulicy Marszałkowskiej i zajmowała trzy pokoje na trzecim piętrze. Matka gospodarowała, ona po całych dniach odbywała lekcje z przychodzącymi panienkami.

Kiedy panna Howard i Madzia weszły do jej pokoju, zastały ją nad wypracowaniami uczennic. Przerwała robotę i przywitała się z Madzią bez wstępów, mocno ściskając ją za rękę.

Panna Malinowska była to szczupła trzydziestoletnia blondynka z ładnymi oczyma, uczesana gładko, ubrana gładko i bez wielkiego gustu. Miała głos łagodny, spokojną twarz, a na niej taki sam wyraz zaciętości, jaki niekiedy cechował panią Latter. Madzia na poczekaniu stworzyła sobie teorię, że każda przełożona pensji musi być trochę zacięta i mieć imponujące spojrzenie. A ponieważ ona sama nie była ani imponującą, ani zaciętą, więc nie mogła marzyć o otworzeniu pensji...

Kiedy panna Malinowska poprosiła panie, ażeby usiadły, panna Howard odezwała się głosem mniej niż zwykle stanowczym:

— Przychodzimy do pani jako deputatki...

Panna Malinowska milcząc skinęła głową.

— I chcemy prosić, ażeby pani ostatecznie zdecydowała się...

— Wejść w spółkę z panią Latter?... — wtrąciła panna Malinowska. — Już zdecydowałam się. Nie wejdę.

Panna Howard była w przykry sposób zdziwiona.

— Czy może nam pani objaśnić powody?... Do czego zresztą nie mamy prawa... — rzekła coraz mniej stanowczym tonem panna Howard.

— Owszem, chociaż jest to trochę dziwne, że z podobną propozycją nie zgłasza się do mnie sama pani Latter.

— My chcieliśmy przygotować grunt do porozumienia — wtrąciła panna Howard.

— Grunt już jest — odparła panna Malinowska. — Pół roku temu, jak pani zresztą wiadomo, byłam gotowa połączyć się z panią Latter. Ona nie chciała. Dziś dla mnie spółka z nią nie przedstawia interesu.

— Pani Latter jest osobą bardzo doświadczoną — rzekła rumieniąc się panna Howard.

— Ach, jaka ona dobra!... — dodała Madzia.

— Posiada ustaloną renomę — uzupełniła panna Howard zapalając się.

Panna Malinowska nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Widzę — rzekła — że muszę wypowiedzieć paniom to, o czym powinna bym milczeć. Otóż pomimo zapewnień, że pani Latter jest osobą dobrą, doświadczoną i renomowaną, ja zaś jestem prawie nowicjuską na tym polu, jednakże... nie mogę wchodzić z nią w żadne spółki. Rola pani Latter skończyła się, to nie jest kobieta dzisiejszej epoki.

Madzia drgnęła na krześle i z błyszczącymi oczyma odparła:

— Pani Latter od kilkunastu lat pracuje...

Panna Malinowska spojrzała na nią chłodno.

— A pani nie pracuje?... — zapytała. — I ile pani zarabia?

Madzia tak się stropiła pytaniem, że podniósłszy się z krzesła wyrecytowała głosem pensjonarki wydającej lekcję:

— Mam piętnaście rubli miesięcznie, życie, mieszkanie i wychodne trzy razy tygodniowo...

Panna Howard wzruszyła ramionami.

— Otóż, widzi pani — mówiła panna Malinowska — tak wynagradza się praca kobiet w naszej epoce. Mamy za nią ledwo skromny byt, nie wolno nam marzyć o robieniu majątku, a pod żadnym pozorem nie możemy mieć dzieci, bo... któż je wykarmi i kto je wychowa?...

— Społeczeństwo!... — wtrąciła panna Howard.

— Tymczasem — ciągnęła dalej panna Malinowska — pani Latter ma zupełnie inne pojęcia. Prowadzi dom jak wielka dama, to jest pracując za jedną wydaje za pięć, a może i dziesięć zwyczajnych pracownic. Nie dość tego: pani Latter ma dzieci wychowane na wielkich panów...

— Na to pracuje... — szepnęła Madzia.

— Myli się pani — przerwała panna Malinowska — ona już nie pracuje, bo pracować nie może... Ona co najwyżej zagryza się na śmierć myśląc o jutrze, bo czuje, że jutro — nie dla niej. Ona widzi, że kapitał, który włożyła w wychowanie dzieci, jest zmarnowany. Bo dzieci nie tylko jej nie pomagają, nie tylko trwonią jej pieniądze, nie tylko rujną jej przyszłość ale w dodatku same sobie nie dadzą rady...

— To okrutne, co pani mówi — wtrąciła Madzia.

Panna Malinowska zdziwiła się i spoglądając na pannę Howard rzekła:

— Ależ, to nie ja mówię, tylko całe miasto... Świadkiem panna Howard. Ja zaś dodaję od siebie, że ponieważ za moją pracę mieć będę najwyżej pięćset lub sześćset rubli rocznie, więc nie mogę brać na współniczkę kobiety, która potrzebuje kilku tysięcy rubli... Mam wprawdzie jakiś kapitał, ale procent od niego, jeżeli pensja da procent, należy do mojej matki.

— Nie śmiałybyśmy pani stawić podobnych żądań — odezwała się zakłopotana panna Howard.

— Ja też nie odpowiadam na żądania, tylko tłumaczę się, ażeby nie być źle zrozumianą, a potem... zbyt surowo sądzoną — mówiła panna Malinowska. — Położenie moje

jest trudne, bo pani Latter może wszystko stracić, a ja jestem do pewnego stopnia zaangażowaną w jej interesa i pensję nabyć muszę. W dodatku pensja jest rozprzężona, trzeba wiele rzeczy zmienić nie wyłączając personelu...

Madzia była wzburzona, panna Howard bladła i rumieniła się, o ile to dla jej wiecznej różowej cery było możliwe.

Po chwili kłopotliwego milczenia panna Howard wstała i zaczęła żegnać gospodynię domu.

— W takim razie — rzekła na zakończenie — musimy szukać innych środków ratunku...

— Sądzę — odparła panna Malinowska — że przynajmniej dla pani, panno Klaro, to, co powiedziałam, nie jest niespodzianką? Wszakże od kilku miesięcy rozmawialiśmy o tych sprawach.

— Tak... ale moje poglądy uległy pewnej modyfikacji... — odpowiedziała chłodno panna Howard.

Madzia była tak zmieszana, że o mało nie zapomniała pożegnać panny Malinowskiej.

Gdy obie damy opuściwszy mieszkanie przyszłej przełożonej znalazły się na ulicy, panna Howard zaczęła rozdrażnionym głosem:

— Oho, moja Malinosiu, widzę, że z ciebie ziółko!... Jakim ona tonem dziś przemawia... Personel!... słyszała pani? Ona mnie i panią zalicza do personelu?... Pokażę ja jej personel... Chociaż swoją drogą w tym, co mówi o pani Latter, ma słuszność. Pracująca kobieta nie może tyle wydawać na siebie i na dzieci, które zresztą powinny być obdarzone nazwiskami i wychowane przez społeczeństwo...

— Ależ dzieci pani Latter mają nazwisko swego ojca — zauważyła Madzia.

— Tak, ale gdyby nie miały?...

— Boże, Boże... — szeptała Madzia. — To będzie coś strasznego... Więc już nie ma ratunku dla pani Latter?...

— Owszem jest — odparła energicznie panna Howard. — Pójdziemy do pani Latter i powiemy jej: pani, jakkolwiek z zasady jesteśmy przeciwne małżeństwu, lecz w tak wyjątkowych warunkach radzimy pani wyjść za wuja Mani Lewińskiej... On da pieniądze, a my poprowadzimy pensję bez Malinowskiej...

— Panno Klaro?... — zawołała zdumiona Madzia zatrzymując się na ulicy.

— Dla niej nie ma innego wyjścia, tylko małżeństwo z tym dziadem — upierała się panna Howard.

— Ależ, co pani mówi... Skąd znowu małżeństwo z wujem Mani?...

Teraz panna Klara wybuchnęła zdziwieniem.

— Jak to — rzekła — więc pani nawet o tym nie wie, o czym wszyscy mówią?... Doprawdy, pani dziczeje na pensji!

I zanim doszły do domu, opowiedziała Madzi plotki krążące w rozmaitych kołach towarzyskich na rachunek pani Latter. Dodała, że sfery konserwatywne są bezwarunkowo za małżeństwem pani Latter z Mielnickim, że radykalna młodzież drwi sobie z małżeństw, które w przyszłej ludzkości muszą być zniesione, lecz że umiarkowany odłam stronnictwa emancypacji kobiet radzi tymczasem zachować małżeństwa jako formę przejściową.

Zakończyła wreszcie, że lubo sama jest radykalistką, jednak potrafi uszanować zdania uczciwych konserwatystów i nawet byłaby gotowa poddać się decyzji umiarkowanego odłamu emancypacji kobiet, gdyby na drodze życia spotkała nadzwyczajnego mężczyznę. Dla zwyczajnych bowiem mężczyzn nie poświęciłaby się, ponieważ są to nikczemnicy i głupcy, z których żaden nie potrafi ocenić kobiety wyższej ani jej potrzeb.

Nigdy panna Howard nie była tak wymowną i nigdy Madzia nie czuła takiego rozbitcia myśli jak po tym spacerze. Niby zygzaki błyskawic latały jej po głowie wspomnienia — to grubego Mielnickiego, to panny Malinowskiej, to pracujących kobiet, którym nie wolno mieć dzieci, to znowu rozmaitych kół towarzyskich: konserwatywnych, radykalnych i umiarkowanie emancypacyjnych. Wszystko to paliło się, trzaskało, brzęczało tworząc chaos, poza którym w sercu Madzi kryła się troska o panią Latter.

„Boże, co będzie z nią i jej dziećmi?...” — myślała.

Gdy zaś położyła się wieczorem do łóżka, opanował ją gniew na pannę Malinowską.

„Dlaczego ona mówi, że kobieta pracująca nie powinna mieć dzieci?... Cóż to, czy kobiety wiejskie nie pracują, a jednak są matkami... Dzieci to takie miłe, takie kochane stworzenia... Wolałabym umrzeć...”

Zamknęła oczy i — przyśnił się jej pan Kazimierz.

## 18. KARA ZA NIEDOŁĘSTWO

Zajęta myślami o przyszłości pani Latter, Madzia nazajutrz i następnych dni nie zauważyła, że coś knuje się na pensji. Widziała rozdrażnienie panny Howard, słyszała szepty dam klasowych, nieraz obilo się o jej uszy słówko tej lub owej pensjonarki: „intrygant!” „niedołęga!” — ale nie przywiązywała do tego znaczenia.

Dusza jej była przesycona niepokojem o panią Latter, o Helenkę, nawet... o pana Kazimierza, którym, według przepowiedni panny Malinowskiej, groziła ruina... Cóż więc mogło ją obchodzić, że kogoś nazywają intrygantem i niedołęgą, że cała pensja o czymś szepcze?... Alboż ona sama nie była pełna jakichś tajemniczych szeptów, nad którymi górowały dwa zdania:

„Rola pani Latter skończyła się nieodwołalnie”.

„Kobiety pracujące nie powinny mieć dzieci”.

Słowa te wydawały się Madzi okrutnymi; tym okrutniejszymi, że kochała panią Latter jak drugą matkę, a najwięcej kochała ją za to, że ma dzieci.

„Jak można — myślała sobie — z taką straszną obojętnością odmawiać praw do życia istotom malutkim i niewinnym, których dusze, być może, krążą nad nami upominając się o przyjście na świat, o chrzest i wiekuiste zbawienie?... Jak można przed nie urodzonymi zamykać wieczność tylko dlatego, ażeby nam było dobrze?...”

Wspomnienie panny Malinowskiej, która tak spokojnie rzucała wyrok zagłady na nie urodzonych, napełniało Madzię trwogą. Zdawało jej się, że łagodna i zacięta blondynka wypowiada wojnę samemu Bogu.

„Wolałabym umrzeć anizeli coś podobnego pomyśleć” — mówiła w duchu.

A tymczasem około niej szepczano o jakimś intrygancie i niedoładze. Lecz gdy Madzia zbliżyła się do grupy pensjonarek, dziewczynki milkły, choć w ich oczach można było wyczytać, że mówią o czymś ważnym.

Raz doleciał Madzię frazes:

— Jej panna Howard nie kazała... Ona jest tak łagodna, że może wszystko zepsuć...

Madzia machinalnie spojrzała na dowodzącą pensjonarkę, która uciekła. Lecz i te zdania odbiły się od jej uwagi jak piłka od ściany.

W następną sobotę dyżurowała Madzia w czwartej klasie, gdzie od godziny dziesiątej do jedenastej Dębicki miał wyklądać botanikę. Siedziała na krześle haftując coś, pogrążona w myślach, gdyż klasa była spokojna.

Po dzwonku nauczyciel języka niemieckiego opuścił salę, a w parę minut wszedł Dębicki. Był jak zwykle zakłopotany, idąc podnosił kolana bardzo wysoko, okrążył katedrę, potknął się na stopniu, co rozśmieszyło pensjonarki, i zapisał się w dzienniku.

Potem rzekł cichym głosem:

— Panna Kolska...

— Nic nie mów!... Nie umiesz!... — zaszemrano w klasie.

Madzia spojrzała po sali. Większa część uczennic miała spuszczone głowy, lecz w ostatnich ławkach było widać rozognione twarze i błyszczące oczy.

Dębicki zamyślił się, przewracał kartki dziennika, bawił się piórem, lecz stopnia uczennicy nie zapisał.

— Panna Siewierska... — odezwał się po chwili.

— Nic nie mów!... Nieprzygotowana!... — odezwały się głosy panienek, tym razem liczniejsze i silniejsze niż poprzednio.

Dębicki podniósł się z fotelu i patrząc na rzędy pochylonych główek rzekł spokojnie:

— Moje panie, cóż to znaczy?...

— Nic nie rozumiemy... Nudne lekcje...

— Nie rozumiecie, panie, botaniki?...

— Nic, ale to nic nie rozumiemy!... — zawołał cienki głos. A po nim chór:

— Nie rozumiemy... Nie chcemy...

Dębickiemu twarz zrobiła się szarą, nos trochę posiniał. Zachwiał się, odetchnął parę razy, jakby mu zabrakło powietrza, a w jego oczach błysnęła trwoga. Lecz uspokoił się, zeszedł z katedry, stanął przed pierwszymi ławkami i pokiwawszy głową rzekł z uśmiechem:

— Dzieci!... dzieci!...

Potem opuścił salę, znowu podnosząc kolana bardzo wysoko i trzymając rękę za kłapą surduta.

Kiedy cicho zamknął drzwi za sobą, Madzia na pół nieprzytomna zapytała:

— Co to jest?...

Odpowiedziało szlochanie jednej z przychodnich uczennic. Była to siostrzenica Dębickiego.

— Co to znaczy?... — powtórzyła Madzia.

W klasie panowało głębokie milczenie, a po chwili rozległ się płacz innej dziewczynki, która była w przyjaźni z siostrzenicą nauczyciela.

A potem w różnych punktach sali zaczęły płakać jeszcze inne dziewczynki i odzywać się głosy

— To przez Bandurską!...

— Nieprawda, bo to Lange!...

— Mnie panna Howard kazała...

— Trzeba przeprosić pana profesora...

— Prosić... Przeprosić!... Niech pani prosi!...

Madzia rzuciła swój haft na ziemię i wybiegła na korytarz.

Dębicki w futrze i czapce stał na połowie schodów trzymając się poręczy i ciężko dysząc. Madzia chwyciła go za ręce i łkając zapytała:

— Co panu jest?... Dlaczego pan wychodzi?...

— Nic. Przypomniano mi, że powinienem wziąć się do spokojniejszego zajęcia — odparł ze smutnym uśmiechem.

— Ależ, panie... niech pan wróci... — błagała Madzia, coraz mocniej ściskając go za ręce. — One tak proszą... bardzo proszą!...

— Dzieci są zawsze dobre — odparł — ale ja jestem chory, i już nie mogę być nauczycielem.

W tej chwili przebiegła przez korytarz i schody mała siostrzenica Dębickiego i z płaczem rzuciwszy mu się na szyję rzekła:

— Wujciu... ja z wujciem pójdę... nie chcę tu być...

— Dobrze, dziecko. Tylko weź salopkę...

— Wezmę, wujciu... ale wujcio zaczeka na mnie... sam nie odejdzie... — szlochała dziewczynka całując jego ręce.

— Panie... — rzekła Madzia — chciałabym panu do nóg...

Potem zasłoniła twarz chustką i uciekła na górę.

W innych klasach zwrócono uwagę na szmer w korytarzu. Parę nauczycielek wyszło zapytując Madzię, co to znaczy...

— Nic... — odparła. — Dębicki zachorował...

Wybiegła i panna Howard ze swego pokoiku, niespokojna, rozgorączkowana.

— Więc już?... — spytała Madzi.

Teraz Madzia wciągnęła ją do pokoju i zamknawszy drzwi zawołała:

— A pani jest zła kobieta!...

— Co pani mówisz?... — zapytała raczej z trwogą aniżeli z gniewem panna Howard.

— A pani co zrobiła?... Zgubiła niewinnego człowieka, chorego na serce... Niech pani zejdzie na dół... niech spojrzy, a do śmierci nie zapomni pani swego czynu... Bo komu on szkodził... komu zawadzał ten biedak?...

— Chory na serce?... — powtórzyła panna Howard. — On naprawdę chory?... Ależ ja o tym nie wiedziałam...

— Ale co on pani winien?... Komu on co winien?... Litości nie macie... nie boicie się Boga!... — mówiła Madzia zdławionym głosem.

— Więc jeżeli on naprawdę taki nieszczęśliwy, to ja mogę do niego napisać... niech wróci na pensję... Ja przecież nie wiedziałam, że on chory na serce... Ja myślałam, że to zwyczajny niedołęga... — tłumaczyła się zawstydzona panna Howard.

„Ona jest naprawdę wariatką!” — pomyślała Madzia. Otarła oczy, opuściła zgnębioną pannę Klarę i wróciła do klasy.

W kwadrans po awanturze, kiedy Dębicki ze swoją siostrzeniczką byli na ulicy, do pani Latter weszła tylnymi drzwiami jedna z dam klasowych i opowiedziała o zajściu w czwartej klasie.

Pani Latter słuchała podniecona, zarumieniona, a na pytanie damy, czy pójdzie na górę, odparła z nienaturalnym uśmiechem:

— Wszystko jedno!... Jest to wprawdzie nieporządek... ale...

Machnęła ręką i ciężko usiadła na kanapie.

Dama nie mogąc się niczego dowiedzieć wyszła zdziwiona, a w tej chwili Stanisław przyniósł pani Latter korespondencję z poczty.

Pani Latter wciąż uśmiechając się zaczęła przeglądać listy. Jeden upadł na ziemię, więc podniosła go z wysiłkiem.

— Od Mielnickiego — rzekła. — A ten z Neapolu. Od kogóż by to?

Otworzyła i przeczytała króciutki anonim napisany po francusku:

„Jesteś pani kobietą rozumną, jak głosi opinia, więc powinna być ostrzec swoją córkę, ażeby gdy już znalazła konkurenta dla siebie, nie odciągała konkurentów innym pannom, które jej nie przeszkadzały w polowaniu na bogatego męża.

*Życzliwa”.*

Pani Latter zmięła list i oparłszy głowę na poręcz kanapy rzekła do siebie półgłosem, wciąż uśmiechając się:

— Ach, ta Hela... Nawet z zagranicy przychodzą na nią skargi...

## 19. PIERWSZY SMUTEK

W połowie marca około siódmej wieczór panna Howard powróciwszy z miasta wywołała Madzię z klasy i zaprowadziła do swego pokoju.

Panna Howard była rozgorączkowana. Drżącymi rękoma zapaliła lampę i nie zdejmując okrycia ani kapelusza rzuciła się na krzesło. Zwykle różowa jej twarz miała w tej chwili płową barwę włosów i tylko skutkiem marcowych podmuchów nos był trochę zaczerwieniony.

— Co się pani stało?... — zapytała wylężniona Madzia. — Czy może panią zaczepił kto na ulicy?

Panna Howard wzruszyła ramionami i spojrzała na Madzię z pogardą. Przede wszystkim jej nikt i nigdy nie zaczepiał, a choćby zaczepił, więc cóż?... Taka drobnostka nie zdenerwowałaby panny Howard.

Więc milczała przez pewien czas jak biegły deklamator, który chce wywołać efekt. A potem — zaczęła z wolna, niekiedy przerywając dla nabrania tchu.

— Wie pani, u kogo w tej chwili byłam i dlaczego? Jestem pewna, że nigdy pani nie zgadnie. Byłam... u Joasi...

— Pani u Joasi?... — zawołała Madzia. — I cóż ona?...

— Przyjęła mnie bardzo dobrze, zgadując, że przyszłam do niej jako przyjaciółka.

— Pani jako przyjaciółka Joasi?... Przecież...

— Chcesz pani powiedzieć, że przeze mnie straciła miejsce?... Ależ ta biedaczka prędzej czy później musiałaby stracić każde miejsce... Stan jej zdrowia...

— Ona jest chora?... Co jej?...

Panna Howard podniosła oczy do góry i mówiła dalej, nie zważając na pytania Madzi:

— Spotkałam dziś panią Fantoche, która ciągle utrzymuje stosunki z tą nieszczęśliwą ofiarą...

— Pani mówi o Joasi?... — wtrąciła Madzia.

— Właśnie i ja, gdy zapytałam panią Fantoche, skąd wraca, i usłyszałam, że od tej nieszczęśliwej, byłam zdumiona. Wtedy zacna Fantoche powiedziała parę słów, które mnie rozbroiły.

W tym miejscu panna Howard podniosła się z krzesła, zbliżyła usta do ucha Madzi i szepnęła:

— Joasia jest...

A potem zaczęła zdejmować kapelusz i okrywkę, jak osoba już nie mająca nic do powiedzenia, ponieważ wypowiedziała taką prawdę, która jest syntezą wszystkich prawd, jakie istniały, istnieją i kiedykolwiek mogą objawić się ludzkości.

— Joasia?... Co pani mówi?... — zawołała Magdalena zbudziwszy się z chwilowego osłupienia. — Przecież ona nie jest mężatką...

Z panny Howard spadła okrywka i zatrzymała się na lewym rękawie, który jeszcze nie był zdjęty. Płowowłosa dama spojrzała na Madzię bledszymi niż zwykle oczyma i odparła z lodowatym spokojem:

— Wie pani, panno Magdaleno, że powinna być wrócić do pierwszej klasy!... Jak to, więc kobieta w wieku pani, kobieta samodzielna, może zadawać podobne pytania?... Ależ pani jesteś po prostu śmieszna.

Madzia zaczerwieniła się jak najczerwieńsza wiśnia.

— Ja przecie rozumiem...

— Pani nic nie rozumiesz! — zawołała panna Howard tupiąc nogą.

— Właśnie że rozumiem! — upierała się Madzia na pół z płaczem. — Ale przecież wiem...

— Co pani wie?...

— Wiem, że tak szkaradnego czynu nie dopuściła się sama — odpowiedziała Madzia mrugając oczyma pełnymi łez.

— Ach, o to pani chodzi?... Naturalnie, że musi być współnik, i właśnie o nim pogadam dziś z panią Latter.

— O kim?...

— Rzecz prosta, że o panu Kazimierzu Norskim.

Madzia spojrzała na nią z wyrazem takiej trwogi, że panna Howard zdziwiła się.

— Co to znaczy?... — rzekła.

— Na miłość boską — zawołała Madzia łamiąc ręce — niech pani tego nie robi... Pan Kazimierz?... ależ to plotki...

— Wiem to od Joasi.

— Joasia kłamie!... — odparła Madzia.

— Joasia mogłaby kłamać, ależ chyba nie kłamią nasze oczy. Pan Kazimierz bałamucił biedną dziewczynę od wakacji...

— Bałamucił?... — szepnęła Madzia zataczając się. Błada usiadła na krześle i nie spuszczała oczu z panny Howard zdumionej i rozgniewanej.

— Rozumie się, że bałamucił, aż nareszcie skłonił ją do schadzek. Przecie chyba pamiętasz pani, kiedy Joasia wróciła na pensję o drugiej w nocy... Bohater!... Don Juan!.. — zawołała panna Klara. — Mówił jej, że jest najpiękniejsza, że dopiero ją pokochał prawdziwie, groził, że odbierze sobie życie w jej oczach... A dziś drwi z niej i ucieka. O, podły rodzie męski!... I ja nie mam rozmówić się o tej nieszczęśliwej z jego matką?

Madzia splotła ręce i opuściła głowę tak, że cień padł na jej drobną twarzyczkę. Ale panna Howard nie patrzyła na nią, tylko chodząc po pokoju mówiła:

— Jak to, więc biedna dziewczyna ma zostać sama jedna, bez opieki, bez grosza, odepchnięta przez krewnych i znajomych, w takiej chwili, kiedy najbardziej i najstuszej należy jej się pomoc od całego społeczeństwa?... Więc kiedy uwodziciel rzuca się w objęcia coraz nowych kochanek, ona nie ma nawet lekarza i służącej?... Kiedy on trwoni setki rubli przez miesiąc, ona nie ma talerza rosolu i szklanki herbaty?... Zdaje mi się, panno Magdaleno, że w pani nie tylko nie rozbudziła się znajomość świata, ale nawet śpi uczucie sprawiedliwości...

— A jeżeli to nieprawda?... — szepnęła Madzia.

— Co nieprawda?... Że kobiety są nieszczęśliwe, nawet pełniąc najwznioślejsze obowiązki, a mężczyźni mają przywileje nawet w zbrodni?...

— A jeżeli to nie pan Kazimierz?... — nalegała Madzia. — Niech pani sobie przypomni omyłkę co do Dębickiego. Ten człowiek nie był winien, a jednak...

— Także porównanie! — odparła panna Howard coraz prędzej chodząc po pokoju. — Dębicki jest człowiek chory, więc na wszystkich robi wrażenie niedołęgi, ale pan Norwski

jest znany bałamut... Przecież on mnie chciał uwieść, mnie!... I potrzeba było całej potęgi mego rozumu i charakteru, ażeby się oprzeć jego spojrzeń, półsłówkom, uściskom ręki... „Bądź pani moją przyjaciółką... moją siostrą...” — mówił. Cha, cha!... pięknie wyglądałabym wśród zacofanego społeczeństwa.

Korzystając z przerwy Madzia w milczeniu pożegnała pannę Howard i tłumiąc lzy pobięła do sypialni za swój szafirowy parawanik.

Znalazszy się tam Madzia upadła na łóżko, ukryła twarz w poduszce i płakała, gorzko płakała... W uszach jej szumiały wyrazy: „Kazimierz bałamucił Joasię od wakacyj — rzucił się w objęcia coraz nowym kochankom — prosił pannę Howard, ażeby została jego przyjaciółką i siostrą!...”. On przecież i ją, Madzię, nazywał drugą siostrą!... Może być, że jest to bałamut i kłamca, ale w chwili kiedy ją całował po rękach, musiał to robić szczerze. Choćby cały świat, choćby on sam zapewniał, że nie był szczerym, Madzia nie uwierzyłaby. Takie rzeczy odczuwa się instynktownie, a Madzia odczuła je głęboko i pomimo gniewu i trwogi była szczęśliwa.

Zdawało się jej, że pan Kazimierz tym całowaniem rąk jakby zawezwał ją (choć nic nie mówił) do dalekiej wspólnej podróży. Co ją mogło spotkać, nie pytała; dość, że mieli być razem, zawsze razem, jak brat z ukochaną siostrą... I otóż, ledwie ją wyprowadził za granicę konwencjonalnych stosunków, już przekonała się, że ją porzuci. Bo on przecie miał więcej kobiet, które chciały być z nim; on nigdy nie należał i nie należałby do niej jednej; a w takim razie — co jej po nim? Czyliż cała wartość podobnego przywiązania nie leży w tym, że się go z nikim nie dzieli?

Drżąc z płaczu na swoim łóżeczku Madzia czuła, że spotkał ją okropny zawód, może jeden z tych, które kobietom delikatnym łamią życie, niekiedy rozum, a niekiedy spychają je do grobu... Straszne to było cierpienie, lecz szczęściem trafiło — na nią, na nędzną i głupią istotę, która nie tylko nie miała prawa umierać z tego powodu, ale nawet nie powinna skarżyć się ani nawet myśleć o tym. Cóż nadzwyczajnego, że olbrzym jak pan Kazimierz mimochodem rozdeptał serce jakiejś mrówki mającej ludzkie kształty i będącej damą klasową?... To przecież ona winna, że nie usunęła się z drogi. A jaka bezwstydną Joasia, że ma pretensję do pana Kazimierza!... Gdyby ją, Madzię, spotkał podobny los i pan Kazimierz odsunął się od niej — nie powiedziałyby ani słówka nikomu, nawet nie zdradziłyby się, że jest nieszczęśliwą. Śmiejąc się wyszłyby z pensji niby to na spacer, śmiejąc się poszłyby w stronę mostu i niby wypadkiem rzuciłyby się w Wisłę.

Ludzie powiedzieliby: coś strzeliło do głowy tej wariatce, a sam pan Kazimierz nie domyśliłby się niczego, bo nie wiedziałby przyczyny. Może nawet dla zatarcia w nim podejrzeń, może nawet opowiadałyby mu o swoich bliższych i dalszych projektach, wciąż wmawiając w niego, że jest szczęśliwą i nie martwi się niczym.

Tak zrobiłaby ona, Madzia. Bo przecież ona wie, że między tłumem tych doskonałych ludzi, którzy cenią siebie i są oceniani przez innych, ona jedna jest marnym pyłkiem, o który nie warto się troszczyć. Nikt nie powinien się o nią troszczyć, nawet ona sama.

Tak wytłumaczywszy sobie swoją rolę i stanowisko na świecie, Madzia spokojniejsza podniosła się z łóżka. Potem zmówiła pacierz do Matki Boskiej Bolesnej i uspokoiła się jeszcze bardziej. A potem umywszy zapłakane oczy wróciła do swoich uczennic i odrabiała z nimi lekcje, usiłując śmiać się, ażeby niewczesnym smutkiem nie zatruć ich dziecięcej wesołości...

Gdy zaś około dziesiątej wróciła znowu za swój szafirowy parawanik i zmówiła wieczorny pacierz — zasnęła tak spokojnie, jakby nigdy nie spotkał jej żaden zawód. Między nią i jej pierwszą w życiu boleścią stanął najpotężniejszy ze wszystkich — anioł pokory.

W tej porze, kiedy pensjonarki przechodziły do sal sypialnych, pani Latter skończyła gospodarskie rachunki z panną Martą. W kasie było jeszcze kilka tysięcy rubli, ale pani Latter, przywykła sięgać myślą w przyszłość, już dziś zaprowadzała możliwe redukcje w wydatkach, ażeby co dzień oszczędzić bodaj parę rubli. Paliło się za dużo światła w salach i na korytarzach, wychodziło zbyt wiele cukru i mydła, to trzeba zmniejszyć. Obiady były zanadto mięsne i tłuste, więc można ograniczyć ilość mięsa i masła, a nareszcie godziło się bieżący wielki post obchodzić nieco surowiej przez zaprowadzenie postnych obiadów w poniedziałki. Są ludzie, którzy przez cały wielki post nie biorą do ust nie



tylko mięsa, ale nawet nabiału; dobrze więc choć cztery razy na tydzień przypomnieć dziewczynkom, że są chrześcijankami.

Postanowienie to zachwyciło pannę Martę, która do przesady posuwała troskliwość o przepisy religijne; odeszła więc zapewniając panią Latter, że teraz spłyną na jej pensjonat wszelkie błogosławieństwa. Ale pani Latter nie była zadowolona swoimi reformami. Ona wiedziała, że czwarty dzień postu zaprowadza się nie przez pobożność, lecz przez oszczędność. Bo co będzie, jeżeli jej przed wakacjami zabraknie pieniędzy?... Jak ona powie: dzieciom, nauczycielkom i służbie, że... jutro nie dostaną obiadu?

Już od pół roku — podobne myśli dręczyły panią Latter wypijając jej krew i mózg jak rój bezcielesnych upiórów. Długi, oszczędności, zmniejszone dochody i — jutro, niepewne jutro, już prawie przestały zadawać jej cierpień, a zaczęły nudzić swoją jednostajnością... Wielki Boże! cóż to za straszna była dla niej tortura codzienne obcinanie lutów masła i mięsa, naparstków mleka i — te rachunki, spoza których wciąż wyglądała bladożółtawozielonawa twarz deficytu!...

Zawsze to samo: rachunek — deficyt — oszczędność... Piekło mogłoby rozziewać się na śmierć!...

Kiedy tego rodzaju zajęcia ciągnące się do późnej nocy tak wyczerpały panią Latter, że prawie wpadała w rozpacz, wówczas pozostawał jej jeden ratunek: wypić kieliszek starego wina, które przysłał Mielnicki. Kieliszek nie mógł być nalany do brzegów, gdyż wywoływał senność; nie mógł być niepełny, bo mocniej rozdrażniał. Dopiero gdy pani Latter przy nalewaniu zachowała bardzo subtelną miarę i do ostatniej kropli wypila wino, dopiero wówczas powracał jej spokój i ta tęgość umysłu, dzięki której zdobyła stanowisko w świecie.

Dopiero wtedy złamana i zrozpaczona kobieta przemieniała się w dawną panią Latter, która jednym rzutem oka oceniała sytuację, w jednej chwili robiła plan odpowiedni okolicznościom i wykonywała go z nieugiętą konsekwencją.

Dziś użyła tego samego środka zachowując pewne ostrożności, jakby lękała się, ażeby jej kto nie podpatrzył. Cicho weszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi, wydobyła z szafy omszałą butelkę i średniej miary kieliszek, nalała patrząc pod światło i lękliwie obejrzawszy się wypila wino jak lekarstwo.

— Ach!... — odetchnęła czując ulgę.

Potem wróciła do gabinetu i usiadłszy na kanapie zaczęła marzyć z przymkniętymi oczyma. W jej stroskanej duszy otwierały się źródła ukojenia.

Pierwszym była wiara, że cokolwiek zdarzy się, ona od wakacyj nie będzie miała pensji. Czy Helena wyjdzie za męża, a ona przeniesie się do majątku Solskiego, czy sama zostanie gospodynią (a może żoną?... ) Mielnickiego, czy trafi się jakiś inny wypadek, na wszelki sposób ona, pani Latter musi być wolną od dzisiejszych zajęć. I dziwna rzecz: ile razy przychodziła jej na myśl nowa przyszłość, tyle razy widziała siebie siedzącą w jakimś starym parku nad rzeką.

Widzenie było tak jasne, że pani Latter prawie mogła wymierzyć grubość drzew, odmalować kolor liści i formy cienia, jakie ich korony rzucały na ziemię. Widziała kosmatą lizkę z wolna sunącą po korze lipy, widziała pęknięcie, które biegło wzdłuż czarnej ławki ogrodowej, czuła świeży zapach ziemi, słyszała szelest rzeki, która płynęła o parę kroków od niej i której nurt skręcał w tym miejscu.

Dla pani Latter obraz ten, powtarzający się prawie co dzień, nie był halucynacją, ale jasnowiedzeniem. Była przekonana, że widzi swoją przyszłość, taką szczęśliwą przyszłość, że warto było pracować na nią cierpieniami dotychczasowego życia. Nie było tu nic i nikogo oprócz ławki czarnej ze starości, gromady drzew i szeleszczącej rzeki. Ale w ubogim krajobrazie panował taki spokój, że pani Latter zgodziłaby się przesiedzieć całą wieczność na tej ławce i całą wieczność patrzeć na kosmatą lizkę leniwie pełznącą w górę drzewa.

Ona już tylko tego chciała dla siebie od życia: tylko spokoju.

Po fali marzeń przychodziła fala rozmyślań. Pani Latter otwierała oczy i patrząc na swoje biurko, na popiersie Sokratesa wychylające się spoza lampy mówiła do siebie:

„Z pensją koniec: rzucam ją od wakacyj, choćbym miała na drugi dzień stracić życie. Ale co to za park?... Czy to park Solskiego, czy Mielnickiego?... Ach... to był nasz park w Norowie... Taki majątek i tak go zmarnować!...”

Wstrząsnęła się i machinalnie zatkała rękoma uszy, jakby lękając się szeptu wspomnień, które mogły powiedzieć jej, że to — ona strwoniła majątek męża, swój, a nade wszystko dzieci... I to z kim?... Z jakimś eks-guwerнером. Majątek Norskich z Latterem! I to ona — tak oszalała?... Ona wyszła drugi raz za męża? Ona była zazdrosną o tego drugiego?... Ona, która w parę lat później wypędziła go...

Ale nad tymi wspomnieniami pani Latter już umiała panować. Odsunęła więc je od siebie jak niepotrzebny skrawek papieru i zaczęła myśleć o córce.

Panna Helena, a właściwie — jej małżeństwo z Solskim było dla pani Latter drugim źródłem pociechy i fundamentem, na którym opierały się jej nadzieje. Po wielu wahanjach pani Latter powiedziała sobie, że Helenka musi wyjść za Solskiego. Dla nikogo już nie było tajemnicą w Warszawie, że Solski zbliżywszy się do panny Heleny we Włoszech po prostu oszalał dla niej; zaś pani Latter częścią wiedziała od córki, częścią odgadywała, że w tej chwili między Helenką a Solskim toczy się prastara walka, która zwykle poprzedza kapitulację obu stron. Mianowicie — pan Solski udaje obojętnego, a panna Helena kokietuje innych mężczyzn.

„Prędzej czy później, dziś czy jutro — myślała pani Latter — on wybuchnie i oświadczy się, a Helenka go przyjmie. A ja najpierwej dowiem się o tym od Zgierskiego, który przybiegnie z powinszowaniami i z pieniędzmi...” — dodała z uśmiechem.

Przymknęła oczy i ujrzała drugi obraz. Widziała niby Helenkę, niby samą siebie, wchodzącą w białej jedwabnej sukni z długim trenem do salonu pełnego osób. Helenka wyglądała prześlicznie: jej suknia była haftowana perełkami, a piękna głowa zasypana brylantami, z których jeden nad czołem rzucił światło purpurowe, drugi nad skronią był podobny do zielonawej gwiazdy. Pani Latter widziała każdą zmianę blasku brylantów, każdą fałdę bogatej sukni, widziała rozszerzone nozdrza i dumny wzrok córki, przed którą pochylały się wszystkie głowy z podziwem lub zazdrością.

Obok Helenki stał Solski, człowiek brzydki, z kałmuckimi rysami, ale z dziwną energią w twarzy. Pani Latter wpatrywała się w nich oboje z zachwytem, myśląc:

„Czy może być bardziej dobrana para?... Ona piękna jak marzenie, on szkaradny, ale dzielny... I taki wielki majątek!...”

Potem — zdawało jej się, że mówi do córki:

„Jakaś ty szczęśliwa, Helu, mając męża brzydkiego i energicznego!... Moi dwaj byli bardzo piękni, ale za słabi dla mnie, a to jest przyczyną, że zmarnowałam życie... Twój mąż będzie szalał za tobą, ale nie pozwoli na żaden wybryk...”

Pani Latter znowu otworzyła oczy i znowu zamiast bogatej sali, gdzie królowała jej córka, zobaczyła swój gabinet. Nagle przyszła jej myśl:

„A jeżeli Helenka nie wyjdzie za Solskiego?”

Twarz pani Latter skurczyła się, a w oczach błysnął gniew, prawie nienawiść.

— Wolałaby mnie zabić... — szepnęła.

Pani Latter już nie mogła pogodzić się z myślą, że jej córka nie wyjdzie za Solskiego, w dodatku — bardzo prędko. Helenka musi w tych czasach zrobić świetną karierę, bo — od tego zależała przyszłość Kazia.

Troska o pana Kazimierza była cierniem, którego nic nie mogło wyrwać z duszy matki. Pani Latter czuła, że dla jej zupełnego szczęścia potrzeba, ażeby syn zajął kiedyś stanowisko między najznakomitszymi świata i był równy jeżeli nie Napoleonowi, to przynajmniej Bismarckowi. Zwątpiłaby o boskiej sprawiedliwości, gdyby syn prędzej czy później nie posiadał nie tylko majątku, sławy i władzy, ale jeszcze tych przymiotów, które wybraną jednostkę wynoszą ponad zwykłych śmiertelników. To zaś ją trulo, to spędzało sen z powiek, że nie mogła wyobrazić sobie: jakim sposobem syn dojdzie do upragnionego stanowiska? Oczywiście powinien wyjechać za granicę, najlepiej do którego z niemieckich uniwersytetów, gdzie często w audytorium można spotkać się z książętami panujących domów. A niechby się tylko zetknął Kazio z takim młodym mocarzem, już tamten nie puści go od siebie — i kariera gotowa!... Na nieszczęście, na zagranicę trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy, a pani Latter nie wątpiła, że sama już ich nie wypracuje.

Więc skąd pieniądze dla Kazia?... Oczywiście jest jeden tylko sposób: ażeby Helenka jak najprędzej wyszła za Solskiego. Krocie Solskiego, jego związku rodzinne i znajomości za granicą były szczeblami, po których miał wejść pan Kazimierz na przeznaczoną mu wyżynę.

Pani Latter znowu zaczęła marzyć. Nie jestże w tym oczywisty palec Opatrzności, że Ada wzięła do Włoch Helenkę, w której teraz zakochał się Solski?... A czy mógłby trafić się podobny wypadek, gdyby Ada wcześniej zostawszy sierotą nie weszła na jej pensję, gdyby pani Latter nie straciła majątku i nie zajęła się wychowywaniem obcych dzieci?...

Był to cudowny łańcuch wydarzeń, który ciągnął Kazimierza na jakiś szczyt już wówczas, kiedy o tym jeszcze nie myślała jego matka. Ten szereg cudów spełniał się w jej oczach; więc dlaczego nie miałby się spełnić jeszcze jeden cud... Do wakacyj jest przecie trzy miesiące: przez ten czas Helenka wyjdzie za mąż, a Kazio od wakacyj wyjedzie za granicę.

Dziś wyjechać nie może. Gdyby bowiem pani Latter dała synowi potrzebne pieniądze, groziłoby jej bankructwo przed końcem szkolnego roku.

— Cudu!... cudu!... — szeptała pani Latter wznosząc oczy do nieba i pobożnie składając ręce. Nagle wstąpiła w nią nadzieja: uczuła, że niebo musi wysłuchać próśb matki błagającej za synem.

## 21. RZECZYWISTOŚĆ

W tej chwili zapukano do drzwi gabinetu raz i drugi. Pani Latter ocknęła się z marzeń i spojrzała na zegar.

— Jedenasta wieczór — rzekła. — Cóż się stało? Proszę...

Weszła panna Howard. Miała tak nieśmiałe ruchy i tak skromnie spuszczone oczy, że pani Latter zaniepokoiła się.

— Cóż — odezwała się cierpko — czy znowu uczennice chcą wypędzić jakiego nauczyciela?

Panna Howard zarumieniła się po swojemu.

— Nie może pani zapomnieć wypadku z Dębickim — odparła cicho. — Przecież stało się to przez wzgląd na panią... Pani nie cierpiała tego człowieka...

— A, panno Klaro, mogłaby pani zostawić mi swobodę przynajmniej w nielubieniu kogoś! — wybuchnęła pani Latter. — Cóż pani znowu przynosi?

Nieśmiałość panny Howard znikła.

— Więc to jest podziękowanie za moją życzliwość? — zawołała. — Od tej chwili — mówiła szyderczym tonem — może pani być pewną, że do osobistych jej spraw mieszać się nie będę, choćby...

— Zatem obecnie przyszła pani nie w moim interesie? Chwała Bogu.

— Zgadła pani. Sprowadziła mnie tu niedola osoby trzeciej, będąca zarazem wielką sprawą czy wielką niesprawiedliwością społeczną.

— Sądzi pani, że mam odpowiednią władzę? — zapytała pani Latter.

— Władzę?... nie wiem. Prędzej obowiązek. Joasia znajduje się w stanie... — dokończyła cicho panna Howard.

Pani Latter drgnęły usta. Nie zmieniając jednakże tonu odparła:

— Czy tak?... Winszuję.

— Winszuje pani... swemu synowi...

Pani Latter poźółkła, usta i powieki zaczęły jej drżeć.

— Pani chyba ma gorączkę, panno Klaro — odparła stłumionym głosem. — Czy pani zastanowiła się, co pani mówi?... Gubi pani, prawda że szaloną, ale w gruncie niezłą dziewczynę, powtarzając jakieś plotki bezsensowne... Przecież Joanna ciągle bawi się, bywa między ludźmi... Jest nawet w przyszłym tygodniu gospodynią jakiegoś rautu...

— Nie może robić inaczej — rzekła panna Howard wzruszając ramionami. — Przyjdzie jednak czas...

Pani Latter chwilę patrzyła na nią drżąc z gniewu. Spokój panny Howard doprowadzał ją do szału.

— Co pani mówi?... Co to jest?... Co to wreszcie mnie obchodzi?... Na żądanie pani wydalilam Joannę... już nie jest na mojej pensji, więc... co mnie po tych nowinach?...

— Ależ sprawa ta obchodzi syna pani...

— Mego syna?... — zawołała pani Latter. — Chcesz pani wmówić we mnie, że gdy jakiejś guwernantce podoba się mieć wypadek w życiu, to ja będę za to odpowiadała?... O Joasi jest kłamstwo, ale nawet choćby tak było, kto ma prawo zaczepiać mego syna?...

— Naturalnie, że jego ofiara.

— Cha... cha... cha! Joasia ofiarą mego syna... Ja zaś mam zostać protektorką młodej osoby, która od roku spacerowała po mieście bez mojej wiedzy... Powtarzam: nie wierzę w to, co pani mówi o Joasi; ale choćby tak... to ja chyba powinna bym najpóźniej dowiedzieć się o tym, jak mój syn był zapewne ostatnim w tej awanturze, jeżeli się naprawdę w nią zaplątał.

Panna Howard zmieszała się.

— Nie może pani mówić tak o Joasi — rzekła. — Ona przecież z panem Kazimierzem była na kolacji... wtedy...

— A z iloma była pierwej?... Nie wierzę w to, co mi pani mówi o Joasi, lecz jeżeli byłoby to prawdą, mój syn nie miałby prawa jej wierzyć. Bo ta dziewczyna oszukiwała mnie mówiąc, że idzie do krewnych, kiedy szła na schadzki; któż więc zaręczy, że nie oszukiwała mego syna i wszystkich swoich kochanków, jeżeli on był jednym z nich?

— A jeżeli sama Joasia powie, że to pan Kazimierz?...

— Komu powie? — zapytała pani Latter

— Pani.

Pani Latter schwyliła lampę z biurka, zdjęła klosz i oświetliła ścianę nad kanapką, gdzie wisiały dwa portrety dzieci.

— Patrz, pani! — zawołała do panny Howard. — Oto jest Kazio, gdy miał lat pięć, a oto Helenka, gdy miała trzy. Takie są rysy familijne Norskich. Kto chciałby przekonać mnie, że Kazio... ten musiałby pokazać dziecko podobne albo do niego, albo do Helenki. Rozumie pani?

— To znaczy, musiałby czekać trzy albo pięć lat — wtrąciła panna Howard. — A tymczasem?...

— Co tymczasem?...

— Co ma począć kobieta zdradzona?

— Nie narażać się... nie polować na to, ażeby ją zdradzano!... — odpowiedziała ze śmiechem pani Latter.

— Ona niewinna... nie wiedziała, co ją spotka.

— Panno Klaro — rzekła już spokojnie pani Latter. — Jesteś kobietą dojrzałą, mówisz do kobiety dojrzałej i mówisz jak pensjonarka... Wszakże całe nasze wychowanie jest skierowane tylko do tego, ażeby uchronić kobietę od zrad... Każą nam nie włóczyć się po nocach, nie kokietować mężczyzn, wystrzegać się ich... Pilnuje nas cały świat, grozi niesławą za każdy uśmiech, za każdy poufalszy ruch... Słowem — dwudziestoma płotami zabezpiecza się kobietę od pewnych rzeczy... Więc jeżeli ona dobrowolnie, a nawet wbrew upomnieniom, co dzień sama przeskakuje te płoty, czy może nazywać się zdradzoną?...

— Więc pani uznaje jakieś specjalne przepisy dla kobiet?... Więc kobiety nie są ludźmi?... — zawołała panna Howard.

— Przepraszam panią, ale ja tych przepisów nie stworzyłam. A jeżeli one stosują się tylko do kobiet, to zapewne z tej racji, że tylko kobiety zostają matkami.

— A więc według pani emancypacja, postęp, najwyższe zdobycze cywilizacji...

— Kochana panno Klaro — przerwała pani Latter kładąc jej na ramieniu rękę — zgódźmy się na jedno: pani wolno bronić postępu, a mnie — ciężko zapracowanych pieniędzy. Ja nie zmuszam pani do przyjmowania moich zacofanych poglądów, niechże więc pani nie zmusza mnie do przyjmowania na mój koszt zagadkowych dzieci, jeżeli te istotnie przyjdą na świat.

— Więc Joanna zwróci się do syna pani — odpowiedziała oburzona panna Klara.

— A on odpowie jej w ten sposób jak ja pani. Jeżeli Joanna uważała za stosowne narażać się na awantury, to nie powód, ażeby mój syn nie miał prawa usuwać się od awantur. Zresztą mój syn nie ma pieniędzy...

— Ach, prawda! — pochwyciła panna Howard z szyderczym uśmiechem — że syn pani jest jeszcze małoletni... To nie Kotowski, który umie dotrzymać słowa danego kobiecie...

— Panno Howard!

— Dobranoc pani! — odpowiedziała panna Klara. — A ponieważ nasze poglądy różnią się aż tak... więc... od Wielkiejnocy będę miała zaszczyt usunąć się z tej pensji.

— Ach! usuń się choćby ze świata!... — szepnęła pani Latter po odejściu nauczycielki. I nagle taki żal ścisnął ją za gardło, taka desperacja poczęła rozsadzać jej piersi, taki chaos zakotłował się w głowie, iż myślała, że padł na nią atak szaleństwa.

Wiadomość przyniesiona przez pannę Howard była wielkim nieszczęściem dla pani Latter; ale ostatnie słowa rozmowy były ciosem zadany jej macierzyńskiej dumie i nadziejom. Z jaką pogardą ta stara panna nazwała jej syna „małoletnim”!... I jak ona śmiała, jak ona miała serce w tej chwili porównać go z Kotowskim?

Już od pewnego czasu w duszy pani Latter gromadziły się głuche uczucia, które można by nazwać pretensją do syna. Ile razy zapytał ją kto: „Co robi pan Kazimierz?...”, „Dokąd wyjeżdża?...” albo: „Ile ma lat?...”, matka doznawała jakby pchnięcia nożem. Po każdym takim pytaniu przychodziło jej na myśl, że ten syn już ma lat dwadzieścia kilka, że pomimo zdolności nic nie robi, co gorsze — ciągle pozostaje tym samym obiecującym młodzieńcem, jakim był mając lat szesnaście, siedemnaście, osiemnaście... A co najgorsze — zabiera mnóstwo pieniędzy jej, kobiecie zmęczonej pracą i zagrożonej bankructwem.

Nieraz przypominał jej się ów przykry sen, w którym po raz pierwszy w życiu uczuła chłód dla swych dzieci i powiedziała sobie, że — mogłaby być wolną, gdyby nie one. Ależ to był tylko sen, bo na jawie ona wciąż gorąco kochała Kazia i Helenkę, wierzyła w ich świetną przyszłość i gotowa była wszystko poświęcić dla nich.

Tymczasem dziś panna Howard w brutalny sposób zerwała zasłonę z jej sennych tajemnic i ośmieliła się powiedzieć, że ten Kazio ubóstwiany jest niedołągą. „On jeszcze małoletni!... To nie Kotowski...”

A ów Kotowski to przecie rówieśnik Kazia, z tą różnicą, że już kończył uniwersytet i szedł wytkniętą drogą, której Kazio jeszcze nawet nie znalazł, ów Kotowski utrzymuje sam siebie, a taką ma wiarę w przyszłość, że zaimponował Mielnickiemu. Oto jest młoda energia, jakiej pani Latter szukała w swoim synu i nie mogła... nie mogła znaleźć!...

A dziś co?... Jak ten ukochany syn, ten przyszły geniusz przedstawia się ludzkim oczom?... Przychodzi tu, do jej mieszkania, marna guwernantka i z całym spokojem depcze syna wobec matki. Bo w przekonaniu Howardówny ten „małoletni” i niepodobny do Kotowskiego pan Kazimierz chyba... powinien by ożenić się z Joanną czy co?...

Myśląc o tym pani Latter schwyciła się oburącz za włosy i chciała bić głową w ścianę. Czy mogło być coś haniebniejszego jak jej syn skazany — na żenienie się!... Jej chluba, nadzieja, ziemskie bóstwo, które cały świat miał podziwiać, kończy wcale nie rozpoczynaną karierę w ten sposób, że — żeni się z wydaloną guwernantką i cieszy się przedwczesnym potomstwem!...

Co by na to powiedział Solski, Mielnicki i wszyscy jej znajomi, którzy tak ciekawie wypytywali się: „Co robi pan Kazimierz?...”, „Dokąd wyjeżdża?”, „Ile ma lat?...”. Dziś wszystkie kwestie rozwiązane jednym cięciem: pan Kazimierz ma tyle lat, że już może być ojcem, a co robi?...

Jest wciąż małoletnim, na chlebie u matki, jak powiedziała panna Howard.

Straszną noc przepędziła pani Latter: w jej duszy coś się załamało.

## 22. DLACZEGO SYNOWIE NIEKIEDY WYJEŹDŻAJĄ ZA GRANICĘ

Gdy nazajutrz około czwartej po południu przyszedł pan Kazimierz, elegancki, uśmiechnięty, z bukietem fiołków w kłapie żakieta, zmieszal się na widok matki. Miała prawie trupią twarz, ciemne doły w oczach i na skroniach posrebrzone włosy. Syn zrozumiał, że nie osiwiła nagle, lecz że uczesała się niedbale — i to go zaniepokoiło.

— Matuchna chora? — zapytał całując ją w rękę i siadając obok niej ze zgiętym kolanem, jakby przyklęknął.

— Nie — odpowiedziała pani Latter.

— Mateczka wezwała mnie do siebie?...

— Trafia się to coraz częściej, bo sam nie przychodzisz.

Pan Kazimierz patrzył matce w oczy i znowu obudziło się w nim podejrzenie, że matka chyba używa jakich podniecających środków...

— Czy nie masz mi nic do powiedzenia, Kaziu? — zapytała pani Latter.

— Ja, matuchno?... Z jakiej racji?...

— Pytam się: czy nie masz w tych czasach... jakiego kłopotu, który należałoby powierzyć matce, w braku ojca?...

Pan Kazimierz zarumienił się.

— Mama pewnie myśli, że jestem chory... Słowo honoru...

— Nie myślę, ja tylko pytam.

— Takim tonem, matuchno?... Założyłbym się, że ktoś narobił plotek, a mateczka zaraz uwierzyła... O, bo ja czuję, że matuchna od pewnego czasu jest inna dla mnie...

— Od ciebie zależy, ażebyś była taką jak dawniej...

— Jak dawniej?... A więc to prawda?... — zawołał pan Kazimierz chwytając matkę za rękę.

Ale pani Latter delikatnie cofnęła rękę i rzekła:

— Czy mógłbyś wyjechać za granicę?... Zaraz...

Twarz pana Kazimierza ożywiła się.

— Za granicę?... Ależ ja na to czekam przeszło miesiąc.

— I nic nie zatrzymałoby cię w Warszawie?...

— Cóż by mnie mogło zatrzymać? — odparł zdziwiony pan Kazimierz. — Czy towarzystwo?... Tam znajdę lepsze.

Zdziwienie jego było tak szczere, że pani Latter połowa ciężaru spadła z serca.

„Howardówna kłamie!” — pomyślała. Potem dodała głośno:

— A ile potrzebowałbyś pieniędzy na wyjazd?

Pan Kazimierz zdziwił się jeszcze bardziej.

— Wszakże matuchna — odpowiedział — przeznaczyła mi na wyjazd tysiąc trzysta rubli...

Pani Latter opadły ręce. Spojrzała na syna prawie z rozpaczą (co on przypisał działaniu narkotyków) i — milczała.

— Co matuchnie jest?... — zapytał słodkim głosem nie mogąc opędzić się przed podejrzeniami o owych narkotykach.

Tym razem matka nie cofnęła ręki; owszem, uściśniła go.

— Co mnie jest, moje dziecko?... Ach, gdybyś ty wiedział... Tysiąc trzysta rubli... Na co tak dużo?...

— Matuchna sama oznaczyła tę sumę.

— Prawda, oznaczyłam... Ale gdyby tak wielka suma robiła mi różnicę?... Pomyśl tylko: jaki ja ogromny dom prowadzę...

Teraz pan Kazimierz cofnął rękę, zerwał się z kanapki i zaczął chodzić po gabinecie.

— Ach, Boże!... tyle wstępów... — mówił rozdrażnionym głosem — dlaczego matka nie powie wprost: nie możesz się dalej kształcić... A matuchna certuje się ze mną, jak gdybym robił jej łaskę wyjeżdżając za granicę... Nie, to nie!... Szkoda, że zerwałem stosunki z kolegą... Bo gdyby nie to, zaraz dziś zrobiłbym podanie i zostałbym jakimś urzędnikiem. Potem ożeniłbym się bogato i... byłaby mama zadowolona.

— Bodajbyś nie ożenił się ubogo — cicho wtrąciła pani Latter.

— Jakim sposobem?

— A gdybyś... gdybyś zaciągnął zobowiązania — mówiła zmieszana.

— Zobowiązania?... Coraz lepiej!... — śmiał się pan Kazimierz. — Także mateczka zna mężczyzn! Gdyby chcieli żenić się z każdą, która ma do nich pretensję, trzeba by zaprowadzić mahometanizm w Europie...

Pani Latter doznawała dziwnych uczuć przysłuchując się zdaniom, które syn wyowiadał tonem prawie niegrzecznym. Uspokoila się wprawdzie co do Joasi, ale raził ją cynizm.

„Tak, to już zupełny mężczyzna” — myślała, a głośno rzekła:

— Kaziu... Kaziu... nie poznaję cię... Jeszcze przed pół rokiem nie mówiłbyś do matki w ten sposób. Aż boję się usłyszeć, jakie ty życie musisz prowadzić...

— Przypuśćmy, że nie najgorsze — odparł syn łagodnie — ale gdyby nawet... to cóżem winien? Jestem człowiek zatrzymany w połowie kariery... Lękam się, czy już nie jest zwichnięta... Tracę z oczu wyższe cele...

Pani Latter podniosła głowę.

— Robisz mi wymówki?... — spytała. — Ja temu winnam?...

Syn znowu usiadł obok niej i pochwycił jej rękę.

— To nie wymówki, mameczko! — zawołał. — Jesteś kobietą świętą i pełną poświęcenia dla nas, o tym wiem. Ale musi matuchna przyznać, że okoliczności nie były dla mnie sprawiedliwe. Twoje wychowanie, matuchno, rozwinęło we mnie popęd do celów wyższych i szlachetniejszych... chciałem być czymś... Nawet los sprzyjał mi z początku i postawił na właściwej drodze... Ale dziś...

Zasłonił oczy i westchnął:

— Ach, kto wie, czy już nie jestem zmarnowany!...

Pani Latter spojrzała na syna przerażona. W jego tonie było tyle fałszu czy może naśmiewania się, że odczuło to ucho matki.

— Co ty mówisz i w jaki sposób do mnie? — rzekła surowo. — Mówisz o zmarnowanej karierze ty, który dotychczas nie troszczyłeś się o siebie?... A przypomnijże sobie kolegów, choćby... choćby tego Kotowskiego...

— Ach, ten od Lewińskiej?...

— Wstydz się... Ten chłopak prawie od dziecka sam się utrzymuje, a mimo to dziś jest pełen wiary w przyszłość...

— Ten osio! — przerwał syn cierpko. — Stróże daleko wcześniej zaczynają pracować i nigdy nie wątpią, gdyż zawsze będą stróżami. Ale są kariery podobne do chodzenia na linie, gdy lada krok, lada wahnięcie się...

W twarzy pani Latter nie drgnął żaden mięsień, ale z oczu płynęły łzy.

— Matuchna płacze?... z mojej winy!... — zawołał klękając.

Odsunęła go.

— Płacę nie z twojej winy i nie nad tobą, ale nad sobą... Rozmowa dzisiejsza robi takie wrażenie, jakbyś mi zdejmował kataraktę z oczu po to, ażebym zobaczyła smutną prawdę...

— Matuchna przesa... matuchna jest rozdrażniona czymś...

— Oto widzisz, każde twoje słowo, każde spojrzenie przypomina mi, że już nie jesteś dzieckiem, ale dorosłym młodzieńcem...

— To przecież naturalne — wtrącił.

— A przy tym jesteś moim wierzycielem, który daje mi poznać, że mu nie spłaciłam zaciągniętego długu. Tak! nie przerywaj mi. Wychowując was zaciągnęłam dług wobec waszej przyszłości, a dziś nie mam... To jest, dziś muszę go spłacić...

Dostaniesz pieniądze... Jedź i kształć się... Rób karierę... Ale pamiętaj, że za rok mogę już nie mieć pieniędzy. A w takim razie dług mój względem ciebie umorzy się samą siłą rzeczy.

Pan Kazimierz zaczął biegać po gabinecie i ścisnąć oburącz głowę.

— Co ja zrobiłem, nieszczęśliwy!... Co się tu dzieje!... Mameczka jest dla mnie jakaś dziwna... Nigdy nic podobnego nie słyszałem!...

A potem stając przed matką dodał:

— Już nic nie chcę... Nie pojedę za granicę...

— Więc co będziesz robił? — zapytała spokojnie.

— Wezmę się do pracy... wstąpię do jakiego biura... Czy ja wiem?... To pewne, że mój uniwersytet przepadł.

I znowu biegał, i znowu targał sobie piękne blond włosy. Pani Latter w milczeniu przypatrywała się wybuchowi, a gdy syn, zmęczony, upadł na fotel obok biurka, rzekła chłodno:

— Posłuchaj! Widzę, że jeszcze jesteś dzieciakiem, a zachowujesz się jak histeryczka. Rozumiesz?...

Im bardziej stanowczo brzmiał głos pani Latter, tym na twarzy pana Kazimierza wyraźniej malowała się pokora.

— Ty nie umiesz sobą kierować, a więc ja jeszcze raz pokieruję tobą. Dostaniesz pieniądze i wyjedziesz za kilka dni. Jutro staraj się o paszport.

— Matuchna nie może już wydawać na mnie...

— Ja... mogę — wszystko, co chcę... Rozumiesz?... Dam ci pięćset rubli do wakacji i jedź...

— Pięćset?... — powtórzył zdziwiony syn. — Matuchno — dodał — droga, jedyna matuchno... pozwól mi zostać... Z pięćmaset rublami nie mam po co jechać...

— Dlaczego? — zawołała pani Latter.

— Bo od razu znajdę się w takich stosunkach, które wymagają pieniędzy. Może za miesiąc już nie będę od matuchny potrzebował, może... czy ja wiem?... znajdę zajęcie... Ale na pierwszy raz... z tymi rekomendacjami, jakie stąd wywiozę, muszę mieć trochę pieniędzy...

— Nie rozumiem cię.

— Widzi matuchna — mówił nieco śmielej — moje znajomości w Berlinie czy w Wiedniu nie będą studenckie, lecz salonowe... Rozumie się, że zyskam na tym więcej, ale... muszę zaprezentować się jak człowiek salonowy.

Pani Latter pilnie wpatrywała się w niego.

— Ty masz długi? — rzekła nagle.

— Żadnych — odparł zmieszany.

— Dajesz słowo?

— Daję słowo — zawołał bijąc się w piersi.

— Więc tylko dla zawiązania tam stosunków chcesz mieć tysiąc trzysta rubli?

— Tak... stosunków, które dadzą mi odpowiednie zajęcie...

Pani Latter wahała się przez chwilę.

— Ha! — rzekła — zwyciężyłeś!... Dam ci tysiąc trzysta rubli...

— O, matuchno!... — zawołał, znowu upadając na kolana. — To już ostatnia pomoc...

— Z pewnością ostatnia, bo... już nic nie będę miała dla ciebie.

— A Hela i Solski?... — spytał figlarnie, wciąż klęcząc.

— Ach, na Helę rachujesz?... Życzę ci, abys się na tym nie zawiódł, a ja... na tobie.

Pan Kazimierz podniósł się, matka mówiła dalej tonem osoby, która ma władzę:

— Pamiętaj, Kaziu: oszczędzam ci wielu przykrych zwierzeń, bo mi nie pomożesz, a potrzebujesz mieć energię dla siebie. Ale powtarzam: pamiętaj, że gdybyś mnie teraz zawiódł, zadalbyś mi straszne cierpienie i potargalbyś dużo serdecznych nici między nami. Pamiętaj, że przestałeś być dzieckiem nawet wobec matki, z którą musisz zacząć się rachować nieledwie jak z obcą... Bo ja... jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwa...

Syn pochwycił ją w objęcia i pocałunkami starał się uspokoić. Siedział jeszcze z godzinę i pożegnał ją w lepszym nieco usposobieniu.

Jednak wychodząc myślał:

„Szczególna rzecz: matka chwilami wydaje mi się inną, naprawdę obcą... Jak te kobiety umieją się zmieniać!... Nawet matki... A wszystko z powodu pieniędzy!... Niechże już Hela raz wyjdzie za mąż albo jakiego diabła...”

## 23. ZNOWU POŻEGNANIE

W kilka dni później, w południe, pan Kazimierz, ubrany jak do podróży, był na pożegnaniu u matki. Czuli oboje, że między nimi istnieje przymus, są niezadane pytania i niewymówione zdania.

Było to naturalne, gdyż pan Kazimierz z niepokojem czekał na pieniądze, a pani Latter miała nieokreślone wątpliwości co do sposobu użycia ich przez syna. Już mu nie ufała.

— Więc dzisiaj jedziesz — zapytała nie patrząc ma w oczy.

— Za godzinę — odparł. — Dziś jedziemy z młodym Goldwaserem do niego na wieś, a stamtąd do Berlina. Ich folwark, Złote Wody, leży o parę wiorst od stacji.

Pani Latter przysłuchiwała się nie tyle temu, co syn mówił, ile — jak on mówił. W podobny sposób mechanik przysłuchuje się warczeniu maszyny, ażeby poznać, czy się w niej co nie zepsuło.

— Z Goldwaserem?... — powtórzyła budząc się z zamyślenia. — Miałeś przecie jechać z hrabią Tuczyńskim... Skąd znowu ten Goldwaser?...

Pana Kazimierza zirytowało pytanie, lecz hamował się.

— Mateczka bada mnie, jak gdyby mi nie dowierzała — mówił. — Z Tuczyńskim spotkamy się w Berlinie, a z Goldwaserem jadę, ponieważ zależy mi na nim. Przede wszystkim u jego ojca kupię przekaz, boć z taką gotówką bałbym się podróżować.

— Kupując przekaz robisz dobrze, ale po co te nowe stosunki?

Pan Kazimierz wesoło roześmiał się i zaczął całować panią Latter.



— Ach — zawołał — w matuchnie wciąż pokutuje szlachcianka!... Na hrabiów zgadza się mama, ale wobec stosunków z bankierami robi się na mateczce gęsia skórka. Tymczasem dla mnie — ci i tamci są tylko narzędziami. Arystokracja daje mi rozgłos, bankierzy dadzą dochody, ale właściwą pozycję dadzą mi dopiero masy, demokracja... Tam są moje ideały, tu — szczeble prowadzące do nich...

Pani Latter spojrzała na niego zdziwiona.

„Więc on — myślała — naprawdę do czegoś dąży?... On ma cel, plan, energię i bynajmniej nie jest niższy od Kotowskiego...”.

Serce w niej zadrżało. Pocałowała go w czoło i szepnęła:

— Mój synu... kochane dziecko!... Kiedy cię słucham, nie mogę nie wierzyć ci i nie kochać... Ach, gdybyś ty mi jednak powiedział wszystko...

— Powiem. Cóż matuchna chce?

— Masz... czy masz jakie obowiązki względem Joanny?...

Pan Kazimierz podniósł ręce do góry i zaczął się śmiać.

— Cha... cha... cha!... Ja, względem Joasi?... Ależ ona w tej chwili kokietuje starego dziada, który ma kamienicę, i jemu chce narzucić obowiązki, nie mnie...

Pani Latter była zawstydzona, ale i uradowana.

— A teraz powiedz, tylko szczerze — długi masz?...

— No, czy mam!... — odparł. — Któż ich nie ma. Znajdzie się tam jakaś drobnostka, którą jeszcze dziś ureguluję.

— Byłeś winien Zgierskiemu?...

— Co?... — zawołał zmieszany pan Kazimierz. — To bydlę powiedziało...

— Nie mów tak na niego — przerwana pani Latter — bo on przyznał, że zwróciłeś wszystko. Ale czyś mu jeszcze nie winien, czyś nie winien innym?...

— Może znajdzie się coś, ale nie wiem ile. Drobnostka.

— Więc to nic wielkiego?... — pytała natarczywie pani Latter wpatrując się w syna. — Bo, moje dziecko, ja zawsze bałam się, ażebyście wy nie robili długów... Gdybyś wiedział, jak długi mnie samej ciężą...

— Mateczka ma długi? — zdziwił się pan Kazimierz.

— Mniejsza o nie. Zaciągam je z konieczności i płacę... Ale zaraz po założeniu tej pensji musiałam wykupić czyjeś weksle... spłaciłam dług zaciągnięty prawdopodobnie na zbytki... Ach, Kaziu, gdybyś ty wiedział, w jak ciężkiej chwili spadła na mnie ta niespodzianka... Chodziło o osiemset rubli, lecz ile one wtedy były dla mnie warte!... Myślałam, że zginiecie wy i ja... Na szczęście, los zesłał mi dobrych ludzi... Od tej jednak pory strasznie boję się niespodzianych długów...

— Czy to pan Latter tak mamę urządził? — zapytał pan Kazimierz surowo. — Co się też z nim dzieje?

— Zapewne już nic... Mniejsza o niego — odparła. — Jeżeli mam powiedzieć prawdę... (przebacz mi, Kaziu!) — dodała dziwnie tkliwym tonem — jeżeli mam przyznać się, to ci powiem... Bałam się strasznie...

— Czego, matuchno?

— Ażebyś i ty nie miał długów i ażeby po twoim wyjeździe nie spadło na mnie...

— Ależ, mateczko... Mateczko... czy godzi się. mnie posądzać o coś podobnego?...

Pani Latter płakała i śmiała się.

— Więc nie czeka mnie żadna niespodzianka? — mówiła. — Jesteś pewny?...

— Przysięgam ci, matko!... — zawołał upadając przed nią na kolana. — Mam drobne grzeszki... może za wiele traciłem czasu i wydawałem pieniędzy... może... Ale ty, matko, nie będziesz za mnie płacić kwitów... nie... nie!...

Pani Latter objęła klęczącego za szyję.

— Więc jedź... — mówiła wśród łkań. — Jedź, odznacz się, i pokaż ludziom, co możesz... O, Kaziu, jeżeli miłość i błogosławieństwo matki coś ważą na tym świecie, powinienes być najszczęśliwszy, bo... ty nie wiesz, jak ja cię kocham i ile błogosławieństw...

Płacz przerwał jej mowę. Wnet jednak uspokoiła się, a nawet widząc zakłopotanie syna odzyskała zupełną władzę nad sobą.

— Już musisz iść? — rzekła.

— Tak, matuchno.

— Więc idź, cóż robić?... A oto pieniądze — dodała wyjmując spory pakiet z biurka.  
— Jest tysiąc trzysta rubli...

Syn znowu zaczął ją całować w ręce, usta, w oczy.

— Pisuj do mnie — mówiła — pisuj często... bardzo często, i o wszystkim... Jak ci się powodzi, jak idą nauki... Jadaj nie wykwentne, ale zdrowe potrawy... kładź się spać wcześniej... znajdź praczkę, ażeby nie niszczyła bielizny, i... oszczędzaj, Kaziu, oszczędzaj!... Ty nawet nie wiesz... nie domyślasz się... Ale przysięgam ci, że... ja już nie mogę... To ostatnie pieniądze... Przepraszam cię...

I znowu zapłakała.

— Czy z nami tak źle? — szepnął pan Kazimierz.

— Dosyć...

— No, ależ Hela wyjdzie za Solskiego?...

— W niej też cała nadzieja.

Taką była pożegnalna rozmowa pani Latter z synem, który niebawem opuścił mieszkanie matki.

## 24. FILOZOFIA KUCHENNA

Po wyjeździe syna pani Latter wpadła w apatię; nie pokazywała się pensjonarkom, nie wychodziła ze swego mieszkania, lecz siedziała przed biurkiem z głową opartą na ręku albo kładła się na kanapce patrząc w sufit.

Tymczasem zbliżały się święta wielkanocne. Trzeba było dla uczennic urządzać rekolekcje, prowadzić dziewczynki do spowiedzi i komunii, pisać kwartalne cenzury. Dawniej przy podobnych okazjach pani Latter była bardzo czynna; dziś — usunęła się prawie od wszystkiego. Panna Howard zastępowała ją na pensji, panna Marta w zarządzie gospodarstwem, Madzia w kancelarii.

Raz Madzia weszła do pokoju przełożonej właśnie w sprawie rekolekcji i przypomniawszy, że mają zacząć się od jutra, dodała:

— Pewno pani do pomocy księdzu rektorowi zaprosi księży Feliksa i Gabriela?

— Dobrze.

— Pani napisze do nich?

— Listy?... Napisz sama.

W pół godziny Madzia przyniosła gotową korespondencję do podpisu. Pani Latter leżała na kanapce zapatrzona w sufit i niechętnie zwlokła się do biurka. Madzia przypatrywała jej się z obawą; pani Latter spostrzegła to i odłożywszy pióro zaczęła mówić tonem spokojnym, niekiedy drwiącym:

— Oto widzisz kobiecą samodzielność... Bo ja byłam samodzielną już wówczas, kiedy panie Howard nie śniła się jeszcze ani konna jazda, ani wolna miłość... Oto widzisz... Wychowałam dzieci, a nie mam dzieci. I pracowałam samodzielnie przez kilkanaście lat po to, ażeby dziś powiedzieć sobie, że nie mam... nawet chwili wypoczynku!

— Nadchodzą święta — wtrąciła Madzia — mamy blisko trzy tygodnie...

— Czy ty wyjeżdżasz? — spytała pani Latter

— Nie — odparła Madzia rumieniąc się.

— Ale mogłabyś wyjechać... masz gdzie wyjechać — mówiła podniesionym głosem pani Latter. — A ja czy mogę i... dokąd bym pojechała?...

Zamglone jej oczy roziskrzyły się i zwykle piękne rysy przybrały dziki wyraz.

— Powiedz: kogo ja mam i... gdzie wyjadę?... Chyba do tego poczciwego Mielnickiego... Ale i tam nie opuści mnie ani samotność, ani troska... Czy więc warto jechać?... Zapraszał mnie, wiem, że z całego serca... Pisał, ażebym przyjechała z Manią Lewińską, bo inaczej dziewczynę zabierze na święta jej babka, której ona boi się... Ale co mi po tym...

Madzia była zdziwiona wielomówstwem pani Latter, która nie lubiła zwierzać się ze swoich zamiarów ani uczuć. Wnet jednak dostrzegła, że przełożona nie patrzy na nią, tylko w okno, i nie mówi do niej, tylko jakby do kogoś za oknem.

— Samodzielność... samodzielność... — powtarzała pani Latter uśmiechając się. — Ach, głupia ta Howardówna!... Ona chciałaby wszystkie dziewczęta porobić samdziel-

nyymi... takimi męczennicami jak ja... Ale czy ona co rozumie?... Nawet nic nie widzi... Niby to goni za samodzielnością kobiet, a kopie grób najsamodzielniejszej...

Nagle odwróciła głowę i jakby spostrzegłszy Madzię zapytała:

— Cóż ta wariatka, ciągle wyklada wam teorię samodzielności?...

Zdumiona Madzia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ale pani Latter nie zauważyła tego. Zaczęła bębnić palcami po biurku i znowu mówiła zniżonym głosem:

— Przysięgam, że ta kobieta jest moim nieszczęściem! Pozawracała głowy smarkaczom, nawet Helence... Ułatwiała spacerować Joannie... urzędowała schadzki uczennic ze studentami... A z tym Dębickim awantura!... Wszystko, wszystko przez nią...

I znowu odwróciła się do Madzi.

— Wiesz — rzekła — panna Howard nie będzie u nas od Wielkiejnocy. Sama mi to oświadczyła i ja jej nie zatrzymuję... Ach, ty czekasz na podpisanie listów do księży?... Gdybym choć przez jeden tydzień mogła nie myśleć o tych rzeczach, wyzdrowiałabym...

— Pani czuje się niezdrową? — spytała nieśmiało Madzia.

Teraz zdarzył się wypadek niespodziewany. Pani Latter z góry spojrziała na Madzię i podając jej listy rzekła tonem obrażonej zwierzchniczki:

— Proszę cię, zaadresuj to i natychmiast odeszlij przez którego ze służących. Mamy już niewiele czasu.

Madzia opuściła ją zatrwożona, nie śmiejąc nawet mówić z kimkolwiek o niezwykłym zachowaniu się przełożonej.

Na parę dni przed uwolnieniem uczennic zmieniła się fizjognomia pensji. Kilka dalej mieszkających pań już wyjechało, a między innymi Mania Lewińska do swojej babki do Żytomierza. Lekcje odbywały się nieregularnie. Niektórzy nauczyciele nie przychodzili i prawie nie było wieczornych zajęć z pensjonarkami, które zebrawszy się w oświetlonych salach czytywały powieści.

Tego wieczora panna Marta, gospodyni pensji, zobaczywszy Madzię spacerującą po korytarzu kiwnęła na nią palcem i szepnęła:

— Niech paniuńcia przyjdzie do mnie kuchennymi schodami... Mam doskonałą śmietankę i coś do powiedzenia...

Gdy Madzia wysłała jedną szóstoklasistkę do zastąpienia jej w trzeciej klasie i zbiegła do pokoju panny Marty, znalazła nakryty stolik, kawę gotującą się na maszynie, garnuszek śmietanki i talerz lukrowanych sucharków.

— Ach, jak to dobrze! — zawołała wesoło. — Takam głodna...

Gospodyni złożyła ręce i podniosła oczy do nieba.

— Tak, tak!... — rzekła cicho — teraz tu wszyscy głodni... Dzisiaj dzieci strasznie narzekały na obiad, ale cóżem ja winna?... Pienędzy nie ma.

— Pienędzy?... — powtórzyła Madzia.

— Ach, świat się kończy, paniuńciu... sądny dzień! — wzdychała gospodyni nalewając kawę. — Nikomu tego nie powiedziałabym, ale pani muszę... Kiedy nam przyjdzie zapłacić choćby tylko profesorom, a to przecie — dziś, jutro, wtedy zabraknie na obiad... A tu i gospodarz odzywa się o komorne... szczerze powiem: grozi... Kalwin, nie człowiek.

— Skądże tak nagle? — zadziwiła się Madzia.

— Nie nagle, aniołeczku, nie nagle, duszyczko... (Prawda, jaki kożuszek?...) To nie nagle, kiedy Helenie daje się kilkaset rubli, a paniczowi tysiąc i kilkaset... Nikomu bym tego nie powiedziała, ale... z pensją tak robić nie można... Albo dzieci, albo pensja... O, jaka ja szczęśliwa, że nie mam dzieci!...

Madzia machinalnie piła kawę; apetyt opuścił ją.

— Niedobrze rozumiem... — szepnęła.

— Zaraz pani wytłumaczę — przerwała panna Marta. — (Prawda, jakie sucharki?...) Helenka nie może pracować, musi bogato wyjść za mąż, jest na wielką damę wychowana, więc — naści, Heluniu, parę setek, jedź za granicę i goń pana Solskiego... Kazio bisurmani się przez trzy kwartały i musi uciekać z Warszawy, więc — naści, Kaziu, tysiąc i kilkaset rubli, boś i ty wielki pan. Szast, prast, na lewo, na prawo i — nie ma na komorne!

Madzia, trzymając w ręku sucharek zamyśliła się i szepnęła:

— To dziwne...

— Co, paniuńciu? — pochwyciła panna Marta.

— Mówi pani tak jak Malinowska...

— A pani skąd wie?... — ciekawie zapytała gospodyni nachylając się do Madzi.

— Byłam u niej.

— Aaa... i paniuńcia była?... Tak, tak, każdy musi dbać o siebie... Bo i pani Méline już tam była, i panna Żaneta ma pójść jutro...

— Do Malinowskiej?... Po co?... — zawołała Madzia.

— Po to samo, po cośmy tam wszystkie były.

— Czy i pani?... — A cóżem ja gorszego od innych?... — oburzyła się panna Marta. — Pani Latter bankrutuje, wszyscy ratujecie się... Dlaczego ja mam zostać bez chleba?... Przecie służyłam wiernie, oj, oj! i nie tylko pensjonarkom, ale pannie Helenie i panu Kazimierzowi... Za cóż mam ginąć?

— Ależ ja byłam u Malinowskiej z panną Howard już dawno i wcale nie prosiłam o miejsce — tłumaczyła się obrażona Madzia.

— Nie? więc niech pani jutro idzie do niej i prosi o miejsce. Tak nie można... Już się tam zapisało z trzydzieści kandydatek na damy klasowe, a ze cztery na gospodynie...

Madzia upuściła sucharek, odsunęła resztkę kawy i złożywszy ręce rzekła:

— Boże, Boże!... cóż wy robicie najlepszego?... — zabijacie panią Latter...

— Cicho, cicho!... — uspokajała ją panna Marta. — Zabijamy!... Nie my, sama się zgubiła... Jezus Maria, mając takie dochody przez kilkanaście lat można było coś odłożyć... A tu wszystko wydało się na dom, na szyk, na dzieci... Taki pan Kazimierz sam kosztował z piętnaście tysięcy rubli!... Zjadł — i teraz nie ma...

— Skąd pani wie, że nie ma?

— Oho, skąd!... Ja wiem wszystko, od czegożem gospodyni? Myślałam, że bodaj opędzimy komorne i wydatki do świąt; ale gdzie tam... W kasie tak krucho, że pani wczoraj posyłała mnie tam... naprzeciw, do Szlamszejna...

— Cóż to za jeden?

— Lichwiarz, paniuńciu, lichwiarz!... — mówiła panna Marta trzęsąc rękoma. — A i ten już dać nie chce... Przyjął mnie, jak gdybym przyszła po prośbie, i powiedział: kiedy wam było dobrze, robiliście interesa z Fiszmanem, to i teraz idźcie do Fiszmana... Naturalnie, trzasnęłam gałganowi drzwiami pod nosem, ale zaraz przyszło mi na myśl, że pani przełożona nie od dzisiaj ucieka się do lichwiarzy... A taki Zgierski może nie ma u nas pięć tysięcy rubli?... Jeszcze jak!... Nawet spisał umowę, że wszystkie meble pani przełożonej, wszystkie ławki, szafy, tablice należą do niego.

— Ten Zgierski?... — spytała Madzia.

— A ten, ten... To ziółko... Od jednej mojej znajomej magazynierki bierze za tysiąc rubli sto pięćdziesiąt rocznie, a drugiej, także mojej znajomej, co ma sklep wiejski, pożyczył pięćset rubli i bierze sto na rok... Jezusek! takie sobie wymyślił zarobki, że pożyczca tylko kobietom, które mają proceder, bo kobiety — mówi — są najpewniejsze. I prawda! Kobieta nie dośpi, nie doje, ale procent zapłaci, i jeszcze można się do niej umizgać albo do jej panien... Szelmy mężczyźni, ma rację panna Howard...

Madzia patrzyła w okno i rozmyślała.

— Wszystko to — rzekła — są chwilowe kłopoty pani Latter. Ale od wakacyj...

— Co od wakacyj? — przerwała gospodyni. — Od wakacyj możemy nie mieć żadnej uczennicy ani pensjonarki...

— Chyba... że ktoś będzie je odstręczał — odparła Madzia, ostro spojrzawszy na gospodynię.

Panna Marta rozgniewała się, lecz nie podnosząc głosu rzekła:

— Paniuńcia, dalibóg, nie ma oczu ani uszu!... Ile to już ubyło nam panienek w tym roku, a przecie nikt ich nie odstręczał... Pensja straciła reputację — oto sekret. Dla jednych jest za droga, dla innych źle prowadzona... Pani myśli, że hece z Joasią albo z Dębickim mogły wyjść pensji na użytek?

— Temu winna panna Howard.

— Bajki! — odparła gospodyni machając ręką. — Z Joasią wina pana Kazimierza, a z Dębickim — panny Heleny, bo ona pokłóciła się z nim. Dzieci, dzieci zrobiły to!... Rozkapryszone, rozpieszczone, a pani Latter za słaba dla nich... Nie trzeba było pozwalać synowi na romanse z damą klasową, a Joasię, kiedy w nocy wróciła na pensję, oddalić

zaraz. Albo gdyby Helence pani przełożona w porę natarła uszu, zamiast boczyć się na Dębickiego, to i on zostałby. Czy to nie grzech?... Taki był tani profesor...

Madzia powstała z krzesła.

— Więc tak! — rzekła z palającymi oczyma. — Więc ma ginąć kobieta dobra i rozumna, dlatego że jej się noga powinęła?... Niech pani policzy, ilu ona osobom daje pracę, choćby nam...

Panna Marta ujęła się pod boki.

— Jak to zaraz znać, że paniuńcia jest zacofana!... Ho, ho... dobrze mówi panna Howard... Cóż za łaskę robi komu pani przełożona — prawila wyrzucając ręką — że płaci za ciężką pracę?... A sobie ile płaciła?... Pani bierze piętnaście rubli za osiem godzin, ja piętnaście za cały dzień, a pani przełożona miewała po trzysta, pięćset i po sześćset rubli miesięcznie na czysto... A dużo napracowała się za to?... Tyle, co pani, czy tyle, co ja?

— Ale ona ma pensję.

— Więc co z tego? A paniuńcia nie może mieć pensji?... Alboż to nie ma przełożonych, które w dzień same uczą, a w nocy latają sobie trzewiki i suknie?... Cóż to, damy klasowe, a choćby i ja, jesteśmy pańszczyźnianymi chłopami, a przełożona dziedziczką? Dlaczego ona ma zarabiać więcej aniżeli my wszystkie razem? A jeżeli pomimo takich zysków bankrutuje, czy ja mam nad nią płakać? Ja jestem taka sama kobieta jak i ona: także mogłam mieć dzieci i także potrafiłabym siadać na aksamitnych fotelach... Równość to równość!...

— Gorączkuje się pani — wtrąciła Madzia.

— Nie, paniuńciu — odpowiedziała już spokojniej gospodyni — tylko mnie serce boli na taką niesprawiedliwość. Ja zdieram ręce do łokcia, nauczycielki psują sobie płuca, nic nie użyłyśmy, nic nie mamy i — nad nami nikt się nie lituje. A pani przełożona wydawała po kilka tysięcy rubli rocznie, gubi pensję, nie pomyśli, co z nami będzie, i nam nie wolno jeszcze dbać o siebie?... Oj!... niech paniuńcia nie zwłóczy, ale niech idzie do Malinowskiej, bo może przepaść i ten lichy zarobek, jaki jest.

— Mój Boże, mój Boże!... — mówiła Madzia jakby do siebie. — Tyle wykształciła nauczycielek dobrze płatnych, tyle uczennic bogato wyszło za mąż, tyle z nich ma pieniądze i żadna nie dopomaga...

— Płaciły za naukę — przerwała panna Marta. — Wreszcie jakże jej pomogą: mają zebrać składkę?... A nie każda przecie jest panną Solską, która tak sobie od ręki daje sześć tysięcy rubli... Nam nikt nie da i sześciu złotych.

Gospodyni widząc, że Madzia chce iść, schwyciła ją za rękę i rzekła:

— No, ale paniuńcia nikomu o tym nie wspomni, cośmy tu mówiły?...

— Komuż by, droga pani?... — odparła Madzia wzruszając ramionami i pożegnała ją.

„Cóż to za okropny świat!... — myślała idąc na górę. — Dopóki człowiek ma pieniądze, padają przed nim na kolana, ale kamienują go, gdy zubożał...”

Rozmowa z panną Martą zrobiła na niej ogromne wrażenie. Nie chciała wierzyć, a jednak w ciągu godziny pani Latter coś straciła w jej oczach. Do tej pory wydawała się jej półboginią pełną władzy, mądrości i tajemniczego majestatu; dziś rozwiął się obłok i wyszła z niego kobieta, zwyczajna kobieta, podobna do panny Malinowskiej, nawet do panny Marty, tylko — nieszczęśliwsza od nich.

Miejsce obawy wobec przełożonej zajęło współczucie i litość. Madzia przypomniała sobie panią Latter leżącą na kanapce i usiłowała odgadnąć: o czym też myśli kobieta niepewna o przyszłość dzieci i która nie wie, czym jutro nakarmić pupilki?

„Muszę ją ratować!... — rzekła Madzia. — Napiszę do Ady...”

Lecz przeciw projektowi wystąpił poważny zarzut. Przede wszystkim Ada już pożyła pani Latter sześć tysięcy rubli, o czym wiedziano nawet na pensji. A po wtóre — panna Solska, która jeszcze przed Bożym Narodzeniem lękała się, ażeby jej brat nie zakochał się w Helenie — dziś, kiedy się to stało (o czym również mówiono na pensji), mogła stracić sympatię i do Heleny, i do jej matki.

— Tak, tak!... — szepnęła — Ada nie jest zadowolona; widać to z listów...

Listy panny Solskiej do Madzi były krótkie, nieczęste, lecz pomimo ukrywania się czuć w nich było gorycz i żal do Helenki.

„Helena traktuje serce jak zabawkę” — pisała Ada w jednym liście. — „Zanadto kokietaje wszystkich mężczyzn” — mówiła w drugim. A w ostatnim, pisanym przed

dwoma tygodniami, znalazło się zdanie: „Niekiedy z rozpaczą myślę, że Stefan nie będzie szczęśliwy...”.

— Nie, w tych warunkach nie wypada odwoływać się o pomoc do panny Solskiej.

Nagle przyszło Madzi na myśl, że naturalnym opiekunem Helenki i jej rodziny jest przecie sam pan Solwski.

„Jeżeli kocha Helenkę i chce się z nią żenić — mówiła sobie — to nie dopuści do bankructwa jej matki... Owszem, powinien by się obrazić, gdyby nie doniesiono mu o tym...”.

I już chciała pisać do pana Stefana, lecz — przestraszyła się własnego zuchwalstwa.

„Boże, nieuleczalna ze mnie idiotka!... — szepnęła. — Jakże mogę zdradzać tajemnicę pani Latter i protegować ją u człowieka, którego widziałam raz w życiu?...”.

„Dębicki!... — błysnęło jej nazwisko i prawie zobaczyła przed sobą apatyczną twarz i niebieskie oczy matematyka. — On mnie nie wyda... on poradzi... on najlepiej załatwi... Rozumie się!... Przecież jest przyjacielem Solskiego, bibliotekarzem, mieszka w jego domu...”.

Lecz Dębicki został prawie wypędzony z pensji z winy Helenki, a pani Latter nawet nie przeprosiła go. Co więc począć, gdyby odpowiedział: mnie nic nie obchodzi pani Latter...

„Nie, on tego nie powie i mogą uratować nieszczęśliwą kobietę nie zgubi jej...”.

Madzia tę noc przeleżała w gorączce, marząc, że rozmawia z Dębickim, że spiera się z nim, to znowu, że nie ma go w Warszawie. Męcząca to była noc, a szczególnie świtanie: Madzia co chwilę spoglądała na zegarek chcąc z rana pobiec do Dębickiego i opowiedzieć, co się dzieje.

Ale z rana nie mogła opuścić pensji, przed obiadem zaś ogarnął ją taki strach, że już myślała wyrzec się swoich projektów. Lecz po obiedzie zdecydowała się i zbiegła na dół do mieszkania pani Latter.

W przedpokoju spostrzegłszy Stanisława zapytała go:

— Czy jest pani przełożona?...

I znowu zatrwożyła się.

— Jest jakiś gość u pani — odparł lokaj pilnie wpatrując się w Magdalenę.

— Chciałam powiedzieć pani przełożonej, że wyjdę do miasta... Kupię sobie woalkę — mówiła Madzia oblewając się rumieńcem.

— Niech panienka idzie; ja pani sam powiem... Wreszcie, to jakiś ważny gość; nim on wyjdzie, można ze trzy razy powrócić.

— E, to już nie pójdę, kiedy tak... — odpowiedziała Madzia nie wiedząc, dlaczego nie chce iść i z jakiej racji — znowu opanowała ją trwoga.

Rzeczywiście tego dnia nigdzie nie wyszła, ale dla kompensaty rozboleła ją głowa.

„Co mi po tym? — szeptała. — Co ja mam mieszać się do cudzych spraw?” — Lecz w następnej chwili z nieprzepartą siłą narzucała się jej idea, że ona musi pójść do Dębickiego, ponieważ on jeden uratuje przełożoną.

W jaki sposób i z jakiego powodu? — o to nie pytała.

## 25. WYPĘDZENI WRACAJĄ

W tym czasie w mieszkaniu pani Latter roztrząsały się ważne kwestie.

Na pół godziny przed obiadem Stanisław wręczył pani Latter list przyniesiony przez posłańca, który czekał na odpowiedź. Pani Latter spojrzała na adres — charakter wydał się jej obcym. Powoli rozcięła kopertę i przeczytała kilka wyrazów napisanych po francusku:

„Dziś przyjechałem; proszę o rozmowę w wiadomej sprawie. Arnold”.

— Ma czekać posłaniec? — zapytał Stanisław.

— Przyjdiesz, jak zadzwonię — odpowiedziała pani Latter.

Przeczytała list drugi raz i rzekła do siebie śpiewającym tonem:

— Tak... tak... tak!... Nareszcie! Tęgo mi właśnie brakowało...

I przed oczyma jej wyobraźni stanął człowiek z pijacką fizjognomią, w odzieży poplamionej i obdartej... Takiego widziała raz na ulicy w Warszawie i w takiej postaci od lat wielu przedstawiała sobie swego drugiego męża. Nie mogło być inaczej. Ten drugi mąż, niegdyś piękny jak Apollo, odznaczał się nieśmiałością. Był tak strasznie nieśmiały,

że nawet nie umiał się oświadczyć; przez dwa lata pożycia zachowywał się wobec niej jak lokaj; doprowadził ją do ruiny, a przynajmniej nie zapobiegł temu. Gdy mu zaś w trzecim roku małżeństwa powiedziała w uniesieniu, że jest przez nią utrzymywany i że ona ma prawo w każdej chwili wypędzić go — nie obraził się, tylko wyjechał pozostawiając jej do spłacenia długi.

Był to człowiek, którego pani Latter nienawidziła z całej duszy. Bo dlaczego on wtedy nie wybuchnął gniewem?... albo dlaczego jej nie przeprosił?... A jeżeli nie umiał ani gniewać się, ani przeproszać, dlaczego ją porzucił nie dając przez piętnaście lat znaku życia?...

„Więc jedno z trojga — myślała pani Latter. — Albo już nie żyje, albo wpadł za coś do więzienia, albo — rozpił się i znikczemniał.” Innej kariery nie mógł zrobić człowiek, którym ona tak strasznie pogardzała. Na dnie posępnych marzeń pani Latter powrót jej męża nie należał do nieprawdopodobieństw. Owszem, bo dla czegoż by los miał jej oszczędzić największego nieszczęścia?... Może nie wrócić, ale może i wrócić — mówiła sobie. — Lecz jeżeli wróci, to z pewnością jak nędzarz i nędznik, którego ona będzie musiała ukrywać przed oczyma świata i przed własnymi dziećmi.

Niekiedy w chwilach osłabienia zdawało się jej, że gdyby wypędzony mąż wrócił, ze wstydu i gniewu odebrałaby sobie życie... Tymczasem nadeszła ta chwila i pani Latter, zamiast struchleć, otrząsnęła się ze swej apatii. Energicznym krokiem poszła do sypialni, wypila kieliszek wina i na przysłanym jej liście napisała jeden wyraz: „Czekam”. Włożyła w kopertę i zaadresowała „Monsieur Arnold”, kazała oddać posłańcowi.

Potem usiadła na fotelu i bawiąc się kościanym nożykiem patrzyła na drzwi, spokojnie czekając, rychło między portierami ukażą się łachmany, obrzękła twarz i zażawione oczy człowieka, który kiedyś zastąpił jej drogę na ulicy, a do którego musi być podobnym jej mąż.

Gdyby ją zapytano, jak długo czekała: godzinę czy kilka minut, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Również nie słyszała, że ktoś wszedł do przedpokoju, że zapukał do drzwi gabinetu i nie mogąc doczekać się wezwania sam je otworzył. Pani Latter pamiętała tylko, że jakiś cień ukazał się istotnie między portierami i zbliżał się do biurka. Pani Latter nie patrzyła mu w twarz, niemniej była pewną, że stoi przed nią obdarty pijak. Nawet zdawało jej się, że czuje zapach wódki.

— Czego nareszcie chcesz pan ode mnie? — zapytała go po francusku.

— Tak mnie witasz, Karolino... — odpowiedział głos dźwięczny jak organy.

Pani Latter zadrżała i podniosła głowę. O parę kroków od niej stał niezwykle piękny mężczyzna: średniego wzrostu, brunet, ze szlachetnymi rysami i matową cerą. Miał niewielkie czarne wąsiki i ciemne oczy, w których nie wiadomo, co więcej należało podziwiać — melancholię czy słodycz.

Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był ubrany bez zarzutu, a na palcu lewej ręki miał pierścion z dużym brylantem.

Pani Latter przypatrywała mu się zdumiona: ani śladu nędzy czy wyniszczenia...

„Aha! — pomyślała — więc musi być łotrem eleganckim... Oszukuje w karty albo okrada salony... Ale nic się nie zmienił...”

— Chcę wiedzieć, czego pan sobie życzysz? — zapytała po raz drugi.

Na pięknej twarzy gościa odbiła się jakaś gra uczuć: był wzruszony, lecz zaczynał się dziwić.

— Karolino — mówił ciągle po francusku — nie mam i nie chcę mieć pretensji do twoich względów, ależ jestem co najmniej... dawnym znajomym... Zdaje mi się, że ten kamienny Sokrates przywitałby mnie inaczej... nawet to biurko... fotel... Aha!... i portrety dzieci — dodał, z uśmiechem patrząc na ścianę.

Pani Latter przygryzła wargi z gniewu.

— Dzieci — rzekła — a nawet biurko i fotele były własnością mego pierwszego męża... Są to więc bardzo dalecy znajomi pańscy — dodała z naciskiem.

Twarz gościa pociemniała rumieńcem.

— Wybornie! — odparł już innym tonem — chcesz sprowadzić nasze stosunki od razu na grunt właściwy... Doskonale!... Pozwoli pani jednak, że usiądę...

Siadł na fotelu, od którego pani Latter ze wstrętem odsunęła się na drugi koniec kanapki.

— Przed paroma miesiącami — mówił — otrzymała pani ode mnie list z Waszyngtonu, pisany w grudniu roku zeszłego.

— Nic nie otrzymałam.

— Nie?... — zdziwił się gość.

— Nic i nigdy.

— Nigdy?... A jednak pisałem do pani i w roku 1867 z miasta Richmond w stanie Kentucky.

Pani Latter milczała.

— Nic nie rozumiem... — mówił gość nieco zmieszany. — Ja wprawdzie teraz, zamiast: Eugeniusz Arnold Latter, nazywam się krótko: Eugeniusz Arnold, no, ale chyba to nie spowodowało nieporozumienia.

— Ach, więc mamy zmianę nazwiska!... — zawołała pani Latter z szyderczym śmiechem, uderzając ręką w poręcz kanapki. — To daje do myślenia, że nie traciłeś pan czasu...

Gość patrzył na nią zdziwiony.

— Chyba słyszała pani o mnie...

— Nic nie słyszałam — odparła szorstko. — Ale znam tę pochyłość, po której staczają się słabe charaktery...

Gość znowu zarumienił się, ale tym razem z gniewu.

— Pozwoli pani, że w kilku słowach dam jej małe objaśnienie.

Pani Latter bawiła się wstążką sukni.

— Jak pani wiadomo, zawsze byłem nieśmiały: w liceum, w uniwersytecie... Gdy przyjechałem do tego kraju na nauczyciela prywatnego, moja nieszczęsna wada spotęgowała się, a gdy... miałem zaszczyt zostać mężem pani... prawie przeszła w chorobę...

— Co jednak nie przeszkadzało umizgać się...

— Mówi pani o tej guwernantce z Grenoble, do której — nie umizgałem się, tylko jej pomagałem jako rodaczce... Ale mniejsza o nią...

Otóż, gdy otrzymałem — raz na zawsze — dymisję od pani, pojechałem do Niemiec pragnąc tam zostać guwernerem. Poradzono mi jednak, ażebym przeniósł się do Ameryki, co też zrobiłem.

Chwilę odpoczął.

— Tam trafiłem na wojnę domową i z biedy zapisałem się do armii północnej jako Eugeniusz Arnold. Zmieniłem nazwisko z obawy, ażeby go nie skompromitować, ponieważ byłem pewny, że z moją nieśmiałością, jeżeli natychmiast nie zginę, to albo ucieknę w pierwszej bitwie, albo zostanę rozstrzelany — za zbiegostwo.

Wnet jednak przekonałem się, że nieśmiałość i tchórzostwo są dwie rzeczy różne. Krótko mówiąc: skończyłem kampanię w randze majora, dostałem od rządu trzysta dolarów emerytury, od kolegów ten oto pierścień i — co mnie najwięcej dziwiło — nauczyłem się rozkazywać, ja, który niegdyś tylko spełniałem rozkazy wszystkich, nawet moich uczniów...

A ponieważ tak wybornie posłużyło mi nowe nazwisko, więc — zatrzymałem je.

— Budująca historia — odezwała się pani Latter. — Ja inne stawiałam panu wróżby...

— Wolno wiedzieć? — spytał ciekawie.

— Że pan będziesz grał w karty.

Gość roześmiał się.

— Ja nigdy nie biorę kart do ręki.

— Grywałeś pan jednak co wieczór.

— Ach, tutaj?... Przepraszam panią, ale chodziłem do znajomych na wista dlatego, ażeby... nie być w domu...

— To jednak kosztowało.

— Nie tak wiele. Może w ciągu tych paru miesięcy przegrałem... ile?... z dziesięć rubli.

— Zostawiłeś pan długi.

Gość zerwał się z fotelu.

— Jestem gotów spłacić je, od dawna... Ale skąd pani wie o nich?...

— Musiałam wykupić pańskie weksle.



— Pani?... — zawołał uderzając się w czoło. — Nie pomyślałem o tym!... Ale to nie były długie karciane. Raz poręczyłem za jednym rodakiem... Drugi raz — trzeba było wykupić stąd i wysłać do Francji tę guwernantkę z Grenoble, a trzeci raz wziąłem pieniądze na własną podróż będąc pewny, że odeszłę je z Niemiec w pół roku... Los zrządził inaczej, ale spłacę choćby dziś, jestem na to przygotowany. Nie wynoszą one tysiąca rubli.

— Osiemset — wtrąciła pani Latter.

— Weksle pani ma? — spytał.

— Są przedarte.

— To nic nie stanowi. Nawet choćby ich nie było, wystarczy mi słowo pani, że nie znajdują się w obcych rękach.

Nastała dłuższa chwila milczenia. Gość był zakłopotany jak człowiek, który ma powiedzieć coś niemiłego, a pani Latter wpadła w zadumę. W jej duszy gotował się przewrót.

„Odda mi osiemset rubli — myślała. — Jest zupełnie przyzwoitym człowiekiem, jeżeli nie kłamie... Ale on nigdy nie kłamał... Guwernantki nie bałamucił, w karty nie grał, więc... o co myśmy się poróżnili?... I dlaczego nie mielibyśmy się pogodzić? Dlaczego?...”.

Ocknęła się i patrząc łagodniej na swego eks-męża rzekła:

— Przypuszczając, że to, co pan mówił, jest prawdą...

Gość wyprostował się, w oczach błysnął mu gniew.

— Za pozwoleniem — przerwał twardym tonem — do kogo pani raczy odzywać się w ten sposób?... Nikt nie ma prawa kwestionować tego, co ja mówię.

Pani Latter zdziwiła się, nawet złękła wybuchu, któremu potężny głos mówiącego nadawał niezwykłą powagę.

„Dlaczego on wtedy tak mi nie odpowiadał?... Skąd ten głos?..” — przeleciało jej przez myśl.

— Nie chcę pana obrazić — rzekła — ale... musisz przyznać, że między nami istnieją dawne i bolesne rachunki...

— Jakie?... Wszystko płacę... Osiemset rubli dziś, resztę za miesiąc...

— Są rachunki moralne...

Gość patrzył na nią zdumiony. Pani Latter przyznawała w duchu, że nie zdarzyło jej się widzieć spojrzenia, w którym byłoby tyle rozumu, siły i jeszcze czegoś — czego się obawiała.

— Moralne — rachunki — między nami?... — powtórzył gość. — I to ja mam być dłużnikiem?...

— Opuściłeś mnie pan — przerwała podniecona — nie dawszy żadnego objaśnienia.

Na twarzy gościa widać było rosnący gniew, który w oczach pani Latter robił go jeszcze piękniejszym.

— Jak to?... — rzekł. — Pani, która przez kilka nieszczęsnych lat naszego pożycia traktowałaś mnie jak psa, jak... szlachcic swego gubernera... pani mówisz o opuszczeniu cię?... Całą moją winą jest to, że panią ubóstwiałem widząc w niej nie tylko ukochaną kobietę, ale i wielką damę barbarzyńskiego narodu, która zniżyła się do poślubienia biedaka emigranta... No, ale przez ostatni rok, a szczególnie ostatnią scenę, gdzie się prawie lękał, żebyś mnie pani nie kazała wybić swojej służbie, przez tę ostatnią scenę — wyleczyłem się...

Dziś panią rozumiem: jesteś córką scytyjskich kobiet, które wiecznie rządziły, rozkazywały i powinny by rodzić się mężczyznami... Ale ja byłem członkiem narodu ucywilizowanego i pomimo przywiązania, pomimo względów należnych kobiecie, pomimo nieśmiałości nie mogłem dłużej odegrywać roli zaprzedańca...

I lepiej się stało. Pani masz fach, który zaspokoił twoje instynkta władzy, przyniósł ci sławę i majątek, a ja — jestem człowiek wolny... Skorośmy się nie dobrali, najlepszym było to, żeś mnie pani uwolniła... O, to było bardzo stanowcze!...

— Zatargi małżeńskie nie niweczą sakramentu — odparła cicho pani Latter spuszczać oczy.

Gość wzruszył ramionami.

— Nie pomyślałeś pan nawet, że mogłam wpaść w nędzę z dziećmi... — dodała.

— Dzieci... a nawet fotel i biurko są własnością pierwszego męża pani — odparł sucho. — Sama pani to raczyłaś powiedzieć przed pół godziną i... tej zasady będziemy się pilnowali... Co zaś do bytu pani, byłem o niego spokojny. W roku 1867 spotkałem

w Richmond dawną pokojówkę pani, Anielę, zdaje mi się. Wyszła tam za fabrykanta pończoch. Od niej dowiedziałem się, że założyła pani pensję, że robi pani majątek, że Kazio i Helenka są doskonale wychowani... Trochę dziwiła mnie ta pensja; lecz znając energię pani nie wątpię, że wszystko musi pójść dobrze.

Jakoż potwierdził mi to rok temu pan Sla... Śląski (tam nazywa się Slade, bo nikt by nie wymówił jego nazwiska), dawny sąsiad Norowa. On mi powiedział, że pani zrobiła majątek, że Helenka wyrosła na piękną pannę, a Kazio zapowiada się na genialnego człowieka... Wobec tych doniesień resztką żalu, jaki mogłem mieć do pani, zgasła we mnie. Zrozumiałem, że gdybym nie wyjechał wówczas, mogłem być zawadą w karierze pani i dzieci... A dziś powiadam, że to, co się stało, choć było dla mnie bardzo przykrym, dobrze się stało dla wszystkich. Wszyscy podźwignęliśmy się materialnie i moralnie. Ręka Boska najlepszą wytyka drogę ludziom.

Słuchając tego pani Latter czuła, że w jej sercu znika dawna nienawiść do męża, a miejsce jej zastępuje niepokój.

„To jest szlachetny człowiek — myślała — ale... z czym on do mnie przyjechał?...”

## 26. ZATRZYMYWANI ODCHODZĄ

Gość marszczył i tarł czoło z niewątpliwymi oznakami zakłopotania.

— Jakież masz zamiary nadal?... — zapytała nieśmiało pani Latter rumieniąc się.

Eks-mąż spojrział na nią zdziwiony. Przed chwilą nazywała go panem, teraz mówi: ty...

— Więc pani nie odebrała mego listu z grudnia?... — rzekł.

— Treść jego możesz mi dzisiaj opowiedzieć...

— Ach, tak?... Naturalnie, że muszę — odparł.

Machinalnie sięgnął do cygarnicy.

— Chcesz palić?... — zapytała pani Latter prawie pokornym tonem.

— O nie!... — przerwał. — Szkoda, że zginął mój list...

— Czy były w nim jakie dokumenta?...

Gość nie odpowiedział. Znowu tarł czoło, nagle rzekł:

— Pani nie wie: mam syna... Chłopak dziesięcioletni, bardzo ładne i dobre dziecko...

Doskonale dziecko!...

Pani Latter zacmniło się w oczach.

— Na imię mu Henryk — mówił gość — a ma tak smutne spojrzenie, kiedy się zamyśli, że nieraz drzę o niego i pytam się: skąd ten smutek i co on może zapowiadać?... Ale to chwilowe... Bo zwykle jest wesołym dzieckiem. Ach, jak umie być wesoły!... — dodał patrząc na panią Latter.

— Miło mi będzie uścisnąć twego syna — odpowiedziała zdławionym głosem. — Szkoda, żeś go nie przyprowadził...

— Z Waszyngtonu?... — wtrącił gość. — On przecież został z matką...

Pani Latter zbladła.

— Otóż, proszę pani — mówił — tu leży powód mego przyjazdu...

Przystąpienie jednak do rzeczy robiło mu pewną trudność: kręcił się na fotelu i widocznie znowu zboczył od przedmiotu.

— Bo widzi pani, ja jestem jednym z głównych agentów fabryki Wooda, machin i narzędzi rolniczych. Dotychczas podróżowałem po Ameryce, lecz w tym roku chcąc rozmówić się z panią podjąłem się komisów do Rosji. Interesa są tak pilne, że muszę wyjechać jutro; lecz wrócę tu za miesiąc i dłużej zabawię... A tymczasem mój adwokat pomoże pani do załatwienia formalności...

— Nie rozumiem... — szepnęła pani Latter ściskając poręcz kanapki.

— Chodzi o rzecz drobną, którą pani, jako rozumna kobieta, może, a nawet ma obowiązek zrobić po tym, co między nami zaszło... Chodzi o to, ażeby pani ze swej strony zrobiła podanie do konsystorza katolickiego o rozwód...

Pani Latter patrzyła na niego osłupiała.

— Więc chcesz się żenić mając tu żonę?... I ja mam dopomagać ci do tego?... Spełniły się moje przeczucia!... Po rozmaitych bohaterских historiach musieliśmy w końcu zawadzić o kryminał...

Gość znowu zakipiał gniewem.

— Za pozwoleniem. Muszę pani przypomnieć, że ja jestem kalwin, a nasz ślub odbył się tylko w kościele katolickim; jeżeli więc nie myłę się (nie mówiłem o tym jeszcze z adwokatami), ślub ten... nie wiem, czy jest ważny w obliczu mego wyznania?... Dalej, zostałem przez panią wypędzony z domu, co chyba wobec sumienia równa się rozwodowi, zwłaszcza że potem nastąpiła kilkunastoletnia rozłąka... A nareszcie, gdybym miał mniej skrupułów, w Ameryce znalazłbym sposób zawarcia najlegalniejszego małżeństwa nie odwołując się do pani.

— Więc po co ja mam prosić konsystorz o rozwód i może ponosić koszt?... — zawołała pani Latter z płonącymi oczyma. — Wracaj do swojej Ameryki i popelnij legalne dwużeństwo!... Ta, która obdarzyła cię synem, jest albo ofiarą oszustwa, albo...

Eks-mąż schwycił ją za rękę.

— Dosyć! — rzekł.

Ale pani Latter czując przewagę mówiła ze spokojnym szyderstwem:

— Czy ja chcę ją obrażać?... Mówię tylko, że jest jedno z dwojga: albo ją oszukałeś i wziąłeś z nią ślub, albo ona była twoją kochanką. Podziwiać cię będę, jeżeli wskażesz mi jaką trzecią alternatywę.

Gość spokorniał.

— Proszę pani, są rzeczy dziwne w Europie, a bardzo zrozumiałe w Ameryce. Żona moja... matka Henrysia — dodał — w czasie wojny była dozorczynią rannych i pomimo osiemnastu lat, a może właśnie dlatego — najskrajniejszą emancypantką. Szlachetna, wysoko ukształcona, pełna poezji, głosiła teorię, że prawdziwa miłość nie potrzebuje formułek... Więc gdy wyznałem, że ją kocham, i opowiedziałem moją historię, wzięła mnie za rękę i w sali pełnej rannych żołnierzy, ich krewnych i dozorczyń rzekła:

„Kocham tego człowieka, biorę go za męża i będę mu wierną...”.

I jest mi wierną.

— Szczęśliwy człowiek — syknęła pani Latter — nie brakuje mu nawet przyjemnych złudzeń...

Gość udał, że nie słyszy; spuścił głowę i mówił dalej:

— Z biegiem czasu, kiedy nasz syn wzrastał, rosło i jej przywiązanie do mnie, i — skrupuły. Od kilku lat widywałem ją niekiedy płaczącą. Na próżno pytałem: co jej jest?... Nie odpowiadała. Wreszcie widząc, że jej smutek doprowadza mnie do rozpacz, rzekła:

„Duchy mówią, że gdybym umarła przed twoją pierwszą żoną, nie ja byłabym z tobą po śmierci, ale tamta. Lecz dodają, że gdybyś miał od niej akt uwalniający cię ze ślubu, w takim razie, choćby ona mnie przeżyła, będziesz po śmierci moim”.

Ach — dodał — muszę panią objaśnić, że moja żona jest spirytystką, a nawet należy do mediów...

Pani Latter siedziała z założonymi rękoma; gość patrzył z niepokojem, widząc w jej oczach tlejące iskry nienawiści.

— Cóż pani na to?... — odezwał się tonem prosby.

— Ja?... — odpowiedziała jak przebudzona. — Posłuchaj, Arnoldzie... Przez kilkanaście lat żyłeś z nie znaną mi kobietą... pieściłeś ją... masz z nią syna... Twoja jakaś tam sława wojskowa należała do niej, twoja praca — do niej, twój majątek — do niej...

Zatchnęła się, lecz chwilę odpocząwszy mówiła dalej:

— Przez ten czas ja musiałam dźwigać ciężar wdowieństwa bez jego korzyści... Praco- wałam nad utrzymaniem w porządku kilkuset osób, wychowywałam dzieci... Borykałam się z ludźmi, z obawą o jutro, niekiedy z rozpaczą, podczas gdy wy tam byliście szczęśliwi na mój koszt... Dziś wiesz, co mam za to?... Dwoje dzieci, których los nie jest ustalony, a dla siebie bankructwo... Kompletne bankructwo!... Już nawet zalegam w opłacie komornego, a gdybym dziś sprzedała pensję i spłaciła długi, nie wiem... czy wyjdę w jednej sukni.

W takiej chwili ty, który mnie obdarłeś ze swojej pomocy i osoby, ty przychodzisz do mnie i masz odwagę mówić:

„Kochana pani, zaakceptuj moje postępowanie z tobą, ponieważ jednej z moich przyjaciółek... powiedziały duchy, że powinna awansować na legalną żonę!...”.

Czyś ty oszalał, Arnoldzie, proponując mi coś podobnego?... A przecież ja się na to nigdy nie zgodzę... nigdy!... Chociażby moje własne dzieci u moich nóg konały z głodu...

Zerwała się z zaciśniętymi pięściami.

— Nigdy... słyszysz?... nigdy!...

Przeszła się kilka razy po gabinecie, szlochając. Powoli jednak uspokoiła się i otarłszy oczy stanęła przed mężem.

— No?... — rzekła krótko.

Gość spojrzał na zegarek i także podniósł się z fotelu. Na jego ruchliwej twarzy malował się w tej chwili spokój.

— Widzę — rzekł — że jesteś pani bardziej rozdrażniona, aniżeli można było przypuszczać. No, ale trudno... Każdy ma swoje racje...

A teraz stawiam pani ultimatum.

Jest nas czworo: mój syn, Henryk, jego matka, ja i pani. Mam bardzo mały majątek — dwadzieścia tysięcy dolarów... Ale ponieważ jakiś czas żyłem na koszcie pani, więc oddam jej z mego mienia — pięć tysięcy dolarów.

Teraz idę do adwokata i powiem, co ma robić. Mniej więcej za miesiąc odbiorę kopię aktu i doręczę pani jej część pieniędzy... Rozumie się, niezależnie od opłaty za akta i od tych ośmiuset rubli, które winienem...

— Jesteś!... — syknęła pani Latter.

Lecz w tej samej chwili przyszło jej na myśl, że pięć tysięcy dolarów po kursie bieżącym wynoszą półósma<sup>7</sup> tysiąca rubli...

Gość niedbale machnął ręką, uklonił się i wyszedł nie odwracając głowy.

Pani Latter patrzyła za nim... patrzyła... a gdy skrzypnęły drzwi przedpokoju i na schodach rozległ się łoskot kroków odchodzącego, zalała się rzewnymi łzami.

W kwadrans potem umyła twarz i dysząca zemstą poczęła snuć plany upokorzenia człowieka, który śmiał być szczęśliwym pomimo jej nienawiści.

„Przebaczyłam mu, a on zaproponował rozwód!... Nędznik, krzywoprzysięzca, wielożeńca!... Jakżebym chciała mieć teraz wielki, ogromny majątek... Pojechałabym tam, do niej, i powiedziałabym:

Możecie pobrać się z sobą, popełnić świętokradztwo... Ale w obliczu Boga, ty, kobieto, zawsze będziesz tylko jego kochanką, a twój syn nieprawym dzieckiem... Wobec Boga nigdy nie będziecie mężem i żoną, nie połączycie się nawet po śmierci, bo ja... nie uwalniam go od przysięgi...”

Ocknęła się i ją samą zdziwił tak mocny wybuch.

„Ostatecznie — myślała — czego ja się drażnię... Dziecko nic nie winno, chyba tyle, że jest jego dzieckiem... A tamta, której nie wiem nawet nazwiska, warta swego współnika... Wypędziłam go, znalazł istotę godną siebie, i tak muszę nadal traktować ich stosunek: pogardliwie, nie dramatycznie.

Ach, gdyby Solski oświadczył się nareszcie o Helenę!... Za długo trwa ta wulkaniczna miłość, o której wszyscy mówią i kompromitują dziewczynę... Miałabym pieniądze, a od nędznika nie przyjąłabym nawet tych ośmiuset rubli, które mi winien. Wtedy pokazałabym mu drzwi, bo właściwie co za wspólność ze mną może mieć jakiś pan Arnold...”

Pani Latter przypominała sobie niedawną rozmowę, silny głos, grę fizjonomii Arnolda, jego niespodziewane wybuchy gniewu i doszła do wniosku, że ten człowiek — nie pozwoli się zdeptać.

„W każdym razie — mówiła w duchu — mam pewnych osiemset rubli za miesiąc: mogę więc dziś pożyczyć ze sześćset... A nędznik!... Daje mi siedem tysięcy rubli odstępnego, sam niewart siedmiu groszy... Tej sumy, rozumie się, nie przyjmę nigdy w świecie!...”

Kazała zawołać pannę Martę, a gdy gospodyni weszła, odezwała się do niej:

— Więc Szlamsztejn odmawia?...

— Co taki... z przeproszeniem pani, wie?... na czym on się zna?... Niby to gniewa się, że Fiszman u nas zarabiał — odparła gospodyni z grymasem.

Pani Latter zastanowiła się.

— Fiszman?... Drugi raz już mi to panna Marta powtarza. Nie znam żadnego Fiszmana. Może to ten, co nam masło przywozi?

<sup>7</sup>półósma (daw.) — siedem i pół. [przypis edytorski]

— Nie, proszę pani. Masło przywozi Berek, a Fiszman to taki kapitalista. Już nawet wiem, gdzie mieszka...

— Trzeba go jutro sprowadzić — odparła pani Latter patrząc w okno. — Zawsze z końcem kwartału są niedobory... Ale za miesiąc będą pieniądze.

Kiwnęła głową na znak, że gospodyni może odejść, i znowu rozpoczęła gorączkowy spacer po gabinecie. Uśmiechała się sama do siebie czując, że gniew na męża rozbudził w jej duszy nowe zasoby energii.

„Nie dam się!... nie dam się!...” — powtarzała zaciskając pięści.

Nie pomyślała, na jak długo wystarczy jej ten nowy zapas sił i — czy nie jest on już ostatnim?

Wychodzącą pannę Martę dopędził w końcu korytarza Stanisław i wszedłszy do jej pokoju, tajemniczo zamknął drzwi za sobą. Potem wydobyl portmonetkę, z niej złotą sztukę dziesięciomarkową i rzekł:

— Aha?... Niech pani zgadnie, od kogo to dostałem. To dopiero pan!... Bywali u nas nawet rublowi panowie, ale takiego jeszcze nie miał.

— Prawda — odpowiedziała gospodyni, której oczy uśmiechnęły się do złota. — Ważna sztuka!... Mój Boże, teraz tego nigdzie nie widać, a jeszcze pamiętam za nieboszczki mamy...

— Co tam sztuka. Ale co to za pan, który mi ją dał?... Żebym powiedział pannie Marcie, trupem by padła... słowo daję!

— Och, jaki mi sekretarz!... Ode mnie wydobywa wszystko, co mam pod sercem, a sam droży się. Któż by mógł dać dukata, jeżeli nie pan Solski? Pewnie przyjechał oświadczyć się o panienkę... Chwała Bogu! — dodała wznosząc oczy i ręce do góry.

Ale zastanowiła ją poważna fizjonomia lokaja.

— No, niech Stanisław gada prędko albo niech się wynosi...

— Nie bardzo komu przeszłoby przez gardło takie słówko — odparł. — To, co po wiem, mówię tylko pani, bo niech ręka boska zachowa...

— Zwariowaliście!... Więc kto był?

— Nieboszczyk pan...

— W imię Ojca i Syna... Jaki nieboszczyk?...

— Nieboszczyk Latter.

— Przysięgam, że zupełny wariat!... — szepnęła gospodyni wpijając się wzrokiem w twarz Stanisława. — Alboście wy znali go?

— Nie znałem, ale trochę słyszał, o czym gadali z panią. Niewielem rozumiał, bo to po francusku...

— Więc wy rozumiecie choć trochę?

— Ba! jest się tyle lat na pensji!... Nie wszystkom słyszał, niewielem rozumiał, ale zawsze wiem, że to był mąż, pan Latter... Mnie się to i dawniej o uszy obijało, że on jeszcze chodzi po świecie, ale nie myślał, że ma wypełnione kieszenie... Przecie rzucił złotą sztukę nie byle kto potrafi...

— Dzięki ci, Boże!... — westchnęła panna Marta. — Zawsze modliłam się na intencję naszej pani i byłam pewna, że wypłynie...

— Hum! Hum!... — mruknął Stanisław. — A ja w tym nic dobrego nie widzę. Naprzód — klócili się, nawet pani coś powiedziała o kryminale, potem — jak on wyszedł, strasznie płakała, a nareszcie... Wreszcie to nigdy nie jest dobrze, kiedy pokazuje się człowiek, którego wszyscy mają za nieboszczyka. Będzie jakaś bieda.

Od krańcowego optymizmu panna Marta nader łatwo przerzucała się w krańcowy pesymizm. Więc i teraz splotła ręce na piersi i rzekła:

— Aaa... ja i to myślałam. Bo co znaczy mąż, którego nie było... nie było i naraz wylazł jak spod ziemi? Jużci, kiedy oni rozeszli się i pani aż musiała pensję założyć, więc nie musiało być między nimi kleju; a jeżeli teraz wrócił, i jeszcze bogaty...

— A jaki piękny pan!... Ho, ho! gdzie wygląda młodziej od naszej...

— O!... — przerwała panna Marta — to jest sęk... Młody i piękny mąż, żona starsza... O!... tu, tu jest nieszczęście... Żona biedna zdarła się w pracy, a on piękny i bogaty... Łajdaki męczczyźni!...

— Tylko... pani gospodyni... pary z ust nie trzeba puszczać przed nikim, bo z tego może wyjść nieszczęście i dla mnie... — rzekł Stanisław grożąc palcem.

I gdy uroczyście zabierał się do odejścia, panna Marta rozgniewana przestrożą schwyła go za ramię i wypchnęła za drzwi.

W kwadrans panna Marta kocim krokiem wbiegła na górę szukać Madzi. Lecz że zamiast Madzi nasunęła jej się panna Howard, więc schwyciła ją za rękę, wciągnęła do pustej sali i zaczęła szeptać:

— Wie pani, co się stało?... Ale niech pani przysięgnie, że nikomu nie powie! — dodała podnosząc palec w górę. — Wie pani, Latter wrócił...

— Jaki Latter?...

— Latter, mąż pani przełożonej.

— Ależ on od dawna nie żyje.

— Owszem, od dawna żyje, tylko siedział w kryminale...

— Co?... co?...

— Był w kryminale — szeptała panna Marta. — Ale jaki on piękny!... ach, pani, czyste bóstwo, czysty Napolion!...

— Jaki Napolion?...

— Przecie ten, bożek piękności... A jaki bogaty... Pani, dał Stanisławowi parę... co mówię — dał kilka, a może i więcej złotych dziesięciomarkówek. To milioner.

— Skądże wziął? — spytała panna Howard wzruszając ramionami.

— Pewnie z tego, za co siedział w kryminale.

— On tu jest?

— Teraz wyszedł zameldować się policji, ale wróci...

— I będzie tu nocował?... — badała podnosząc głos panna Howard.

— Przecież kto tutaj ma żonę, w hotelu nocować nie będzie.

Panna Howard schwyciła się za głowę.

— Natychmiast się stąd wyprowadzam... Mężczyzna piękny, który był w kryminale, chce tu nocować! Nigdy, za nic...

— Na miłość boską, panno Klaro... — błagała ją przestraszona gospodyni. — Co pani robi?... przecież to największy sekret... tajemnica grobowa...

— A co mnie to obchodzi? — mówiła wzburzona panna Klara.

— Piękny i... był w kryminale... Ładnie bym jutro wyglądała!... Przecież taki człowiek musi być zdeterminowany na wszystko.

— Ależ, pani... ależ, panno Klaro... — szeptała gospodyni. — Już wszystko powiem... On tu nie będzie nocował, bo nienawidzi pani Latter... Ledwie wszedł, zaraz pokłócili się, a pani przełożona tak strasznie płakała jak w konwulsjach... Nic z tego nie będzie, ona go na próg nie puści... Może nawet nigdy się nie zobaczą...

Panna Howard zaczęła potrząsać głową.

— A co — rzekła — czy powinny kobiety wychodzić za mąż?... Potrzebne jej to było?... Tyle lat pracy i niewoli... Tyle lat męża nie miała, a gdy wrócił, także go mieć nie będzie!... Och, te małżeństwa!... Ja już od pewnego czasu spostrzegłam, że jej coś jest: była blada, zadumana, apatyczna... I nie dziwię się, skoro czekała na taki przysmak... Muszę ratować nieszczęśliwą...

— Na miłosierdzie Boga!... — jęknęła panna Marta — niech pani nic nie mówi.

Schwyciła ją za rękę i pchała we framugę, jakby mając zamiar wyrzucić pannę Howard za okno.

— Nudna pani jesteście!... — syknęła nauczycielka wyrwijąc się jej. — Naturalnie, nawet nie dam poznać, iż wiem, że mąż powrócił... Ja tylko wyrwę ją z apatii, wciągnę znowu do stosunków z pensją...

— Cóż to dziś za pensja? — wtrąciła gospodyni. — Większa część rozjechała się na święta, a reszta pojutrze... Co ona będzie miała z nimi do roboty?

Panna Howard z gniewem podniosła głowę do góry.

— Co pani pleciesz, panno Marto? — rzekła. — Nie ma co robić?... Ja tonę w pracy między tymi dziesięcioma kozami, a pani Latter nie ma co robić?... A przecież jestem o wiele energiczniejsza...

Ktoś szedł przez korytarz, więc obie damy rozbiegły się. Gospodyni zaczęła szukać Madzi, a panna Howard — rozmyślać nad sposobami wyrwania pani Latter z apatii.

„Kiedy znowu zajmie się panienkami i interesami jak ja, nawet piękny mąż wywietrzeje jej z głowy — mówiła sobie. — Dziś rozumiem wszystkie niekonsekwencje tej

nieszczęśliwej... Naturalnie, bała się, ażeby mąż nie wrócił... Aha!... i wiem teraz, dlaczego jej grozi bankructwo... Wszystkie pieniądze, jakie wypracowała biedna niewolnica, musiała odsyłać do więzienia swemu panu. I otóż on jest bogaty, nikczemnik, a ona nie ma czym zapłacić za mieszkanie... Takie są korzyści małżeństw!...”.

Około ósmej wieczór panna Howard zaprosiła do siebie Madzię. Posadziła ją na krześle, sama usiadła tyłem do lampy, skrzyżowała ręce na piersiach i utkwivszy w przestrzeń blade oczy rzekła niby obojętnym tonem:

— Cóż, wie pani o przelożonej?

— Ach, wiem... — odparła strapiona Madzia.

— O tym, że jej mąż wrócił?...

— Tak.

— Że jest piękny... że był w więzieniu...

— Bardzo bogaty — wtrąciła Madzia.

— I że znowu rozstali się z sobą — ciągnęła panna Howard.

— Wszystko wiem.

— Od kogo?... pewnie od Marty. A to plotkarka!... przez pięć minut nie utrzyma sekretu.

— Ależ ona błagała mnie o tajemnicę — rzekła Madzia.

— Więc już nie mam pani co mówić o szczegółach, ale... Posłuchaj mnie, pani — prawiała natchnionym tonem panna Howard wznosząc rękę.

W tej chwili zapukano do drzwi i odezwał się głos Stanisława:

— Pani przelożona prosi pannę Brzeską... Poczta przysłała...

— Zaraz idę — zawołała Madzia. — (Pewnie list od mamy...)

— Posłuchaj mnie, pani — mówiła panna Howard przykuwając ją spojrzeniem. — Życie pani Latter jest nowym dowodem, co to za klęska dla samodzielnej kobiety — małżeństwo...

— Ależ tak!... (Może wyjadę na święta?...) — szepnęła Madzia.

— Bo pani Latter — ciągnęła panna Howard — była i jest pierwszą u nas emancypantką. Pracowała, rozkazywała, robiła majątek, jak mężczyzna.

— Ciekawam... — wtrąciła Madzia kręcąc się na krześle.

— Tak, to była pierwsza emancypantka, pierwsza samodzielna kobieta — deklamowała z zapalem panna Howard. — A jeżeli dziś jest nieszczęśliwą, to tylko przez męża...

— O, z pewnością!... (Ciekawam?...) —

— Mąż zatruwał jej godziny pracy, mąż odpędzał sen z jej powiek, mąż skalął nazwisko zbrodnią, mąż wyszał jej majątek, pomimo że był nieobecny...

Znowu zapukano do drzwi.

— Muszę iść — rzekła Madzia zrywając się z krzesła.

— Idź pani. — Ale pamiętaj, że jeżeli panią Latter, tę kobietę wyższą, kobietę przyszości, spotka w tych czasach jaka okropna katastrofa...

Madzia zatrzęsła się.

— Niechże Bóg bronil!... — szepnęła.

— Tak, jeżeli ją spotka jakie straszliwe nieszczęście, będzie to skutek powrotu jej męża. Bo mąż dla kobiety samodzielnej...

Madzia już wybiegła spiesząc do pani Latter.

„List od mamy!... list od mamy!... — myślała skacząc na schodach. — Może mama każe mi przyjechać na święta?... Jakby to było dobrze, bo mi tak straszno zostać tu... Biedna pani Latter z tym mężem”.

Wpadła do gabinetu i zastała przelożoną obok biurka z listem w ręku.

— Ach, Madziu, jakże długo trzeba czekać na ciebie!... — odezwała się pani Latter prawie ze złością.

Madzia zarumieniła się i zbladła.

— Spóźniłam się... — rzekła wylężniona. — Pewnie od mojej mamy list...

Pani Latter niecierpliwie skinęła ręką.

— Masz tu list od Ady Solskiej... Nie wypieraj się... Stempel wenecki, a adres przynię napisany...

Madzia zdziwiła się.

— Otóż chcę cię prosić — mówiła przełożona — ażebyś pozwoliła mi w twojej obecności przeczytać ten list...

— Ależ nie trwój się — dodała spojrzawszy na Madzię. — Jakie z ciebie dziecko!... Chcę przeczytać list, bo od Helenki przeszło tydzień nie mam wiadomości, i niepokoję się... Ach, jak oni wszyscy mnie szarpią... Zresztą — ty sama przeczytaj, ale głośno... Masz tu nożyk, przetnij kopertę... Jej ręce drżą!... Dzieciaku, dzieciaku... No, czytajże nareszcie!...

Madzia, oszołomiona niecierpliwością przełożonej, zaczęła czytać nic nie rozumiejąc: „Moja ty droga, moja jedyna — pisała panna Solska — chciałabym w tej chwili ciebie, was wszystkich, cały świat uściskać. Czy ty możesz wyobrazić sobie takie szczęście: Stefek wczoraj wyjechał z Wenecji szepnąwszy mi na wyjeźdźnym, że jest wyleczony, a Hela — wiadomość o jego wyjeździe przyjęła śmiechem! Nawet w tej chwili widzę ją z okna, jak płynie po Wielkim Kanale z rodziną państwa L., z pannami O. i gronem młodzieży. Jadą trzema gondolami, a robią hałas, jak gdyby płynęła flota turecka. Ach, Madziu...”

Madzia przerwała patrząc na przełożoną, która siedziała bez ruchu.

— Daj no mi... — rzekła szorstko pani Latter wyrwijając z rąk Madzi papier. Parę razy przeczytała początek, potem zmięła list i uderzyła nim o biurko.

— A niegodziwe!... — syknęła. — Jedna zabija mnie, a druga — cieszy się z tego... Czy mi wydarł kto mózg — krzyknęła — czy jaki zły duch powydzieriał ludziom serca ludzkie, a powstawał tygrysie?...

— Może by?... — wtrąciła Madzia.

— Czego?

— Pani taka zmieniona... ja podam szklankę wody... — zapytała Madzia drżąc całym ciałem.

— Ach, ty głupiutka dziewczyno!... — przerwała pani Latter z wybuchem. — Ona mnie wodą częstuje w chwili, kiedy odbieram wiadomość, że Solski porzucił Helenę... Nędznik!... Chociaż dlaczego on ma być lepszym od mojej własnej córki?... To potwór, to... Wychowałam, nie... wypieściłam ją na moją niedolę, okradłam się dla niej z majątku, a ona — jak mi płaci?... Gubi siebie, zakupuje przyszłość brata, a mnie — rzuca pod nogi człowiekowi, którym pogardzam i nienawidzę, jak nikogo na świecie... Czego się ty na mnie patrzysz?... — dodała.

— Ja... nic... — szepnęła Madzia.

— Przecie wiesz, że Solski szalał za tą przeklętą i ona go odtrąciła!... A chyba i to wiesz, że jestem zruj... że jestem w trudnym położeniu, że chcę wypocząć... wypocząć choćby tydzień... I ta, ta... córka jednym kaprysem przewraca... już nie tylko moje plany, ale możliwość bytu.

Zaczęła chodzić i załamywać ręce.

— Boże!... Boże... — szlochała Madzia czując, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Nagle pani Latter zatrzymała się nad jej krzesłem jakby uspokojona. Położyła rękę na jej głowie i rzekła łagodnym tonem:

— No, kochanko, nie płacz, przebac mi... Widzisz... nawet koń, gdy go rani ostroga, staje dęba... Jestem trochę prędka... boleśnie mnie raniono, więc... i ja rzuciłam się... Ależ to nie przeciw tobie...

— Mnie nie o to... — łkała Madzia. — Mnie tak przykro... tak strasznie przykro, że pani... jest...

Pani Latter wzruszyła ramionami i odparła z uśmiechem:

— W takim położeniu!... nie bierz tego dosłownie, kochanko, com mówiła... Cierpię, to prawda, ale... mnie nie można złamać, o nie!... Mam ja jeszcze rezerwy, które pozwolą mi i pensję podnieść, i Kaziowi skończyć edukację.

A Helenka — dodała oschłym tonem — musi przyjąć konsekwencję swoich kaprysów. Nie chciała być damą krociową, będzie od wakacyj damą klasową.

— Helenka? damą klasową?... — powtórzyła Madzia.

— Cóż w tym dziwnego?... Alboż ty nie jesteś ukochaną córką dla swojej matki, a jednak pracujesz? Wszyscy pracujemy i Helenka będzie pracowała, a to ją otrzeźwi... Ja dwojgu dzieciom już nie wydołam, a Kazio... musi skończyć edukację... musi zdobyć stanowisko, bo on kiedyś stanie się podporą dla mnie, dla Heleny, a może i dla innych... To jest materiał na człowieka w całym znaczeniu...



Madzia słuchała ze spuszczonymi oczyma.

— No, już idź, moje dziecko — rzekła spokojnie pani Latter. — Przebac mi, zapomnij o tym, coś słyszała, i zabierz list... To już nie była szklanka, ale konewka wody, którą się otrzeźwiłam... Helena i Solski!... Krociowy pan i córka baby utrzymującej pensję, także dobrana para... Muszę przyznać, że Helena ma więcej zimnej krwi ode mnie, skoro od razu, po takiej wielkiej katastrofie, popłynęła na spacer...

Kiedy Madzia pożegnała ją i wyszła, pani Latter chodząc ze skrzyżowanymi rękoma po gabinecie myślała:

„Tak, panie Arnoldzie, dam ci rozwód, ale nie za pięć tylko za dziesięć tysięcy twoich dolarów... Mogę wam nawet udzielić błogosławieństwa, ale — za dziesięć tysięcy. Jeżeli tobie wolno dbać o nazwisko dla twego podrzutka, ja muszę dbać o karierę dla mego syna. Nie dam mu zwichnąć przyszłości, nie, nie!...”

Madzia wróciła do siebie z bólem głowy i ubrana rzuciła się na łóżko. W opustoszałej sypialni oprócz niej były dwie uczennice i te nagadawszy się o wyjeździe na święta twardo zasnęły.

Wtem późno w nocy skrzypnęły drzwi sypialni i ukazała się w nich przysłaniając świecę ręką pani Latter. Miała na sobie ciemny szlafrok opasany sznurem. Twarz była trupioblada, czarne włosy splątane i najeżone, a w oczach, które z uporem wpatrywały się w jakiś punkt nie istniejący, widać było trwogę.

Rozgorączkowanej Madzi dzika myśl przeleciała przez głowę, że — pani Latter chce ją zabić... Więc zasłoniła twarz rękoma i czekała czując, że w niej serce zamiera.

— Śpisz, Madziu? — szepnęła pani Latter schylona nad jej łóżkiem.

Madzia nie odsłaniając twarzy ostrożnie otworzyła jedno oko i zobaczyła rękę pani Latter; między jej palcami przekradał się różowy blask świecy.

— Śpisz? — powtórzyła przełożona.

Madzia nagle usiadła na łóżku, aż pani Latter cofnęła się i oczy jej straciły swój okropny wyraz.

— Cóż tu u was, spokojnie... Już tylko dwie panienki śpią w tej sali... Co to ja chciałam powiedzieć?... co ja chciałam?... Nie mogę zasnąć... Aha, pokaż no mi list...

— Który? — spytała Madzia.

— Ten Ady.

Madzia odsunęła szufladkę stolika i wydobyla list, który leżał na wierzchu. Pani Latter zbliżyła go do świecy i zaczęła czytać:

— Ach, tak, to on... Wenecja... Masz, moje dziecko, twój list... Dobranoc.

I opuściła sypialnię, znowu zasłaniając światło, ażeby nie obudzić panienek. Ale te nie spały.

— Po co tu przysła pani przełożona? — rzekła jedna z nich.

— Przysła jak zwykle spojrzeć na nas — odparła Madzia hamując mimowolne dreszcze.

— Jak to dobrze, że ja jutro wyjeżdżam — szepnęła druga pensjonarka. — Już bym tu nie zasnęła.

— Dlaczego? — spytała pierwsza.

— Czy nie widziałaś, jak pani Latter strasznie wygląda?...

Umilkły. Madzia zaczęła się rozbierać ślubując, że na następną noc przeniesie się do innej sali.

Na drugi dzień lekcyj już nie było na pensji. Kilka uczennic zbierało się do wyjazdu na święta, te zaś, które miały zostać, korzystając z kwietniowej pogody wyszły z Madzią na spacer.

Ulice wyglądały wesoło, damy pozbywszy się zimowych strojów biegly uśmiechnięte z parasolkami w rękach, niedawny śnieg nie pozostawił ani śladu na ziemi, a na niebie bez chmury świeciło wiosenne słońce. Pensjonarki tak były zachwycone pogodą i ciepłem, iż na chwilę zapomniały, że one nie wyjeżdżają na święta.

Ale Madzia była zgnębiona. W sercu jej budziły się nieokreślone obawy, a w głowie krążyły niepowiązane zdania.

„Biedna ta pani Latter!... Dlaczego nie napisałam o niej do Ady?... Dlaczego nie poszłam do Dębickiego?... On jeden pomógłby nam...”

Potem przyszło jej na myśl, że jeżeli Solski zerwał z Heleną, to może nie pożyczyc pieniędzy jej matce, a i sama pani Latter nie mogłaby od niego przyjmować żadnej grzeczności! Lecz mimo te uwagi uparty szeptał w niej głos, że powinna rozmówić się z Dębickim o położeniu pensji.

Co mógł poradzić ubogi nauczyciel, z którym tak niegodziwie postąpiono na pensji? A jednak Madzię coś ciągnęło do niego i poszłaby tam natychmiast, choćby tylko zapytać Dębickiego o zdrowie i przynajmniej opowiedzieć mu o wszystkim, co od dawna mąciło jej myśli i szarpało serce.

Poszłaby, ale — było jej wstyd.

„Co by to za plotki mogły z tego wyrosnąć?” — mówiła przechodząc pod oknami domu, w którym mieszkał Dębicki.

„Nie wypada, nie wypada...” — powtarzała sobie tłumiąc przecucie, że jednak za to słówko „nie wypada” ktoś drogo zapłaci.

O tej samej godzinie pani Latter siedząc w gabinecie załatwiała rachunki z nauczycielami. W miarę jak który przyszedł, mówiła z nim o tym, że dzień jest bardzo piękny, następnie dawała mu do podpisania wykaz lekcji, które odrobił, podsuwała otwartą kopertę z pieniędzmi prosząc, aby je przeliczył, a nareszcie — polecała się jego łaskawym względom po świętach.

Zaden z interesantów, nie wyłączając księdza prefekta i lekarza Zarańskiego, którzy złożyli jej wizytę ostatni, nie zauważył u pani Latter nic szczególnego. Była mizerna i zmęczona, ale spokojna i uśmiechnięta.

Na dziedzińcu spotkał się ksiądz prefekt z doktorem i znowu pogadawszy z nim o pięknym dniu i o tym, czy nie wyjeżdża na święta — rzekł nagle:

— Tęgo się trzyma kobieta przy tych kłopotach!

— Kto ich nie ma! — odparł Zarański. — Zresztą pensja zawsze robi na mnie wrażenie bardzo kłopotliwej fabryki.

— Dobry sobie doktor — uśmiechnął się prefekt — pensję porównywać z fabryką... Tak, fabrykujemy dusze ludzkie!... A swoją drogą Latterowa w ostatnich czasach posunęła się.

— Nerwowa, zdenerwowana... — mruknął lekarz patrząc na swoje spodnie. — Wyśląbym ją na wakacje do morza, ale... ona nie uznaje medycyny. Żegnam kanonika!

— Wesołych świąt doktorowi — odparł ksiądz. — A mnie także trzeba na wakacje wysłać, tylko w takie miejsce, gdzie tanio i wesoło, niech doktor pamięta!...

— Do Ostendy!... — zawołał lekarz idąc w ulicę.

— Taki biedak jak ja?... — odpowiedział śmiejąc się ksiądz.

W tej chwili potrafił znajomego posłańca, który na przeprosiny pocałował go w rękę.

— O, jaki to nieuważny!... — rzekł ksiądz. — A gdzież pędzisz, bracie?

— Niosę list na pensję, do pani Latter.

— Od kogóż to?

— Od adwokata... Całuję rączki dobrodziejowi...

„Od adwokata?... — pomyślał prefekt. — Phy! lepiej mieć do czynienia z adwokatem aniżeli z doktorem i księdzem...”

I poszedł ulicą uśmiechając się do słońca.

## 28. WIADOMOŚĆ O SYNIE

W kilka minut później pani Latter otrzymała list, w którym jeden ze znanych adwokatów zawiadamiał ją, że pan Eugeniusz Arnold powierzył mu „wiadomą” sprawę i zostawił do dyspozycji pani Latter osiemset rubli, które w każdej chwili mogą być podniesione.

Pani Latter uśmiechnęła się.

— Pilno memu panu mężowi — szepnęła — ale trochę musi poczekać.

Odsunęła szufladkę i policzyła pieniądze.

„To dla służby — myślała dotykając jednej paczki — to dla nauczycielek... to na czas świąt... Gdybym miała jeszcze ze sześćset rubli, mogłabym na parę tygodni zamknąć usta gospodarzowi...”

Gdybym od adwokata wzięła te osiemset rubli?... Aha, zaraz!... On natychmiast dałby znać memu mężowi, a ten — swojej nałożnicy... Nie, kochankowie!... pomęczcie się...”

Nagle zerwała się od biurka z zaciśniętymi pięściami:

— A niegodziwa Hela, przekłeta!... Mnie zmusić do spełnienia życzeń pana Lattera, bratu zawiązać przyszłość... Nie, mam tylko jedno dziecko: mego syna... A ty, potworze, zostaniesz guwernantką. I może w najlepszym razie będziesz kiedyś za pieniądze uczyła dzieci tego nędznika Solskiego, które powinny być twoimi dziećmi... Święta prawda, że każdy jest kowalem swego losu...

Zadzwoiła i kazała zawołać pannę Martę. A gdy gospodyni weszła na palcach, robiąc minę pensjonarki, rzekła:

— Cóż ten Żyd, jest?

— Jaki Żyd?... — spytała Marta. — Fiszman?...

— No, Fiszman.

— Myślałam, że już niepotrzebny — szepnęła gospodyni spuszczać oczy.

Teraz panią Latter ogarnęło zdumienie.

— Dlaczego?... — zapytała z gniewem. — Przecież wczoraj po obiedzie prosiłam panią, ażeby mi go sprowadzić... Czy sądzi pani, że w ciągu nocy wygrałam na loterii?...

— Zaraz go zawołam — odparła zawstydzona gospodyni i dygnawszy znowu po pensjonarsku, wyszła.

„Co to znaczy? — myślała pani Latter. — Jakie miny wyrabia ta kucharka?... Czyby już wiedzieli o powrocie mego męża i o pieniądzech?”

Zawołała Stanisława i rzekła ostrym tonem:

— Słuchaj no, spojrzysz mi w oczy...

Siwy lokaj spokojnie wytrzymał jej ogniste spojrzenie.

— Ktoś mi tu... papiery przewraca — objaśniła go pani Latter.

— Nie ja — odparł.

— Spodziewam się. Możesz odejść.

„Wszyscy mnie szpiegują — mówiła do siebie pani Latter, szybko chodząc po gabinecie. — On także... Nieraz przecie łapałam go na podsłuchiwanie... — Jestem pewna, że i wczoraj podsłuchiwał, ale — mówiliśmy po francusku”.

— Nieszczęśliwa jestem... biedna moja głowa!... — dodała półgłosem, chwytając się za głowę.

Potem poszła do sypialni i wypila kieliszek wina drugi dzisiaj.

— Ach, jak to uspakaja!... — szepnęła.

O pierwszej przyszedł Fiszman. Był to stary Żyd, nieco zgarbiony, w długim surducie. Nisko uklonił się pani Latter i spod oka przypatrywał się sprzętom.

— Potrzebuję sześćset rubli na miesiąc — rzekła czując, że krew uderza jej do głowy.

— Kiedy pani potrzebuje? — zapytał po namyśle.

— Dziś, jutro... za parę dni.

Żyd milczał.

— Cóż to znaczy? — spytała zdziwiona pani Latter.

— Ja dziś nie mam sześćset rubli, a odbiorę może za dwa tygodnie.

— Więc po co tu przyszedłeś!...

— Bo mam takiego znajomego, co by i dziś pożyczył, ale on chce zastawu — odparł Żyd.

Pani Latter zerwała się z fotelu.

— Oszalałeś!... — krzyknęła. — Więc ja na mój podpis nie dostanę sześćset rubli? Chyba nie wiesz, kto jestem?

Fiszman zmieszał się i rzekł tonem perswazji:

— Przecie pani wie, że ja nieraz dawałem na pani podpis. Ale dziś nie mam, a ten znajomy chce zastawu.

Pani Latter cofnęła się i patrzyła na niego nie rozumiejąc, co powiedział.

— Na czyj podpis?... — spytała.

— Na pani, pani Karoliny Latter, jak pani ręczyła za pana Norskiego.

Pani Latter pociemniało w oczach. Nagle schwyciła go za klapę surduta i zawołała chrapliwym głosem:

— Kłamiesz... kłamiesz!...

— Co pani mówi?... — odparł oburzony, wydzierając się jej z rąk. — Pani nie poręczała weksli pana Norskiego?

Pani Latter zbladła, zawahała się, lecz po chwili rzekła stanowczym głosem:

— Tak, poręczałam weksle mego syna nieraz... Ale nie pamiętam pańskiego nazwiska. Fiszman spojrzął na nią spod zaczerwienionych powiek.

— To wszystko jedno. Ale weksle ja kupowałem.

— Masz pan jeszcze jaki?... — spytała ciszej.

— Nie. Pan Norski dwudziestego piątego marca wykupił ostatni.

— Ach, tak... Ile tam było?

— Trzysta rubli.

— Aha... Kiedyż to on był wystawiony?

— W styczniu — odparł Żyd.

— Ach, ten?... Nie wiedziałam, że pan bierzesz takie duże procenta.

Żyd patrzył na nią z politowaniem. Weksel był nie na trzysta, tylko na dwieście rubli, wystawiony nie w styczniu, lecz w końcu lutego. To znaczy, że pani Latter nie wiedziała o niczym, a więc i nie poręczała weksli.

— To się zdarza — mruknął.

— Co?

— Że poręczyciel może nie wiedzieć nazwiska wierzyciela... Wszystko jedno, byle było zapłacone — mówił Fiszman.

Pani Latter ciężko odetchnęła.

— Możesz pan odejść — rzekła.

— A te sześćset rubli, co pani chciała?

— Nie dam zastawu.

— Może ja do jutra wystaram się bez zastawu — odparł. — Ja przyjdę jutro.

Wyszedł zostawiając osłupiałą panią Latter. Gdyby nie zapach starego kitu, który jeszcze czuć było w gabinecie, nie wierzyłaby, że przed chwilą stał tu człowiek, który miał w rękach weksle jej syna, poręczane przez nią!

To, o co posądzała swego drugiego męża zrobił — syn, dziecko ubóstwiane, na którym opierała ostatnią nadzieję, którego wielkie czyny i sława miały wynagrodzić bóle jej życia wypełnionego goryczą.

Myśląc tak, nie czuła pretensji do Kazimierza.

Czuła tylko, że jej siły są wyczerpane i że za wszelką cenę chce spokoju. Nawet nie na długo, bodaj parę dni, byle przez ten czas nikogo nie widzieć, z nikim nie rozmawiać, o wszystkim zapomnieć. Gdyby istniał jaki sposób pogrążenia się w letarg, pani Latter użyłaby go.

— Ciszy... spokoju!... — szeptała leżąc z zamkniętymi oczyma na kanapce. — Gdybyżem ja mogła zasnąć...

Stanisław, który siedząc w przedpokoju wiedział o każdym ruchu swej pani, zatrwożył się długim milczeniem i wszedł. Drgnęła i rzekła:

— Czego chcesz?

— Zdawało mi się, że pani woła.

— Idź sobie i niech ci się nic nie zdaje — odpowiedziała zmienionym głosem.

Stanisław poszedł do panny Marty na naradę. W kwadrans pani Latter usłyszała pukanie do drzwi głównych.

— Kto tam?

— Ja — odpowiedziała wchodząc pensjonarka z czwartej klasy.

— Zaraz wyjeżdżam i przysłam panią pożegnać...

Błąd pani Latter podniosła się z kanapki i ucałowała dziewczynkę.

— Życzę ci wesołych świąt, moje dziecko...

— Mama kazała przeprosić panią przełożoną, że za ten kwartał odda dopiero po świętach...

— Dobrze, moje dziecko...

— I jeszcze kazała mama prosić...

— Dość, moje dziecko...

— O te lekcje muzyki...

— Zlituj się!... — Pogadamy o tym po świętach — przerwała pani Latter delikatnie odsuwając ją.

Dziewczynka załapała się łzami i wybiegła z gabinetu. Pani Latter znowu upadła na kanapkę.

Okolo drugiej cichutko wsunęła się panna Marta.

— Proszę pani — szepnęła — ja każę dla pani zrobić filiżankę bulionu na obiad i...

— Na miłosierdzie boskie, panno Marto — przerwała pani Latter — zostawcie mnie w spokoju...

— Bo dziś, proszę pani, jest zupa kartoflana...

— Spokoju chcę, panno Marto, spokoju... — jęknęła pani Latter.

Zostawiono ją w spokoju, więc leżąc zasłoniła oczy rękoma i myślała:

„Po co ja kazałam sprowadzić tego Fiszmana?... Czyja to intryga, że właśnie on przyszedł i powiedział o wekslach?... Marta go sprowadziła, dlaczego? Marta chodziła do Szlamsztejna? Bo mnie zabrakło pieniędzy, ponieważ Kaziowi dałam tysiąc trzysta rubli za granicę!... Straszny łańcuch wydarzeń... drobnych wydarzeń, które jednak zdruzgotwały mi duszę... Zdrowaś Maria, łaski pełna...”

Zerwała się, błędnym wzrokiem obrzuciła gabinet, jakby lękając się zobaczyć w nim coś nadzwyczajnego i — znowu położyła się. Kilka minut leżała nie ruszając się, nie czując, nie myśląc, lecz znowu w jej duszy potoczył się prąd bolesnych marzeń.

„On nie winien, to ja jestem winna... Dlaczego nie wychowałam go w pracy, jak wychował się choćby ten... Kotowski?... Wreszcie — błąd młodości; czy to jeden robił nawet gorzej i poprawił się... Taki dzieciak mówi sobie: ja i matka jedno jesteśmy i — podpisuje matkę, z góry wiedząc, że nie odmówiłabym mu... Naturalnie głupstwo, ale po co Żyd powiedział mi to, po co?... Przecież weksle wykupione, nic się nie stało, więc dlaczego powiedziano mi o tym, dlaczego?... Boże!... jakżeś Ty świat stworzył, że na nim wszystko wspiera się dla zniweczenia ludzkiego spokoju... Jeszcze dziś z rana było mi tak dobrze...”

Nagle z łoskotem otworzyły się drzwi i wpadła zaperzona panna Howard wołając:

— Niechże pani będzie łaskawa, idzie na górę i wytłumaczy tym gąsiątkom, że one muszą jeść zupę kartoflaną, jeżeli ja ją mogę jeść...

Pani Latter zerwała się. W oczach zrobiło się jej ciemno, w uszach zaszumiało i — zamachnęła rękoma jak człowiek, który gdzieś spada.

— Co to jest?... — spytała po chwili zatrwożona nie widząc poza czarnymi płatkami panny Howard.

— Te smarkate zrobiły bunt przy obiedzie i nie chcą jeść zupy kartoflanej — mówiła uczona osoba. — Niechże pani pójdzie do nich i użyje swojej powagi...

— Ja?... — spytała blada jak ściana pani Latter. — Ależ ja jestem chora... taka chora...

— Pieści się pani!... Cóż to znowu? Trzeba otrząsnąć się z apatii i podnieść głowę, jak przystało na kobietę samodzielną... No, niech się pani przemoże... błagam panią... — mówiła panna Klara wyciągając do niej rękę.

Pani Latter wtuliła się w głąb kanapki jak przelęknione dziecko.

— Na miłość boską — odparła drżącym głosem — zostawcie mnie w spokoju... Cierpię tak, że chwilami odchodzę od przytomności...

— W takim razie przyszlę pani doktora.

— Nie chcę doktora...

— No, bo coś trzeba robić... Trzeba trochę panować nad sobą — mówiła tonem wyższości panna Klara. — Taki upadek ducha...

— Precz!... — krzyknęła pani Latter wskazując jej ręką drzwi.

— Co?...

— Precz!... — powtórzyła chwytając brązowy lichtarz.

Twarz panny Klary zrobiła się popielatą.

— Wyprowadzam się — syknęła — i nie pierwej wrócę, aż *ciebie* tu nie będzie...

Trzasnęła drzwiami, a pani Latter upadła na podłogę i zanosząc się od płaczu szarpała dywan.

Wbiegł Stanisław, za nim gospodyni, jedna z nauczycielek, nareszcie Madzia. Podniesiono panią Latter i otrzeźwiono. Powoli uspokoiła się i kazała wszystkim odejść, z wyjątkiem Madzi.

— Zaczekaj tu — rzekła po chwili.

Wyszła do swej sypialni i w kilka minut wróciła tak spokojna, że Madzia krzyknęła ze zdziwienia. Ani śladu strasznego ataku, tylko zmięta suknia i zamglone oczy przypominały, że jest to ta sama pani Latter, która kwadrans temu tarzała się z bólu na podłodze.

„Jezus Maria! jakaż to silna kobieta!...” — pomyślała Madzia.

Pani Latter zbliżyła się do niej i wzięwszy ją za rękę rzekła cicho:

— Słuchaj... Ale przysięgnij, że mnie nie zdradzisz...

— Czy może pani przypuścić?... — wyjąkała przestraszona Madzia.

— Otóż — mówiła pani Latter — ja wyjeżdżam... Zaraz wyjeżdżam stąd... A ty musisz mi pomóc...

— Ależ pani...

— Nic nie protestuj, nie spieraj się... bo jak pragnę szczęścia dzieci, zabiję się w twoich oczach — mówiła pani Latter.

— Gdzież pani chce jechać?

— Wszystko jedno... gdziekolwiek... do Częstochowy, do Piotrkowa, do Siedlec... Nie jadę na długo, na parę dni, ale... choćby przez jedną dobę nie chcę widzieć pensji i jej ludzi... Powiadam ci: gdybym została jeszcze parę godzin, zabiłabym się albo oszalałabym. A tak, wyjadę na dzień... dwa... oderwę się od tej tortury... zbiorę myśli...

Zaczęła ścisnąć i całować nauczycielkę.

— Ty mnie zrozumiesz, Madziu — mówiła. — Przecież nawet zbrodniarzy niekiedy rozkuwają z łańcuchów i wypuszczają na świeże powietrze... A ja zbrodniarką nie jestem... Pomóż mi więc, jakbyś pomogła twojej matce... Ty jedna w tym piekle masz serce dziecka... tobie jednej mogę powiedzieć, że... chyba Bóg mnie przeklął...

— Co pani mówi?... niech się pani uspokoi... — błagała Madzia usiłując upaść jej do nóg.

Pani Latter podniosła ją i posadziła obok siebie.

— Zlituj się nade mną, dziecko moje, i chciej wyrozumieć. Jestem w trudnym położeniu, a nie mam nikogo... nie tylko, ażeby poradzić się, ale nawet ażeby wypłakać, co mnie boli. Pozostaje tylko mój rozum i własna wola. Tymczasem ja tu stracę rozum... Ot i w tej chwili wydaje mi się, że ściany pokoju gną się... że podłoga zapada podę mną... Tak się boję... taki mam wstręt do tego mieszkania i ludzi, że muszę gdzieś uciec... Na jeden dzień, Madziu, na jeden dzień uwolnij mnie... a przy śmierci błogosławić cię będę... Pomożesz?...

— Tak — szepnęła Madzia.

— Więc idźmy.

Poszły do sypialni, gdzie pani Latter z pośpiechem przebrała się w kortową suknię. Potem do torby podróżnej włożyła koszulę i ręcznik, a nareszcie — butelkę wina i kieliszek.

— Patrz na moją niedolę, Madziu — mówiła ocierając łzy. — Jeżeli nie wyrwę się stąd, nie odpocznę... grozi mi pijaństwo!... Wyczerpałam się tak, że bez wina nie mogę się obejść jak człowiek chory na tyfus. Na nieszczęście nie ma dość mocnego narkotyku, który by zgłuszył gorycz, jaką nas ludzie zatruwają...

O, człowiek, cóż to za podłe zwierze! Kiedy przychodzi na świat, modlisz się jak do cherubina, z którego po kilkunastu latach wyrasta potwór... Czy jest dziecko, którego nie kapałaby matka łzami, nie otaczała pieścotami?... Dla niej ono niebem, wiecznością, Bogiem, a co potem?... Prędzej czy później zdarzy się wypadek, że matka nie pozna swego płodu i doświadcza takiego zdumienia, jak gołąb, któremu skradziono by piskłę, a podrzuciono ropuchę...

— Pani nie powinna tak mówić... — wtrąciła Madzia; lecz umilkła, zawstydzona własną śmiałością.

Pani Latter spojrzała na nią wzrokiem, w którym była ciekawość i prośba.

— Mów, mów... — rzekła. — Dlaczego nie powinnam?...

— Bo przecież to nie jest występek, że Helenka nie chce iść za pana Solskiego, jeżeli go nie kocha. Bez miłości...

— Bez miłości, mówisz, nie warto iść za męża — przerwała jej pani Latter. — A z miłością, sądzisz, że warto?... Oj, dziecko, dziecko... znam kobiety, które wychodziły za męża z miłości i co z tego?... Kupowały sobie wrogów w czasach pomyślnych, zdrajców w porze

walki o chleb, a szyderców w niepowodzeniu. Powiem ci, co jest miłość: wyjść za mąż bogato i spisać intercyzę...

Jezus Maria!... — szepnęła nagle, wyciągając przed siebie ręce.

— Co pani?...

— Zaczekaj!... Już przechodzi... Ach, jakie to straszne!... Chwilami zdaje mi się, że się dom wali... Gdybyś widziała te ściany, kiedy się gną... Muszę stąd uciec... nie wytrzymam...

Usiadła, odpoczęła i mówiła złamanym głosem:

— Ja wiem, że to są przywidzenia, ale nie mogę się oprzeć... Rozumiem mój stan, ale już nie panuję nad sobą... Trzeba być wariatką, ażeby gniewać się na uczennicę, która nas żegna, na Martę, kiedy częstuje bulionem, na te wbiegania co pół godziny do mego pokoju... Przecież od kilkunastu lat dzieje się to samo, ciągle ktoś wpada... Ale dziś — już nie mogę wytrzymać. Każdy szmer, wyraz, każda twarz ludzka są jak rozpalone sztylety, które mi w mózg wbijają... Muszę jechać, bo tylko to mnie ocali...

Okolo szóstej niebo zachmurzyło się i zrobił się zmrok.

Pani Latter naprędce napisała kilka wyrazów do Zgierskiego i kazała Stanisławowi odnieść list. Potem szybko włożyła kapelusz i zarzuciła na siebie okrycie prosząc Madzi, ażeby tylnymi schodami wyniosła jej torbę na ulicę.

W kilka minut, niepostrzeżone przez nikogo, spotkały się niedaleko Kopernika. Pani Latter wskoczyła do dorożki, kazała Madzi usiąść obok siebie, a woźnicy — jechać do kolei warszawsko-wiedeńskiej.

— Masz tu klucze od biurka — mówiła do Madzi. — Ach, jak mi lekko!... Jest tam kilkaset rubli. Powiesz, że wyjechałam na parę dni... Ja także chcę mieć wakacje. Dopiero w tej chwili czuję, że będę zdrowa, choć jeszcze kłaniają mi się kamienice... Ale to drobiazg!... Gdy odetchnę i powrócę — wszystko się zmieni, a tobie, Madziu, zrobię propozycję... Kto wie, może jeszcze będziesz kiedy przełożoną?...

„Niechże mnie Bóg broni!...” — pomyślała Madzia.

— Oto wszystko — mówiła pani Latter. — A teraz, do widzenia!... Wsiądź z dorożki, nie wracaj zaraz na pensję, a gdy wrócisz — mów, co ci się podoba. Wybornie udał mi się figiel...

Kazała dorożkarzowi stanąć i uściśnęła Madzię.

— Wsiadaj, wsiadaj... Bądź zdrowa!...

Po chwili zniknęła dorożka zostawiając na rogu ulicy osłupiałą Madzię.

## 29. POMOC GOTOWA

Odurzenie Madzi trwało niedługo, tym bardziej że na ulicy zaczął krążyć jakiś młody człowiek, prawdopodobnie z zamiarem ofiarowania jej swoich usług i serca. Ocknęła się, a w głowie jej wyraźnie zarysowały się dwie myśli: pierwsza — że pensja pani Latter jest zgubiona, druga — że w takiej chwili trzeba iść do Dębickiego.

Co on mógł poradzić?... absolutnie nic. Ale Madzia czuła, że jest jakieś wielkie niebezpieczeństwo i że w podobnych chwilach trzeba chronić się do człowieka uczciwego. W jej zaś oczach Dębicki był najuczciwszym z ludzi, jakich знаła. Ten ubogi, schorowany, wiecznie zakłopotany nauczyciel wyrósł na niebotyczną skałę. Jeżeli zastanie go w domu — jest ocalona; gdyby przypadkiem wyjechał, Madzi pozostawało chyba — utopić się...

Już nie chodziło jej ani o pensję, ani o panią Latter, ale o samą siebie. Potrzebowała usłyszeć dobre słowo z ust prawego człowieka, a przynajmniej spojrzeć na jego twarz i uczciwe oczy. Teraz on był najmędrszym, najlepszym, najpiękniejszym, on, jedyny człowiek, któremu w podobnej sytuacji można bezwzględnie ufać.

Wsiadła w dorożkę i kazała zawieźć się do pałacu Solskich. Zadzwoiła do sieni — nie otwierano; więc poczęła dzwonić dopóty, aż w sieni rozległo się powolne stąpanie. Zakręcono kluczem i w uchylonych drzwiach ukazał się stary człeczyna mający potężne brwi, a na głowie kilka kęp siwych włosów.

— Pan Dębicki jest? — zapytała.

Stary rozłożył ręce ze zdziwienia, lecz wskazał jej drzwi na prawo. Madzia wpadła tam i w dużym pokoju, przy lampie z zielonym daszkiem, zobaczyła Dębickiego. Siedział przy stole i pisał.

— Ach, panie profesorze — zawołała Madzia — jak to dobrze, że pan jest!...  
Dębicki podniósł na nią jasne oczy, ona zaś rzuciła się na fotel i zaczęła szlochać.  
— Tylko niech się pan nie niepokoi — mówiła. — To nic... jestem trochę rozstrojona... O, żeby tylko pan nie zachorował... W tej chwili odprowadziłam panią Latter... Wyjechała!...

— Na święta? — spytał Dębicki wpatrując się w Madzię. A w duchu dodał:  
„Zawsze musi być jakaś komedia z tymi babami!...”

— Nie na święta... Prawie uciekła!... — odparła Madzia.

I w sposób zwięzły, co niesłychanie dziwiło Dębickiego, opowiedziała mu o nagłej chorobie pani Latter, o powrocie męża, o możliwym bankructwie pensji...

Dębicki wzruszył ramionami: słyszał wszystko, lecz niewiele rozumiał.

— Proszę pani — rzekł — do mnie o to nie można mieć pretensji. Ja prawie nigdzie nie wychodzę i nie mam zwyczaju wypytywać o cudze interesa... Ale pieniądze dla pani Latter są...

— Jakie pieniądze?...

— Cztery... pięć... do dziesięciu tysięcy rubli... Pan Stefan Solski na żądanie panny Ady Solskiej taką sumę zostawił do dyspozycji pani Latter, gdyby kiedy znalazła się w kłopotach finansowych... No, ale ja, jak się pani domyśla, o jej położeniu nie mogłem wiedzieć.

— Zostawił?... Ależ on zerwał z Helą! — zawołała Madzia.

— Zerwał!... — powtórzył Dębicki machając ręką. — W każdym razie przed tygodniem jeszcze raz przypomniał mi o pożyczce dla pani Latter, gdyby potrzebowała.

— Ona nie przyjęłaby od pana Solskiego — rzekła Madzia.

— Znaleźlibyśmy kogo innego, jakąś współpracowniczkę czy nabywczynię pensji... Ale z panią Latter ciężka sprawa...

Madzia spojrzała na niego pytająco.

— Proszę pani — mówił zakłopotany — sprawa jest ciężka z tego względu, że pani Latter niczego nie uznaje prócz własnej woli...

— Nadzwyczajna kobieta! — wtrąciła Madzia.

Dębicki zaczął targać sobie resztki włosów i patrząc na stół mówił:

— Tak, to energiczna osoba, ale — przepraszam panią — energiczna po kobiecemu. Jej się wydaje, że to, czego ona chce, powinno być prawem natury... a tak przecie nie można... Nie można prowadzić pensji drogiej, kiedy kraj zubożał i powstało mnóstwo pensyj tańszych... Nie wypada wysyłać dzieci za granicę, kiedy się nie ma pieniędzy... Niepodobna, ażeby jedna kobieta pracowała na trzy osoby, z których każda lubi dużo wydawać...

— Ale pan Solski pożyczy dziesięć tysięcy rubli? — wtrąciła Madzia.

— Tak... tak... To może być zrobione każdej chwili, jutro, dziś... No, ale on, a raczej ta osoba, która będzie układać się z panią Latter, postawi swoje warunki...

— Boże, Boże!... dlaczego ja nie przyszedłam do pana tydzień temu — mówiła Madzia składając ręce.

— Proszę pani — odparł — według mego zdania, to wszystko jedno. Złe tkwi nie w braku pieniędzy, ale — w usposobieniu pani Latter, która... doprawdy — jest troszeczkę za energiczna i lubi iść przebojem... A tak nie można... Człowiek musi uznać prawa natury czy innych ludzi, gdyż inaczej rozbije się dziś albo jutro.

— Więc według pana kobiety nie powinny być energiczne?... — nieśmiało wtrąciła Madzia.

— Owszem, pani: wszyscy ludzie powinni mieć rozum, serce i energię, tylko — nie za dużo rozumu, nie za dużo serca, nie za wiele energii... Bo co innego jest ustępowanie wszystkiemu i wszystkim, a co innego — narzucanie swojej osobistości. Co innego ślamazarna bierność, a co innego nieuznawanie żadnych praw poza swoimi interesami czy kapryсами.

Madzi było przykro słuchać tego o pani Latter, lecz — wierzyła Dębickiemu, a nade wszystko czuła, że on panią Latter scharakteryzował surowo, ale dokładnie. W każdym jej słowie, ruchu, postawie, nawet kiedy była najłagodniej usposobiona, odzywało się: „Ja tu jestem, ja tak chcę...”

Ale mając inny charakter może nie zostałaby kierowniczką setek osób.



— Więc, proszę pana, te dziesięć tysięcy rubli... — odezwała się Madzia.

— No, zaraz dziesięć!... — uśmiechnął się Dębicki. — Naprzód zobaczymy, ile potrzeba? Szkoda, że dowiedziałem się tak późno, ale — nic straconego. Po powrocie pani Latter zgłosi się do niej ktoś z propozycjami i — będzie dobrze.

Madzia uszczęśliwiona pożegnała Dębickiego. Jaka ona była dumna, że to przez nią, przez taki proszek jak ona, spłynie pomyślność na panią Latter, która nawet nie domyśli się, kto jej oddał usługę. A jak żałowała, jak ciężkie robiła sobie wyrzuty, że nie przyszła tu wcześniej...

— Swoją drogą — mówiła — gdyby Dębicki został na pensji profesorem, nie byłoby tych kłopotów...

I w tej chwili ogarnął ją strach: zrozumiała bowiem, co znaczy logika faktów... Tak, na świecie nic nie ginie, a drobne błędy, nawet zapomniane, z czasem odzywają się i ciężko ważą na życiu.

Kiedy wróciła na pensję, wbiegła do ciemnej sali za swój szafrowy parawanik; tam uklękła i chciała modlić się na podziękowanie Bogu, iż ją zrobił narzędziem łaski nad panią Latter. Lecz że do głębi wzburzona jej dusza nie znajdowała słów podzięką, więc Madzia biła się w piersi szepcząc: „Boże, bądź miłościw nam grzesznym...”.

Pobożne jej skupienie trwało krótko. Wnet bowiem drzwi uchyliły się i do ciemnej sypialni wpadł strumień światła, na którego tle zarysowało się kilka głów i główek. Jednocześnie rozmawiano:

— Przynies lampę...

— Może rozgniewa się...

— Czy tu jest panna Magdalena?...

Madzia wyszła zza parawanu; a gdy o tyle zbliżyła się do drzwi, że można ją było dojrzeć, gromadka osób stojących na korytarzu szybko cofnęła się ku schodom. Przy czym rozległ się głos panny Marty:

— A to tchórz ze Stanisława... Niby mężczyzna i najpierwszy ucieka...

— Co to jest?... — zapytała zmieszana Madzia zatrzymując się na progu sypialni.

Wtedy wszyscy przybiegli z powrotem i w jednej chwili otoczyły Madzię pensjonarki, damy klasowe i służba patrząc na nią wylęknionymi oczyma i rozprawiając tak bezładnie, że nic zrozumieć nie mogła.

— Gdzie pani przełożona? — pytała jedna z pensjonarek.

— Nam się należą zasługi!... — wtrąciła pokojówka.

— Co ja jutro dam jeść panienkom? — wołała gospodyni.

— Tu już był pan rządca i rewirowy... — dorzucił Stanisław.

Pod Madzią zachwiały się nogi.

„Czy oni mnie o co posądzają?...” — myślała przerażona.

Szczęściem, z drugiego końca korytarza nadbiegła panna Howard w białym peniuarze, z rozpuszczonymi płowymi włosami i roztrąciwszy zebranych schwyła Madzię za rękę.

— Chodź, pani, do mnie — rzekła. — A wy — dodała surowo — na swoje miejsca!... Ja zastępuję przełożoną i gdy będzie potrzeba, dam objaśnienia.

W pokoju panny Klary Madzia upadła na krzesło i przymknęła oczy. Jej też zdawało się, że ściany wyginają się, a podłoga drży pod nogami.

— No i cóż ta nieszczęśliwa?... Gdzież ona jest?... — zaczęła zniżonym głosem panna Howard.

— Pani Latter wyjechała...

— Tylko mi pani tego nie mów, panno Magdaleno.

— Ależ z pewnością wyjechała.

— Dokąd?...

— Czy ja wiem?... Zapewne do Częstochowy, ale za parę dni wróci.

Panna Howard zastanowiła się.

— To być nie może, ona jest w Warszawie. A ponieważ rozumiem, dlaczego opuściła pensję, ponieważ ja jedna mogę ją skłonić do powrotu...

— Pani?... — spytała Madzia.

Panna Howard stanęła na środku pokoju w pozie dramatycznej.

— Posłuchaj, pani — mówiła głębszym niż zwykle kontraltem, wznosząc oczy na wysokość oberlichtu. — Kiedy te smarkate zbuntowały się dziś z powodu zupy kartoflanej,

poszłam do pani Latter i chciałam ją rozbudzić z apatii... Była rozdrażniona, posprze-  
czyaliśmy się, a ja powiedziałam jej, że opuszczam pensję i nie wrócę, dopóki — ona tu  
będzie... Teraz pojmujesz?... Pani Latter znalazła się wobec jednej z dwu alternatyw: albo  
mnie przeprosić, albo usunąć się z pensji. No, i wybrała to drugie, szalona, lecz dumna  
kobieta...

Madzia otworzyła oczy i usta. Panna Howard zaczęła spacerować po swoim ciasnym  
pokoju i mówiła dalej:

— Domyślasz się, pani, że odniósłszy takie zwycięstwo nie okazać się okrutną. Nie  
chcę, ażeby upokarzała się przede mną kobieta samodzielna i mimo błędów o całe niebo  
wyższa nad zwykły poziom. Nie pytam więc, gdzie się obecnie ukrywa, lecz proszę panią,  
ażebyś zobaczywszy się z nią powiedziała jej te słowa:

„Panna Howard zostaje na pensji, panna Howard wszystko puściła w niepamięć. Sądzi  
bowiem, że obie panie zajmujecie zbyt podniosłe stanowiska, ażebyście walcząc ze sobą  
miały przyczynić się do triumfu przesądów!...”

To niech jej pani powie, panno Magdaleno — kończyła. — A gdy wróci na pensję,  
sama wyjdę naprzeciw niej i milcząc pierwsza podam jej rękę. Są chwile w życiu ludzkim,  
panno Magdaleno, podczas których milczenie zastępuje najwznioślejszą mowę.

W tym momencie łącząc praktykę z teorią, panna Howard przystąpiła do Madzi,  
mocno uściśnięła ją za rękę i — milczała. Ale milczała zaledwie kilka sekund. Wnet za-  
częła opowiadać Madzi, że pomywaczka spostrzegła z okna wyjście pani Latter, że jakiś  
posłaniec widział panią Latter, jak z kufrem i z drugą panią jechała dorożką, że z tych  
poszlak gospodyni, panna Marta, domyśliła się, iż pani Latter ucieka, i że skutkiem tego  
w kwadrans po opuszczeniu pensji przez panią Latter cała kamienica i dwie sąsiednie  
kamienice dowiedziały się, że — pani Latter uciekła przed wierzycielami.

W tej chwili Madzi zaczęło się kręcić w głowie, opanował ją strach, zbrzydła jej Marta,  
panna Howard, pensja...

Teraz odczuła cierpienia pani Latter i jej niepoohamowane pragnienie ucieczki gdzieś  
tak daleko, gdzie nie dolatywałyby nawet wieści o tych osobach i stosunkach.

### 30. RÓJ PO ODLOCIE MATKI

Tej nocy Madzia wcale nie spała, trapiąca złymi przeczuciami co do własnej przyszłości.  
Co niebawem zaczęło się potwierdzać.

Z rana przyszedł do niej, do niej samej, rewirowy i począł wypytywać: gdzie wyjechała  
pani Latter, o której godzinie, jaki był numer dorożki i czy z pewnością skierowała się  
ku dworcowi warszawsko-wiedeńskiemu? Rewirowy zadawał pytania w sposób łagodny;  
niemniej jednak jego pałasz i zakręcone wąsy były dla Madzi stanowczym dowodem, że  
popęlniła zbrodnię, za którą zostanie okuta w kajdany i wrzucona do lochu tak głębokiego,  
jak wieża ratuszowa jest wysoka.

Ledwie wyszedł rewirowy udając, że nie ma zamiaru okuć Madzi w kajdany i wrzucić  
do podziemnych pieczar, aliści ukazał się — rządcą domu. Ten znowu zwrócił się do Madzi  
i znowu zaczął ją wypytywać: gdzie wyjechała pani Latter? czy mówiła, że ma zamiar  
powrócić? czy nie wspomniała o kwalifikacji do paszportu i o zapłaceniu za komorne?  
Rządca nie miał wprawdzie wąsów ani pałasa, ale był zezowaty, co Madzi nasunęło myśl,  
że pewnie ją pociągną do zapłacenienia komornego, dzięki czemu z owych trzech tysięcy  
rubli, które jej zapisała babcia, nie zostanie ani jednego grosika.

Jeszcze rządca nie ukończył badań, gdy zjawił się niespokojny — gospodarz domu.  
Ten również zaczął Madzię, lecz nie pytając, gdzie pojechała pani Latter, zaczął od razu  
narzekać, że straci część komornego, ponieważ wszystkie meble są podobno własnością  
pana Stefana Zgierskiego, z którym może być zawikłany proces.

Zdziwiona tym odkryciem Madzia była pewna, że nie tylko przepadną jej pieniądze  
po babci, ale że nienasycony gospodarz na zaspokojenie komornego każe przyaresztować  
jej toaletkę, serwetkę i brązowy lichtarz ze szklaną profitką.

W ciągu tych ciężkich godzin wprawdzie niekiedy przypominała sobie, co powie-  
dział Dębicki, że pani Latter w każdej chwili może mieć pieniądze. Lecz wspomnienie to  
wydawało jej się snem wobec realnych wąsów rewirowego, krzywych oczu rządcy domu  
i niepokoju właściciela.

„Co tu poradzi biedny Dębicki!...” — myślała wyobrażając sobie, że na jej kędzierzawą główkę wali się pensja pani Latter, cała kamienica, cały świat...

Lecz około pierwszej po południu zmieniła się sytuacja tak dalece, że Madzia z najgłębszej rozpaczy wzniosła się do najwyższego optymizmu.

Przede wszystkim, gdy wręczyła pannie Howard klucze zostawione jej przez panią Latter i gdy po otwarciu biurka w obecności całej pensji znaleziono w szufladzie kilkaset rubli, gospodyni, panna Marta, wpadła w taką radość, że w pierwszej chwili podejrzewano ją o zachwianie władz umysłowych. Zaczęła skakać płacząc i wołając:

— Wystarczy na utrzymanie domu!... Będą obiady!... Przysięgnę, że pani wróci... Ona pewnie pojechała do Częstochowy ofiarować Pannie Najświętszej swoje zgryzoty z tym krymina...

— Proszę być cicho!... — zgromiła ją panna Howard, która na widok gotówki uczuła, że jej władza nad pensją posiadała realną podstawę.

Bez względu na upomnienie panna Marta nie przestawała manifestować swojej uciechy. Damy klasowe zaczęły wyliczać zalety przełożonej, sługi wyrażały ufność, że nie przypadnie im zapłata, a zagrożone głodem pensjonarki same nie wiedząc czego tarły sobie oczy i rzucały się jedna drugiej w objęcia.

I w smutnym przed chwilą gabinecie zrobiło się tak wesoło, iż nawet Madzia nabrała otuchy i pomyślała, że może nie okują jej w kajdany i nie rzucą do podziemnych pieczar.

W chwili największego hałasu cicho jak cień wsunął się do gabinetu okrągłutki, pulchniutki i skromnie, choć elegancko ubrany pan Zgierski. Jego łysina wydawała się olbrzymią, a czarne oczki mniejszymi i bystrzejszymi niż zwykle. Spojrzał naprzód na meble, potem na panienki; potem jego czoło wyrażało frasunek, a twarz nadzieję; narreszcie dostrzegłszy pannę Howard posunął się do niej krokiem kontredansowym i czule ujmując za rękę rzekł:

— Cóż to za piękne zgromadzenie!... Nie mogę odmówić sobie przyjemności ucałowania rączki pani — dodał, delikatnie jak zefir dotykając ustami odnośnej części ciała panny Klary.

— Są pieniądze!... są pieniądze!... — powtarzała gospodyni klaszcząc w ręce.

Przestрах błysnął na obliczu Zgierskiego i w jego świderkowatych oczach. Skombinował bowiem, że to jego posadzają o zamiar wspomżenia upadającej pensji.

— Co znowu!... — przerwał dosyć szorstko. — To ja mam pięć tysięcy rubli u pani Latter...

— Ale pani zostawiła pieniądze w biurku — odparła gospodyni.

Teraz fizjognomia Zgierskiego zajaśniała uczuciem błogości.

— Spodziewałem się tego — rzekł. — Pani Latter jest zbyt szlachetną kobietą...

Umilkł jednak sądząc, że właściwiej będzie pierwiej zbadać, co jest, a dopiero później chwalić lub ganić.

Na znak panny Howard pensjonarki, panna Marta i Stanisław szybko usunęli się z gabinetu. Przykład ich naśladowały damy klasowe w sposób odpowiadający powadze ich stanowiska.

— Pani raczy mnie zaprezentować tym damom — szepnął Zgierski do panny Howard patrząc na Madzię.

— Pan Zgierski, pani Méline — rzekła uroczyście panna Klara.

Zgierski okrągłym ruchem podał rękę dojrzałej Francuzce i rzekł:

— Tak wiele słyszałem o pani od pani Latter, że doprawdy...

— Pan Zgierski, panna Brzeska.

Nowy gest ręki jeszcze okrąglejszy, poparty wykwinnym obrotem nóg i słodkim spojrzeniem.

— Tak często — mówił Zgierski do Madzi krygując się — tak często słyszałem o pani od pani Latter, że istotnie... Pani zapewne niedawno...

— No, i niech pan sobie wyobrazi, co za awantura!... — przerwała mu panna Howard. Zgierski otrzeźwiał.

— Niesłychana rzecz — odparł. — Wczoraj właśnie otrzymałem od pani Latter liścik, w którym przypomina mi, ażebym ją odwiedził na Wielkanoc, a dziś dowiaduję się, że moja szanowna korespondentka akurat w tej samej godzinie opuściła Warszawę!... Spodziewam się, że nie na długo — dodał znaczącym tonem i po kolei spojrzał na damy.

— Pani Latter wróci za parę dni — wtrąciła Madzia.

— Tak sądzę — rzekł.

— Kto to wie?... — dorzuciła oschle panna Howard.

— I dlatego powinniśmy być przygotowani na wszelką ewentualność — odpowiedział Zgierski.

Potem odchrząknął i mówił nie bez pewnej trudności:

— Właśnie mam akt, w którym pani Latter zeznała, że wszystkie meble jej mieszkania, sprzęty szkolne, naczynia kuchenne, że wszystko to — należy do mnie... Akt ten przyjąłem w swoim czasie niechętnie i tylko na usilne prośby pani Latter... Dziś jednak widzę, że pani Latter, której szcycę się przyjaźnią, złożyła dowód nie tylko szlachetności, ale i wysokiego rozumu...

— W ostatnich czasach była bardzo rozdrażniona — wtrąciła panna Howard.

— Pojmują panie — ciągnął Zgierski — że akt, który posiadam, jest ocaleniem pensji. Bo choćby nawet pani Latter zrzekła się pensji czy nie wróciła... miejsce jej może tu zająć panna Malinowska i wszystko zostanie po dawnemu, jeżeli uratujemy meble...

Serce Madzi ścisnęło się na myśl, że ledwie pani Latter wyrwała się na krótki odpoczynek, już mówią o niej jak o osobie zmarłej...

W przedpokoju rozległo się gwałtowne dzwonicie i po chwili wszedł do gabinetu czerwony, zadyszany Mielnicki, a za nim jakiś inny pan.

— Co ja słyszę?... — wołał otyły szlachcic. — Gdzie pani Latterowa?...

Zgierski podsunął się do niego i drepzcząc mówił:

— Prezentuję się panu dobrodziejowi: Stefan Zgierski, przyjaciel naszej drogiej pani...

— No, jeżeli przyjaciel, to gadaj, czy to prawda?...

— Że wyjechała?... Niestety, tak...

— Pani Latter wyjechała na kilka dni — wtrąciła Madzia.

— A!... Gadajże — jak, z kim, dokąd?... — pytał Mielnicki chwytając Madzię za rękę.

Stropiony Zgierski zbliżył się tymczasem do pana, który wszedł za otyłym szlachcicem, i rzekł:

— Witam mecenasa! Cóż szanownego mecenasa sprowadziło tu?... Czy także...

Lecz ponieważ osoba nazwana mecenasem, prócz serdecznych uścisków dłoni i życliwych uśmiechów, nie dała Zgierskiemu żadnych objaśnień, więc cofnął się do panny Howard.

Tymczasem zachwycona obecnością Mielnickiego Madzia szczegółowo opowiadała mu wyjazd pani Latter.

— Ale dlaczego ona tak nagle wyjechała?... Dlaczego?... i jeszcze Bóg wie dokąd — powtarzał zdesperowany szlachcic.

— Wyjechała na parę dni odpocząć — mówiła Madzia. — Była strasznie rozdrażniona... strasznie...

— A!... przepowiadałem to, mówiłem: rzuć do diabła pensję, osiądź na wsi... Już o tym, że ona bokami robi, pisała do mnie Mania, wiesz: Lewińska — ciągnął szlachcic patrząc na Madzię.

— No i ja, odebrawszy list, po nią tu przyjechałem, po panią Latter... Przecież ja prawie jej krewny, nawet... całkiem krewny...

— Były tu i poważne... bardzo poważne kłopoty finansowe — odezwał się Zgierski, słodziutko uśmiechając się i zacierając rękę.

— No, co tam finanse! — wybuchnął Mielnicki. — Tylu jeszcze Latterowa ma przyjaciół, że o finanse troszczyć się nie potrzebuje.

— Ja pierwszy... — wtrącił Zgierski z ukłonem.

Teraz wysunęła się panna Howard.

— Moim zdaniem — rzekła właściwym jej kontraltem — kłopoty pani Latter są ciężkie, ale nie finansowe, lecz moralne...

— O?... — zdziwił się Mielnicki. — A gadajże!...

— Wyobraźcie sobie, panowie — ciągnęła panna Howard — kobietę samodzielną, kobietę wyższą, kobietę, która pierwsza w naszym kraju podniosła sztandar emancypacji...

Mielnicki coraz więcej zdziwiony patrzył na nią to prawym, to lewym okiem jak indyk.

— Ta kobieta w ciągu kilkunastu lat wychowała dzieci, stargała się w pracy, topiła, nie wiadomo gdzie, swoje wielkie dochody. I w chwili, kiedy już znalazła się u szczytu posłannictwa, kiedy idee przez nią wyznawane ogarnęły szerokie koła i wytworzyły nowy zastęp nieulekzionych apostołów...

Mielnicki wciąż patrzył rozszerzając już nie tylko oczy, ale nawet palce u rąk.

— W takiej chwili do cichego ogniska pracy takiej kobiety wpada nagle, jak duch zniszczenia, jej — drugi mąż...

— Mąż?... — powtórzył szlachcic.

— Tak — mówiła podnosząc głos panna Klara. — Drugi mąż, który rzucił ją przed kilkunastoma laty, prawdopodobnie przez cały ten czas wyzyskiwał ją, a co najgorsza — za jakąś brudną sprawę siedział w więzieniu... I czy podobna dziwić się, że kobieta, zagrożona w taki sposób, opuściła dom, dzieci, obowiązek?... Pytam was, panowie: czy dziwicie się jej ucieczce?...

Podczas tej przemowy Madzia cofnęła się do framugi okna, Mielnicki zsiniał, a nawet na twarzy Zgierskiego widać było wzruszenie. Bynajmniej nie z tego powodu, że wrócił drugi mąż pani Latter, ale że on, Zgierski, nie wiedział o tym.

### 31. PAN ZGIERSKI ZADOWOLONY

Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Stojący niedaleko pieca jegomość, którego Zgierski nazywał mecenasem, odezwał się:

— Za pozwoleniem!... Teraz ja wtrączę słówko, ponieważ chodzi o sprawę, którą mam w rękach...

Obecni odwrócili się.

— Z tego, co mówiła szanowna pani — ciągnął adwokat kiwając głową w stronę panny Howard — jedno jest faktem: że mąż pani Latter w tych dniach był w Warszawie. Ale nie jest prawdą, ażeby kiedykolwiek wyzyskiwał panią Latter albo — ażeby siedział w więzieniu. Pan Eugeniusz Arnold Latter był majorem wojsk północnoamerykańskich, bierze obecnie emeryturę, podróżuje po Europie jako agent fabryki machin i o ile mogę sądzić, jest wielce przyzwoitym człowiekiem.

— W każdym razie jest mąż... Gdzie on jest?... — zawołał Mielnicki chwytając z kolei adwokata za rękę. — Gadaj, po co on tu przyjechał?...

Adwokat skrzywił się, lecz odprowadziwszy Mielnickiego w głąb pokoju zaczął coś szeptać.

— Jak?... — spytał szlachcic. — Aha! No?...

Adwokat znowu szeptał.

— Ależ niech podpisze!... Jednej chwili niech podpisze...

Nowa seria szeptów.

— E, co tam obrażona!... — odparł Mielnicki. — Pogniewa się, a potem podpisze.

I znowu szepty, po których nastąpiła konkluzja Mielnickiego:

— Tak!... a pięć tysięcy niech bierze, bo to się przyda dzieciom...

— Więc mogę liczyć na poparcie?... — spytał adwokat.

— Rozumie się — odparł Mielnicki. — Bylem tylko odszukał Latterową, zaraz wyprzeszuję grymasy... Przecie to dla obojga szczęście, łaska Boża!... Co trzymać człowieka, który nie chce?... Lepiej wziąć takiego, który chce...

Teraz zaczęły się szeptania w drugim kącie. Panna Howard mówiła cicho do Zgierskiego:

— A co, nie miałam prawa twierdzić, że Latter jest nikczemnikiem? Nawet ten jegomość, który broni go, nie śmie wypowiedzieć prawdy głośno... Tam jest coś tajemniczego... Patrz pan, jak wygląda ten gruby szlachcic...

Tymczasem Zgierski wpatrywał się w szlachcica jak w kochankę. W czarnych jego oczkach widać było żal za panią Latter i uwielbienie dla Mielnickiego, i chęć dowiedzenia się o wszystkim, i nieugięty zamiar skorzystania ze wszystkiego.

Pochylił się ku pannie Howard i szepnął ze słodkim uśmiechem:

— Na miłość boską, czy pani nie widzi, że w tej chwili rozegrywa się dramat?... Pan Latter oczywiście żąda rozwodu, ten pan, który rozmawia z Mielnickim, to adwokat przy

konsystorz, a stary Mielnicki od dawna chce się żenić z panią Latter... Cała awantura, na której nasza przyjaciółka zrobi interes!...

— Czyja przyjaciółka?... kto... — spytała zachmurzona panna Howard.

— No, pani Latter.

— Nie jestem przyjaciółką kobiety, która tak dalece zapomina o swej godności, że gotowa trzeci raz wyjść za mąż — odparła.

— Ale ja jestem jej przyjacielem — rzekł półgłosem Zgierski, a kłaniając się i uśmiechając, tanecznym krokiem zbliżył się do Mielnickiego.

— Naturalnie — odezwał się nie pytany — że wszystko pójdzie jak najlepiej. Pani Latter wybornie zrobiła wyjeżdżając na kilka dni... Uspokoi się i podpisze... podpisze...

I triumfującym wzrokiem spojrzął na konsystorskiego adwokata, który nie zdawał się być zachwycony jego domyślnością.

— Co za jeden ten stary? — spytał szlachcic adwokata wskazując okiem na Zgierskiego. — Czego on miesza się do nas?

— To tak z przyzwyczajenia — mruknął adwokat.

Madzia wtulona we framugę patrzyła wylęknionymi oczyma na sceny rozegrywające się przed nią. Wiele zdań słyszała, więcej odgadła i — doszła do wniosku, że pani Latter już nie ma po co wracać na pensję. Przeczuwała pomimo braku doświadczenia, że w tym gabinecie ładuje się nabój plotek, które wnet wybuchną, oblecą miasto i pogrzebią reputację przelożonej.

„Jezus Maria! — myślała — co za szczęście, że ten gruby szlachcic kocha się w pani Latter... Sama przecie słyszałam i ja — i Helenka, jak się oświadczał... Inaczej nie miałyby biedaczka gdzie głowy schronić...”

Nowe dzwonięcie w przedpokoju i nowa scena: do gabinetu weszła panna Malinowska z niewysokim jegomościem, który miał szpakowatą brodę i nieco krzywe nogi. Zgierski podbiegł do nich z oznakami najwyższej czułości, lecz ci przywitani go chłodno.

Panna Malinowska skłoniła się obecnym i widocznie coś zmiarkowawszy zwróciła się do panny Howard pytając:

— Jakże na pensji? Spodziewam się, że wszystko w porządku?

Panna Klara osłupiała.

— Pani chyba nie wie — odparła — o wyjeździe pani Latter?

— Owszem, wiem i dlatego zapytuję panią o pensję. Wczoraj otrzymałam list od pani Latter, w którym prosi, ażebym ją chwilowo zastąpiła... Pieniądze na wydatki bieżące są w biurku, a zaś na inne potrzeby...

Tu panna Malinowska spojrziała na Zgierskiego.

— Zaś na inne potrzeby — ciągnęła — są u mnie i do mnie proszę się zgłaszać.

Jakby na poparcie tych zapewnień jegomość na krzywych nogach uklonił się biustowi Sokratesa.

— Ależ taki nagły wyjazd!... — wtrąciła panna Howard ochłonawszy ze zdumienia.

— O ile domyślam się — przerwał właściciel krzywych nóg — pani Latter wyjechała w sprawie majątkowej. A że zawiadomiono ją niemal w ostatniej godzinie, więc nie było czasu do stracenia. I zdaje się, że tylko dzięki pośpiechowi będzie mogła coś ocalić.

— Może pójdziemy na górę do panienek, panno Howard — odezwała się panna Malinowska. — Ach, i pani tu jest?... — zwróciła się do Madzi. — O, zmizerniała mi pani, trzeba przez święta odpocząć...

Krzywonogi towarzysz panny Malinowskiej uklonił się Madzi i patrzył na nią bardzo życzliwie.

— Plenipotent Solskiego, pan Mydelko... — szepnął Zgierski do panny Howard.

Już panna Malinowska zwróciła się ku drzwiom, gdy zastąpił jej drogę stary szlachcic.

— Przepraszam panią — rzekł — jestem Mielnicki, wuj jednej z tutejszych uczennic i przyjacieli... prawie powinowaty pani Latterowej. Dziś po to właśnie przyjechałem, ażeby gwałtem zabrać Latterową na wieś, no... ale nie zastałem jej... Tymczasem pani wspomina o liście od niej...

— Tak — odparła panna Malinowska.

— Czy nie pisała do pani, dokąd jedzie?... — pytał szlachcic wzruszonym głosem.

— O tym nie wiem. Otrzymałam kartkę około dziesiątej wieczór przez posłańca z banhofu kolei petersburskiej.

— Aha!... — krzyknął szlachcic strzelając z palców.  
— Mówiła pani — rzekła gniewnie panna Howard do Madzi — że pojechała na dworzec wiedeński?...

— Widziałam... — wtrąciła zarumieniona Madzia.

— Ona do mnie pojechała... do mnie, na wieś!... — wykrzykiwał Mielnicki. — W tej chwili jadę na kolej, a za parę godzin zobaczę się z panią Latter... Widocznie minęliśmy się w drodze...

Mówiąc to głosem przerywanym z radości, stary szlachcic biegał po gabinecie. Ręce mu drżały, na twarz wystąpiły sine rumieńce.

— Za parę godzin — powtarzał — za parę godzin...

— Polecam szanownemu panu mój interes — wtrącił adwokat przy konsystorzu.

— Ależ naturalnie! — odparł Mielnicki. — To najważniejsza sprawa... Daj no mi acan dobrodziej swój adres...

Adwokat konsystorski z szybkością magika podał kilka swoich adresów.

— Niechże pan będzie łaskaw — wtrąciła panna Malinowska — prosi panią Latter, ażeby była zupełnie spokojna. Wszystko jest dobrze i będzie dobrze... Niech się nie śpieszy z powrotem i odpocznie na wsi.

— Bóg ci zapłać, kochana! — odparł szlachcic, gwałtownie ściskając ręce jej i jej towarzyszy z krzywymi nogami, który kłaniał się potakująco.

— Tak, tak!... — dodał przysuwając się Zgierski. — Niech pani Latter odpoczywa jak najdłużej... Jej przyjaciele czuwają... Niech pan będzie łaskaw oświadczyć, że powiedział to Zgierski, Stefan Zgierski... Przyjaciele czuwają!...

Zwracając się zaś do adwokata konsystorskiego dodał:

— A po powrocie, upewniam pana, że wiadoma kwestia załatwi się pomyślnie... Użyję bowiem całego wpływu...

...ażeby panią Latter skłonić do zgodzenia się na rozwód — mówił już do Madzi, ponieważ Mielnicki wybiegł z gabinetu zaś adwokat żegnał się z plenipotentem Solskiego.

Panna Malinowska, jej towarzysz, a za nimi Zgierski wyszli na korytarz.

— Więc ja teraz idę do gospodarza w imieniu pani Latter — mówił jegomość z krzywymi nogami.

— Naturalnie — odparła panna Malinowska — trzeba pospychać te długie przed jej powrotem.

— Tylko nie mój!... — wtrącił Zgierski. — Ja szanownej pani oddam akt, na mocy którego inwentarz pensji należy do mnie, a pani postąpi...

— Ach, proszę pana — przerwała niecierpliwie panna Malinowska — pańskie pięć tysięcy w każdym razie miały być splacone najpierwej...

— Ależ, ja tę sumkę zostawiam pani... czy pani Latter... czy komu panie każą — mówił zaafierowany Zgierski.

Panna Malinowska pożegnała plenipotentę Solskich i w towarzystwie panny Howard poszła na drugie piętro. Zgierski biegł do miasta, lecz zatrzymał się na schodach słysząc, że plenipotent rozmawia z Madzią.

— Pan Dębicki wczoraj zawiadomił mnie o wypadku — mówił jegomość z krzywymi nogami ściskając Madzię za rękę. — Niech więc pani będzie spokojna i... niech pani także jedzie na wieś na święta. Nie jestem lekarzem i pierwszy raz mam przyjemność widzieć panią, ale uważam, że i pani powinna odpocząć... Tu — dodał ciszej — będzie jeszcze tyle rozmaitych starć, że lepiej chwilowo usunąć się... Czy pani słabo?...

— Nie, proszę pana — odpowiedziała Madzia bledziutka jak papier.

Zgierski nie mógł wytrzymać, więc wrócił ze schodów i chciał Madzię odprowadzić na górę, jako dawny przyjaciel pani Latter i całej pensji. Ale Madzia podziękowała mu i poszła trzymając się poręczy. Plenipotent Solskich także gdzieś zniknął i został tylko pan Zgierski sam, rozmyślając, że powinien zbliżyć się do Madzi.

„Ten aniołek ma, widzę, stosunki z Solskim?... A przy tym milutka... a!... — mówił do siebie Zgierski. — Tylko trzeba ją ugłaskać, bo to jeszcze dzika sarenka... No, a później może i tego...”

I biegł do miasta oblizując się już to na wspomnienie Madzi, już na myśl, że posiada wiążkę przepysznych wiadomości. Z takimi nowinami można zaprosić się nawet do prezesa na obiad.

## 32. CHAOS

Madzia ledwie weszła na drugie piętro: biło jej serce, ćmiło się w oczach, nogi drżały. Spozstrzegła, że w jednej z sal wykładowych zgromadziły się pozostałe na święta pensjonarki i damy klasowe, rozumiała, że i jej wypada tam iść, ale już jej sił brakło. Więc skręciła do sypialni z zamiarem położenia się choć na chwilę.

Nagle — doznała wrażenia, jakby ją kto ze snu zbudził: w sypialni zobaczyła swoją wydaloną koleżankę, pannę Joannę, która pochwyciła ją w objęcia.

— A widzisz, Madziu — rzekła — nie mówiłam, że jej Pan Bóg nie przebaczy mojej kompromitacji?...

I uśmiechnęła się, rumiana, elegancko ubrana, szczerząc białe ząbki.

— Wracasz do nas? — spytała zdziwiona Madzia.

— Czy ty masz źle w głowie?... — roześmiała się panna Joanna. — Ja miałabym na powrót zostać damą klasową?... W dzień męczyć się słuchając lekcyj, które mnie jeszcze na pensji nudziły, a wieczór belfrować dziewczętom i opowiadać się za każdym wyjściem na spacer?...

— Więc co będziesz robiła?...

— Będę, jak dziś, używała świata!... Cóż to, jestem tak brzydka czy głupia, ażeby zabijać się robotą?...

— Joasiu! — zgromiła ją Madzia.

Panna Joanna wciąż śmiejąc się usiadła na jednym z nie posłanych łóżek.

— Oj, ty... ty dzieciaku! — mówiła do Madzi. — Wiesz przynajmniej, co się dzieje z naszymi uczennicami? Jedne od razu zapominają o lekcjach i jeżeli która jest bogata albo ładna, używa życia. Inne uczą się dalej, powtarzają lekcje, pamiętają, a wszystko po to, ażeby jak my zabijać czas i zawracać głowy dorastającym dziewczętom... Ależ człowiek nie po to żyje!

— Ja cię nie rozumiem, Joasiu — rzekła Madzia naprawdę nie pojmując, o co chodzi jej koleżance.

Panna Joanna wzruszając ramionami i rysując parasolką kółka na podłodze mówiła:

— Żyjesz tu jak w klasztorze albo w więzieniu, więc nie wiesz, co się dzieje na świecie. A że nie wiesz, więc kwasisz się robotą, z której nikomu nic nie przyjdzie. Tymczasem na świecie jest tak: że pracować, słuchać innych, dogadzać wszystkim muszą tylko głupi mężczyźni i brzydkie kobiety. Ale mądry mężczyzna wyszukuje sobie ładnej kobiety i bawią się... Ładnie mieszkają, smacznie jedzą i piją, elegancko ubierają się, wieczorem idą na bal czy do teatru, a na lato wyjeżdżają za granicę, w góry albo nad morze... Ach, gdybyś wiedziała, jak inaczej wygląda świat, kiedy się nie ma kłopotów, i jaki weselszy, jaki lepszy jest człowiek, kiedy się nie martwi!...

Madzia zarumieniła się i spuściwszy oczy odparła:

— Nie masz chyba powodu cieszyć się ze swojej kariery...

— Ja?... — przerwała zdziwiona Joasia. — Cóż mi to złego?... Jestem lektorką u jednej staruszki, mam trzysta rubli rocznie, wszystkie wygody, mnóstwo prezentów...

— Więc pracujesz.

— I... nie bardzo!

— A... ale co mówili o tobie...

— O mnie?... Aha, już wiem!... — zawołała Joasia parszkając śmiechem — Niechby mi się każda plotka tak opłaciła...

Chciała wziąć Madzię za rękę, ale ta cofnęła się i rzekła:

— Muszę iść na salę...

Panna Joanna stała się nagle poważną. Rumieniec okrył jej twarz, podniosła się z łóżka i opierając się na parasolce odpowiedziała:

— Oj, ty, ty... łabędziatko!... Na ciebie nie robią plotek i co masz?... Spójrz na swoją sukienkę. A co robisz komu dobrego?... Zakuwasz głowy dziewczętom. Ja zaś za plotkę, z której dziś wszyscy się śmieją, dostałam wyborne miejsce, dokuczyłam starej Latterowej i pomogłam temu biednemu Kaziowi wyjechać za granicę. Żal mi chłopca, ale miło mi, że moje poświęcenie wyszło mu na dobre...

Tak jak moja krzywda — zakończyła twardym głosem — dała mi możliwość przyjść tu i zobaczyć bankructwo surowej pani Latter... Bo podobno licytują was?...



Madzia wybiegła na korytarz i nie oglądając się wpadła do gościnnego saloniku. Tam oparła się o ścianę i zaczęła rzewnie płakać.

W tej pozycji zastała ją panna Malinowska. Popatrzyła na nią marszcząc brwi i rzekła:

— O, moja pani, dość tego... Musisz jechać na święta i odpocząć co się zowie. Cóż to za dziwna pensja!... Jedne nauczycielki robią awantury, a drugie chorują na nerwy...

— Ja panią przepraszam... — odezwała się Madzia hamując łzy.

— Droga panno Magdaleno — odparła Malinowska — ja przecież nie mam do ciebie pretensji. Ale wiem i od Howardówny, i pośrednio od profesora Dębickiego, że... zanadto żywo brałaś do serca wszystko, co się tu działo... Każdy wyzyskiwał twoje uczucie, każdy odstępował ci część swoich kłopotów, a rezultat jest ten, że wyglądasz jak z krzyża zdjeta...

Dziś o szóstej zrobimy rachunek, a jutro pojedziesz do rodziców. Powrócisz za dziesięć dni, po świętach, a wtedy poznamy się bliżej. No... i nie dziw się, jeżeli nie zastaniesz tu połowy swoich koleżanek. Z takim personelem można by drugi raz zbankrutować...

Pocałowała Madzię w głowę i wyszła. Widocznie spotkała kogoś, bo przez zamknięte drzwi słychać było na korytarzu rozmowę, którą zakończyła panna Howard wołając dźwięcznym głosem:

— Na tej pensji, którą pani będziesz prowadzić, utrzymają się tylko pokojówki, ale żadna kobieta samodzielna i ceniąca swoją godność!...

Po obiedzie, który przyniesiono z restauracji, pani Méline wyprowadziła nieliczne grono pensjonarek na spacer, a na pensji zaczął się niby sądny dzień.

Cały korytarz i schody pierwszego piętra zaroily się ludźmi. Widać było przestraszonego piekarza z książką rachunkową — czerwonego rzeźnika, który wywijał pięściami i groził, że zgubi panią Latter, nareszcie — handlarza mydła i nafty, który opowiadał, iż jego żona dawno już twierdziła, że pensja musi zbankrutować. Byli to najhałaśliwsi wierzyciele, choć razem należało im się około sześćdziesięciu rubli.

Prócz nich wałęsali się po korytarzach jacyś Żydzi wypytyjący, czy będzie licytacja, przychodziły dawne damy klasowe dowiedzieć się, z kim pani Latter uciekła, i — nowe damy, które chciały rozmówić się z panną Malinowską. Stara faktorka służ zapewniała pokojówki, że im da wyborną służbę, panna Marta załamując ręce wypytywała się wszystkich, czy panna Malinowska zostawi ją na posadzie gospodyni, a lokaj pani Latter, Stanisław, chodził jak obłąkany, z trzepaczką i dywanikiem w rękach.

O czwartej przybiegła z miasta panna Howard z posłańcami. Kazała wynosić rzeczy ze swego pokoiku, nie przywitała się z Madzią, lecz za to miała mowę do służby, którą zawiadomiła, że już nie będzie damą klasową, tylko literatką.

— Napiszę ja o tym wszystkim wyczerpujący artykuł — wołała rozgniewana. — Teraz dopiero zobaczy Europa, jakie mamy pensje i przełożone!...

W końcu oświadczyła, że wyprowadza się do pokoi umeblowanych na Nowym Świecie, gdzie mogą odwiedzać ją wszystkie kobiety samodzielne i wszyscy ci, którzy współczują sprawie wyzwolenia płci żeńskiej.

Dopiero powrót z miasta panny Malinowskiej w towarzystwie jegomości na krzywych nogach uspokoił zebrany tłum. Faktorzy znikli, kandydatki na posady dam klasowych zostały odprawione z niczym, zaś piekarz, rzeźnik i handlarz mydła tudzież nafty otrzymali pieniądze. Żegnając się z nową przełożoną byli bardzo zadowoleni i pokorni i natarczywie ofiarowywali swoje usługi, których nie przyjęto.

Przybiegł także i gospodarz domu i wykwintnymi słowy zapewniał jegomością z felerem w nogach, że zawsze był spokojny o komorne, choć zalegało. Na dowód zaś swoich pojednawczych usposobień obiecał wylepić piec na swój koszt i naprawić łazienkę do spółki. Ale gdy mu zaproponowano, ażeby odnowił mieszkanie, podniósł ręce do nieba i przysiągł, że taki wydatek naraziłby go na pójście z torbami. Również zapewniał, że kamienice w tych czasach nie przynoszą żadnego dochodu, tylko straty i że on swoją kamienicę mógłby darować, gdyby znalazł się odważny i lekkomyślny człowiek, który by ją przyjął.

Gdy pensjonarki wróciły ze spaceru, na pensji było już cicho. Wówczas panna Malinowska wezwała Madzię do kancelarii i wypłaciła jej zaległą pensję trzymiesięczną w kwocie czterdziestu pięciu rubli.

Przy podpisywaniu przez Madzię kwitu panna Malinowska kiwając głową rzekła:

— Po świętach zaproponuję pani trochę inne warunki, a tymczasem przeprowadź się do pokoju, który zajmowała panna Howard.

— Panna Howard już nie wróci? — spytała Madzia.

— Ona jeszcze pani Latter mówiła, że usunie się z pensji na Wielkanoc.

— Ale pani Latter wróci?... — szepnęła Madzia, lękliwie patrząc na nową przełożoną.

Panna Malinowska podniosła brwi.

— Alboż to ode mnie zależy?... — odparła. — Wyjazd był niepotrzebny... bardzo...

Będę szczerze zadowolona, jeżeli skutkiem tych zajęć nie stracimy połowy uczennic...

Madzia zrozumiała, że los pani Latter jest już zdecydowany.

Późnym wieczorem przeprowadzono Madzię do pokoiku panny Howard. Nie zapalając lampy usiadła w oknie, skąd rozlegał się szeroki widok na Pragę, i... marzyła.

Chciała myśleć o tym, że jutro wyjeżdża do domu, a pojutrze sobaczy rodziców i Zochnę. Chciała cieszyć się ale — nie mogła, bo świeże wrażenia opanowały jej duszę, bo wszystko w tym mieszanju przypominało panią Latter.

Pod pokoikiem, w którym obecnie siedzi, jest sypialnia pani Latter. Gdzie ona teraz?... Tam, gdzieś za rojem płomyków na Pradze, nawet dalej, aż za tym paskiem horyzontu, gdzie światła ziemskie stykają się z gwiazdami nieba. Czy podobna, ażeby pani Latter nie było na dole, w jej pokoju, w którym tyle lat przemieszkała?... Słysząc jakiś szmer... Może wróciła?... Nie, to mysz gryzie pod podłogą.

— Ach, jak to męczy — szepnęła Madzia — myśleć wciąż o jednym i tym samym!...

I postanowiła myśleć o czym innym, choćby o przeszłości. Rok temu była jeszcze dzieckiem, a gdy jej mówiono, że każdy człowiek powinien „zastanawiać się” nad sobą i nad tym, co go otacza, jeszcze nie rozumiała, co to znaczy: zastanawiać się.

Ale od pół roku poczęła zastanawiać się nad położeniem pani Latter, nad Helenką, nad Adą, panem Kazimierzem, panną Howard, Joasią... Z początku bardzo ją trwożyło zajmowanie się obcymi ludźmi i ich sprawami; ale później przywykła do tej pracy, a nawet była z niej dumną.

Bo przecie wszyscy jej tłumaczyli, że człowiek, który nie zastanawia się, jest jak liść igraszką wypadków. A dopiero ten, kto rozmyśla nad sobą i światem, ten potrafi kierować swoją łodzią, unika przygód i dopływa, gdzie sobie zamierzył.

Tymczasem — wszystko fałsz; bo przecie pani Latter umiała myśleć (jeszcze jak!...), kierowała sobą i — skończyła na bankructwie... Porwała ją jakaś cicha, dla nikogo niewidzialna burza i strąciła w przepaść pomimo wielkiego rozumu i mnóstwa przyjaciół.

Co to za okropna rzecz być mądrą, zastanawiać się i nareszcie po kilkunastu latach trudów uciekać z własnego domu!... Na co zdał się rozum i praca, jeżeli człowieka ze wszystkich stron otaczają potężne i tajemnicze siły, które w jednej chwili mogą obalić dzieło całego życia?

„Boże, Boże, jak mnie to męczy!... po co ja o tym myślę?...” — szepnęła Madzia.

Przymknęła oczy i całą siłą starała się zwrócić uwagę w inną stronę. Przypomniła sobie Joasię.

— Ot na przykład Joasia — mówiła — śmieje się z pracy i nigdy nie zastanawia się nad sobą. Życie jej jest dziwaczne, ludzie ją ganią i — cóż z tego?... Pani Latter uciekła zrozpaczona, a Joasia triumfuje i jest wesoła... Więc po co być przyzwoitą, moralną, rozumną, jeżeli w świecie dobrze jest tylko istotom lekkomyślnym?...

W tej chwili przyszło jej na myśl jedno wspomnienie z dzieciństwa. Raz wobec niej ścinano topolę. Drzewo z trzaskiem zważyło się w kałużę wyrzucając deszcz błotnistych kropli, które na słońcu zajaśniały barwami tęczy. Potem znowu spadły i rozpląnęły się po ziemi, ale drzewo, choć ścięte, zostało.

Czy pani Latter nie jest powalonym drzewem, a Joasia ze swoją wesołością czy nie jest ową kroplą, która na chwilę wzbija się i z góry patrzy na leżącego olbrzyma? Ale co będzie później?...

— Czy ja się już nigdy nie uwolnię od pani Latter?... — rzekła do siebie zrozpaczona Madzia. — Przecież to można oszaleć!...

I w duszy jej zaczęła się dziwna walka. Zmęczona wyobraźnia chciała za wszelką cenę zapomnieć o pani Latter, a serce mówiło, że to wstyd i grzech zapominać o człowieku ledwie od dwudziestu czterech godzin nieobecny. Jeszcze wczoraj kochaliśmy go i podziwiali, a dziś nawet pamiętać o nim tak nam ciężko, że chcemy się jej pozbyć.

„O, ja niewdzięczna!... — myślała Madzia. — I potępiać tu obcych, że korzystają z nieszczęścia, kiedy ja uciekam przed wspomnieniami o niej, ja, której ona tak ufała, lubiła, zrobiła mnie damą klasową...”

Zapaliła lampę i w przewidywaniu jutrzejszej podróży zaczęła porządkować swój kuferczek. Niewiele jej to czasu zabrało, choć po kilka razy składała i wyjmowała te same rzeczy, aby je znowu złożyć. Ale ciągle bieganie od stolika do kuferka, ciągle pochylanie się i przyklęknięcie nadało inny kierunek jej myślom. Teraz dziwiła się niedawnemu niepokojowi i mówiła:

„Czego ja się martwię panią Latter?... Że pensji mieć nie będzie?... Ależ ona do tego wdychała od pół roku. W tej chwili zapewne jest w domu Mielnickiego i nawet może ma doskonały humor dowiedziawszy się, że długi są spłacone i że wszystko będzie dobrze. A że jeszcze mąż chce od niej rozwodu, więc z pewnością wyjdzie za Mielnickiego i znowu zostanie wielką panią... Może nawet będzie wstydzić się tego, że miała kiedyś pensję!...”

Madzia położyła się spać spokojniejsza. A ponieważ myśląc o wyjeździe do domu niecierpliwiła się, że jeszcze tyle godzin musi czekać, więc znowu przypomniawszy sobie panią Latter.

Zamknawszy oczy widziała wszystkie osoby, które odegrały jakąś rolę w ostatnich wypadkach. Zdawało jej się, że patrzy na operę, w której występują jej bliscy znajomi ubrani w piękne kostiumy teatralne.

Oto pani Latter w amarantowej sukni, z brylantami w kruczonych włosach. „Ach, jak jej do twarzy!...” — myśli Madzia. A oto Helenka w sukni koloru wody morskiej, nakrapianej złotymi i srebrnymi blaszkami... A oto pan Kazimierz w białym atlasowym kostiumie, jak Raul z *Hugonotów*.

„Zaraz!... — myśli Madzia — Jest sopran, kontralt i tenor; trzeba im dodać basa...”

I wnet ukazuje się bas — gruby Mielnicki, w czarnym, nieco poplamionym surducie.

„Jakie to zabawne!” — myśli Madzia wpatrując się w swoje figury stojące rzędem, jak na scenie, z podniesionymi rękoma.

„Amarantowy, zielonawy, biały kostium... Ach, jak im ładnie!...”

Nagle stojący w jednym rzędzie zaczynają się rozpluwać. Znikła pani Latter, Hela, pan Kazimierz i Mielnicki; przez chwilę robi się czarno, a po chwili na tym tle zarysowuje się spokojna fizjonomia panny Malinowskiej i poza nią widać szary tłum: wylęknionego piekarza z rachunkiem, czerwonego rzeźnika, który wywija pięściami, Stanisława z trzepaczką i dywanikiem, pannę Martę, która załamuje ręce...

Teraz kolejno w coraz prędszym tempie zmieniają się w sennych oczach Madzi dwa obrazy. To widać panią Latter w amarantowej sukni, Helenkę w zielonawej, pana Kazimierza w białym atlasowym kostiumie, jak z podniesionymi rękoma coś mówią czy śpiewają. To znowu ich grupa znika, a na jej miejscu pokazuje się — panna Malinowska w szarej sukience, piekarz z rachunkiem, Stanisław z trzepaczką... Raz — dwa!... raz — dwa!... coraz szybciej następuje jedno po drugim, aż wreszcie wszystko się rozpluwa.

— Co za nedoręczności!... szepcze Madzia uśmiechając się. — Ja już nigdy nie będę miała rozumu — kończy i zasypia.

Zasypia cicho dysząc, z uśmiechem na rozchyłonych ustach, z rękoma złożonymi na piersi i ani zamarzy się jej, że o kilkanaście mil stąd śpi ktoś inny, z twarzą zwróconą do nieba, z rękoma zaciśniętymi i martwymi oczyma.

### 33. CZŁOWIEK, KTÓRY UCIEKA PRZED SAMYM SOBĄ

Kiedy Madzia pożegnawszy przełożoną wysiadła na Nowym Świecie, dorożkarz odwiózł panią Latter na dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Zatrzymał konie przed głównym wejściem, lecz pasażerka nie opuszczała dorożki. Obejrzał się i spostrzegł, że i pani Latter patrzy na niego ze zdziwieniem. Wreszcie nagle przez stojkowego, ażeby odjechał, dorożkarz wychylił się z koźła i rzekł:

— To już banhof!

— Aha! — odparła pani Latter i wysiadła zapominając o torbie i o zapłaceniu za kurs. Szczęściem nadbiegający posługacz zdjął torbę, a dorożkarz upomniał się o zapłatę.

Pani Latter dała mu czterdzieści groszy; lecz gdy podniesionym głosem powiedział, że to za mało, dołożyła rubla.

Potem weszła na kamienne schody dworca i patrząc na plac zadawała sobie w duchu pytania:

„Co ja tu robię?... Skąd ja się tu wzięłam?...”

I przyszło jej na myśl, że musiała chyba zasnąć w dorożce, ponieważ ten czas, który upłynął od pożegnania się z Madzią, był dla niej stracony.

Z rozmyślań obudził ją posługacz kolejowy pytając:

— Do której klasy mam odnieść torbę?

— Naturalnie, że do pierwszej — odpowiedziała — pani Latter. W tej chwili bowiem przywidziało się jej, że odprowadza Helenkę wyjeżdżającą za granicę z Solskimi. Ale zaraz przypomniała sobie, że Helenka od dawna jest za granicą i że to ona sama dziś wyjeżdża nie wiadomo dokąd.

Sala pierwszej klasy, już oświetlona, była pustą. Gdy wyszedł posługacz, pani Latter ogarnęła trwoga: znowu bowiem ściany zaczęły wyginać się w jej oczach, podłoga chwiała się pod nogami, a ją samą otoczył tłum widziadeł... Była pomiędzy nimi Helenka z przesłicznym bukietem od Solskiego, Kazio obok Ady Solskiej, zawinięta w futro ciotka Solskich, piękny pan Romanowicz, słowem — ci wszyscy, którzy w zimie odprowadzali Helenkę.

Im więcej poznawała osób, tym mocniejszy strach ją ogarniał. Zdawało jej się, że lada chwilę wejdzie tu cuchnący Żyd, Fiszman, który zacznie opowiadać zebrany, że pan Kazimierz Norski wystawia weksle poręczane przez jego matkę, panią Latter.

Ściany i podłoga sali chwiały się coraz gwałtowniej i pani Latter znowu uczuła niepokonaną chęć ucieczki. Uciekać!... uciekać gdzieś jak najdalej od tych miejsc i od tych ludzi... Jechać!... jechać jak najprędzej, gdyż sam ruch mechaniczny, turkot kół, zmiana widoków — uspakajały jej poszarpaną duszę.

Wybiegła z sali na korytarz i spotkawszy woźnego spytała: kiedy odchodzi pociąg?

— Dziewięć dwadzieścia — odparł woźny.

— Dlaczego tak późno?... — zawołała pani Latter i poszła w głąb korytarza czując, że gotowa rzucić się na woźnego i z płaczem pytać go, dlaczego tak późno odchodzi pociąg.

„Dwie godziny czekać!... — myślała z rozpaczą. — Przecież ja tu umrę...”

Wtem machinalnie padł jej wzrok na wielki arkusz, przyklejony do ściany, z napisem: Droga żelazna warszawsko-petersburska.

Pani Latter oprzytomniała.

„Droga petersburska... — mówiła sobie. — Małkinia... Czyżew... Ależ tam mieszka Mielnicki... Po co ja tu przyjechałam?... To tam trzeba jechać... do niego... Tam moje ocalenie, zdrowie, spokój, u tego jedyne go człowieka, któremu ufać mogę...”

I z fonograficzną dokładnością przypomniały się jej słowa starego szlachcica:

„Pluń na pensję!... Nie zechcesz być moją żoną, możesz być jednak panią domu i gospodarstwa, które potrzebuje kobiecej ręki... To, co powiedziałem, warte jest przysięgi i nie zmienię słowa, tak mi Boże dopomóż...”

Pani Latter wróciła energią. Kazała woźnemu wynieść torbę i zawołać dorożkę. W parę minut później jechała na dworzec petersburski.

— Wariatka czy co?... — rzekł woźny do posługacza.

— Iii... może jaka obca... Pewnie zapomniała czego — odparł posługacz.

Około ósmej była już na Pradze; we dworcu spytała posługacza: kiedy odchodzi pociąg?

— Kwadrans po jedenastej.

Dreszcz ją przebiegł.

— Trzy godziny czekać — szepnęła.

Na myśl o Mielnickim przypomniała sobie, że ma jego wino. Więc przeszła do sali trzeciej klasy i ukrywszy się w kącie wypita kieliszek.

— Już nie wiem, który dziś... — rzekła czując jednak, że jest rzeświejsza.

Męczyła ją potrzeba ruchu: chciała gdzieś iść czy jechać, byle nie stać w miejscu; a oddałaby resztę życia, gdyby już mogła znaleźć się w domu Mielnickiego. Ten człowiek był dla niej jak Mojżeszowy wąż miedziany, którego spojrzenie miało ją uzdrowić.

Zostawiwszy torbę pod opieką służby wyszła przed dworzec kierując się w stronę mostu i Warszawy, w której już zapalono światła. Patrzyła na Wisłę ku temu domowi, gdzie

była jej pensja, i przypomniała sobie ów wieczór październikowy, kiedy z okna gabinetu spoglądała na Pragę. Słońce wówczas zachodziło i oblewało ziemię rudożółtawym światłem, na którego tle było widać dym odjeżdżającej lokomotywy. Myślała wtedy, że rude światło jest szkaradne i że szkaradną jest ta odjeżdżająca lokomotywa, która przypomina, że wszystko mija na tym świecie, nawet powodzenie.

I otóż jej powodzenie minęło! Już ona sama jest nie po tamtej, ale po tej stronie Wisły czy Styksu; już nie patrzy z wysokości swoich apartamentów na Pragę, ale tuła się między budynkami. I już wznoszą się czarne kłęby dymu nad tą lokomotywą, która ją na nieznanym brzeg wyrzuci.

Nie dawniej jak przed pół rokiem tam na górze, gdzie w tej chwili ktoś przenosi lampę (kto to może być: Madzia czy panna Howard, może Stanisław?...), pół roku temu sama jasno określiła swoje położenie i przyszłość. „Na pokrycie mniejszego długu zaciąga się większy dług, potem jeszcze większy, więc w rezultacie musi się to wszystko skończyć” — myślała wówczas, a dziś — spełniło się. Skończyło się w ten sposób, że ona nie ma nic: ani władzy, ani majątku, ani domu, ani dzieci, ani męża — no nic. Jest istotą wyrzuconą poza obręb społeczeństwa, jak pies, który zgubił pana.

— Doskonale — szepnęła. — Ale co się stanie z pensją?... Bo przecież ja tam nie mam po co wracać... Jutro po całej Warszawie rozejdzie się wieść, że uciekłam...

Szybko zawróciła ku dworcowi, a znalazłszy się tam kazała podać papier i kopertę i napisała list do panny Malinowskiej oddając jej pensję pod opiekę i nadmieniając o pieniądzach, które zostawiła w biurku. Nawinął się jakiś spóźniony posłaniec, więc powierzyła mu list na los szczęścia, nie żądając numeru, nawet nie patrząc, jak ten człowiek wygląda.

„Skończone... wszystko skończone!...” — myślała czując, że jednak jest trochę spokojniejsza.

Zajrzała do portmonetki i znalazła w niej około dziesięciu rubli.

„Kolej do Małkini — mówiła — stamtąd konie do Mielnickiego... Okropna rzecz... Gdyby Mielnicki nagle umarł, nie miałabym nawet za co wrócić... Jak w tej chwili nie mam dokąd wracać ani po co...”

Około dziesiątej wieczór dworzec ożywił się: zajeżdżały powozy i dorożki, do sali zaczęli napływać pasażerowie. Zdawało się pani Latter, że niektórzy spomiędzy przybyłych przypatrują się jej, a szczególnie żandarm, który kręcił się w korytarzu, wygląda jak gdyby kogoś szukał.

„Mnie szukają” — pomyślała i ukryła się w sali trzeciej klasy między najbiedniejszymi. Zdawało jej się, że lada chwilę wywoła ją ktoś po nazwisku i prawie czuła ciężar ręki, która ją schwyty za ramię. Ale nikt nie wymienił jej nazwiska.

Obok umieściła się jakaś uboga rodzina: matka z dwuletnim dzieckiem na ręku i dziesięcioletnia dziewczynka pilnująca sześciolatniego chłopca, który był przepasany dużą chustką przez głowę i plecy na krzyż.

Pani Latter usunęła się im na ławce i spytała kobiety:

— Daleko pani wiecie ten drobiazg?

— Aż za Grodno jedziemy, łaskawa pani. Ja, mąż i te oto fąfle...

— Tam państwo mieszkacie?

— Gdzieżby zaś, łaskawa pani. Mieszkamy w Płockiem, a jedziemy za Grodno, bo mój ma tam zostać gajowym.

— U kogo?

— Jeszcze nie wiemy, łaskawa pani, a jedziemy, bo w domu nie ma co robić.

— Więc cóż poczniecie w Grodnie?

— Staniemy w jakiej austerii, dopóki mąż nie odszuka tego pana, co mu powiedział, że pod Grodnem łatwiej o miejsce niż u nas.

Przez ten czas jej mąż, człeczyna zarośnięty jak dziad, w drelichowym surducie, znośił skrzynki, węzłki, koszyki. Potem z garnuszkiem poszedł do bufetu po gorącą wodę, a gdy i to przyniósł, kobiecina zabrała się do gospodarstwa. Rzuciła w garnczek trochę soli i masła, nadrobiła chleba i zaczęła karmić dzieci. Najpierw matka nasyciła dwuletniego, potem starsza dziewczynka zajęła się sześciolatkiem i nareszcie — zjadła wszystko po młodszych. Kobieta i jej mąż nie jedli nic: ona bowiem ciągle wydawała jakieś rozporzą-

dzenia, a on biegł za kupnem biletów, bułek na drogę, poprawiał paczki lub zawiązywał węzłki.

Widok biedaków w niewymowny sposób torturował panią Latter. Porównywała siebie z matką rodziny jak ona pozbawionej dachu, lecz o wiele szczęśliwszej. I teraz dopiero w całej pełni odczuła straszną prawdę, że ubóstwo może być cierpieniem, ale samotność jest kalectwem ducha!...

„Ma dzieci i męża — myślała patrząc na kobietę. — Ma człowieka, który jej pomaga, ma drobiazg, przy którym może zapomnieć o sobie... Nawet ta dziewczynka już ją wyręcza... Cokolwiek ich spotka, choćby śmierć, ludzie ci w ostatniej chwili mogą uściskać się za ręce, pożegnać spojrzeniami... A mnie kto pożegnałby, gdyby na przykład wykoleił się pociąg?...”

Teraz przypomniła sobie dzień, w którym po raz pierwszy piła wino, ażeby się uspokoić, i — ów sen, który po winie nastąpił. Śniło jej się, że jest sama, jak dziś, na ulicy, jak dziś, bez grosza, lecz — że jest zupełnie szczęśliwą, ponieważ uwolniła się od pensji, jak dziś. I gdy w tej nędzy ogarnęła ją radość na myśl, że jest wolna, wolna od gospodyni, uczennic, dam klasowych i profesorów, w tej chwili Kazio i Helenka zabiegli jej drogę i usiłowali namówić, ażeby wróciła na pensję!...

Wówczas w tym śnie pierwszy raz w życiu uczuła żal do swoich dzieci. Ale w tej chwili na twardej ławce banhofu kipiało w jej sercu coś gorszego. Spojrzała na matkę ubogą i bezdomną, lecz otoczoną dziećmi, i przyszło jej na myśl, że ona, także nędzna i bezdomna, nie ma jednak przy sobie dzieci. I że może właśnie w tej godzinie Helenka pływa z eleganckim towarzystwem po kanałach weneckich, a Kazio — może gdzieś podpisuje weksle jej nazwiskiem. Oni tam bawią się, a ona cierpi, cierpi jak całe piekło potępieńców...

— Szczęnięta!.. — szepnęła. — Ale dobrze mi... takie sobie wychowałam...

I uczuła nienawiść.

Zadzwoniono: pasażerowie zaczęli tłoczyć się do wyjścia. Pani Latter zapuściła woalkę i pochwytywszy torbę, ostrożnie wymknęła się do wagonu trzeciej klasy.

Jeszcze pamiętała, że po wielu dzwonieniach i świstaniach pociąg ruszył. Mignęło kilka latarni, zamajaczył szereg wagonów... potem już nic...

Lecz po chwili (przynajmniej tak jej się zdawało) zbudzono ją i zażądano biletu.

— Mam bilet do Małkini — odparła.

— Toteż właśnie odda go pani, bo już minęliśmy Zieleniec.

Wzruszyła ramionami i oddała bilet nic nie rozumiejąc; gdy zaś zostawiono ją w spokoju — wpadła w letarg.

Lecz po chwili znowu ktoś ją zaczepił mówiąc:

— Pani miała bilet do Małkini.

— Tak.

— Więc dlaczego pani nie wysiadła?

— Przecież dopiero wyjechaliśmy z Warszawy... — odpowiedziała zdumiona.

W wagonie ten i ów począł się śmiać... Przyszedł jeden konduktor, drugi, naradzali się... W końcu kazano pani Latter zapłacić trzydzieści kopiejek i powiedziano jej, że wysiadzie w Czyżewie.

Znowu zapadła w letarg i znowu ją zbudzono. Ktoś wziął ją za ramię i wyprowadził z wagonu, ktoś inny podał torbę, zdaje się nawet, że ten człowiek, który z rodziną jechał do Grodna. Potem pozatraskiwano drzwi, zadzwoniono, zaświstano i — pociąg z wolna usunął się ze stacji. Pani Latter została na peronie sama wśród nocy... Przy świetle latarni zobaczyła pod ścianą ławkę i usiadła na niej nie troszcząc się ani tym, gdzie jest, ani — co się z nią dzieje.

Już było widno, kiedy zziębnięta pani Latter ocknęła się; przed nią stał jakiś Żyd mówiąc, że ma furmankę, i zapytując, gdzie chce jechać. Pani Latter przywidziało się, że to przebrany Fiszman; więc zerwała się z ławki z zacisniętymi pięściami i zaczęła krzyczeć:

— Czemu mnie ścigasz?... Nie chcę nic... ja podpisałam!...

Furman zaczął się irytować i podnosić głos. Na szczęście wmieszał się do zatargu jakiś urzędnik, a usłyszawszy, że pani Latter chce jechać do Mielnickiego, odparł:

— O, to nałożyła pani drogi... Z Małkini daleko bliżej... Ale jest tu właśnie chłop z tamtych stron, on panią odwiezie.

Sprowadzono na peron chłopca, który zgodził się za dziesięć złotych odwieźć panią Latter do samego Buga — do promu.

— A byle pani siadła na prom — mówił chłop — to jakby weszła do dworu, bo dwór zaraz za wodą.

— A może znacie pana Mielnickiego? — spytała pani Latter.

— Jużci, niby znam... Póki nie miało się swego gruntu, to chodziło się na robotę i do pana Mielnickiego. Niczego szlachcic, ino trochę impetyk. U niego dać w gębę człowiekowi, to jakby kieliszek wódki wypił. Fertyczny pan, ale sprawiedliwy.

— Więc jedźmy! — rzekła pani Latter czując, że ogarnia ją rozpaczliwe pragnienie, ażeby Mielnickiego ujrzyć czym prędzej.

„Gdyby teraz umarł — myślała — zabiłabym się albo oszalałabym...”.

Prędzej, prędzej... po spokojność, po zdrowie, może po życie!... Chłop flegmatycznie zwinął torbę z obrokiem i zaprzągnął konie do wasaga. Niewygodnie było siedzieć, wasąg trząsał, snopek słomy usuwał się spod pani Latter, ale ona nie zważała na to. Trzymając się wozu śledziła wzrokiem mgłę, z której miał wynurzyć się dwór Mielnickiego — i ratunek.

— Prędzej!... prędzej!...

Mielnicki dla pani Latter skupiał w sobie wszystkie interesa jej życia. Alboż nie on powiedział: „Rzuc pensję od wakacyj... Córkę wydamy za mąż, a syn weźmie się do roboty...”. Czy nie oświadczył, że gotów przeprowadzić rozwód, byle ona zdecydowała się wyjść za niego?... A czy nie on mówił: „Pamiętaj, pani, że masz swój własny dom. Zrobiłabyś krzywdę staremu nie rachując na mnie jak na Zawiszę...”. Albo te ostatnie wyrazy: „To, com powiedział, warte przysięgi i nie zmienię słowa, tak mi, Boże, dopomóż!...”.

Więc ona nie jest tułaczką ani sierotą, ma na świecie człowieka, któremu może zaufać... A ten dom i ten człowiek są o — tam... niedaleko stąd... Za godzinę, może prędzej, ona wejdzie do tego domu, stanie przed jedynym wiernym, jedynym uczciwym przyjacielem i powie mu:

„Straciłam wszystko i teraz pukam do twoich drzwi”.

A on:

„Trać, byle prędzej... Kiedykolwiek zajedziesz: w dzień czy w nocy, znajdziesz gotowe mieszkanie...”.

— Moje mieszkanie, w moim domu!... — zawołała pani Latter tak głośno, że wiozący ją chłop obejrzał się.

„A co ja mu wtedy powiem?... — myślała. — Tak mu powiem: daj mi ką, gdzie mogłabym przespać dobę... dwie doby... tydzień... bo czuję, że mnie obłąd ogarnia...”.

Nagle wasąg zatrzymał się w miejscu, gdzie gościniec przecinała droga boczna. Na owej drodze ukazał się powóz zaprzęgnięty we dwa dzielne kasztany, a w powozie jakiś gruby pan zawinięty w burkę, z kapturem na głowie. Gruby pan zapewne drzemał; jego twarzy nie można było poznać.

Woznica w piaskowym płaszczu trzasnął z bata, konie przeleciały jak wicher i skręciły na tę drogę, którą już przejechała pani Latter od kolei.

— Po co zatrzymujecie się? — zapytała niecierpliwie chłopca.

— Bo myślałem, że to pan Mielnicki przejechał — odparł chłop.

— Mielnicki?... stój!

— I... nie, to chyba nie on — rzekł chłop po namyśle. — On by tamtą drogą niejechał od siebie do kolei, ino tą, co my teraz jedziemy...

Zaciął swoje mierzyny i wasąg potoczył się. W kwadrans później wyjechali na pagórek, z którego ukazał się Bug.

— O, gdzie siedzi Mielnicki! — odezwał się chłop wskazując batem. W tym kierunku widać było szeroko rozlaną rzekę, a za nią ciemną kępę drzew jeszcze nagich, pomiędzy których przeświecał czerwony dach dworu.

— A o hańta izba — mówił chłop — to karczma u przewozu. Tam siądziecie na prom i za jedną zdrowąskę będzie pani we dworze.

Pani Latter zdawało się, że tego kawałka drogi już nie przejedzie. Chwilami porywała ją taka rozpaczliwa niecierpliwłość, taki niepokój, że chciała rzucić się z wozu na gościniec

i rozbić głowę. Na szczęście przypomniała sobie, że ma jeszcze trochę wina w butelce; wypila resztkę i uspokoiła się nieco.

„Naprzód do Mielnickiego, a potem spać...” — mówiła w duchu.

Ach, Mielnicki!... Gdyby on wiedział, ile na nim zależało pani Latter. W jego domu znajdzie chwilowe schronienie i sen, który ją od dawna opuścił. Mielnicki pojedzie do Warszawy, ułoży się z panną Malinowską o odstąpienie pensji, wytarguje, co się da, i spłaci dług Zgierskiego.

O, Mielnicki zrobi dla niej jeszcze więcej: on skłoni ją do zgodzenia się na rozwód z Latterem. On przytuli ją do siebie jak ojciec i będzie błagał, ażeby dla jego szczęścia nie tylko podpisała żądany akt, ale nawet, ażeby przyspieszyła kroki rozwodowe. Tym sposobem pani Latter nie będzie kobietą odepchniętą, ale taką, która odrzuciła niewdzięcznika, ażeby uszczęśliwić człowieka zacnego.

A gdy w ten sposób ułożą się materialne interesa pani Latter, gdy odpocznie i uspokoi się, gdy z zatargu z mężem wyjdzie triumfująca, wówczas Mielnicki zrobi rzecz najważniejszą: uprosi ją, ażeby przebaczyła dzieciom.

„Jakim dzieciom?... — odpowie mu pani Latter — ja nie mam dzieci!... Panna dobrowolnie zwichnęła karierę własną i brata, wypuściła z rąk świetną partię, a teraz bawi się, pływa po kanałach weneckich, śpiewa, kiedy ja — za cały przytułek mam chłopską furę i pęczek słomy... A ten panicz, lekkoduch i utracjusz, który od dawna skończył dwadzieścia lat i nie ma wytkniętej drogi w życiu!... Ile on mnie kosztował, ile wydał pieniędzy już w tym roku, ażeby lecieć za granicę i spłacić weksle, na których podpisywał moje nazwisko... Nie, ja nie mam dzieci...”.

„No, co tam — powie Mielnicki, serdecznie patrząc na nią — nie ma się o co gniewać... Helenka jest dziewczyna piękna, Solski szkaradny, więc nie podobał się jej. Cóż to, wolałabyś, pani, ażeby twoja córka sprzedała się?... Taka perła między pannami, za którą cała okolica będzie głowy tracić... Wynajdziemy jej męża jeszcze lepszego aniżeli Solski!...”.

A o Kaziu powie Mielnicki tak:

„Głupstwo! nie ma o czym gadać... Każdy młody jest lekkoduch i trwoni pieniądze, bo jeszcze nie poznał ich wartości... Ale to chłopak genialny, więc bądź pani o niego spokojna. Dam mu przez cztery lata po dwa tysiące rubli rocznie, i niech się kształci, a gdy zrobi majątek, to mi zwróci”.

Taką rolę odgrywał Mielnicki w marzeniach pani Latter i taką musi odegrać w rzeczywistości: jest to bowiem człowiek uczciwy i do niej przywiązany. Gdy zaś mężczyzna naprawdę kocha kobietę, nie ma ofiary, której by nie spełnił, owszem — o którą by się nie upominał jak o łaskę.

„A ja mu za to — myślała pani Latter z uśmiechem — będę szyła ciepłutkie kaftaniki i będę mu gotować najśodsze rumianki!... Bo przecież ten kochany staruszek niczego więcej nie potrzebuje, tylko rumianku i spokoju. Ten będzie najlepszy z moich mężów”.

### 34. CO MOŻNA SPOTKAĆ NA DRODZE

W tej chwili wóz stuknął o kamień i zatrzymał się przed karczmą, gdzie stało kilka fur i gromadka rozmawiających ludzi.

Pani Latter ocknęła się, spojrzała wokoło i usiłując skupić rozpierchnięte myśli zapytała:

— Co to jest?

— A przewóz jest — odparł furman. — Ino dziś w nocy woda wylała i prom zerwało.

Pani Latter przy pomocy chłopca i karczmarki wysiadła z wozu rumieniąc się za swój ekwipaż i za otoczenie, w jakim ją los postawił.

„Szalona jestem! — pomyślała. — Rzucać pensję... tulać się po karczmach...”.

Była dziesiąta rano. Pani Latter zapłaciła chłopu należność i zawstydzona patrzyła na odrapaną karcznię, na wózki i ludzi stojących wśród błota, a nade wszystko na ten czerwonony dach, który między nagimi drzewami majaczył po drugiej stronie rzeki.

„Po co ja tu przyjechałam, nieszczęśliwa?...” — myślała.

„A jeżeli Mielnicki zdziwi się i powita mnie jak obcą?... Przecież to obcy człowiek!...”.

Zwróciła się do karczmarki już trzymającej jej torbę i spytała:



— Pan Mielnicki tam mieszka?

— Zara za rzeką.

— A jest w domu?

— Musi, że jest. Przecie święta nadchodzą, to kuźden się domu pilnuje... A jeszcze jak woda wylała...

— Ja chcę tam pojechać... do pana Mielnickiego... — rzekła pani Latter.

— Pojechać to można, ino nam prom odniosło. Ale zaraz go tu sprowadzą, tylko patrzeć...

— A mostu u was nie ma?...

— Nigdy u nas nie było mostu. Tak się ludzie przewożą, na promie. Ale że nam prom dzisiaj w nocy złapało i odniosło w dół, a nasi dopiero za nim pojechali wierzchem, więc zaraz go tu sprowadzą — objaśniała karczmarka.

— Jakże będzie ze mną?

— A nijak. Poczekaj se pani na prom i promem śmignie na drugą stronę.

Pani Latter zaczęła niespokojnie chodzić, ze wstrętem unikając błota, w którym tonęły jej trzewiki.

— Czółna u was nie ma? — spytała.

— Ni. We dworze to musi być, ale nie u nas.

— A kiedyż prom będzie?... — mówiła z rosnącą trwogą.

— Najpóźni to na południe.

— A może dopiero wieczorem?...

— Może ta zamarudzą i do wieczora. Pojechali wierzchem, ale czy go złapali, nie wiadomo — objaśniała gadatliwa karczmarka.

Pani Latter znowu ziemia zaczęła się chwiać pod nogami. Bała się wejść do karczmy, bała się spojrzeć na niebo, gdyż zdawało jej się, że lada chwilę niebieski lazur zacznie odłupywać się jak tynk i spadać kawałami na ziemię. W głowie jej szumiało, w oczach przelatowały błyskawice.

Karczmarka, choć prosta kobieta, dostrzegła niezwykle wyraz w twarzy pani Latter, lecz przypisała to zmęczeniu.

— Niech pani wejdzie do izby — rzekła — może pani prześpi się, może co zje, a oni nadjadą... — I zaprowadziła panią Latter do swej sypialni, gdzie stały dwa wysoko zasłane łóżka i kanapka kryta perkalem. Ściany były zawieszane obrazami treści wojennej lub pobożnej.

Pani Latter usiadła na kanapce i wlepiła oczy w jeden z obrazów wyszyty włóczką i przedstawiający jakiegoś świętego. Z obocznej szynkowni dolatywał ją zaduch wódki, dym fajek i hałaśliwa rozmowa ludzi czekających na prom. Patrzyła w obraz i myślała:

„Malinowska już musi być na pensji, a z nią jej wspólnik Zgierski... Ciekawam, czy nie pogryzą się przy podziale łupu?... A jak musi triumfować Howardówna!... no, teraz zaczną się jej rządy i reformy. Nad wieczorem całe miasto mówić będzie, że uciekłam, a jutro... dowie się o tym nawet ten niedołęga Dębicki... Wyobrażam sobie jego baranią minę!... Zapewne pomyśli, że Bóg skarał mnie za niego.

Helenka naturalnie odpoczywa po serenadach, a Kazio...

Ach, czy podobna, ażeby z tak niewinnych istot jak dzieci wyrastały takie straszne potwory jak ludzie...”.

Weszła szynkarka.

— Jest prom?... — zapytała pani Latter zrywając się z kanapy

— Jeszcze nie, ale zaraz przyjadą... Tylko co ich nie widać... Może pani zgotować jajecznicę?... a może herbaty z arakiem?...

— Dajcie araku — rzekła cicho pani Latter przypomniawszy sobie, że nie ma wina.

Karczmarka przyniosła małą flaszczynę araku i szklankę. Gdy znowu odeszła, pani Latter wylała wszystek arak do szklanki i wypila duszkiem. Wstrząsnęła się; ogień uderzył jej do płuc i do głowy.

Spojrzała na zegarek: była druga po południu.

„Gdzie się ten czas podział?...” — myślała zdumiona. Zdawało jej się, że najwyżej kwadrans przepędziła w izbie karczmarki.

Znowu ogarnął ją niepokój, więc wyszła przed karczmę wyglądać promu. Ale na żółtawej, bystro płynącej wodzie nie było widać nic.

Odwróciła głowę w drugą stronę i wzrok jej padł na dach czerwieniejący między drzewami. I jakby zahipnotyzowana tym widokiem zaczęła iść ponad rzeką, ażeby stanąć naprzeciw dworu i zobaczyć go choć z tego brzegu. A może ze dworu wyjdzie w tej chwili Mielnicki i dostrzeże ją?... Tak przecie blisko...

W ten sposób odsunęła się z pół wiorsty od karczmy, z oczyma wlepionymi w drugi brzeg. Nagle — myślała, że się rzuci naprzód w pław... Naprzeciw o paręset kroków był park pełen starych drzew, a w tym miejscu, gdzie rzeka skręcała, pod ogromną lipą, widać było czarną ze starości ławeczkę... Nawet kora na lipie była pęknięta.

Marzenia pani Latter spełniły się. Oto jest park, który tyle razy widywała w swoich snach na jawie. Oto ów ubogi krajobraz, w którym mieszka cisza sięgająca od ziemi do nieba.

Pani Latter zaczęła biec nad brzegiem.

— Boże — mówiła — zeszlizj...

Czy oczy ją ludzą?... Na wzgórku między drzewami widać odwrócone białe czółno, a o kilkanaście kroków dalej przechodzi z wolna jakiś człowiek.

— Hej! człowieku... człowieku!... — zawołała rozgorączkowana.

Odwrócił się.

— Przypłyn tu czółnem...

— Nie wolno, to dworskie czółno...

— Więc idź do dworu...

Człowiek machnął ręką i szedł dalej.

— Rubla ci dam!... Zegarek!... — wołała nieprzytomna.

Odwrócił się i zniknął między drzewami.

— Człowieku... ach, człowie...

I rozkrzyżowawszy ręce rzuciła się w rzekę.

Uderzenie i przejmujące zimno otrzeźwiły ją. Nie rozumiała, gdzie jest, lecz czuła, że tonie. Rozpaczliwym ruchem wydobyła się na powierzchnię wody i krzyknęła:

— Dzieci moje!...

Nurt ją porwał i rzucił na dno. Przez chwilę brakło jej tchu, serce zaczęło bić jak dzwon pęknięty, i to była najprzykresza chwila. Wnet jednak ogarnęła ją tak wielka apatia, że nie chciało jej się nawet ręką poruszyć. Zdawało jej się, że nieznanne siły wynoszą ją na ocean bez dna i granic, a jednocześnie — że budzi się ze snu przykrego. W mgnieniu oka przedstawiło się całe jej życie, które było tylko kroplą w bezmiarze jakiegoś pełniejszego i rozleglejszego życia.

Zaczęła sobie przypominać coś, czego nigdy nie widziała na ziemi, i opanowało ją zdumienie.

„Więc to tak...” — pomyślała.

Uczuła pod ręką gałąź, ale już nie chciała jej schwycić. Natomiast otworzyła oczy, gdyż zdawało jej się, że przez warstwę żółtawej wody zaczyna patrzeć na inny świat, wolny od trosk, zawodów, nienawiści...

W kilka minut po tamtej stronie rzeki człowiek, z którym rozmawiała pani Latter, i jakiś drugi przyszedli z wiosłami. Zaczęli przypatrywać się, wołać; wreszcie powoli odwrócili leżące czółno, zepchnęli na wodę i przepłynęli na tę stronę.

— Uwidziało ci się — rzekł drugi człowiek. — Tu przecie nie ma nikogo...

— Ale, uwidziało mi się!... Przecie mi rubla obiecywała — odpowiedział pierwszy.

— Pewnie jej żal było rubla i wróciła do karczmy... A to co?...

Spostrzegli na brzegu parasolkę. Szybko przymocowali czółno do krzaków i wysiadłszy zaczęli obaj oglądać się niespokojnie. Ale choć na wilgotnej ziemi pokrytej zeszłoroczną trawą znać było ślady trzewików, osoby nie znaleźli.

— Chyba potknęła się i wpadła?... — rzekł pierwszy.

— Uuu!... Jezusie, Mario, cóżes ty mi, człowieku, narobił?... — biadał drugi. — A toć, jeżeli się utopiła, będą nas ciągały po sądach...

— Wola boska!... Płynimy do przewozu; może tak prędko do karczmy uciekła...

Popłynęli do karczmy i dali znać, że stał się wypadek z nieznaną panią. Karczmarz, karczmarka, gromada chłopów i bab czekających na przewóz rozbiegli się wzdłuż rzeki, wołali, wypatrywali, lecz nie dojrzel nic.

Około szóstej wieczorem, gdy wrócił oczekiwany prom, dwaj przewoźnicy siedli w czółno i płynąc w górę rzeki spostrzegli zaplątaną w krzakach nogę... Tam leżały zwłoki pani Latter o kilkanaście kroków od lipy i ławeczki, przy których miały się spełnić jej marzenia.

Odwieźli ją do przewozu, próbowali cucić, wreszcie położyli w rowie obok gościńca. A że miała otwarte oczy i ludzie bali się, więc karczmarz nakrył ciało starym workiem.

I tak leżała cicho, z twarzą zwróconą do nieba, już tylko stamtąd wyglądając miłośrdzia, którego nie mogła doczekać się na ziemi.

W tej samej godzinie Madzia odbierała od panny Malinowskiej trzymiesięczną pensję, a Mielnickijechał, co koń wyskoczy, od stacji kolejowej do przewozu, pewny, że zastanie panią Latter.

„Teraz nie wykręci mi się kobieta — myślał. — Rozwiódę i ożenię się... To będzie gospodarowała!... To mi się dom ożywi!...”

### 35. PRZEBUDZENIE

Zdawało się Madzi, że tonie w niezmiernym ognisku: jej ręce i nogi już spopielaly — oddycha płomieniami — zamiast głowy ma żelazną kulę rozpaloną do czerwoności, a zamiast języka — żarzący węgiel.

Już nie chciała żyć, tylko — nie cierpieć. Więc gdy spadł na nią sen, ciężki jak rzeka roztopionego ołowiu, jęknęła, ale nie z obawy. Owszem, radowała się, że ognie, które męczyły jej wzrok, stopniowo bledną, potem czerwienieją jak zachód słońca, a ona sama leci w bezdenną otchłań, gdzie robi się coraz ciemniej, ale i coraz chłodniej.

Koniec?... Jeszcze nie. Bo otóż ogarnął ją przykry zapach octu. Widać, że zamiast do otchłani spadła w komin, gdzie na dnie znajduje się rozpalona angielska kuchnia, na którą lano ocet.

„Ach, jak to... ach, jak to... ach, jakie to ostre!...” — myślała.

Octu musiało być dużo, ponieważ otoczyły ją ze wszystkich stron gęste obłoki; ocean obłoków, w których pływała wysoko nad miastem. Oczywiście nad miastem, gdyż słycać dzwony: w uszach, w głowie, w szyi, w piersi, w rękach i w nogach. Dziwne dzwonienie!... „To po mnie dzwonią — myślała Madzia. — Ja jestem pani Latter i ja utopiłam się... Więc pytają mnie żalobnym dzwonieniem: po coś ty to zrobiła?... Przecie zostawiłaś dzieci, pensję?...”

Białe tuman obłoków rozsunał się i ujrzala jakąś twarz. Była to dobra twarz człowieka z siwymi włosami i krótko ostrzyżonymi faworytami.

„Kto jest ten staruszek?...”

I przyszło jej na myśl, że obok niej w kłębach ostrej pary leży jakaś druga osoba, a że staruszek jest doktorem i ojcem tamtej drugiej.

Dzwony wciąż były: w głowie, szyi, w rękach, jedne basowymi, inne wiolinowymi tonami, i — rozmawiały między sobą:

— Feliksie, proszę cię, wezwij Brzozowskiego!...

— Nigdy. Nie pozwolę truc mego dziecka.

— Widzisz przecie, że to jest...

— Lekki... bardzo lekki...

— Więc poszłę po księdza...

— Żadnych księży, żadnych konowałów...

— O, cóż ja pocznę, nieszczęśliwa!... — lkał wiolin.

— Uspokój się i zostaw ją w spokoju... Przecież to i moje dziecko... Spokoju, tylko spokoju...

Pragnęła odpowiedzieć jęklwym dzwonom czy rozżalonym ludziom: „ja wszystko słyszę!...” — ale nie chciało jej się ust otwierać.

Ten biały obłok to nie tuman octu, ale bardzo delikatnego puchu albo śniegu, który jednak nie jest zimny, lecz ciepły. Niekiedy wygląda to jak zwoje koronki, która nieznacznie rozsuwa się, rozsuwa... I widać krzak bluszczu, a na jednym z listków kołysze się chłopczyk, malutki jak palec. Wtem przylatuje wróbel i chce chłopczyka dziobnąć w główkę. Ale chłopczyk roześmiał się i ukrył głowę pod liść, a zdziwiony wróbel wachlował w miejscu skrzydłami, brzęcząc jak pszczoła.

Krzak bluszczu odsuwa się, a ona sama... Boże, jak ona rośnie!... Jej ręce i nogi już dotknęły kresów horyzontu i horyzont ucieka... Rosnąc tak, leży na niezmiernej, lazurowej płaszczyźnie, po której tu i owdzie snują się złote i różowe obłoki, i — myśli:

„Co ja jestem?... Czy jestem niczym... czy obłokiem, jednym z tych oto?... Czy naprawdę jestem panią Latter, która się utopiła?... A może ona nie utopiła się, bo po coś miałyby się topić?...”

I kiedy tak myśli, widzi, że jeden stojący na boku obłoczek zaczyna przybierać rys ludzkiej twarzy. Jest to kobieta z pożółkłym obliczem, z wielkimi, zapadniętymi oczyma, z których wygląda trwoga. Czy to jest pani Latter?... Nie, to jest panna Marta, gospodyni pensji... Ależ nie, to przecież jest blondynka poproszona siwizną. Ach, już przypomina sobie. Ta kobieta kiedyś, kiedyś... o, bardzo dawno, podnosiła ją, coś wlewała w usta, coś kładła na głowę, a czasami klękała przed nią z płaczem i całowała jej nogi. „Kto to jest?... kto to jest?... Bo jest to ktoś znajomy?...”

Pożółkła twarz kobieca zbliżyła się do jej twarzy; zatrwożone oczy wpatrywały się w nią z miłością i w tej chwili na czoło chorej upadła łza. Spłynęła jej na policzek, na szyję, potem stoczyła się na piersi i — nagle... Zdawało się, że na jej rozpalone ciało zaczyna padać gęsta rosa łez chłodnych i kojących... Gdzie padły, uciekał ogień i ból, pierzchało odrętwienie, a za każdą łzą budziła się myśl, pamięć i jakieś spokojne szczęście, na które w ludzkim języku nie ma wyrazów.

Chora poruszyła się na łóżku, wyciągnęła przed siebie wilgotną rękę, lecz ręka opadła na piersi.

— Mamo... — szepnęła.

— Poznajesz mnie, Madziu?... — krzyknęła siwiejąca kobieta. — Poznajesz?... moje ty życie... mój skarbie... O, jest Bóg miłosierny, który mi ciebie powrócił...

— Spokoju, mateczko... spokoju... — odezwał się łagodny męski głos.

— Patrz, Feliksie — mówiła szlochając kobieta — ona mnie poznała... Jak ona potnieje...

— Właśnie na dziś spodziewałem się przesilenia... Chodź, mateczko... Zostawmy ją w spokoju...

Odeszli, a w sercu Madzi zbudziła się trwoga. Już odzyskała świadomość, lecz po to tylko, ażeby uczuć, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Myśli płaczą się, słuch tępieje, oczy zachodzą mgłą i mrokiem.

„Ja umieram!...” — chciała zawołać, ale głos zastygł i opanowała ją noc i bezwładność.

Kiedy znowu obudziła się, pierwszym uczuciem było radosne zdumienie.

„Jestem w domu — pomyślała. — Ale miałam szkaradne sny!...”

Leżąc na łóżku, z trudnością poczęła się oglądać. Oczywiście musi być wczesny ranek, gdyż okna są zasłonięte, a tylko przez szklane drzwi między dywanem, który je zasłaniał, i ścianą wlewała się z ogrodu smuga światła.

„Ale dlaczego ja śpię w saloniku?” — mówiła do siebie.

Tak, to salonik. Komoda, duże lustro zasłonięte prześcieradłem, meble kryte szafirowym adamaszkiem, który wypłowił, dwa okna od ulicy i szklane drzwi od ogrodu. Nawet fortepian stoi w kącie, okryty szarą płachtą.

— Ale dlaczego ja tu śpię?... — szepnęła.

Powoli, jak przez mgłę, zaczęła sobie przypominać wyjazd z Warszawy poprzedzony telegramem Mielnickiego o utopieniu się pani Latter... (Więc byłaby to prawda?... ) Potem przyszło jej na pamięć, że wróciła do domu w dzień słotny, że witała ją młodsza siostra, Zosia, i jacyś dwaj panowie: jeden młody, drugi starszy, ale obaj przyjemni. I jeszcze pamiętała, że matka, patrząc na nią z obawą, zapytała: „Tobie coś jest, Madziu?...” a ojciec wziął ją za puls, obejrzał język i kazał iść do łóżka.

„Zmęczyła się i przemokła” — powiedział ojciec.

„Może by posłać po Brzozowskiego?...” — rzekła załękniiona matka.

„Żadnych konowałów, żadnych trucizn — odparł ojciec. — Spokoju dajcie jej trochę, a będzie dobrze”.

No, i jest dobrze, tylko te okropne sny!...

Drzwi salonu skrzypnęły i Madzia usłyszała rozmowę:

— Wino doskonałe, proszę pani dobrodziejki, maślacz... Eisenman przysiągł, że tylko dla państwa oddaje za trzy ruble butelkę — mówił męski głos.

— Dla pana, nie dla nas — odpowiedziała matka Madzi. — Pozwoli pan, że zwrócę...

— Cóż tak pilnego, pani dobrodziejko?... Owszem, byłoby mi bardzo przyjemnie...

Madzia otworzyła oczy, ażeby zobaczyć owego mężczyznę, lecz zobaczyła tylko matkę, która na palcach podeszła do komody i wydobyła portmonetkę. W smudze światła od ogrodu Madzia poznała swoją portmonetkę.

„Pewnie mama nie ma drobnych” — pomyślała Madzia.

— Wyda mi pan z dziesięciu rubli? — zapytała matka.

— Służę pani dobrodziejce. Chociaż byłoby mi przyjemnie, gdybym miał zaszczyt ofiarować pannie Magdalenie... — mówił cicho mężczyzna stojący za drzwiami. — Więc już po przesileniu?... co za szczęście!... Wczoraj byłem w kościele i całą mszę modliłem się na intencję...

Madzia usłyszała szelest banknotów, szastanie nogami, zamykanie drzwi.

Mężczyzna odszedł.

— Także amator! — szepnęła matka stojąc nad łóżkiem.

Madzia odgadła, że matka wpatruje się w nią; lecz że przed chwilą jej oczy same zamknęły się, więc nie miała siły ich otworzyć. Uczuła delikatny pocałunek na czole i znowu usnęła.

Od tej pory Madzię opuściły straszne wizje, choć usypiała po kilka razy na dzień. Teraz jej sen bywał tak głęboki i nagły, że niekiedy obudziwszy się chciała dalej ciągnąć rozmowę zaczęłą przed paroma godzinami.

Każde przebudzenie było dla niej niespodzianką; najzwyczajniejsze rzeczy wydawały się czymś nowym, jakby dopiero co przyszła na świat albo wróciła z innego. Nie mogła oderwać oczu od powoju, który między dwoma oknami piął się po ścianie, i znajdowała przyjemność rozmyślając nad tym: kto zrobił powój i czy podobna, ażeby te giętkie łodygi i ciemnozielone liście wyrosły same przez się, bez pomocy mistrzowskiej, choć niewidzialnej ręki? Jeszcze bardziej zachwycał ją widok muchy, która niekiedy siadała na pikowej koldrze. Ze zdumieniem pytała: jakim sposobem ta drobna maszynka może biegać, a nawet latać? jak może być głodną, zaciekawioną albo przestraszoną?

„Widocznie ona czuje tak samo jak i ja. Może nawet w tej chwili patrzy na mnie i dziwi się, że istnieją takie wielkie i niezgrabne potwory jak ludzie” — mówiła zbliżając przezroczyste palce do muszki.

Ale mucha odleciała, a nad Madzią odezwał się głos męski:

— No, no, no! Już przypominasz sobie wprawy na fortepian?

— Nie, tatku — odpowiedziała — ja chciałam bawić się z muszką.

— Co wygadujesz, Madziu?... — wtrąciła stojąca obok matka. — Dorosła panna bawi się muchami?...

— Bardzo dobrze — odparł ojciec — to dowodzi, że siły wracają nie nagle, lecz stopniowo... Jakże się czujesz? — zapytał po chwili.

— Jeść mi się chce.

— Jadasz, kochanie, co godzinę — rzekła matka. — Mleko, rosół, wino...

— Dawajcie jej mleko i rosół co trzy kwadransy — odpowiedział ojciec.

— I nudzę się, tatku... Dlaczego tu jeszcze ciemno?

— Nudzisz się? to bardzo dobrze, moje dziecko. Dziś można odsłonić tę roletę z boku... Trzeba także uchylić drzwi od ogrodu...

— Ależ, Feliksie, to jej zaszkodzi!... — oponowała matka.

— Mów tak, mów... — rzekł ojciec. — Pięknie będzie wyglądał rodzaj ludzki, gdy zaczniesz wierzyć, że mu szkodzi świeże powietrze i słońce.

Rodzice odeszli, wtem Madzia zawołała:

— Tatku... tatku!...

— Co, kochanie?

— Ja tatki jeszcze nie pocałowałam ani tatko mnie... Tak przecie nie można...

Ojciec wrócił, usiadł na łóżku, wziął chorą za obie ręce i całując ją rzekł:

— Owszem, dzisiaj pieściliśmy się dwa razy.

— Nie pamiętam... — szepnęła z trwogą.

— A czy pamiętasz — mówił pochylony nad nią — kiedy w pokoju matki siadywałem nad twoją kołyską?... A pamiętasz, jak huśtałem cię na kolanach albo jak bawiłaś się moim zegarkiem?... A pamiętasz, jak tu, w tej salce, kazałaś mi wydobywać spod stołu kotka, który wymknął ci się z rąk?... Nie pamiętasz, bo byłaś malutka... I dziś jesteś małe dziecko, które śpi dwadzieścia godzin na dobę, a przez sen pije mleko... Tylko wówczas musiałaś rosnąć całe lata, a dzisiaj urośniesz w ciągu kilku dni i znowu zrobisz się dużą panną, do której już zaczynają pukać kawalerowie...

— Feliksie! — zgromiła go matka.

Innym razem obudziła Madzię rozmowa prowadzona w otwartych drzwiach.

— Czy to grzecznie zakradać się do panińskiego pokoju?... — mówiła śmiejąc się matka.

— Ach, pani!... stokrotnie przepraszam, ale daję słowo honoru, że nawet nie spojrziałem. Wyszukałem w ogrodzie podstawkę, nalałem wody, ułożyłem to... i widząc, że drzwi są otwarte, chciałem postawić na podłodze... No, ale panna Magdalena mogłaby przyjmować wizyty, tak cudownie wygląda... — mówił jakiś mężczyzna.

— Zmizerniała.

— Madonna... istna Madonna!... — wzdychał mężczyzna składając ręce.

— Bałamut z pana Ludwika... powiem to Femci...

— E... panna Eufemia!... Nie mogę przecież współzawodniczyć z urzędnikiem pocztowym...

W tej chwili Madzia uczuła śliczny zapach. Uchyliła powieki i na stoliku, niedaleko łóżka, ujrzała glinianą miseczkę pełną fiołków. Zobaczyła też, że we drzwiach ogrodowych rozmawia z jej matką jegomość dobrze szpakowaty, z bujnymi faworytami i monoklem w oku. Uderzyło ją, że pan ten ma krótką kurteczkę, cienkie nogi i wykonywa takie ruchy, jak gdyby go krzyż bolał.

— I jeszcze siostra prosiła, ażebym zapytał: czy szanowna pani nie potrzebuje?... — mówił jegomość.

— Ach, dziękuję... choć może w tym tygodniu będę prosić... Nie uwierzycie państwo, ile mamy kłopotu z dłużnikami... Każdy zwleka do ostatniej chwili — mówiła matka odchodząc z gościem w głąb ogrodu.

„Co to znaczy?” — myślała Madzia przeczuwając, że zakończenie rozmowy niedobrze świadczy o pieniężnych zasobach rodziców. I pot wystąpił jej na czoło z trwogi: przypomniała sobie kłopoty pieniężne pani Latter.

„Boże mój, czyby i mamie brakło?...” — mówiła przerażona. Lecz przyszło jej na myśl, że przecież ona ma trzy tysiące rubli po babce, i — uspokoiła się.

— Mamo, co to za fiołki? — zapytała głośno, widząc, że matka powróciła z ogrodu.

— Aha, już spostrzegłaś kwiatki? To przyniósł pan Krukowski...

— Nie znam go.

— Poznałaś go przecie, gdyś wróciła z Warszawy... Choć prawda, żeś mało kogo poznawała wówczas, biedaczko... Aa... cośmy tu przeżyli!... no, ale dzięki Bogu, już przeszło, jesteś zdrowa... Otóż pan Krukowski od kilku lat sprowadził się do nas ze swoją siostrą. Jest to wdowa majątna, ma ze dwakroć sto tysięcy złotych, a brat mieszka przy niej i kiedyś wszystko odziedziczy. Zaprzyjaźnili się z nami, bo ona, przeszło sześćdziesięcioletnia kobieta, cierpi na reumatyzm i leczy się u ojca, a znowu Krukowski kocha się w Femci i ciągle ze mną rozmawia o niej.

— Dlaczegoż się nie żeni?

— Nie rozumiem — odpowiedziała matka wzruszając ramionami. — Jest to dobry człowiek, ale oryginał czy taki niestały... Coraz podoba mu się inna panna. Siostra chciałaby go ożenić, ale on jeszcze nie trafił na swoją — dodała zamyślona.

Madzia odzyskiwała zdrowie tak prędko, że ojciec kazał poodsuwać rolety, pozwolił rekonwalescentce jeść potrawkę z kurczęcia, a nawet przyjmować krótkie wizyty.

— Gości przyjmuj — mówił do Madzi — tylko sama nie rozmawiaj.

### 36. STARE I NOWE ZNAJOMOŚCI

Pierwszą wizytę złożyła im pani podsędkowa ze swoją córką, Eufemią. Przywitały się serdecznie jak dawne przyjaciółki. Przy okazji Madzi przyszło na myśl, że gdy ją odwożono na pensję do Warszawy, Femcia miała dziewiętnaście lat i pani podsędkowa kazała Madzi nazywać ją: panną Eufemią.

— Bo widzisz, moja deroga — mówiła z afektacją podsędkowa — ty jeszcze jesteś dzieciątko, a Femcia już mogłaby iść za męża...

I przez kilka lat, ile razy Madzia przyjechała do rodziców na wakacje, traktowała Femcię jako osobę dorosłą i nazywała ją: panną Eufemią.

Dopiero w roku zeszłym, gdy Madzia ukończyła pensję, pani podsędkowa nagle rzekła do niej, jak zwykle sznurując nieco usta:

— Deroga Madziu, dlaczego Femcię nazywasz panią?... Mów jej po perostu: Femciu, bo wszakże jesteście rówieśniczki.

I wykonywała przy tym ręką ruchy okrągłe i bezcelowe.

Madzia zrazu nie śmiała panny Eufemii nazywać po imieniu; lecz dorosła rówieśniczka serdecznie ucałowawszy ją rzekła:

— No, powiedzże: ty... ty... ty Femciu...

— Ty... ty... ty Femciu... — powtórzyła Madzia rumieniąc się powyżej czoła.

— Ot, widzisz, i jest dobrze! — rzekła Femcia. — Nie wiem, po co zaprowadzili ludzie między sobą tyle podziałów: ten młody, tamten stary, ów ma zbyt małą posadę... Skutkiem czego wszyscy nie lubią się, a panny nie wychodzą za męża...

W dniu wizyty pani podsędkowa z matką Madzi usiadły na kanapie, Femcia zaś, po dziesiąty raz ucałowawszy rekonwalescentkę, rzekła:

— Wiem, że z tobą rozmawiać nie można, więc ażeby mnie nie wzięła pokusa, pójde do okna, a ty drzem sobie...

I usiadła w oknie, poza którym między kwiatami przesunął się jakiś cień.

— Pana Zedzysława nie spodziewa się pani na wakacje? — pytała podsędkowa.

— Bardzo wątpię — odpowiedziała z westchnieniem doktorowa. — Jak tylko skończył instytut technologiczny...

— Ze żelotym medalem — wtrąciła podsędkowa.

— ...zaraz wstąpił na praktykę do fabryk i już pracuje na siebie.

— Pisał mi z Petersburga kuzyn mego męża (pracuje w Ministerium Sprawiedliwości), że pan Zedzysław ma świetną karierę przed sobą. Wynalazł jakąś maszynę...

— Nową farbę... — wtrąciła doktorowa.

— Tak, zerobił jakąś farbę, która zjednała mu renomę w Petersburgu. Pisał kuzyn męża, że nadzwyczajna przyszłość czeka tego młodzieńca, lecz że zanadto jest zamknięty w sobie pan Zedzysław, że nie udziela się towarzystwu...

— Pracuje! — rzekła matka z westchnieniem.

— Tak... i nieco szopenuje...

— Szopenhaueruje, mameczko — odezwała się panna Eufemia spod okna. — Szopenhauer był to filozof, pesymista: utrzymywał, że życie jest nieszczęściem, i nienawidził kobiet — mówiła panna Eufemia oskubując jakąś gałązkę i wyrzucając listki przez okno.

Pani podsędkowa kiwała głową.

— Słyszysz pani?... — rzekła cicho do doktorowej tonem, który oznaczał, że jej córka jest bardzo wykształconą osobą i że to wielkie ukształcenie nie jest oceniane w małym miasteczku.

Ale doktorowa nie myślała w tej chwili o pannie Eufemii.

— Zdzisław — rzekła doktorowa wzdychając — był pesymistą, dopóki zdawało mu się, że dla nas jest ciężarem. Dziś, gdy już sam się utrzymuje, nie rozpacza jak dawniej... Za to pisze coraz krótsze listy...

Podsędkowa na znak, że daleko mniej obchodzi ją pan Zdzisław aniżeli panna Eufemia, zamiast słuchać, patrzyła w okno od ulicy. I na nieszczęście za kurtyną kwiatów dostrzegła cień, który miał wszelkie pozory urzędnika pocztowego.

— Femciu — rzekła — zdaje mi się, że coś wyrzucasz przez okno...

— Listki, mamoo...

— Dero gie dziecię — mówi ła podsędkowa z afektacją — pani enka twego stanowiska nie powinna wygłędać oknem ani wyrzucać listków na ulicę. Bo czy wiesz, kto może podnieść listek i jakie nierozsądne nadzieje z tego wysnuć?... W yjdź, Femciu, do ogródka, pobujaj trochę między kwiatkami...

Posłuszna córka wyszła z postawą Marii Antoniny idącej na rusztowanie.

— Wysłałam ją — rzekła podsędkowa — ażeby nie była świadkiem naszej rozmowy — (wyraz: świadkiem wypowiedziany był: *sewiatkiem*). — Nie chcę, ażeby to niewinne dziewczę nawet domyślało się zuchewalstwa czy szaleństwa, które około niej krąży...

Doktorowa chciała zrobić uwagę, że i Madzia jest niewinnym dziewczęciem, i także nie powinna by wszystkiego słuchać. Wstrzymała się jednak, widząc, że Madzia leży spokojnie i ma oczy zamknięte.

— Jest pani serdeczną przyjaciółką naszej rodziny — zaczęła podsędkowa z głębokim westchnieniem — więc wtajemniczę panią w moje nieszczęście... Niech sobie pani wyobrazi, że ten sekretarz pocztowy, ten Cenaderowski, zakochał się bez nadziei w Femci... Ubolewam nad jego szaleństwem, choć może mniej dziwiłabym się, gdyby ten człowiek nie zajmował tak niskiego stanowiska...

— Ojciec, zdaje się, jest zamożny... — wtrąciła doktorowa.

— Jakiś tam rządcą!... Tymczasem Femcia jest kobietą wyższą... Czy uwierzy pani, że ona w tajemnicy przede mną i ojcem od dwunastu lat prenumeruje „Przegląd Tygodniowy”... No, i to ciągle odebieranie pisma z poczty naraziło ją na stosunki z panem Cenaderowskim.

— Ile to osób bywa na poczcie... Któż zresztą zabroni młodemu człowiekowi kochać się?... — odezwała się doktorowa.

— Zgadzam się z panią, może nawet miałabym litość dla nieszczęśliwego, gdyby nie pewna komplikacja... Pani wie, że Kerukowski poważnie zajął się Femcią... Ponieważ jest to partia stosowna, więc byłam gotowa poświęcić moje macierzyńskie uczucia i oddać mu Femcię. Tymczasem Cenaderowski zaczął prześladować (spojrzeniami tylko i westchnieniami) Eufemię i — Krukowski od trzech tygodni nie był u nas...

„Od czasu, gdy zobaczył Madzię!...” — pomyślała doktorowa.

— Mnie nie wypada... — mówiła podsędkowa spuszcżając oczy — Ja i Femcia wolałybyśmy umrzeć aniżeli robić mężczyźnie tego rodzaju awanse... Ale pani, która była tak dla nas dobra, tak pielęgnowała tę miłość dwu istot, niewątpliwie stworzonych dla siebie...

— Cóż ja mogę zrobić? — odpowiedziała doktorowa ślubując w duchu, że nic nie zrobi dla połączenia panny Eufemii z Krukowskim.

— On ciągle bywa u państwa, jego siostra tak państwa kocha... Gdyby więc zedarzyła się sposobność powiedzenia mu, że ja i Femcia jesteśmy oburzone na Cenaderowskiego i że obie jesteśmy bardzo życzliwe panu Ludwikowi...

— Mnie się zdaje, proszę pani, że to ułoży się samo — rzekła doktorowa. — Zaczepiać pana Krukowskiego nie mogę, bo on zna nasze stosunki z domem państwa... Najlepiej zostawić to czasowi...

— Może pani ma sełuszność. Zresztą, jeżeli pan Ludwik zaczyna być zazdrosnym, to sprawa powinna wykelarować się w tych czasach...

— Sama przez się — wtrąciła doktorowa, z góry uolewając w duchu nad niepowodzeniem owej sprawy.

„Już ja widzę, że on zajął się Madzią od chwili jej przyjazdu; ale ani gonić za nim, ani też nawracać go Femci nie będę”.

Niebawem pani podsędkowa przypomniała sobie, że tak Madzia jak i jej matka potrzebują spoczynku i — pożegnała doktorowę. Panna Eufemia przechodząc przez salon zbliżyła się na palcach do łóżka Madzi i ucałowawszy w powietrzu jej włosy położyła na koldrze jakiś biały kwiatek, i — zawsze pełna poetycznego uroku — znikła za drzwiami.

„O, starzeje się panna Eufemia — rzekła do siebie nie bez zadowolenia matka Madzi. — Robi się przesadzona, szyjka żółknie, dwadzieścia siedem latek przeszło...”.

Madzia już zaczęła podnosić się, siadać na łóżku, nawet czytać książkę. W ciągu kilku ostatnich dni zrobiła ciekawe spostrzeżenie. Oto, ile razy zbliżał się czas południowego posiłku, na który przynoszono jej rosół, skrobany befszytk i kieliszek wina, w ogródku



działy się dziwne rzeczy. Nie wiadomo skąd zaczynały padać kamyki potrącając gałęzie drzew, niekiedy tocząc się po dachu.

Zjawisko to Madzia tłumaczyła w sposób zarówno prosty, jak pesymistyczny. Murowany dom rodziców był stary i oczywiście z wolna rozsypywał się w gruzy, bo rodzice nie mieli go za co naprawić. Ale dlaczego proces rozsypywania trafiał się tylko w południe? Madzia i na to miała odpowiedź: sama natura szelestem padających kamyków mówiła do niej:

„Jadaj, wyrodna córko, jadaj mocne rosoly, pij wino, podczas gdy biedny twój ojciec nie ma bezpiecznego dachu nad głową...”.

Czasami Madzia miała zamiar oświadczyć matce, że nie chce tak kosztownego posiłku i że w ogóle nic jeść nie chce. Ale głód był tak silny, a zapach befsztyku tak ponętny, że nie mogąc przezwyciężyć się, jadła — z sercem pełnym wzdąrcia dla siebie.

Pewnej nocy wybuchła krótko, ale gwałtowna burza; zdawało się, że woda zaleje ziemię, błyskawice spalały niebo, a grzmoty roztrzęsą miasteczko i już nic nie zostanie na świecie. Z rana jednak przekonała się Madzia, że wszystko stoi na miejscu, a dzień jest wyjątkowo piękny.

Pamiętny to był dzień; około dziesiątej bowiem ojciec przypatrzawszy się Madzi rzekł: — Panienska dziś wstanie.

Cóż to była za radość! Chłopak usługujący wyczyścił jej pantofelki, jak lustra, matka wyjęła z szafy perkalowy szlafroczek, który jakaś tajemnicza wróżka wyprała i obszyła nowymi koronkami (po trzynaście groszy lokiec). Niania wygrzała bieliznę, a kucharka obiecała usmażyć befsztyk na cały talerz.

Ubrano Madzię, otworzono szklane drzwi, ojciec wziął ją pod jedną rękę, matka pod drugą i wyprowadzili ją na ogród. Dwa wróbelki, które przed chwilą wydzierały sobie leżące na ziemi piórko, na widok Madzi przerwały spór i zaczęły się przypatrywać. Potem uciekły i zapewne zwołały inne ptaki, bo w jednej chwili ogród zappełnił się świergotaniem. Kasztan pękiem szmaragdowych liści potrącił Madzię w głowę, jakby chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

Jednocześnie powitała ją otwarta altanka, a czarna ze starości ławka wysunęła naprzód nogę, jakby pragnąc biegnąć naprzeciw niej. Każda wiśnia, jabłonka, grusza, każdy krzak malin i porzeczek, każda grządka truskawek okrytych w tej chwili kwiatami przypominały się Madzi; a nie mogąc zawołać wabiły zapachem albo wyciągały do niej zielonością okryte gałęzie.

Nawet kamień, który Madzia będąc małą dziewczynką wtoczyła kiedyś z bratem w kąt ogrodu, wynurzył się z cienia pod parkanem i patrzył na nią jak starzec usiłujący przypomnieć sobie dawną znajomość.

Zaczęli się też zbierać ludzie. Kucharka pocałowała Madzię w rękę, chłopiec podał jej krzesło, a niania okryła ją szalem. Skrzypnęła furtka od ulicy i weszli jeden za drugim najdawniejsi przyjaciele rodziców. Osiemdziesięcioletni major z ogromną fajką na giętym cybuchu, proboszcz, który ją chrzczył, podsędek. Proboszcz dał jej złoty medalik, podsędek pocałował w czoło, a jakiś krótko ostrzyżony młody człowiek ze sterczącymi blond wąsikami ofiarował jej półfuntowe pudełko angielskich cukierków mówiąc:

— Może pani dobrodziejka śmiało skosztować, bo Eisenman przysiągł, że te farby wcale nie są szkodliwe...

Madzia nie wiedziała, co robić: czy brać od nieznajomego cukierki, czy witać kochanych gości, czy uciec w ogród, który ją wołał do siebie?...

Gdy zaś major, podobny z zarostu do osiwiałego niedźwiedzia, nie wyjmując fajki z ust przytulił jej głowę do swych piersi i zamruczał:

— Coś ty nam zmartwienia narobiła, dziewczyno!...

Madzia rozplakała się, a za nią matka, niania i kucharka...

— Oho, ho!... — krzyknął major — już baby zaczynają... Nie ma co tu popasać... Daj szachy, doktorze...

— Nie wiem, czy wypada tak obcesowo?... — rzekł proboszcz...

— Ależ bardzo prosimy — odezwała się matka Madzi. — Przecież straciliście panowie kilka tygodni.

— W takim razie — odparł ksiądz — przypominam, że na mnie kolej grać pierwszą partię z majorem.

— Przepraszam... — wtrącił podsędek.  
— Proboszcz ma rację — przerwał major.

I odeszli do gabinetu doktora, gdzie po chwili rozległ się hałas szachów wysypywanych na stół i wrzaskliwy głos majora, który utrzymywał, że on powinien grać białymi.

— Losujmy, kochany majorze, losujmy — nalegał proboszcz.

— Los tylko głupim pomaga... żadnych losowań!... Wczoraj ksiądz grałeś białymi!... — krzyczał major z takim gniewem, jak gdyby proboszcz godził na jego honor albo portmonetkę.

Ogrodowa furtka znowu otworzyła się i na ulicy słychać było rozmowę:

— Nie przejedziesz, Luciu... o Boże!... — jęczał głos kobiety.

— Tyle razy wjeżdżaliśmy tędy, siostruniu — odparł głos męski.

— Ale... o Boże!... Luciu...

— Figur nie stawia się na czterech polach, tylko na jednym! — huknął major.

— Co majorowi znowu! — irytował się proboszcz.

W furtce ukazała się osobliwa grupa. Na wózku dla paralityków, z parasolką w jednej, z koszykiem kwiatów w drugiej ręce, wjechała szczupła i żółta dama, w czarnej atlasowej sukni, obwieszona jubilerskimi wyrobami. Na szyi miała złoty łańcuch i broszkę z szafiru, przy pasie ogromny złoty zegarek, na rękach po dwie złote bransolety. Wózek popychał znany już Madzi pan Krukowski, któremu co chwilę wypadał z oka monokl.

Na widok tej pary młody człowiek ze sterczącymi wąsikami nagle cofnął się do saloniku, a potem do pokoju szachistów. Tymczasem zjechał wózek z damą, która już przypatrywała się Madzi przez binokle ze złotą rączką.

— Co za gość!... co za gość!... — zawołała doktorowa biegnąc naprzeciw.

Wózek stanął obok Madzi, pan Krukowski zaś pięknie skłoniwszy się podał rekonwalescentce koszyczek pełen konwalii i fiołków.

— Jakżem szczęśliwy, że widzę panią zdrową! — rzekł pan Krukowski i czule pocałował Madzię w rękę.

— Ładna, ładna!... — mówiła krzywiąc się i lornetując Madzię dama w wózku. — Powinam była czekać, aż pani do mnie przyjdiesz, panno... panno...

— Magdaleno — wtrącił Krukowski.

— Ale Ludwik tak na mnie nalegał, tak ciągle wspomina o pani...

— Siostruniu!... — jęknął pan Ludwik.

— Czy nie mówię, że ładna?... — przerwała mu niecierpliwie siostra. — Twarzyczka w stylu... w stylu...

— Rafaelowskim — szepnął brat.

— Murylowskim — poprawiła siostra. — Ale i ta cię znudzi jak inne...

— Siostruniu!... — wybuchnął brat, a zgromiony spojrzeniem uciekł do pokoju szachistów.

— Pani miała tyfus? — zaczęła dama na wózku, obracając lornetkę — ciężka choroba, ale nie to co moja... Od sześciu lat nie mogę zrobić kroku o własnej mocy, przykuta do miejsca, zależna od ludzkich kaprysów. I gdyby nie ojciec pani, może już do reszty straciłabym władzę w rękach i nogach, a nawet życie, co, jak sądzę, nie wywołałoby wielkiego żmartwienia... Pani doktorowo, czy nie mogłabym prosić o szklanek wody z kropelką czerwonego wina?

— Może sodowej? — spytała matka Madzi.

— Owszem! — westchnęła dama. Gdy zaś zostały same z Madzią, rzekła:

— Może byśmy podeszły tam... pod kasztan...

Madzia pomimo osłabienia potoczyła wózek pod kasztan.

— Siądź pani przy mnie... weź krzesło... — mówiła biadającym głosem dama. — Poznajmyż się bliżej, zanim... ach, Boże!...

Okrzyk ten wywołany został upadkiem kamienia, który niedaleko wózka uderzył w ziemię.

„Znowu wali się dom!...” — pomyślała Madzia spoglądając na słońce, które istotnie wskazywało czas posiłku.

Drugi kamyk przeleciał między gałęzmi kasztana.

— Boże, zabiją mnie!... — krzyknęła sparaliżowana dama.

Madzia schwyła ją za głowę, zasłaniając własnym ciałem.

— Co to jest?... Okropność... — wołała dama.

Trzeci kamień uderzył w dach, z hałasem stoczył się na grzędę truskawek i — w tej chwili stał się cud. Zazwyczaj sparaliżowana dama, silnie odepchnąwszy Madzię, o własnej mocy wyskoczyła z wózka i pędem pobiegła do salonu krzycząc wniebogłosy:

— Luciu!... doktorze!... zabijają!...

Jednocześnie za ogrodem rozległ się płacz małego chłopca i wołanie mężczyzny, który ofiarował Madzi pudełko cukierków angielskich:

— Jest!... Mam cię, ośle!...

Gdyby na rynku powiatowego miasta Iksinów wybuchnął wulkan, nie byłoby większego ruchu w domu doktora jak po tym rzeczywiście nadzwyczajnym wypadku. W jednej chwili gospodarz i gospodyni, służba, a nawet grający w szachy panowie znaleźli się w saloniku obok sparaliżowanej damy, która ochłonąwszy z nagłej trwogi porwała Madzię w objęcia wołając:

— Patrzcie, panowie... patrz, Luciu, oto bohaterka!... Własnymi piersiami zasłoniła mnie... przez nią odzyskałam władzę w nogach... Luciu — dodała chwytając Krukowskiego za rękę — ta albo żadna... rozumiesz?... Teraz ja ci to mówię!...

— Raniona pani jesteś? — zawołał major wpadając z wielką fajką na chorą damę.

— Przeciwnie, uleczona! — odpowiedziała doktorowa. — Sama wysiadła z wózka i przybiegła tu z ogrodu.

— Zawsze była zdrowa... Ach, te baby!... — mówił gniewnie major.

— A mówicie, że nie ma cudów? — wtrącił proboszcz. — Oto cud, który spełnił się w waszych oczach, niedowiarki — ciągnął pukając palcem w głowę cudownie uzdrowionej.

— Eh, co proboszcz bajesz! — odparł major otaczając się chmurą dymu. — Wracajmy do roboty.

— Idźcie sobie, idźcie — rzekł doktor podając rękę damie. — Weź no pan siostrę z drugiej strony — zwrócił się do Krukowskiego.

W tej chwili wszedł do salonu młody człowiek ze sterczącymi wąsikami, ciągnąc za ucho chłopca, który wniebogłosy lamentował.

— Jest — mówił energiczny młody człowiek. — Syn felczera Flajszmana... osio!... Za to, że nasz czcigodny doktor nie pozwala chłopom krwi puszczać, on, smarkacz, rzuca kamienie do ogrodu...

— Ja nie za to... — płakał chłopiec — ja do chorągiewki na dachu... Ja zawsze trafilem w chorągiewkę... to inni ciskali w ogród...

Doktor wziął chłopca pod brodę, popatrzył mu w oczy i pokiwał głową rzekł:

— Oj ty, Flajszmanku... No, nie becz, ruszaj do domu, a swoim kolegom powiedz, żeby nie rzucali kamieni do ogrodu, bo im każę wybierać.

— Dobrze, panie — wyszochał chłopiec.

— A my na spacer — zwrócił się doktor do uzdrowionej damy.

— Panie Krukowski, tylko szybko... Raz dwa!...

— Nie mogę!... zabiją mnie!... ach, znowu straciłam władzę!... — jęczała dama biegnąc między doktorem i bratem, którzy szli wyciągniętego klusa.

— Czcigodny pan doktor jest zanadto pobłażliwy — mówił młody człowiek do matki Madzi. — Za taką psotę Flajszman powinien być dostać różgi...

— Za co? — zdziwiła się Madzia — przecież te kamienie wyleczyły ciężko chorą...

— Eh, chorą!... — odezwał się młody człowiek wzruszając ramionami. — Ona zdrowsza od nas obojga... Pani pozwoli, że się przypomnę: Miętlewicz — mówił z ukłonem — właściciel kantoru do załatwiania interesów obywatelskich. Sam sobie wszystko zawdzięczam: nie mam bogatej siostry, która by mnie utrzymywała i płaciła moje długi...

— Panie... panie... co też pan mówi? — wtrąciła zgorziona doktorowa słysząc, że młody człowiek przypiął łatkę Krukowskiemu, i domyślając się powodów tej niechęci.

— Sam, wszystko sam... daję pani słowo — prawil pan Miętlewicz. — Powiedziałem sobie: ukształcę się — ukształciłem się...

Doktorowa cicho westchnęła.

— Powiedziałem sobie: rzucę powiat — rzuciłem powiat; zrobię majątek i — robię go... Ja, pani, cokolwiek postanowię — wykonam. Umieć być cierpliwym...

Madzia trochę pobladła i oparła się o krzesło; co widząc matka przeprosiła pana Miętlewicza i wyprowadziła córkę do pokoju.

— Krukowski jest bardzo miły i dobry człowiek — mówiła do Madzi. — Uprzejmy, delikatny... podoba ci się, gdy go bliżej poznasz...

Ale Madzia była tak znużona, że w tej chwili nie obchodził jej ani Miętlewicz, ani Krukowski, ani nawet jego cudownie wykurowana siostra.

Tymczasem eks-paralityczka, ciągniona przez doktora i brata, obeszła kilka razy ogród przyznając, że chodzić może. Gdy ją zaś uwolniono od wprawy w chodzenie, o własnej sile weszła do saloniku i upadłszy na kanapę rozpyłyła się w pochwałach dla Madzi, której zawdzięcza zdrowie i życie. Pochwał tych pan Krukowski słuchał z zachwytem, pan Miętlewicz z miną kwaśną. Gdy zaś doktorowa wróciła od córki, a eks-paralityczka zaczęła jej coś mówić półgłosem, wskazując złotą lornetką na brata, zmieszany pan Krukowski wyszedł do pokoju szachistów, a pan Miętlewicz bez pożegnania wymknął się przez ogród do miasta.

Był czegoś tak zły, że zaraz za furtką wytargał uszy dwom małym chłopcom, którzy przez otwory w parkanie zagłądali do ogrodu doktora.

### 37. PIERWSZY PROJEKT

Madzia szybko powracała do zdrowia. W połowie maja wyszła nawet parę razy do miasta za sprawunkami. Wówczas matka przypomniała jej, że jutro jest niedziela i należy podziękować Bogu za otrzymane od Niego dobrodziejstwa.

— Zdaje mi się, kochanko — dodała matka — że trochę zaniedbujesz modlitwę...

Powiedziawszy to łagodnym tonem, matka wyszła zostawiając Madzię zawstydzoną.

Madzia dotychczas modliła się przygodnie: kiedy ogarnął ją smutek, gdy widziała ludzkie nieszczęście, czasem — gdy zachodziło słońce oblewając purpurą obłoki, czasem, gdy odezwała się sygnaturka w kościele. Raz nawet mówiła pacierz zobaczywszy, jak wróbel ustawił na płocie cztery małe wróbelki i karmił je okruchami, które im Madzia rzucała.

Zdawało jej się, że taka modlitwa, która uspakaja jej serce, wystarcza. Lecz uwaga matki zrobiła na niej wrażenie. Więc choć w duszy wątpiła, czy w kościele można gorliwiej modlić się aniżeli pod otwartym niebem, natychmiast pobiegła do swych pudełek, ażeby wybrać z nich wstążki i aksamitki, w których jej najlepiej będzie jutro do twarzy...

Nazajutrz była gotowa przed dziesiątą. Lecz ogarnęła ją trwoga na myśl, że musi przejść przez środek kościoła między tłumem osób, z których każda będzie miała prawo powiedzieć:

„Patrzenie, oto idzie Madzia, którą Pan Bóg ocalił od śmierci. Ale nie widać po niej, ażeby wchodziła tu z prawdziwą pobożnością”.

Bo nie ma się co zapierać: Madzia szła, aby spełnić wolę matki, bynajmniej nie ze szczerego natchnienia. Co ją tym bardziej gnębiło, że nawet ojciec włożył czarny surdut (nieco wytarty na szwach) i wydobyl z kąta laskę ze srebrną gałką.

— O, jakaż jestem nikczemna!... — mówiła. — Ten święty starzec, taki dobry, taki filozof, będzie modlił się za mnie, a ja, przewrotna, waham się...

Kiedy rozległ się głos dzwonu wołającego na sumę i gdy matka włożyła kapelusz i szal turecki, Madzia nagle rzekła:

— Mateczko, ja pójde trochę później za wami... Tak boję się od razu wejść między ludzi... I jeszcze chciałabym pierwwej wstąpić do kaplicy, gdzie jest tablica babci... Moja mammo!...

— Przyjdź, moje dziecko, kiedy chcesz i jak chcesz — odpowiedział ojciec.

— Oj, Feliksie!... — wtrąciła matka grożąc palcem.

— Wierz mi, matko, że ja Pan Bóg prędzej dojrzy w ciemnej kaplicy aniżeli nas przed wielkim ołtarzem... Zresztą, ma dziewczyna rację, że unika tych elegantów... O, spojrzysz no...

I wskazał przez okno na róg ulicy, gdzie kilkoro dzieci z podziwem przypatrywało się panu Miętlewiczowi ubranemu w jasny garnitur i świeżutki cylinder.

Rodzice wyszli: matka trzymając oburącz wielki modlitewnik Dunina, ojciec machając laską. Zakryta firanką Madzia zobaczyła, jak zastąpił im drogę i uklonił się cylindrem

pan Miętlewicz, jak zapytał o coś i chciał biec w stronę ich domu; jak ojciec wziął go pod rękę i poszli wszyscy ku rynkowi, odprowadzani z daleka przez gromadę dzieci. W chwili później ukazał się na drugim rogu ulicy pan Krukowski odziany w strój granatowy i kapelusz panama, obok wózka, na którym jechała jego siostra popychana przez służącą. Wnet wózek i pan Krukowski przyśpieszyli kroku i połączyli się z rodzicami Madzi, a rozsypane gromady dzieci połączyły się także, tworząc jakby łańcuch tyralierów bosych i obutych, w kapeluszach, czapkach z daszkami i czapkach z barankiem, w długich kapotach i krótkich spencerkach, w koszulach bez majtek lub w majtkach, z których wyglądały koszule.

„Jakie tu mnóstwo dzieci...” — pomyślała Madzia.

Kiedy bocznymi ulicami zbliżyła się do kościoła, już na starym cmentarzyku klęczał tłum wiejskich kobiet podobny do różnobarwnych kwiatów nisko wyrastających przy ziemi. Z drugiej strony wielkich drzwi schylała się gromada chłopów w ciemnych sukmanach, a między chłopami i kobietami, od strony rynku, zebrała się garstka miejscowej inteligencji. Było tam paru urzędników powiatowych, sekretarze: sądowy i komisarski, dependent od rejenta, prowizor apteczny i jeszcze kilku mniej znacznych. Wszyscy patrzyli na rynek lustrując młode mężatki i panny.

Madzia z daleka okrążywszy ich wpadła przez furtkę na cmentarzyk, stamtąd przecisnęła się między kobietami do bocznych drzwi i z bijącym sercem weszła do kaplicy, gdzie skryła się w najciemniejszym kącie. Zdawało jej się, że cały tłum miejscowej inteligencji w binoklach, ciemnozielonych rękawiczkach, z laseczkami i parasolkami wpadnie za nią, zacznie zaglądać jej pod kapelusz i wypowiadać uwagi, z których śmieją się głośno wszyscy, lecz w których nic zabawnego nie może znaleźć postronny słuchacz.

Madzia uklękła wciśnięta między konfesjonał i kolumnę i patrzyła na środek kościoła. W ławce, przy której stał przestępujący z nogi na nogę pan Miętlewicz, matka Madzi pobożnie chwiejąc głową czytała Dunina; ojciec oparł głowę na rękach i zamyślony patrzył w okno nad wielkim ołtarzem, skąd padały smugi światła; nareszcie — siedział wyprostowany major.

Blżej, w ławce, obok której pan Krukowski oglądał się przez monokl na wszystkie strony, podśędkowa pokazywała jakąś modlitwę jego sparaliżowanej siostrze; podśędek drzemał, a panna Eufemia, nieco zwrócona w stronę Krukowskiego, patrzyła na *Chrzest w Jordanie* wymalowany na sklepieniu. O kilka kroków dalej stał na środku kościoła młody blondyn z grzywką, w pocztowym uniformie, i ponuro spoglądał już to na Krukowskiego, już to na pannę Eufemię.

Proboszcz przy wielkim ołtarzu drżącym głosem śpiewał sumę, a za każdym razem, po małej przerwie, odpowiadał mu z chóru stary organista przygrywając na fisharmonii, w której jeden ton odzywał się fałszywie, a parę wcale się nie odzywało. Zaś po dłuższym śpiewie przy ołtarzu i po dłuższej ciszy przy fisharmonii wybuchnął nagle dosyć zgodny chór męskich i kobiecych głosów:

Tobie cześć, Tobie wieczna chwała, Ojczy Boże,  
Coś stworzył wszystkie światy i rządysz wszystkimi...

Cizba ludu z głuchym szmerem upadła na twarze bijąc się w piersi albo wznosząc ręce do góry; przy drzwiach rozlegało się szlochanie niemowlęcia, które nie umiejąc jeszcze mówić chwaliło Boga płaczem; przez wybite szyby słychać było świergot ptaków. Nawet podśędek ocknął się, sztywny major wydobyl malutką książeczkę, pan Krukowski przestał się oglądać. Zdawało się, że przez tłum przeleciała fala pobożnego uniesienia i tylko — nie dotknęła Madzi.

„O, jakże jestem niegodziwa! — myślała — ażeby za tyle dobrodziejstw nie odmówić jednego pacierza...”

Śpiew na chórze ucichnął i ludzie ochłonęli. Ten i ów podniósł się, pan Krukowski znowu uzbroił oko w monokl, na twarzy młodego człowieka w pocztowym uniformie odmalowała się pogarda. Jednocześnie obok Madzi jacyś dwaj panowie zaczęli rozmawiać szeptem:

— Wiesz pan, ile wziął za konsylium od Rubinrota?... — Rubla!... Słyszałeś pan?...

— Nowina!... — odparł drugi — Ten wariat zawsze tak robi i nie tylko sam jest wiecznie bez grosza, ale i innym szkodzi.

— Brzozowskiemu...

— I Brzozowskiemu, i felczerom, i mnie. Przecież ja bym tu bez butów chodził, gdyby mi przyszło co dzień ekspediować jedną dozę rycynowego olejku, a czasami parę proszków chinu.

— Nie dba o cudze interesa...

— Nie dba o własne dzieci, powiedz pan... Przecież gdyby się zjechały tu we troje, nie wiem, czy wystarczyłoby mu na obiad dla nich...

Madzia myślała, że zemdleje... To o jej ojcu mówiono... To jej ojciec nie mógłby dzieciom kupić obiadu, gdyby zjechały się razem...

— O Boże... Boże... Boże!... — szepnęła czując, że łzy cisną się jej do oczu.

Wszystkie trwogi uderzyły jej na serce. Za jej pensję płaciła nieboszczka babka, ale rodzice wydawali po trzysta rubli rocznie na edukację brata, a dziś bez mała tyle kosztuje ich Zosia, choć nieboga nawet nie uczy się w Warszawie, tylko w mieście gubernialnym. Więc skąd tu brać? Czy z tych sześciu morgów ziemi, z której połowa plonów należy do gospodarza, co ją uprawia? Czy z praktyki lekarskiej ojca? Ależ ojciec od najbogatszych pacjentów przyjmował tylko po rublu; w jego gabinecie bywali biedacy, którzy nie mogli nic płacić, a z miasta — czasami przynosił garść miedziaków i dziesiątek, a czasem nic.

I czy podobna dziwić się, że w tak ciężkich warunkach matka pożyczala pieniądze od siostry Krukowskiego, a podczas choroby Madzi wzięła od niej samej trzydzieści rubli na opędzenie kosztów?

Tym sposobem wyczerpał się fundusik, który Madzia przywiozła z Warszawy, i dziś — skąd matka bierze pieniądze na jej wina, befsztyki i rosoly?... Skąd! Z domowych oszczędności, bo Madzia już spostrzegła, że matka wcale nie jada mięsa, a ojciec bardzo rzadko, mówiąc, że najzdrowsze są potrawy chłopskie.

Więc dlaczegoż jej nie dadzą tych najzdrowszych pokarmów?

Cała historia pani Latter stanęła jej w pamięci. Tam także był brak stopniowo rosnący; tam także trzeba było zaciągać długi — na dzieci!...

Ach, ten wieczór, kiedy pani Latter błagała Madzię o ułatwienie ucieczki... A ten jej niepokój, wyrazy bez związku, obłąkane oczy... I nazajutrz taka okropna śmierć... śmierć za to, że kochała dzieci!...

Madzię ogarnęła rozpacz. Jeżeli taki był koniec życia kobiety mającej tylko dwoje dzieci, której majątek ceniono na dziesiątki tysięcy rubli, co może się stać z jej rodzicami, którzy mają dzieci aż troje i żadnego majątku?...

Zacisnęła splecione ręce jak bezbronny człowiek, na którego spada cios, podniosła oczy w górę i przez łzy — zobaczyła w wielkim ołtarzu obraz Matki Boskiej, malowany ciemnymi farbami, w srebrnej koronie.

— Ratuj mnie... oświeć mnie, Przenajświętsza Panno... — szepnęła Madzia ledwie powstrzymując się od łkań.

I nagle stała się rzecz niemożliwa dla mędrców, a zwyczajna dla dusz prostych. Przenajświętsza, która patrzyła dotychczas na siermiężny tłum klęczący u Jej ołtarza, spojrziała na bok i głębokie jak nieskończoność Jej oczy przez chwilę spoczęły na Madzi. Potem znowu zwróciły się na ciżbę ludu.

Madzia skamieniała.

„Czy rozum tracę?...” — przebiegło jej przez głowę.

A jednak nie mogła wątpić, że bolesny okrzyk jej serca usłyszano w królestwie wiekuistego spokoju. Na modlitwę odpowiedziało stamtąd jakieś echo, i w duszy Madzi po wybuchu rozpacz zapanowało ukojenie.

„Już dam sobie radę” — pomyślała czując otuchę, choć jeszcze nie widziała rady.

W tej chwili doktorowa szepnęła coś do stojącego wciąż obok ławki Miętlewicza. Interesujący młody człowiek skinął głową, podniósł wysoko glansowany cylinder i z trudem zaczął przeciskać się przez tłum w stronę Madzi. Na nieszczęście manewr ten spostrzegł pan Krukowski, który od dawna miał baczne oko i na ławkę doktorowej, i na postępkę jej cylindrowego sąsiada. A ponieważ stał bliżej kaplicy, więc w paru susach znalazł się przy Madzi szepcząc:

— Mama prosi panią do siebie...

Madzia podniosła się z klęczek, elegancki pan Krukowski podał jej rękę i zaprowadził do matki robiąc półokrąg, jak gdyby zajeżdżał czterokonną karetą. Potem usadziwszy pannę przy rodzicach stanął skromnie obok niej ze zwiniętym w trąbkę kapeluszem panama.

Oślupiały Miętlewicz zatrzymał się na środku kościoła. Nie stracił ani jednego z okrągłych ruchów antagonisty. Widział, jak pan Krukowski podaje rękę Madzi (co jemu samemu nigdy by na myśl nie przyszło), widział, jak lewym łokciem odsuwa tłum, jak na każdym kroku troszczy się o nią (zapominając, że jest przecie w kościele), jak odsadza się ciałem, a pochyła ku niej głową...

Wszystko to widział i — jeszcze domyślał się, że pan Krukowski dlatego robi tak wyrafinowanie skromną minkę, ażeby zbagatelizować jego, pana Miętlewicza, który przecież wszystko sobie samemu zawdzięczał!

Gdyby uczucia pana Miętlewicza dały się w owej chwili zamienić na dynamit, kościół w Iksinowie, okalające go budynki, a może część rynku należałyby dziś do wspomnień. Nie mogąc jednak zetrzeć na atomy pana Krukowskiego, Miętlewicz zdecydował się wbić mu w serce nóż — moralny. Więc zaczął znowu przeciskać się przez tłum w stronę kaplicy, zbliżył się do ławki podsędków i — odwróciwszy się tyłem do Krukowskiego zaczął żywą rozmowę z panną Eufemią.

Krukowski obok Madzi zachowywał się tak, jak gdyby go nic nie obchodził ani Miętlewicz, ani jego śmiały atak na pannę Eufemię. Natomiast postępowanie Miętlewicza zaniepokoiło młodego blondyna z grzywką, w pocztowym uniformie. Przetarł oczy, rozsunął grzywkę nad czołem, jakby nie dowierzając nie tylko swoim zmysłom, lecz i wnioskującym zdolnościom. Ale gdy spostrzegł, że Miętlewicz coraz poufalej rozmawia i coraz czulej spogląda na pannę Eufemię, i gdy jeszcze zauważył na jej cudnym obliczu odcień zadowolenia, roześmiał się gorzko i z gwałtownymi ruchami opuścił świątynię.

Wszystkich tych z szybkością błyskawicy następujących po sobie wypadków Madzia nie dostrzegła, pogrążona w wizji, wobec której zniknął dla niej świat rzeczywisty. Nie słyszała, że na chórze skutkiem niepojętej omyłki głosy męskie zaczęły inną pieśń, a głosy żeńskie inną, co wywołało taki zamęt, że organista schwycił się za głowę, pobożni zaczęli spoglądać na chór i nawet obejrzał się zgorszony proboszcz. Nie widziała, że major nagle wyskoczył z ławki, że dziadek w czerwonej pelerynce obudził podsędkę i że przy wielkim ołtarzu ukazał się baldachim w formie parasola, który niósł rejent, staruszek mający długi nos, wiecznie zdziwione usta i nadzwyczajnie wysokie kołnierzyki, podwiązane kolosalnym białym halsztukiem. Dzięki temu halsztukowi, dymom kadzidła i oświetleniu, które z okna padało mu na twarz, rejent chwilami wyglądał jak cherubin mający bardzo podeszłe lata i bardzo małe skrzydła. Przynajmniej takie wrażenie robił na pani rejentowej, która zawsze wpadała w ekstazę, ile razy jej mąż dźwigał nad celebrantem baldachim ukazując zdziwioną twarz to z jednej, to z drugiej strony pozłoczonego drążka.

Proboszcz zdjął z ołtarza monstrancję i otoczony niebieskimi obłokami kadzidła zaintonował:

U drzwi Twoich stoję, Panie...

U drzwi Twoich stoję, Panie...

powtórzył ogromny głos ludu. Fala tłumy zakołysała się między wielkim ołtarzem i chórem i zaczęła bić we drzwi cofając się i posuwając naprzód. Na chwilę zrobiło się pusto przed ołtarzem i znowu napłynęła powódź ludzka; znowu pusto i — fala uderzywszy w ściany boczne zalała stopnie ołtarza. Znowu pusto na środku kościoła, gdzie ukazał się proboszcz podtrzymywany przez majora i podsędkę i — znowu tłum zalał wolne miejsca gromadząc się poza celebrantem i towarzyszącymi mu starcami.

Niekiedy zdawało się, że rozkołysana ciżba jest rzeczywistą falą, która kurczy się i cofa wobec złotej monstrancji, jak przed wiekami pod Chrystusową stopą uciszało się burzliwe jezioro.

Madzia z matką przyłączyły się do procesji. Posunęły się kilka kroków naprzód i — tłum odrzucił je parę kroków w tył, wciąż posuwając się i cofając w takt pieśni i bijących dzwonów.

W tej chwili Madzia usłyszała obok głos dziecięcy:

— Śmigaj, Antek!...

— Rrru!... — odpowiedział drugi i z głową pochyloną jak do bodzenia rzucił się w najgęstszy tłum, a za nim jego kolega rozpychając ludzi rękoma jak żaba, która daje nurka.

— Rrru!... — odezwał się nieco dalej trzeci głos i znowu ludzie zaczęli się odrzucać od siebie, jakby ich kto tęgo potrącał.

— A, łajdaki, Boże odpuść, antychrysty potępione!... — odezwała się półgłosem jakaś babina. — Żeby też nikt nad bestyjstwem nie miał dozoru...

Madzi nagle stanęła w pamięci nieprzeliczona gromada dzieciaków. Był między nimi ten zapłakany, który rzucał kamyki do ich ogrodu, i ci, którzy biegli za wózkiem siostry pana Krukowskiego, i ci, co podziwiali cylinder pana Miętlewicza. I jeszcze owi, których co dzień można było widywać na gałęziach drzew lub na szczytach parkanów, i tacy, którzy tarzali się w ulicznym piasku, brodzili po wodzie z zawiniętymi do kolan majtkami albo w czasie ulewnego deszczu wystawali pod rynną bijąc się o lepsze miejsce.

Wszystko to były dzieciaki zaniedbane i Madzi błysnęła myśl:

„Założę tu szkołę elementarną!...”

Gorąco oblało ją z radości.

„Mogę zebrać co najmniej setkę dzieci... — mówiła do siebie. — Gdyby każde płaciło choć po rublu na miesiąc, miałabym sto rubli miesięcznie... Całe utrzymanie!... I jeszcze mogłabym pomagać мамie, a Zosię wysłać do Warszawy... O, dziękuję Ci, Matko Boska, boś Ty mnie natchnęła...”

— Co tobie, Madziu? — szepnęła patrząc na nią matka.

— Mnie?

— Jesteś taka rozpromieniona...

— Modliłam się.

Matka chciała ją pochwalić, lecz w tej chwili spostrzegła eks-paralityczkę, którą prowadził z jednej strony doktor, z drugiej pan Krukowski.

„Ach — pomyślała doktorowa — widocznie podobał jej się pan Ludwik i nie umie biedactwo ukryć tego... Starszy wprawdzie od niej — westchnęła — ale dobrze wychowany i majątny... Niech się dzieje wola boska!... nie będę ani przymuszać, ani bronić...”

Teraz przysła Madzi uwaga, że jednakże ona sama stu dzieci uczyć nie może. W takim razie musi poprzestać tylko na pięćdziesięciu rublach miesięcznie. Ale co robić z pozostałą resztą dzieciaków, które niezawodnie będą tłoczyć się do takiej szkoły?

„Wiem!... — rzekła w duchu — przyjmę Femcię do spółki, boć ona, biedaczka, nieraz narzekała, że nie ma pola do pracy i jest ciężarem dla rodziców... O, dzięki Tobie, Panno Przenajświętsza, Ty mi zsyłasz takie pomysły...”

### 38. SERCA ZACZYNAJĄ FERMENTOWAĆ

Madzia ocknęła się. Stały z matką na cmentarzyku obok wielkich drzwi. Procesja wróciła do kościoła, ludzie zaczęli się rozchodzić. Pan prowizor, dwaj sekretarze, dependent rejenta i inna mniej znaczna młodzież opierając się na laskach i parasolach przypatrywała się pannom i szepem robiła uwagi. Opodał stał posępny blondyn w pocztowym uniformie, czekając na kogoś.

Madzia już nie bała się tych panów, nawet nie razily jej natrętne spojrzenia. Co ją to mogło obchodzić! Ona przecież zakłada szkółkę elementarną, chce zapewnić byt sobie i rodzicom, a tamci panowie niech patrzą, niech się naigrawają z niej.

„Jestem przecie kobietą samodzielną” — pomyślała, z wdzięcznością przypominając sobie pannę Howard, która tyle pracy wkładała w to, ażeby zrobić kobiety istotami samodzielnymi.

Nadszedł ojciec, który wciąż z panem Krukowskim prowadził eks-paralityczkę.

— Luciu... doktorze... zmilujcie się!... Czuję, że nie zrobię już ani kroku... Zupełnie straciłam władzę.

— Nie, kochana pani, musisz dojść o własnych siłach do domu — odpowiedział doktor. Z miny pana Krukowskiego było widać, że chętnie posadziłby siostrę na wózku i oddał pod opiekę służącej.



W wielkich drzwiach ukazała się rodzina podsędków, a za nimi pan Miętlewicz. Już włożył swój lśniący cylinder na głowę, lecz zobaczywszy państwa doktorów zdjął go znowu i z gracją zaczął się do nich zbliżać.

— Panie, hej!... panie, hej!... — nagle zawołał do niego posepny młody człowiek w pocztowym uniformie.

— Nie mam czasu!... — odparł Miętlewicz, niezadowolony ze zbyt kordialnego powitania przy tylu osobach.

— Ale ja mam czas i interes do pana — odpowiedział blondyn chwytając Miętlewicza za rękę.

Żaden wschód, żaden zachód słońca nie był tak purpurowym jak w tej chwili oblicze pięknej Eufemii. Panna podsędkówna przybiegła do Madzi i schwyciwszy ją pod rękę szepnęła:

— Moja droga, idźmy naprzód... Boję się awantury... Ten Cynadrowski...

I wyszły za bramę przeprowadzone melancholijnymi spojrzeniami pana Krukowskiego, który z doktorem musiał odprowadzać siostrę.

— Co się stało, Femciu?... — zapytała Madzia.

— Nic... nic... Proszę cię, mów co do mnie... — odpowiedziała podsędkówna.

— O, nawet ważną rzecz chcę ci powiedzieć — rzekła Madzia.

— I ja tobie, ale kiedy indziej... Oświadczył ci się Miętlewicz?...

— Mnie?... — zapytała zdumiona Madzia zatrzymując się na rynku. — A on po co miałby mi się oświadczyć?...

— Po to, ażebyś za niego wyszła.

— Przeżegnaj się, Femciu!... Ależ ja ani myślę iść za męża...

— Jak to, nie wyszłabyś nawet za Krukowskiego? — rzekła panna Eufemia.

— Za nikogo — odparła Madzia tonem tak szczerym, że panna Eufemia nie mogła powstrzymać się od ucałowania jej na środku miasta.

— Więc co masz mi powiedzieć?... — Czy zostawiłaś kogo w Warszawie?... — spytała panna Eufemia.

Madzi wystąpił na twarz delikatny rumieniec.

— Moja Femciu — odparła — daję ci słowo, że o nikim nie myślę... o nikim w świecie... — dodała. — Chcę ci tylko coś zaproponować. Ale że teraz nie mamy czasu, więc przyjdź do nas po obiedzie.

W tej chwili minął obie panny w odległości kilku kroków pan Miętlewicz, któremu towarzyszył młody człowiek w pocztowym uniformie. Zdawali się być wzburzeni i rozmawiali tak głośno, że Madzia usłyszała kilka wyrazów:

— Więc mówisz, że nie?... — pytał młody człowiek.

— Ależ, jak Pana Boga kocham, tak nie! — odpowiedział Miętlewicz.

Panna Eufemia zamyśliła się. Potem roześmiała się nienaturalnym głosem i prędko rzekła do Madzi:

— Odpowiedz: tak czy nie?...

— O czym mówisz? — zdziwiła się Madzia.

— Tak czy nie?... — nalegała panna Eufemia, niecierpliwie tupiąc drobną nóżką.

— Więc: nie — odparła Madzia.

— Tak i ja sądzę — rzekła panna Eufemia. — Podli są mężczyźni!... z wyjątkiem ludzi zajmujących bardzo skromne stanowiska — dodała z lekkim westchnieniem.

— No, ale bądź zdrowa!...

Madzia nie mogła wyjść z podziwu. Lecz że w tej chwili jej myśl była zajęta projektem szkoły elementarnej, więc zapomniała o dziwnym zachowywaniu się panny Eufemii, nawet o niej samej.

Około godziny trzeciej, na ulicy, przy której stał dom doktora, z dwu przeciwnych końców spostrzegli się nawzajem dwaj panowie: Krukowski w kostiumie granatowym i Miętlewicz w jasnym. Pan Krukowski trzymał w palcach mały przedmiot zabezpieczony papierem; pan Miętlewicz niósł duży przedmiot, zawinięty w papier, pod pachą.

Obaj byli równo oddaleni od furtki doktora i obaj jednocześnie zatrzymali się na stanowiskach.

Pan Krukowski myślał:

„Zaczekam, aż wejdzie ten gbur, ażeby nie potrzebował ustępować mu miejsca w furtce...”.

Zaś pan Miętlewicz mówił do siebie:

„Czego on tam stoi, ten dubelt na cienkich nogach?... Już widzę, że coś trąguje, pewnie dla panny Magdaleny... Niechże odda pierwej swój prezent, a potem zobaczymy, kto z nas lepszy?”.

Zaczął czytać szyld nad sklepem z bułkami, później przypatrywać się felczerskim talerzom, a nareszcie odwrócił się i zniknął na zakręcie niebrukowanej ulicy.

„Boi się mnie... to dobrze!” — pomyślał pan Krukowski i z miną triumfatora wszedł przez furtkę.

Państwo Brzescy byli po obiedzie. Doktorowa odpoczywała na fotelu w saloniku, doktor w ogrodzie palił tanie cygaro, major z podsędkiem grał w altanie w szachy, a Madzia spacerowała po wszystkich pokojach, niecierpliwie oczekując na Femcię. Gdy przez otwarte drzwi wyrzała do ogrodu, nagle stanął przed nią Krukowski i z pełnym elegancji ukłonem podał niewielki bukiet róż. Było kilka białych, dwie herbaciane, jedna żółta i jedna amarantowa.

— Siostra moja — rzekł robiąc wdzięczne ruchy nogami i krzyżem — ośmiela się złożyć pani te kwiaty.

Złotawa twarz Madzi pokryła się rumieńcem. Dziewczyna była tak uszczęśliwiona bukietem i tak zmieszana pokorą ofiarodawcy, że omal nie zapomniała wyszeptać:

— Dziękuję...

A w duszy rzekła:

„Jaki on nieśmiały... jaki delikatny...”.

I serce jej poczęło szybciej bić dla pana Krukowskiego.

Doktorowa przyniosła szklanek wody i pomogła Madzi ustawić bukiet na honorowym miejscu w saloniku. Gdy zaś matka odeszła, a pan Krukowski został sam z Madzią, rzekł, czule patrząc jej w oczy:

— Jaka pani była dziś smutna w kościele!

— Ja?... — odparła, znowu rumieniąc się. — Pan mnie widział?...

— Miałem to szczęście, a nawet... nierównie większe: zdawało mi się, że podzielam smutek pani.

— O, nie... owszem... ja byłam dosyć wesoła — tłumaczyła się Madzia z obawy, ażeby pan Krukowski nie odgadł jej trosk o rodzinę.

— Więc może to było rozmarzenie, do którego usposabia nasz kościółek? Dusze piękne wszędzie umieją marzyć...

„Jaki on grzeczny!” — pomyślała Madzia czując wdzięczność dla największego eleganta w Iksinowie.

W tej chwili energicznym krokiem wpadł do ogrodu spotniały pan Miętlewicz. Ujrawszy Madzię wydobył spod pachy duży przedmiot owinięty w papier i podając go rzekł:

— Prawdziwy piernik toruński... Raczy pani przyjąć... to bardzo zdrowy smakołyk...

Madzia zmieszana się, ale jeszcze więcej... sam pan Miętlewicz. Dostrzegł bowiem, że wąskie usta Krukowskiego ułożyły się do uśmiechu, a z tego domyślił się, że palnął baka.

Trzymał w ręku nieszczęsny piernik, nie wiedząc, co z nim począć. Usta mu drżały, oko stanęło słupem, na czoło wystąpił jeszcze obfitszy pot.

„Jaki on, biedak, zakłopotany!” — pomyślała Madzia i biorąc od Miętlewicza piernik rzekła:

— Bardzo dziękuję... wielką zrobił mi pan niespodziankę, bo ja bardzo... to lubię...

W oku Miętlewicza błysnął triumf, a bystry dostrzegacz, pan Krukowski, pomyślał:

„Anioł nie kobieta... Ona — lub żadna!...”.

Pan Miętlewicz zbyt prędko odzyskał werwę, ażeby nie zasypać się po raz drugi.

— Piękny mamy dzień — rzekł usiłując nie dopuścić do rozmowy Krukowskiego. — Bardzo ładny dzień, prawda, pani?

— Rzeczywiście...

— Może byśmy się tak... przeszli po ogródku... Bardzo ładnie wygląda ogródek... — służę pani — wypowiedział jednym tchem Miętlewicz ostentacyjnie podając rękę Madzi.

Tym razem Madzia otworzyła zdumione oczy, a subtelny pan Krukowski przygryzł usta.

— Oj!... — mimowolnie jęknął pan Miętlewicz odgadując, że musiał zrobić coś bardzo nie w porę. Więc stanął z wygiętym ramieniem nie wiedząc, czy je podać, czy cofnąć, a na czoło wystąpiły mu nadzwyczajnie wielkie krople potu.

— Bardzo dobrze, przejdźmy się — odpowiedziała Madzia, szybko podając mu rękę. A w duchu rzekła:

„Biedak, nieobyty w towarzystwie... Jakie on musi męki przechodzić!...”

I pełne litości serce uderzyło szybciej, tym razem dla pana Miętlewicza.

Wtem na ścieżce ogródka zaszeleściła damska suknia. To biegła panna Eufemia nieco rozgorączkowana widokiem dwu mężczyzn, z których jeden był niedawno, a drugi powinien być jej wielbicielem.

— A, niedobra Madziu, zdradziecka!... — zawołała panna Eufemia. — Obiecałaś czekać na mnie, ja mam tyle do powiedzenia, a ty spacerujesz z panem Miętlewiczem?...

Panny padły sobie w objęcia, z czego korzystając Miętlewicz usunął się od Madzi tak daleko, że już nie mogłaby mu podać ręki.

„Teraz moda chodzić pod rękę tylko w kościele, nie w ogrodzie” — myślał nieszczerliwy życząc Krukowskiemu, ażeby na jego głowę padły wszelakie kłęski.

Panny wzięły się pod ręce i zaczęły szybko chodzić, co zmusiło pana Krukowskiego do przypatrywania się szachistom, a pana Miętlewicza do naśladowania go.

### 39. WSPÓLNICZKA

Na końcu ogrodu pod kasztanem była ławeczka; tam panna Eufemia zaciągnęła Madzię mówiąc:

— No, a teraz powiedz: jaki miałas do mnie interes? Łatwo pozbyliśmy się tych panów — dodała tonem, który nie oznaczał zadowolenia.

— Może obrażą się?... — lękliwie zapytała Madzia.

— Dajże spokój!... — odparła panna Eufemia wyciągając zgrabnie obute nóżki i wachlując się liściem kasztanu. — Pan Krukowski udaje dla mnie obojętnego, więc musi nas unikać, a pan Miętlewicz obawia się asystować mi w obecności tamtego.

— Oni obaj kochają się w tobie? — zapytała Madzia.

— I oni, i... inni... Ten sekretarz pocztowy, co... wiesz, tak się nieładnie nazywa... szaleje z zazdrości... Nawet mówiono, że... wikary... Ale mniejsza... powiedz, o czym chciałaś... — dokończyła panna Eufemia.

— Tylko, Femciu... sekret!...

— Bądź spokojna. Komuż go wreszcie powiem?...

— Twojej mamie...

— Och!... — westchnęła panna Eufemia w sposób, który oznaczał, że ze swoją matką nie dzieli się tajemnicami.

Madzia zamyśliła się.

— Wiesz — rzekła po chwili — otworzę tu szkółkę elementarną.

Pannie Eufemii wypadł z rąk liść kasztanu. Otworzyła oczy cudne jak niebo i — jeszcze dalej wysunęła drobne nóżki.

— Ty... Madziu?...

— Ja. Cóż w tym złego?

— Zlituj się... — mówiła panna Eufemia zniżając głos. — Przecie u nas jest nauczyciel elementarny i wiesz, że jego żona... sama piele w ogrodzie i... pierze bieliznę!...

— Więc cóż z tego?

— Więc... pracuje jak służa i nikt z towarzystwa nie żyje z nią.

Madzi błysnęły oczy, a na twarz wystąpił rumieniec oburzenia.

— Wiesz, Femciu, że tego nie spodziewałam się usłyszeć... Czy myślisz, że moja mama nie piele w ogrodzie, a nawet nie pierze?... Sama wyprała mi szlafroczek...

— Twoja mama co innego... Ją wszyscy szanują...

— Trzeba szanować każdą kobietę, która pracuje, i jeszcze tak ciężko — mówiła Madzia z zapalem. — Przecież dzisiaj jest to dążenie wszystkich kobiet, ażeby pracować... pracować jak najciężej i nie oglądać się na pomoc rodziców czy zarobki męża...

— Więc ty chcesz iść za mąż — wtrąciła chmurnie panna Eufemia.

— Ależ nie!... przysięgam ci. Ja chcę tylko nie być ciężarem dla moich rodziców, chcę pomóc Zosi, ażeby skończyła pensję w Warszawie... Zresztą, ja nie potrafiłabym siedzieć w domu nic nie robiąc... Udławiłabym się chlebem rodziców, spaliłabym się ze wstydu... Ach, a czy mogłabym spojrzeć w oczy moim koleżankom, z których każda pracuje na siebie?...

Zarumieniona panna Eufemia zaczęła całować Madzię.

— Emancypantka z ciebie! — rzekła. — O, ja dużo słyszałam o pensji pani Latter i rozumiem cię. Ja także chciałabym być kobietą samodzielną, tylko... czy można nią być na takim partykularzu?

— Przekonam cię, że można.

— O, nie myśl, że ja tu zaśniedziałam — mówiła panna Eufemia. — Ja także chciałam pracować na siebie, nawet nauczyłam się haftu. Ale cóż z tego?... Kiedy powiedziałam, że będę sprzedawać moje hafty, mama dostała spazmów!

Panna Eufemia ciężko odetchnęła.

— Chciałam — ciągnęła — dawać lekcje fortepianu córeczce naczelnika powiatu... Ale mama znowu zrobiła mi scenę i od tej pory zerwaliśmy stosunki z naczelnikostwem. Spróbuj tu być emancypantką, a zobaczysz...

— Będę — odparła Madzia stanowczo.

— Czy myślisz, że i ja nie jestem nią?... — mówiła panna Eufemia coraz ciszej, ale coraz goręcej. — Ja, na przykład, kiedy kłania mi się ten... sekretarz z poczty, odpowiadam mu z lekka, czego mama nawet nie domyśla się... I jeszcze ci coś powiem, ale... Madziu, to wielka tajemnica...

— Masz przecie moją.

— Wiem i wierzę ci — odparła panna Eufemia. — Więc słuchaj... Ja nie tylko jestem emancypantka, ale — radykalistka... Wiesz, co ja robię?... Ja do kościoła nie chodzę z książką do nabożeństwa, tylko... czytam Pascala *Pensées sur la religion*... Kazałam je oprawić w czarną skórkę z krzyżem i złożonymi brzegami i z tym chodzę do kościoła... Rozumiesz?...

Madzi zrobiło się zimno. Wszakże ona dziś, przed kilkoma godzinami, doznała opieki Matki Boskiej... Ale ponieważ między kobietami samodzielnymi spotykała już wolnomyślnie (pierwsza panna Howard), więc milczała.

— Może ci się to nie podoba?... — zapytała panna Eufemia patrząc jej w oczy.

— Szanuję twoje przekonania — odparła Madzia. — Zresztą — nie mówmy o tym... Zrobię ci propozycję: założmy obie do spółki szkołę elementarną... sama nie wydołam...

Panna Eufemia zawahała się.

— Moja droga... moja Madziu — odparła — ale... co świat o tym powie?...

Nagle twarz jej zajaśniała energią i zapałem.

— Owszem!... — rzekła podając Madzi rękę. — Należę do spółki... Niech się to raz skończy... Nie chcę wiecznej kontroli nad sobą... nie chcę targować się z mamą o każdy grosz wzięty na drobiazgi... o każdy ukłon oddany komuś na ulicy... Założymy pensję... Przełożone pensyj bywają w towarzystwach.

— Nie szkółkę elementarną? — spytała Madzia.

— Lepiej pensyjkę dla pańienek z lepszych domów... Zbierze ich się sporo... I nawet powiem ci: od jutra zaczniemy szukać lokalu... Będziemy mieszkały przy pensji, bo ja nie wytrzymam w domu.

— Tak... lokal najpierwsza rzecz... Weźmiemy dwa obszerne pokoje...

— I dwa małe dla nas — dodała panna Eufemia.

— Trzeba kupić ławki takie, jak były u nas, ażeby dziewczątka nie pochylały się i nie psuły oczu...

— I elegancko wytapetować całe mieszkanie — wtrąciła panna Eufemia. — Miętlicz dostarczy...

— Dwie tablice... dwie katedry... Aha, najważniejsza rzecz: rysunki i okazy do metody pogłądowej...

— Mebelki do mego pokoju mam bardzo ładne — mówiła panna Eufemia.

— A i jeszcze zapomniałam najważniejszej rzeczy: muszę wziąć pozwolenie od dyrekcji.

— Doskonale!... Awantura będzie z mamą okropna, ale raz się to wszystko złamie. Przy tym jestem pewna, że ojciec mnie poprze — zakończyła panna Eufemia, ściskając Madzię. — Niech żyje emancypacja, prawda?... — szepnęła jej do ucha.

W tej chwili panny usłyszały szelest za parkanem, jakby ktoś przedzierał się przez krzaki. Zalękniona Madzia obejrzała się i przez szczelinę między deskami zobaczyła błyszczące oko.

— Tam ktoś jest... — szepnęła panna Eufemia wieszając się u ramienia Madzi.

— Pewnie chłopcy, co kamieniami rzucają...

— Nie, proszę pani — odezwał się stłumiony głos zza parkanu. — Są dwa listy do panny Magdaleny i... i jeden do panny Eufemii — dodał głos, w którym czuć było drżenie. Przez szczelinę parkanu wysunęły się dwa listy.

— Cynadrowski!... — szepnęła panna Eufemia do ucha Madzi blednąc i rumieniąc się.

— Ten... oddam tylko pannie Eufemii — mówił głos zza parkanu.

Panna Eufemia gorączkowo schwyciła trzeci list.

— Co za szaleństwo — rzekła — pan mnie zgubisz!...

— Niech mi pani przebaczy, ale — jestem bardzo nieszczęśliwy... — odparł głos. — Już odchodzę...

Obie panny, blade, drżały jak w febrze.

— Czy kto nie widział z altanki?... — odezwała się panna Eufemia.

— Klomb zasłania... — odparła Madzia. — Ale cóż to za dziwny człowiek!...

— Skąd ten list do mnie? — mówiła panna Eufemia. — Marka jest... pieczętka... Boże! jak ja muszę być zmieniona... Gdyby teraz przyszła mama, wszystko by się wydało.

— Idźmy stąd — rzekła Madzia.

Podala rękę pannie Eufemii i chyłkiem wzdłuż parkanów, okrążywszy dom, wprowadziła ją do swego pokoiku. Ponieważ w altanie major strasznie krzyczał domagając się poprawki i twierdząc, że nie miał zamiaru brać wieży, Madzia była pewna, iż nowy rodzaj komunikacji pocztowej nie był przez nikogo dostrzeżony.

To bardziej uspokoiło pannę Eufemię aniżeli woda sodowa. Stała przed lustrem, wyjęła z kieszeni miniaturowe pudełeczko pudru i złagodziła zbyt żywe rumieńce.

— Ale co za list?... — mówiła rozdzierając kopertę — Podpisu nie ma...

— Jestem pewna, że on sam pisał — rzekła Madzia patrząc na list przez ramię panny Eufemii, która zaczęła cicho czytać i robić półgłosem uwagi.

„Bóstwo moje nadziemskie...”. Cóż to znowu?... „Błąd czepia mi się głowy, nie jem, nie śpię, zaniedbuję moje obowiązki, a w nocy przewracam się po łóżku jak Tantal!...”. Także mitologia!... „Bo mówi mi jakiś głos wewnętrzny, że nie jestem Ci, pani, obojętny, czego miałem niejednokrotnie dowody...”. Ależ to głupiec!... Dowody miał?... „Zerwałaś, niebiańska Istoto...”. Co za poufalość!... „z Krukowskim, a spotkawszy mnie w rynku, słodkie spojrzenie Twe było dla mnie obrazem Twoich namiętnych uczuć...”.

— A, tego już za wiele!... — wybuchnęła panna Eufemia mnąc list.

— Ależ czytaj dalej, kiedyś zaczęła.

„Jeżeli więc teraz odwraca się ode mnie Twe oblicze, które jest dla mnie Niebem, ziemią, powietrzem i Wiecznością, muszę Twoje postępowanie...”. Ależ on mi ciągle mówi: ty, ten pisarczyk... „rozumieć w taki sposób, że ktoś mnie podle oczernił. Gdyby tu zjechał rewizor, sam uprawiając, nawet komisja śledcza, nie tłumaczyłbym się, bo jestem szlachcic z dziada pradziada i mam duszę dumną, nieugiętą w karku. Ale przed Tobą, Aniele...”.

— Osioł!... — syknęła panna Eufemia drugi raz mnąc list. Lecz po chwili znowu zaczęła go czytać.

„Niech w ziemię wrosną, niech mnie nagła śmierć spotka, jeżeli kiedykolwiek w życiu odlepiłem markę od listu, czyby ona była za kopiejkę czy za dziesięć kopiejek. Może nieustannie tracąc przytomność z miłości upadł mi jaki list na ziemię, a Jasek albo który pocztylion wymiółł ze śmieciami. Ale ja nigdy nie pokalałem w żaden sposób mego honoru, bo wiem, com winien memu nazwisku i Tobie, Bóstwo empiryjskie...”.

— Biedny chłopak!... — wtrąciła Madzia.

— Błazen, powiedz... Jak on śmie przemawiać do mnie w podobny sposób?...

— Ale jak on cię kocha...

— Kochać wolno — odparła gniewnie panna Eufemia. — To mój los, że wszyscy szaleją... Ale pisać do mnie tak poufałym tonem... Więc on naprawdę myśli, że — ja zwróciłam na niego uwagę?...

— Sama mówiłaś, że odpowiadasz mu na ukłony.

— Ach, tak!... Raz nawet rzuciłam mu zeschnięty listek... Ależ to jałmużna — i on tak powinien ją przyjmować...

Madzi zrobiło się trochę przykro za biedaka, który lepiej umiał kochać aniżeli oświadczać się. Nie odpowiedziała, tylko zaczęła otwierać swoje listy.

— A, od panny Malinowskiej!... — mówiła przebiegając list oczyma. — Ach, od Ady Solskiej... Jest w Zurychu... Moja złota Adziula!...

— Czy to ta milionerka? — zapytała żywo zainteresowana panna Eufemia.

Zapukano do drzwi.

#### 40. DWAJ KONKURENCI

— Panienci, proszę na podwieczorek — odezwała się wchodząc doktorowa. — Czy to ładnie opuszczać gości?...

— Dostałam listy, mam — odpowiedziała Madzia. Panna Eufemia nieznacznie pociągnęła ją za rękaw.

— No, ale możesz odłożyć listy — rzekła matka — bo kawa ostygnie... Przyjechała siostra pana Ludwika...

Panny weszły do altanki, gdzie na stole otoczonym gośćmi stała kawa ze śmietanką, bułki domowego pieczenia, ser z kminkiem i kilka gatunków konfitur. Sparaliżowana siostra pana Krukowskiego przywitała się serdecznie z Madzią, chłodno z panną Eufemią i widocznie prowadząc dalej rozmowę rzekła:

— A po co on ma brać dzierżawę czy starać się o jakąś służbę, jeżeli ma majątek? Ja pieniędzy nie zabiorę do grobu i tyle mu zostawię, że będzie mógł utrzymać żonę i wychować dzieci...

— Może siostruni podać cukier?... — wtrącił pan Krukowski, który wyglądał, jak gdyby go coś dusiło.

— Więc wyslij go pani do Warszawy... Niech się chłopak rozejrzy... odżyje... — mówił major i zatopił towarzystwo w kłębach dymu olbrzymiej fajki.

— Ślicznie dziękuję majorowi za radę — odparła eks-paralityczka odpędzając dym haftowaną chusteczką. — Pamiętam jego ostatnią wyprawę do Warszawy...

— Może siostruni nasmarować bułeczkę? — przerwał pan Ludwik, którego rysy zdradzały niepokój.

— Dziękuję ci, Luciu — odparła siostra. — Było to w roku 1866. Chciał koniecznie jechać do Warszawy, więc dałam mu dwa tysiące złotych... W parę dni ograli go, potem chciał się odegrać — musiałam dopłacić sześć tysięcy!...

— Siostruniu...

— Nie przerywaj, bo właśnie ten wypadek świadczy o twojej szlachetności. Więc kiedy po tej aferze wrócił chłopak na wieś, padł mi do nóg...

— Ależ, siostruniu!... — jęknął czterdziestopięcioletni chłopak.

— Rozpląkał się jak dziecko, przysiągł, że już nigdy nie wyjedzie z domu, i... dotrzymał, panie majorze!...

— Bo mu nie dajesz pieniędzy, więc siedzi — odparł major.

— A jemu co po pieniądzach?... — zdziwiła się stara dama. — Brakuje mu czego?...

Pan Krukowski zsiniał, ale pan Miętlewicz wydawał się mocno zadowolonym.

— Wieczna historia mężczyzn, którzy dostaną się babom w niewolę!... — wybuchnął major. — Więzi chłopaka przy fartuchu od kilkunastu lat, pozbawia go energii. Lepiej daj mu co... daj mu co ciepłą ręką i niech nauczy się polegać na sobie, nie na twoim majątku...

— O, tak... ażeby zginął między wami!... — zawołała dama.

— Między ludźmi nikt nie ginie... Owszem, pomogą mu otrząsnąć się z resztek tego fartucha, którym omotałaś mu głowę... — krzyczał major.

Pan Ludwik był tak bliski śmierci, a całe towarzystwo tak zmieszane, że doktor chciał nadać inny kierunek rozmowie rzekł:

— Pan Miętlewicz nie miał majątku, a jednak wyrabia się własną pracą...

— I pomocą dobrych ludzi — odparł Miętlewicz całując w ramię doktora. — Tak, ludzie zrobili mnie tym, czym jestem!... Czcigodny pan doktor zawsze mi mówił: weź się do pracy, bo przy tym przepisywaniu w powiecie zgłupiejesz do reszty!...

— Niewiele już zostało — mruknął major przepychając ze złością fajkę drutem.

— Miałeś pan zdolności do handlu, więc mogłeś rzucić biuro — wtrącił podsędek.

— Zdolności mam, ani słowa — pochwycił pan Miętlewicz. — Ale obudził moje zdolności traf i dobrzy ludzie... Pamiętam — prawil wśród ogólnego milczenia — siedzę raz przy dzienniku w powiecie, aż tu wchodzi pan Bieliński i mówi do sekwestratora: „Tak mnie pan mordujesz, że moje bułanki sprzedałbym za czterysta rubli, byle się znalazł kupiec”. Ja to słyszę... Na drugi dzień jest w biurze pan Czerniawski i mówi do pomocnika: „Dałbym sześćset rubli za bułanki Bielińskiego, tak mi się podobały...”. Ja i to słyszę. Więc kiedy wyszedł, biegnę za nim i mówię: da pan dziedzic pięćset pięćdziesiąt rubli za bułanki? — On mówi: „Dam”. — Na stół?... — „Na stół”. — Słowo? — „Słowo”. Lecę tedy do Eisenmana, obiecuję mu dwadzieścia rubli procentu za jeden dzień, dostaję pieniędzy i jadę do pana Bielińskiego. — Odda pan — mówię — bułanki za czterysta pięćdziesiąt rubli? — „Z Bogaś się począł, człowieku — on mówi — ale czy mnie nie okpiwasz?... Bo to wy powietnicy...”. Pokazałem pieniądze, pan Bieliński wziął je, oddał mi konie i dorzucił piętnaście rubli za fatygę. Dałem tedy rubla furmanowi i — jazda do pana Czerniawskiego. No... kupił szlachcic bułanki, ale strącił mi dziesięć rubli i dał tylko pięćset czterdzieści rubli, bo powiedział, że to pachnie geszeftem. *Suma sumarum* — pan Bieliński zarobił trzydzieści pięć rubli, pan Czerniawski sześćdziesiąt, Eisenman dwadzieścia, a ja osiemdziesiąt pięć rubli za jeden dzień!...

Potem krzywili się na mnie wszyscy, i Żyd, i panowie, ale ja już miałem o co zaczepić rękę, a kiedy zacząłem prowadzić interesa — chodzą do mnie i Żydzi, i panowie, bo każdy wie, że dam zarobek, choć siebie nie skrzywdzę.

— Szkoda, żeś nie żył za moich czasów — odezwał się major — zrobiłbym cię ekonomem mego batalionu. Ale za takie kupno bułanków dałbym ci czterdzieści batów, nie rubli...

— Ha, trudno! proszę pana majora — odparł, dumnie oglądając się, pan Miętlewicz. — Dawniej były inne czasy, a teraz są inne czasy. Co kraj, to obyczaj...

I roześmiał się ze swego dowcipu.

Podwieczorek zjedzono i wypito, goście rozeszli się po ogrodzie, panna Eufemia o czymś szeptala ze swym ojcem, podsędkiem. Do osamotnionej chwilowo Madzi zbliżył się pan Krukowski i stanąwszy w kornej postawie, jakby go bardzo krzyż bolał, szepnął wzruszony:

— Jak pani musi mną pogardzać, panno Magdaleno!...

Madzia zadziwiła się.

— Ja, panem? — rzekła. — Boże mój! i za co?... Taki pan dobry, taki delikatny...

— Ale ten upokarzający stosunek do siostry, z którego śmieje się — nawet — pan Miętlewicz... A to protegowanie mnie przez pana majora, który czasem traktuje mnie tak lekko, że doprawdy... Lecz niech pani wejdzie w moje położenie: czy mogę żądać satysfakcji od starca albo opuścić chorą siostrę?... Okropną jest ta wieczna małość!... Ja czuję, że ludzie sądzą mnie surowo, ale cóż zrobić?...

Mówił to zadyszany, łamiąc delikatne ręce i z trudnością hamując się od płaczu.

— Prawda, pani, jaki ja jestem śmieszny, niedołążny?... — dodał.

Madzi łzy napłynęły do oczu. Uniesiona dziwną odwagą podała Krukowskiemu rękę i ściskając go rzekła:

— Niech się pan uspokoi... My, kobiety, pojmujemy bohaterstwa, których świat nie uznaje...

Swoją drogą, gdyby mogła za cenę kilku lat życia wydobyć Krukowskiego z tej bohaterskiej pozycji, poświęciłaby je.

Piekło skierowało ich w stronę Miętlewicza z precikiem w rękę. Więc pan Krukowski ledwie miał czas wyszeptać:

— Do grobu nie zapomnę... do grobu...

I z uczuciem pocałował Madzię w rękę.

— Panie Krukowski! siostra pana prosi — zawołał Miętlewicz.

Krukowski odszedł rzucając Madzi bezdenne spojrzenie, a zbliżył się Miętlewicz. Wyglądał bardzo poważnie.

— Proszę pani — zaczął — czy ja naprawdę robię co nieprzyzwoitego?... Bo w tej chwili major powiedział, że jestem cham...

— Ja... nic nie słyszałam — odparła zmieszana Madzia...

Miętlewicz zdawał się być szczerze zmartwiony. Usiadł na ławce obok Madzi i bijąc pręcikiem szpice swoich kamaszy mówił:

— Ech, proszę pani, ja wiem, że jestem cham!... Matka moja była sklepikarką... nie odebrałam żadnej edukacji... więc ludzie kpią ze mnie i nazywają chamem, osobliwie szlachta. Pani myśli, że ja tego nie widzę? Oj, oj, a jak czuję!... Nieraz wyciąłbym sobie kawałek ciała, ażeby mieć takie słodkie i pachnące miny jak pan Krukowski... On pan z panów, ja biedak z biedaków... On ma czas wystawać przed lustrem, ja nieraz ani jeść, ani wypić nie mogę spokojnie...

Umilkł, potniał i wzdychał.

— Panno Magdaleno — rzekł patrząc na nią błagalnym wzrokiem — niech pani o mnie źle nie myśli... ja nic od pani nie żądam, przysięgam Bogu... Pani skończyła taką pensję!... Chciałbym tylko czasami spojrzeć na panią, bo kiedy spojrzę, to... robi mi się dobrze na sercu... A jeżeli kiedy obrażę panią niechący... Eh, co tu gadać!... Wolałbym złamać nogę aniżeli panią urazić...

W tej mowie rwącej się i pełnej wybuchów dźwięczał taki szczególny ton, że Madzię żal ogarnął. Milcząc podała Miętlewiczowi rękę i tak serdecznie spojrzała mu w oczy, że — rozchmurzył się, a nawet trochę zdziwił.

Wtem matka zawołała ją do siebie.

„Biedny on, biedny, ten szlachetny prostak! — myślała Madzia opuściwszy Miętlewicza. — Cóż bym dała, ażeby go uspokoić i przekonać, że nie wszyscy ludzie zważają tylko na pozory...”

Goście zaczęli się rozchodzić. Panna Eufemia była rozstrojona, pan Krukowski rozmarzony, pan Miętlewicz poważny. W furtce major pokłócił się z podsędkiem o pogodę na następny dzień, na ulicy siostra pana Krukowskiego zaczęła krzyczeć, że wózek się przewraca... W końcu wszystko ucichło.

Madzia zostawszy samą zaczęła czytać listy. Panna Malinowska pisała jej, że Arnold, drugi mąż pani Latter, przeznaczył dla Heleny i Kazimierza Norskich sporo pieniędzy i że ma zamiar opuścić Amerykę, a przesiedlić się do Warszawy z żoną i synem. Wspomniała też, że stary szlachcic, Mielnicki zobaczywszy zwłoki pani Latter, dostał ataku apoplektycznego. Dziś mieszka na wsi pogrążony w apatii, a tylko od czasu do czasu wspomina o dzieciach zmarłej. Zakończyła list prośbą, ażeby Madzia, jeżeli od wakacyj chce być u niej damą klasową, doniosła jej natychmiast, gdyż zgłasza się wiele kandydatek na tę posadę.

Madzia zdecydowała się, że nie weźmie miejsca u panny Malinowskiej. Po co?... Wszakże otworzy tu szkołkę, która zapewni jej utrzymanie i pozwoli dopomagać rodzicom.

Ada Solska donosiła Madzi z wielkim zachwytem, że w Zurychu uczęszcza na kursa przyrodnicze, które ją bardzo zajmują. Owszem przekonała się, że celem jej życia może być tylko botanika i że pracując nad botaniką znajdzie prawdziwe szczęście. Nadmieniła, że Hela Norska mieszka w jakimś włoskim klasztorze, lecz jeszcze nie jest pewną, czy zostanie zakonnica, czy wróci do świata.

Większą połowę listu poświęciła Ada panu Kazimierzowi Norskiemu. Bawi on także w Zurychu i studiuje nauki społeczne. Jest to człowiek niesłychanie poważny, niesłychanie pracowity, niesłychanie genialny i ma niesłychanie wielkie zamiary. O ile ona, panna Solska, pozwala sobie odgadywać plany pana Kazimierza, chodzi mu o zupełne zreformowanie położenia kobiet. On to musi zrobić, on to zrobi przez pamięć dla swojej nieszczęśliwej i świętej matki, która straciła życie walcząc o niezależność. Z Adą pan Kazimierz prawie nie mówi o swoich genialnych planach, tylko o botanice, którą ona mu objaśnia. Ale zamiary swoje wypowiada i w kółkach studenckich, gdzie szczególniejszej studentki są zachwycone. Nieszczęściem Ada na tych posiedzeniach nie bywa i nawet nie zna studentek, gdyż nie lubi opuszczać domu. Ale o triumfach pana Kazimierza wie doskonale, ponieważ on sam jej o tym donosi.



Madzia kilka razy odczytywała list panny Solskiej, wreszcie schowała go w eleganckim pudełeczku po proszkach Zejdilitza. Była podniecona, rozmarzona, z godzinę spacerowała po ogrodzie przy gwiazdach, wreszcie — westchnęła i wróciła do swego pokoju.

Położywszy się zobaczyła w półśnie pana Krukowskiego w granatowym i pana Miętlewicza w jasnym garniturze: tamten (zupełnie jak w rzeczywistości) miał na głowie kapelusz panamski, ten — świeży cylinder. Obaj mieli żalosne fizjonomie i błagali Madzię o litość.

I Madzia żałowała ich: jednego za to, że był tak delikatny, drugiego — że miał matkę sklepikarkę, a obu za to, że czuli się bardzo nieszczęśliwymi. Cóż by dała, ażeby odzyskali spokój!...

W miarę rosnącego w sercu Madzi współczucia obrazy obu panów coraz bardziej zbliżały się do siebie: garnitur jasny zmieszał się z granatowym, cylinder z panamą i — z dwóch ludzi zrobił się jeden.

Madzia podniosła oczy na jego twarz i — zobaczyła pana Kazimierza.

Ten widok tak ją przeraził, że obudziła się i długi czas nie mogła zasnąć.

#### 41. MARZENIA

Trzydniowy deszcz nadał miastu Iksinów posępną fizjonomię. Armia szarych obłoków od zachodu na wschód posuwała się tak gęsto, że ludzie mogli zapomnieć o kolorze nieba, a tak nisko, iż niektóre zdawały się rozdierać o wieżyczki kościelne albo płatać między gałęzmi starych lip i kasztanów.

Major włożył długie buty i burkę, w której wyglądał jak szyldwach w budce; podsędek prawie nie ukazywał się spod parasola i tylko poznawano go po spodniach zawiniętych powyżej kostek; pan Miętlewicz ubrał się w gumowy płaszcz i głębokie kalosze, których wymiary stanowiły rażącą dysproporcję z małością miasteczka.

Na szczęście nikt go nie widział; towarzystwo siedziało w domu, żadna bowiem wykwintniejsza kobieta nie mogła przejść ulicy, na której boki kapało ze wszystkich dachów, a środkiem ciekło coś podobnego do czekolady gęstej jak powidła. Tylko w rynku zamiast błota lśniły się w kilku miejscach rozległe kałuże, po których małe chłopaki pływały w nieckach i baliach, ożywiając ponure miasto śmiechem i okrzykami.

Ponieważ pana Krukowskiego siostra zakłęła na swoje przywiązanie, ażeby się nie narażał, więc i on siedział w domu, zabijając nudy tym sposobem, że w dzień wyglądał oknem, a wieczór pozwalał się ogrodnikowi wycierać mrówczanym spirytusem. Siostra wytłomaczyła mu, że ma reumatyzm, o co zresztą nie spierał się pan Krukowski czując lekkie darcie w nogach i tępe bóle w krzyżu. Myśli jego błądziły około domu doktora, gdzie Madzia zamknięta w swym pokoiku przeglądała pensjonarskie kursa albo pisała coś na arkuszach i darła.

A ponieważ pan Krukowski w żaden sposób nie mógł odgadnąć, co robi Madzia, więc strudzona jego imaginacja przeniosła się w inny koniec miasta, gdzie mieszkali podsędkowie. Tam wiedział, czym się zajmują: pan niezawodnie wymyka się z domu na partyjkę, pani śpi, a piękna Eufemia albo czyta popularne wydanie Comte'a i Darwina, albo — gra na fortepianie.

I z gorzkim uśmiechem przypomniał sobie pan Ludwik te tak niedawne czasy, kiedy on grał na skrzypcach, panna Eufemia wtórowała mu na fortepianie, a pani sędzina nie kazała wnosić światła do pokoju mówiąc, że najlepiej lubi muzykę w półmroku.

Gdzie ta muzyka!... te zmroki!... te uczucia!... I nie ma czego żałować: Madzia bowiem jest tysiąc razy ponętniejsza od panny Eufemii, która w dodatku okazała się kokietką... Czyliż nie widział jej spojrzeń rzucanych na Miętlewicza, a nawet na Cynadrowskiego...

— O, serce kobiety!... — szepnął pan Ludwik.

Wstał od okna, otworzył mahoniowe pudło ze skrzypcami i spod haftowanej kołderki wydobył instrument. Wytarł smyczek kalafonią, brzęknął na strunach, pokręcił klucze i w chwilę później spod delikatnych palców rozległy się dźwięki barkaroli.

Grał i grał wysuwając to jedną, to drugą nogę, wstrząsając lewą dłonią i głową, zapatrzony w kąt pokoju nad szafą, rozmarzony. Wtem cicho otworzyły się drzwi i w progu stanęła siostra. Pan Ludwik zamilkł...

— Przeszkadzam ci? — spytała paralityczka opierając się na lasce. — Jak ty już dawno nie grałeś!... od czasu tych tam duetów z z... panną podsędkówną... Dziwię się tylko, żeś na pierwszy raz wybrał tę właśnie barkarolę... Czybyś znowu przypomniał sobie?...

— Ach, co też siostrunia mówi? — oburzył się pan Ludwik. — To... jest... jakby mimowolne pożegnanie... z dawnymi marzeniami, które dziś mnie samego dziwią.

— Więc zagraj teraz powitanie — rzekła siostra. — Tylko proszę cię, niech to będzie ostatnie powitanie — dodała poważnie — bo już nie jesteś tak młody. Pamiętaj, jeżeli się w tym roku nie ożenisz, znać cię nie chcę... To nawet niezdrowo...

— Ach, siostruniu... — przerwał pan Ludwik.

Znowu stanął w klasycznej pozie, potrząsnął głową, wysunął nogę, uderzył smyczkiem w struny i — tym razem popłynęła melodia:

Gdyby rannym słonkiem  
Wzlecieć mi skowronkiem...

— Tak... tak!... — mówiła siostra. — Madzia to skowronek... Ale, mój Luciu — rzekła po chwili — jak skończysz, to jeszcze zagraj sobie jaki kawałek, a potem... daj spokój. Mnie trochę głowa boli, a i tobie na nerwy niedobrze działa muzyka...

Wyszła stukając laską i niebawem zaczęła robić wymówki służącej.

„Boże!... Boże!... — myślał zrozpaczony pan Ludwik chowając skrzypce. — Co bym dał za to, gdyby moja siostra choć przez kwadrans wytrzymała w jednakowym usposobieniu. Sama zakazała mi grać na skrzypkach, sama pochwaliła mnie, że na nowo grać zacząłem, i — w jednej chwili znowu nie pozwala mi denerwować się skrzypcami... Boże! Boże!...”.

Nareszcie do zatopionego miasteczka wróciła pogoda i ulice o tyle podeschły, że już mogły na nich pokazywać się damy z towarzystwa wysoko unosząc sukienki.

Wyszła i Madzia z domu; najpierwej oddała listy na pocztę, następnie poszła do domu podsędków.

— O nieba! — zawołała podsędkowa, okrągłym ruchem załamując ręce. — Ależ Femcia od pół godziny opuściła nas mówiąc, że idzie do ciebie... Czy nie zedarzyło się jakie nieszczęście?...

Madzia z trudnością wytłumaczyła pani podsędkowej, że zapewne minęły się z Femcią w drodze i że niezawodnie Femcia czeka na nią w ich domu. Podsędkowa jednak nie prędzej uspokoiła się, aż Madzia przyrzekła, że sama odprowadzi pannę Eufemię na łono stroskanej matki.

— Bo widzisz, deroga Madziu — rzekła na pożegnanie podsędkowa — młode dziewczę jest jak delikatny kwiatek: lada silniejszy powiew wiatru może ją uszkodzić, a cóż dopiero złe języki... Dlatego zawsze na klęczkach błagam Femcię, ażeby sama nie wychodziła do miasta... Z jej pięknnością, z jej pozycją towarzyską... Bądź zderowa, najdroższe dziecię!...

Panna Eufemia istotnie była w domu Madzi, lecz chcąc prędzej spotkać się z nią wyszła naprzeciw. Następnie zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem, dzięki czemu Madzia spotkała ją na drodze od poczty do rynku. Zapewne przypadkiem znalazł się i pan Cynadrowski przed pocztą, bez czapki. Jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą położył na sercu i z wyrazem niemego zachwytu spoglądał na piękną Eufemię, która z obawy przed mogącym trafić się błotem odsłoniła cudne nóżki ozdobione bardzo wysokimi węgierskimi bucikami.

Panny przywitały się serdecznie i zaczęły mówić obie razem:

— Wiesz, zamówiłam u Miętlewicza tapety do naszej pensji...

— A ja wysłałam prośbę do dyrekcji.

— Poczta?... Trzeba było pójść ze mną, to ten pan... sekretarz prędzej by wyeksplodował.

— Byłaś na poczcie? — spytała mimo woli Madzia, szybko dodając: — Ach, Boże, powiedziałaś Miętlewiczowi o tapetach...

— Ale zaklełam go, ażeby nie wspominał nikomu... ani słowa. Zresztą on pomyśli, że ja chcę ojcu zrobić prezent na imieniny. Gdzież pójdziemy: do mnie czy do ciebie?... — zapytała panna Eufemia zwracając się ku domowi doktora.

— Pójdziemy do nas — odpowiedziała Madzia — ale pierwszej wiesz co?... Wstąpimy do jednego stolarza, którego tatko leczy, i dowiemy się: co będą kosztować ławki do naszej szkoły?

— Ach, tak... owszem... No, to idźmy do stolarza, choć ostrzegam cię, że na bocznych ulicach musi być straszne błoto — mówiła panna Eufemia patrząc w ulicę, którą zwykle wydostawał się na miasto pan Krukowski. A po chwili tonem lodowatej obojętności dodała: — Cóż, nie był u was Krukowski?

— Nie.

— Aha!... Ojciec mówił, że pan Ludwik onegdaj cały dzień grał na skrzypcach tę barkarolę, którą dawniej oboje grywaliśmy. Przypomniały mu się piękne czasy...

— On kochał się w tobie? — spytała Madzia upatrując suchych miejsc na błotnistej uliczce.

— Czy kochał się! — odparła panna Eufemia. — Po prostu szalał jak zresztą wszyscy... Ale że jest kapryśnik i lubi zwracać się do każdej nowej buzi, więc wzięłam go na próbę...

Madzi przyszło na myśl, że panna Eufemia niezbyt dokładnie określa swój stosunek do Krukowskiego, i zrobiło jej się przykro za przyjaciółkę. Lecz nie chcąc jej posądzać, postanowiła zapomnieć o tym, co słyszała. Przyszło jej to bez trudności, droga bowiem robiła się coraz błotnistszą, a panna Eufemia odezwała się:

— Moja kochana, my tu nie przejdziemy...

— O, widzisz, już jest domek stolarza... Przejdziemy przez to podwórko... — odparła Madzia wbiegając za furtkę, która wisiała tylko na jednym haku.

— Boże!... Madziu, co robisz?... — zawołała panna Eufemia. — Ależ choćbym miała zostać przełożoną największej pensji, jeszcze nie poszłabym do niej po takich dziurach...

Domek stolarza był stary, porośnięty mchem na dachu, odrapany i tak zapadły w ziemię, że z ulicy można było wejść do wnętrza przez okno, nie bardzo podnosząc nogę. W izbie rozlegał się rytmiczny chrzęst piły, stukanie młotka i jękliwy głos ósmioletniej dziewczynki, która na rękach huśtała paruletniego braciszka.

Na podwórzu, zawalonym deskami i zasypanym mokrymi trocinami, przy małej studziennie z żurawiem, stał stolarz i rozmawiał z Żydkiem, którego chałat odznaczał się wypłowiałą barwą na grzbiecie, ciemniejszą na piersiach, a u dołu był zablocony. Przez otwarte okno widać było świeżą trumnę, w którą wbijał kolki mizerny chłopak, mający dużo wiórków we włosach.

Madzia wstrząsnęła się, panna Eufemia zasłoniła chustką cudnej piękności nosęk. Żydek i stolarz, odwróceny od panien, rozmawiali:

— ...Oddam panu Gwizdalskiemu osiem złotych, a sam wezmę resztę — mówił Żydek. — I tak będzie najlepiej, bo jeżeli pan Gwizdalski odbierze pieniądze, to ja nie zobaczę ani grosza.

— Kiedyż tak nie idzie — odparł stolarz. — Powiedz pan sam: do czego podobne, ażeby starozakonny odnosił trumnę katolicką? Przecie ja bym rozgrzeszenia nie dostał.

— A za moje pieniądze dostanie pan Gwizdalski rozgrzeszenie?...

— Eh!... jużes pan ze dwa razy odebrał swoje pieniądze... — mruknął stolarz plując za koryto.

— Dzień dobry, panie stolarzu! — zawołała Madzia.

Teraz konferujący spostrzegli obie panienki i przerwali rozmowę; Żydek zniknął w sieni domu, a stolarz zbliżył się do plotu. Poza brudną koszulą majstra widać było skrzywioną i zakłęśniętą klatkę piersiową, a na rękach rozdęte żyły.

— Przyszliśmy się zapytać pana — mówiła Madzia — co by kosztowały ławki szkolne?... Wie pan, takie ławki, przy których siedzą dzieci w szkole...

— Wiem. Pulpit do pisania, a przed nim ławeczka.

— Właśnie. I jeszcze muszą być pomalowane na czarno albo na żółto, jak pan zechce... I ile może kosztować taka ławka dla czworga dzieci — mówiła Madzia.

Stolarz zamyślił się.

— Czy ja wiem — odparł spuszczaając głowę. — Z piętnaście rubli.

— Jezus... Maria!... panie stolarzu — zawołała Madzia. — Więc za dwadzieścia pięć ławek musiałibyśmy zapłacić blisko czterysta rubli.

— Dwadzieścia pięć... — powtórzył stolarz i zaczął wicherzyć sobie włosy. — Czy ja wiem?... To może wypadnie po dziesięć rubli sztuka...

— Ależ, Madziu, nie ma co mówić z tym panem — wtrąciła niecierpliwie panna Eufemia. — Pójdziemy do Holtzmachera i zrobi nam...

— Do Żyda?... — spytał stolarz patrząc na nią zapadłymi oczyma. — On i tak potrafi zarobić... No, jeżeli dwadzieścia pięć ławek, to po... po pięć rubli... Taniej nie wezmę...

Panny spojrzały na siebie, wymieniły kilka słów po francusku i — odeszły zapowiadając, że wrócą tu, skoro się namyślą. Stolarz ciężko oparł się o płot i patrzył za nimi, a z sieni wychylił głowę Żydek, widocznie pragnąc skończyć rozmowę. Zaczął ją jednak od słów:

— Nu, nu... panna doktorówna i panna sędzianka chcą ławek... Na co im to?... Nie mówiły panu Gwizdalskiemu?

— Co za szachraje ci nasi rzemieślnicy! — biadała panna Eufemia znowu ukazując węgierskie buciki. — Dopiero co chciał piętnaście rubli, potem dziesięć, nareszcie pięć... Miał zamiar oszukać nas... zaraz, na ile to?... na dwieście pięćdziesiąt rubli!... O, dobrze ojciec mówi, że nasi rzemieślnicy... Patrz, Madziu, idzie ten od rejenta...

Ten od rejenta pięknie uklonił się i — aż stanął na ulicy, ażeby kontemplować węgierskie buciki panny Eufemii.

— Biedny człowiek ten stolarz!... — odparła Madzia. — On tak z biedy mówi, sam nie wie co... Wiesz, Femciu, ławki odłożmy na później, a teraz zobaczmy lokal... Podobno w starej oberży są dwa ogromne pokoje...

— A, moja droga, to już nie dzisiaj — odpowiedziała stanowczym głosem panna Eufemia. — Umarłabym, gdyby mi przyszło dłużej oglądać takie brudy...

— Panie z przechadzki?... — odezwał się pan Miętlewicz wyszedłszy nagle spoza rogu domu Eisenmana, najznakomitszego kupca towarów kolonialnych, żelaznych i łokciowych w Iksinowie.

— Powiedz pan, z dantejskiego piekła!... — zawołała panna Eufemia. — Co za okropne błoto... co za strasni ludzie... Niech no mi pan poda rękę... Ach, nie tak!... tylko końce palców, ażeby mogła przejść... Idź naprzód, Madziu, a pan będzie nam pokazywał drogę, bo... ach... ach... panie Miętlewicz, proszę mnie trzymać!...

I coraz dokładniej ukazując buciki piękna Eufemia podała panu Miętlewiczowi koniec rączki jak w menuecie. Niekiedy chwiała się, zresztą na najrówniejszym miejscu, a pan Miętlewicz płonął z rozkoszy czując na swoich grubych palcach uścisk jej paluszków.

Weszli na rynek, a jednocześnie wybiegł z apteki pan Krukowski i powiewając jasnym kapeluszem wołał z daleka:

— Witam panie!... co za szczęśliwy traf!...

— Aaa... nie spodziewałam się, że pan jest tak niegrzeczny, panie Miętlewicz. Niechże pan poda rękę Madzi... widzi pan, jaką ona złą drogę wybrała — rzekła panna Eufemia półgłosem. I musiała doznać uczucia triumfu przekonawszy się, z jakim pośpiechem rozkaz jej został wykonany. Pan Miętlewicz bowiem w oka mgnienia stanął przy Madzi i z równą umiejętnością jak poświęceniem zaczął przeprowadzać ją po kamykach na drugą stronę wielkiej kałuży.

— Panie Krukowski, niechże pan przeprowadzi pannę Eufemię!... — rzekł Miętlewicz do pana Ludwika, który, jakby zdziwiony, zbliżył się do podsędkówny.

— Może panu zrobi to kłopot?... — rzekła rumieniąc się cudna Eufemia. — W takim razie obejdę naokoło albo poproszę pana Miętlewicza...

— O, pani!... — szepnął wykwintny kawaler i z wdziękiem dotknąwszy kapelusza zaczął pannę Eufemię przeprowadzać po kamykach.

Jeżeli pan Krukowski wątpił o nikczemności męskiego serca, to podczas krótkiej przepawy mógł sprawdzić, że serce męskie jest nikczemne. Opuścił aptekę dla Madzi, biegł przez rynek za Madzią i był pewny, że ją przeprowadzi przez kałużę.

Dużo wycierpiał zobaczywszy, że Miętlewicz podaje rękę jego ubóstwianej i — z niechęcią zbliżył się do panny Eufemii, która już od sześciu tygodni była mu całkiem obojętną.

A jednak — gdy machinalnie spojrział na węgierskie buciki panny Eufemii, gdy zobaczył skraj rurkowanej spódniczki, gdy trwożne dziewczę kilka razy w ciągu przepawy mimowolnie ścisnęło go za rękę, pan Krukowski... oddał uścisk za uścisk... Owszem,

przy każdym kamyku sam już zaczął ścisnąć pannę Eufemię, czując, że opanowuje go coraz większa tkliwość na widok jej buczków i śnieżnej białości falbanek.

Prawda, że gdy oboje znaleźli się na stalszym gruncie, w panu Krukowskim zakipiał gniew na Miętlewicza, który bardzo poufale rozmawiał z Madzią. Niemniej jednak, aż do domu doktora asystował pannie Eufemii, podziwiał cudne rumieńce i topniał pod jej wejrzeniami.

Toteż nie dziw, że gdy obie panienki wbiegły razem na ganek nieco wyprzedzając swoich asystentów, panna Eufemia szepnęła Madzi:

— Pogodziliśmy się z Krukowskim...

— Ach, dzięki Bogu!... — zawołała Madzia tonem tak szczerej radości, że panna Eufemia — naprzód spojrzała na nią z niedowierzaniem, a następnie — rzuciła jej się na szyję mówiąc:

— Jakaś ty dobra, jakaś ty kochana, Madziu!... Nie dziwię się, że Miętlewicz szaleje za tobą.

## 42. POKÓJ W OBERŻY

W parę dni Madzia, nie mogąc namówić panny Eufemii do obejrzenia lokalu na szkołę, sama poszła do starej oberży. Był to długi budynek pod dachówką, murowany, składający się ze stajni i pewnej liczby izb; w stajniach można było umieścić kilkadziesiąt koni, a w każdej izbie wydawać wieczory tańczące na kilkanaście osób. Kiedyś musiało tu być ludno i wesoło; dziś było pusto, zatrzymywali się bowiem w starej oberży tylko najubożsi podróżni, a i to rzadko.

W ogromnej stajni bez żłobów i drabin, lecz pełnej dziur w dachu, Madzia zobaczyła naprzód kurę rozgrzebującą garstkę śmieci, potem żółtego psa, który leżał pod ścianą, lecz na widok Madzi warknął i uciekł, a nareszcie obdartego Żydkę, który za obietnicę czterech groszy podjął się wyszukać właścicielkę zajazdu. Jedna z izb była na oścież otwarta, więc Madzia weszła, ażeby tam doczekać się gospodyni.

Nagle — serce uderzyło jej śpieszniej: za wysokimi drzwiami, które łączyły czy oddzielały ten pokój od sąsiedniego, usłyszała żywą rozmowę. Prowadziły ją dwa głosy: ładny kontralt kobiecy i — nienaturalnie przytłumiony głos męski.

— Ty tego nie zrobisz, Franiu, jeżeli mnie choć trochę kochasz!... — mówiła kobieta błagalnym tonem.

— Owszem, zrobię!... — irytował się mężczyzna. — Niech mała raz dowie się, co to jest obrazić artystkę, która polotem ducha, subtelnością uczuć, talentem...

— Zaklinam cię, Franiu, pójdź jutro, gdy uspokoisz się...

— Nie — spadnę na nich dziś... zaraz... natychmiast... jak piorun...

Rozległo się niby szamotanie, potem odgłos pocałunków i znowu mówiła kobieta:

— Dobrze, więc dziś! Ale jeżeli mnie choć trochę kochasz, zrób pierwej, o co cię proszę...

— Ciekawym?... Chociaż to nie zażegna katastrofy...

— Pójdziesz do niej za godzinę... Daj mi słowo, że dopiero za godzinę... Franiu.

— Kobieto, zastanów się!... Jakżeż ja mogę iść dopiero za godzinę, kiedy nie mam zegarka?... — wysyczał mężczyzna głosem duszonego człowieka.

— Więc zróbmy tak. Wyjdź za miasto, za kościół... Wiesz, tam, gdzie wczoraj tak pięknie deklamowałeś *W Szwajcarii*...

— Co za deklamacja z taką chrypką!...

— Cudownie deklamowałeś, mówię ci... Idź więc tam, potem wróć, a ja tymczasem zrobię obiad...

— Z czego?... — zdziwił się mężczyzna.

— Mamy przecież złoty i groszy siedem... Kupię jaj, bułek... jest sól i herbata...

— A cukier?

— Może nam pożyczysz gospodyni... Tylko idź i... potem zrobisz, co zechcesz, ale aż po obiedzie.

— Zdepczę babę!... zmaltretuję!... opiszę w gazetach!...

— Ach, po co ja ci to powiedziałam...

Znowu pocałunki i szelest, jakby się ktoś ubierał. Po chwili mężczyzna wyszedł deklamując w sieni schrypniętym głosem:

Włochatą pierś do czystych tuląc łon...

Na progu izby, gdzie była Madzia, ukazała się gospodyni, stara Żydówka w jedwabnej peruce na głowie.

— Aj, panienka u nas?... Co panienka tu robi?... Już panienka zdrowa?... — mówiła na powitanie właścicielka zajazdu.

Madzia w kilku słowach objaśniła ją, że ktoś pragnie wynająć dwa duże pokoje w obe-rży na cały rok i że ona chce obejrzeć lokal.

— Bardzo proszę panienki — odparła gospodyni. — Tu jest pięć izb... Sam książe, sam naczelnik mógłby tu mieszkać przez cały rok... Tu nawet pan Bieliński stawał...

Okazało się, że z księżących apartamentów jedna izba jest obórką, druga nie ma podłogi, trzecia okien ani drzwi. Naprawdę kwalifikował się do wynajęcia pokój, w którym Madzia czekała na gospodynię, i ten sąsiedni, w którym słyszała rozmowę.

— Czy nie można by obejrzeć tamtego?... — zapytała Madzia czując, że w jej sercu walczy obawa zobaczenia osoby nieznannej z nieprzepartą ciekawością.

— Dlaczego nie?... Bardzo proszę panienkę... To jest sam najpiękniejszy pokój... Tu stawał pan Bieliński...

— Ale tam teraz mieszkają jacyś państwo — wtrąciła Madzia.

— Nic nie szkodzi... Oni są aktry, oni tu mają trochę pograć, trochę komedie po-kazać. Każdy chce żyć, moja kochana panienko... O, proszę wejść... — mówiła gospodyni otwierając drzwi.

Madzia osłupiała. Na środku izby zobaczyła młodą kobietę, która zasłaniając oczy niezbyt czystą chusteczką zanosila się od płaczu. Widok łez zawsze robił na Madzi bolesne wrażenie, ale tym razem wstrząsnął ją do głębi duszy. Pomyślała, że płacząca kobieta musi być bardzo nieszczęśliwą, i zdawało jej się, że ona już zna tę obcą, że jest jakby jej krewną i że powinna ją pocieszyć.

Więc pobiegła do płaczącej i schwyciwszy ją za ręce rzekła:

— Co pani jest?... Co się to dzieje?...

Stara Żydówka zamknęła drzwi i cofnęła się do sieni.

Nieznanjoma przestraszyła się; lecz widząc przed sobą słodką twarzyczkę Madzi i pełne łez szare oczy uspokoiła się. Była to młoda, szczupła blondynka, z cerą zużytą i niebieskimi oczyma. Popatrzyła na Madzię i odpowiedziała z naiwną prostotą:

— Och, mamy wielkie zmartwienie, proszę pani!... Chcieliśmy tu dać koncert. Ale tam, skąd przyjeżdżamy, Franio... to jest pan Ryszard, musiał zastawić wiolonczelę, a tu nie możemy dostać fortepianu.

— Przecież fortepiany są u nas... — wtrąciła Madzia.

— Wiem, i nawet przed godziną byłam u tutejszej pani podsędkowej z prośbą o po-życzenie fortepianu. Ale ona... (znowu zaczęła szlochać), ale ona... kazała mi wyjść z po-koju...

— Podsędkowa?... — powtórzyła zdumiona Madzia.

— Ach, jaka to niedobra kobieta!... Przecie żebraka nie godzi się wypędzać z do-mu, a nie dopiero... — mówiła łkając nieznanjoma. — Ja jeszcze zrobiłam głupstwo, bo w pierwszym żalu powiedziałam o tym Franio... panu Ryszardowi, który strasznie odgra-ża się na podsędkowę... Naturalnie, jeżeli jej powie choć słówko, koncert przepadnie i... już nie wiem... co pocniemy...

Madzia uściskała ją i posadziwszy na podartej kanapce zaczęła mówić:

— Droga pani, niech się pani uspokoi... Będzie koncert... musi być... Ja pani pożyczę naszego fortepianu, tatko wyrobi wam salę w refektarzu i wszystko będzie dobrze. Ja jestem Brzeska, córka tutejszego doktora, chcę założyć małą pensyjkę...

— A ja jestem Stella, a nazywam się Marta Owsieńska — odpowiedziała nieznanjoma. — Ja śpiewam, a Fra... pan Ryszard akompaniuje mi na fortepianie; potem on gra na wiolonczeli, a ja mu akompaniuję... Jest nam bardzo źle, chociaż dawniej jemu było lepiej, bo to sławny deklamator...

W tej chwili z łoskotem otworzyły się drzwi i wszedł jegomość w ciemnym, wyszarzanym paltocie i w chustce na szyi. Gdy na środku izby zdjął kapelusz z ogromnym rondem, Madzia zobaczyła bladą twarz, czarne oczy i ciemne włosy, które w obfitych lokach spadały aż na chustkę.

Jegomość szedł przez izbę tragicznym krokiem, z góry patrząc na Madzię i bawiąc się brudną rękawiczką. Wreszcie zatrzymał się, spojrzał na Stellę palającymi oczyma i zapytał zduszonym głosem:

— *Qui est cette demoiselle?*

— Biedna nauczycielka — odparła Madzia sama nie wiedząc, skąd przyszedł jej taki koncept do głowy.

— A toś się pani dobrze wybrała!... — syknął jegomość.

Stella zerwała się z kanapki i rzekła prędko:

— Franiu... to córka tutejszego doktora...

— Tak?... — odparł niedbale.

— Pożyczmy nam fortepianu...

— Ooo!... — syknął jegomość.

— Mówi, że uda nam się koncert...

— Aaa!... — i nisko ukłonił się Madzi, z ręką na sercu jak aktor ze sceny.

— Pan... pan Franciszek Kopenszteter... — zaprezentowała go bardzo zmieszana śpiewaczka.

— Właściwie Sataniello... — wtrącił chrapliwie jegomość. — Sataniello... fortepianista, wiolonczelista, profesor deklamacji i głośny w swoim czasie poeta...

Ukłonił się jeszcze raz, zakreślając przy tym nogą łuk w powietrzu, a ponieważ Madzia patrzyła na niego z podziwem, więc prawil dalej:

— Ale niech pani to nie kłopotce, umiem być dobrym kolegą... Zresztą — dodał z westchnieniem — nigdy nie byłem dumny, a tym mniej dziś, od czasu jak muszę tułać się po prowincji... Prowincja — to grób talentów... Dostałem chrypki, wiolonczelę zabrali Żydzi... natchnienie coraz rzadziej nawiedza mnie... Cóż — zwrócił się nagle do Stelli — obiad jest?... Ironia... sarkazm — nie obiad!... Kilka jaj na dwie osoby!...

Madzia widząc przelęknioną fizjognomię Stelli kiwnęła głową wielkiemu artyście, a do jego towarzyszki szepnęła:

— Niech mnie pani odprowadzi...

Gdy zaś obie znalazły się w stajni, zaczęła prosić i zaklinać Stellę, ażeby pożyczyła od niej rubla.

— Odda mi pani po koncercie — mówiła błagalnym tonem.

Śpiewaczka, z początku zakłopotana, w końcu zgodziła się przyjąć pożyczkę. A gdy w parę minut później szukając właścicielki zajazdu Madzia znowu przeszła około drzwi artystów, usłyszała w pokoju radosny śmiech Stelli i łoskot, jakby dwie osoby tańczyły walca.

„Bawią się jak dzieci!...” — pomyślała.

Madzia (według jej własnej opinii) dużo już przeszła w życiu, ale — jeszcze nigdy nie czuła się tak wzburzoną jak w tej chwili.

Czy kto słyszał, czyby kto uwierzył, że ona, Madzia Brzeska, którą panna Howard niekiedy nazywała dzieciuchem, że ona... ma się zająć urządzeniem koncertu!... I to prawdziwego koncertu prawdziwych artystów!...

— Stella i Sataniello... — szepnęła Madzia. — Zabawnie się nazywają, ale ładnie... Ona milutka, on wcale przystojny... nawet interesujący... A jak na mnie spojrzał?...

Aż zarumieniła się, może pod wpływem szybkiego chodu, a może na wspomnienie: „jak on spojrzał...”. Dziwnie spojrzał, nie darmo nazywa się Sataniello...

„Już ja bym nie chciała spotkać się z nim w lesie” — pomyślała Madzia marszcząc gęstą brew.

Swoją drogą była zachwycona. Zdawało jej się, że całe miasteczko patrzy na nią, że ona sama nie tylko biegnie, lecz za chwilę wyleci pod obłoki, jak ten oto gołąbek. Tak jej było pilno, tak była przepełniona ważnością sprawy. Ona, niegodna, nic nie znacząca osoba urządza koncert dwojgu biedakom i wielkim artystom, którzy nie mają co jeść;

ją powołała Opatrzność do tego dzieła, jak niegdyś rybaków i celników do opowiadania Ewangelii.

Wróciwszy do domu wpadła do gabinetu ojca. Doktor przyjmował chorych i zdziwił się widząc Madzię, jak z rozognioną twarzą zatrzymała kolejnego pacjenta, ażeby rozmówić się z ojcem.

— Cóż tam znowu? — spytał doktor trochę zaniepokojony.

Madzia zaczęła mu opowiadać półgłosem, prędko i nieporządnie o Stelli, o Sataniellu, o refektarzu, fortepianie, koncercie, panu Krukowskim, matce i Miętlewiczu. Upłynęło kilka minut, zanim doktor wymiarkowawszy, o co chodzi, począł zadawać jej pytania i dowiedział się, że Madzia chce pożyczyć fortepianu jakiemuś Sataniellowi i Stelli.

— Więc prosz o to matkę.

— Nigdy, tatku... Tylko tatko może o tym powiedzieć mamie... — Wreszcie tatko musi im wyjednać refektarz...

— A im na co refektarz?

— Mówię, że na koncert...

— Jaki koncert?... — pytał zrozpaczony doktor.

— Przecież mówię tatce, że Stelli i Sataniella... Oni mieszkają w starej oberży. Niech tatko zaraz do nich wstąpi, a przekona się, co to za biedacy... No, mówię tatce, że nie mieli dziś na obiad... Ale ja teraz nie mam czasu i pójdę do pana Krukowskiego...

Doktor schwytał się za głowę.

— Zaczekaj no, ty wariatko...

— Proszę tatki, daję słowo, że nie mam czasu, bo ja jeszcze muszę pogadać z panem Miętlewiczem i ogromnie się boję, ażeby mama za wcześniej nie dowiedziała się, boby mi zabroniła...

Ojciec zatrzymał ją za ramię.

— Ter... ter... ter... ter... i nie mam czasu!... — przedrzeźniał ją. — Ale powiedz no, co to za ławki obstalowujesz u stolarza?...

— A bo widzi tatko — rzekła ciszej — ja z Femcią chcemy tu założyć pensyjkę...

Doktor podniósł brwi i rozstawił ręce.

— Tobie na co pensja?... Nie masz co jeść w domu, że chcesz innym chleb odbierać? — spytał.

— Więc to tak?... — zdziwiła się Madzia. — Więc tatko i mama pracują, Zdzisław pracuje, a ja mam próżnować?... Przecież ja tu usycham z nudów i rozpaczę, że nic nie robię...

— A na cóż tobie robota?

— Więc to tak?... Więc ja nie jestem samodzielnym człowiekiem, nie mam żadnych obowiązków, nie mam prawa służyć społeczeństwu, nie mogę przyczynić się do ogólnej pomyślności, do postępu i szczęścia młodych pokoleń, do podźwignięcia kobiet z upokarzającego stanowiska?...

Ponieważ głos jej zaczął drżeć, a szare oczy zachodzić łzami, więc doktorowi zrobiło się ciepło około serca. Wziął ją dwoma palcami za brodę, ucałował i rzekł:

— No, już będziesz miała fortepian, refektarz, pensję... tylko nie becz, bo pacjenci czekają... Oj ty... ty... emancypantko!...

Madzi, kiedy z ust ojca usłyszała wyraz: emancypantka, zdawało się, jakby przed nią nagle — ktoś drzwi otworzył. Wyraz ten miał w tej chwili szczególną wartość, lecz ponieważ nie było czasu do stracenia, więc Madzia nie zastanawiała się nad doznanyim wrażeniem. Rzuciła się ojcu na szyję, ucałowała mu ręce i chyłkiem wymknęła się z jego gabinetu do miasta, ażeby nie spotkać matki.

### 43. DZIAŁALNOŚĆ MADZI

Los był dla niej życzliwy, tuż bowiem w rynku zesłał Miętlewicza:

— Ach, jak to dobrze, że pana spotykam!... Wie pan, mamy koncert: pana Sataniello i panny Stelli...

— Ho! ho!... — mruknął Miętlewicz patrząc na nią z podziwem.

— Tak. Biorą od nas fortepian, tatko wyrobi salę refektarską... A pan, złoty panie, zajmij się urządzeniem...



— Koncertu?... — spytał Miętlewicz.

— Tak, kochany panie... Będę panu bardzo, ale to bardzo wdzięczna, jeżeli pan zajmie się ich koncertem...

Mówiła to tak ślicznym głosem, tak ścisnęła go za rękę, tak słodko spojrzała w oczy, że Miętlewicz poczuł zawrót głowy. Faktycznie zobaczył, że rynek zaczyna obracać się dokoła nich od ręki prawej ku lewej i że nawet w tym ruchu zachwiały się wieże kościelne.

— Zrobi pan to... dla mnie? — nalegała Madzia.

— Ja?... — rzekł Miętlewicz. — A czegoż nie zrobiłbym ja dla pani?...

I chciał na dowód porwać za kołnierz przechodzącego Żydka. Lecz opamiętał się i zapytał:

— Co pani każe?... Salę ozdobię... Krzesła ustawię... mogę stać przy sprzedaży biletów... Ale ten Sataniello nie ma wiolonczeli...

— Prawda!... szkoda...

— Żadna!... — odparł zacietrzewiony Miętlewicz. — Sprowadzę tu jego wiolonczelę i nawet zatrzymam u siebie, ażeby jej drugi raz nie zastawił przed koncertem.

— To on taki? — machinalnie spytała Madzia.

— To pani go nie zna?...

— Skąd?...

— Myślałem, że z Warszawy...

— Nie, ja ich tu przypadkiem spotkałam w oberży.

— Pani była u nich w oberży?

— Tak. Oni są bardzo... bardzo biedni, panie Miętlewicz... Oni powinni mieć koncert...

— I będą mieli — odparł. — Ale z pani prawdziwa emancypantka!... — dodał z uśmiechem.

— Dlaczego?... — zdziwiła się Madzia.

— Bo żadna z naszych pań nie poszłaby do wędrownych aktorów ani zajęła się koncertem dla nich, choćby pomarli z głodu... Nasze damy to arystokracja... Ale pani to anioł... — zakończył Miętlewicz patrząc na Madzię, jakby ją chciał zjeść tu, na rynku.

Zmieszana Madzia pożegnała go i pobiegła do siostry pana Krukowskiego, a Miętlewicz stał, stał, stał i patrzył za nią. A gdy popielata jej sukienka i piórko na kapeluszu zupełnie znikły za parkanem, pan Miętlewicz westchnął i poszedł do starej oberży złożyć wizytę wędrownym artystom i pogadać z nimi o koncercie.

Madzia tymczasem biegnąc do domu pana Krukowskiego, a raczej jego siostry, myślała:

„I ten nazwał mnie emancypantką, i tatko nazwał mnie emancypantką... coś w tym musi być... Może ja naprawdę jestem emancypantką?... Wszystko mi jedno; cóż to złego?... Zresztą niech nazywają, jak chcą, byle udał się koncert...”

Jeżeli przeznaczeniem Madzi było rozbudzić senne dusze iksinowskiej inteligencji i w ogóle wywołać jakieś energiczniejsze objawy w życiu powiatowego miasta; jeżeli było jej sądzone, że musi podniecać, zdumiewać, przerażać najspokojniejszych ludzi, w takim razie początek jej działalności przypadł na dzień 15 czerwca 187... roku, w którym przyszła jej idea urządzić koncert. W tym dniu bowiem, niespełna w ciągu godziny, zdumiała własnego ojca, do reszty zawróciła głowę panu Miętlewiczowi, przeraziła i ostatecznie zawojowała pana Krukowskiego, a wszystko — bez najmniejszych chęci wywołania podobnych skutków.

Dzień, jak wyżej powiedziano, był czerwcowy, pogodny, nawet gorący; godzina czwarta po południu. W takiej chwili każdy, kto nie ma obowiązkowej pracy, a ma przy domu własny ogród, siada pod drzewem, oddycha wonią kwiatów i słucha brzęku owadów. A jeżeli nie może przypatrywać się obrazom własnej fantazji, patrzy na ziemię, gdzie rysują się cienie liści, które dzięki delikatnym podmuchom wiatru robią się podobnymi do wesołych dziwnej formy istotek skaczących, całujących się, kryjących się i potem wychylających z drugiej strony w tak zmienionym kształcie, że zdają się być jakąś nową istotką.

Siostra pana Krukowskiego nie miała zajęcia i miała piękny ogród. Lecz ponieważ dzień był taki, że zdawał się wołać ludzi na świeże powietrze, więc właśnie dlatego eks-paraliticzka postanowiła — zamknąć się w domu. Ubrała się w atlasową suknię, na głowę

zarzuciła koronkę, ustroiła się w połowę swoich brosz, łańcuchów i branzolet i — siedziała na fotelu, a raczej na poduszce, mając drugą poduszkę za plecami, a trzecią pod nogami.

Następnie kazała pozamykać drzwi, ażeby nie wlatywały muchy, zapuścić rolety od gorąca i ponieważ było duszno, kazała swemu bratu odświeżać powietrze za pomocą wody kolońskiej.

Właśnie gdy Madzia weszła do salonu, usłyszała ciche syczenie i zobaczyła pana Ludwika, który z monoklem w oku a rezygnacją w postawie, siedząc naprzeciw siostry obłożonej poduszkami, miętosił bańkę rafreszysera i odświeżał powietrze.

— Nie tak gwałtownie, Luciu — mówiła eks-paralityczka — wolniej... wolniej... Ach, to ty, Madziu? Prawda, jaki okropny dzień?... Mama zdrowa? tatko zdrów? — szczęśliwi!... Jestem pewna, Madziu, że jeżeli nie zrobi się chłodniej, nie doczekam wschodu słońca...

— Ależ, siostruniu!... — wtrącił pan Ludwik wciąż pompując rafreszyser.

— Nie przerywaj, Luciu!... Umrę i nikt mnie nie będzie żałował... Nikt... Owszem, każdy ucieszy się... Ale co tobie, Madziu?... Jesteś jakaś rozgorączkowana...

— Biegłam prędko, proszę pani.

— Zdajesz się być zaniepokojona... Może co się stało, a wy ukrywacie przede mną?... — zawołała chora.

— Nie, proszę pani, to pewnie z gorąca.

— A tak, z gorąca... Luciu, skrop Madzię...

Posłuszny pan Ludwik poprawił monokl i skierował na Madzię tak silny prąd wody kolońskiej, że jego siostra zawołała:

— Ależ nie tak gwałtownie, Luciu!... Dostyc... teraz mnie trochę...

Eks-paralityczka miała w tej chwili paroksyzm gadulstwa. Jak okręt, który wyjeżdżając na pełne morze rozwija coraz nowy żagiel, tak chora dama z przeszłości, terażniejszości, przyszłości i możliwości wywłóczyła coraz nowe opowiadanie. Pan Ludwik był bliski zemdenia, Madzia lękała się apopleksji.

Myślała, że udusi się z niecierpliwości. Madzia przyszła tu, ażeby z panem Krukowskim pomówić o koncercie, a tymczasem jego siostra po półgodzinnym gadaniu zdawała się dopiero rozpuszczać skrzydła jak orzeł, który ociężale wznosi się między skałami, i dopiero gdy wierzchołki ich ujrzy pod sobą, zabiera się do właściwego lotu.

„Muszę mu w jakiś sposób dać do zrozumienia, że mam interes” — pomyślała Madzia. A przypomniawszy sobie z opowiadań o magnetyzmie, że wzrokiem można drugiej osobie zakomunikować swoje intencje, zaczęła bystro wpatrywać się w pana Krukowskiego.

Pan Ludwik spostrzegł błyskawice spojrzeń Madzi. Z początku wziął to za objaw rozgorączkowania i słodko uśmiechnąwszy się, z całą elegancją skierował na Madzię nowy strumień rafreszysera. Lecz gdy policzki Madzi zaczęły okrywać coraz silniejszy rumieniec, gdy szare oczy pały coraz silniej, a wilgotne, rozchylone usta nabierały coraz żywszej barwy karminu, pan Krukowski sam zarumienił się i skromnie spuścił oczy.

„Co za namiętność!...” — pomyślał. Przyszły mu na pamięć rozmaite damy, które okazywały mu życzliwość, i przeczuwał, że Madzia znajduje się w jednej z tych chwil, po których zazwyczaj następuje wyznanie.

„Przecież nie mogę pozwolić, ażeby ona mi się oświadczyła!...” — rzekł w sobie i postanowił rzucić na Madzię jedno z owych spojrzeń, w których mieści się uspokojenie, nadzieja, wzajemność — słowem — doskonała harmonia dusz.

Więc spojrział. Lecz któż zdoła opisać jego przerażenie, gdy spostrzegł, że Madzia mruga na niego i robi mu oczyma jakieś znaki.

Pan Krukowski już tak kochał Madzię, że w pierwszej chwili stało mu się przykro.

„Po co ona to robi?...” — pomyślał.

Lecz jej spojrzenia były tak płomieniste, a w twarzy malowała się tak namiętna niecierpliwość, że pan Krukowski uczył w sercu coś nadzwyczajnego.

„Boże — pomyślał z trwogą — czy ja wydołam!...”.

Zrozumiał, że nie wydoła, lecz jednocześnie zbudził się w nim desperacki szal, jaki w ostatniej chwili musi ogarniać samobójców.

„Niech się, co chce, dzieje!” — powiedział sobie i podniósł się, zdecydowany na wszystko.

— Panno Magdaleno — rzekł — może pani przejdzie się po ogrodzie?...

— Ach, owszem!... — zawołała z radością.  
„Muszę się oświadczyć — pomyślał pan Ludwik. — Klamka zapadła...”  
— Wy po co do ogrodu na taki okropny czas? — oburzyła się eks-paralityczka, której właśnie przerwano bardzo interesujące opowiadanie.  
— Przejdę się z panną Magdaleną, siostruniu, ponieważ widzę, że cała mieni się...  
Tu gorąco i duszno — odpowiedział pan Ludwik głosem tak stanowczym, że chora dama umilkła jak baranek.  
— Zaczekajcie... weźcie mnie z sobą!... — rzekła tonem słodkiej wymówki.  
— Przyszłę tu kogo, ażeby przywiózł siostrunię za nami. Walentowa!... — zawołał z ganku — do pani...  
Ledwie weszli do ogrodu, Madzia schwyciła pana Krukowskiego pod rękę i szepnęła:  
— Wie pan, myślałam, że umrę...  
— Skarbie!... — odparł pan Krukowski ściskając ją za rękę.  
„Będzie koncert!” — pomyślała Madzia i dodała głośno:  
— Zdawało mi się, że już nigdy nie pozwolą mi rozmówić się z panem... No, nigdy!...  
— Czyliż to potrzebne?... — szepnął z kolei pan Ludwik. — Ja już wiem wszystko...  
— Wie pan?... A kto panu powiedział?...  
— Oczy pani... Ach, te oczy!...  
Madzia wyrwała mu się spod ramienia i stanawszy na ścieżce klasnęła w ręce.  
— A to wypadek! — zawołała tonem szczerzego zdumienia. — No, damę panu słowo, że przez cały czas myślałam: czy też on zgadnie, co ja mu chcę powiedzieć?... To może pan nawet wie, jak się nazywają?...  
— Kto?... — zawołał pan Ludwik rozkładając ręce.  
— No, przecież ci, którzy mają dać koncert: Stella i Sataniello. On nazywa się Sataniello i z pewnością będzie grał na wiolonczeli, bo ją pan Miętlewicz wykupi...  
— O czym pani mówi, panno Magdaleno? — spytał pan Krukowski. Doznał w tej chwili uczuć człowieka, który idąc pędem — nagle zaniewidział.  
„Co się ze mną dzieje?...” — pomyślał i potarł czoło.  
— Mówię o tym koncercie — odparła Madzia.  
— O jakim koncercie?...  
— Ależ pan nic nie wie! — zawołała. — Po cóż pan mówi, że pan wie?...  
I zaczęła mu opowiadać znowu bez ładu i składu o koncercie, o Stelli, refektarzu, nawet o Miętlewiczu, który jest taki dobry, taki kochany, że podjął się wszystko urządzić. Wreszcie zakończyła:  
— Ale cały koncert pójdzie na nic, jeżeli pan nam nie pomoże, drogi panie Ludwiku... Pan jest taki szlachetny... ja najpierw chciałam iść do pana, bo ja wiem, że pan najlepiej odczuje położenie tych biedaczków... Wie pan, że oni jeść co nie mają?... Prawda, że pan pomoże, panie Ludwiku?... Zrobi pan to, prawda?... Pan to musi zrobić!...  
I tak go ścisnęła za ręce, tak patrzyła mu w oczy, tak prawie chciała zawiesić mu się na szyi, że panu Krukowskiemu na chwilę błysnęła myśl: porwać ją i uciec na kraj świata, a potem — umrzeć...  
— Zrobi pan to?... zrobi pan?... — pytała Madzia słodkim głosem, w którym było tyle prośby i niepokoju, że odurzony pan Ludwik odparł:  
— Wszystko zrobię!... Przecież chyba rozumie pani, że ja muszę robić, co pani chce...  
— Ach, jak to dobrze... jaki pan szlachetny... jaki pan kochany...  
„Kochany!...” Wyras ten, który Madzia już raz połączyła z nazwiskiem Miętlewicza, kolnął w serce pana Krukowskiego. Szczęściem przyszło mu na myśl, że ona to powiedziała innym tonem i że on, pan Ludwik Krukowski, ma prawo przywiązywać do tego wyrazu inne znaczenie.  
— Cóż mam robić?... — spytał z uśmiechem. — Niech pani rozkazuje...  
— Co?... — Madzia zadumała się. — Refektarz jest — mówiła — fortepian jest, wiolonczela jest... Wie pan co?... Naprzód będziemy rozsprzedawać bilety...  
— Ja z panią? Doskonale.  
— Później da pan bukiet Stelli, kiedy będzie wychodziła na salę. Damy nie mogą występować na estradzie bez bukietu, przecież wiem...

— Nie, pani. Ja mogę dawać bukiety tylko jednej kobiecie... więcej żadnej. Ale jeżeli pani życzy sobie, ażeby koncertantka miała bukiet, każę go zrobić, a wręczy jej który z tutejszej młodzieży.

— Dobrze — zgodziła się Madzia. — Ale za to musi mi pan zrobić jedną rzecz....

— Słucham i jestem gotów.

— Widzi pan — mówiła zamyślona — to będzie koncert bardzo nieurozmaicony... wiolonczela i śpiew, cóż to znaczy, osobliwie, jeżeli postawimy wysokie ceny... Prawda?...

— Rozumie się.

— Otóż widzi pan, ja zaraz pomyślałam, że będzie źle... I dlatego wie pan, co zrobiemy?... Pan — zagra na skrzypcach!... Pan tak ślicznie gra, panie Ludwiku... mówiła mi Femcia...

— Ja?... — rzekł pan Ludwik i cofnął się.

— Pan, drogi panie... Przecież ja wiem, że pan ślicznie gra... cudownie... wszyscy będą płakali...

— Ja z wędrownymi aktorami?...

— Przecież to na cel dobroczynny... Oni tacy biedni... O, pan musi grać, jeżeli mnie pan choć trochę lubi...

Pan Krukowski usłyszawszy to pobladł i odparł poważnym głosem:

— Jeżeli-ja-panią-lubię?... Panno Magdaleno... Krukowscy stawali dotychczas przeciw armat — pistoletów — szpad... Żaden — na estradzie, obok wędrownych aktorów... Ale jeżeli — w ten sposób — mam pani dowieść mego przywiązania — będę grał na koncercie...

I uklonił się.

— Ach, jak to dobrze... Nie, pan jest najszlachetniejszy człowiek, jakiego spotkałam w życiu... Wie pan... naznaczymy ceny: po trzy ruble za pierwszy rząd, po dwa za drugi, a resztę po rublu.

Pan Ludwik uśmiechnął się melancholijnie.

— No, ale już dosyć... Dziękuję panu... bardzo dziękuję... — mówiła Madzia patrząc mu w oczy i ściskając za ręce. — Jeszcze raz dziękuję i uciekam, bo od mamy dostanę burę...

Pan Krukowski milcząc pocałował ją w rękę, a gdy Madzia pożegnała się z jego siostrą, odprowadził panienkę na ganek i jeszcze raz pocałował ją w rączkę.

Gdy wrócił do ogrodu, chora siostra zaczęła przypatrywać mu się przez złotą lornetkę.

— Mój Ludwiku — rzekła surowo — co to znaczy? Magdalena jest rozdrażniona, ty zmieszany — przysięgam, że w mieście coś się stało!... Kto umarł: proboszcz czy major?... Nic nie taj przede mną, bo ja już wiem... Miałam okropne sny tej nocy...

— Nikt nie umarł i nic się nie stało.

— Luciu... nie przerażaj mnie — mówiła drżącym głosem. — Luciu... wszystko wyznaj... Ty wiesz, że ja wiele ci przebaczałam... Tobie coś jest...

— Nic. Po prostu jestem szczęśliwy.

— W imię Ojca!... Jak to szczęśliwy?... Przed godziną, kiedym kazała zamknąć balkon i zapuścić rolety, powiedziałeś, że nie ma nieszczęśliwszej istoty od ciebie, a teraz.... Czy odebrałeś jaki list?... Może sztafetę?...

— Jestem szczęśliwy z wizyty panny Magdaleny — odparł znękany głosem pan Ludwik.

Chora dama wybuchnęła śmiechem.

— Ach, więc oświadczyłeś się Madzi i zostałeś przyjęty?... Także mi mów... Ale żeń się, żeń... niech w domu nareszcie zobaczą młodą twarz, bo z wami można oszaleć... To żona dla ciebie... ta potrafi mnie pielęgnować... Co za dobroć, jaki brak egoizmu, jakie delikatne dotknięcie... Nikt tak lekko nie podnosi mnie jak ona... Nikt z prowadzących mnie pod rękę tak nie uważa, czy nie ma kamienia na drodze, ażebym się nie uraziła...

— Ależ, siostruniu, to jeszcze nie skończone... to ledwo zaczęte!... — przerwał niecierpliwie pan Ludwik.

— Więc nie przyjęła cię?

— Nie.

— Tylko co?

— Dała mi do zrozumienia, że wie, iż ją kocham, i w imię tej miłości zażądała pewnej ofiary...

— W imię Ojca!... Jakiej ofiary?... — zawołała przerażona.

— Chce, ażebym zagrał na skrzypcach na koncercie — odparł stłumionym głosem.

— Tylko tego?... Więc graj, owszem... Kobieta ma prawo żądać ofiar od mężczyzny, bo i sama niemałe ponosi. Wiem coś o tym... — dodała z westchnieniem.

— Więc siostrunia chce, ażebym wystąpił na koncercie?...

— A rozumie się. Cóż to, Kącki nie występował ze skrzypcami i jednak miał piękną renomę... Zresztą niech ludzie dowiedzą się, że i ty coś umiesz.

Pan Ludwik nie chciał wspomnieć o najważniejszej rzeczy: o wędrownych aktorach. Siedział zatem milcząc, a chora dama prawiała:

— Daj koncert, kiedy tego chce, i... żeń się, tylko prędko, gdyż czuję, że umrę wśród tych pomarszczonych twarzy, a jeszcze więcej — zeschniętych serc... Nie wiem, jak zrobić: czy oddać wam drugą połowę domu, czy lepiej, ażebyście w tej ze mną mieszkali...

— Czy podobna, siostruniu?...

— Jak to, czy podobna?... Pokój, który zajmujesz obok mojego sypialnego, jest tak obszerny, że mogłyby w nim mieszkać ze cztery osoby, a nie dopiero młode małżeństwo. Ja przecież nie mogę zostawać na noc sama, bez żywej duszy obok... Jeszcze by mnie zamordowali...

— Ależ, siostruniu...

— Ach, no!... Tak... — odparła dama po namyśle. — Tak, musicie mieć osobne mieszkanie, rozumiem to... Ale powiem ci, że i ja w tej pustce nie zostanę sama... Któreś z was — ty albo ona, musi czuwać nade mną. Więc umówcie się: jednej nocy ty będziesz spał w pokoju obok mnie, a drugiej ona... To was nie utrudzi: nawet wypada, ażeby małżonkowie dzielili się nie tylko moimi dochodami, ale i obowiązkami względem mnie...

Ton eks-paralityczki zrobił się tak cierpkim, że pan Krukowski nie chcąc sprzeczać się z siostrą skorzystał z przyjsia Walentowej i usunął się w głąb ogrodu — marzyć o pięknej przyszłości.

Dzięki ruchliwej strategii pana Miętlewicza, zanim skończył się dzień, już miasto wiedziało o mającym nastąpić koncercie. Miejscowa młodzież natychmiast wzięła w opiekę dwoje artystów. Jedni złożyli wizytę pannie Stelli ofiarowując jej przy okazji kilka bukiecików i parę pudełek tanich cukierków, drudzy zaznajomiwszy się z Sataniellem, ułatwili mu zaciągnięcie drobnej pożyczki.

Rezultat był ten, że już około wieczora w mieszkaniu zajmowanym przez artystów zjawiała się do Stelli praczka i szwaczka. Zaś około północy Sataniello w towarzystwie miejscowej młodzieży tak dobrze bawił się u Eisenmana, że nagle odzyskał głos i z kielichem w ręku zaczął deklamować *Żalobny marsz* do muzyki Chopina. Wrażenie było kolosalne i nie wiadomo, czy młodzież nie odniosłaby na rękach znakomitego deklamatora, gdyby mu — w połowie utworu — głos nie odmówił posłuszeństwa.

— Przeklęty lufcik! — syknął deklamator. — Znowu mnie zawiało...

— Może dym zaszkodził?... Za dużo dymu — wtrącił ktoś.

— A ja myślałbym, że to poncz — dodał sekretarz reagenta.

— W ogóle pił za wiele — szepnął Miętlewicz — ale za parę dni to minie, a na koncercie będzie deklamował jak sam Trapszo.

— Niech żyje Trapszo!... To mi deklamator!... — odezwał się przez łyż ktoś inny, którego za kłębam dymu nie można było dojrzeć, lecz który posiadał skłonność do płaczu, ile razy znalazł się u Eisenmana za stołem.

Na drugi dzień wpadła do Madzi panna Eufemia; była trochę blada, co jednak przy błyszczących oczach podnosiło jej wdzięki.

— Moja Madziu — rzekła obrażonym tonem — cóż to znaczy?... Mówią w mieście, że urządzasz koncert — beze mnie... A przecież, jeżeli mamy być współniczkami, to chyba do wszystkiego...

— Nie śmiałam cię fatygować, bo... to wędrowni aktorzy... — odparła Madzia.

— Czy oni mówili ci co o nas?... — spytała wylękłona panna Eufemia.

— Nic nie słyszałam — odpowiedziała Madzia rumieniąc się za kłamstwo.

— Bo widzisz, ona, ta śpiewaczka, była wczoraj u mamy z prośbą o pożyczenie fortepianu. Ponieważ mama nie знаła jej, więc pojmujesz, nie mogła dać stanowczej odpowiedzi. Ale ja dziś przychodzę oświadczyć ci, że owszem... pożyczymy im fortepianu.

— Chcieli wziąć fortepian od nas, ale wasz lepszy.

— Rozumie się... bez porównania lepszy — mówiła panna Eufemia. — Słyszałam też, że Krukowski chce grać na skrzypcach... Nie wiem, czy to wypada, ażeby akompaniowała mu jakaś tam wędrowną artystka... Byłoby stosownie, gdyby mu akompaniował ktoś z towarzystwa... Zawsze grywaliśmy oboje razem, więc ze mną poszłoby doskonale... Jeżeli jednak żenuje się prosić o akompaniament, to napomknij mu, że ja mogę się zgodzić.

— Ach, jakże to doskonale!... — zawołała Madzia. — Więc będziesz grać na koncercie?

— Z Krukowskim... tak...

— Zaraz mu to powiem i przyjdzie do ciebie z deputacją. Kogo wolisz: majora z regentem czy majora z moim ojcem?...

— Ja mówię o Krukowskim — odpowiedziała panna Eufemia. — Więc należy i major?...

— A jakże. Będzie nawet sprzedawał bilety, on i proboszcz, bo jakąś część z dochodu oddamy na kościół — mówiła z zachwytem Madzia. — Rozumiesz, że dla ciebie i pana Ludwika będzie nawet poręczniej występować na cel dobroczynny.

— Tak, ach tak... Jesteś zachwycająca!... — zawołała panna Eufemia. — Powiadam ci — rzekła ciszej — tylko mnie nie wydaj z sekretu: Miętlewicz szaleje za tobą... Mówi, że na twój rozkaz skoczyłby w ogień... słyszałaś?...

— Bardzo dobry człowiek pan Miętlewicz — odpowiedziała spokojnie Madzia.

Panna Eufemia pogroziła jej palcem.

— Jakaś ty kokietka, Madziu!... Umiesz za nos wodzić chłopców... Tylko mi nie zbałamuc pana Ludwika, a zresztą wszystkich ci daruję...

#### 44. KONCERT W MAŁYM MIASTECZKU

Tydzień ciągnęły się przygotowania do koncertu w Iksinowie. Wszystkie kwiaty z księżego ogrodu zamówiono dla dam; szwaczki, wynagradzane jak sopranistki, nie sypiały po nocach; z gubernialnego miasta przywieziono furgon kapeluszy i wachlarzy; Eisenman, na ten raz jako kupiec bławatny, zapisał w księgach parę stronich nowych wierzytelności.

Panny nie wychodziły z domu, zajęte upiększaniem swoich sukien; aptekarzowa telegrafowała po narzutkę obszytą łabędzim puchem; aptekarz stojąc w progu apteki głośno wyrzekał na niskość taksy aptekarskiej, przy której niepodobna dogodzić żonie. Cuda zaś opowiadano o nowej toalecie panny Eufemii i jej egzercytowaniu się na fortepianie.

Tylko Madzia nie miała czasu myśleć o strojach. Ledwie skończyła akompaniować Stelli do śpiewu (Sataniello chory leżał w łóżku), zaraz przybiegał pan Miętlewicz z pudełkami kartek, na których trzeba było pisać numeru krzesel. Ledwie skończyła pisać numeru, znowu musiała nawłóczyć je nitkami. Ledwie skończyła zajęcia w domu, wołało ją do refektarza, aby zasięgnąć opinii, czy sala dobrze wygląda.

Gdyby sama troszczyła się o ubranie, zapewne poszłaby na koncert w szarej sukience. Lecz pamiętała o niej matka i po cichu, bez wielkich dopasowywań, przygotowała jej sukienkę z gazy kremowego koloru. W dniu koncertu doktorowa uczesała ją, tu i owdzie zrobiła jeszcze parę ściągów na sukni. Lecz gdy Madzia około ósmej weszła z ojcem na salę mając we włosach żółtą różę, a przy staniku amarantową — Miętlewicz osłupiał, a po refektarzu przeleciał szmer:

— Jaka śliczna!...

Pusty refektarz sławnego niegdyś klasztoru zmienił się w salę teatralną. Ściany ozdobiono festonami z dębowych liści i naftowymi kinkietami; ze sklepienia zwieszały się dwa pająki, każdy na dwadzieścia świec, wybudowane z nieznanego materiału, lecz również obwieszane zielonością. Na jednym końcu sali stał fortepian państwa podsędków, parę krzesel i parę stoliczków z kwiatami; zaś o kilka kroków od fortepianu aż do głównych drzwi tłoczyły się szeregi foteli, krzesel krytych, taburetów, krzeselek giętych, a nawet ogrodowych ławek.

Dziwnie wyglądałoby to zbiegowisko sprzętów, gdyby kto miał czas na nie patrzeć. Szczęściem na meble nikt nie zwracał uwagi, zebrani bowiem w sali iksinowianie zajęci byli oglądaniem samych siebie. Przede wszystkim każdy rzucał okiem w jedno z czterech luster i podziwiał odbicie własnej osoby, która wydawała mu się jeżeli nie czymś zupełnie nowym, to przynajmniej bardzo odnowionym. Następnie rzucał okiem na bliźnich i dostrzegał to samo zjawisko: wszyscy byli tacy piękni i weseli, tacy uprzejmi i zaciekawieni, tacy nowi lub odnowieni, że patrzący rozpyływał się w zdumieniu. Jestże to naprawdę pani aptekarzowa, a to — pan pocztmajster, a tamto — pani rejentowa?... Każda panna wygląda jak promień światła; każda dama jak uroczystość; każdy starszy pan jak hrabia albo dyplomata; każdy młodzieniec jak Apollo w obcisłych spodniach.

Patrząc na te wdzięki i cuda można było przypuszczać, że Eisenman za poradą Miętlewicza wymienił zwyczajnych iksinowian na jakąś rasę wyższą, sprowadzoną z gubernialnego miasta, a kto wie, czy nie z Warszawy?...

Niespodzianki zamiast słabnąć potęgowały się. Dopiero co wprowadził pan Krukowski siostrę, która miała ruchy tak swobodne, jakby nigdy nie narzekała na paraliż; wnet przypłynęła w towarzystwie rodziców panna Eufemia, na widok której pan Cynadrowski zawołał: aaa!... major zaś dodał półgłosem: fiu!... fiu!... Ledwie uspokojono się po powitaniu panny Eufemii, już na jednym z pajaków pochyliła się świeca i zaczęła okapywać frak sekretarzowi komisarza. Zdawało się, że przy wejściu Madzi ogólny zapal dosięgnął zenitu, gdy nagle usłyszano od okna gęste trzaskanie batów, a w korytarzu wystraszony głos, który zawołał:

— Szlachta jedzie!...

Jakoż ukazał się jaśnie wielmożny Bieliński z małżonką i córką, jaśnie wielmożny Czerniawski z dwiema córkami i siostrzenicą, a po nich cały sznur znanych i powszechnie szanowanych wielmożnych panów Abecedowskich, Bedowskich, Cedowiczów, Efowskich, Feckich z małżonkami i córkami, około których krążyła czerstwa młodzież.

Towarzystwo to umieściło się przeważnie w kilku pierwszych rzędach foteli i wyściełanych krzesel. Wszyscy mieli trzyrublowe bilety, wszystkie damy rozmawiały po francusku, niektórzy młodzi panowie zaopatrzyli się w lornety z wyścigów konnych. Jaśniejąca wdziękami w pierwszym rzędzie panna Eufemia zauważyła, że większa część owych lornetek i spojrzeń zwraca się do czwartego rzędu krzesel, gdzie siedział doktor Brzeski z córką i — z bladym uśmiechem szepnęła do matki:

— Jak ta Madzia kompromituje się!... Wszyscy na nią patrzają...

— Już ja uważam, że i na ciebie ktoś bardzo patrzy — cicho odparła matka. — O ten, pod ścianą... Tylko nie mogę dojrzeć: czy to młody Abecedowski, czy młody Cedowicz... Dobre partie...

Panna Eufemia spojrzała we wskazanym kierunku i szybko odwróciła cudowną główkę.

— Któż to? — spytała podsędkowa.

— Nie wiem — odparła z niechęcią piękna panna spostrzegłszy Cynadrowskiego.

Aby zaakcentować różnicę między bezinteresownymi amatorami i płatnymi artystami, komitet koncertowy uchwalił: *primo* — że amatorowie wystąpią pierwsi, *secundo* — że amatorowie wyjdą pomiędzy widzów i wrócą pomiędzy widzów, zaś artyści będą wchodzić i wychodzić na salę drzwiami bocznymi, które kiedyś łączyły refektarz z klasztorną kuchnią.

Na chwilę przed rozpoczęciem jaśnie wielmożny Czerniawski, który na znak szacunku i sympatii siedział przy siostrze pana Krukowskiego, w jej imieniu doręczył bukiet pannie Eufemii. Hołd ten zachwyił podsędkowę, lecz nie rozwił melancholijnego uśmiechu z oblicza panny, która spostrzegła, że Krukowski nierównie piękniejszy bukiet osobiście wręczył Madzi. Przy tym tak żywo rozmawiał z nią, że dopiero Miętlewicz przypomniał mu, iż pora zaczynać.

Wtedy pan Krukowski jakby ocknął się, zbliżył się do panny Eufemii, z ukłonem podał jej rękę i doprowadził do fortepianu.

Szmer rozległ się w sali: panna Eufemia bowiem w białej, powłóczystej sukni wyglądała jak Wenus skazana na osiedlenie do Iksinowa. Elegancko usiadła przy fortepianie i z taką gracją zaczęła zdejmować długie jak wieczność rękawiczki, że sam pan Krukowski, pomimo nieograniczonej miłości dla Madzi, pomyślał:

„Ciekawym, dlaczego chrześcijaninowi nie wolno by mieć dwóch żon?... Femcia jest pyszna!...”

Panna Eufemia zaczęła grać coś tak pięknego i eleganckiego jak ona sama, ale co, pan Miętlewicz nie wiedział. Stojąc obok pierwszego rzędu krzesel spostrzegł, że podsędkowa zalewa się łzami macierzyńskiej radości, że Cynadrowski wygląda, jak gdyby chciał rzucić się do pedałów fortepianu. Lecz całą uwagę pana Miętlewicza pochłonęły urywki rozmowy toczącej się półgłosem między siostrą pana Krukowskiego i jaśnie wielmożnym Czerniawskim.

— A... — mówił pan Czerniawski wskazując okiem na fortepian — a... piękna kobieta!... Co za postawa... oko... pierś... odsada... A nóżka jaka cienka w pięci... w kostce... A... nie dziwię się Ludwikowi, że chciał się z nią żenić...

— Już za późno — odparła siostra pana Krukowskiego i pochyliwszy się do sąsiada szepnęła mu parę słów.

Co szepnęła?... pan Miętlewicz nie słyszał. Ale to widział, że jaśnie wielmożny Czerniawski odwrócił się i uważnie zaczął obserwować doktora Brzeskiego. Potem rzekł do eks-paralityczki:

— A... ma kuzynka słuszność: cudowna!... A... nie dziwię się Ludwikowi...

Pana Miętlewicza taki żal schwycił za gardło, że bojąc się rozplakać na środku sali, cofnął się aż na koniec refektarza za drewniane krzesła, nawet za ogrodowe ławki.

Cóż go to interesowało, że pannie Eufemii dawano rzesiste brawo, że obmierzy Krukowski aż dwa razy roztkliwiał się na swoich jękliwych skrzypcach?... Nierównie ważniejszym było, że w czasie antraktu pan Krukowski przedstawił Madzi jaśnie wielmożnego Czerniawskiego, po nim jaśnie wielmożnego Bielińskiego, a potem wszystkich znanych i szanowanych panów Abecedowskich, Bedowskich i Cedowiczów starszych i młodszych, z kwiatkami w tużurkach lub z wielkimi lornetami w pułdach przewieszonych przez ramię.

W tej chwili on, pan Miętlewicz, powinien był udać się do kuchni zajmowanej przez dwoje artystów i powiedzieć im kilka słów otuchy. Lecz co go teraz obchodziła Stella lub Sataniello? Przecież nie dla nich objeżdżał wiejskie dwory i sprzedawał bilety po trzy ruble; nie dla nich jak kot wspinał się po drabince, aby na ścianach refektarza rozwieszać festony z dębowych liści; nie dla nich za własne pieniądze kupił dziesięć funtów świec stearynowych, po cztery na funt.

Cały koncert był dla pana Miętlewicza stracony. Prawie nie słyszał, co śpiewała Stella, a co odegrał na wiolonczeli Sataniello; nie rozumiał, za co dają im brawo i za co ich wywołują. On na całej sali widział tylko żółtą różę, a obok — pana Krukowskiego, który wbrew przyzwoitości, zamiast asystować pannie Eufemii, jak rzypień przyczepił się do Madzi.

Dopiero na zakończenie koncertu przebudził go z bolesnej zadumy szmer głosów:

— Sataniello ma deklamować!... Sataniello...

Istotnie wielki artysta stanął obok fortepianu, przesunął ręką po długich kędziorach, które spadały mu aż na kołnierz wynajętego fraka, podniósł do góry bladą twarz i płomieniste oczy i głosem matowym, lecz przejmującym zaczął:

Powróciłem z podziemnej otchłani,  
Z posępnego umarłych królestwa —  
I wciąż widzę, jak cierpią skazani,  
Widzę wieczność męki i nicestwa...  
I straciłem u piekielnych progów  
Pamięć szczęścia i słonecznych bogów...

Świece w pająkach dopalały się, niektóre już gasły. W sali było tak cicho, jak gdyby zgromadzeni wyrzekli się prawa do własnego oddechu.

Zostawiłem za straszliwą bramą  
Mej miłości i walk moich ślady,  
A wyniosłem ból i rozpacz samą,  
Gdy w objęciach jej cień zniknął blady,



A jam nie mógł powrócić przebojem  
Po jej życie, które było mojem...

Wtem — zaszlochał męski głos i Miętlewicz zobaczył uciekającego z sali Cynadrowskiego. Kilka osób odwróciło głowy, w ręku dam zabielały chusteczki, lecz zresztą nikt nie przerwał ciszy.

Długowłosey deklamator mówił dalej, a każde jego słowo coraz ostrzejszym bólem przenikało serce Miętlewicza:

Nie żądajcie więc pieśni ode mnie,  
Bo — ja — z wami w szeregu nie stanę,  
By na gruzach przeszłości nikczemnie  
Wielbić świata jaskrawą przemianę  
I przed — waszym — schylając się bogiem,  
Wydrzeć z serca, co mi było drogiem...

Mówiąc: „waszym” Sataniello wskazał na pierwszy rząd krzeseł, a więc albo na jaśnie wielmożnego Bielińskiego, albo na jaśnie wielmożnego Czerniawskiego; w każdym razie na kogoś z partii szlacheckiej. Po sposobie, w jaki zakaszła pan Abecedowski starszy, mieszczenie domyśliło się, że partia uczuła zatruty pocisk wypuszczony w jej piersi.

Wszystkie — wasze pragnienia i cele,  
Wszystko, co — was — upaja i pieści,  
I serc własnych — bezwstydnego wesele,  
Wszystko — mojej urąga boleści,  
I pogardzam kłamliwą rozkoszą  
I — bóstwami — co ją wam przynoszą...

Artysta zachrypnął, uklonił się i wybiegł w stronę drzwi kuchennych. Cisza... wtem jaśnie wielmożny Czerniawski krzyknął: „Brawo!”, jaśnie wielmożny Bieliński uderzył w tłuste dłonie, a za nimi cała partia szlachecka i wszyscy młodzi mieszczenie: sekretarze, prowizorowie, dietariusze, pomocnicy i dependenci — wszyscy zaczęli bić brawo.

Sataniello odwrócił się, uklonił i wskazał na gardło. Już młodzież obu stanów czekała na hasło, już jaśnie wielmożny Bieliński rozłożył ręce do powtórnego oklasku, gdy nagle zawołał jakiś głos:

— Kapie stearyna!...

Oklask zepsuł się, wszyscy ruszyli z miejsc. Wtem odezwał się drugi głos przesiąknięty oburzeniem:

— Za co brawo?... Za to, że nas zwymyślał?... Że nas palcami wytykał?...

Był to wybuch aptekarza, któremu towarzyszyło potakujące chrząkanie kilku poważniejszych iksinowian.

— Co on tam baje?... — szepnął jaśnie wielmożny Czerniawski do jaśnie wielmożnego Bielińskiego.

— Naturalnie! — odparł jaśnie wielmożny Bieliński jaśnie wielmożnemu Czerniawskiemu.

— A tu kapie na głowę stearyna... — dodał znany i powszechnie szanowany pan Abecedowski starszy.

Po tej wymianie zdań cała partia szlachecka z damami i młodzieżą ruszyła ku drzwiom. Został tylko na chwilę pan Cedowicz młodszy, któremu nie chciała zamknąć się ogromna lorneta. Ale i ten wybiegł za resztą.

Pan Krukowski z siostrą i doktor Brzeski z Madzią także wyszli. Lecz państwo aptekarzowie i liczne grono ich przyjaciół zatrzymali się.

— Co to — irytował się aptekarz usuwając się jak najdalej od kapiących pajaków. — Co to, nie słyszeliście, państwo, jak ten aktor wymawiał — was — waszych — wam?... Nie uważaliście, jak na nas pokazywał rękami?... Wasze bezwstydnego — mówił ten obieżyświat — wesele!... Że człowiek zje raz na dzień kawałek mięsa, to ma znaczyć bezwstydnego?... A kiedy powiedział: wasze kłamliwe bóstwa — czy nie spojrział na moją żonę?...

— Na mnie spojrzal — wtręcała pani rejentowa.  
— A czcigodnego doktora Brzozowskiego nie prowokował? — ciągnął aptekarz. —  
Ja już nie pamiętam słów, ale były obrażające... Co w połączeniu ze wskazywaniem na osobę...

— Cóż by miał w tym? — nieśmiało wtręcił podsędek.

Pan aptekarz zniżył głos.

— Jeszcze sędzia nie rozumie?... Panna Brzeska urządziła mu koncert, więc on wywdzięczając się... oszkalował doktora Brzozowskiego...

Podsędek chciał coś odpowiedzieć, lecz żona wzięła go za ramię.

— Nie spieraj się — rzekła półgłosem. — Pan ma rację...

Podsędek spostrzegł, że jego małżonka i córka są bardzo oburzone; więc nawet nie starał się zbadać przyczyny, tylko spuścił głowę i wyszedł, niby oglądając swoje białe rękawiczki, które stanowczo były za duże.

Miętlewicz dziwił się, a zaczął się niepokoić usłyszawszy w korytarzu rozmowę innej grupy iksinowian.

— Co oni za jedni?... czy to małżeństwo? — pytała jakaś dama.

— Małżeństwo, ale bez święconej wody — odpowiedział pan ze śmiechem.

— Skądże znowu taka przyjaźń z panną Brzeską?...

— Stąd, że panna Stella jest emancypantka i panna Magdalena także emancypantka... Emancypantki trzymają się razem jak Żydzi albo farmazoni...

Na ulicy Miętlewicz spotkał sekretarza pocztowego. Pan Cynadrowski był rozgorączkowany; chwycił Miętlewicza za paltó i rzekł:

— Widziałeś dzisiaj pannę Eufemię?... Jak Boga kocham, albo sobie, albo Krukowskiemu strzelę w łeb, jeżeli on z nią będzie grywał koncerta...

— Ach głupi!... — odparł z westchnieniem Miętlewicz. — Krukowski tyle myśli o panie Eufemii, co i ja...

— Pewny jesteś? — spytał pan Cynadrowski z odcieniem radości w głosie.

Miętlewicz wzruszył ramionami i nie odpowiadając na pytanie mówił jakby do siebie:

— Co im ten Sataniello zawinił?... O co oni czepiają się panny Magdaleny?...

— Nic im Sataniello nie zawinił — przerwał Cynadrowski — ani panna Magdalena... To już gotowało się od kilku dni... Są przecież panny i panie, które wściekają się na pannę Magdaleny, że urządziła koncert bez nich... A znowu aptekarz — w łyżce wody utopiłby doktora Brzeskiego... Poczcwi ludzie, więc wszyscy na nich huzia!... Tak zawsze... — zakończył sekretarz z westchnieniem.

Pożegnawszy się z Cynadrowskim, który poszedł w stronę domu podsędków, Miętlewicz udał się do starej oberży. W ciemnej sieni potracił jakąś ludzką figurę, w której poznał pana Fajkowskiego, prowizora farmacji.

— Co tu robisz? — spytał go Miętlewicz.

— Nic... byłem u nich... Tylko, na miłość boską, nie mów o tym nikomu...

— Cóż twój stary taką awanturę zrobił dziś na koncercie?...

Pan Fajkowski zacisnął pięści i zaczął szeptać:

— Głupi on, stary kramarz... Mydło sprzedawać, śledziami handlować, nie aptekę prowadzić!... On się zna na deklamacji albo na śpiewie!... Panna Stella śpiewała jak słowik, jak Dowiakowska, a ten mówi, że ma złą szkołę... Słyszałeś pan?... Mówi o szkole śpiewu facet, który ledwie sztubę ukończył... Boże, jakbym chciał wynieść się stąd!...

Rozpacz prowizora była tak wielka, że Miętlewicz nie próbował jej uspakajać. Pożegnał pana Fajkowskiego i zapukał do izby artystów.

— Wejść!... — zawołał ochryplym głosem Sataniello.

Wielka izba wydawała się ogromną przy mdłym blasku dwu świec, które Miętlewiczowi przypomniały, że on za własne pieniądze kupił dziesięć funtów świec na koncert. Było jednak o tyle widno, że dojrzał Sataniella chodzącego dużym krokiem po izbie i Stellę siedzącą na kanapie obok bukietów nieco nadwierzonych. Na komodzie między świecami leżał laurowy wieniec z blachy pomalowanej na zielono. Był to dar wielbicieli Sataniella ofiarowany mu kiedyś w Sokołowie czy Węgrowie.

Stella obcierała oczy chusteczką, Sataniello dość gwałtownie zapytał Miętlewicza:

— Cóż, ile mamy z koncertu?

— Około stu rubli — odparł Miętlewicz.

— Czy i pan jesteś zdania, że nie udałby nam się drugi koncert?

Miętlewicz wzruszył ramionami. On już nie miał ochoty powtórnie urządzać koncertu po to, ażeby pan Krukowski okrywając się na nim sławą tym obcesowiej umizgał się do Madzi.

— A widzisz — zawołał Sataniello do swej towarzyszki — mówiłem, że nieproszona opieka panny Brzeskiej wylezie nam bokiem... Naraziliśmy się mocniejszej partii i — teraz mamy za swoje...

— Ależ, mój drogi, oni na ciebie są rozgniewani... — Zbyt żywo gestykulujesz...

— Co, więc ja źle deklamuję? — przerwał Sataniello.

— Cudownie deklamujesz, ale twoja gestykulacja tak podnosi wrażenie, iż ludziom zdaje się, że wymyślasz...

— Robić wrażenie jest posłannictwem artysty!... — wykrzyknął Sataniello. — Wówczas dopiero panuję nad tłumem, kiedy podnoszę go do niebios, rzucam w otchłań, pieszczę melodią wymowy albo siekę sarkazmem... Czy dopiero jutro odbierzemy pieniądze, panie Miętlewicz?... — dodał nagle.

— Około południa.

— I pomyśleć — z zapalem prawił Sataniello — i pomyśleć, że moglibyśmy mieć dwa koncerty po sto rubli, a trzeci choćby za pięćdziesiąt... Ze trzy miesiące odpoczynku!...

— Wątpię — wtrącił Miętlewicz. — Miasto ubogie, okolica apatyczna...

— I z miasta przyszedłoby więcej ludzi, i z okolicy — mówił Sataniello. — Alboż mi to jeden dziś powiedział: Panie, zastawiłbym co, ażeby znowu usłyszeć pańską deklamację... Ale cóż — protegowała nas panna Brzeska, osobistość niepopularna...

— Dajże spokój, Franiu! — wybuchnęła Stella widząc, że Miętlewicz, który wszedł do nich roztargniony, zaczyna słuchać z uwagą i zdziwieniem. — Dajże spokój, przecież gdyby nie pan Miętlewicz, nie pan Krukowski i nie panna Brzeska, nic byśmy tu nie zrobili... Nawet ty nie miałbyś wiolonczi, a ja fortepianu.

Miętlewicz popatrzył na nią szklanymi oczyma i pożegnawszy się wyszedł.

Miętlewicz nie bardzo rozumiał, o czym mówili artyści, tylko czuł, że wszystkie ich pretensje i skargi nie wypełniłyby głębokości jego żalu.

Szedł cichymi, niebrukowanymi ulicami, na których świeciły dwie dymiące latarnie, i myślał:

„Po com ja wmieszał się do tego?... Na co ten koncert?... Na to, ażeby Krukowski bałamucał skrzypieniem pannę Magdalenę i później przedstawiał jej rozmaitych wielkich panów, swoich niby przyjaciół... No i złapie ją sprzed nosa... On, bogaty, elegancki, familiant, a ja biedny cham!... Zawsze pulardy dla panów, a ochłapy dla hołoty...”

Im ciemniej robiło się na ulicach, tym posępniejsze myśli kotłowały w głowie Miętlewicza. Zdawało mu się, że ogarnia go powódź beznadziejnego smutku, którego fale uderzały razem z sercem, zmywając wszystkie cele, plany, widoki na przyszłość. Co mu z jego kantoru, co po stosunkach z Eisenmanem i ze szlachtą, co po sprycie i pieniądzech, jeżeli za to nie można dostać Madzi? Przyjdzie ze skrzypcami w ręku lada furfant żyjący z łaski siostry i — zabierze pannę jak swoją.

A panna, rozumie się, woli duży dom, ładny ogród, trzydzieści tysięcy rubli i znajomość ze szlachtą aniżeli ciężki dorobek jakiegoś tam Miętlewicza.

Pierwszy raz uczuł zniechęcenie do interesów, nawet do życia. Kiedy był marnym dietariuszem w powiecie — marzył o niezależnym stanowisku. Zdobył stanowisko — zaczął myśleć o majątku, o przeniesieniu się do Warszawy, o wielkim kantorze pośredniczącym między wszystkimi Eisenmanami i wszystką szlachtą... Nagle przez drogę jego życia przeszła Madzia z żółtą różą we włosach, z pąsową przy staniku i — rozleciały się piękne zamiary.

Tuż przy swoim domu, wśród ciemności, spostrzegł jakiegoś człowieka.

— To ty, Miętlewicz?... — odezwał się tamten.

— Ach, Cynadrowski... Czego włóczysz się po nocy?...

— Czekam na pocztę...

— Aha!... Na tę, co zmienia konie u podsędka.

Sekretarz zbliżył się do Miętlewicza i rzekł stłumionym, ale gorącym głosem:

— Gdybyś ty wiedział, jak mi się czasem chce palnąć sobie w łeb!... Nie zdziwiłbyś się, jeżeli to kiedy zrobię.

— Nie wiadomo, kto z brzoza — odparł Miętlewicz.

— I ty także?...

— Bah!...

Rozeszli się bez pożegnania, jak dwaj ludzie, którzy nawzajem mają do siebie pretensję.

Przez cały następny dzień, po koncercie, Madzię trapił szczególny niepokój: ciągle spoglądała w okno, jakby oczekując na coś niezwykłego; a ile razy kto wszedł — bladła, gdyż zdawało jej się, że już nadchodzi owa przykra wiadomość.

Ojciec milczał i nie wiadomo z jakiego powodu wzruszał ramionami; matka unikała Madzi. W południe przyszedł Miętlewicz, niewyspany czy rozgniewany: przedstawił rachunek z koncertu, oddał Madzi pieniądze przypadające na kościół i pożegnał ją chłodno. W godzinę później chłopiec pana Krukowskiego przyniósł piękny bukiet i list, w którym ofiarodawca przeproszał Madzię, że nie może złożyć jej uszanowania, ponieważ dozoruje chorą siostrę. Wreszcie nad wieczorem ukazał się major: chciał zagrać w szachy, ale — nie zastał podsędka; owszem, dowiedział się ze zdumieniem, że podsędka wcale dziś nie było.

— Chory albo zwariował!... — mruknął major i nawet nie kiwnąwszy głową Madzi wybiegł z niezapaloną fajką.

„Boże! co się to dzieje?...” — myślała Madzia bojąc się kogokolwiek zapytać o wyjaśnienie: wszyscy bowiem wyglądali na jej wrogów.

Sataniello i Stella także nie pokazywali się; ale na ich nieobecność Madzia nie zwróciła uwagi, gdyby matka jej nie odezwała się cierpkim tonem:

— Pięknie odwdzięczają ci się twoi protegowani!...

— Co się stało?... Dlaczego mama to mówi?... — pytała wylękniona Madzia. Ale pani Brzeska wyszła do kuchni, oczywiście nie mając zamiaru dawać objaśnień.

Ciężko upłynął Madzi ten dzień pełen obaw i noc bezsenna, w ciągu których kwadransy wydawały się dłuższymi od godzin.

Nazajutrz pan Krukowski znowu przysłał bukiet odznaczający się przewagą barw czerwonych. Miętlewicz tylko przeszedł pod oknami, ale nie wstąpił do domu doktora; owszem, patrzył na drugą stronę ulicy. Przed obiadem w gabinecie przyjęć odbyła się bardzo ożywiona rozmowa między matką i ojcem Madzi, a nawet parę razy doktor odezwał się podniesionym głosem, co nie było we zwyczaju. Madzia truchlała.

Okolo czwartej major z proboszczem przyszedł na szachy, wynieśli je do altanki, gdzie pani Brzeska podała im czarną kawę, i od razu siedli do partii.

— Nie czekają panowie na pana podsędka? — zdziwiła się Madzia.

Trzeba było widzieć w tej chwili majora!... Wyjął z ust olbrzymią fajkę, nastroszył siwe brwi, na czole żyły mu nabrzękły... Wyglądał jak stary smok.

— Nie znam żadnego podsędka!... — wrzasnął uderzając pięścią w stół, aż poskoczyły szachy i zadźwięczały szklanki. — Nie grywam z pantoflem, któremu baby mieszają we łbie jak w szafliku!...

Jeszcze Madzia nie miała czasu ochłonąć ze zdziwienia, za co major tak strasznie zniechęcił podsędka, gdy — służąca podała jej list.

„Od Femci” — pomyślała Madzia odchodząc w głąb ogrodu i drżącymi rękoma otwierając kopertę.

List rzeczywiście pochodził od panny Eufemii, a oto, co w nim było:

„Pani! Uważam za obowiązek oświadczyć, że nasze projekta co do założenia pensji, przynajmniej z mojej strony, nadal nie będą miały poparcia. Cofam się, sądzę bowiem, że jeżeli jedna osoba nie szanuje najświętszych zobowiązań, to i druga nie może się nimi krępować. Jestem też zdania, że o dalszej przyjaźni między nami mowy być nie może... Eufemia”.

W górnej części listu, po lewej stronie, były wymalowane dwa całujące się gołąbki. Piękny ten symbol przyjaźni czy miłości panna Eufemia przemazała na krzyż dając do zrozumienia, że wszystko i nieodwołalnie skończone.

Madzi, gdy przeczytała list, a jeszcze bardziej — gdy oceniła doniosłość przekreślenia gołąbków, zdawało się, że w ogród uderzył piorun. Na chwilę przymknęła oczy i bez oddechu czekała, rychło na jej głowę upadnie dom, a pod nogami rozstąpi się ziemia... Ale dom, ziemia, ogród zostały na miejscu, słońce świeciło, kwiaty pachniały, a major

z proboszczem grali w szachy, jak gdyby nic osobliwego nie zdarzyło się ani w naturze, ani w Iksinowie, ani nawet w sercu Madzi.

Gra skończyła się. Proboszcz, jako przegrywający, odniósł szachy do gabinetu; major nałożył nową fajkę pakując w jej wnętrze bez mała ćwierć funta tytoniu. Wówczas Madzia ze ściśniętym sercem weszła do altanki i podniósłszy na starca oczy pełne żalu zapytała:

— Panie majorze, stało się ze mną coś okropnego, a ja nic nie rozumiem... Wszyscy się na mnie gniewają...

Majorowi zaświeciły oczy: wyjrzał z altanki, czy kogo nie widać, a potem — schwycił Madzię wpół i gorąco pocałował w szyję mruczając:

— Oj! ty... ty... figlarko!... Mogłabyś nie bałamucić przynajmniej mnie, starego...

Madzię ogarnęło nie dające się opisać zdumienie wobec tych ojcowskich karesów, w których nie było nic ojcowskiego.

— Ja bałamucę pana majora?...

— Naturalnie... rozumie się... Po co masz takie brzydkie oczy, które rzucają urok?... Po co te filutki nad czołem albo — ta szyjka tak apetyczna?... To przecie wszystko pokusy na chłopców.

— Alboż pan major chłopiec?...

Starowina spojrział na nią zdziwiony i — zmieszał się. Drżącymi rękoma zaczął poprawiać fajkę i rzekł:

— Chłopiec, nie chłopiec!... Trzeba mnie było widzieć kiedym był podporucznikiem... Nie takie smarkate, jak ty, wariowały za mną. Ale dość tych głupstw. Czego chciałaś ode mnie?...

— Od onegdaj wszyscy mnie prześladują i nie wiem za co?... — odpowiedziała Madzia mrugając oczyma.

— Nie wiesz za co!... A trzeba ci było urządzać koncert włóczykiom, którzy dziś mają jeszcze do ciebie pretensję, że popsulaś im interesa?...

— Bo oni byli tacy biedni...

— Biedni!... O sobie myśl, a nie o cudzej biedzie. A nie mogłaś to zaprosić podsędkowej do udziału w urządzaniu koncertu?... Podsędkowa, aptekarzowa, rejentowa — one u nas zajmują się spektaklami; nie trzeba im włączyć w drogę.

— Nie śmiałam tych pań zapraszać... Nie myślałam, że chciałyby się fatygować, tym więcej że... (tu Madzia zniżyła głos) oni przecież chodzili do pani podsędkowej i nawet fortepianu im odmówiła...

— Spróchniała laweta! — mruknął major. — Zawsze nie cierpiałem tej baby i jej Femci, której już całkiem przewróciło się w głowie... Ale... po co włóczysz się po obczach?...

— Bo ja, proszę pana majora — szeptwała Madzia — chcę tu założyć niewielką pensyjkę i szukam lokalu.

Major otworzył oczy i podniósł w górę fajkę. Lecz widząc, że nadchodzi proboszcz z doktorową, wzruszył ramionami i rzekł:

— Pluń na wszystko!... będzie dobrze...

— Terazniejsze panny — mówiła pani Brzeska robiąc surową minę — same jeżdżą, same wychodzą do miasta, układają projekta bez wiedzy matek, a nawet zawierają znajomości Bóg wie z kim...

— Emancypacja, pani dobrodziejko, emancypacja!... — odparł proboszcz. — Nieraz poza plecami rodziców robią się znajomości, które prowadzą do niestosownych małżeństw.

— Eh! — wtrącił major — nic tak niestosownego: panna podsędkówna i sekretarz pocztowy...

— Ale bez błogosławieństwa rodziców... — rzekł proboszcz.

— Madziu — odezwała się doktorowa — pan Miętlewicz czeka na ciebie w saloniku, znowu z rachunkami z tego koncertu, o którym chciałabym już nie słyszeć...

— A to dlaczego? — odezwał się major. — Wcale ładny był koncert...

Madzia skierowała się w stronę domu myśląc:

„Co to znaczy?... Czyliżby o Femcię już oświadczył się Cynadrowski?... Tak przecież z niego żartowała...”.

W saloniku, dokąd weszła Madzia, stał Miętlewicz blady, z pliką papierów. Zwykle sterczące wąsiki ułożyły mu się poziomo; za to włosy miał bardziej najeżone.

— Pewnie omylił się pan w rachunkach! — zawołała Madzia.

— Nie, pani... Ja tylko mamie powiedziałem, że przyszedłem z rachunkami, ale...

Głos mu się załamał, na twarzy wystąpiły rumieńce.

— Panno Magdaleno — rzekł ciszej, ale stanowczo — czy to prawda, że pani wychodzi za Krukowskiego?...

— Ja!... — wykrzyknęła Madzia rumieniąc się bez porównania silniej aniżeli jej interlokutor. — Kto panu to powiedział?...

— Cynadrowski — odparł desperackim tonem młody człowiek. — Zresztą wszyscy zauważyli na koncercie, że pan Krukowski zaniedbywał pannę Eufemię, a ciągle zwracał się do pani.

— Ach, więc ona o to gniewa się na mnie?... — rzekła Madzia jakby do siebie. — Ale na jakiej zasadzie — dodała głośno — pan Cynadrowski opowiada takie rzeczy?...

— Musiał słyszeć od panny Eufemii...

— Ona z nim nigdy nie rozmawia! — zawołała Madzia.

— O!... — westchnął Miętlewicz. — Ale mniejsza o nich... Panno Magdaleno, prawdaż to, że pani wychodzi za Krukowskiego?...

— Co pan mówi?... — zdziwiła się trochę obrażona Madzia. Lecz Miętlewicz miał tyle smutku w oczach, że uczuła litość i rzekła:

— Ani myślę wychodzić za pana Krukowskiego i... za nikogo...

Miętlewicz schwycił ją za rękę.

— Czy tak?... — spytał z uniesieniem. — Nie żartuje pani ze mnie?... Niech pani powie...

— Ależ daję panu słowo... — odparła zdziwiona Madzia.

Miętlewicz ukląkł przed nią i namiętnie ucałował jej ręce. Potem szybko zerwał się i mówił:

— Bóg panią wynagrodzi... Gdyby pani potwierdziła te plotki, za kwadrans nie żyłbym... U mnie tak: starosta albo kapucyn...

Madzię ogarnął strach paniczny; cofnęła się, jakby chcąc uciekać, lecz nogi ugięły się pod nią i siadła na fotelu. Zdawało jej się, że Miętlewicz wciąż myśli o zabiciu jej lub siebie.

Desperat spostrzegł to; zastanowił się i rzekł smutnym głosem:

— Niech się pani nie boi... Ja przecież nie chcę pani straszyć ani krępować... Gdyby pani wychodziła za człowieka godnego jej... wola boska — nawet nie odezwałbym się. Ale mnie oburza ten Krukowski... To nie dla pani mąż: stary, zniszczony, żyje na łasce siostry, a więcej od panien dostał odkoszów, aniżeli ma sztucznych zębów... Więc pomyślałem: jeżeli taka kobieta, jak pani, może się sprzedać takiemu trupowi, to już nie warto żyć na świecie...

Madzia drżała, Miętlewicz mówił błagalnie:

— Panno Magdaleno, przysięgam, że nie chcę pani krępować... Niech pani choćby jutro idzie za mąż, a nic złego sobie nie zrobię... Tylko wyniosę się stąd do Warszawy... Niech pani wyjdzie za szlachcica czy za mieszczanina, byle pani poszła z miłości, nie dla interesu... Niech ten człowiek będzie bogaty czy ubogi, z edukacją czy bez edukacji, byle to był człowiek młody, dzielny, który sam się wyrobił, a nie siedział u nikogo na łaskawym chlebie, bo to... fe... fe!... Ja panią bardzo... bardzo przepraszam za moją śmiałość — kończył, znowu całując Madzię w rękę. — Ale ja się pani nie narzucam... Wiem, że nie jestem godzien... Pani dla mnie jest jak święta i dlatego nie mogłem przenieść, nie mogłem wytrzymać, ażeby pani sprzedawała się takiemu dziadowi i jeszcze za pieniądze jego siostry!...

— Posądzał mnie pan o to? — cicho spytała Madzia.

— Przepraszam... do śmierci sobie tego nie daruję, ale... panny miewają różne gusta... Dziś Krukowski, jutro Cynadrowski... Różne bywają kaprysy panien!...

Usłyszawszy za oknem głos doktorowej Miętlewicz szybko rozwinął papiery i zaczął mówić zwykłym tonem, który jednak chwilami drżał:

— Więc wszystko w porządku, tylko mamy jeszcze naddatków pięć... nie — dziesięć rubli... Może pani będzie łaskawa dołączyć te dzie... nie — te piętnaście rubli na kościół...

Do saloniku weszli goście ogrodowi. Proboszcz ucieszył się z naddatku, a doktorowa z tego, że już skończyły się koncertowe interesa. Tylko przekorny major nie mógł utaić zdziwienia: skąd wpłynęło tyle naddatków?...

— Bo to u nas — mówił — każdy potrafi nie dodać, ale żeby miał coś naddać?...

— Może kto ze szlachty, a może siostra pana Krukowskiego, bo ona miewa fantazje — wtrącił proboszcz.

Miętlewicz śpiesznie objaśnił, że naddatek nie pochodzi od pana Krukowskiego ani od jego siostry, lecz utworzył się z wpływów ogólnych. Potem ostentacyjnie zwinął papiery i pożegnał towarzystwo tłumacząc się, że musi iść natychmiast w interesie młocarni pana Bielińskiego.

— Czy mi się zdaje, czy Madzia jest zmieniona? — zauważył proboszcz.

— Trochę boli mnie głowa...

— Pewnie Miętlewicz musiał jej powtórzyć jakąś plotkę — wtrącił gniewnie major. — Babski język!...

— Owszem, niech jej wszystko powtarzają!... — odezwała się doktorowa. — Na drugi raz będzie miała naukę, ażeby nie robić projektów bez wiedzy matki...

## 46. EKS-PARALITYCZKA ZACZYNA REAGOWAĆ

Znalazłszy się sama wśród ogrodu Madzia schwyciła się za głowę.

„Boże! — myślała — ależ ci mężczyźni to prawdziwe zwierzęta... Krukowski, taki szlachetny, taki delikatny, taki dobry przyjaciel — i pomimo to przypuszcza, że ja mogłabym wyjść za niego... Brr... Major ze swoimi pieścizotami jest obrzydliwy, Miętlewicz straszny... I wyobrazić sobie, że gdybym na żart powiedziała: otóż wychodzę za Krukowskiego... ten człowiek zabiłby się!... No i co ja mam począć z takimi ludźmi; gdzie się skryję, a choćby — komu to opowiem?...”

Przyszedł jej na myśl ojciec, najzacniejszy człowiek, który ją tak kocha, że życie poświęciłby dla niej. Ależ ojciec ma pacjentów, kłopoty, wreszcie — wstyd mówić o czymś podobnym do ojca. Jakby on na nią spojrział!... Może, co gorsza, zerwałby stosunki z majorem, Krukowskim i Miętlewiczem, a może nawet uniósłby się i — gotowa awantura o nic! Naturalnie, że o nic, bo przecie cóż znaczy ona, Madzia?... Nic. Jest sobie głupią dziewczyną, którą znajomi lekko traktują, a ona nie ma siły znosić tego z pokorą. Gdyby była tak mądrą i bogatą jak Ada Solska albo taką wielką damą jak nieboszczka pani Latter, albo tak piękną jak Helenka Norska, z pewnością traktowano by ją inaczej.

Helenka przypomniała jej pana Kazimierza. Jaki on inny niż ci tutejsi panowie... Jak on inaczej mówił do niej o swoim przywiązaniu, jak prosił, ażeby czuwała nad jego matką... Prawda, że ze wszystkiego drwił, ale w najboleśniejszych jego żartach było coś niezwykłego. A jak on ją wtedy uściskał... Tak ścisnąć może tylko anioł albo szatan, nigdy człowiek...

Madzia wstrząsnęła się chcąc odegnać wspomnienia pana Kazimierza; wstydziła się samej siebie i swojej okropnej demoralizacji.

„Jestem bardzo zepsuta!” — szepnęła mimo woli i zasłoniła twarz czując, że oblewa się rumieńcem wyżej skroni.

„Bardzo jestem zepsuta!” — powtórzyła.

Świadomość zepsucia przyniosła Madzi ulgę: teraz, gdy zrozumiała swoją z gruntu zdemoralizowaną naturę, wie przynajmniej, dlaczego nie lubi jej matka.

Bo nie ma co tać przed sobą: matka, dość surowa dla dzieci, dla niej zawsze była najsurowszą. Najwięcej kochała Zdzisława, i słusznie: jest to przecież syn. Bardzo lubi Zosię, gdyż Zosia jest najmłodsza. Ale jej, Madzi, matka nigdy bardzo nie lubiła. Nazywała ją upartą i samowolną i zawsze sprzeczała się o nią z nieboszczką babką, dla której znowu Madzia była oczkiem w głowie.

Babka wbrew woli matki wysłała Madzię na pensję pani Latter i płaciła za nią. Babka, z pominięciem dwojga innych wnuków, zapisała Madzi cały swój majątek — trzy tysiące rubli. Nie dziw, że gdy Madzia skończyła pensję, matka nie bronila jej zostać nauczycielką.

— Niech pracuje — mówiła — kiedy chce, między obcymi ludźmi; oni ją oduczą samowoli i wykorzystania to, co babka zasiała pobbżaniem.

Dopiero gdy Madzia wróciwszy z Warszawy zachorowała na tyfus, surowość matki rozplynęła się we łzach i trwodze. Nawet po chorobie było całkiem dobrze: w sercu matki obudziła się większa czułość dla Madzi, gdy nagle — zdarzył się nieszczęśliwy koncert i matka znowu ochłodziła.

Może zrobiłaby Madzi niejedną wymówkę, gdyby nie opór ojca, który stanowczo prosił matkę, ażeby nie dotykała kwestii koncertu wobec Madzi i w ogóle, ażeby nie krępowała jej w niczym.

— Jest to panna dorastająca — mówił ojciec — dziecko rozumne i poczciwe, które nawet złożyło dowód, że potrafi pracować na siebie. Nie można więc zanudzać jej moralami. Niech ona w matce znajdzie przyjaciółkę, a nie surową dozorczynię.

Madzia o tym wiedziała, a czego nie wiedziała — domyślała się. Czuli, że między nią a matką stosunki zadrażniają się ostrzej niż kiedykolwiek, a nie wiedziała, co robić, ażeby tego uniknąć.

Trapiąc się podobnymi rozmyślaniami Madzia dostała migreny. Drobny ten wypadek miał dobrą stronę: nieco ułagodził panią Brzeską, która związując Madzi chustką głowę, pocałowała ją w czoło i rzekła:

— No, no, już dość... nie martw się. Tylko na drugi raz nie rób podobnych znajomości ani urządź koncertów. Panienska w twoim wieku nie może się afiszować, bo ją pochwyć na języki.

W taki sposób zakończył się parudniowy niepokój Madzi, ale — nie na długo.

Doktorowa Brzeska, jakkolwiek sama ubrała córkę na koncert i cieszyła się z jej triumfu, miała jednak (w swoim przekonaniu) obowiązek gniewać się na Madzię. Zaraz bowiem na drugi dzień po koncercie doniesiono jej (i to z kilku stron), że — całe miasto jest wzburzone.

Czym wzburzone? na kogo? i z jakiego powodu? — o tym nie bardzo wiedziała doktorowa i zresztą — było jej wszystko jedno. Jej wystarczył fakt, że Madzia należała do sprawy, która wzburzyła miasto, i że powszechny wybuch niezadowolenia mógł zwichnąć karierę młodej panienki.

„Kto ożeni się z panną, na którą oburza się całe miasto?...” — myślała pani Brzeska pocieszając się nadzieją, że może Bóg odwróci nieszczęście i że — pan Krukowski zapewne poważnie myśli o Madzi, skoro dzień po dniu przysyła jej bukiety.

Naprawdę, z dziesięciu tysięcy mieszkańców Iksinowa, dziewięć tysięcy dziewięćset siedemdziesięciu pięciu nie tylko nie oburzyło się, ale nawet nie myślało o koncercie. Z pozostałych zaś dwudziestu pięciu osób — kilku młodych panów rozpaczalo po wyjeździe Stelli, kilku ojców rodzin frasowało się długami zaciągniętymi na koncert, który żadnej zmiany nie wywołał w losie ich córek, a dopiero kilka starszych pań urządzało wzburzenie umysłów w Iksinowie.

Jedną z agitatorek była pani podsędkowa. Czcigodna dama liczyła na pewno, że skoro Femcia, jej córka, zaakompaniuje panu Krukowskiemu na koncercie, pan Krukowski, jeżeli ma odrobinę honoru, musi oświadczyć się o rękę Femci. Że zaś pan Krukowski nie tylko nie oświadczył się o Femcię, lecz nawet podczas koncertu skandalicznie asystował Madzi, więc jedno z dwojga:

Albo pan Krukowski jest człowiekiem podłym, na którego nie powinna spojrzeć żadna uczciwa kobieta nie wyłączając Madzi;

Albo pan Krukowski jest człowiekiem szlachetnym, który wpadł w sieci zastawione na niego przez Madzię, Stellę, Sataniellę i wszystkich miejscowych i zamiejscowych intrygantów.

W rozmowaniu tym utwierdziła panią podsędkową inna czcigodna matrona, pani rejentowa, której Madzia wydarła możliwość urządzenia koncertu. Jak Iksinów Iksinowem, nikt nie urządzał koncertu bez udziału pani rejentowej; zrobiła to dopiero panna Brzeska, córka doktora, który (jak trafnie orzekł pan aptekarz) swoją zdolność do intryg przelał na potomstwo.

Toteż nie dziw, że pani podsędkowa z panią rejentową porozumiały się przy wyjściu z sali koncertowej. Potem obie z odnośnymi mężami i dziećmi udały się na kolację do państwa aptekarzyów i tam — gruntownie roztrząsnęły sprawę.

W rezultacie uchwalono, że podsędkowie muszą zerwać stosunki z domem państwa Brzeskich wbrew opozycji szlachetnej Eufemii, która — tak kochała Madzię, tak jej



ufała!... Nadto ktoś życzliwy powinien był wydobyć niemniej szlachetnego pana Krukowskiego z sieci intryg rozsnutych przez Madzię, a to — za pomocą ostrzeżenia jego siostry.

Jakoż na drugi dzień po koncercie, około ósmej rano, kiedy jeszcze pan Krukowski spał na oba uszy, do jego zacnej siostry pijącej kawę w ogrodzie przyszła z wizytą pani rejentowa. I nie owijając w bawełnę opowiedziała jej w niewielu słowach:

Że Sataniello swoją deklamacją znieważył najszanowniejszych iksinowian; że Stella i Sataniello nie są małżeństwem, a mimo to mieszkają w jednym pokoju; że nareszcie pan Krukowski, gdyby nie jego siostra i zacne nazwisko, byłby na wieki skompromitowany udziałem w koncercie wędrownych grajków.

— A kto tego narobił? — zakończyła rejentowa. — Narobiła panna Brzeska, która nie wiadomo skąd przyjaźni się z dwojgiem ludzi tak niemoralnych, jak Stella i Sataniello.

Siostra pana Krukowskiego jeszcze wczoraj, a nawet jeszcze dziś o szóstej i siódmej rano była zadowolona ze skrzypcowych popisów swego brata. Lecz o ósmej dowiedziawszy się od tak poważnej osoby, jak pani rejentowa, że całe miasto okryło się żałobą z powodu zniesławienia nazwiska Krukowskich, eks-paralityczka dostała ataku.

Straszny to był dzień, straszne były dwa dni, podczas których chora dama położyła się do łóżka, kazała pielęgnować się całemu domowi, wezwała do siebie doktora Brzozowskiego i piła tylko jego lekarstwa rozkazawszy poprzednio wyrzucić wszystkie recepty ojca Madzi. Chora nawet czuła zbliżające się konanie, chciała wezwać księdza i wśród spazmów oświadczyła bratu, że wydziedziczy go, ponieważ zhańbił nazwisko.

Ale pan Krukowski, który znał siostrę, wysłał przede wszystkim bukiet Madzi, a następnie sprowadził do chorej proboszcza.

Paralityczka zobaczywszy księdza złękła się: pomyślała bowiem, że jest naprawdę chora. Gdy jednak wesoły staruszek uspokoił ją, w nagrodę wysłuchała jego opowiadań o wczorajszym koncercie.

— Co to za zasługa przed Bogiem, pani dobrodziejko — mówił ksiądz — złożyć tyle pieniędzy na kościół, a choćby wesprzeć takie biedactwo jak ci śpiewacy...

— Ale czy jegomość wie — przerwała chora — że ci państwo nie są małżeństwem?...

— Może być.

— I mimo to spijają w jednym pokoju!... — dodała chora tonem najwyższego oburzenia.

Proboszcz machnął ręką.

— A przypomnijże sobie, dobrodziejko, że i my oboje spaliśmy w karczmie w jednej izbie, kiedy to nas burza zaskoczyła na odpuszcie... A co z tego?...

Eks-paralityczka otworzyła usta i opadła na poduszki. Argument wydał jej się tak silny, że z proboszczem już nie rozmawiała o koncertantach.

W ten sposób upłynęła druga doba po koncercie. Ku wieczorowi siostra pana Krukowskiego nie mówiła o skonaniu, ale za to bardzo dużo mówiła o kompromitacji i niewdzięczności brata. W nocy stan jej zdrowia pogorszył się: przyszło jej bowiem na myśl, że wiadomość o tym, iż jeden Krukowski koncertował z wędrownymi śpiewakami, może być wydrukowaną w gazetach.

Pod wpływem okropnej hipotezy obudziła brata i oświadczyła mu, że — jeżeli o jego hańbie napiszą gazety, ona nieodwołalnie umrze, a cały majątek zapisze na cele dobroczynne.

Lecz ranek (był to dzień trzeci) przyniósł nową kombinację. Gazety mogą przecież napisać, że utalentowany pan L. Krukowski raczył przyjąć udział w koncercie, z którego część dochodu była przeznaczona na kościół. Nadto pan Krukowski występował jako amator, nie wchodził na salę od kuchni, tylko z krzesel, i jeżeli grał na skrzypcach, to przy akompaniamencie panny Eufemii, córki jednej z najpoważniejszych rodzin w mieście.

Tak, przecież sama pani rejentowa oświadczyła, że akompaniament podsędkówny uratował honor Krukowskich.

„Pocziwa dziewczyna!” — pomyślała eks-paralityczka, a zawoławszy brata rzekła mu:

— Femcia ładna panna. Sam Czerniawski bardzo się nią zachwycił... Zauważyłeś ty jej ramiona, gors, nogę... Nogi ma arystokratyczne... Trzeba jej posłać bukiet, a gdy wyzdrowieje, musisz im złożyć wizytę...

— Nie wiem, czy to wypada na nowo zawiązywać stosunki. Przecież sama siostrunia kazała mi zerwać z nią z powodu tego... tego z poczty...

Chora zasępiła się; więc dla ulagodzenia jej pan Krukowski posłał pannie Eufemii bukiet z bladych kwiatów, a w chwilę później — Madzi bukiet większy i czerwiejszy. Nie miał on wstrętu do panny Eufemii, owszem — oceniał należycie piękność jej gorsu i ramion, a dobrze pamiętał jej węgierskie buciki, ale... Madzia podobała mu się więcej. Gdyby Madzi nie było w Iksinowie...

Wtem około południa zdarzył się nieoczekiwany wypadek. Pani podsędkowa, dumna pani podsędkowa, we własnej osobie przyszła do łóża chorej siostry pana Krukowskiego i we własnych rękach przyniosła jej w porcelanowym imbryczku cudowny rumianek od paraliżu, zgotowany pięknymi rączkami panny Eufemii.

— Wperawdzie pani pierwsza zerwała z nami — mówiła podsędkowa do chorej sznurując usta i wykonywając ruchy okrągłe. — Powinna bym czuć się obrażona i byłam nią... Ale na wiadomość o cierpieniach pani nie mogłam wytrzymać i powiedziałam mężowi: muszę pójść do tej czcigodnej kobiety, chociaż nie zgadza się to z konwenansem...

W czasie krótkiej wizyty siostra pana Krukowskiego była tak wzruszona dobrocią podsędkowej, że wypila cały imbryk ciepłych ziółek, wylała z pół imbryka łez i oświadczyła, iż czuje, że ziółka panny Eufemii przywrócą jej zdrowie.

Po odejściu podsędkowej chora wobec brata tak stanowczo zaczęła chwalić pannę Eufemię i jej ziółka, że zaniepokojony pan Krukowski uznał za stosowne znowu przypomnieć urzędnika pocztowego. Ale siostra zgromiła go:

— Mój kochany, Femcia jest zanadto piękna, ażeby nie wdychali do niej ludzie najrozmaitszych kondycyji. Ja sama tylu miałam wielbicieli, że nieboszczyk robił mi ciągle sceny zazdrości. A czy słusznie?...

Pan Ludwik był zdesperowany i czując, że jego siostra gotowa znowu swatać go z panną Eufemią, zaczął na pociechę wyobrażać sobie jej gors, ramiona i węgierskie buciki. Ale pomimo wszelkich wysiłków nie mógł zapomnieć o Madzi: jedno jej słówko, jedno spojrzenie miały dla niego więcej uroku aniżeli cała suma jawnych i ukrytych wdzięków panny Eufemii.

Już postanowił albo oprzeć się nowemu kaprysowi siostry, albo — co najmniej — nie wyrzec się Madzi bez ciężkiej walki, gdy niespodziewanie los przyszedł mu na odsiecz. Eks-paralityczka uczuła tępy ból w boku, co ją tak przstraszyło, że zerwawszy się z łóżka z lekkością szesnastoletniej panienki, kazała wezwać doktora Brzeskiego.

— Ależ, siostruniu — odezwał się pan Ludwik — wszak wczoraj podarłaś recepty Brzeskiego, a postanowiłaś leczyć się tylko u Brzozowskiego...

— Co mi tam twój Brzozowski! — odparła. — Ja chcę Brzeskiego... ja jestem ciężko chora... może mi nawet zaszkodziły ziółka tej... tej... Eufemii...

## 47. OŚWIADCZYNY

Więc sprowadzono Brzeskiego, który przez proste ugniecenie w ciągu kilku minut usunął tępy ból w boku. Eks-paralityczka, rozplywając się w oświadczeniach wdzięczności, tak gorącym afektem na nowo zapłonęła do rodziny Brzeskich, że zaczęła robić doktorowi wymówki.

— Dlaczego to Madzia nie była u mnie przez dwa dni?... Nie widziałam jej od koncertu...

— Nie miała po co przychodzić, gdyż o ile wiem, jesteś pani na nią obrażona za koncert — odpowiedział doktor.

— Ja?... To fałsz!... Kto mógł przed panem narobić takich plotek?... Pewnie rejentowa albo podsędkowa... Proszę pana jak o największą łaskę, ażeby Madzia jutro tu przyszła.

Doktor wzruszył ramionami i obiecał przysłać Madzię. Ale za to pan Krukowski wybiegł do swego pokoju i kazał chłopcu wylać sobie na głowę dzbanek zimnej wody.

„Oszaleję!... — mruzczał. — Oszaleję niezawodnie!... Co dzień, co godzinę inne sympatie u tej kobiety, inne plany. Boże, za co mnie tak strasznie skaraleś!... Wolałbym drwa rąbać...”

Następnego dnia eks-paralityczka otrzymała z poczty „do rąk własnych” list bezimien-ny, mocno pachnący aptecznymi produktami. W liście „życzliwy przyjaciel” donosił, że cała szlachta trzęsie się na pana Krukowskiego za udział w koncercie, do którego został wciągnięty przez pannę Brzeską.

Chora dama zrozumiała, że jest to figiel i zaczęła domyślać się jego źródła. Nie mogąc jednak osiągnąć autora anonimu postanowiła znaleźć satysfakcję na innej drodze i rzekła do brata:

— Madzia jest dobra dziewczyna: nie mogę zapomnieć, że uratowała mi życie i że naj-więcej okazuje mi serca spomiędzy wszystkich moich znajomych... Ale muszę jej natrzeć uszu za ten koncert, który przyprawił mnie o nieprzyjemności i ciężką chorobę...

— Na miłość boską, siostruniu, nie rób tego! — zawołał przestraszony pan Ludwik. — Co zyskasz... jakie wreszcie masz prawo?...

— Ja nie mam prawa upomnieć osoby, którą przyjmuję do mego domu i do mojej rodziny?... Ty chyba oszalałeś, Ludwiku!

— Ha, jeżeli tak, więc, pozwolisz, siostruniu, że oświadczę się o pannę Magdalenę... Żonie swego brata możesz robić wymówki, lecz nie osobie obcej...

— Oświadczyć się czy nie oświadczać, mnie wszystko jedno... Ale muszę powiedzieć swoje, bo inaczej umarłabym...

— Więc idę — rzekł pan Ludwik stanowczo.

— Idź. Gdybyś to wcześniej zrobił, nie byłoby głupiego koncertu i wszystkich skan- dalów.

Żaden malarz, żaden poeta, żaden muzyk nie potrafiłby przedstawić zamętu, jaki w tej chwili opanował duszę pana Krukowskiego. Ginał w bezmiarze radości z powodu, że siostra pozwoliła mu oświadczyć się o Madzię, a truchlał z obawy na myśl o awanturze, jaką chora dama zrobi jego ukochanej.

„Wynagrodzę jej to!...” — mówił sobie, gorączkowo naciągając świeżą koszulę, popielate spodnie i czarny tużurek. Chwilami jednak drżały pod nim nogi: wiedział bowiem, że w podobnych wypadkach łatwiej obiecywać nagrodę aniżeli dotrzymać.

Czule pożegnał siostrę i promieniejący eleganckim ułożeniem, uperfumowany, z kwiat-kiem w dziurce od guzika, biegł na czterdziestopięcioletnich skrzydłach miłości do domu państwa Brzeskich, aby tam urzeczywistnić (jak mówił) swoje najpiękniejsze marzenia.

Zastał doktorowę, ale Madzi już nie było: wyszła do jego siostry.

Chora dama przywitała Madzię dosyć chłodno. Potem wzięwszy swój cenny wachlarz, flakon wody kolońskiej i ów bezimienny list, rzekła:

— Może pójdziemy do altanki, kochanie.

Madzia podała jej rękę i z taką troskliwością dźwigała drogi ciężar przyszłej brato-wej, tak ostrożnie sprowadziła ją ze schodków, tak uważnie wybierała najgładsze miejsca bardzo gładkiej ścieżki, że gniew eks-paralityczki mocno ochłonał.

„Gdyby ona po wyjściu za Ludwika pielęgnowała mnie tak jak dzisiaj, trudno byłoby mi znaleźć lepszą żonę...”

Usiadły na ławeczce w cieniu dzikiego wina. Jeden z listków, poruszony przez wiatr, tak załaskotał Madzię w szyjkę, że otrząsnęła się przypomniawszy sobie majora.

— Przeczytaj no, moje dziecko, jakie okropne skutki wynikły z tego koncertu — rzekła chora dama podając Madzi anonim.

Madzię oblały ognie, a ciemno zrobiło się w oczach; przejrzała jednak list i zwróciła go w milczeniu.

— Oto widzisz — mówiła siostra pana Krukowskiego — jak kobieta powinna zważać na siebie, jeżeli nie chce sprowadzić nieszczęść na własną głowę i tych, którzy ją kochają... Samodzielność!... Cóż to myślisz, że tylko ty jesteś kobietą samodzielną... A twoja matka, która cały dom prowadzi, a ja?...

Chora dama zatrzymała sobie oczy na zmartwionej twarzyczce Madzi i prawiała dalej:

— Ja nie wdawałam się z ludźmi podejrzanego konduity, chociaż byłam samodzielną!... Trzeba było widzieć, jak ugłaskałam mego świętej pamięci męża, niech mu Bóg nie pa-mięta, egoistę i zazdrośnika, który mnie posądzał o romanse z pisarzem prowentowym... A co ja miałam z Ludwikiem!... Bóg jeden wie, ile kosztowały mnie jego karty i kuracje... Był to koń stepowy, a przecież i jemu dałam radę, bo kobieta musi kierować mężczyzną, jeżeli oboje nie mają zginąć.

Wszystkie zaś triumfy zawdzięczam nie tylko samodzielnemu charakterowi, ale i taktowi, który bronił mnie od niewłaściwych stosunków... Emancypacja!... Nowy to wyraz, ale rzecz dawna jak świat: kobieta powinna być panią domu, oto jest emancypacja. Taka zaś, która wdaje się z aktorami i naraża się na ludzkie obmowy, nie będzie nigdy panią. Cała nasza siła tkwi w naszej niewinności, w tym, że mamy prawo co dzień i co godzinę mówić mężom i braciom: jesteś hulaj, przeniewierca, włóczęga, a ja — pilnuję domu, jego czci i jestem czysta jak łąka...

— Ale, proszę pani, cóż to złego urządzać koncert?... — szepnęła Madzia.

— Naprzód, do koncertów jesteś za młoda, a potem, cóż to za ludzie ci aktorzy?... Ich towarzystwo mogłoby skompromitować nawet... mnie!... Przecież oni nie będąc małżeństwem sypiali w jednym pokoju...

— To nieprawda!... — zawołała Madzia, ostro zwracając na eks-paraliticzkę oczy, w których obok wielkiego zuchwalstwa błyszczały łzy hamowane.

— A ty skąd wiesz, że nieprawda?... — wybuchnęła zdumiona chora.

— Widziałam. W ich pokoju było tylko jedno łóżko...

Gniew nagle opuścił chorą damę. Klasnęła w ręce i odparła bardzo spokojnym tonem:

— Jezus Maria... moja Madziu, jakażeś ty głupia!...

Madzia rozplakała się i wstając z ławki rzekła:

— Aaa... dziękuję pani... Aaa!... nigdy nie spodziewałam się usłyszeć od pani takiego wyrazu... Aaa!...

Eks-paraliticzka żywo podniosła się i schwyciwszy oburącz Madzię za głowę poczęła ją całować.

— Moje dziecko, przepraszam cię, ale... nigdy nie słyszałam nic podobnie naiwnego... Gdybyś była mężatką, rozumiałabyś, że właśnie ta okoliczność najbardziej ich potępia... Ale jesteś jeszcze tak naiwna, że wstydzę się dawać ci objaśnienia.

— Pani zupełnie fałszywie mnie sądzi... Ja wcale nie jestem taka naiwna... O nie!... — mówiła rozdrażniona Madzia.

— Jesteś, kochanko, jesteś... — powtarzała chora dama okrywając ją pocałunkami. — To właśnie stanowi twój największy wdzięk: znam się na tym, bo przecież i ja byłam w twoim wieku... Nie wiem, doprawdy, czym sobie ten birbant Ludwik na taką nagrodę u Pana Boga zasłużył!...

— Proszę pani, ja do tego namówiłam pana Ludwika, ja... Nic nie chcę tacić... Gdyby nie ja, pan Ludwik nie grałby na koncercie...

— Złote, kochane dziecko!... No, dajmy spokój koncertowi i tym aktorom, bo już widzę, że nie dogadamy się pomimo twego doświadczenia — mówiła śmiejąc się chora dama.

Po tej uwerturze eks-paraliticzka chciała przejść do sprawy głównej i napomknąć Madzi, że jej ukochany brat, pan Ludwik Krukowski, łąda dzień, jeżeli nie łąda godzinę, oświadczy się o nią. Ale Madzia była zachmurzona, a chora dama tak wrażliwa, że pomyślała:

„Cóż ta smarkata będzie grymasić?... Widzicie ją!... Że jej powiedziałam parę słów prawdy, to zaraz obraża się. O, moja panno, jeżeli chcesz usłyszeć o szczęściu, jakie cię spotka, musisz do mnie przyjść w innym humorze...”

Więc i ona zasępiła się, co widząc Madzia pożegnała chorą damę. Gdy już była w sieni, dama zawołała:

— Madziu, proszę cię...

— Co pani każe? — zapytała Madzia tonem tak chłodnym, że rozdrażnienie eks-paraliticzki wzmogło się.

— Nic, moje dziecko — odparła jeszcze chłodniej.

Już Madzia była w połowie drogi do domu, kiedy w sercu chorej damy zbudziła się dla niej tak wielka czułość, że chciała wysłać służącego, ażeby zawrócił panienkę. Lecz po chwili znowu zmieniła projekt.

„Ludwik — myślała — chociaż się tak odgrażał i wystroił, nie będzie miał odwagi oświadczyć się... Tyle mu już razy odmówiono!... Ja zaś najlepiej zrobię, jeżeli sama pójdę do Brzeskich. To będzie pewniejsze i stosowniejsze. Jestem jakby matką Ludwika, więc wypada mi zrobić ten krok...”

Swoją drogą czuła wyrzuty sumienia za dzisiejszą rozmowę z Madzią. Koncert głupstwo, a bez potrzeby zrobiło się przykrość dziewczynie dobrej jak anioł.

Już to skala uczuć siostry pana Krukowskiego była nadzwyczajnie szeroka: mieściły się w niej wszystkie tony, półtony i ćwierćtony od miłości — do nienawiści, od pogardy — do uwielbienia, od rozpacz — do zachwytu. Nadto fortepian jej duszy tak często i nagle zmieniał melodie, że ludzie niechętni mogliby posądzać znakomitą damę, jeżeli nie o zupełnego bzika, to przynajmniej o wysoko rozwiniętą histerię. Na szczęście pani ta prawie nie знаła niechętnych, ponieważ — wszyscy jej unikali; kto zaś miał interes, uważał ją za uosobienie rozumu i energii, niekiedy przytłumianej newralgicznymi cierpieniami.

Tylko major nazywał ją starą wariatką; ale ponieważ jego sądy o wszystkich iksinowianach były ostre, więc zgodzono się nie zwracać na to uwagi.

Tymczasem rozgorączkowana Madzia wpadła do domu. W sieni zastąpiła jej drogę matka z silnymi rumieńcami na twarzy a nieopisaną czułością w oczach. Przez chwilę patrzyły na siebie: matka widziała w niej córkę, którą niebawem ma utracić, Madzia — nie rozumiejąc powodu rozrzewnienia matki.

— Zdejmij prędko kapelusz... — rzekła doktorowa drżącymi ustami. — Krukowski oświadczył się o ciebie...

Madzi zabrakło tchu i rozszerzyły się źrenice.

— Co?... — zapytała.

— Nic. Wejdz.

Lekko popchnęła ją do saloniku, gdzie obok fotelu stał pan Krukowski w popielatych spodniach, z kwiatkiem w tużurku, z podsiniącymi oczyma i włosami czarniejszymi niż zwykle. Wąska jego ręka w popielatej rękawiczce machinalnie szarpała tasiemkę, na której niespokojnie kręcił się monokl.

— Niech ona sama panu odpowie — rzekła do pana Krukowskiego doktorowa.

— Pani, w ręku twym spoczywa szczęście mego życia — odezwał się z ukłonem pan Krukowski. Nieznośna zaś pamięć podszeptała mu jeszcze przed dokończeniem tej wzruszającej formuły, że powtarza ją po raz dziewiąty w życiu.

Madzia patrzyła na niego blada; ale rzeczywiście nic nie rozumiała. Była zdumiona, gdyż pod wpływem chwilowego osłupienia przemknęło jej przez myśl, że pan Krukowski oświadcza się... o matkę.

— Najwyższym marzeniem moim, a wyznam, że i najśmielszym, jest... otrzymać rękę pani... — mówił niewyraźnie pan Ludwik i znowu uklonił się.

Madzia milczała. Była już do pewnego stopnia przygotowaną na ten honor, lecz mimo to usłyszawszy oświadczyzny pana Krukowskiego myślała, że szaleje. Wstręt, obawa i rozpacz — oto uczucia, jakich doznała w tym najpiękniejszym momencie swego życia.

— Cóż o tym sądzisz, Madziu?... — spytała zakłopotana doktorowa. — Pan Krukowski prosi o twoją rękę... — dodała.

Po fazie kompletnego zgnębienia w Madzi ocknęła się energia. Twarz przybrała wyraz surowy, oczy błysnęły i odpowiedziała tonem osoby dojrzałej a obojętnej:

— Ja, mam, nie wyjdę za mąż... za... nikogo...

Teraz matka zbladła. Uderzyła ją nie tyle treść odpowiedzi, ile ton i fizjonomia córki.

— Śpieszyć się nie potrzebujesz... — wtrąciła doktorowa.

— Wprawdzie byłbym najszcześniejszym... — dorzucił pan Krukowski.

— To moja ostateczna odpowiedź, mam — rzekła Madzia znowu tonem, który w ustach słodkiej dziewczeczki brzmiał jak zniewaga.

Pan Krukowski odczuł to, już dzięki biegleści w matrymonialnych niepowodzeniach, już dzięki temu, że niepodobna było mylić się co do znaczenia słów Madzi. Uklonił się więc niżej niż zwykle, a następnie podniósł głowę wyżej, niż to było w jego zwyczaju.

— Przepraszam za mój błąd — odparł. — Ośmieliłem się jednak przypuszczać, że w rozmowie, którą mieliśmy przed koncertem (ostatni wyraz zaakcentowałem), zrobiła mi pani jakby... cię nadziei...

— Cóż to znaczy, Madziu?... — zapytała matka.

— Ach, nic... pani!... — szybko wtrącił pan Krukowski. — Naturalnie, że coś mi się przywidziało... Przepraszam, stokrotnie przepraszam...

I wyszedł wśród uklonów.

Doktorowa usiadła na krześle. Splotła ręce, które jej drgały, i bladymi oczyma patrzyła na drzwi, którymi wyszedł pan Krukowski. Na jej twarzy malowała się tak ciężka boleść, że przerażona Madzia z płaczem upadła jej do kolan szlochając:

— Nie patrz tak, mateczko... nie gniewaj się... Ale przysięgam ci, że nie mogłam tego zrobić... nie mogłam, mammo... nie mogłam!...

Doktorowa łagodnie odsunęła ją od siebie. Westchnęła, wzruszyła ramionami i odparła spokojnym głosem:

— Cóż znowu za scena?... Nie chcesz iść za mąż, nikt nie będzie ci radził. Bo wreszcie już za późno. Jesteś samodzielna — ani słowa!... Taką cię zrobiła babka, tak chce ojciec... a moje zdanie zawsze niewiele znaczyło... Ale czy ty wiesz, jakie jest nasze położenie?...

Madzia podniosła wylęknione oczy.

— Ojciec mało zarabia, tak mało, że ledwie wystarcza na dom... Prawda, że Zdzisław już nic od nas nie potrzebuje, ale Zosia jest jeszcze na pensji. Mniejsza o nią... Kobiety emancypowane mogą nie troszczyć się o młodsze rodzeństwo, bo co tam rodzina!... Ale siostrze Krukowskiego jesteście winni kilkaset rubli, które natychmiast trzeba zwrócić...

— Mammo, przecież ja mam trzy tysiące rubli po babci... Weźcie z tej sumy, ile wam potrzeba na długi i na Zosię... Weźcie wszystko!...

— Nie wiem, czy z tej sumy oddadzą nam zaraz trzysta rubli, ale... niedużo z niej zostało. Przypuszczając, że kochasz swoje rodzeństwo, czerpałam stamtąd na edukację Zdzisława... Wydaliśmy przeszło dwa tysiące rubli, czego dziś żałuję...

— A niechże mama tak nie mówi!... Dobrze mama zrobiła, pomagając Zdzisławowi, bardzo dobrze... Z pozostałej reszty spłaci mama ten dług, a Zosię ja wezmę do Warszawy... ja się nią zajmę...

— Ty?... — rzekła doktorowa. — A niech Bóg bronii!... Dość już mieć jedną córkę emancypantką. Gdybym w podobny sposób straciła drugą, cóż by nam zostało na starość?...

— Nie mówże tak, mammo!... — jęknęła Madzia.

Upadła matce do nóg i zaniósła się tak żalonym płaczem, że doktorowa zlągnęła. Podniosła Madzię z ziemi, zaczęła ją uspakajać, nawet złożyła chłodny pocałunek na jej czole.

— Tyś temu nie winna, biedne dziecko!... — rzekła. — To przeklęta emancypacja robi z was dziwolągi...

— Które nie chcą sprzedawać się zdeboszowanym eks-birbantom!... Czy tak?... — odezwał się nagle ojciec, który od kilku chwil przez okno od ogrodu patrzył na tę scenę.

Wszedł do saloniku szklanymi drzwiami, wziął Madzię w objęcia i z wymówką patrząc na matkę rzekł:

— Czy ci nie wstyd, mateczko, dziewczyny, która ma więcej taktu aniżeli my, starzy?... Pomyśl, jakie byłoby nasze życie, gdybyśmy musieli patrzeć na jej męki między mężem niedołęgą i jego siostrą, na półobłąkaną kobietą... Przecie tym ludziom nie oddałabyś psa, który by ci kilka lat służył...

— Taki majątek, Feliksie...

— Ale dusza ludzka ma być więcej warta aniżeli wasze majątki — odparł doktor. — O tym zapominacie, choć po dwa razy na dzień modlicie się o jej zbawienie.

## 48. ECHA OŚWIADCZYŃ

Pan Krukowski po niepomysłnej konferencji z Madzią wyszedł na ulicę jak męczennik na stos. Czuł się wyższym nad cały świat, którym głęboko pogardzał; tylko serce ciążyło mu, jak gdyby w piersiach dźwigał centnar wybuchowych materiałów.

Był, w swoim przekonaniu, znieważony, zdeptany, słowem — bardzo nieszczęśliwy; lecz mimo to burzyło się w nim coś na kształt lekkomyślnej radości. Gdyby przed paroma godzinami dano mu do wyboru: śmierć albo odrzucenie go przez Madzię, wybrałby śmierć. Ale gdy go już odrzucono, w panu Ludwiku ocknęła się drzemiąca energia i — drwił. „Trzy Marie — myślał — dwie Stanisławy, jedna Katarzyna, jedna Leokadia, a teraz... Magdalena... Oczywiście, nie mam powodzenia u kobiet...”

Potem przypomniał sobie, że od kilkunastu lat jest na lasce siostry, że jest niczym, że ludzie pod grzeczными formami lekceważą go, więc zacisnął pięść i mruknął:

— Musi się to raz skończyć!...

Kiedy wchodził na ganek domu i do sieni, z przyjemnością wsłuchiwał się w odgłos własnych kroków: takie były dziełne. Bez wahania ujął za klamkę, pchnął drzwi i — oko w oko znalazł się wobec siostry.

Chora dama podniosła binokle i spojrzała. Brat wydał jej się w tej chwili jakby zamienionym. Jego popielate spodnie, kapelusz panama w prawej, zdjęta rękawiczka w lewej ręce, jego czarny tużurek, kwiatek w dziurce, a nade wszystko — twarz, w której jaśniała energia, wszystko to zaimponowało eks-paralityczce. Z zadowoleniem obejrzała go od stóp do głów, pomyślała: „przyjęty!...” i tylko dla formy spytała:

— No?...

To — „no?...” w takiej chwili wydało się panu Krukowskiemu bezdnią szyderstwa. Jak błyskawica przeleciały mu przez głowę wszystkie kaprysy siostry, wszystkie upokorzenia, jakich od niej doznał, całe jego śmieszne nicestwo, które już nie budziło nawet litości. Więc — strzepnął rękoma, upadł na kanapę i wybuchnął płaczem tak głośnym, że do pokoju wbiegł chłopiec, a za nim kucharka.

Chora zerwała się na równe nogi. Przyszło jej na myśl, że brat grał w karty i przegrał.

— Precz stąd! — krzyknęła na służbę, a zbliżywszy się do brata rzekła groźnym głosem:

— Ludwik, co to znaczy?...

— Nieprzyjęty!... — wyszłochał bardzo pełnoletni mężczyzna.

— Więc oświadczyłeś się?...

— Tak...

— A tyś to po co zrobił?... Nie mogłeś zaczekać, aż ja załatwię sprawę?... Koniecznie chciało ci się pokazać, że nie dbasz o mnie?...

Przerwała, ponieważ pan Ludwik przestał płakać, a natomiast począł zachowywać się jak człowiek zemdlony. Ręce mu zwisły, głowa opadła na poręcz kanapy.

— No... no... no... — zawołała siostra, lecz widząc, że to nie pomaga, wezwała służbę.

Karafka wody zwyczajnej, pół flakona kolońskiej przywróciły panu Ludwikowi świadomość. Chora dama, odzyskawszy zadziwiającą sprężystość we wszystkich członkach, z zaciętymi ustami pomagała przenieść brata na łóżko i posłała po doktora Brzozowskiego.

Pan Ludwik i przy doktorze zemdlął tak głęboko, że lekarz zaniepokoił się. Obstawił pacjenta synapizmami i flaszkami i cały tydzień nie pozwolił mu podnosić się z łóżka. Eks-paralityczka dniem i nocą czuwała przy bracie, a pomagający jej w pielęgnowaniu chorego chłopak miał spuchnięte oba policzki.

Ósmego dnia pan Ludwik ubrał się w szlafrok i przeszedł się po ogrodzie. Potem spod haftowanej kołderki wydobył skrzypce i cicho jak szelest motyli skrzydeł popłynęła spod jego palców — barkarola, ta sama, którą niegdyś grywał przy akompaniamencie panny Eufemii, ta sama, za którą na koncercie otrzymał burzę oklasków.

Tegoż dnia eks-paralityczka zaprowadziła doktora do najodleglejszego pokoju i zapytała: co właściwie jest bratu?

Brzozowski podniósł brwi i począł wykladać; a ponieważ siedzieli obok siebie, więc za każdym punktem uderzał damę w kolano:

— Proszę pani, brat jej — po pierwsze — jest wyczerpany, musi odpocząć i odżywić się...

— On przecież ciągle to robi.

— Doskonale!... Proszę pani, brat jej — po wtóre — jest mocno zdenerwowany, na co może nie tyle wpływają jego kłopoty, ile zdenerwowanie samej pani. Ciągłe przebywanie z osobą tak rozstrojoną jak pani musiało i jego rozstroić...

— Ależ, mój doktorze...

— Ależ, proszę pani — przerwał Brzozowski, znowu uderzając ją w kolano — pani zrobi, co zechce, a ja powiem, czego uczy medycyna... Brat pani, jeżeli ma przyjść do siebie, musi zmienić otoczenie i tryb życia, koniecznie... Dlatego najlepiej będzie wysłać go w podróż...

— Nigdy! — przerwała chora dama.

— Jak się pani podoba — odparł doktor i znowu uderzył ją w kolano.

— A gdyby go ożenić? — spytała dama.

Doktorowi błysnęły oczy.

— Można. Tylko... żona pana Ludwika musi być osobą wyrozumiałą, spokojną, taktowną... No i niezbyt młodziutką, bo te bardzo — młode — nie dla nas.

— Znajdziemy taką — odparła dama.

— Szukajmy, byle prędzej. Ale nade wszystko — niech pani da trochę swobody bratu...

— Cóż to, przypuszcza pan?...

— Ja nic nie przypuszczam, ja jestem pewny, że pani rządzisz nim despotycznie... Otóż tyrania męska wyciska łzy kobietom, ale tyrania kobieca przyprawia mężczyzn o choroby, ogłupia ich, obezwładnia, demoralizuje...

— Jesteś pan impertynent!... Dziękuję za takie porady...

— Ja pani nie prosiłem, ażebyś mnie wzywała... Ja nie lubię odbierać Brzeskiemu jego nielicznych pacjentów... Ale kiedy jestem wezwany do chorego, mówię, co widzę, bo to mój obowiązek... Gdyby pan Krukowski umiał tak okulbaczyć panią jak pani jego, byłibyście oboje zdrowi...

Po tej prelekcji chora dama rozplakała się, zwymyślała Brzozowskiego, ale dała mu trzy ruble. Doktor wziął trzy ruble, zwymyślał ją jeszcze lepiej i — rozstali się zadowoleni z siebie.

Gdy Brzozowski wyszedł potrącając sprzęty i nakładając czapkę w pokoju, chora dama pomyślała z westchnieniem:

„Tak, gdyby Ludwik był podobny do niego!...”.

Przez osiem dni choroby pana Krukowskiego w najwyższych słojach towarzyskich Iksinowa kipiały plotki. Żadna elektryczność nie obiega tak szybko drutu obwodowego, jak wieść o nowym koszu pana Ludwika obiegała miasto.

Naturalnie zaraz utworzyły się dwa stronnictwa. Proboszcz mówił, że Madzia jest bezinteresowną; major nazywał ją szlachetną dziewczyną; pan Miętlewicz uważał ją za bóstwo, u którego nóg powinien cały świat leżeć. Ale pani rejentowa, pani podsędkowa i ich towarzyski miały o Madzi cokolwiek odmienne zdanie, które pan aptekarz ważąc proszki lub korkując flaszeczki formułował w ten sposób.

— A co, nie mówiłem, że pannie Brzeskiej na złe wyjdzie przyjaźń z wędrownymi aktorami?... Dopóki chodziło o mizdrzenie się, strojenie, urządzenie koncertów, panna Magdalena brylowała w Iksinowie. Ale kiedy przyszło do sakramentu... prr!... nie mogę... To, panie, tak z naszymi emancypantkami: zaczyna się od teorii, a potem... prr!...

Przy jednym z takich opowiadań pani rejentowa skromnie spuszczaając oczy odezwała się:

— Ależ złośliwy z pana!... Któż bo słyszał mówić takie rzeczy o... panienkach?

Aptekarz zdziwił się, gdyż jakkolwiek chciał uchodzić za piekielnie złośliwego i pesymistę, niemniej — swoje opinie o postępowaniu Madzi opierał na sądach pani rejentowej.

Drobny ten wypadek ochłodził przyjazne stosunki między czcigodnymi domami państwa rejentów i aptekarzy. Aptekarz nagle przestał interesować się Madzią, ale za to począł rozvodzić się nad małomiasteczkowymi intrygami.

— Ho, ho! — mówił do żony. — Chciały baby zrobić ze mnie miech do rozdmuchiwania plotek... Ale musi rano wstać, kto myśli, że wyprowadzi mnie w pole... Nie z takimi ja grałem!...

Przez te ciężkie dni Madzia prawie nie ukazywała się na ulicy: od rana do późnej nocy przeglądała elementarne książki i swoje kajety z niższych klas sposobiąc się na kierowniczkę pensji w Iksinowie. Doktor Brzeski z niezamąconym spokojem odwiedzał albo przyjmował chorych, a doktorowa trochę pozołkła i może płakiwała po nocach, ale Madzi nie robiła wymówek. Obie z córką ledwie po kilka zdań wymieniały w ciągu doby. Nie było między nimi gniewu, owszem życzliwość; tylko jedna i druga czuły, że jest im obco ze sobą.

Gdyby której z nich groziło niebezpieczeństwo, matka za córkę, a córka za matkę poświęciłaby życie. Ale mieszkać razem było im coraz trudniej: między nimi stał cień babki, długie oddalenie, pensja pani Latter, różnica wieku, a nade wszystko — różnica pojęć. Nikt nie wytłomaczyłby doktorowej, że Madzia nie jest jej okiem, jej sercem, jej mózgiem, słowem — ważną a nieoddzielną częścią jej istoty i że ona z córką powinny



mieć jedną duszę. A tymczasem Madzia czuła z każdym dniem wyraźniej, że jest czymś odrębnym od matki, że ma swoją własną duszę, której za nic się nie wyrzeknie.

Od chwili odrzucenia pana Krukowskiego Madzi zdawało się, że jest obcą w domu rodziców. Czuła się osobą, która wyzyskuje ludzi uczciwych a niezasobnych. Przy obiedzie prawie lękała się jeść, gdyż w jej przekonaniu każdy kęs był kradziony. Czasem machinalnie mówiła „dziękuję...”, gdy jej podsunięto potrawę, a raz, gdy z brzękiem upadła jej łyżka na stół, dostała drżenia serca. Przy pracy, w swoim pokoju, choć nikt na nią nie patrzył, starała się jak najmniej zabierać miejsca na stoliku, siedziała na rożku krzesła, nieledwie wstrzymywała oddech, ażeby nie zabierać powietrza ukochanym rodzicom, których tak skrzywdziła.

Mogła jednym wyrazem usunąć im wszystkie prace i kłopoty, a zapewnić bezpieczną starość i — nie zrobiła tego!... Ona, tak odczuwająca cudzą niedolę, taka skora do poświęceń. Ach, i dziś jeszcze, i w każdej chwili chętnie ofiarowałaby im życie; dlategoż więc nie żądano od niej życia, tylko oddania się człowiekowi, który jako mąż był dla niej wstrętny?

W ogóle zamążpójście wydało się Madzi czymś kompromitującym kobietę. Każdy mężczyzna budził w niej uczucie głębokiego wstydu, który był tak silny, że przemoc go mogłaby tylko dla jednego — dla pana Kazimierza Norskiego. Ale kiedy pierwszy raz przyszło jej to na myśl, rozpląkała się, a potem uklękła i drżąca zmówiła pacierz; zdawało się jej, że jest wyuzdaną rozpustnicą, którą ludzie powinni gardzić, a Bóg potępić.

W sercach dziewczycych trafiają się podobne obłąkania.

A tymczasem po mieście opowiadały sobie najczcigodniejsze damy, że Madzia daleko, o! bardzo daleko musiała zająć w emancypacji, skoro odrzuciła tak świetną partię jak pan Ludwik Krukowski. Wprawdzie pan Ludwik i u innych panien nie miał powodzenia, ale tamto bywały panny bogate, szlachcianki. Żadna córka doktora, a choćby podsędka, rejenta czy aptekarza nie byłaby tak nierozsądną bez powodów pierwszorzędnej doniosłości...

Choroba pana Krukowskiego budziła żywe współczucie głównie wśród starszych iksinowianek. Opowiadano sobie, że z domu pana Brzeskiego (w owej fatalnej godzinie) wracał pan Krukowski jak posąg, że wpadł na wóz z owsem i nie odklonił się panu rejentowi. — Czysty automat!... Opisywano jego wybuch płaczu, który miał trwać około pięciu godzin, a rozlegał się aż pod starą oberżą. Mówiono, że nieszczęśliwy pan Ludwik co dzień mdleje i gdyby nie nadludzki ratunek Brzozowskiego, już by umarł.

— A tak — objaśniała pani rejentowa pani pomocnikowej — to tylko albo zwariuje, albo dostanie rozmiękczenia mózgu, albo choroby szpiku. W każdym razie jego siostra sprzeda dom, ogród, odbierze kapitały z hipotek i wywiezie męczennika gdzieś za granicę. W taki dziki kąt, w taką odciętą od świata miejscowość, gdzie by nawet nie wiedziano o Iksinowie.

Słuchając tego z powagą właściwą swemu stanowisku rejent zrobił minę, która oznaczała, że jednak trudno będzie znaleźć okolicę, dokąd nie dosięgłyby odgłosy z Iksinowa.

— A co to za nieszczęście dla Femci... — mówiła pani rejentowa. — Bo gdyby nie przyjazd tej... panny Magdaleny, Krukowski niezawodnie ożeniłby się podsędkówną. Byli tak dobrze... a dziś!...

— No, ale Cynadrowski był tam niepotrzebny — wtrącił rejent.

— Mój kochany, co znaczy twoje: tam?... — podniosła głos rejentowa. — Że do niej wzdychał?... Każdy z was wzdycha do każdej pięknej kobiety...

— Cynadrowski kręci się wieczorami koło domu podsędków — rzekł rejent.

— Więc cóż z tego?... Wolno mu kręcić się nawet około kościoła... Proszę cię, nie powtarzaj plotek, bo mnie gniewasz.

Rejent umilkł, ale zrobił minę, która mogła oznaczać, że dziwi się wstrętowi swej małżonki do plotek. Przynajmniej tak oceniła to pani rejentowa i wpadła w zły humor.

## 49. PRZECHADZKI CMENTARNE

W piątym dniu choroby pana Krukowskiego, na krótko przed zachodem słońca, Madzia spacerowała po ogródku. Nagle nad parkanem od strony ulicy mignęła czapka z gwiazdką, a po chwili obok krzaka malin upadł list.

— Od panny Eufemii!... — odezwał się stłumiony głos spoza parkanu.

Madzia trochę zlekła się, trochę rozgniewała się na dziwnego posłańca, lecz podniosła i przeczytała kartkę.

Były znowu na niej dwa całujące się gołębki, tym razem nie przekreślone.

„Najdroższa, święta, jedyna przyjaciółko moja! Dziś po zachodzie słońca przyjdź na cmentarz, gdzie czekać cię będę z nieopisaną tęsknotą. Błagam cię, nie odmów, chodzi bowiem o ważne rzeczy.”

Dalej następowało wykreślone zdanie: „może o życie dwojga istot” — podpis: „Twoja na wieki Eufemia.”

W pół godziny Madzia, której już nikt nie zapytywał, dokąd wychodzi, znalazła się na wskazanym miejscu.

Cmentarz był niewielki, opasany murem; wchodziło się do niego przez furtkę, która puszczona z ręki, sama się zamykała wahając się w prawo i lewo i — kłapiąc. Na białych pomnikach jeszcze było znać różowe blaski zorzy wieczornej. Madzi, gdy biegła główną ulicą, wydawało się, że mogiłki są jakby wyższe, że szare czarne krzyże spoglądają na nią i że wśród wielkiej ciszy między drzewami snują się cienie i słychać szepty.

Mijając kamień grobowy swej babki Madzia uklękła i odmówiła pacierz. W rzeczy samej na cmentarzu było słychać szelest, a potem odgłos, jakby kto przelazł mur i skoczył na drugą stronę.

„Boże, po co ja tu przyszedłam?...” — pomyślała wylękniona Madzia. W tej chwili usłyszała szybkie kroki i głos panny Eufemii...

— To ty, Madziu?...

Madzia powstała z klęczek; panna Eufemia rzuciła się jej na szyję i zaczęła całować ją z płaczem.

— Czy przebaczysz mi kiedy?...

Zamiast odpowiedzi Madzia uściskała ją. Potem obie wzięwszy się pod ręce pobiegły między najgęstsze drzewa i usiadły na ławeczce naprzeciw niskiego krzyżyka, który pochylił się na bok, jakby chciał słyszeć ich szepty.

— Odrzuciłaś Krukowskiego?... — mówiła panna Eufemia tuląc się do ramienia Madzi. — Ach, jakaś ty szlachetna... jakaś ty odważna!... Nie wiesz nawet, ile cię błogosławię, bo dopiero ty otworzyłaś mi oczy na prawdę... Dla mojej matki majątek jest wszystkim i gdyby pół roku temu, ach, gdyby nawet po koncercie oświadczył mi się Krukowski, przyjąłabym go i zdeptałabym najszlachetniejsze serce...

Zadyszana odpoczęła.

— Widzisz, Madziu, my, kobiety na partykularzu, jesteśmy bardzo nikczemne: sprzedajemy się, pozwalamy się sprzedawać, wyrzekamy się własnej woli, a nawet uczuć dla majątku... A tymczasem jakież majątek zastąpi prawdziwą miłość?...

Spojrzyj na te groby, Madziu, w których wszystko się kończy, dokąd nie można zabrać majątku, i powiedz: czy dla podłej mamony godzi się odtrącać serce... kochające... ubóstwiający nas serce? Ja dopiero dziś czuję kobiecą godność, dopiero dziś jestem dumna, kiedy wiem — jak on mnie kocha... Dać komu tyle szczęścia, ile ja mogę dać temu człowiekowi... ach... czy jest coś ważniejszego na świecie?...

— O kim mówisz? — spytała Madzia.

— O Cynadrowskim. Nie chcę nic taić przed tobą: zaręczyliśmy się z nim i czuję, że zaczynam go kochać... Kobieta potrzebuje być kochaną, ubóstwianą... to jej wynagradza ofiary, jakie ponosi w życiu...

— A rodzice?...

Panna Eufemia otrząsnęła się.

— Rodzice?... Alboż ty odrzucając Krukowskiego pytałaś rodziców?... Jestem także kobietą, człowiekiem, i mam prawo rozporządzać przynajmniej moim ciałem... Przecież to — moje — ciało, jedyna moja własność, które mogę oddać ukochanemu, ale sprzedawać — nigdy!

Madzi boleśnie ścisnęło się serce i długo, długo całowała pannę Eufemię.

— W zimie — mówiła podsędkówna — ojciec mego narzeczonego ma kupić mu poczthalterię w Kieleckiem. Będzie to dla nas podstawa bytu, a resztę dopełnię pracą... Bo i któż mi broni, nawet gdy zostanę poczthalterową, uczyć dzieci?

Otarła chustką oczy.

— Dlatego proszę cię, Madziu, przyjmij mnie na współniczkę do twojej szkoły. Będę pracowała od rana do wieczora... Nie chcę już własnego pokoju, firanek, tapetów... Po-bielone ściany to dosyć... Przy tobie nawyknę do uczenia, a wieczorami będę haftowała; może zresztą znajdę lekcje muzyki i tym sposobem zbiorę pieniądze na wyprawkę, bardzo skromną... Bo mama, jestem pewna, nic mi nie da przed ślubem.

Powstały z ławki i opuściły cmentarz.

Madzia była wzruszona: w tej pokornej, gotowej do poświęceń narzeczonej nie mogła poznać dawnej panny Eufemii, pysznej egoistki.

Od tej pory Madzia co wieczór przychodziła na cmentarz i rozmawiała z panną Eufemią o jej planach na przyszłość albo o pensyjce, którą miały założyć. Podstępnie zawsze towarzyszył sekretarz pocztowy, lecz na widok Madzi krył się za mur.

Kiedy pan Krukowski na dobre dźwignął się z niemocy i zrzucił szlafrok, a dla kompensaty coraz częściej grywał na skrzypcach, jego siostra zaprosiła do siebie panią rejentową i odbyła długą konferencję przy zamkniętych drzwiach. Po skończeniu jej pani rejentowa promieniejąca zadowoleniem udała się do pani podstępki i odbyła z nią drugą konferencję. Po skończeniu jej pani rejentowa wyszła, a z kolei pani podstępka zaczęła promieniować wielkim zadowoleniem.

Następnie pani podstępka wezwała pana podstędkę i zaczęła z nim konferencję. Po wysłuchaniu zdań początkowych pan podstępka zawołał:

— Ja to przeczuwałem od dawna!...

Ale w dalszym ciągu rozmowy zerwał się z krzesła, zaczął tupać nogami i krzyknąć:

— Ja do tego mieszać się nie będę!... Daj mi syna, to zrobię z nim, co mi się podoba; ale córka należy do ciebie...

— Masz niedobrze w głowie czy co?... — odpowiedziała uroczyście pani podstępka. — Skądże ja ci syna wezmę?...

I uwagę swoją poparła ruchami pełnymi godności; może zbyt wielkiej na tak małą odpowiedź. A że zbliżał się zachód słońca, więc z naciskiem poprosiła podstędkę, ażeby nie wydalął się z domu.

Podstępka był zrozpaczony; całe szczęście, że niedługo czekał. Wnet bowiem usłyszał szanowną małżonkę, która mówiła do panny Eufemii:

— Dokądże to panienka?...

— Na spacer.

Musiałoby to być hasłem, gdyż podstępka ze swego pokoju przeszedł do saloniku i usiadł na krześle pod piecem w sposób charakteryzujący człowieka, który cierpi na żołądek.

Również do saloniku wsunęła się majestatycznie pani podstępka, a za nią panna Eufemia w kapeluszu na głowie. Nawet już zapinała drugą rękawiczkę.

Podstępka z powagą usadowiła się na fotelu i rzekła do córki:

— Więc panienka na sepać?

— Tak.

— Czy nie na cmentarz?

— Na cmentarz.

— I nie boisz się sama sepać o tej porze między grobami?...

— Ach, więc tak?... — rzekła spokojnie panna Eufemia siadając obok stołu, na przeciw podstępki. — Ktoś, widzę, wyszpiewał mnie, więc nie mam co tać. Tak, mam, chodzę po cmentarzu albo z Madzią, albo z panem... Cynadrowskim.

Podstępka z wielką uwagą obserwował szparę podłogi: podstępka rzuciła się na fotel, ale nie zmieniła tonu.

— Pan Cenaderowski — rzekła — bardzo niestosowne towarzystwo dla panienki twego setanowiska!

Panna Eufemia schyliła głowę i zaczęła mrugać oczyma.

— Ja go kocham, mam... — szepnęła.

Podstępka rozkrzyżował ręce.

— Nierozsądna jesteś, moja Femciu — odpowiedziała podstępka — z twoim kochaniem i z twoją pensją. Wszystko to są skutki przedstawiania z panną Magdaleną...

— O, nie... Z nią zakładam pensję, ale jego kocham sama... Długo walczyłam z jego błaganiami i rodzącym się we mnie uczuciem... Ale skoro raz przysięgam, że będę należeć do niego...

Podsędek schwycił się za brzuch i kiwał głową. Podsędkowa przerwała córce:

— Nigdy nie sądziłabym, Eufemio, że możesz zapomnieć o swoim stanowisku...

— No, nie jest tak znowu świetne stanowisko starej panny, którą zostałabym za rok lub dwa... Dotychczas ślepo słuchałam mamy i co z tego?... Skończyłam dwadzieścia pięć lat...

— O, i dobrze!... — mruknął podsędek.

— A przyzna mama, że lepiej umrzeć aniżeli zostać starą panną... Czyliż ich tu nie znamy dosyć w rozmaitym wieku?... Im która starsza, tym bardziej nieszczęśliwa i wyśmiewana... Dziękuję za takie stanowisko, wolę być panią poczthalterową... — mówiła panna bawiąc się albumem.

— Pi!... jak ta dziewczyna gada... jak ona gada!... — wtrącił podsędek.

— A ja sądzę — rzekła powoli podsędkowa — że lepiej być panią Krukowską z bełogostawieństwem rodziców aniżeli wydziedziczoną i wyklętą panią Cenaderowską...

Pannie Eufemii wysunął się z rąk album i z łoskotem upadł na ziemię.

— Cóż to znaczy?... — spytała drżącym głosem.

— To, że pan Kerukowski i jego siostra w tych dniach oświadczą się o twoją rękę, jeżeli będą pewni, że nie odmówisz...

Panna Eufemia wybuchnęła płaczem.

— Boże, cóż się to dzieje!... Ależ Cynadrowski...

— Przelotna sełabostka — odparła matka.

— Ja mu przysię... ja mu przyrzekłam...

— Zapewne w chwili szlachetnego uniesienia, oszołomiona jego bełaganiami i rozpaczą...

— Zamieniliśmy pierścionki... zresztą — on ma moje listy...

— Aj, do diabła!... — mruknął podsędek.

— Moja Eufemio — mówiła podsędkowa. — Pan Kerukowski jest szlachetnie urodzony, pięknie wychowany, a mimo to — nieszczęśliwy i osamotniony. Takiemu człowiekowi podać rękę, welać mu otuchę, przywrócić wiarę w siebie — to, moim zedaniem, cel godny kobiety wyższej... Ale pan Cenadrowski, któremu wystarczyć by mogła tewoja pokojówka...

Podsędkowa wyniosłe wzruszyła ramionami; panna Eufemia płakała.

Rozpoczęta w tej kwestii konferencja ciągnęła się do późnej nocy, przeplatana łzami i uściskami matki i córki tudzież wykrzyknikami podsędka, które w bardzo niewielkim stopniu przyczyniały się do wyjaśnienia sytuacji.

Panna Eufemia nie była tego wieczora na cmentarzu.

## 50. GDZIE SIĘ KOŃCZA

Nazajutrz podsędek, zmizerowany i nieśmiały, złożył wizytę majorowi i odbył z nim konferencję. — O czym mówiono? — pozostanie wieczną tajemnicą. Jedno jest pewne, że major tak brzydko wymyślał na podsędkowę, aż szyby drżały z oburzenia.

Gdy zaś spocony podsędek opuściwszy dom majora lekkim kłusem podążył na łono rodziny, major udał się do doktora Brzeskiego i wszedłszy do pokoju Madzi, która pisała jakies kursa, rzekł zniżonym głosem bez wstępów:

— Powiedz mi: czy prawda, żeś pośredniczyła między panną Eufemią i Cynadrowskim?

— Ja?... — krzyknęła zdumiona Madzia.

— Powiedz mi, dziecko, szczerze — mówił major. — Bo oni twierdzą, że ty namówiłaś Eufemię do schadzek i nakłoniłaś ją do zamiany pierścionków z Cynadrowskim.

Madzia oburzyła się. A ponieważ jeszcze na pensji przywykła chować swoją korespondencję, więc — oddała majorowi dwa listy: jeden z przekreślonymi gołąbkami, w którym panna Eufemia zerwała z nią stosunki, drugi z nieprzekreślonymi gołąbkami, w którym zaprosiła ją na cmentarz.

— Naturalnie!... — mówił starzec przeczytawszy listy. — Byłem tego pewny!...

Potem wyjrzał przez okno, spojrzął na drzwi i schwyciwszy Madzię wpół, przytulił swoje siwe, nasycone tytoniem wąsy do jej szyi mruczając:

— Oj, ty... ty... figlarko!... Mogłabyś nie kusić mnie, starego... No, bywaj zdrowa — dodał po chwili i pocałował Madzię w czoło.

Z domu doktora major podreptał ku poczcie nakładając swoją potworną fajkę i wszedł do ekspedycji, gdzie pochylony nad biurkiem młody blondyn z grzywką sumował cyfry.

— Cynadrowski — rzekł major — masz czas?...

Młody blondyn położył palec na jednej z cyfr i spojrzawszy groźnie na majora odparł:

— Zaraz będę miał... Ale za kratkę wchodzić nie wolno...

— Tam także wchodzić nie wolno, a jednak chciałeś... — odparł major. I nie tylko usiadł na urzędowej kanapce obok biurka, ale jeszcze urzędowymi zapalkami zapalił straszliwą fajkę.

— Pan jest bezceremonialny!... — rzekł Cynadrowski.

— Nauczyłem się od ciebie i zaraz ci to opowiem, tylko skończ pisanie.

Blondyn z grzywką przygryzł wargi, zsumował kolumnę, a potem sprawdził.

— Masz jaki pokoik? — zapytał major.

Cynadrowski wstał i milcząc zaprowadził majora do następnego pokoiku, gdzie było żelazne łóżko, parę czarnych szaf z papierami, a w kącie stos juków wydających woń odświeżonej skóry.

Major usiadł na łóżku i przez chwilę wydmuchiwał kłęby dymu patrząc w sufit. Przypomniał sobie, że przed pół godziną podsędek ukląkł, literalnie ukląkł przed nim błagając, ażeby bardzo ostrożnie, bardzo delikatnie i bardzo stopniowo przygotował sekretarza do pewnej smutnej wiadomości.

„Bo widzi kochany major — mówił podsędek — Cynadrowski to chłopak porywczy i jeżeli nie weźmiemy się do niego dyplomatycznie, gotów zrobić awanturę”.

To przypomniał sobie major i widać ułożył jakiś plan metternichowski, gdyż uśmiechnąwszy się rzekł:

— Wiesz, po co do ciebie przyszedłem?

— Nie mogę domyśleć się, za co spotyka mnie ten honor — odpowiedział krewki młodzieniec, którego niecierpliwiło zachowywanie się majora.

— Widzisz... przyszedłem ci oddać w imieniu panny Eufemii twoje listy do niej, no... i pierścionek.

To mówiąc, z wolna położył na stole naprzód pakiecik obwiązany na krzyż czarną wstążeczką, a następnie — małe pudełko po pigułkach, gdzie, owinięty w watę, błyszczał pierścionek z wizerunkiem Matki Boskiej.

— Oprócz tego proszę cię również w imieniu panny Eufemii o jej listy i jej pierścionek — zakończył major i spojrzął na Cynadrowskiego.

Młody człowiek stał pod szafą, z rękoma w kieszeni. Miał twarz jakby zmarzniętą, białe usta i grzywkę rozrzuconą, choć jej nie dotknął. Majorowi zrobiło się żal biedaka i właśnie dlatego nasrożył siwe brwi.

— To nie może być — rzekł chrapliwym głosem Cynadrowski.

— Masz rację — odparł major. — Nie może być, ażeby człowiek honorowy zatrzymywał listy i pierścionek panny, która mu odsyła jego efekta.

— To nie może być — powtórzył z krzykiem młody człowiek uderzając się pięścią w piersi. — Jeszcze onegdaj przysięgała mi...

— Onegdaj przysięgała ci na onegdaj, ale nie na dzisiaj. Baba nigdy nie przysięga na odległy termin, chyba w kościele. Nie należy jej też podsuwać zbyt długiej rotty przysięgi, bo nim dojdzie do końca, zapomni, co było na początku.

— Ale dlaczego to zrobiła?... Dlaczego?...

— Podobno ma oświadczyć się jej Krukowski.

— Więc idzie za męża?... — prawie zawył młody człowiek.

— Ano jużci... I szkoda, że jej się to wcześniej nie udało... Tak pięknie zbudowana kobieta mogłaby już mieć ze sześcioro dzieci...

Cynadrowski nagle odwrócił się i ukląkł w kącie między pachnącymi jukami. Wcisnął czoło między dwie ściany i jęczał nie roniąc ani jednej łzy:

— Jezu... Jezu... czy to podobna?... Jezu miłosierny, czy tak można zabijać ludzi na równej drodze?... Jezu!...

Majorowi zrobiło się przykro.

— Diabli mnie tu przynieśli... — mruknął.

Podniósł się z łóżka, podszedł do klęczącego i uderzywszy go w ramię rzekł:

— No, wstawaj!...

— Co?... — odparł młody człowiek zrywając się na nogi.

Wyglądał jak wariat.

— Przede wszystkim — nie bądź głupi.

— A potem?...

— Oddaj listy panny i jej pierścionek, a swój zabierz.

Cynadrowski rzucił się do niewielkiego kufra, otworzył go, a w nim skrytkę, z której wydobył pakiet listów. Porachował je, włożył w grubą kopertę i zapieczętował trzema urzędowymi pieczęciami.

Następnie zdjął z palca pierścionek z opalem i ostrożnie umieścił w pudełeczku z watą; pierścionek zaś z Matką Boską wsadził sobie na palec.

— To jeszcze po matce — rzekł dygocząc.

— Piękna pamiątka — odparł major. — Szkoda, żeś jej nie szanował.

— Ha? — spytał Cynadrowski.

— Nic. Teraz powinieneś wziąć na przeczyszczenie. Nawet — wiesz co?... Przyślę ci sześć reformackich pigulek; zażyj wszystkie, a do jutra tak ci się uspokoi serce... W naszym pułku był doktor Gerard: ile razy jaki oficer zakochał się nieszczęśliwie, dawał mu na przeczyszczenie. A jeżeli chłopak bardzo dokazywał, to pierwej aplikował wymioty. Niezawodny środek... jak niegaszone wapno na szczury.

— Kpi pan ze mnie?... — szepnął młody człowiek.

Major objął go prawą ręką (w lewej trzymał fajkę) i pocałował w oba policzki mówiąc:

— Jak Boga kocham, nie kpię... Jak cię szanuję, mój Cynadrowski!... Tylko, widzisz, spódnica — dobra rzecz, ale nie trzeba sobie zawijać w nią głowy. I nie myśl, że cię nie rozumiem. Ja wiem, co to miłość: kochałem się po dwanaście razy na rok, może i więcej. A że byłem chłopak jak malowidło, więc latały za mną dziewczęta jak koty za sadłem. I co powiesz: każda umierała z miłości, przysięgała, że mnie na wieki będzie kochać, a nie było ani jednej, ażeby bestyjka nie zdradziła. Co najbardziej mnie gniewało, że zawsze zdradziła choćby o godzinę wcześniej aniżeli ją ją. Z tego powodu mam nawet żal do kobiet i taką zawziętość, że — jak mnie widzisz żywym każdą zniesławilibym bez wyrzutu sumienia.

Cynadrowski uśmiechnął się bezmyślnie.

— Bardzo dobrze — mówił major — już rozum zaczyna ci wracać. Zażyj jeszcze moich pigulek, a spojrzysz na świat całkiem jasno. Mój kochany, nieszczęście w miłości nie wtedy bywa, kiedy ciebie zdradzają, ale kiedy cię już zdradzić nie mogą, choćby najbardziej chciały. Zimno mnie, powiadam ci, przechodzi, gdy pomyślę, że jeszcze rok, dwa, a trzy najwięcej i... przestaną zajmować człowieka te marności!

Wierz mi, prawdziwa nad tobą łaska Boża, że tak się stało. Miałbyś teścia... no!... a teściowie!... i w dodatku jedną jedyną żonę, która pilniej strzegłaby twojej cnoty aniżeli Żydzi kopytkowego przy rogatkach. A tobie na co jedna żona?... Masz tu gdzie lustro, więc przejrzyj się: pyski jak u Tatarsa, czoło jak u byka, kark barani, nogi kogucie... Czyś ty zwariował, człowieku, ażeby takie zdolności marnować dla jednej kobiety!

— Więc ona idzie za mężem?... — wtrącił Cynadrowski.

— Kto?

— Panna Eufemia...

— Ależ idzie, aż się oblizuje!... — odparł major. — Dwudziestoósmioletnia panna to jak roczna wdowa: serce gorętsze od samowara, rękę ugotowałbyś do kości...

— Jezu... Jezu!... — szeptał młody człowiek chwytając się za głowę.

— No... no!... Tylko Pana Jezusa tu nie mieszaj — zgromił go major. A chowając do bocznej kieszeni kopertę z listami i pudełeczko z pierścionkiem panny Eufemii dodał:

— Tak, doskonale... Uszy do góry!... A jak ci moja kucharka przyniesie pigułki, zażyj wszystkie... Tylko nie zaczep jej samej, bo tego nie lubię. Smutek smutkiem, a co nie twoje, nie ruszaj. Bądź zdrów.

Ścisnął Cynadrowskiego za rękę i nadstawił mu do pocałunku policzek.

W parę dni po tych wypadkach, kiedy Madzia bocznymi ulicami przemykała się do sklepu Eisenmana, zastąpił jej drogę Miętlewicz. Był zakłopotany, lecz starał się panować nad sobą.

— Czy słyszała pani — rzekł — że dzisiaj pan Krukowski z siostrą był u państwa podsędków i oświadczył się o pannę Eufemię?

— Wiem o tym — odparła Madzia rumieniąc się.

— Przepraszam panią... Ale — czy został przyjęty?...

— Tak przynajmniej mówił pan podsędek memu ojcu.

— Ja, proszę pani, nie przez ciekawość pytam... — tłumaczył się Miętlewicz. — Tylko ten biedak Cynadrowski zobowiązał mnie, ażeby się o tym dowiedzieć... Przynajmniej mu i...

— Na co jemu ta wiadomość!... — odpowiedziała Madzia wzruszając ramionami. — Bo przecie jest chyba o tyle szlachetny, że o awanturze nie myśli...

Miętlewicz zarumienił się jak wyrostek schwytyany na psocie. Zrozumiał niewłaściwość pogróźek, za pomocą których chciał zapobiec związkowi Madzi z Krukowskim.

— Czasami — wyjąkał — człowiek tak szaleje z żalu, że gotów zrobić awanturę przynajmniej... z samym sobą... Ale Cynadrowski nie zrobi tego, o nie... To kamień; już wczoraj cały dzień pisał raporta. Tylko chciał się przekonać, czy rodzice nie zmusili panny Eufemii i czy ona przyjmie dobrowolnie pana Krukowskiego?

— Podobno już w tę niedzielę mają wyjść ich zapowiedzi — wtrąciła Madzia.

— Czy tak?... Spiesz się panna Eufemia!... Dobrze robi Cynadrowski, że na parę tygodni wyjeżdża do ojca na wieś... Bo może by i nie wytrzymał, gdy innemu zagrają *Veni Creator*.

## 51. ECHO PRZECHADZEK PO CMENTARZU

Madzia pożegnała rozgadane Miętlewicza i załatwiwszy w mieście sprawunki wróciła do domu. Ku wieczorowi przyszedł major z proboszczem i jak zazwyczaj siedli starcy do szachów w altanie, dokąd Madzia przyniosła kawę. Doktor Brzeski palił niedrogie cygaro i przypatrywał się grającym.

Ale partia wlokła się nieporządnie, gdyż partnerzy ciągle przerywali ją rozmowami nie mającymi związku ze szlachetną grą.

— Nie chciałbym być w skórze Eufemii — mówił major. — Przecież ona wchodzi do szpitala!...

— No, majątek... nazwisko... — wtrącił proboszcz.

— Co po nazwisku, kiedy mąż niedołęga?... Dopiero będzie miała niespodziankę...

— A tak, z panią siostrą... Rzeczywiście ekstrordynaryjna kobieta.

— Gorszy czeka ją szpas ze strony brata.

— Nie gadałbyś major!... Taka brzydka gęba, że ile razy wypuści fajkę, musi powiedzieć wszeteczeństwo.

— Gadałeś i jegomość w młodszym wieku.

— Nigdy! — oburzył się proboszcz uderzając pięścią w stół. — Nigdy, ani kiedy byłem wikarym, ani kiedy zostałem proboszczem.

— Bo wikary nie wiedział, a proboszcz nie może — odparł major.

Ksiądz umilkł i począł rozpatrywać się w szachownicy.

— Teraz, mości dobrodzieju, posuniemy tak... — rzekł proboszcz. Następnie wziął dwoma palcami laufra i podniósł.

W tej chwili na ulicy rozległ się krzyk, jakby kto wołał: gore!... Potem gwałtownie otworzyła się furtka i wbiegł do ogrodu człowiek niski a pękaty wołając:

— Doktora!...

— Pocztmajster... — rzekł major.

Istotnie był to pocztmajster. Kiedy wpadł do altany, jego apoplektyczna twarz była pokryta siecią fioletowych żyłek. Chciał coś mówić, ale zakrztusił się i bezładnie machnął rękoma.

— Zwariowałeś pan?... — krzyknął na niego major.

— Udławił się... — dorzucił proboszcz.

— Zastrze... zastrzelił!... — jęknął pocztmajster.

— Kto?... kogo?...

— Siebie...

— Oho!... to już pewnie ten osioł Cynadrowski... — rzekł major i z fajką w zębach, bez czapki wybiegł z altany, a za nim proboszcz.

Doktor Brzeski wpadł do swego gabinetu po środki opatrunkowe i z pocztmajstrem poszedł za przyjaciółmi.

Przed pocztą stała ciągle powiększająca się gromadka mieszczanek i Żydów.

Major rozepchnął tłum, minął biuro ekspedycyjne i wszedł do pokoiku Cynadrowskiego, gdzie zapach skóry mieszał się z wonią prochu.

Cynadrowski siedział na łóżku oparty plecami o ścianę. Pełna jego twarz wydawała się obwisłą i miała odcień żółtego wosku. Jeden pocztylion stał osłupiały w kącie między jukami — drugi rzewnie płacząc ściągał Cynadrowskiemu z lewej ręki surdut i kamizelkę rozzerwawszy mu koszulę na piersiach.

Major potknął się o olbrzymi pistolet pocztowy leżący na podłodze, zbliżył się do łóżka i spojrzał. Cynadrowski na lewej stronie piersi miał ranę wielkości dziesięciu groszy; brzeg jej był nieco odwinięty, środek zatkany skrzepem krwi, która różowym paskiem spływała na dół.

— Ech, to skaleczenie!... — odezwał się proboszcz.

Major odwrócił się i popchnął proboszcza bliżej łóżka.

— On już umiera — rzekł nie wyjmując z ust fajki.

— Nie może być?...

— No, no... rób jegomość swoje...

Proboszcz zaczął drżeć. Oparł rękę o ścianę, pochylił się nad ranionym i zbliżywszy swoją twarz do jego twarzy zapytał półgłosem:

— Żałujesz za grzechy z całego serca, ze wszystkich sił twoich?...

— Żałuję... — odpowiedział ranny chrapliwym głosem.

— Żałujesz przez miłość dla Boga, Stwórcy i Zbawiciela twego, którego obraziłeś?...

— Tak...

Stojący przy łóżku pocztylion płakał na cały głos; major mruczał pacierz.

— *Absolvo te in nomine Patris et Filii...* — szeptał proboszcz. Potem przeżegnał kornającego i ucałował go w czoło, na którym ukazały się krople potu.

Ranny podniósł rękę, rzucił się, zaczął ustami chwytać powietrze, w oczach było widać trwożę. Potem wyprężył się, odetchnął i spuścił głowę na piersi, a na poźółklej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia. W tej chwili Brzeski wziął go za rękę i zaraz puścił.

— No, tak!... — rzekł doktor. — Połóżcie ciało na łóżku.

W kilka minut później wracali we trzech do domu.

— A już mógłbyś major nie gorszyć ludzi przynajmniej w takim momencie — odezwał się proboszcz.

— Co znowu jegomość czepiasz się?... — odburknął major. — Przecież mówiłem pacierz...

— Tak, i przy tym puszczałeś dym z fajki, aż w nosie kręciło.

— A jegomość rozgrzeszałeś nieboszczyka laufrem, którego jeszcze w garści trzymasz...

— Męko Chrystusowa!... — zawołał proboszcz podnosząc ręce. — A toż ja naprawdę mam laufra w garści... Nigdy już grać nie będę w te przeklęte szachy, z których tylko obraza boska...

— Nie zarzekaj się, jegomość — przerwał major — bo wpadniesz w gorszy grzech...

— Oto skutki obcowania z bezbożnikiem... O Męko Chrystusowa!... — biadał proboszcz.

— Nie desperuj, jegomość!... nasz kapelan nieraz batem błogosławił umierających i nie przeszkodził im do zbawienia. Co ma wisieć, nie utonie.

Po tym wypadku w Iksinowie zrobił się bez porównania większy ruch umysłowy aniżeli po koncercie. Pocztmajster o śmierci sekretarza telegrafował do gubernialnego zarządu pocztowego, skąd na trzeci dzień zjechała rewizja. Gadano w mieście, że Cynadrowski popełniał wielkie nadużycia: odlepił marki, wydobywał pieniądze z listów, no — i zastrzelił się ze strachu. Lecz gdy zrewidowano pocztę, okazało się, że nie brak ani jednego grosza, ani jednego kawałka laku; księgi rachunkowe były prowadzone do ostatniej godziny i znajdowały się w zupełnym porządku. Zauważono tylko, że w ciągu kilku



dni poprzedzających śmierć biedaka zmienił mu się charakter pisma: litery były większe i niepewne.

Przy sekcji zrobionej na Cynadrowskim przez doktora Brzozowskiego okazało się przekrwienie mózgu; skąd wniosek, że nieboszczyk dokonał zamachu pod wpływem obłądu. Lecz jaka mogła być przyczyna obłądu?

— Jaka przyczyna obłądu, doktorze?... — pytał na drugi dzień doktora Brzozowskiego aptekarz stojąc w progu apteki. — Czy w tym wszystkim nie ukrywa się jakieś *fé*, jakaś *Fem*?... — dodał, kontent ze swego dowcipu.

— Dajże pan spokój! — przerwał mu cierpko Brzozowski. — Obłąd może nie mieć wyraźnego powodu, a zaś pan Krukowski — mówił doktor ciszej — dał słowo, że każdego wyzwie na pojedynek, kto przy tej awanturze wymieni nazwisko panny Eufemii...

Na obliczu aptekarza odmalowało się przykre zdziwienie.

— Tak?... — rzekł. — Ależ to nie ja mówię, tylko moja żona... Powiedz, żonusiu — dodał zwracając się do opartej o kontuar połowicy — czy nie ty mówiłaś, że Cynadrowski zastrzelił się przez pannę... pst!...

— Ale Krukowski pana wyzwie na pojedynek, nie żonę — odparł doktor.

Pani aptekarzowa podbiegła do drzwi wołając:

— Jak to?... pan Krukowski mężyka wyzwie na pojedynek za to, o czym wszyscy mówią? A co będzie, jak mąż nie przyjmie pojedynku?...

— Dość... dość!... — przerwał aptekarz zamykając drzwi. — Człowiek, który wyzywa na pojedynek, jest na wszystko zdecydowany... Strzeliliby do mnie... potłukłby mi lustra... szafy... Niech Bóg broni!...

— A cóż to, nie ma rządu?... A cóż to, nie ma policji na rozbójników?... — protestowała pani. — Weźmiemy strażnika... najmiemy ludzi do pilnowania apteki... Więc ja za to płacę podatki, ażeby nie było mi wolno ust otworzyć?... Przecie to niesłychane!...

Z trudem udało się doktorowi i aptekarzowi uspokoić wzburzoną damę i wytłomaczyć jej, że wobec tego rodzaju pogroźek najwłaściwszą odpowiedzią jest pogardliwe milczenie.

— Słowo daję — mówił aptekarz — że od tej pory w naszym domu nikt nie wymówi nazwiska ani Krukowskiego, ani podsędkówny, ani nikogo z ich rodziny. Chcą awantury, będą mieli awanturę!...

— No, no... mężyku... Już tylko nie gorączkuj się — uspakajała go pani. — Owszem, ja nawet myślę, że pan Krukowski szlachetnie postąpił, bo już za dużo w mieście tych plotek. Co za niegodziwość psuć reputację uczciwej panience...

— Wiesz?... masz rację!... — odparł po namyśle aptekarz.

Zbytecznym byłoby dodawać, że w ciągu tej sceny między Brzozowskim i małżonkami pan Fajkowski, prowizor, nie posiadał się z radości. Niby coś robił za kontuarem, ale uśmiechał się złośliwie i mruczał:

— A to dobrze starej!... A to jej położyli plaster na buzi!... Żeby się choć nie rozchorowała biedaczka...

W tej chwili do apteki wbiegła pani rejentowa.

— Cicho!... cicho!... — rzekła wznosząc palec do góry. — Opowiem wam cudowne rzeczy...

Aptekarz schwycił ją pod rękę i zaprowadził do mieszkania; aptekarzowa i doktor poszli za nimi.

— Wiecie, co się stało? — zaczęła pani rejentowa. — Dziś z rana, o dziewiątej, prawie w tym samym czasie, kiedy... (tu westchnęła) egzenterowali tego biedaka...

— Cynadrowskiego — wtrącił aptekarz, który lubił być domyślnym.

— O kimże innym mówiłabym? — przerwała obrażona rejentowa. — Dziś tedy rano, o dziewiątej, panna Magdalena Brzeska wyznaczyła Femci schadzkę w kościele.

— No?... — spytał Brzozowski robiąc minę, która nie oznaczała zbyt wielkiego szacunku.

— Jak to: no?... — oburzyła się rejentowa. — Zaś wczoraj wmówił jeden z pocztynionów, że niedawno, kilka dni temu, Cynadrowski rzucił przez parkan jakiś list do panny Brzeskiej...

— No?... — powtórzył doktor.

Pani rejentowa zarumieniła się i wybuchła gniewem.

— A, wie doktor co, że jeżeli jest pan tak domyślny przy chorych...

— Właściwie to i ja nie bardzo rozumiem, o co chodzi — wmieszał się aptekarz, który wysoko cenił Brzozowskiego za obfitość recept.

Pani rejentowa przygryzła wargi i zstępując z wyżyn uniesienia do lodowatej pogardy odpowiedziała spokojnie:

— Ja wam, moi państwo, tłumaczyć nie będę, tylko wyliczę fakta. Proszę uważać: panna Magdalena namawia Femcię do założenia pensji, panna Magdalena kokietuje Krukowskiego, panna Magdalena kompromituje Krukowskiego i Femcię tym... koncertem... To jeszcze nie koniec, bo panna Magdalena wyciąga Femcię na spacer z Cynadrowskim, z którym utrzymuje korespondencję. Ale i tego jej za mało, gdyż zrozumiałwszy, że pana Ludwika nie może odciągnąć od Femci, odmawia mu swej ręki (śmiać mi się chce z tej odmowy!...), a nareszcie dziś, kiedy już zaszła katastrofa, panna Magdalena znowu zwabia Femcię do kościoła. Cóż państwo na to?...

Aptekarz skrzywił się, a nawet pani aptekarzowa zdawała się być zdziwioną. Nagle wysunął się naprzód doktor i rzekł:

— Ja pani odpowiem. Otóż, po pierwsze — tu lekko uderzył w ramię panią rejentową — ja osobiście nie lubię Brzeskiego. Po wtóre — tu nastąpiło nowe uderzenie w ramię.

— Ależ, doktorze!... — zawołała rejentowa i odepchnęła rękę wzniesioną po raz trzeci.

— Po wtóre — prawil Brzozowski wybijając takt w powietrzu — panna Magdalena Brzeska niepotrzebnie wdaje się z aktorami i urządza koncerty. Po trzecie — gdyby założyła u nas pensję, nie powierzyłbym jej moich dzieci, gdyż jest za młoda na dyrektorkę... Widzi pani, że nabożeństwa do panny Brzeskiej nie mam...

— Słusznie — wtrąciła rejentowa.

— Tak — mówił doktor. — Ale, ażeby taż sama panna Brzeska bałamucila kogośkolwiek albo urządzała komu schadzki, w to — przepraszam — nigdy nie uwierzę...

— Ani ja — odezwał się aptekarz, z ukłonem zacierając ręce.

Pani rejentowa osłupiała, lecz jak biegły dyplomata natychmiast zmieniła front.

— Przecież i ja nie mówiłam, że to jest pewne, tylko... dziwiłam się zbiegowi wypadków. Panna Brzeska może być najuczciwszą dziewczyną, ale u nas... nie powodzi się jej...

— Święta prawda! — dorzuciła pani aptekarzowa.

— Ach, powodzenie!... jaka to względna rzecz powodzenie, nieprawda, panie doktorze? — odezwał się aptekarz. — Wobec losu mądry czy głupi, uczciwy czy nieuczciwy... Wszak prawda, panie doktorze?...

Niemniej pani rejentowa miała do pewnego stopnia słusność: Madzia była na schadzce z panną Eufemią w kościele, ale — została wezwana tam przez pannę Eufemię.

Spotkały się w bocznej kapliczce, ciemnej i pustej. Ledwie Madzia weszła, panna Eufemia wciągnęła ją do ławki. Była blada, zapłakana i przytuliwszy się do Madzi zaczęła szeptać:

— Cóż ty na to?... Wczoraj, kiedy mi powiedziano, myślałam że oszaleję... Całą noc spać nie mogłam... Aaa!.. coż to za człowiek mściwy... Ażeby w takiej chwili...

Madzia przyszła na schadzkę po to tylko, ażeby uspokoić pannę Eufemię, więc odpowiedziała ściskając ją za rękę:

— Ależ nie desperuj, moja droga... Tęgo dnia, kiedy pan Ludwik oświadczył się o ciebie, Miętlewicz mówił mi o tamtym biedaku i trzeba zdarzenia, najwyraźniej zapewnił, że nieszczęśliwy ani myśli o odebraniu sobie życia... Może stało się to wypadkiem.

— Tak sądzisz? — spytała panna Eufemia nie okazując zachwyty. — Z miłości — dodała — niejeden odbiera sobie życie, ale... coż temu winna kobieta?... Czyliż kobieta nie jest istotą myślącą i wolną... czy musi ulegać każdemu, kto ją kocha... czy nie może robić wyboru?... Jakiż by to był okropny świat!...

Madzia ze zdziwieniem spojrzała na pannę Eufemię, której piękna twarz miała w tej chwili prawie anielski wyraz.

— Widzisz, moja droga — mówiła panna Eufemia spuszczać cudne oczy — widzisz... chcę się przed tobą wypowiedzieć... Ja, moja droga, ja... zawsze kochałam Ludwika... Gdy Ludwik, nie wiem dlaczego, zaczął okazywać mi obojętność, byłam w rozpacz... Złamana, wyznaję, popełniłam błąd słuchając namiętnych wynurzeń tego nieszczęśliwego... Któża kobieta nie lubi wyznań?... Której nie wzruszy prawdziwa miłość

i cierpienie?... Chwilowo wzruszyłam się i ja... Sądząc, że Ludwik zdradził mnie, postanowiłam poświęcić się dla tamtego... Tamten zaś, nie wiem, uważał mnie za swoją niewolnicę czy co?...

Zasłoniła oczy chustką i po chwili mówiła dalej:

— Ach, gdybyś ty wiedziała, jaki on szlachetny, jak mnie kocha...

— Pan Ludwik? — spytała Madzia.

— Któż by inny?... Wczoraj na wieść o nieszczęściu przybiegł do nas, upadł przede mną na kolana i błagał, ażebym do tego wypadku nie przywiązywała żadnej wagi. „Wiem — mówił Ludwik — że ten nieszczęśliwy uwielbiał panią, ale... iluż ludzi uwielbia słońce, kwiaty?...” A kiedy mama zrobiła uwagę, że mogę paść ofiarą plotek, pan Ludwik przysiągł, że na żadne plotki nie pozwoli... Prosił mnie, ażebym dzisiaj wyszła z nim w południe do miasta. „Niech ludzie wiedzą — mówił — że mojej miłości nic nie zmieni... Nic!...”

Madzia przypominając sobie niedawno minione wypadki zdumiewała się nad szybkością, z jaką w sercach ludzkich następują po sobie wielkie i niezmiennie uczucia. Jeszcze tylko nie była pewna, komu te rzeczy przyszły łatwiej: jej przyjaciółce, pannie Eufemii, czy ich wspólnemu wielbicielowi, panu Krukowskiemu.

## 52. WALKA Z CIENIEM

Pomimo tak niemilego zdarzenia, jak samobójstwo sekretarza poczty, małżeństwo panny Eufemii z panem Krukowskim było na najlepszej drodze. Bardzo silnym, zaiste, musiał być związek ich dusz, skoro nie zachwiał się pod takim ciosem. Zdawało się nawet, że tkliwe węzły między nimi zacisnęły się jeszcze bardziej dzięki poświęceniu panny Eufemii i energii pana Krukowskiego.

Kiedy owego fatalnego wieczora wpadł do pana Ludwika chłopiec z wiadomością, że Cynadrowski zastrzelił się, pan Ludwik od razu zrozumiał sytuację i zaczął działać.

Przede wszystkim ze wszelkimi względami należnymi ciężko chorej osobie zawiadomił o tym siostrę. Ale eks-paralityczka pomiędzy mnóstwem niespodzianek składających jej repertuar miała jeszcze — nadzwyczajny zasób odwagi.

— Tak?... — rzekła. — Zastrzelił się?... A to oryginał!

— Obawiam się, ażeby ten wypadek nie ściągnął jakich przykrości na pannę Eufemię — nieśmiało odezwał się pan Ludwik.

— Przykrości?... — zawołała chora dama. — A ty od czego jesteś narzeczonym kobiety, dla której odbierają sobie życie?... Iluż to mężczyzn dla mnie chciało odebrać sobie życie, ilu ich już naprawdę nie żyje — a co z tego?... Piękna kobieta jest jak ogień: igrać z nią nie wolno.

— Więc siostrunia nie ma nic przeciw temu, ażebym uspokoił pannę Eufemię?

— Ależ to twój obowiązek! Idź do niej natychmiast, tylko... przyszlj mi tu służących i sam siedź niedługo... Kiedy nadchodzi noc, jestem więcej zdenerwowana.

Załatwiwszy się z siostrą pan Ludwik pobiegł do narzeczonej i rzeczywiście uspokoił ją tak, że sama pani podsędkowa powiedziała mu:

— Zerobiłeś pan cud!... Lękałam się o Femcię, bo ona taka delikatna, a to taki niezwykły wypadek w naszym mieście... Ale pan wszystko zemienił...

Od podsędków pan Ludwik wpadł na chwilę do doktora Brzozowskiego (którego bardzo polubił) i oświadczył mu poufnie, że wyzwie na pojedynek każdego, kto z powodu samobójstwa wspomni imię panny Eufemii. Doktor przyznał mu słuszność dodając, że w podobnych razach opinia publiczna w Iksinowie powinna mieć jakiś hamulec.

Krótko mówiąc — w kilka godzin po wypadku, który mógł znowu na długo, jeżeli nie na zawsze, pogrążyć go w otchłani celibatu, pan Ludwik był pewniejszym małżeństwa aniżeli kiedykolwiek. Narzeczona kochała go nieskończenie, on umiał jej bronić — wszystko szło jak z płatka.

Tylko — noc miał trochę niespokojną. Eks-paralityczka była tak zdenerwowana, że obłożyła się świętościami i kazała spać w swoim pokoju kucharce i dziewczynie. Zaś pan Ludwik często budził się, a gdy zasnął — trapiły go dziwaczne marzenia. Zdawało mu się, że nieboszczyk otwiera drzwi do pokoju i stanąwszy w progu patrzy na pana Ludwika z nienawiścią i gniewem.

Ale pan Krukowski, który okropnie lękał się swojej siostry, mniej bał się niebezpieczeństw rzeczywistych, a najmniej przywidzeń. Więc ażeby raz na zawsze zapewnić sobie sen, poszedł na drugi dzień rano do szopy, w której leżały zwłoki samobójcy.

„Najlepiej — myślał — nieprzyjacielowi spojrzeć w oczy”.

Minął rynek, przeszedł ulicę Warszawską, przeszedł ulicę Piotrkowską, ażeby go wszyscy widzieli, i — skręcił na pocztę, przed którą znowu stała gromadka ludzi.

— Gdzie leży nieboszczyk? — głośno zapytał strażnika, ażeby zwrócić na siebie uwagę tłumu.

— W szopie przy stajni — odpowiedział strażnik.

W tłumie zaczęto szeptać. Pan Krukowski wytyczył słuch myśląc, że nazwie go kto — zabójcą albo przynajmniej — narzeczonym zabójczyni. Lecz zamiast tego usłyszał wyrazy:

— Doktor!... Nie, to felczer... Ale gdzież tam, to pan cywilny...

Tłum nie obwinał go o nic, nie wyzywał do walki ani do obrony. Pan Ludwik doznał w tej chwili podwójnego uczucia: ulgi i zawodu.

„Chodźmy do nieboszczyka!...” — pomyślał.

Zdawało mu się, że twarz zmarłego powinna mieć jakiś straszny wyraz: gniewu czy nienawiści. Nie zdziwiłby się też (w swoich marzeniach), gdyby nieboszczyk spojrzął na niego i głosem niesłyszanym dla innych zawołał:

„Po co tu przyszedłeś, morderco?... Czy naigrawać się nad nieszczęśliwym, który musiał dla ciebie wyrzec się ukochanej kobiety?...”

— Tak marzył pan Krukowski mijając dziedziniec, na którym gromadka kur rozgrzebywała śmieci, jeden pocztylion rąbał drzewo, a drugi poił konia przy studni.

Przed szopą nudził się strażnik; lecz na widok eleganckiego pana wyprostował się i — popchnął drzwi.

Pan Krukowski znalazł się sam w szopie, na środku której na jej tapczanie leżały zwłoki w górnej połowie przykryte derką. Pan Ludwik zbliżył się, odsłonił derkę i spojrzął na swego rywala.

Zmarły miał oczy zamknięte, sinawe usta, twarz pożółkłą, a na niej jakiś niezwykły wyraz. Ale w tym wyrazie nie było ani gniewu, ani pogardy, ani nienawiści, słowem — żadnego z uczuć, które mogły obrazić lub zaniepokoić widza.

Gdyby nowe ubranie porzucone przez swego właściciela na gościńcu mogło przemówić głosem czy fizjognomią, zapewne mówiłoby w ten sens:

„Jestem nowe ubranie, wcale dobre, i nie wiem, dlaczego porzucił mnie mój właściciel?...”

Taki wyraz zdawał się być wypisany na obliczu zwłok.

„Dlaczego on mnie zabił?...” — pytały.

Ale pytanie to nie odnosiło się do pana Ludwika, lecz do właściciela tego młodego i zdrowego ciała, które w gwałtowny sposób opuścił.

Pan Krukowski stał przed zwłokami zdumiony.

„Jeżeli kto popchnął go do samobójstwa — myślał — to chyba ja... Jeżeli kto go skrzywdził, to także ja... I ten człowiek nie ma do mnie pretensji, nie okazuje wstrętu?...”

Zdjął kapelusz, przeżegnał się i chociaż to nie odpowiadało liberalnemu duchowi czasu, zmówił: „Wieczny odpoczynek...” Potem opuścił szopę i dziedziniec boczną furtką, bo wstyd mu się zrobiło ludzi czekających przed pocztą.

„Jaki to musiał być dobry człowiek — myślał pan Krukowski idąc ze spuszczoną głową. — Jak on ją kochał i co mógł wycierpieć przez... przeze mnie...”

Po tej smutnej wizycie pan Ludwik parę godzin nie mógł się uspokoić. Bo on chciał walczyć w obronie honoru panny Eufemii, koniecznie chciał walczyć, a tu — główny przeciwnik nie tylko nie przyjął wyzwania, lecz wcale nie zwracał uwagi na pana Krukowskiego.

Na szczęście, pozostali żywi wrogowie.

W południe pan Krukowski przyszedł do państwa podsędków, ażeby stosownie do wczorajszego projektu przespacerować się z panną Eufemią po mieście. Panna Eufemia była mizerna i zgnębiona. Gdy zaś pan Ludwik wspomniał o spacerze, zaczęła go prosić, ażeby odłożyć to na inny dzień.

— Po co mamy wyzywać miejskich plotkarzy?... — mówiła. — Szepnie kto, nie ukloni się, a choćby spojrzy i... co wyniknie?...

— Właśnie o to chodzi — odpowiedział pan Krukowski z pięknym ukłonem i niezwykłą stanowczością.

Ponieważ i pani podsędkowa zachęcała córkę do usłuchania rady narzeczonego, więc w kilka minut pan Ludwik i panna Eufemia znaleźli się na mieście.

Przeszli rynek i ulicę Warszawską, wszędzie spotykając dużo znajomych i nieznanym osobom. Ale mimo najpilniejszej uwagi ze strony pana Ludwika, nie usłyszeli przykrego słowa, nie zobaczyli ani jednego niewłaściwego spojrzenia. Znajomi witali ich uprzejmie, a niektórzy wieszowali przyszłego związku.

Pan Krukowski pragnął jeszcze iść w stronę poczty, ale panna Eufemia tak zbladła, tyle miała przerażenia w oczach, że pełen rycerskości narzeczony nie chcąc jej drażnić zawrócił do domu.

— Widzi pani — mówił uradowany — jak to dobrze wyjść naprzeciw plotkarzy. Nikt nie wspomnił o tym nieszczęśliwym...

— A jednak jestem pewna, że od wczoraj wszyscy o nim mówią — odpowiedziała panna Eufemia.

Pan Krukowski sposepniał. Jego elegancja, jego delikatność, jego dobre wychowanie dosięgły szczytu wobec panny podsędkówny; tylko — opuścił go dobry humor. A co gorsza, że ten dobry humor coraz rzadziej pojawiał się między narzeczonymi, chociaż spędzali razem całe dnie. Nawet eks-paralicyzka zwróciła na to uwagę i raz rzekła do brata:

— Mój Ludwiku coś ty taki zamysłony?... Nic, tylko myślisz, ciągle myślisz... To nawet niezdrowo!

W najbliższą niedzielę, podobno z podszeptu pani podsędkowej, proboszcz zapomniał ogłosić zapowiedzi pana Ludwika z panną Eufemią. Nie dlatego, broń Boże, ażeby chciało opóźnić się z weselem, lecz... ot tak sobie!... Nie wiadomo skąd pani podsędkowej przyszła taka myśl, która trochę rozniewała siostrę pana Krukowskiego, ale jego samego zelektryzowała w sposób przyjemny.

Będą plotki... — rzekł do siebie; ciągle bowiem pragnął stoczyć walkę o honor i spokój panny Eufemii i przekonać cały świat i każdą z jego pięciu części, że panna Eufemia nie jest winna śmierci Cynadrowskiego.

Ale plotki i tym razem nie przychodziły.

Jakoś we dwa tygodnie po fatalnym wypadku pan Krukowski spacerując po pokoju siostry rzekł:

— Co to jest, że nie ma plotek ani na mnie, ani na Eufemię?... Przecież w Iksinowie zawsze z najbliższego powodu bywały plotki, a teraz nic!

— Boją się twoich pogroźek — odpowiedziała siostra — i dlatego nie gadają głośno. Wspominała mi jednak rejentowa, że major chodził do Cynadrowskiego na kilka dni przed nieszczęściem... Mówiła też, że jeżeli kto zna prawdziwą przyczynę śmierci, to chyba ten pan... jakże on?... Miętlewicz...

Nareszcie — pan Ludwik usłyszał jakieś nazwiska... Nareszcie znalazł jakichś ludzi, z którymi mógł, jeżeli nie zrobić awantury w obronie czci i spokoju panny Eufemii, to przynajmniej — pogadać o wypadku. Niechże mu kto postawi zarzuty, niech się z nim sprzecza, byle raz przerwało się milczenie!...

Zadowolony pan Krukowski ubrał się w swoje prześliczne popielate spodnie, w niemniej popielate rękawiczki, w czarny tużurek i poszedł z wizytą do lekceważonego dotychczas pana Miętlewicza. A zobowiązawszy go do absolutnej dyskrecji zapytał: czy prawda, że nieboszczyk Cynadrowski zwierzył się przed nim, iż umiera z miłości dla panny Eufemii?...

— Ależ uchowaj Boże! — zawołał Miętlewicz. — Prawda, że raz, kiedyś tam bardzo dawno, spotkawszy się ze mną w nocy napomknął o samobójstwie, ale o pannie Eufemii nie wspomniął. Uwielbiał ją, nie można przeczyć, ale wiadomość o zaręczynach z panem przyjął spokojnie...

I w dalszym ciągu Miętlewicz obawiając się, ażeby pan Ludwik znowu nie zwrócił swoich afektów do Madzi, tak zaczął wychwalać wdzięki, postawę, ułożenie i grę na fortepianie panny Eufemii, że jej narzeczonemu aż słabo się zrobiło od pochwał.

Smutno pan Krukowski pożegnał Miętlewicza i — poszedł do majora. Liczył na to, że opryskliwy starzec, który nie lubił panny Eufemii, da mu jakąś przyczynę do sporów.

Zastał majora w domu, poprosił go o chwilę poufnej rozmowy, napomknął o dyskrekcji...

— Mój kochany — przerwał mu major — jeżeli nie jesteś pewien, że zachowam jakąś, zapewne głupią, tajemnicę, to po co chcesz mi ją powierzać?... Zresztą ostrzegam cię, że ja tylko to utrzymuję w sekrecie, co sam uważam za godne sekretu.

Po mnóstwie najwykwintniejszych przeprosin pan Ludwik odezwał się:

— Prawda, panie majorze, jaki okropny wypadek z tą śmiercią nieszczęśliwego Cynadrowskiego?

— Ano, cóż?... Nie żyje, i basta.

— Ale taka gwałtowna śmierć...

— Czasem trafia się kilka tysięcy śmierci gwałtownych w ciągu paru godzin — cóż z tego?... Dziury w niebie nie ma.

— Czy... czy nie sądzi pan major, że... nieszczęśliwa miłość dla panny Eufemii mogła popchnąć Cynadrowskiego do samobójstwa?...

— Dajże spokój!... Gdyby każde niepowodzenie u kobiet miało kończyć się śmiercią wielbiciela, to ty, mój kochany, dla samego siebie musiałbyś założyć oddzielny cmentarz... Dostawałeś przecie arbuzy za arbuzy, a jednak żyjesz; dlaczegóż więc tamten młody człowiek miałby być głupszym od ciebie?

Argumentacja staruszka była tak silna, że spotniały pan Krukowski szybko zakończył rozprawę i z ulgą w sercu pożegnał majora.

„A, cóż to za gbur!...” — myślał pan Ludwik podważając kroku. Lękał się, ażeby major nie zawrócił go z drogi i nie ufetował nowym szeregiem wyjaśnień.

I otóż stała się rzecz trudna do wiary, a jednak prawdziwa: Cynadrowski zabity, pokrajany i pogrzebany — nieboszczyk, o którym jedni zapomnieli, a inni starali się zapomnieć, nieboszczyk ten — żył!... Żył jakimś życiem niewidzialnym, nieujętym i niepojętym i — zatruwał spokój dwom najszanowniejszym domom w Iksinowie.

To dziwne życie zmarłego nie występowało w jednolitej formie. Istniał on jak rozbite zwierciadło, którego części kryją się w rozmaitych kątach, lecz od czasu do czasu przypominają się nagłym błysnięciem.

Wszystkie te pojedyncze błysnięcia powoli sumowały się w umyśle pana Krukowskiego, utworzyły jeden obraz silny i zmusiły do uwierzenia, że bądź co bądź nieboszczyk — *jest*, i to jest — pomiędzy nim, panem Ludwikiem, a jego narzeczoną, panną Eufemią.

Pewnego dnia na przykład eks-paralityczka, bez żadnych nerwowych wybuchów (musiała być naprawdę przestraszona), rzekła do pana Krukowskiego:

— Mój kochany, nie chciałabym cię niepokoić... ale każdej nocy chodzi coś po naszym ogrodzie...

— Może stróż.

— Ale, gdzież tam. Pytałam się...

— Więc złodziej?

— Złodziej ukradłby coś jednej nocy, ale nie wałęsałby się każdej — odparła chora dama.

Pan Krukowski cicho westchnął i spuścił oczy.

— Widzisz, mój drogi — mówiła tajemniczo siostra — ty nie wierzysz w upiory... A jednak ludzie prości, którzy często muszą czuwać po nocach, twierdzą, że spotykali upiorów... Mówią, że najczęściej upiorem zostaje samobójca... Odwiedza on tych, którzy go skrzywdzili, i jednym przeszkadza spać, a z innych... krew wysysa...

Odetchnęła i trzęsąc głową kończyła:

— Osoby wysysane przez upiorów są smutne, blade, tracą siły... Niekiedy mają na ciele niewielkie plamki pochodzące od ukąszenia...

— Ach, te brednie!... — przerwał niecierpliwie pan Ludwik, tak niecierpliwie, że to podobało się jego siostrze.

— Nie brednie!... — szeptała słodkim, nieledwie pokornym głosem. — Nie brednie!... Onegdajszej nocy sama widziałam w oknie jakąś straszłą postać w bieli... Był to mężczyzna z dziką twarzą, oczyma jak węgle i z czarnymi pokudłanymi włosami...

— No, no... uspokój się, bo *tamten* był blondyn — odparł prawie niegrzecznie pan Ludwik.

— Kilka razy widziałam i blondyna...

Ale pan Ludwik wyszedł z pokoju i... trzasnął drzwiami!... co tak zachwyliło jego siostrę, że zaprosiła go na wyborną czekoladę i nawet — starała się przypodobać usługując mu, odgadując jego myśli.

### 53. CIEN ZWYCIEŻA

Ta rozmowa z siostrą była dla pana Krukowskiego punktem zwrotnym w jego życiu i w stosunkach. Zaczął uważniej przypatrywać się rodzinie państwa podsędków i przypominać sobie różne szczegóły.

Raz na przykład słyszał, jak pani podsędkowa zrobiła awanturę w kuchni z tego powodu, że służące nie chciały jej powiedzieć, o czym po cichu rozmawiają między sobą?

„Co jej do tego?” — pomyślał pan Ludwik i — nie wiadomo z jakiej racji — stanął przed nim jak żywy Cynadrowski z twarzą żółtą, ale spokojną i pozbawioną wyrazu jakiegokolwiek niechęci...

Innym razem pani podsędkowa (w obecności pana Ludwika) rozdrażnionym tonem odezwała się do męża:

— Mój derogi, dlaczego ty ciągle siedzisz w domu? Dawniej chodziłeś po całych dniach, a dziś!...

— Do kogóż pójde?... — odparł cicho podsędek.

Krótką i łagodną odpowiedź tak wzburzyła panią podsędkową, że szanowna dama wybiegłszy do drugiego pokoju wybuchnęła płaczem.

Jeszcze innego dnia pani podsędkowa zaczęła bez powodu narzekać przed przyszłym zięciem na Iksinów:

— Cóż to za niezenośne miasto!... Jacy poziomi ludzie!...

— Czy zrobił pani kto przykrość?... — zawołał zrywając się pan Ludwik, ciągle gotów do walki o cześć i spokój narzeczonej.

— Ach, nie!... — odparła wyniośle podsędkowa. — Któż by mnie śmiało obrazić?... Ale tu jest takie lichy towarzystwo... Rejentowa nie może żyć bez pelotek i nawet wówczas, gdy milczy, jeszcze robi pelotki... A ta aptekarzowa, cóż to za obłudnica!... Kiedy całuję mnie, mam uczucie, jakbym dotknęła węża...

Pan Krukowski przyznał w duchu, że nie poradzi ani na obłudę aptekarzowej, ani na milczące plotki rejentowej.

— Powinni byćście, moi państwo — mówiła znowu pani podsędkowa — a nawet musicie poberawszy się wyjechać gdzieś na miodowy miesiąc... do Paryża, do Neapolu czy do Ojcowa... Wam koniecznie potrzeba świeżego powietrza... Wam potrzeba wyjrzeć na szerszy świat... Femcia tak mizernieje... no — powodem tego jest gorące uczucie... Ale zawsze wypada gdzieś wyjechać, choćby na kerótko, na miesiąc, dwa...

Panu Ludwikowi, gdy słuchał tych rad, zrobiło się zimno. Naprzód wiedział, że siostra nie pozwoli mu wyjechać, a potem — zrozumiał, że pani podsędkowa mówiąc o miodowym miesiącu delikatnie przypomina mu o ślubie, który odwłócił się.

Istotnie w tę niedzielę mogła już wyjść trzecia zapowiedź... Przecie już upływała trzecia niedziela od śmierci Cynadrowskiego...

„Znowu ten Cynadrowski!...” — pomyślał pan Ludwik i wykwinie pożegnawszy piękną narzeczoną tudzież jej szanownych rodziców udał się — do proboszcza.

Chciał go prosić o ogłoszenie zapowiedzi w nadchodzącą niedzielę.

Ale staruszek okrutnie zaczął trząść ręką około ucha.

— Co wam tak pilno?... — rzekł. — Czekaliście parę tygodni, możecie jeszcze poczekać z tydzień, ze dwa... Zresztą, jeżeli koniecznie chcesz...

— Ja zastosuję się do woli księdza proboszcza — szybko odpowiedział pan Ludwik — ale moja narzeczonea... jej rodzice...

— Już ja im to wytłumaczę — odparł proboszcz. — Któż się żeni w lecie?... W jesieni, rozumiem... po żniwach...

Pan Ludwik wyszedł od proboszcza zgnębiony. Dlaczego ksiądz radzi mu nie śpieszyć się ze ślubem?... Przecie to prawie obelga, a co najmniej insynuacja... Chciał natychmiast wrócić się i zapytać: co to znaczy?... Ale — nie rozumiał dlaczego — zabrakło mu odwagi.

Od tej chwili zdawało mu się, że stoi przed zasłoną, poza którą kryje się jakaś tajemnica. Gdyby ruszył palcem, upadłaby zasłona. Ale pan Krukowski przy wszystkich swoich śmiesznościach był tak delikatny, że nie śmiał usuwać tej zasłony.

Raz panna Eufemia była z dłuższą wizytą u siostry pana Ludwika. Siedzieli w altanie. Czas schodził im dość przyjemnie, panna bowiem czytała książkę, a ładnie czytała. Wtem wiatr wionął i troskliwa o zdrowie eks-paralityczki panna Eufemia poszła do jej pokoju po szalik.

— Ludwiku — rzekła prędko chora dama — czy ty uważasz, że Femcia jest co dzień bledsza?

— Musi być niezdrowa.

— A... czy ty widzisz znamię na jej szyi... czerwone znamię?... — mówiła eks-paralityczka, z trwogą patrząc na brata.

Pan Ludwik zatrząsał się. Lecz gdy panna Eufemia wróciła do altanki z szalikiem, ostentacyjnie pocałował ją w rękę.

Chora dama spuściła głowę. Z głęboką radością uczuła, że jej brat zaczyna okazywać swoją wolę, lecz przykro jej było, że robi to w tym wypadku.

Nareszcie w połowie następnego tygodnia pan Krukowski postanowił rozciąć węzeł. Poszedł do proboszcza i poprosił o ogłoszenie zapowiedzi. A gdy staruszek znowu zatrząsał rękoma, pan Ludwik spytał poważnie:

— Co to znaczy, księżo proboszczu? Dlaczego pan każe mi odkładać wesele?...

— Kazać, nie każe — odparł ksiądz. — Tylko myślę, że może nie wypada tak znowu śpieszyć się, choćby ze względu na... narzeczoną... Zawsze to przykro musi być dziewczynie, że ktoś dla niej palnął sobie...

— A cóż to w rezultacie obchodzi pannę Eufemię?... — zdziwił się pan Ludwik. — Zapewne nie miała rzecz na razie, ale dziś ona sama...

Proboszcz zaczął się krzywić i wytrząsać rękoma.

— No — przerwał — zawsze choć trochę musiała lubić nieboszczyka. Nie tak mocno jak ciebie, ale zawsze... Przecież widywała się z nim, pisywała listy, nawet była mowa o pierścionkach...

Pan Ludwik zrobił się szary na twarzy i zaczesał bujne faworyty.

— Skądże proboszcz wie o tym?

— Całe miasto wie — odparł ksiądz. — Wreszcie nie wspominałbym o tych rzeczach, gdyby nie podsędek, który czując pewne skrupuły prosił mnie, ażeby ci o tym nadmienić... Naturalnie — dodał żywo proboszcz — wiem, że jesteś człowiek szlachetny i nie skompromitujesz panny, która jest do ciebie przywiązana...

— Ależ rozumie się!... — odpowiedział pan Krukowski żegnając proboszcza.

Był jednak zirytowany i wybiegł na miasto.

„Dowiaduję się nowych rzeczy — myślał — o których notabene mówi całe miasto... Ale podsędek uczciwy człowiek, tak... on miał skrupuły... Pani podsędkowa nie miała ich ani panna... No, wreszcie!... Ona chodziła na spacer z tamtym, ja z Madzią... Ona pisywała listy, ja posyłałem bukiety... ona tam... coś... z pierścionkami, a ja oświadczyłem się o Madzię... Zaniebdywałem ją, tamten szalał, więc nie żaden dziw, że serce przemówiło... Zresztą — sam się ukarał... Trzeba odłożyć wesele, niech biedaczka uspokoje się zupełnie...”

Pan Ludwik tak czuł swoją wyższość nad Cynadrowskim, że nawet nie był o niego zazdrosny. Tym bardziej iż zgodnie z wymaganiami przyzwoitości — panna przeniosła Krukowskiego nad Cynadrowskiego, a Cynadrowski dobrowolnie ustąpił Krukowskiemu rozumiejąc, że kto miał zaszczyt uwielbiać przyszłą panią Krukowską, żyć nie powinien.

„Bardzo... bardzo rozsądny chłopiec... Miał nawet to, co nazywa się delikatnością uczuć...” — myślał pan Ludwik.

Ale pomimo optymistycznych poglądów na stosunek swój do panny Eufemii, a panny Eufemii do pana Cynadrowskiego, czuł jakiś brak i chciał się o czymś dowiedzieć. Ale o czym?... sam nie rozumiał.

Więc zapomniawszy o niechęci poszedł jeszcze raz do majora, kombinując bowiem rozmaite półsłówka, które go dolatywały, domyślał się, że major więcej musi wiedzieć niż inni.

Starzec wychodził na szachy, więc rozmówili się w ganku.



— Panie majorze — zaczął od razu pan Ludwik. — Nie chcę wypytywać o to, czego mi pan sam nie powiedział, ale... Niech mi pan szczerze objaśni, jakie wrażenie sprawił na panu Cynadrowski?

— Ja prawie go nie znałem.

— Lecz... o ile go pan znał...

Major wyduł usta.

— To był honorowy chłopak. Głupi, ale bardzo uczciwy... bardzo. Może nawet za bardzo...

Pożegnali się — pan Krukowski odetchnął zadowolony. Opinia majora o zmarłym pochlebila jemu samemu.

„Mała figura — myślał — jakiś tam urzędniczek, i do tego Cynadrowski... Kto znowu tak się nazywał... Ale przynajmniej nie żadna mętna osobistość... Panna Eufemia nawet gniewając się na mnie miała dobry smak”.

Na rynku pan Ludwik niechcący zetknął się z Miętlewiczem. Przywitał go bardzo wykwintnie i po wymianie kilku zdań obojętnych spytał:

— Proszę pana, kto to właściwie był ten pan Cynadrowski?

— Przecież pan wie: sekretarz poczty, brał 20 rubli miesięcznie.

— Ale charakter, panie, charakter?...

— O, charakter miał gwałtowny, co wreszcie mogło pochodzić z nie dość starannego wychowania — odpowiedział Miętlewicz poprawiając kołnierzyk w sposób, który oznaczał, że on sam jest starannie wychowany.

— Ale... czy to był dobry człowiek?... — nalegał pan Krukowski.

Miętlewicz spojrział na niego z podziwem.

— Pan się o to pyta?... Ależ to chodząca uczciwość, szlachetność... Gdy raz został czym przyjacielem, dałby się porąbać...

Zapał, z jakim Miętlewicz unosił się nad zmarłym, był tak szczerzy, że pan Krukowski doznał dziwnego wzruszenia.

„Tak — myślał — to widocznie był dobry człowiek... Nie omyliłem się... On musiał być nawet bardzo dobry... I kto wie, czy nie szkoda chłopca?... Miłość i ambicja!... szlachecka krew... szkoda chłopca...”.

Był kontent. Bo jakkolwiek rozumiał, że panna Eufemia pogwałciła światowe konwenanse kochając jakiegoś tam urzędniczka, to jednak nawet tym czynem zdradziła dobry smak i wzniosłość uczuć.

„Trzeba mieć bardzo szlachetną duszę, ażeby odczuć inną szlachetną duszę, pomimo tylu przeszkód zbudowanych przez konwenanse” — myślał pan Ludwik.

Był więc kontent, o! bardzo był kontent. Miał bowiem prawo i nawet miał zamiar powiedzieć narzeczonej:

„Pani, nie nalegam o przyspieszenie wesela (wbrew upomnieniom doktora Brzozowskiego... Nie, tego nie można jej powiedzieć!). Nie nalegam, pani, bo szanuję twój smutek... Oznaczysz zatem dzień ślubu, gdy zechcesz, a już ja sam uspokoję twoich rodziców, moją siostrę i nawet doktora... (Nie, tego nie można jej powiedzieć!...)”.

Był kontent i dumny. Dumny nie tylko z narzeczonej, ale nawet ze swego rywala.

— Tak — mówił zacierając ręce. — To nie był jakiś tam tuzinkowy urzędniczek... To raczej był zaklęty królewicz... No — i ustąpił wobec mnie... Taki ustąpił!...

W jego oczach Cynadrowski z pocztowego sekretarza wyrósł bodaj czy nie na jeneralnego pocztmistrza Wielkiej Brytanii, którym przecie może być lord angielski.

Tego wieczora pan Krukowski z domu swej siostry odprowadzał pannę Eufemię do rodziców. Noc była piękna, księżyc świecił w pełni; niezbyt czyste domy Iksinowa zamieniły się w blasku tych promieni na egzotyczne wille, wieże kościoła urosły.

Pan Ludwik był rozmarzony i czule ścisnął przecudną rączkę panny Eufemii, która pomimo to nie miała humoru. Nawet kilka razy perłowymi ząbkami szarpnęła batystową chusteczkę, co może nie zgadzało się z etykietą, lecz było pełne wdzięku.

— Zdaje się, że moja pani jest nieco zdenerwowana? — odezwał się melodyjnym głosem pan Krukowski.

— Po prostu — jestem zła...

— Domyślam się, że na mnie?...

— Ma pan słusność.

- Czy wolno odgadnąć powód?...
- Ciekawam?...
- Posądzasz mnie — szepnął — że nie umiem uszanować twego żalu...
- Żalu?... — spytała zatrzymując się. — O co?... do kogo?...
- Właściwie: po kim?...

W tej chwili wbrew sztuce życia, rozsądkowi, a nawet własnej woli panna Eufemia straciła panowanie nad sobą. Zbladła, oczy jej rozszerzyły się i usunąwszy rękę z tkliwego uścisku pana Ludwika zapytała stłumionym głosem:

- Po kimś żal?... Może myślisz, że po tamtym człowieku?...
- Sądziłem...

Panna Eufemia zaśmiała się szarpiąc w rękach chusteczkę.

— Ja?... — mówiła — ja mogłabym żałować człowieka, który naraził mnie na plotki, na podejrzenia?... I za co!... Żem się zlitowała... żem się zniżyła do znajomości z nim... Czy ja wiem zresztą?... żem się nim bawiła...

Panna Eufemia mówiąc to chciała usprawiedliwić się przed narzeczonym z pogłosek, które mogły dojść do niego.

- Bawiłaś się?... — powtórzył pan Krukowski nieokreślonym tonem.

— Zdradzałeś mnie dla Madzi — mówiła już żartobliwie panna Eufemia — więc miałam prawo odwetu... Ale zaręczam, cokolwiek powiedzieliby ludzie, że był to sposób najniewinniejszy... Przysięgam ci, Ludwiku!...

Weszli na ganek domu, w gęsty cień rzucany przez winograd. Panna Eufemia oparła rączki na ramionach narzeczonego i — delikatnie dotknęła ustami jego czoła.

- Przysięgam ci — rzekła — że jesteś pierwszym mężczyzną, którego... to spotyka...

- Ba-wi-łaś się?... — powtórzył pan Ludwik.

— Naturalnie... Czy przypuszczałeś co innego?... A wiesz, że powinna bym się obrazić!...

Pan Ludwik delikatnie odsunął się od niej. Gdy mu na twarz padł blask księżycy, pannie Eufemii zdawało się, że stoi przed nią jakiś obcy mężczyzna.

- Bawiłaś się — szeptał — i to tak niewinnie, że...

— Że co?... Widzę, że doleciała cię jakaś nikczemna potwarz... — przerwała mu wylękniona.

— Gardzę plotkami! — odparł. — Tu przecie nie o potwarz chodzi, ale o... śmierć człowieka...

- Ach!... — krzyknęła panna Eufemia rzucając się na ławkę w ganku.

Po chwili na jej krzyk wybiegła podsędkowa w białym szlafroku z trenem, a za nią podsędek.

— Femciu... co to zenaczy?... — zapytała matka. — Sepodziewałam się, kochany Ludwiku...

Ale kochanego Ludwika już nie było przy ganku. Umknął szybko, wybierając miejsca, na które padały cienie domów.

Gdy przybiegł do swego mieszkania i wszedł do pokoju siostry, chora dama nawet nie podnosząc do oczu binokli zawołała niespokojnie:

- A tobie co?...

Taki miał dziki wyraz twarzy, tak nieporządnie wyglądało jego odzienie.

Napił się wody, usiadł obok siostry i rzekł niskim głosem:

- Siostruniu... musisz mi dać pieniędzy... Wyjeżdżam jutro rano...

- Dokąd?... po co?... A ja?...

- Dokąd?... Gdzie każesz, a ty przyjeżdż za mną... Wyniesiemy się stąd...

- A Femcia?...

— Nie chcę Femci!... Nie chcę jej znać... nawet słyszeć o niej nie chcę... Przecież ta kobieta nie tylko ma odwagę mówić, że — bawiła się, słyszysz: ba-wi-ła się tym nieszczęśliwym urzędnikiem, ale nawet nie rozumie tego, co powiedziała!...

Eks-paralityczka strzeliła z palców jak grenadier.

— A wiesz co — rzekła — doskonale robisz, że się z nią nie żenisz!... Ja już od tygodnia oplakuję to małżeństwo... To nie dla ciebie kobieta... To...

— Chwała Bogu!... — cierpko przerwał pan Ludwik. — Dlaczegoż siostrunia wcześniej mi tego nie powiedziała?...

— Bałam się, kochanie... bałam się ciebie... Ty od pewnego czasu jesteś okropny!... Wszystkich wyzywasz na pojedynek... nie pozwalasz mówić... trzaskasz drzwiami...

Rozmawiali do świtu ściskając się i popłakując. O czwartej rano pan Ludwik posłał chłopca po ekstrapocztę, a o piątej wyjechał, czule żegnany przez siostrę, która miała ruchy tak swobodne, jakby paraliż nie był jej znanym nawet z imienia.

W dziejach Iksinowa dzień wyjazdu pana Ludwika stanowił koronę całego pasma wielkich wypadków.

Trzeba przyznać, że inteligencja iksinowska zrozumiała położenie. Małomiasteczkowe plotki ucichły, ludzie spoważnieli. Pani rejentowa, pani pomocnikowa, a nade wszystkim pani podsędkowa wcale nie wychodziły tego dnia z domów. Niezrównany takt kobiecy podszeptał im, że — w chwili tak poważnej kobiety cofnąć się powinny na drugi plan, a zostawić wolne pole działalności mężów.

I mężowie działali. Naprzód — każdy z nich pojedynczo udawał się na pocztę, ażeby sprawdzić: czy pan Krukowski rzeczywiście wyjechał ekstrą, i do tego o piątej z rana? Sprawdziwszy zaś sam fakt, obejrzawszy bryczkę, która uniosła pana Ludwika i pocztyliona, który go odwiózł — każdy z panów zwracał do apteki.

To miejsce wydawało im się najwłaściwszym do wszechstronnego zbadania kwestii:

Czy pan Krukowski wyjechał za jakimś nagłym interesem (może w sprawie pieniędzy?), czyli też wyjechał bez interesu. A w tym ostatnim wypadku: zerwał czy nie zerwał z narzeczoną i — dla jakich uczyniłby to powodów?

Ze sześciu panów zebrało się w aptecce, lecz wszyscy zachowywali milczenie godne rzymskich senatorów. W końcu milczenie stało się tak przygniatającym, że sam gospodarz uczuł się zniewolonym do wypowiedzenia kilku słów.

— Proszę panów — rzekł — jedno dla mnie jest niewątpliwe...

— Że Krukowski wyjechał — wtrącił rejent.

— To swoją drogą, ale... że Iksinów staje się wielkim miastem. Proszę panów o chwilę uwagi: skandal na koncercie, zerwanie pana Krukowskiego z panną Brzeską, oświadczenie się pana Krukowskiego naszej najsympatyczniejszej pannie Eufemii, samobójstwo Cynadrowskiego i... dzisiejszy wyjazd.

Aptekarz odetchnął.

— Proszę panów, to już nie Iksinów — mówił dalej — to bez mała Warszawa. Bo tylko w Warszawie co dzień jest jakiś koncert, co dzień ktoś się zabija...

— Co dzień ktoś wyjeżdża... — wtrącił z namaszczeniem rejent.

Aptekarz stropił się. Szczęściem ukazała się pani zapraszając gości na przekąskę.

Do jakich wniosków doszli zgromadzeni w czasie przekąski — o tym nie dowiedział się nawet pan prowizor. Domyślał się tylko, że musiano ubolewać nad położeniem szanownej rodziny państwa podsędków. Wszyscy bowiem zebrani byli ich przyjaciółmi i opuszczając prywatne mieszkanie aptekarza mieli niewyraźne miny jak ludzie, którzy nie znaleźli powodu do uciechy, a nie chcą okazać smutku.

Dziwnym zbiegiem wydarzeń w tym czasie, kiedy dla państwa podsędków zaczęły się utrapienia, na dom doktora Brzeskiego, a na Madzię w szczególności, spadło parę przyjemnych niespodzianek.

Pan Efoski, w którego rękach znajdowały się pieniądze Madzi, na pierwsze żądanie doktorowej przywiózł jej trzysta rubli. Taką sumę pani Brzeska była winna siostrze pana Krukowskiego; a ponieważ skutkiem obojętności Madzi dla pana Ludwika stosunki między dwoma rodzinami zerwały się, więc doktorowa natychmiast odniosła pieniądze chorej damie.

Eks-paralityczka przyjęła panią Brzeską życzliwie, choć etykietalnie i — trzysta rubli odebrała. Lecz na drugi dzień osobiście złożyła wizytę doktorowi Brzeskiemu, gorąco podziękowała mu za dotychczasową opiekę nad jej zdrowiem i zakończyła:

— Ociągałam się z uregulowaniem naszych rachunków...

— Jakich?... — zapytał doktor.

— No, przecież od roku nic pan ode mnie nie otrzymywał za wizyty... Że zaś zapewne opuścimy z Ludwikiem Iksinów, więc niech pan będzie łaskaw przyjmie... Bardzo... ale to bardzo proszę...

Nie było rady. Brzeski wziął pieniądze i przekonał się, że są to te same trzysta rubli, które wczoraj jego żona doręczyła chorej damie.

Zadowolony, ale i trochę zmieszany, doktor wezwał żonę i córkę do gabinetu i wypowiedział mowę następującej treści:

— Mameczko! Wiem, że Madzia ze swych pieniędzy spłaciła nasz dług... No, nie udawajcie zdziwionych: mówię o trzystu rublach... A ponieważ te same pieniądze siostra pana Ludwika ofiarowała mi za wizyty, więc masz, Madziu, na powrót twoje trzysta rubli...

Niepodobna ściśle oznaczyć, jak wiele upłynęło czasu: kwadrans czy pół godziny, zanim Madzia wzięła z rąk ojca tyle razy wymienioną kwotę i — oddała ją do przechowania matce. Na razie w żaden sposób nie mogło pomieścić się w jej głowie, że — ona jest naprawdę właścicielką tak wielkiej sumy, a już wprost doznawała zawrotu myśląc, co zrobi z takim mnóstwem pieniędzy?... Trzysta rubli!... co to za kapitał dla osoby, która nieraz przez cały tydzień nie wydała na siebie złotówki.

W ciągu kilku dni przyszło upamiętanie i rozważa, dzięki czemu Madzia postanowiła — uklęknąć przed matką i błagać ją, ażeby wzięła z owych trzystu rubli tyle, ile potrzeba na edukację Zosi. Z pozostałej sumy, ażeby — w największym sekrecie przed ojcem wytrąciła sobie za śniadania, kolacje i obiady.

„Niech mameczka liczy się ze mną jak z obcą... Niech mama tyle mi porachuje, ile musiałaby wziąć od obcej panienki za jej stół... Tylko niech mama nie obraża się na mnie, bo...” — tak sobie myślała Madzia oczekując chwili, w której matka będzie miała najwięcej czasu i najlepszy humor.

Lecz właśnie tego wieczora, kiedy widząc matkę w ogrodzie, chciała wyjść i powiedzieć:

„Proszę mamy, ja mam wielką... wielką prośbę!... Ale to bardzo wielką...”.

Prawie w tej chwili wszedł listonosz i wręczył Madzi urzędowy papier.

Zdumiona odpieczętowała go i znalazła — pozwolenie na otwarcie prywatnej szkoły żeńskiej dwuklasowej tudzież klasy wstępnej!...

Radość uderzyła jej do głowy. Tańczyła po pokoju, całowała urzędowy papier, potem wbiegła do kuchni, ażeby uściskać matkę. Lecz ponieważ matka rozmawiała z chłopem, który dzierżawił jej pole, więc Madzia wybiegła do ogrodu i — zaczęła ścisnąć i pieścić swój ulubiony kasztan. Zdawało się jej, że już ma zapewnione szczęście, którego nic zachwiać nie może. Ma pozwolenie na szkołę i ma pieniądze, więc jakaż jeszcze może istnieć przeszkoda?... Chyba żeby ona umarła lub ażeby Iksinów zapadł się pod ziemię.

Ale ona nie umrze, bo przecież ją Bóg przysłał do Iksinowa, ażeby tu założyła szkołę. Czyliż Matka Boska sama nie dała jej znaku wówczas w kościele, że rozumie jej troskę i wysłucha modlitwy? Czy owi chłopcy, którzy tak dokazywali podczas procesji, nie stanowią wskazówki z nieba zesłanej, że ona powinna zająć się wychowaniem iksinowskich dzieci?

„Przecież tu jest kilkaset dzieci — myślała — a zatem choćby pięćdziesięcioro z nich może chodzić do szkoły. A niech tylko od trzydziestu wezmę po rublu na miesiąc, to już mam utrzymanie i jeszcze mogę pomóc rodzinie, gdyż będę stołowała się u mamy...”.

Nareszcie udało jej się złapać oboje rodziców w pokoju ojca.

— Mamo!... tatku!... — zawołała. — Mam pozwolenie na pensję...

I skacząc, w obu rękach podniosła nad głową cenny papier.

Ale matka obojętnie ruszyła ramionami, a ojciec zaledwie spojrzawszy na arkusz uśmiechnął się i odparł:

— No, w takim razie, moja pani przełożono, zajmij się przede wszystkim edukacją... naszej Madzi i naucz ją powagi...

Madzie jakby zimny wiatr owionął.

— Tatko śmieje się?...

— Nie, dziecko. Tylko — cóż ty zrobisz z tym papierem?

— Zaraz otworzę wstępną klasę... Mam przecież pieniądze... wezmę pokój w starej oberży... stolarz zrobi mi ławki i tablicę...

— I przy tej tablicy będziesz wykladała lekcje ławkom — wtrącił ojciec. — Masz uczniów?...

— Ach, znajdują się, tatku!... Ja tu już rozmawiałam z kilkoma osobami... Mogę mieć bardzo wiele uczennic...

— W takim razie odstęp kilka z nich tutejszemu nauczycielowi, bo nieborak straszna biedę cierpi — odparł ojciec.

— A, Boże!... — zawołała rozżalona Madzia. — Więc mnie państwo tak zachęcać?... Tatko żartuje, a mama nic nie mówi...

— Bo już wiem od wczoraj, że masz pozwolenie — odpowiedziała matka machając ręką. — Zosia pisała mi, że przełożona robi jej wymówki na rachunek tej twojej pensji. Skarży się, że ją zrujnujesz...

Madzia stanęła na środku pokoju załamując ręce.

„Co to znaczy?... — myślała. — Zawsze i wszyscy mówili mi, że powinnam pracować na siebie, a dziś, gdy chcę pracować, co się stało?... Ojciec żartuje ze mnie, mama jest obojętna, a przełożona Zosi narzeka, że ją zrujnuję?... Ja ją zrujnuję... Ja kogokolwiek miałabym zrujnować!... Boże miłosierny, cóż się tu dzieje...”

I w jednej chwili z bezbrzeżnej radości wpadła w bezdenną rozpacz. Ogarnęło ją zdziwienie, że jest tak niezrozumiana, strach wobec przeszłości, a nade wszystko żal, żal nadziei, którymi karmiła się od tak dawna, a które ledwie zaczęły się spełniać, już upadają w nicość...

Ojciec zbliżył się do niej i pogłaskawszy pod brodę zapytał wesoło:

— Cóż znaczy ta minka?... Wyglądasz, jakbyś spadła z księżycy.

— Bo co ja teraz pocznę, tatku?... — wyszeptała Madzia.

— O, moje biedactwo! — odparł ojciec tuląc ją w objęciach. — Co ona pocznie!... A cóż to, nie masz ojca, matki?...

— Ależ, tatku — wybuchnęła Madzia. — Czy ja mogę żyć bez celu i pracy?... jeść wasz chleb, którego każdy kawałek dławi mnie, jak gdyby był kradziony?... Przecież ja wiem, że wam samym ciężko i jeżeli nie mogę dziś pomagać, to przynajmniej nie chcę was zubożać...

Uklękła przed rodzicami i wyciągając ręce zawołała z płaczem:

— Przysięgam, że od wakacyj nie będę jadać u was darmo... Nie mogę, no — nie mogę!... Tatuchnu, ty mnie zrozumiej... — mówiła zwracając się do ojca. — Ty mi poradź... bo ja wam tu umrę... bo ja nie mogę karmić się waszą pracą i niedostatkiem...

Matka zerwała się z krzesła, ojciec schwytał Madzię w objęcia i okrywając pocałunkami posadził ją na kanapie.

— Ach, ta egzaltacja... ta egzaltacja!... — mówił. — Co ty wyrabiasz, dziewczyno?... Jak mogłaś ojcu rzucić taki frazes niedorzeczny?... Ona jadać u nas nie będzie darmo... słyszał kto?... Ona umrze... A ty głupiutka... a ty niepoczciwa... Każę ci skrócić sukienkę i zaprowadzić do naszej bakalarni... Ty sama jeszcze powinnaś być na pensji, a nie zakładać pensję, dzieciaku!...

— Nie mogę próżnować... nie mogę was objadać... No — nie mogę!... — powtórzyła Madzia płacząc.

Ojciec wciąż tulił ją w objęciach, a gdy zaczęła się uspakajać, mrugnął na matkę. Doktorowa z wypiekami na twarzy opuściła gabinet.

— Madziu, pogadajmy rozsądnie — rzekł doktor, gdy wyszła matka. — Jesteś najlepszym dzieckiem, szlachetną kobietą, ale...

Tu uderzył się rękoma w kolana i dodał:

— Powiedz mi: czego ty chcesz właściwie?...

— Nie chcę żyć darmo, na wasz koszt... Bo wy sami nie macie... — odparła Madzia kładąc głowę na ramieniu ojca.

— Prześlizgnie!... Ale... jakże ty chcesz pracować?...

— Mam przecież pozwolenie na pensję...

— Wybornie!... A uczennice masz?...

— Będę miała.

— A jeżeli nie będziesz ich miała? Albo jeżeli koszta utrzymania pensji będą większe niż twoje zarobki, co wtedy?...

— Kiedy tatko ciągle mnie wyśmiewa albo zniechęca — odpowiedziała Madzia już weselszym głosem.

— Nie, dziecino, ja cię nie zniechęcam... Ja może myślę się, ale dopóty nie będę podzielał twojej radości, dopóki nie zobaczę pomyślnego skutku. Widzisz, im kto mniej cieszy się ze swych zamiarów, a więcej przewiduje zawał, tym mniej będzie miał smutku, gdy mu się zamiar nie uda. Rozumiesz?...

— Ale dlaczego nie ma mi się udać?... Dlaczego?...

— Ja nie twierdzę, że ci się nie uda. Tylko ponieważ stawiasz sobie cel poważny, więc ostrzegam, że z góry musisz sobie powiedzieć: albo się uda, albo się nie uda i — co robić dalej, jeżeli się nie uda?...

— Kiedy, tatku... Ja tatce coś powiem... Ja... mam przeczucie, że wszystko pójdzie dobrze!...

Doktor uśmiechnął się.

— Twoja matka ma dwa razy na rok przeczucia, że wygra główny los na loterii. I co powiesz: od dziesięciu lat wróciło się jej zaledwie kilka stawek.

— Tatko mnie ciągle zniechęca! — zawołała Madzia tupiąc.

— Ależ nie! Ja cię tylko proszę o jedno: zanim przystąpisz do otworzenia swojej pensji, pomyśl, co zrobisz, jeżeli pensja nie pójdzie, a ty stracisz pieniądze?... A jak wymyślisz plan, powiedz mi o nim. Dobrze?

— O, dobrze!... Jeżeli tatko chce, będę przez całą noc myślała, że nie uda mi się nic w życiu!... Dobrze, jeżeli tatko chce!...

— Ach, baba jesteś... Co wam rozprawiać o emancypacji, kiedy wy, baby, rozsądnie myśleć nie umiecie? Ja ci mówię: zrób jakiś plan na wypadek niepowodzenia...

— Mam plan!... — zawołała Madzia. — Zaraz napiszę do Warszawy, żeby wystarczy mi się o miejsce nauczycielki od wakacji. Nie będę miała pensji — wyjadę do Warszawy...

— Wariatka jesteś...

— Wyjadę, tateczku... Ja nie mogę jeść darmo waszego chleba... Ja chcę sama się utrzymywać... Przysięgam tu w tym pokoju i nie cofnę słowa... Gniewa się tatuś?... — dodała z przymileniem, patrząc mu w oczy.

Doktor zastanowił się. Nie dlatego, żeby argumentacja była nową, ale — że usłyszał ją z ust własnej córki. Takie mu się to wydawało dziwne, takie niesłychane... Tak mocno uczuł w tej chwili, że jego córka jest już osobą, i to osobą należącą do innego pokolenia, którego on prawie nie znał.

— Gdybyś ty była starsza!... — rzekł strapiiony.

— Zestarzęję się, tatku, i ja — odpowiedziała smutnym głosem.

Ojciec podniósł się z kanapy i przeszedł po pokoju. Nagle stanął przed Madzią.

— Ha!... trudno — rzekł. — Już nie mam żadnej władzy nad tobą... Rób, jak chcesz, i niech cię Bóg błogosławi... Tylko — dodał — nie zapomnij, że masz we mnie najserdeczniejszego przyjaciela...

Łzy potoczyły mu się, lecz powściągnął je.

Stary zegar wybił dziesiątą; Madzia powiedziała ojcu dobranoc i wyszła do swojego pokoju. Zdawało jej się, że już jest zimna jak kamień; ale czuła, że rozsypie się w proch i rozplynie we łzy, jeżeli choć przez chwilę przestanie panować nad sobą.

Usiadła przy stoliku, zasłoniła lampę abażurem i zaczęła pisać do panny Malinowskiej. Lecz gdy doszła do wyrazów: „Mogę po wakacjach potrzebować zajęcia, więc gdyby znalazło się jakie miejsce w Warszawie...” — ogromna łza upadła jej na papier.

Wzięła drugi arkusik i zatykając chustką usta, żeby nie usłyszano jej cichych łkań, zaczęła znowu pisać. Gorące łzy spływały jej na chustkę i na rękę, ach! a serce ją tak bolało, jak gdyby ten list był jej ostatnim pożegnaniem z rodziną.

Taki codzienny wypadek, że młode i delikatne dziewczęta opuszczają macierzyste gniazdo, aby rzucić się w wir świata... Ale Ty jeden wiesz, o Boże, ile jest w tym męczeństwa!

W ciągu kilku dni następnych Iksinów znowu zawrzało: rozeszła się wieść, że panna Brzeska, najlepsza uczennica słynnej pani Latter, zakłada pensję.

I znowu utworzyły się dwie partie. Pani podsędkowa na rynku oświadczyła majorowi, że gdyby Femcia miała drugi raz przeżyć epokę mlecznych zębów, to nawet pod tym warunkiem nie oddałaby jej pod dyktando Madzi. Zaś pani rejentowa, której niebo nie pobłogosławiło potomstwem, również twierdziła, że choćby Bóg zamiast czterech mop-sików zesłał jej cztery dziewczynki, jeszcze żadnej nie odważyłaby się powierzyć — tej emancypantce, która rwie się do urządzania koncertów.

Za to proboszcz i major nie mogli znaleźć pochwał dla Madzi ani słów na wyrażenie szczęścia, jakie spadnie na Iksinów dzięki pensji w takich rękach!... Zaś pan Miętlewicz w ciągu pierwszej doby zawiadomił wszystkich iksinowian o pomyślnym wydarzeniu,

a przez dnie następne objeżdżał okoliczne dwory głosząc o zdolnościach panny Brzeskiej, która mówi po francusku jak rodowita paryżanka, a gra na fortepianie jak Moniuszko.

Po upływie tygodnia nikt nie wątpił, że Madzi udał się projekt. Sam pan naczelnik kilka razy powtarzał, że w Iksinowie potrzebna jest pensja, choćby pięcioklasowa, i dziwił się, że jej dotychczas nie założono. Skutkiem tego pan pomocnik oświadczył, że dwie swoje córki odda pod kierunek Madzi, a pan adiunkt złożył wizytę Madzi i zaczął umawiać się z nią o warunki za edukację trzech panienek. Pan komisarz także obiecywał posyłać córkę do nowego instytutu, a pan sekwestrator o mało nie spłonął ze wstydu i zgryzoty, że żaden z jego sześciu wisusów nie był dziewczynką. Lękał się nawet, ażeby mu tego nie poczytano za brak lojalności, i robił taką minę, jak gdyby pod tym względem już ubezpieczył się na przyszłość.

Z okolic także Madzia odbierała listy albo wizyty. Jednego dnia przybył do niej pan Bedowski krakowską bryczką, drugiego — pani Jotowska, którą poznano po płóciennym kitlu i zielonej woalce, zaś w kilka dni później zajechali przed dom doktora z trzema dziewczynkami państwo Abecedowsy. Wizyta ich stała się głośną w mieście; mieli bowiem zepsute skrzydło u powozu, który strasznie klekotał. I Madzia była niemniej wstrząśniętą dowiedziawszy się, że państwo Abecedowsy gotowi są natychmiast oddać jej swoje trzy dziewczynki na stół, mieszkanie i naukę i płacić hurtem trzysta rubli tudzież ordynarię, zależnie od umowy.

Nadzwyczajne powodzenie Madzi wywołało niesnaski w obozie jej przeciwników. Wprawdzie pani podsędkowa i pani rejentowa pozostały jej niechętnymi, ale państwo aptekarzowie, obdarowani od Boga aż czterema córeczkami, które chowały się w domu, odbyli między sobą naradę. Wynik był ten, że pan aptekarz począł ozięble traktować podsędkę i rejenta, a pani aptekarzowa zaczęła coraz częściej ukazywać się na ulicy, przy której stał dom doktora Brzeskiego.

Triumf Madzi był tak stanowczy, że nawet jej matka odezwała się pewnego dnia do majora:

— Ha!... widzę, że moja dziewczyna ma naprawdę głowę na karku.

— Tak, apetyczna bestyjka!... — odparł major. — Krukowski w pół roku wyciągnąłby przy niej kopyta. Ale co by użył...

Doktorowa wzruszyła ramionami i przy najpierwszej okazji powiedziała mężowi, iż major tak dzieciinniał, że z nim niepodobna rozmawiać.

Madzia w tych czasach czułaby się zupełnie szczęśliwą, najszczęśliwszą istotą na świecie, gdyby nie psuł jej humoru ojciec. Z nim jednym rozmawiała o rozwoju swoich projektów i trzeba nieszczęścia, on jeden zawsze umiał wypatrzyć jakieś punkta ciemne.

Raz na przykład wieczorem przedstawiła mu listę swoich przyszłych uczennic, co do których toczyły się już układy. Było tam dwanaście panienek ze wsi i przeszło dwadzieścia z miasta.

— A co, tatku... — zapytała. — Kto ma słuszność?...

— Ty, kochanko, masz słuszność — odparł biorąc ołówek, którym zaczął wykreślać nazwiska panienek wiejskich.

— Co tatko robi?... — zawołała Madzia zdziwiona.

— Widzisz, dziecko — panien Abecedowskich nie bierz. Bo to dziewczynki nawykłe do wygod, nawet do zbytku, więc za trzysta rubli ledwie je wykarmisz. A gdzie koszta mieszkania i nauki?

Madzia zamyśliła się.

— Może tatko ma rację — rzekła. — Za dziesięć rubli na miesiąc trudno byłoby mi przyzwoicie utrzymać dziewczynkę... Więc te trzy daruję tatce!... — dokończyła obejmując ojca za szyję.

— Darujże mi i dziewięć pozostałych — odparł ojciec. — Przeciętnie mają one płacić po cztery ruble na miesiąc za naukę, ale... musiałabyś mieć dla nich ze trzy nauczycielki. Czy możesz płacić nauczycielce dwanaście rubli na miesiąc?... A lokal?... Skąd wreszcie znajdziesz u nas nauczycielki?...

Madzia osłupiała. Przyjmowanie wizyt, odpisywanie na listy, układy z rodzicami tyle jej zabierały czasu, iż nie zwróciła uwagi, że do prowadzenia pensji jest dotychczas tylko ona sama, sama jak palec!

I po tym odkryciu Madzia w jednej chwili straciła wiarę w siebie. Upadła na kanapę, a zalewając się łzami zaczęła mówić:

— Boże, jakim ja głupia!... Ja nigdy nie będę mieć rozumu... ja nigdy nic nie zrobię!... Cóż to za kompromitacja!... Przecież doskonale wiedziałam, ile pani Latter musiała wydawać co miesiąc na nauczycieli... Ach, Boże, dlaczego ja nie umarłam... dlaczego ja nie urodziłam się chłopcem!...

Ojciec zaczął ją tulić i głaskać jej ciemne włosy.

— No, no!... tylko nie rozpaczaj — mówił. — Zapomniałaś o ważnej rzeczy, ale to dowód, że jesteś dobra Polka. My, widzisz, Polacy, zawsze robimy projekta nie zgromadziwszy środków, a nawet nie pytając: czy w ogóle nasze środki wystarczą? No i tak nam się też wiedzie w życiu. Ty jednak, która należysz do nowego, mędrszego od nas pokolenia...

— Tato znowu żartuje!... — przerwała Madzia usuwając się na drugi koniec kanapy.

— Nie, Kochanko, ja tylko radzę pomyśleć o środkach i — trochę do nich zastosować swój projekt.

— Słucham tatkę.

— Więc widzisz — lokal na twoją pensję masz: oddamy ci salonik...

— Ależ to za mało...

— Jeżeli okaże się potrzeba większego mieszkania, oddamy ci pół domu.

— Ale ja będę płaciła komorne... O tak!... inaczej nie chcę... — zawołała Madzia, której szare oczy odzyskały blask i wesołość.

— Będziesz płacić, będziesz... Po wtóre, ponieważ będziesz sama jedna nauczycielką, więc weź sobie na początek tylko pięć lub sześć panienek z miasta...

— Dwadzieścia, tatku!... Będę pracowała od rana do wieczora i zarobię... chyba ze czterdzieści rubli na miesiąc...

— Pozwól, Kochanko... Na taką liczbę nie zgadzam się jako lekarz dla ciebie, a jako eks-guvernier dla twoich uczennic. Byłoby niesumiennością podejmować się fuszerki w nauczaniu...

— A jeżeli znajdę pomocnice?

— Skąd?

— Mogę sprowadzić z Warszawy... Nie!... — zawołała nagle — ja jestem wariatka... Chcę sprowadzić nauczycielki z Warszawy, a nie miałabym im co dać jeść...

— Nie desperuj — przerwał ojciec — wszak znowu mówisz przytomnie... Więc radzę ci tak: weź kilka najlepiej płacących uczennic na godziny, przekonaj się, jak ci z nimi pójdzie, i — staraj się o nauczycielki...

— Ależ to nie będzie pensja, tatku!... To będą prywatne lekcje, które przecież mogłabym mieć i teraz... O, ja nieszczęśliwa!... tyle czasu zmarnowałam, zamiast dawać prywatne lekcje... O, ja niegodziwa!...

Z trudem udało się doktorowi ukoić nowy wybuch rozpacz i wytłomaczyć córcę, że — w każdym przedsięwzięciu, obok inicjatywy, energii, pieniędzy i stosunków, nie mała rolę odgrywa cierpliwość.

Przez kilka następnych dni Madzia znowu miała wizyty. Ze wsi zgłaszali się do niej państwo Zetowscy i Żetowicza z miasta — fryzjer, fotograf i właściciel wiatraka spod rogatek.

Madzia umawiała się z nimi bardzo uprzejmie i bardzo rozsądnie, ale — bez zapłała. Czego się tu zresztą zapalać, gdy zrozumiała, że do prowadzenia pensji nie ma nauczycielek, a prywatne lekcje przyniosą jej ledwie kilkanaście rubli na miesiąc, przy których jeszcze można by postawić znak zapytania. Każda bowiem rozmowa z interesantami coraz dokładniej odsłaniała Madzi prawdę, iż — ludzie garną się do jej pensji sądząc, że będzie ona tańszym sposobem kształcenia dzieci aniżeli edukacja domowa albo pensja w mieście gubernialnym.

„Piękną będę im kształcić dzieci — sama jedna!... — myślała Madzia i dreszcz ją przechodził na wspomnienie braku pomocnic. — Po co ja wreszcie mówię z ludźmi o pensji nie mając nauczycielek?...”

Pewnego dnia, ku wieczorowi, wbiegła do pokoju Madzi matka mówiąc:

— Chce się z tobą zobaczyć panna Cecylia... Wiesz, ta stara panna, siostra aptekarza...



— Ach, ona?... Bardzo proszę... — odpowiedziała nieco zdziwiona Madzia, naprędcie przypominając sobie, że panna Cecylia jest jakby mitem w Iksinowie, gdzie nikt jej nie widywał i nikt o niej nie słyszał, pomimo że z dziesięć lat tu mieszkała.

Po chwili weszła, ostrożnie zamykając drzwi, osoba wysoka, szczupła, w ciemnej sukni. Kiedyś musiała być bardzo piękna. Miała duże oczy, dziś wyblakłe i zapadnięte, rysy nieco ostre, ale klasyczne, cerę pożółkłą, lecz delikatną i ogromne, ciemne włosy, przyprószone siwizną. Jej ukłon i każdy ruch zdradzał wielką damę, zakłopotaną i prawie wylęknioną. Madzi zdawało się, że przybyła wstydzić się czegoś: starej sukni, swoich wykwintnych ruchów czy może minionej piękności.

Pani ta chciała coś powiedzieć, lecz zabrakło jej głosu. Więc tylko ukloniła się Madzi jeszcze raz i podała jej duży papier zwinięty w trąbkę.

— Co to jest, proszę pani?... — zapytała Madzia zmieszana nie mniej od przybyłej.

— To mój patent z Instytutu Puławskiego — odpowiedziała cicho.

— Pani skończyła instytut w Puławach?...

— Z cyfrą — odparła dama jeszcze ciszej. — Pani mnie nie zna — dodała — ale ja pamiętam panią jeszcze małą dziewczynką...

— Ależ i ja panią pamiętam, panno Cecyljo!... — zawołała oprzytomniawszy Madzia. — Zdaje mi się, że nawet w tym roku słyśmy naprzeciw siebie szosą: ja na spacer, pani ze spaceru... Tylko pani skręciła w pole... Niechże pani będzie łaskawa, siądzie...

I już pozbywszy się pierwszego wrażenia Madzia uściskała pannę Cecylię i posadziła ją na fotelu, sama siadając obok na niskiej kanapce dziecinnej.

Panna Cecylia długo przypatrywała się Madzi i ująwszy za ręce rzekła:

— Pani musi być bardzo dobra...

— Ależ tak... ja naprawdę jestem dobra dziewczyna!... — odpowiedziała Madzia ze śmiechem i uczuwszy nagle sympatię do panny Cecylii serdecznie ją ucałowała.

Nowa przyjaźń była zawarta.

— Dlaczego pani nigdzie się nie pokazuje? — zapytała Madzia. — Pani taka piękna i... z pewnością najlepsza osoba w Iksinowie...

Panna Cecylia zarumieniła się.

— Gdyby wszyscy byli tacy jak pani!... — odparła. — Zdziczałam — dodała prędko — żyję tylko z dziećmi moich braterstwa albo z tymi, które do nich przychodzą...

Madzia zerwała się z kanapki i klasnęła w ręce.

— Pani! — zawołała. — Niech pani ze mną do wspólki założy pensję... My tak jesteśmy dobrane... tak będziemy się kochały...

— Do wspólki?... — odparła panna Cecylia z łagodnym uśmiechem. — Ja przyszedłam prosić panią o miejsce nauczycielki...

— Ależ współniczką moją pani będzie... Ja u pani będę nauczycielką — mówiła rozgorączkowana Madzia. — Ach, jak się to dobrze stało... Co za szczęśliwy wypadek!...

Panna Cecylia znowu zmieszała się i chwytając Madzię za rękę rzekła prędko:

— Upewniam panią, że to są plotki... Bratowa wcale nie wymówiła mi mieszkania... ona taka delikatna...

Madzia słuchała ze zdziwieniem; panna Cecylia mówiła dalej:

— Bratowa tylko powiedziała, co jest bardzo rozsądne z jej strony, że dwie starsze dziewczynki odda na pensję do pani. A że i inne rodziny, których dzieci uczyły się razem z naszymi, także wolą je oddać na pensję (zupełnie słusznie!), więc sama powiedziałam sobie (nie bratowa, broń Boże!): rola moja w domu brata skończyła się... Nie mogę dłużej być dla niego ciężarem, pójdę do panny Brzeskiej i poproszę o najskromniejsze warunki... I otóż jestem u pani, zdobyłam się na odwagę... — zakończyła z uśmiechem.

— Jakże się cieszę, że pani przyszła taka myśl — odpowiedziała Madzia. — Zobaczysz pani, że teraz uda się nam pensja...

— Ma pani słuszność. Bo kiedy ja przed dziesięcioma laty chciałam tu otworzyć pensję...

— Pani?... — przerwała Madzia. — I dlaczego pani nie otworzyła?...

Panna Cecylia smutnie poruszyła głowę.

— Wiele przyczyn — rzekła — złożyło się na to. Nie było uczennic... nie miałam nauczycielek.

Madzia drgnęła.

— ...nie miałam funduszków...

Madzi ogień wystąpiły na twarz.

— Zresztą — mówiła panna Cecylia — zabrakło mi odwagi... Bratowa jeszcze dzisiaj śmieje się ze mnie (bardzo sprawiedliwie!) i mówi: „Jak mogłaś, Cecyljo, z twoim usposobieniem nawet marzyć o podobnym projekcie?”. I bratowa ma słuszość: pracować potrafię; ale coś stworzyć, czymś kierować, do czegoś gromadzić środki... Oszalałabym przy pierwszym niepowodzeniu, o które przecie łatwo, gdy bierze się na swoją odpowiedzialność kilkadziesiąt osób...

Madzia słuchając wynurzeń panny Cecylii uczuła, że kręci się jej w głowie, a serce bić przestaje. Szczęściem wszedł ojciec — i panna Cecylia zmieniła się: straciła śmiałość, była zakłopotana, odpowiadała na pytania monosylabami, wreszcie pożegnała Madzię i doktora.

Po jej odejściu, a raczej wymknięciu się, doktor rzekł do córki:

— Zdaje się, że już masz pomocnicę, i to dobrą. Marzyć nie mogłaś o lepszej.

— Tatko skąd wie, po co ona do mnie przyszła?

— Całe miasto wie — odparł doktor. — Pani aptekarzowa chce swoje córki kształcić na pensji — u ciebie, więc od kilku dni takie sceny wyrabia nauczycielce, rodzonej siostrze swego męża, że biedna panna Cecylia musi wynosić się z domu, gdzie pieprz rośnie. Tak jak ty chcesz od nas...

Madzię zimno przeszło.

„Co to będzie?... — myślała zatrwożona. — Ja jeszcze nie jestem pewna, czy otworzę pensję, a tu już spada obowiązek... Bo przecież nie mogę opuścić panny Cecylii, która przeze mnie traci miejsce!...”

— Nad czym tak dumasz? — spytał ojciec kładąc jej rękę na czole.

Madzia nigdy nie powierzyłaby ojcu swego najnowszego zmartwienia; wydawało się ono tak ciężkim, że dzielić się nim nie miała odwagi.

Spuściła oczy unikając jasnego spojrzenia ojca i machinalnie zapytała:

— Któż jest ta panna Cecylia? Dziwne robi wrażenie...

— Bardzo dobra i rozumna kobieta, która za młodu była nauczycielką, ażeby pomagać bratu — dziś jest nauczycielką, ażeby wychować mu dzieci, a później — znowu będzie nauczycielką, ażeby nie jeść darmo chleba bratowej.

Madzi tchu brakło.

— A dlaczego ona, tatku, za mąż nie wyszła?... Czyby nikt nie chciał takiej pięknej?...

Doktor machnął ręką.

— Każda kobieta może wyjść za mąż, a przynajmniej ma wielbicieli. Miała ich i panna Cecylia, nie dawniej nawet jak przed dwoma laty.

— Więc?...

— Szczególna to osoba — odparł zamyślony doktor. — Straciła narzeczonego i postanowiła zostać panną.

— Opuścił ją?... — spytała Madzia zdławionym głosem.

— Zginął. Trafiają się takie kobiety.

Wieczór ten wzburzył Madzię: panna Cecylia stała jej przed oczyma. Więc można być dobrą i piękną, a mimo to nieszczęśliwą?... Można kochać i — stracić to, co się kocha?... Można służyć wiernie, nawet z poświęceniem i — być wypędzoną ze służby?... Można posiadać patent, mieć naukę, robić śmiało projekta i — w rezultacie zostać opuszczoną i śmieszoną?... Jakiż to świat stworzyłeś, Boże miłosierny...

„I co ja teraz pocznę?... — w dalszym ciągu myślała Madzia. — Jeżeli panna Cecylia nie śmiała tu otworzyć pensji, ona, ze swoimi kwalifikacjami, to gdzież mnie się to może udać?... Obiecują mi uczennice, lecz ile z nich naprawdę oddadzą, a za ile będą regularnie płacić?... A gdzie nauczycielki?... Mam wprawdzie trzysta rubli, ale pani Latter miała tysiące rubli i mimo to!... Trzeba być szaloną, ażeby występować z podobnym projektem i umawiać się z ludźmi o pensjonarki!...”

Lecz nazajutrz przysły listy z Warszawy, które Madzia przyjęła z niepokojem, a przeczytała z radością. Dębicki odpowiedział, że może mieć lekcje na godziny, które przyniosą około czterdziestu rubli miesięcznie, tylko — musi być przygotowana na bieganinę po mieście. Zaś panna Malinowska donosiła, że ma dla niej w pewnym domu miejsce stałej nauczycielki do dwu dziewczynek, które były na pensji pani Latter.

## 56. CO KOSZTUJE POWODZENIE

Następny tydzień był dla Madzi najszcześniejszą epoką w Iksinowie. Rozmowy z interesantami przekonały ją, że może mieć i piętnaście do dwudziestu dziewczynek, które zapiszą się do klasy wstępnej, a będą uczyły się przedmiotów szkolnych w miarę potrzeby i rozwinięcia. Rodzice ich godzili się na taką kombinację pojmując, że w początkach inaczej być nie może. Mieli zaś płacić w tym stosunku, iż dochód pensji wynosiłby od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu rubli miesięcznie.

Niektórzy chcieli dać pieniądze z góry za kwartał, nawet za rok, albo wystawiać zobowiązania piśmienne. Temu jednak oparł się doktor Brzeski mówiąc, że nie ma jeszcze nic pewnego i że sprawa zdecyduje się ostatecznie w początkach sierpnia.

Każdy dzień przynosił jakąś dobrą wiadomość. To zgłosiła się nowa uczennica, to wpadł Miętlewicz donosząc, że już przyszła orzechowa farba na ławki, to znowu Zosia (bawiąca na wakacjach u jednej z koleżanek) zawiadomiła rodziców, że na ostatni tydzień przyjedzie do domu, ażeby pokazać, iż utyla i nabiera mocnych rumieńców.

Nawet Zdzisław, który nie lubił pisać, napisał list do Madzi pod jej własnym adresem. Donosił, że ma wyborną posadę w fabryce perkalów, i tak zakończył:

„O twoim projekcie założenia pensyjki chyba to powiem, że mi cię żal, gdyż o ile panny dorosłe, wzięte pojedynczo, są dosyć przyjemne, o tyle gromada podlotków musi być nudna. Żądasz ode mnie wskazówek — jakież ci dać mogę? W instytucie mówiono mi od rana do wieczora, że człowiek powinien wszystko poświęcić dla społeczeństwa; w fabryce od rana do wieczora slysze, że człowiek powinien wszystko poświęcić dla majątku. Mam więc w tej chwili dwa poglądy na życie. A że »miłość ludzkości« — »praca dla społecznego organizmu« itd. już wylazły mi podeszwami i łokciami, kto wie zatem, czy nie wezmę się z kolei do robienia pieniędzy? W każdym razie jestem jak osioł czy jak Herkules między dwoma wiązkami siana, więc pojmujesz, że w takiej duchowej rozterce nie mogę udzielać ci rad...”.

Doktor Brzeski słuchając listu wysoko podnosił brwi i bębnił palcami po stole, ale Madzia śmiała się jak trzecioklasistka. Śmiałaby się z czegokolwiek, ponieważ było jej bardzo wesoło. Mieć jeszcze przed sobą pensyjkę, o której marzyła, a już za sobą wszystkie kłopoty. Czy może być większe szczęście!...

Jednego dnia gospodarz, który obsiewał grunta jej rodziców, przyszedł zameldować doktorowej, że — będzie chyba po osiem korcy żyta z morgi, i przy okazji przyniósł Madzi osobliwego ptaszka. Był to młody ptaszek, bury, z malutkim dziobem, lecz nadzwyczajnie szerokim gardłem, które ciągle otwierał. Madzia była zachwycona nade wszystko tym, że ptaszek nie uciekał, lecz siedział nadęty jak sowa, co chwilę otwierając gardziel. Ale gdy po paru godzinach okazało się, że nadzwyczajny ptaszek nie chce ani jeść, ani pić, ani spać, nawet na łóżku, Madzia włożyła go w koszyk i odniosła na powrót do krzaków, gdzie go znalazł gospodarz.

Wracała do domu rozmyślając, w jaki sposób ptaszek da sobie radę, czy znajdując się jego rodzice, czy może oboje nie żyją — a on, biedak, czy może nie chciał jeść ze zmartwienia po nich? I mówiła sobie, że trzeba być niedobrym człowiekiem, ażeby zabierać pisklęta ich rodzicom i siać smutek zarówno w sercu sieroty, jak i osieroconych przez niego.

— Czy to można... czy można robić coś podobnego?... — powtarzała Madzia czując żal nad bezbronnym pisklęciem, które nie tylko nie umiało się skarżyć, ale nawet nie oceniało wyrządzonej mu krzywdy.

Wtem na ulicy, niedaleko swego domu, zobaczyła gromadę dzieci. Otaczały one śmiejąc się i krzycząc niziutką staruszkę, ubraną w wypłowiały kaptur atlasowy i duży szal zużyty. Staruszka miała martwą twarz, pobrużdżoną głębokimi zmarszczkami, otwarte usta i błędne oczy.

— A to niegrzeczne dzieci, śmieją się ze staruszki!... — zawołała nadbiegając Madzia. I zbliżywszy się spytała:

— Gdzie pani chce iść?... Czego pani potrzeba?...

Kobieta zwróciła na nią okrągłe oczy i powoli, z wysiłkiem odparła:

— Ja pytam się ich, gdzie jest ta... ta... jakże jej tam?... Ta, co zakłada pensję...

— Czy Magdalena Brzeska? — rzekła zdziwiona Madzia.

— Ta... moja panienko... co tu u nas zakłada pensję...  
— To ja jestem... ja tu zakładam pensję... — odpowiedziała Madzia biorąc ją za wyschlą rękę.

— Ty?... Ej, nie żartuj!...

— Ja, z pewnością...

Staruszce błysnęły blade oczy. Nagle wydobyła spod chustki drewnianą linię i zaczęła bić Madzię po rękach mruczając:

— A paskudna!... a paskudna!... a co ci Kazio złego zrobił!... a paskudna...

Uderzenia były niezgrabne i słabe, lecz Madzi sprawiały taki ból, jak gdyby bito ją rozpalonym żelazem.

— Co pani robi?... za co to?... — pytała, z trudnością powstrzymując się od łez.

— A paskudna!... co tobie Kazio... — powtarzała staruszka machając ręką, z której linia wysunęła się na ziemię.

Madzia podniosła linię i oddała ją staruszce. Wiekowa kobieta popatrzyła na nią: w martwych oczach zamajaczyło coś, jakby dziwiła się czy chciała skupić myśli... Wreszcie — schowała linię pod chustkę i stała na ulicy bez ruchu, nie wiedząc dokąd iść, czy może myśląc, że nigdzie iść nie warto.

— Kto jest ta pani? — spytała Madzia jednego z chłopców, który zanosił się od śmiechu.

— To babka naszego profesora!... — wykrztusił chłopiec. — Ona taka zabawna...

I pobiegł w stronę szkoły.

Madzia wzięła starowinę pod rękę i ostrożnie zaczęła ją prowadzić za chłopcem. Już dochodziły do szkoły, kiedy naprzeciw nim wybiegła z podwórka kobieta bez czepka i bez kaftana, z zawiniętymi rękawami koszuli.

— Co babcia wyrabia?... — zawołała kobieta. — Jakże ja panią przeproszam!... — dodała zwracając się do Madzi. — Ale to tak: człowiek zajmie się dziećmi czy kuchnią, a babcia wychodzi na miasto i zawsze narobi wstydu albo zgryzoty...

— Nic się nie stało, proszę pani... — mówiła Madzia wprowadzając staruszkę na dziedziniec i sadowiąc ją na ławce pod domem.

Pani profesorowa, uboga, zawstydzona swoim ubóstwem i zakłopotana czynem babci, rozplywała się w przeprosinach. Madzia starała się obrócić w żart zajście, a gdy się jej to udało, spytała, za co babcia może mieć do niej pretensję?...

— Ach, już powiem pani wszystko, bo pani wygląda na taką dobrą... — mówiła żona nauczyciela. — Widzi pani, mój mąż stracił kilka uczennic: Witkowską, Siarczyńską, Narolską...

„One do mnie mają pójść od wakacji!...” — pomyślała Madzia.

— Niewiele one tam płaciły: sześć, siedem rubli, ale nie trzeba pani mówić, że zawsze to ubytek dwadzieścia rubli na miesiąc... więcej niż pensja nauczycielska... Tak tedy mówię mąż do mnie: póki długów nie spłacę (bo mamy dług osiemdziesiąt rubli i procenta!...), jedź ty z trojgiem dzieci na wieś do brata, a ja z dwojgiem starszych zostanę... Brat mój jest gorzelnikiem, proszę pani, nie opływa w dostatki, ale lubi mnie i na jaki rok nie pożałuje kąta ani chleba...

Obtarła oczy fartuchem i ciągnęła dalej:

— Nie będę ukrywać, że zwyczajnie jak ludzie, trochę narzekaliśmy przed sobą na tę pensję pani... A babcia — drzemała i słuchała, słuchała i drzemała i... oto, co zrobiła... Śmierci by się pierwiej człowiek spodziewał aniżeli takiej kompromitacji...

Madzia słuchając przypatrywała się domowi nauczyciela i jego mieszkańcom. Przez okno zasłonięte prostymi kwiatkami w doniczkach i perkalową firanką widać było czysty pokój, ale sprzęty ubogie i stare. W kuchni na kominie stał wielki garnczek kartofli i mała ryneczka słoniny. Około domu kręciło się czworo jasnowłosych dzieci ubranych w barchan i drelich. Były to dzieci umyte, ciche, oblatane i obcerowane. Między nimi może dwunastoletnia dziewczynka w krótkiej sukience patrzyła na Madzię z trwogą i żalem; przynajmniej tak się Madzi zdawało.

„To zapewne ona i jeszcze któreś zostanie bez matki, a tych troje bez ojca...” — myślała Madzia.

Uściskała żonę profesora, ukloniła się staruszce i ucałowała dzieci. Młodsze spoglądały na nią zdziwione, starsza dziewczynka cofnęła się.

Na ganku spotkała matkę targującą się z dwoma Żydówkami o kaczki i masło. Doktorowa spojrzawszy na Madzię spytała:

— Czegoś ty taka mizerna?...

— Musiałam iść za prędko...

— Błada... spocona... Czyś ty nie chora, moje dziecko?... — rzekła matka. I zwracając się do Żydówek dodała:

— Cztery złote za masło i po czterdzieści groszy za kaczkę.

— Żebym tak nieszczęścia doczekała, nie mogę — mówiła jedna z Żydówek całując doktorowę w rękaw. — Niech delikatna pani sama powie, czy nie warte po półtora złotego?... Kaczki, z przeproszeniem, jak barany... trzeba chłopa do noszenia ich...

W swoim pokoiku Madzia powoli zaczęła rozbierać się, nieruchomo patrząc przed siebie. Widziała twarz staruszki, niby rzeźbę bukszpanową oprawną w obręcz atlasu. Zdawało jej się, że gładsze punkta żółtej twarzy połyskują na słońcu jak polerowane drzewo. A te bruzdy rozchodzące się promienisto: z kątów ust, z kątów oczu, od osady nosa... Zupełnie jak gdyby rzeźbiarz samouczek powycinał je w drzewie tęnym nożem.

„Ile ona może mieć lat? — myślała Madzia. — No, ani mi przez głowę przeszło, że tu, w Iksinowie, jest staruszka, w której od kilku tygodni wzbiera nienawiść do mnie... Siadywała zapewne pod ścianą, może na tej samej ławce, i przez całe dni bezczynne, przez całe noce bezsenne nienawidziła mnie... rozmyślała, jakby się zemścić!...

Albo dzieci... co one czuły, gdy im powiedziano: musicie się rozdzielić, już nie będziecie bawiły się razem; dwoje starszych przez cały rok nie zobaczą matki, a troje młodszych ojca... Jak im się musi wydawać dziwne, gdy zrozumieją, że to ja ich rozpędzam!... Ja — rozpędzam dzieci... No — ja!... o, ta sama, którą tu widzę w lustrze...”

Po południu przyszedł do Madzi nauczyciel. Był to człowiek łysy, siwiejący, który zadawał sobie wiele pracy, aby głowę trzymać prosto na pochylonym tułowiu. Miał długi surdut, a skutkiem zgarbienia zdawało się, że ma zbyt długie ręce. Usilnie przeproszał Madzię za postępek swojej babki, błagał, ażeby mu nie zaszkodziła w dyrekcji, i wyszedł — głęboko przekonany, że gdyby Madzia wstawiła się za nim do władz, miałby dwieście pięćdziesiąt rubli pensji rocznej zamiast stu pięćdziesięciu!

— No, ale rozumiem, że o to prosić pani nie mogę — dodał na pożegnanie.

Po jego odejściu ukazała się doktorowa.

— Czego on chciał od ciebie?

— Nic, mamu. Dziękował, że odprowadziłam do domu jego babkę staruszkę...

— Zdziecinniała staruszka, ma przeszło dziewięćdziesiąt lat... Ale czegoś ty taka wzruszona?...

— Bo, widzi matuchna — odpowiedziała Madzia siląc się na uśmiech — on myśli, że ja mogę mu szkodzić albo protegować go w dyrekcji... Biedny człowiek...

— Niechaj myśli, nie będzie z tobą wojował...

Niebawem ukazał się pan Miętlewicz. Był zirytowany i opowiadając o bardzo suchym, o nadzwyczajnie suchym drzewie, z którego będą porobione ławki szkolne, bacznie przypatrywał się Madzi.

Po Miętlewiczu przyszedł major także wzburzony, gdyż nie spostrzegł, że zgasła mu fajka.

— Cóż to znowu? ... — rzekł do Madzi. — Cóż to, stara wariatka napadła cię na ulicy?...

Madzia wybuchnęła śmiechem.

— Czy mówi pan o babce nauczyciela?... — spytała. — Kogoż ona może napadać, biedactwo?...

— Tę samą uwagę zrobiłem podsędkowi, który jednak twierdzi, iż słyszał na mieście, że stara rzuciła się na ciebie...

Jeszcze major nie dokończył frazesu, gdy wszedł proboszcz.

— Kyrie elejson! — zawołał od proga. — A oni czego chcą od ciebie?

— Kto?... — spytała Madzia.

— A nauczyciel i jego żona. Bo rejentowa mówiła mi jeszcze i o babce, ale babka ledwie się rusza...

Już nie było możliwości utrzymywać dłużej sekretu, więc Madzia wszystko opowiedziała swoim przyjaciółkom.

— No, w takim razie chodźmy, mój jegomość, na szachy — rzekł major. A ujawszy Madzię wpół pocałował ją w czoło i dodał:

— Szkoda ciebie na Iksinów... Za dobra jesteś... Przypominam jegomości, że dziś ja gram pierwszą partię białymi...

Ojciec tego wieczora wcale nie mówił z Madzią o pogłoskach krążących po mieście. Jednak oboje rodzice musieli o nich słyszeć, gdyż matka była rozdrażniona i zachorowała na głowę.

Madzi całą noc śnił się ptaszek. Niosła go w krzaki, wynalazła mu między gęstym jałowcem dołeczek, nagarnęła suchych liści i posadziła tam sierotę, zupełnie jak na jawie. Nawet wracała do niego trzy razy jak na jawie, nachuchała na niego, ucałowała go, a gdy już stanowczo odchodząc jeszcze raz odwróciła głowę, ptaszek siedział w dołku, z rozpostartymi skrzydłami, i otworzył wielkie gardelko wydając przy tym głos syczący. Żegnał ją, jak umiał.

„Czy on aby żyje?... — myślała Madzia. — Może go już odnalazły starsze ptaki, a może go co zjadło...”

Zbudziwszy się pobiegła przed śniadaniem w pole do krzaków. Z bijącym sercem weszła między jałowiec mówiąc sobie, że jeżeli ptaszka co złapało, to będzie dla niej zła wróżba. Spojrzała... dołek był pusty, ale ani śladu walki... Madzia odetchnęła. Była pewną, że sierota znalazła opiekunów.

Wracając zmówiła pacierz. Wstyd jej było ofiarować go za ptaka, o którym nawet nie wiedziała, że nazywa się: lelek. Ale ciągle miała go na myśli, resztę zostawiając Bogu, którego niesenne oko czuwa nad ogromnymi światami i nad małym pisklątkiem.

W mieście Madzia spotkała starszą córeczkę nauczyciela niosącą pakiecik cukru, może z pół funta. Dziewczynka, chociaż nie zaczepiona, grzecznie dygnęła, a potem — pocałowała Madzię w rękę. Gdy rozeszły się, Madzia mimo woli odwróciwszy głowę spostrzegła, że dziewczynka także ogląda się za nią.

„I ona myśli — rzekła do siebie Madzia — że ja wypędzam z domu jej matkę!...”

Doktor Brzeski wypiwszy śniadanie spacerował z fajką po ogrodzie. Madzia zaprowadziła go do altanki, posadziła na ławce i obejmując rękoma szepnęła mu do ucha:

— Tatku... ja tu już nie otworzę pensji... Niech panna Cecylia weźmie połowę uczen-  
nic, a te, które miał nauczyciel, niech zostaną przy nim... Tatuś gniewa się?...

— Nie, kochanko.

— A tatuś wie, dlaczego ja tak muszę zrobić?...

— Wiem, że — ty — musisz tak zrobić.

— A może tatko myśli, że to źle?...

— Nie.

— Ach, tatku, tatku... jakiś ty dobry... jakiś ty święty!... — szepnęła Madzia kładąc głowę na ramieniu ojca.

— Ty jesteś święta — odparł — i dlatego wszystko ci się takim wydaje.

Ale matka dowiedziawszy się o postanowieniu Madzi zaczęła desperować:

— Mącisz tylko głowę ojcu, mnie i sobie — mówiła. — Raz zakładasz pensję, potem wahasz się, znowu masz ochotę, znowu nie masz ochoty, słowem, co godzinę — nowy projekt. Tak być nie może: zobowiązałaś się wobec ludzi...

— Przepraszam cię, mateczko — wtrącił ojciec. — Wyraźnie zastrzegła sobie ostateczną decyzję do sierpnia...

— Więc chcesz ją wysłać do Warszawy, Feliksie?... — zawołała doktorowa powstrzymując się od płaczu.

Doktor milczał, natomiast odezwała się Madzia:

— Czyliż matuchna pozwoliłaby na to, ażeby z mojej winy zginął nasz nauczyciel?...

— Co za chorobliwe skrupuły! — odparła doktorowa. — Brzozowski sprowadzając się tutaj wiedział, że zaszkodzi naszemu ojcu... A jednak sprowadził się i... nie mamy do niego pretensji...

— No, różnie bywało... — wtrącił doktor.

— Tak — mówiła matka — ale nie okazywaliśmy mu żadnej niechęci, a on znowu nie pytał, czy nam robi przykrość...

— Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło... — rzekł ojciec.  
— Mój kochany — przerwała rozżalona doktorowa — jesteś stworzony na anachoretę... umiesz wnieść się nawet nad przywiązanie do dzieci... Ale ja jestem tylko matka... i nie pozwolę, ażeby ginęło moje dziecko, chociaż kapryśne i nie dbające o mnie...  
— Ach, mammo!... — szepnęła Madzia.  
— Zwołam ludzi — mówiła doktorowa z uniesieniem. — Niechaj zejdzie się całe miasto, niech najwięksi nieprzyjaciele nasimłość ludzkości osądzą, kto ma słuszność...  
— Nieprzyjaciele — źle osądzą... — odezwał się ojciec.  
— Więc przyjaciele... Niech przyjdzie proboszcz, Miętlewicz, a nawet ten stary, oryginał, który pomimo swoich osiemdziesięciu lat...  
— Major jeszcze nie ma osiemdziesięciu... — wtrącił doktor.  
Matka odwróciła się i pobięła do kuchni.

## 57. RADA FAMILIJNA

O czwartej po południu zaczęli się schodzić goście zaproszeni na naradę. Naprzód pan Miętlewicz w nowym garniturze w pasy, tudzież kołnierzyku wyłożonym tak szeroko, że jego końce opierały się prawie na obojczykach. Potem major — z dwoma kapciuchami tytoniu (jakby wyjeżdżał w daleką drogę); dalej siwy proboszcz, na którego życzliwie mrugała doktorowa, a on jej odmrugiwał zacierając ręce. Na ostatku przyszła panna Cecylia. Zadyszana, upadła na krzesło w pokoiku Madzi, błagając panią Brzeską, ażeby jej nie kazała iść do ogrodu, gdzie jest tyłu męczyzn. Ale doktorowa wzięła ją za rękę, zaciągnęła do altanki i bladą jak papier posadziła naprzeciw majora.

— Niechże major dziś będzie oględny... — szepnęła staremu pani Brzeska.

— Tylko pani mnie rozumie — mruknął wydobywając z wściekłością drut do fajki, krzesiwko, hubkę i paczkę siarczanych zapalek z różnokolorowymi główkami.

W domu państwa Brzeskich podwieczorek zawsze był dobry, ale tego dnia przeszedł wszelkie oczekiwanie. Nigdy jeszcze nie widziano tak mocnej kawy, tak grubych kozuchów na śmietance i tyłu gatunków bułek, obwarzanków, ciastek suchych i kruchych, placuszków obsypanych makiem i cukrem, a wszystko prosto z pieca.

Postawiono nawet buchający parą samowar na wypadek, gdyby major zażądał herbaty; a doktorowa własną ręką przyniosła z szafy butelkę białego araku, bo może major zechce pić herbatę z arakiem. W kuchni, spiżarni, w ogrodzie i altance rozlegał się głos doktorowej deklinującej: pan major, dla pana majora, panu majorowi...

Biedna panna Cecylia, na którą major od czasu do czasu rzucał (zdaniem doktorowej) bezwstydnym spojrzeniem, na przemian bladła i rumieniała się spoglądając ukradkiem spod długich rzęs na okropnego starca, który wbrew interesom jej brata propagował reformackie pigułki, a u iksinowskich dzieci miał opinię ludożercy, czyli — kominiarza.

Kiedy doktorowa naląła kawę, major spojrzawszy na siedzącego obok siebie Miętlewicza rzekł:

— Cóż się pan dziś ustroił jak mamka?... Rozwaliłeś kołnierzyk, że ci prawie pępek widać...

Panna Cecylia mimo woli szepnęła: „Ach!...” — a doktorowa prędko odezwała się:

— Może major pozwoli tych obwarzaneczków?... Jeszcze ciepłe... Panno Cecyljo — dodała — niech pani posmaruje panu majorowi bułeczkę...

Major, któremu w tak delikatny sposób przypomniano obecność panny Cecylii, zawstydzony i z niechęcią odwrócił się od Miętlewicza, bo przecież z jego winy wymówił brzydkie słowo przy dziewczętach.

Tymczasem posłuszna panna Cecylia zaczęła smarować masłem bułkę. Była jednakże tak zmieszana, że upuściła nóż, zgmiotła bułkę i o mało nie przewróciła szklanki z kawą. Ażeby ją ośmielić, major odezwał się:

— Cóż to, wypędzacie waszego prowizora?...

Panna Cecylia w pierwszej chwili nie wierzyła własnym uszom, że major do niej mówi. Zmiarkowawszy jednak po spojrzeniu doktorowej, iż wypadek ten rzeczywiście miał miejsce, zebrała odwagę i odpowiedziała:

— Tak, braterstwo rozstają się z panem Fajkowskim.

— Pierwszy raz muszę przyznać im słuszność — rzekł major, ażeby już zupełnie zjednać sobie pannę Cecylię. — Takie awantury wyrabiać w domu familijnym!...

— Brat mówił, że pan Fajkowski nie może być w aptece, ponieważ jest lunatykiem...

— Doprawdy? — zawołała Madzia. — Chodzi po dachach?...

— Wyobraź sobie, że onegdaj w nocy wszedł po daszku do kuchni na pierwsze piętro oknem... — objaśniła panna Cecylia.

— Jakie to szczęście, że on do pani nie wszedł!... — westchnęła Madzia.

— Madziu!... — zaczęła doktorowa.

— Ja — mówiła panna Cecylia — umarłabym ze strachu. Przecież zawołać nie mogłabym, bo obudziłby się i spadłby...

— Przynies nam, Madziu, szachy — odezwał się major. Z triumfem spojrzął na doktorową, która gotowa była uściskać go za takt i przytomność umysłu.

— Ale chyba dzisiaj panowie nie będą grali?... — rzekła doktorowa, gdy Madzia powróciła z pudłem i szachownicą. — Mamy naradzać się...

— Radzić nie będziemy całą noc — odburknął major. — Nie jesteśmy lunatykami.

Przez ten czas pan Miętlewicz rumienił się jak panienka. Równie bowiem zakłopotana go przygoda pana Fajkowskiego jak i jego własny kołnierzyk, który dopiero teraz wydał mu się stanowczo za długi i za głęboko wycięty. W tej chwili wołałby mieć na szyi girlandę z ostu i pokrzyw aniżeli ten podły kołnierzyk, bo ile razy która z panien spojrziała na niego, nieszczęsnemu Miętlewiczowi przychodził na myśl ten punkt jego osoby, który tak brutalnie napiętnował major.

Kiedy uprzątnięto stół i major z haftowanego kapciucha zaczął nakładać fajkę, doktorowa westchnąwszy odezwała się:

— Cóż pan major sądzi o nowym kaprysie Madzi?... Sprzykrzyła jej się pensja i chce wyjechać do Warszawy.

— Za kark jej nie weźmiemy — odparł major.

— Jednakże władza rodzicielska w tym wypadku... — wtrącił proboszcz.

— Nawet myśleć o tym nie może panna Magdalena — pochwycił Miętlewicz. — Całe miasto zdziwione... naczelnik straży ziemskiej mówił mi, że — to niepodobna, a sam naczelnik powiatu, kiedy się dowiedział, przestał przyjmować interesantów... Chodził po biurze z założonymi rękoma i wciąż mówił do siebie: także!... także!...

— Słyszysz, Madziu — odezwała się doktorowa podnosząc palec w górę.

— Szkoda, żeście państwo od razu nie zaprosili naczelnika straży ziemskiej, jeżeli on ma decydować o przyszłości Madzi — warknął major.

— Ale opinia publiczna, panie majorze! — zawołał Miętlewicz.

— Umowy co do panienek już prawie zawarte — rzekła doktorowa.

— Posłuszeństwo względem rodziców — święty obowiązek!... — dodał proboszcz.

— Dlaczego nie chcesz otworzyć pensji? — zapytał major Madzię.

— Proszę pana majora, jest tak — zaczęła Madzia. — Nauczyciel ma żonę, pięcioro dzieci i babkę... Ma sto pięćdziesiąt rubli pensji na rok...

— Opowiadaj krótko — upomniał ją major.

— Ja mówię krótko. Więc, proszę pana majora, nauczyciel dorabia sobie prywatnymi lekcjami jeszcze dwadzieścia rubli miesięcznie... A że, proszę pana majora, jego uczennice mają przejść do mnie, więc nauczyciel traci te dwadzieścia rubli miesięcznie i musi żonę z trojgiem dzieci wysłać na wieś...

— No, ale dlaczego ty chcesz wyjechać?... — badał major. — Przecie ty masz uczenice...

— Właśnie, że mam...

— Więc otwieraj pensję...

— Ale ja nie mogę rujnować bytu rodziny nauczyciela... nie mogę odrywać dzieci od matki i ojca... Jakaż by to była sprawiedliwość, gdyby ginął człowiek po kilkunastu latach pracy...

— Brzozowski nie miał tych skrupułów względem twego ojca — rzekła doktorowa.

— Może doktor Brzozowski nie miał innego miejsca... A ja mam doskonałe warunki w Warszawie.

— Panno Cecyljo... niechże pani coś powie!... — zawołała doktorowa. — Przecież pani ma prawo nie zwolnić Madzi z danego słowa...



— Bóg wie — cicho odezwała się zapytana — ile mnie to kosztuje... Ale pobudki panny Magdaleny są tak szlachetne...

— A cóż na to ojciec?... Ojca zdanie chcielibyśmy usłyszeć... — rzekł proboszcz.

— Zrobi pani krzywdę całemu miastu, całej... — wtrącił Miętlewicz.

— Ty jesteś ojciec?... — ostro zapytał go major.

— Ja tu nie mam nic do powiedzenia — odezwał się doktor. — Boli mnie jej wyjazd, ale cieszą jej instynkta... Trzeba dbać nie tylko o własne interesy!...

— Mój doktorze — odparł major — gdyby każdy żołnierz myślał o skórze swego sąsiada, a może nawet i nieprzyjaciela, pięknie wyglądałaby armia!... Niech każdy dba o siebie...

— Słyszysz, Madziu? — rzekła doktorowa posyłając majorowi spojrzenie pełne wdzięczności.

— Zresztą — zabrał głos Miętlewicz — jeżeli panna Magdalena chce odszkodować nauczyciela, niech mu od każdej uczennicy odstąpi jakiś procent...

— Tak jak pan Eisenmanowi, ażeby ci nie przeszkadzał — dodał major.

— Posłuchajcie mnie, panowie — mówiła wzruszonym głosem doktorowa. — Dzięki mężowi już nie śmiałybym ograniczać swobody naszym dzieciom, gdyby tylko chodziło o swobodę... Ale co Madzię czeka w tej Warszawie?... Będzie guwernantką rok... dwa... dziesięć lat... no i co potem?... My, w razie śmierci, oprócz starego domu i kilku morgów gruntu nic nie zostawimy dzieciom... Więc co ona pocnie ze sobą?...

— Toż samo grozi jej, gdyby została tutaj — wtrącił doktor.

— Ale tu miałaby pensyjkę... swoją własną... I po kilkunastu latach pracy, ona, taka oszczędna, mogłaby coś odłożyć... — mówiła matka. — Przecież sam postanowiłeś, Feliksie, że piętnaście rubli, które chce nam płacić za mieszkanie i obiady, będą składały się dla niej na posag...

— Madzia ma posag... cztery tysiące rubli — odezwał się major.

— Co też pan mówi!... — odparła doktorowa. — Madzia od babki dostała trzy, nie cztery tysiące rubli, a dzisiaj nie ma z tego i połowy...

— A ja pani powiadam, że Madzia będzie miała cztery tysiące rubli... Nie teraz, ale za parę lat — odparł major.

W altance zrobiło się cicho. Wtem najprzytomniejszy ze wszystkich Miętlewicz pochylił się i — pocałował majora w ramię.

— Tyś chyba zupełnie oszalał, Miętlewicz? — rzekł major.

— Podziękujże, Madziu... — odezwał się proboszcz.

Madzia stała zdziwiona nic nie rozumiejąc. Ale doktorowa rozplakała się.

— Nigdy już ona nie będzie należeć do mnie! — zawołała. — W dzieciństwie odebrała mi ją babka, później ta nieszczęśliwa Latterowa, której niech Bóg przebaczy... a teraz major...

— Ani jej pani odbieram — odparł starzec — ani jej za mego życia grosza nie dam. Jest młoda, więc niech pracuje... Ale niechże mi nikt nie gada, że dziewczyna nie ma zabezpieczonej przyszłości!...

— A gdyby pani zaangażowała naszego nauczyciela?... — zawołał rozpromieniony Miętlewicz. — Mógłby uczyć arytmetyki, geografii.

— Myślałam o tym — odparła Madzia — ale on ma czas dopiero po czwartej, kiedy u nas skończą się lekcje.

Major zamyślił się.

— Ile miałabyś dochodu miesięcznie? — spytał Madzi.

— Około sześćdziesięciu rubli na nas dwie...

— Więc podzieliwszy między trzy osoby wypadnie po dwadzieścia rubli... Gra niewarta świeczki!... — zakonkludował major. — No, proboszczu, siadajmy do warsztatu...

I wysypał z pudełka figury na szachownicę.

— Jakże to?... więc jak panowie radzicie?... — pytała rozgorączkowana doktorowa chwytając majora za ramię. — Nareszcie niechże się dowiem, co robi dziewczyna...

— Ona wie o tym lepiej od nas — odparł major ustawiając szachy.

— Ale ja nic nie wiem, ja... matka...

Major jedną rękę oparł na szachownicy, drugą na poręczu ławki i odwróciwszy się całym korpusem do doktorowej mówił przystukując wieżę:

— Pensja od razu mi się nie podobała, bo Madzia na przełożoną jest za młoda. Po wtóre — nie zapłacą jej jak należy, w końcu opuszczą i dziewczyna zmarnuje się w ciągu kilku lat... A co potem?... Nic potem!... Niech więc jedzie do Warszawy, kiedy chce pracować, co się jej chwali... Niech pozna świat, nie ten iksinowski kurnik... Tam może i chłopca porządnego znajdzie... A za jakiś rok... dwa, kiedy odejdę na wieczny urlop, będzie miała cztery tysiące rubli... może i trochę więcej... Z takim groszem i doświadczeniem, jeżeli zechce, niech założy pensję, ale już porządną...

— Widzi mama, że pan major każe mi jechać do Warszawy — odezwała się Madzia.

— Uściskajże majora!... podziękuj!... — wtrącił proboszcz popychając Madzię.

— Basta!... — rzekł major. — Kiedy ją ściskam, robię to bez pozwolenia jegomości. A dziękować nie ma za co, bo przecie nie zabiorę pieniędzy do grobu.

— Ja nie wiem, czy mi wypada przyjmować taką ofiarę... — odezwała się zakłopotana Madzia.

Starzec z fajką w zębach zerwał się z ławki, błysnął krwią nabiegłymi oczyma, a ujawszy się pod boki zaczął wyginać się jak baletnica i przedrzeźniać Madzię piskliwym głosem:

— Tiu-tiu-tiu-tiu!... Ofiary przyjąć nie może!... I ty, smarkata, robisz uwagi?... Jeżeli chcesz dług spłacić, to gdy usłyszysz, że mnie już umyły baby, zmów na wszelki wypadek pacierz za moją duszę... — dodał łagodnym tonem. — Może naprawdę jest jaka dusza?... — szepnął.

— Tak?... — zawołał proboszcz, z gniewem odsuwając szachownicę. — Nie gram z takimi, którzy mówią, że nie ma duszy.

— Powiedziałem: może jest! — wrzasnął major uderzając pięścią w stół.

— No, tak to co innego... — odparł uspokojony proboszcz. — Zaczynaj pan... Nie, dziś ja zaczynam.

Kiedy zaczęła się gra, panna Cecylia dała znak Madzi i obie cichaczem wymknęły się w głąb ogrodu.

— Boże!... — szepnęła panna Cecylia oglądając się na wszystkie strony i chwytając rękoma za głowę. — Boże!... co się ze mną dzieje... Ależ ja nigdy nie widziałam podobnego człowieka...

— Mówi pani o majorze?... — spytała Madzia.

— Naturalnie!... O kim innym mogłabym mówić w tej chwili... Wie pani — dodała nagle panna Cecylia — mówmy sobie: ty...

— Ach, jak to dobrze!... — odpowiedziała Madzia.

Ucałowały się i zarumieniona, z błyszczącymi oczyma panna Cecylia prawiała:

— Cóż to za dobry człowiek!... Nie, to jest anioł... Nie, prawda, z taką fajką nie można być aniołem, ale coś to za szlachetny człowiek!... Ale przy tym jaki ordynaryjny!... Gdyby mnie tak powiedział jak panu Miętlewiczowi... Boże!...

Do pańien zbliżyła się doktorowa, a z nią pan Miętlewicz, który pod pozorem bólu gardła zawiązał sobie chustką od nosa różową szycę.

Na ten widok panna Cecylia spuściła długie rzęsy, a Madzia ledwie powstrzymała się od nowego wybuchu wesołości. Szczęściem zwróciła uwagę na to, co mówił Miętlewicz:

— Ma słuszność major, że Iksinów nazywa kurnikiem!... Niedługo stąd wszyscy się wyniosą... Pan Krukowski już wyjechał, państwo podsędkowie także mają przenieść się do Warszawy... I ja nie będę tu popasał, nie mam pola dla moich zdolności... Wreszcie i do Eisenmana zaczynam tracić zaufanie.

W altance zrobił się krzyk: proboszcz dawał mata majorowi, a ten dowodził, że nie ma wyobrażenia o szachach. Partię przerwano na przedostatnim cugu, major bowiem żadnym sposobem nie chciał uznać mata, którego nie byłoby, gdyby jego królowa zajmowała tę linię, gdyby koń stał tam, a wieża tutaj...

— Tak — odparł proboszcz — i gdyby pański król mógł wychodzić do ogrodu, kiedy mu zabraknie miejsca na szachownicy.

Dwaj starcy klócąc się zaczęli wybierać się do domu. Panie i Miętlewicz zbliżyli się ku altance.

— No, dziękuję doktorowej za podwieczorek... Pyszny był... — rzekł major. — A ty, mała — dodał całując Madzię w głowę — uciekaj stąd, gdzie pieprz rośnie... W tej dziurze panny starzeją się, a mężczyźni głupieją... — zakończył i spojrzał na Miętlewicza.

— Ja także wynoszę się stąd — odpowiedział Miętlewicz. — Otworzę interes w Warszawie...

— Tylko pierwszej kup sobie inną koszulę, bo ta cię kiedy opadnie — wtrącił major.

## 58. WYJAZD

W kilka dni później w ogrodzie doktora Brzeskiego odbywał się znowu podwieczorek przy asystencji proboszcza, majora i Miętlewicza. Właśnie proboszcz wyciągał rękę do cukru, kiedy wpadła kucharka wołając:

— Telegraf!... telegraf do panienki...

I rzuciwszy depeszę na stół patrzyła na Madzię z trwogą.

Doktor podniósł głowę, doktorowa zmieszała się, Madzia zbladła, a proboszcz z ręką wyciągniętą do cukiernicy powtórzył:

— Telegram?... Cóż by to być mogło?...

— No, cóż tak nadzwyczajnego?... — odezwał się Miętlewicz, bardziej niż inni iksinowianie oswojony z depeszami. Ale i na jego twarzy widać było wzruszenie.

— Telegram?... do Madzi?... — mrucał zmartwiony proboszcz.

— Może Zdzisław chory?... — szepnęła doktorowa.

Tylko major, który na polach bitew oswoił się z niebezpieczeństwami, nie stracił zimnej odwagi wobec tak niezwykłego faktu, jakim była depesza telegraficzna w Iksinowie. Toteż wszystkie oczy zwróciły się na niego i wszyscy odetchnęli z uczuciem ulgi, gdy nieustraszony starzec wziął ze stołu depeszę, rozdarł ją z właściwą mu gwałtownością i odsunawszy daleko papier zaczął sylabizować:

„Jeżeli przyjmujesz — miejsce przyjedź do mnie — niedzielę koszta podróży — zwrócone odpowiedź — zapłacona malinowska”.

— Coś w tym nie ma sensu?... — rzekł major.

— Owszem — wtrąciła Madzia zaglądając mu w papier przez ramię. — Muszę zaraz otelegrafować pannie Malinowskiej, a w sobotę pojedę do Warszawy.

— Nie zobaczysz się z Zosią... — szepnęła doktorowa.

— A co, nie mówiłam, że nieszczęście!... — jęknęła kucharka podnosząc fartuch do oczu.

— Przeczytaj drugi raz — odezwał się zmieszany doktor. — Może to nie tak...

— Owszem, tatku — odpowiedziała Madzia. — Wola boska!...

— Doskonale mówisz — wtrącił proboszcz. — Zawsze trzeba zgadzać się z wolą boską...

— A może panna Magdalena tamtego miejsca nie zechce przyjąć?... W takim razie nie potrzebowalaby jechać — dorzucił Miętlewicz.

Major popatrzył na niego krwią nabiegłymi oczyma, skutkiem czego młody człowiek zaczął kręcić się na ławce.

— Miętlewicz... Miętlewicz!... — rzekł major kiwając w jego stronę ogromnym palcem. — Miętlewicz... ja wiem, co tobie pachnie...

— Daję słowo honoru panu majorowi... — protestował wylękniony.

— Wiem!... — upierał się major. — Ale czy ty wiesz, co z tego będzie?... O to — o!...

I pokazał mu figę tak blisko nosa, że cichy wielbiciel Madzi aż pochylił się w tył na ławce.

— Więc cóż z tego będzie?... — zapytała doktorowa zajęta własnymi myślami.

— Figa — rzekł major.

— Madzia nie pojedzie!... — zawołała z radością biedna matka chwytając majora za rękę.

— Dlaczego nie ma jechać? — rzekł zdziwiony starzec. — Pojedzie w sobotę...

— Bo pan major powiedział, że — nie... — odparła doktorowa.

— Eh! to ja Miętlewiczowi mówię...

— Ależ daję słowo honoru... — przysięgał Miętlewicz zarumieniony wyżej czoła.

— W sobotę z rana Madzia wypowiada się przed wotywą — wtrącił proboszcz — a po wotywie przystąpi do świętej komunii...

— Boże!... Boże!... i ona ma jechać?... — biadała doktorowa. — Nie skończyły się jeszcze wakacje... powinna zobaczyć siostrę...

— Obowiązek przede wszystkim... tego pilnować, co chleb daje!... — huknął major uderzając w stół. — A pani nie rozczulaj się bez powodu, bo zrobisz mazgaja z dziewczyny. Kiedy trzeba, to trzeba!...

— Naturalnie — szepnął doktor.

Madzia usiadła przy matce i objęła ją za szyję.

— Wie mameczka co, że ja jestem bardzo kontenta... Tu jest mi dobrze jak w niebie, ale... wie mamusia, że ja już tęsknię za pracą... Zresztą będzie mi doskonale u tych państwa... będzie mi tam bardzo wesoło... bo panna Malinowska taka szlachetna... Szkoda, że mama jej nie zna...

Ale ponieważ matka już płakała, więc i Madzia oparłszy głowę na jej ramieniu także zaczęła płakać. Proboszcz miał łzy w oczach, doktor gryzł tanie cygaro, pan Miętlewicz pochylał twarz do stołu, a kucharka na cały głos zawodziła w kuchni.

Co spostrzegłszy major podniósł się z ławki i rzekł:

— Zaraz wrócę...

I potoczył się w głąb ogrodu wyciągając z kieszeni fularową chustkę.

Madzia czuła bolesny dreszcz, który płynął od głowy, kurczył jej wargi, ścisnął za gardło i powoli zbliżał się do serca. Ale chcąc uspokoić matkę rzekła:

— No, i czego ja beczę?... Nie śmieszne to!... Niech tylko mama posłucha, co powiem: wyobraźcie sobie państwo, że macie nie jednego, ale — dwóch synów... Zdzisław już objął swoją posiadłość, a ja, młodszy syn, mam dopiero pracować na siebie. Mój Boże, jak my grzeszymy smucąc się w podobnej chwili... Ilu to ludzi nie ma pracy i szuka jej na próżno... Oddaliby kilka lat życia za jakiegokolwiek zajęcie i nie mają go; ja zaś jestem tak szczęśliwa, że bez trudu dostałam posiadłość — i płaczę!... A mama także... Prawda, księżę proboszczu, że to grzech?... Mówię zupełnie serio, proszę mamy...

— Mówisz po chrześcijańsku — wtrącił proboszcz.

— Bo to wszystko babskie ceregiele — odezwał się nadchodzący major, którego nos miał fioletową barwę. — Zamiast dziękować Bogu za łaskę, a dziewczynie natrzeć uszu, ażeby dobrze prowadziła swoje uczennice, pani doktorowa ryczysz, jakby ci się palec obierał... Pani niedługo zaczniesz rozczulać się, kiedy mąż pojedzie do chorego na wieś...

— Do chorego jeździ tylko ksiądz z Panem Bogiem... a doktor jeździ do pacjenta — przerwał mu proboszcz.

— Ucz, jegomość, pauprów ministrantury, a nie mnie, jak mam mówić!... — odparł zaperzony major machając fajką.

— Madziu, przynieś szachy... — rzekł doktor.

— Ja pani pomogę... — odezwał się Miętlewicz.

— Miętlewicz... siedź mi tutaj!... — wrzasnął major pukając fajką w ławkę. — On jej będzie pomagał szachy przynosić, słyszane rzeczy?... Ja ci kiedy wytnę taką sztukę, że od razu stracisz gust do kobiet...

— Co mu tam znowu major wytniesz? — rzekł proboszcz. — A obraża się, kiedy go poprawiać w mówieniu.

— Sakramencki klecha!... — mruknął major wysypując figury. Lecz wnet umilkł spostrzegłszy, że proboszcz wpatruje się w niego, jakby miał zamiar obrazić się i nie grać.

Reszta wieczora upłynęła nie tak wesoło jak zazwyczaj. Proboszcz mylił się w grze, a major nie robił awantur, tylko z cicha mrucał, co było złym znakiem. Miętlewicz z zamglonymi oczyma półgłosem opowiadał doktorowi, że on dla swoich zdolności nie znajduje pola w Iksinowie; doktor zaś, słuchając go, ssał zgasłe cygaro i patrzył w sufit altanki zasłoniętej gęstymi liśćmi. Wreszcie Madzia zaczęła spacerować po ogródku, a czując, że jest rozstrojona, postanowiła wyjść za miasto.

„Pójdę na cmentarz rzekła do siebie — i z babcią się pożegnam...”

Narwała w ogrodzie kwiatów, zrobiła dwa bukiety i wyszła bocznymi ulicami, a potem ścieżką przez pole.

Zbliżał się wieczór. Na ugorze rozlegały się krzyki pastuchów spędzających bydło do miasta; na gościńcu między czarnymi pniami lip toczyły się fury pełne snopów. Od czasu do czasu spod nóg Madzi wyskoczył konik polny albo powitała ją słowami: „niech będzie pochwalony”, baba niosąca płachtę zielska.

Ścieżka dosięgła cmentarza i Madzia przypomniała sobie, że zwykle w tym miejscu Cynadrowski przeskakiwał mur, kiedy miał widzieć się z panną Eufemią lub gdy się z nią rozstawał.

„Biedny człowiek!... — rzekła do siebie Madzia skręcając do bramy cmentarnej. — Trzeba zmówić za niego pacierz... Obie zapomnieliśmy o nim, a może jemu najbardziej potrzeba modlitwy” — dodała myśląc nie bez goryczy o pannie Eufemii.

Kąt samobójców znajdował się w rogu cmentarza, oddzielony krzakami jałowcu, tarczyni i dzikich róż. Było tam ledwie kilka mogił: bednarza, który się rozpił, służącej, która zabiła się z powodu dziecka, i — Cynadrowskiego. Pierwsza już zapadła się, na drugiej rosła wysoka tratwa; trzecia, pod ścianą, była zupełnie świeża.

Nagle Madzia stanęła zdziwiona. Ktoś o Cynadrowskim pamiętał: świadczyło o tym utrzymanie grobu. Nieznana ręka otoczyła mogiłę galeryjką z patyków, posadziła kilka doniczek roślin i widocznie co dzień zasypywała świeżymi kwiatami. Niezawodnie, że tak... Nawet można było odróżnić kwiaty wczorajsze, onegdajsze i już zupełnie zwiędłe.

Madzi łzy zakręciły się w oczach.

„Jaka ja jestem niegodziwa — pomyślała — i jaka ta Femcia szlachetna!... Bo naturalnie tylko Femcia pamięta o tym grobie...”.

Rzuciła parę kwiatów z bukietu i klęcząc zmówiła pacierz. Potem wróciła do grobu babki, pomodliła się za duszę kochanej opiekunki i z podwójną gorliwością zaczęła ubierać jej mogiłę.

„Dobra, szlachetna Femcia!... — myślała. — A jednak wszyscy sądziliśmy ją tak surowo...”.

Na chwilę przed zachodem słońca skrzypnęła brama i ktoś wszedł. Z bijącym sercem Madzia ukryła się między drzewami: miała przecucie, że wchodzi panna Eufemia, a nie chciała okazać, że zna jej tajemnicę.

Istotnie rozległ się cichy szelest i boczną ścieżką pod murem cmentarnym przesunęła się figura ciemno ubranej kobiety. Madzia nie mogła jej poznać z powodu gałęzi, była jednak pewną, że to panna Eufemia, ponieważ poszła prosto do kąta samobójców.

„Jak ona musiała zmienić się, biedactwo — myślała Madzia — kiedy nawet jej ruchy są inne... jakieś lękliwe i szlachetne... O, ja niegodziwa!... pierwsza powinnam zbliżyć się do niej...”.

Zmiana istotnie musiała być wielka, Madzi bowiem zdawało się, że panna Eufemia nawet zeszcupiała i urosła. Więc zdjęta ciekawością, posunęła się ostrożnie naprzód.

Ciemno ubrana dama zbliżyła się do grobu Cynadrowskiego. Położyła na nim mały wieniec, a następnie schyliwszy się zaczęła porządkować mogiłę.

„Femcia?... nie Femcia...” — mówiła do siebie Madzia przypatrując się. Nagle zawołała:

— To pani... to ty, Cecylia?...

I pobiegłszy do niej schwyciła w objęcia przestraszoną i zawstydzoną.

— Więc to ty pamiętasz o biedaku?... I ja nie domyśliłam się od razu, że to ty... Złota, kochana!...

— Ach, Boże... droga Madziu... — tłumaczyła się panna Cecylia.

— Taka drobna usługa dla zmarłego... Przecież musimy pamiętać o zmarłych obcych, ażeby inni... robili to samo dla naszych... Tylko proszę cię, zaklinam — dodała składając ręce — ani słowa nikomu... Miałabym dużo przykrości, gdyby się o tym dowiedziano.

Madzia pomogła pannie Cecylii ogrodzić mogiłę patyczkami, razem z nią zmówiła pacierz i — obie wyszły z cmentarza.

— Więc jedziesz jutro? — spytała panna Cecylia.

— Muszę.

— Smutno mi będzie — mówiła panna Cecylia — tym smutniej, że tak późno poznałam cię... Ale trudno... Zresztą, lepiej zrobisz wyjeżdżając stąd... Tu panny starzeją się, jak powiedział poczciwy major — dodała z uśmiechem — a ludzie... chyba kamienieją...

Okropne jest życie w małych miasteczkach...

— Więc przenieś się do Warszawy.

— Do kogo?... po co?... Nie mam żadnych stosunków, a nade wszystko tak odsunęłam się od życia, że boję się nawet widoku obcych ludzi... Wreszcie i u nas są dzieci,

które potrzeba uczyć... Z nimi zostanę, a dla odpoczynku będę chodzić tu... — dodała panna Cecylia wskazując na cmentarz.

— Czy znałaś Cynadrowskiego?

— Nie... Ale dziś bardzo... bardzo go lubię... On widocznie był taki opusz... tak dziki jak ja... Zresztą — dodała głosem pełnym żalu — i ja mam grób, o którym nikt nie pamięta... nawet sama nie wiem, gdzie jest... Całe lata męczyłam się tą niewiadomością, dziś ludzę się, że to tamten...

Zbliżyły się do miasta. Panna Cecylia umilkła, lecz powoli uspokoiwszy się rzekła swoim cichym głosem:

— Wiesz, Madziu... daruj mi, ale ja cię dziś pożegnám. Nie śmiałabym żegnać cię przy ludziach.

Uściskały się.

— Pamiętaj o mnie, jeżeli chcesz — mówiła panna Cecylia — i... czasem napisz słówko... Chociaż wiem, że znajdziesz tam inne przyjaciółki...

— Żadna z nich nie będzie taka jak ty... dobra, szlachetna... — szepnęła Madzia.

— Zobaczysz, jaką wydam ci się śmieszną, kiedy już będziesz w Warszawie... Ale ja ciebie nigdy nie zapomnę...

Ścisnęła Madzię za rękę i odeszła w stronę apteki. Madzia została sama, oszołomiona dziwnym pożegnaniem.

W domu matka była zajęta prasowaniem bielizny i pakowaniem kufra, więc Madzia usunęła się do swego pokoju, gdzie niebawem przyszedł ojciec. Usiadł na kanapie, zapalił fajkę i rzekł:

— Cóż, jutro o tej porze będzie panienska w wagonie?...

Madzi tchu zabrakło. Usiadła obok ojca wzięła go za rękę i patrząc w oczy spytała:

— Tatumu... może ja źle robię, że wyjeżdżam i was tak... zostawiam?...

— No... no... tylko nie roztkliwiaj się — odparł ojciec z uśmiechem, gładząc jej włosy.

— Wyjazd — zapewne, przykra to rzecz dla nas i dla ciebie, ale... nie trzeba przesadzać... Patrz na mnie... ani myślę smuć się, bo naprzód wiem, że to jest potrzebne do twego szczęścia, a po wtóre — jestem pewny, że za rok... półtora... wrócisz tu i już będziemy razem.

— Ach, jakbym ja tu chciała wrócić!...

— Wrócisz, kochanko. Twoja pensja to niezły projekt: pensja może utrzymać się w Iksinowie, nawet cztero i pięcioklasowa, byle wziąć się do niej poważnie. Właśnie major mówił mi, że gotów dać ci tysiąc czy dwa tysiące rubli na pensję, byleś w Warszawie wybrała sobie nauczycielki a nade wszystko — sama praktycznie zapoznała się ze stroną administracyjną interesu.

— Pan major tak powiedział?... — zawołała Madzia z radością.

— Ależ tak i sam ci to powtórzę. Widzisz więc, że twój wyjazd nie jest emigracją, ale wyjazdem czasowym, na praktykę. Dlatego ja wcale się nim nie martwię, a i matka, choć zapewne wyleje sporo łez, jest spokojniejsza. Za rok... za półtora... znowu będziemy razem i wtedy już nie uciekniesz od nas, kochanko — dodał ojciec przytulając ją do piersi.

Madzia ukradkiem obtarła oczy; doktor mówił dalej:

— Teraz, dziecko moje — dam ci jedną, jedyną radę, którą staraj się zapamiętać...

Znasz tę naszą wiśnię, co zwiesza się przez parkan na ulicę?... Kto w Boga wierzy, obrywa ją nie tylko z owoców dojrzałych i niedojrzałych, ale nawet z kwiatów, liści i gałęzi... Otóż, kochanko, tobie grozi to samo...

— Mnie, tatku?

— Tak. Ludzie z każdym człowiekiem postępują tak samo: zabierają mu pieniądze, czas, pracę, piękność, rozum, serce, nawet dobre imię... Wszystko mu zabiorą, jeżeli nie obroni go własny egoizm... Dlatego umiarkowany egoizm jest siłą dobroczynną, parkanem dla wiśni...

— Egoizm?

— On sam. Ty go nie masz, jesteś pod tym względem kaleką, więc nie odwołuję się do twego egoizmu. Ale, dziecko moje — mówił uściskawszy jej głowę — nie pozwalaj się okradać i wyzyskiwać, nie przez miłość siebie, ale przez miłość do ludzi. Poświęcaj się, bo to leży w twojej naturze, ale poświęcaj się dla dobrych; ażeby zaś dobrzy mieli z ciebie

więcej, broń się przed złymi... Pamiętaj, ażeby świat nie obdarł i nie połamał cię tak jak ulicznicy naszą wisienkę...

— A po czymże ja poznam złych ludzi? — spytała zamyślona Madzia.

— Oto, widzisz, mądre pytanie, na które krótko ci odpowiem. Szukaj przyjaciół między takimi, którzy mają więcej pracy aniżeli sławy i zysków; to są naprawdę użyteczni, dla nich warto poświęcać się i tylko oni cię zrozumieją. Ale unikaj ludzi, którzy mają dochody nie wiadomo skąd i rozgłos nie wiadomo za co...

— A jeżeli kto odziedziczy majątek? — żywo przerwała Madzia pomyślawszy o Sol-skich.

— O charakterze człowieka nie stanowi to, co odziedzyczył, tylko — co zrobił i robi. Kto nic nie robi, jest pasożytem, tym szkodliwszym, im większe ma wydatki.

Madzia oparłszy głowę na ramieniu ojca zastanawiała się.

— Tatko — rzekła po chwili — mówi zupełnie inaczej aniżeli wszyscy. Wszyscy szukają stosunków z ludźmi bogatymi i głośnymi.

— A ty szukaj pracowników, którzy więcej dają światu, niż biorą od niego. Ludzkość przechodzi rozmaite fazy: walk, odkryć, prześladowań, szaleństw, pomorów... W tej epoce, na którą dziś patrzymy, jest wszystkiego po trochu, ale bodaj czy nie za dużo pozorów — i gonitwy za użyciem. Otóż mówię ci: strzeż się tego prądu!... Kto mu uwierzy, może znaleźć hańbę i zatracenie duszy.

Zapaliwszy fajkę, która mu zgasała, doktor mówił dalej:

— Przypatrz się robakom ziemnym. Nie ma stworzeń bardziej upośledzonych; a jednak one więcej robią dla cywilizacji aniżeli zdobywcy świata: w ciszy i poniżeniu wytwarzają grunta urodzajne. Sława żadna, zyski żadne, użyteczność — niezmierna.

— I ja mam być taką?... — zapytała Madzia patrząc na ojca błyszczącymi oczyma.

— Ty już jesteś taką i dlatego radzę ci: szukaj towarzystwa z takimi. Dwa razy poruszyłaś Iksinów: urządziwszy koncert i pobudziwszy ludzi, ażeby tutaj utworzyli szkołę. Co z tego masz?... Nic, trochę zawiści i plotek... Ale wędrowni aktorzy mieli dochód, panna Cecylia będzie miała kilka uczennic, a nauczyciel dostanie lepszą pensję, bo zwróciłaś uwagę miasta na jego niedostatek. No, uściskaj ojca i... żadnych łez! Za rok... półtora... zobaczymy się...

Nazajutrz rano, kiedy po mszy odprawionej na jej intencję przez proboszcza Madzia wracała do domu, siostra pana Krukowskiego zastąpiła jej drogę.

— Daruj mi, Madziu — rzekła — że trochę późno przyszedłam na twoje nabożeństwo... Alem przyszła, ażeby tobie i... wszystkim dać dowód, że cię kocham i uważam za najzaczniejszą panienkę...

Potem opiera się na ramieniu Madzi, odprowadza ją do połowy rynku, tam wobec dwu chłopskich furmanek, policjanta i czterech Żydków całuje Madzię w głowę i z wielkim naleganiem wręcza jej jakieś pudełko.

— Przysięgłbym, że klejnoty! — mówi idący z dala pan pomocnik.

— Jeżeli nie brylanty... — dodaje aptekarz.

I całe towarzystwo z kościoła zaczyna głowami i kapeluszymi aplodować piękny czyn eks-paraliticzki, która pożegnawszy się z Brzeskimi i majorem wraca do swego domu nadęta jak indyk, podpierając się swoją laską.

— Pyszna baba!... — odzywa się zachwycony aptekarz. — Nie ma dnia, ażebym choć za rubla od niej nie utargował.

Madzia nigdy nie mogła dokładnie przypomnieć sobie: na czym upłynęło jej kilka ostatnich godzin w domu rodziców?... Wie, że piła kawę, potem zjadła befsztyk i popiła go winem, które przyniósł major, a po którym zakręciło się jej w głowie. Potem matka coś mówiła o bieliźnie i garderobie i płacząc doręczyła jej długi rejestrzyk.

Następnie zajęła fura po rzeczy, z czego korzystając zmartwiony pan Miętlewicz mówił Madzi, zdaje się, że o swoich wielkich zdolnościach, i na coś przysięgł, zapewne na to, że wkrótce przeniesie się do Warszawy.

Może byłby jeszcze dłużej mówił i przysięgał, gdyby nie czerwonoooki major, który schwyciwszy Madzię za rękę zawlókł ją do drugiego pokoju i rzekł szorstko:

— Mówił ci ojciec, że możesz tu założyć pensję, naturalnie, jak się rozejrzysz po świecie...

— Mówił... Bardzo... bardzo dziękuję panu majorowi...

— Głupstwo, fajki tytoniu niewarte!... — przerwał major. — Więc uważaj: po mojej śmierci masz cztery tysiące rubli... Cicho!... A za rok mogę pożyczyć ci tysiąc, dwa tysiące rubli na procent... Rozumiesz?...

— Ależ, panie majorze...

— Cicho!... A teraz — schowaj to — kończył podając jej ciężką kieskę ze skóry łosiowej. — Cicho!... Mogłaś przyjąć od tej wariatki bransoletę, możesz ode mnie wziąć parę sztuk złota... Ale tylko na złą godzinę... pamiętaj!...

— Ale czy ja mogę?...

— Pst!... ani słowa... Ode mnie możesz przyjąć jak... od starszego brata.

Mimo zmartwienia Madzia roześmiała się usłyszawszy ten tytuł i — pocałowała majora w rękę.

— Naczelnikowa już zajeżdża — zawołała matka wbiegając.

Przed ganek zatoczył się powóz. Madzię ktoś ubrał, potem upadła do nóg ojcu i matce, potem czuła na twarzy i czole strumienie własnych i cudzych łez... Na ulicy stał jakiś tłum... ktoś po wiele razy całował jej ręce... jacyś panowie wsadzili ją do powozu i narzucali bukietów... Potem zatrzaśnięto drzwiczki i powóz ruszył.

— Bądź zdrowa!... Pisuj!... Nie zapomnij!... — wołano z ganku.

— Boże błogosław!... — zawołał obcy głos spod parkanu.

Powóz chwiał się i toczył... chwiał się i toczył... toczył bez końca. Kiedy Madzia odjęła mokrą chustkę od oczu i przeprosiwszy panią naczelnikową za kłopot, jaki jej robi, odwróciła głowę, już było widać tylko wieżę iksinowskiego kościoła, błyszczącą w słońcu.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/emancypantki-tom-i>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, *Emancypantki* tom 1, il. Antoni Uniechowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Justyna Sobiecka, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0729-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).